

DIABEŁ



historia
powszechna

DC
10

GERALD
MESSADIE

Tytuł oryginału **HISTOIRE GENERALE DU DIABLE**
Copyright (c) 1985 Editions Robert Laffont, S.A. Pans, 1993
Redaktor Grażyna Jaworska
Opracowanie graficzne okładki Sławomir Skryśkiewicz
For the Polish translation Copyright (c) 1998 by Wydawnictwo Da Capo
For the Polish edition Copyright (c) 1998 by Wydawnictwo Da Capo
Wydanie I ISBN 83-7157-341-3
Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca S.A., Kraków. Żarn. 86/99

Gerald Messadie

Diabeł - historia powszechna

Historie generale du diable

[Intro](#)

<u>Rozdział I</u>	Kilka uwag wstępnych
<u>Rozdział II</u>	Dziwne demony Oceanii
<u>Rozdział III</u>	Indie ocalone przed złem
<u>Rozdział IV</u>	Chiny i Japonia - pismo, które odprawia egzorcyzmy
<u>Rozdział V</u>	Zaratustra, pierwsi ajatollahowie i rzeczywiste narodziny diabła
<u>Rozdział VI</u>	Mezopotamia albo narodziny grzechu
<u>Rozdział VII</u>	Celtowie albo trzydzieści pięć wieków bez diabła
<u>Rozdział VIII</u>	Grecja albo diabeł pokonany przez demokrację
<u>Rozdział IX</u>	Rzym - ziemia, na którą diabeł nie miał wstępu
<u>Rozdział X</u>	Egipt - ojczyzna religii, której obce jest potępienie
<u>Rozdział XI</u>	Afryka, kolebka ekologii religijnej
<u>Rozdział XII</u>	Indianie Ameryki Północnej lub Ziemia - Ojczyzna
<u>Rozdział XIII</u>	Zagadka Quetzalcoatl - Pierzasty Wąż i bóg, który płacze
<u>Rozdział XIV</u>	Izrael albo demony w służbie nowoczesnego diabła
<u>Rozdział XV</u>	Diabeł w Kościele pierwszych chrześcijan albo pomieszanie przyczyny i skutków

Kilka uwag wstępnych Jak narodziła się ta "historia"?

W połowie lat osiemdziesiątych XX stulecia staliśmy się świadkami osobliwego zdarzenia. Prezydent Stanów Zjednoczonych, Ronald Reagan (nawiasem mówiąc, wykazujący duże zainteresowanie astrologią), określił ZSRR mianem "imperium zła", podczas gdy przywódca Iranu, ajatollah Chomeini, uznał Stany Zjednoczone za "wielkiego szatana".

To zamiłowanie do nadużywania piekielnej retoryki pokazuje, że nie ma zgody co do lokalizacji królestwa diabła. Po namyśle możemy także stwierdzić, że diabeł jest postacią znaczącą w świecie polityki, a przecież powszechnie wiadomo, że polityka jest domeną kłamstwa.

I oto w roku 1992 Ali Benhadży, bliski współpracownik Abbassiego Madani, przywódcy Muzułmańskiego Frontu Ocalenia Algierii, raz jeszcze przypomniał o politycznej roli diabła, oświadczając, że "każda partia, która odchodzi od nakazów Boga, od Koranu i sunny, staje po stronie diabła..." W ten sposób oddał w jego władanie niemal wszystkie istniejące na świecie partie polityczne. Ten sam ideolog określił następnie pośrednią rolę diabła następująco: "Skoro mowa o demokracji, pragnę podkreślić, że kraje muzułmańskie najwyższą władzę mogą powierzyć tylko Bogu. Nie wierzymy we władzę narodu nad narodem, lecz w zwierzchność Boga nad jego ludem". *

Innymi słowy, diabeł, boski przeciwnik, nie może istnieć w demokracji, tam bowiem nie ma antagonisty. Natomiast społeczeństwo laickie pozostaje we władaniu diabła.

Ale powściągnijmy oburzenie. Przecież chrześcijaństwo, które od zarania swych dziejów sprawowało rządy za pośrednictwem władz świeckich, powoływało się na istnienie diabła zawsze wtedy, gdy poddani działali wbrew woli króla lub papieża. Dla obrony teokratycznej koncepcji państwa poświęcono dziesiątki tysięcy istnień ludzkich i dopiero rewolucja francuska położyła temu kres.

Czy jednak diabeł istnieje? Każdemu, kto odważy się zadać to zuchwałe pytanie, skromność nakazuje przedstawić własne stanowisko w tej sprawie. Jako katolika, w dzieciństwie próbowano przekonać mnie o jego istnieniu. Takie próby podejmowała najpierw rodzina, a potem nauczyciele i wiele innych osób. Straszono mnie na przykład, choć nie pamiętam już, za jakie przewinienia, że nocą diabeł może wyciągnąć mnie za nogi z łóżka. Był to poważny błąd wychowawczy, ponieważ szybko uznałem, że istota z pozoru tak potężna nie zasługuje na respekt, skoro próbuje płać głupie figle małemu chłopcu. Co gorsza, wskazano mi nawet kryjówkę diabła. Odwiedzał podobno często domową ubikację, co wprawiło mnie w nie lada zakłopotanie - a może diabeł cierpi na dolegliwości żołądkowe? Dowiedziałem się również, że chętnie przebywa w piwnicy, i znów straciłem szacunek dla niego, bo przecież ktoś, kto ma zaszczyt być przeciwnikiem Boga, powinien mieszkać w zupełnie innym miejscu! W ten sposób doszedłem do wniosku, że nic się nie zyskuje, opowiadając dzieciom głupstwa. Ja właśnie pod wpływem tych bezsensownych kłamstw zacząłem wątpić w istnienie diabła. Jednak moi wychowawcy nie dawali za wygraną. Tym razem diabeł kusił Jezusa na pustyni, lecz jego słowa wydały mi się podejrzane. Musiał być głupcem (dlaczego więc nazywano go przebiegłym?), skoro proponował Synowi Bożemu władzę nad ziemiami, które i tak

przecież do niego należą. A zatem albo Jezus nie był synem Boga, albo diabeł, który podobno może przeniknąć myśli ludzkie i zawładnąć nimi, nie wiedział o czymś tak oczywistym. Muszę przyznać, że moi wychowawcy niezbyt zręcznie zabrali się do rzeczy...

Ojcowie jezuitów, którym powierzono moją dalszą edukację religijną, nazywali go - o czym wspominałem w innym miejscu

- szatanem, ale ta nazwa niczego nie wyjaśnia, pochodzi bowiem od arabskiego słowa chiton, czyli po prostu diabeł. Moi nauczyciele utrzymywali kategorycznie, że był on aniołem i zasiadał po prawicy Boga aż do chwili, gdy ulegając podszeptom pychy, zbuntował się przeciwko swojemu Panu. Wówczas został strącony z nieba i pociągnął za sobą inne złe duchy. Podszepty, pokusa? Ależ to by znaczyło, że pokusy istniały, nim pojawił się On

- sprzeciwiałem się - że zło jest starsze od Niego. Jakże to możliwe, skoro On jest uważany za stwórcę zła? Moja argumentacja wyprowadziła z równowagi ojca de Vregille, który oceniając uczniów po pierwszym trymestrze, zarzucił mi, że jestem krnąbrny. Lecz chociaż od tego czasu upłynęło pół wieku, pytanie niesfornego ucznia pozostaje wciąż bez odpowiedzi, a żaden traktat teologiczny nie podejmuje próby wyjaśnienia tej kwestii.

Jedni nazywają go z łacińska Lucyferem, drudzy Belzebubem. Nosi ponad dwadzieścia imion i niemal wszędzie można trafić na jego ślady. Podobno Marcin Luter zobaczył go i rzucił w niego kałamarzem. Powoływano się też, z korzyścią dla mnie i wielu innych badaczy, na liczne "stwierdzone" i "bezsporne" przypadki opętania, które są dobrym źródłem informacji na temat tej nieuchwytej postaci. Kiedyś siedziałem na tarasie z widokiem na Nil z Aldousem Huxleyem, autorem Diabłów z Loudun, który tłumaczył mi, że w przypadku Urbana Grandiera i opętanych zakonnic czynnikiem halucynogennym mogło być zboże zanieczyszczone sporyszem, ponieważ dostrzeżone u nich objawy ludzko przypominają skutki zatrucia tym pasożytem. Rzeczywiście sporysz może wywołać zaburzenia umysłowe i wizje. Wkrótce zresztą miało miejsce inne słynne wydarzenie. W Pont-Saint-Esprit w Gard wiele osób padło ofiarą piekielnych wizji w następstwie spożycia skażonej sporyszem mąki. Niestety, nigdy nie dowiemy się, czy także Luter jadł chleb z domieszką sporyszu.

Znacznie później sceptycyzm, z jakim odnosiłem się do opowieści o diabelskich sztuczkach, skłonił mnie do przyjrzenia się "opętanej". O dziwo, mężczyźni znacznie rzadziej niż kobiety ulegają opętaniu. Najwyraźniej dzieje się tak dlatego, że kobieta w istocie jest dziełem szatana. Ta, którą obserwowałem, wyrzucała z siebie pozbawione związku, często nieprzyzwoite słowa. Na jakiej podstawie uznano ją za opętaną? Otóż zostało to dowiedzione w oczywisty sposób, uzdrowiły ją bowiem egzorcyzmy, które odprawił proboszcz miejscowej parafii. Wkrótce jednak diabeł powrócił... Musi on być najwykolejszym próżniakiem, skoro wślizguje się w ciało jakiejś biedaczki! Ktoś, kto ma do wypełnienia naprawdę ważną misję, nie dokonałby takiego wyboru. Dziś nie sposób stwierdzić, czy nieszczęsna istota była historyczką, czy oszalała, nadużyta alkoholu lub środków psychotropowych, czy też cierpiała na zaburzenia naczyniowe. W paryskim metrze często można zobaczyć podchmielonych kłoszardów, którzy głośno klną i złorzeczą. Dawniej uchodziliby najpewniej za "opętanych". Przypomnijmy także o znanym psychiatrom zespole Gilles'a de La Tourette. Otóż z ust dotkniętej tą chorobą osoby, zazwyczaj bardzo uprzejmej, nagle wylewa się potok wulgarnych słów, tak jak to było w przypadku Mozarta.

Z czasem ogarniały mnie coraz to nowe wątpliwości. Zaczniemy od wizerunku diabła. Dlaczego właśnie w kulturze europejskiej przedstawiano go najczęściej jako karykaturę antycznego bożka Pana, obdarzonego ludzkim ciałem oraz rogami i kopytami kozła? I dlaczego właśnie w tej kulturze symbolem zła tak często jest wąż, skoro na przykład Egipcjanie i Aztekowie oddawali mu boską cześć? Przede wszystkim jednak, w jaki sposób Grecy i Rzymianie (i nie tylko oni) mogli obejść się bez diabła? Przecież żadna z ich mitologii nie wspomina o takiej istocie.

Przez cały czas w odpowiedzi na mój sceptycyzm wobec diabła próbowano wciągnąć mnie w rozważania teologiczne. Mówiono, że Bóg potrzebował antagonisty, gdyż w przeciwnym razie to jego należałoby obarczyć winą za ludzkie cierpienie. Oto wspaniały przykład zastosowania metody indukcji! A zatem Bóg nie byłby na tej ziemi

wszechmogący? Owszem, lecz pozostawił ludziom wolną wolę, dlatego sami musieli opierać się pokusom. Zgoda, ale co z dziećmi zabijanymi przez choroby, pytałem? Nieprzeniknione są wyroki Stwórcy - odpowiadali moi adwersarze. Skoro jednak wyroki boskie, kiedy wkraczają w domenę zła, stają się nieprzeniknione, to może właśnie On jest źródłem wszelkich nieszczęść, które spotykają ludzi? Bluźnierstwo! - ganili księża. - Zaakceptuj prawdy wiary! Chciałbym, ale przecież Stwórca obdarzył mnie rozumem. Czyż nie dał mi go po to, abym samodzielnie myślał? Najsilniej wzburzył mnie Papini: ponieważ Bóg jest nieskończenie dobry, gdy nadejdzie koniec świata, będzie musiał wybaczyć swemu odwiecznemu wrogowi! Wydaje mi się oczywiste, że u kresu czasu Stwórca okaże szlachetność i wielkoduszność, jednak takie rozumowanie prowadzi do bulwersujących wniosków: nie warto przecież walczyć z oskarżonym, który i tak ostatecznie ma zostać niewinny.

Trzeba wreszcie powiedzieć, że teologia przedstawia niezbyt spójny obraz diabła. Kościół wierzy w jego istnienie, lecz nie zajmuje w tej sprawie jednoznacznego stanowiska. Może się to wydać dziwne, ale znacznie wyraźniejszą i trwalszą wizję diabła mają ludzie świeccy. Porzuciłem zatem teologię, której nie cenię zresztą zbyt wysoko. Tymczasem współczesny świat pograżał się w paradoksalnych sporach. Nikt już nie zwalczał szatana z dawnym zapalem - zakończyły się dawne procesy, dogasły ostatnie stosy, a prześladowania z czasów inkwizycji poszły w zapomnienie, ale diabła w tym nowoczesnym świecie dostrzegano wszędzie. Przypomnijmy raz jeszcze przykłady Chomeiniego i Reagana.

Wiara w nowoczesność jest złudna, ale niezwykle silna, chociaż słowo "nowoczesność" jest pojęciem mylącym i pozbawionym znaczenia. Obawiam się, że chcąc nie chcąc, jesteśmy nowocześni, jak pan Jourdain, który mówił prozą, choć wcale o tym nie wiedział.

Złudzenie nowoczesności opiera się choćby na przekonaniu, że nasza epoka jest nowoczesna, bo odrzuciła dawne przesady, bo potępiła procesy czarownic. Czyżby? Wydane niedawno opracowanie *In Pursuit of Satan* * ujawnia, że w Stanach Zjednoczonych, ojczyźnie człowieka, który postawił stopę na Księżycu, wielu policjantów wierzy w czary, a na świecie raz po raz zdarzają się mordy popełniane na osobach oskarżanych o rzucanie uroków i zaprzędanie się diabłu.

Można by powiedzieć, że są to problemy religii i że należy pozostawić ludziom wolność myśli i sumienia. Naturalnie, lecz tylko dopóty, dopóki nie wpływa ona na funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości. I na politykę.

W retoryce obu wspomnianych już polityków, Chomeiniego i Reagana, szczególnie ciekawe jest to, że ulegli oni najczęstszej z pokus - nie zła, lecz prelogicznej skłonności do uosobiania zła. A zatem również do jego definiowania.

Ponieważ z chwilą zdefiniowania zła, nazwania go, przypisania go konkretnej osobie, określenia jego przyczyny, pragniemy je zlokalizować. Następnie zmierzamy już tylko ku jednemu celowi

- destrukcji zła. Reagan nawoływał do zniszczenia Iranu, Chome-ini wzywał do unicestwienia Stanów Zjednoczonych, choć można przyjąć, że ich słowa były puste, jeden bowiem wdawał się w układy ze Związkiem Radzieckim - Bogu niech będą dzięki!
- drugi zaś w tajemnicy pertraktował z "wielkim szatanem", by doprowadzić do wymiany jeńców wojennych. Jednak te pełne hipokryzji retoryczne brednie mogły przyjąć ostrzejszy ton i doprowadzić do wybuchu prawdziwej wojny. Podany przykład pokazuje, jakie niebezpieczeństwo kryje w sobie wiara w szatana, Lucyfera czy Belzebuba.

Lecz, by stało się najgorsze, nie stroniący od dobitnych wypowiedzi Reagan i Chomeini musieliby ulec szczególnym wpływom. Warto zaznaczyć, że współczesne społeczeństwa wiele wysiłku wkładają w tropienie, rozpoznawanie, nazywanie, klasyfikowanie, analizowanie i określanie źródeł zła oraz jego sprawców. Nie ma chyba dnia, w którym jednostka lub grupa nie oznajmiałyby, że zło bierze się stąd lub zowąd, a jego sprawcą jest ten lub tamten. To lub owo - samochody, telewizja, rock, bezrobocie, AIDS, tempo życia, narkotyki, skażenie środowiska, seks, emigracja, Arabowie, Żydzi, KGB, CIA, Le Pen, Bush, Chirac, Pinochet, Margaret Thatcher, Poi Pot, Marchais, reżim birmański, kapitalizm, hałas, papierosy, rak, elektrownie jądrowe... Oskarżano już chyba wszystko i wszystkich. Raz przypada nam rola diabła, kiedy indziej - jego oskarżyciela.

Chcąc nie chcąc, uczestniczymy zatem w nie kończącej się wojnie ze złem, wojnie, która podtrzymuje fanatyzmy - to słowo nie padło tutaj przypadkowo. Nawet manicheizm, który ustala, co jest dobre, a co złe, skłania nasz umysł do podejrzliwości, nieufności, a niekiedy do nietolerancji i wreszcie - mordu. Obcy jest zawsze wrogiem i w końcu - jeśli takie nastawienie utrzymuje się wystarczająco długo - wszystko i wszyscy stają się obcy. Wówczas wpadamy w pułapkę - przestajemy dostrzegać niuanse w otaczającym świecie, zewsząd osacza nas zło.

W XIV wieku z bezprzykładnym okrucieństwem wypędzono z Wassy Żydów, dlatego że katolicka Francja uznata ich za wysłanników szatana, a więc za wrogów. Dziś chętnie zapomina się, że Joanna d'Arc, która, o dziwo, stała się symbolem nostalgicznej katolickiej prawicy, spłonęła na stosie dlatego, że Kościół, dając wiarę kłamstwom biskupa Cochon, oskarżył ją o czary. Podobnie uzasadniono rzeź protestantów w noc św. Bartłomieja.

Przypomniałem o tych wydarzeniach, bo chcę powiedzieć, że system wiary w diabła - a jest to przede wszystkim system - stanowi podłoże dla szaleństwa rozumu i wciąż wywiera istotny wpływ na politykę; a właściwie - że istnieje przede wszystkim w sferze polityki.

Najbardziej zdumiewającym skutkiem istnienia tego systemu jest nie znane do tej pory w historii myśli wypaczenie refleksji moralnej i filozoficznej - przekonanie o "banalności zła". Koncepcja ta powstała przed trzydziestu laty, a u jej podstaw legły najszlachetniejsze pobudki. Jej autorka, Hannah Arendt, zapewne szczerze pragnęła wyrazić w ten sposób nurtujący ją smutek. Nieważne, że była ona związana z najbardziej kontrowersyjnym współczesnym myślicielem, Martinem Heideggerem. Głęboko wierzyła, że przypadek zła, jakim był nazizm, tak bardzo przytłoczył nas i pozbawił wrażliwości, że uznaliśmy je za rzecz codzienną i normalną. Ten pogląd otwiera epokę "postmodernizmu", głoszonego przez znamienitych myślicieli, według których po Oświeceniściu historia umarła.

Oto wymowny przykład zagrożeń związanych z wiarą w diabła, a zwłaszcza z przekonaniem, że przestaliśmy się go strzec. W czasach mojej młodości tylko nieliczni uświadamiali sobie, że Stalin i sowiecki komunizm niewiele różnią się od nazizmu i w takim samym stopniu zasługują na miano diabelskich. Gdyby dokonać makabrycznych rachunków, trzeba by przyznać, że szesnaście milionów zamordowanych w ZSRR "waży" co najmniej tyle samo, co sześć milionów ofiar obozów nazistowskich. Dlaczego zatem Stalin i jego partia cieszyli się lepszą "sławą" niż Hitler i III Rzesza? Może ze względu na hitlerowski antysemityzm? Sowiecki, chociaż także istniał, nie był aż tak jawny, lecz gułagi niczym nie ustępowały obozom koncentracyjnym. Nikt jednak nie chciał uwierzyć, że istnieją, obawiając się oskarżenia o "prymitywny antysowietyzm". Kiedy w roku 1949 Wiktor Krawczenko jako pierwszy doniósł o istnieniu gutagów, wybuchł skandal i powszechne oburzenie. Nazwano go amerykańskim szpiegiem, oszustem, a szlachetny Sartre nie mógł się powstrzymać przed oskarżaniem i napiętnowaniem "intrygi" Krawczenki, wykorzystując w tym celu sławę i szacunek, jakimi się wówczas cieszył. "Diabeł to Hitler i nazistowskie Niemcy, po cóż temu przeczyć? Kto ośmieliłby się położyć na szali okrutne męczeństwo Leningradu i potworności nazizmu?" Oczywiście nie w tym tkwi istota problemu, bo nikt nie zamierza dokonywać tego rodzaju porównań. Istota problemu polega na czym innym: skoro odnaleziono diabła i powiązano go z konkretnym miejscem, nie mógł w tym samym czasie znajdować się gdzie indziej, skoro Stalin walczył przeciw Hitlerowi, musiał być "dobry", pomimo swych "ludzkich ułomności".

Tak oto praktycznie do czasów Gorbaczowa najlepsi Europejczycy - wyrafinowani intelektualiści, ludzie wykształceni i świadomi - żyli w złudnym przekonaniu, że KPZR jest światłem lewicy. Picasso był wielkim malarzem, ponieważ był komunistą, Franco był kanalią, bo zmiądzzył republikanów. Tę w istocie rzeczy skrajnie religijną iluzję podtrzymywali Malraux i Sartre. Pierwszy był głęboko religijny. To on napisał przecież, że "XXI wiek będzie należał do religii, lub nie będzie go wcale". Boże, miej nas w opiece! Jeżeli nie opowiemy się za lewicą, opowiadamy się za prawicą, a zatem popieramy "faszystów" (ujawnia się tu zjawisko "obumierania pojęć", świadczące o braku kultury politycznej i tendencji do mylenia zjawisk, ponieważ narodowy socjalizm i faszyzm to dwa odrębne systemy). Nie stawiam sobie jednak za cel przedstawienia konsekwencji tego

poważnego błędu. Zamierzam poprzestać na ukazaniu fatalnych następstw "diaboli-zacji" świata, czyli po prostu - skutków wiary w diabła.

Kilka historycznych przykładów wystarczy, by obalić tę prymitywną teologię. Zaczniemy od analizy paktu Ribbentrop-Mołotow, dowodzącego, jak łatwo diabeł Stalin dogadał się z diabłem Hitlerem. Fakt, że sowiecki diabeł dał się pokąsać jako pierwszy, nie oznacza, iż automatycznie przestał być z politycznego punktu widzenia diabłem - by użyć tego słowa - w pełni sit. Miło jednak było obserwować, jak w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a nawet siedemdziesiątych, gdy po raporcie Chruszczowa piękna sowiecka fasada pokryła się rysami i pęknięciami, reagowano na wzmiankę o pakcie niemiecko-sowieckim. Jedni mówili, że to zamierzchłe dzieje, inni przypatrywali się śmiałkowi niczym księdzu, który zadał w czasie obrad soboru niestosowne pytanie o to, kiedy dokładnie dokonuje się przeistoczenie hostii.

Muszę przyznać, że właściwie nie wiem, czym jest historia (pisana przez duże "H") i wątpię, by ktokolwiek to wiedział. Już od pierwszego wieku naszej ery mieliśmy podstawy, by z pewną ostrożnością traktować rozprawy na jej temat, skoro dziejopis tak skrupulatny jak Józef Flawiusz (który również wierzył w diabła!), w żadnym ze swoich dzieł, Dziejach wojny żydowskiej i Dawnych dziejach Izraela, nie wspomniał o niezwyklej wagi wydarzeniach, które wywarły ogromny wpływ na dwa kolejne tysiąclecia, to znaczy o życiu Jezusa i jego śmierci. Musiał się o nich dowiedzieć od Heroda Agryppy II, który przekazał mu wiele innych informacji, więc z pewnością także i tę. Jednak Flawiusz po prostu uznał ją za nieistotny epizod. Później mieliśmy do czynienia z całym szeregiem myślicieli, pragnących przekonać nas, że historia zmierza w określonym kierunku, to znaczy - ku socjalizmowi, ale wydarzenia ostatniego dziesięciolecia zadają kłam tym twierdzeniom. Zapomina się, że właśnie przekonani, iż podążają tą drogą, "parafianie" stawali w obronie Mao Tse-tunga i popierali odsunięcie od władzy marszałka Łon Nola w Kambodży. Na podobieństwo tych, którzy lubią jeść czekoladę, chociaż im to szkodzi, poczuli się nieswojo, gdy rozpoczęła się "rewolucja kulturalna", i wówczas, gdy czerwoni Khmerzy wkroczyli do Phnom Penh. Ponieważ istnieje przekonanie, że wypominanie tych błędów jest niezręcznością, pominię nazwiska ich autorów, nie mogę jednak odsunąć od siebie myśli, że historia, niczym nękaną przez pchły pies, gryzie się we własny ogon. Nie wierzę w wyznaczony z góry bieg historii, podobnie jak nie wierzę w "postmodernizm", którego ukoronowaniem miałyby stać się banalizacja zła.

Zniechęcony popularnością przepowiedni na temat "nowoczesności", przytłoczony mnożącymi się spekulacjami, często zastanawiałem się, o czym mógł myśleć żołnierz Ksenofonta w IV wieku p.n.e., gdy musiał znosić straszliwe cierpienia opisane w Anabazie - głód, pragnienie, zabójcze mrozy i upały, wycieńczenie, choroby skóry, dyzenterię, malarię, ataki jadowitych węży i chmary komarów, na które był narażony w czasie przeprawy wojsk z Kurdystanu i Armenii ku Fontowi. Ile warte było wówczas ludzkie życie? Czy człowiek był wtedy niewolnikiem państwa? W imię czego? Czyżby o losie żołnierzy w tych czasach zdecydowały poglądy Sokratesa? Przecież Ksenofont słuchał nauk starego mędrca... Co sądzili o tym bogowie? Może odwrócili się od tych żołnierzy? Czy w ogóle istnieli? W owych czasach ludzie nie mogli tłumaczyć przeciwności losu istnieniem diabła, a nawet sokratesowego daimoniona. Bo Grecy, o czym zbyt często zapominamy, nie mieli swego diabła! Potwory, tak, oczywiście, choćby ową nieszczęsną Gorgone, której Perseusz uciął głowę. Cerber? To tylko stróżujące psisko. Stymfalijskie ptaki? Rumaki Diomedesa? Dzik erymantejski? Rozprawił się z nimi Herakles. Centaury, faunowie? Można by się z nimi zaprzyjaźnić! Nie było ani jednego stałego antyboga i nawet Tytanów skłonni jesteśmy uznać za przodków aniołów, których Bóg stracił z nieba. Bo przecież zostali zesłani do Tartaru i odtąd nie mogli już sięgać po władzę należną Zeusowi. Grecy, a zatem i ów żołnierz Ksenofonta, żyli własnym życiem, a wszystko, co im się przydarzało, zależało od stosunków między bogami i wielkości składanych im ofiar. Och, Grecjo, kraju, którego pyłu nie zetrze się nigdy z sandałów! Wszystkiego zaznałaś, wszystko zrozumiałaś, wszystko powiedziałaś.

Dziś żołnierze często bywają terrorystami, nikczemnikami, którzy zabijając powołują się na niebiosą (ojczyzna poszła w zapomnienie), a kiedy zostaną schwytani i - co zdarza się rzadko - skazani na śmierć, uznają się za męczenników, walczyli bowiem w imię Wszchemogącego, przeciwko demonowi. Uważam, że naprawdę diaboliczna jest wiara w

diabła, a nie jej brak, chociaż moi nauczyciele, ojcowie jezuici, zapewniali, że diabeł w swej przebiegłości pragnie, byśmy zwątpili w jego istnienie.

Skąd więc wziął się ów sprawca wszystkich nieszczęść tego świata; przecież każde z bóstw, a on należy do ich grona, gdzieś i kiedyś się rodzi? Kim byli jego przodkowie, jak potoczyły się jego dzieje? Czy istniał od początku czasu? Te pytania nurtowały mnie od dzieciństwa. Mam nadzieję, że w tej książce zdołam udzielić na nie odpowiedzi.

Od czasów, gdy byłem dzieckiem, minęło tak wiele lat, że nie zamierzam już demonizować wiary w diabła. Najpotężniejszy lęk, jaki odczuwa istota ludzka, a nawet zwierzę (każdy, kto widział przerażenie kota, który po raz pierwszy spotkał się z psem - zjeżonego, patrzącego szeroko otwartymi oczyma, wie, że zwierzęta również mają swoje diabły), wymaga przeciwstawienia mu się, egzorcyzmów, a przede wszystkim nazwania wroga, jego opisania, i - jeżeli to możliwe - unicestwienia.

Gdy myślimy o olbrzymie Goliacie, bestii z Gevauden, potworze z Aries czy doktorze Petiot*, trudno nam się pozbyć odrazy i nienawiści do nich, ponieważ się ich boimy. Trudno też uniknąć pokusy, by w przyczynie lęku upatrywać źródło wszelkich nieszczęść, a przynajmniej - siedlisko zła. Bo wbrew panującemu powszechnie przekonaniu, człowiek nie jest istotą racjonalną, dąży jedynie do racjonalizmu. W pracy, którą oddaję do rąk Czytelników, chciałbym uniknąć uzasadniania a posteriori przyczyn naszych lęków oraz przyjętych reguł ich klasyfikacji. Wówczas bowiem uczyniłbym z diabła istotę, z którą wiążemy wytwory naszego szaleństwa.

Jest rzeczą oczywistą, że ze względu na zakres poruszanego problemu korzystałem z prac wielu badaczy, o czym świadczą bibliografia i noty krytyczne. Jakże mogłoby być inaczej, skoro próbę poznania diabła mogę podjąć wyłącznie za pośrednictwem tej rozprawy, ponieważ osobiście nigdy go nie spotkałem i nie jestem w stanie przedstawić relacji z pierwszej ręki.

W tym miejscu pozostaje mi wyrazić podziw dla historyków i etnologów, którzy nie szczydzą wysiłku, spisując relacje osób opowiadających o szatanie, a także dla anonimowych skrybów, dzięki którym nie przepadły bez śladu najstarsze pisane dokumenty. Pragnę także podziękować doświadczonej archiwistce i historykowi, pani Annie Latour, za jej nadzwyczajną intuicję, która pomogła mi odnaleźć źródła, na które sam zapewne bym nie trafił, często bowiem nie wiedziałem dokładnie, czego szukam.

Wyniki swej pracy przedstawiam w takiej kolejności, w jakiej prowadziłem poszukiwania, natomiast płynące z niej wnioski zamieszczam w posłowniu.

Ze szczególnym wzruszeniem - nie wstydzę się użyć tego słowa - myślę o etnologach, których praca jest wyjątkowo trudna, przebywają bowiem głównie w terenie, gdzie narażeni są na niewygody i złe warunki klimatyczne, a czasem ryzykują zdrowiem lub nawet życiem. Ponadto trzeba pamiętać, że raz po raz wystawiają swój umysł i emocje na próbę, co powoduje, że niekiedy załamują się i padają ofiarą zwątpienia albo zniechęcenia. Wspomnijmy choćby Malinowskiego, który zraził się do mieszkańców Wysp Trobrianda, czy Leirisa, który w swoim dzienniku wyznaje, że stracił wiarę w Afrykę i Afrykanów. Nie wierzę ani w odrazę Malinowskiego, ani w zniechęć Leirisa, uważam po prostu, że ich znużenie jest skutkiem ogromnego trudu, jaki trzeba podjąć, by przekazać wiedzę o obcej kulturze ludziom wychowanym w innych warunkach, przestrzegającym innych norm.

Nie jestem wprawdzie etnologiem, lecz jako miłośnik podróży miałem okazję ocenić ich wysiłek, gdy ścigany przez rozjuszonych buntowników zabarykadowałem się w pokoju w Port Moresby albo kiedy w Palenque przez całą noc brodziłem w błocie, za jedyne pożywienie mając ciepłą coca-colę i dwa nadgniłe banany, kupione za wygórowaną cenę u miejscowych Indian. Cóż, trudno nazwać te wyprawy turystycznymi! Wówczas, podobnie jak w kilku innych sytuacjach, chyba tylko ze znużenia nie spakowałem walizek i nie wróciłem do Paryża.

Zwątpienie grozi nam nawet wtedy, gdy książka - plon naszych poszukiwań - jest już gotowa, wydrukowana czarno na białym, opatrzona notami. Tyle w niej nadziei. Tyle obaw... Ale i tyle głupstw! I chociaż ludzie, o których opowiada, zasłużyli sobie kiedyś na naszą czułość i gniew, to trudno by nam ich było dziś zrozumieć. Czy naprawdę mamy prawo opowiadać o nich z tak dużego dystansu? A przede wszystkim - czy wolno nam ich

osądzać? Wolno, choćbyśmy nawet ryzykowali przekłamanie, bo równie ważna jak znajomość realiów jest umiejętność chłodnego myślenia. Uprzedzam jednak, że w czasie lektury tej książki Czytelnik łatwo odgadnie moje sympatie i uprzedzenia.

Istnieją różne historie nieba i piekła, natomiast znam tylko jedną historię diabła - L'Histoire du Diable, napisaną w XVIII wieku przez "ojca" Robinsona Crusoe, Daniela Defoe. W jego czasach był to temat ryzykowny, dlatego autor nie podpisał swego dzieła, które, prawdę mówiąc, było raczej zbiorem anegdot i rozmyślań niż historią. Dziś, po upływie dwustu lat, wolno mi chyba "pożyczyć" sobie tytuł tej książki, choć i tutaj wtrącę swoje trzy grosze.

Właściwie historię tworzą tylko realne wydarzenia, tymczasem diabeł nie uczestniczył w żadnym z nich. Można powiedzieć, że był skandalicznie nieobecny w wielkich dniach ostatnich stuleci. Nikt nie widział jego rogów ani ogona podczas rewolucji francuskiej, nie zauważono go też w roku 1917. Nie było go ani w Hiroszynie, ani na Księżycu, ani w pracowni Pasteura, ani w bunkrze Hitlera. Spodziewano się ujrzeć go w Kambodży, za czasów terroru Poi Pota, i w Sarajewie, kiedy kobiety i dzieci ginęły od kul strzelców wyborowych - kiedyś ich sąsiadów i rodaków. W zdarzeniach tych dostrzegamy tylko wyraz ludzkich namiętności - przejawy umiłowania wolności i godności, tęsknoty za szczęściem, jakie daje udział w odkryciach naukowych, oraz nienawiści, do jakiej nie byłoby zdolne żadne zwierzę. Bo zwierzę nigdy nie jest bestią, bestią potrafi stać się tylko człowiek.

Jak zatem napisać historię tego, który nie istnieje? Wyznam, iż Jest to historia w ujęciu fenomenologicznym, w heglowskim znaczeniu tego słowa. Moja praca polegała na analizie relacji zbieranych od tysięcy lat, od czasów, gdy bóg był kobietą, wielką boginią, aż po czasy najnowsze, kiedy starano się usprawiedliwić ludzkie zbrodnie triumfem sił nieczystych, gdy tymczasem mają one siedlisko w umyśle człowieka, a ich obraz został mu wpojony przez społeczeństwo i jego moralność. Zło nie przychodzi z zewnątrz, ono drzemie w nas. Od kilku lat dziennikarze raz po raz ostrzegają, pisząc w nagłówkach gazet o "powrocie diabła". Nie zadają sobie chyba jednak pytania, czy ów diabeł nie jest wytworem zbiorowej wyobraźni. W tej książce pragnę rozszyfrować mechanizmy, za pomocą których człowiek stworzył na swój użytek diabła i wciąż tworzy Golema, znajdując upodobanie w filmach grozy pełnych międzygalaktycznych potworów. Ponieważ istota ludzka kocha się bać.

Na zakończenie proszę Czytelnika, być może "pełnego hipokryzji", jak twierdził Baudelaire, by zwrócił się w stronę Grecji, błagając o łaskę poznania przed nazwaniem, zrozumieniem przed wydaniem sądu, a także - o niepoddawanie się lękowi. Niechaj nie boi się tych, których nazywamy bogami lub demonami. Przecież nawet Ulisses, jak twierdzi Homer, w zmaganiach z nimi uciekał się do podstępów.

Dziwne demony Oceanii

O Oceanii sprzed niewielu lat i o tym, jak mało zmieniła się od stuleci - O tym, jak trudno dowiedzieć się, czym były pierwsze religie ludzkości - Kilka podstawowych informacji z zakresu antropologii i etnologii - O Wyspie Wielkanocnej, na którą diabeł nie dotarł - O Wyspach Trobrianda według Malinowskiego - O Australii i o tym, jak niebezpiecznie jest szukać tego, co powinno się znaleźć

- O nieobecności zła w życiu seksualnym mieszkańców Oceanu
- O Yami z Irali, dla których demony są bogami - O plemieniu Nagów z Asamu oraz ich amoralnych demonach - O nieobecności diabła, księcia zła, w Oceanii

Najpierw trzeba opowiedzieć o sobie. Diabła nie szuka się bez powodu ani byle gdzie. Każdy, kto go szukał, pamięta, gdzie go nie znalazł, choć nie pamięta przecież, ile razy dzwonił do czyichś drzwi i nie zastał gospodarzy. Ja na przykład nie spotkałem go na Pacyfiku ani w Afryce. Swoją opowieść zacznę od poszukiwań w pierwszym z tych miejsc, bo zdobyte tam doświadczenia były dla mnie najbardziej zaskakujące.

Ocean Spokojny wywołuje w Europejczyku pewien zamęt, i to w znaczeniu przypisywanym angielskiemu odpowiednikowi tego słowa - confounding - implikującym

chaos i destabilizację. Kiedy w latach siedemdziesiątych wyruszałem z Los Angeles w spokojną podróż po tej części świata, miałem za przewodników jedynie krytykowane później dzieło Margaret Mead, *Coming of Age in Samoa*, oraz prace Malinowskiego o Wyspach Trobrianda. Czas spędzony na Hawajach wspominam jako uroczne, choć nic nie znaczące chwile. Honolulu wydało mi się eksportową wersją Miami, gdzie gołębie były tak naiwne, że dziobaty plastikową trawę przed Royal Hawaiian Hotel na Waikiki Beach. Miami i Oahu oddały się bez reszty na usługi turystów; to jeszcze nie jest Pacyfik. Parę dni później, o świcie, przybiłem do brzegów Pago-Pago, "stolicy" archipelagu Samoa zwanego "amerykańskim", dawnego "archipelagu Żeglarzy" Ludwika Antoniego de Bougainville'a. Jedyne znośny hotel na tej wyspie to Rainmaker, "Ten, który czyni deszcz", przestronna szopa z szarego drewna otoczona mniejszymi, zaatakowanymi przez korniki chatkami. Podobno w jednej z nich Somerset Maugham napisał *Rains*. Obsługa w tym hotelu składała się tylko z kobiet - roślących, w typie baudelairovskim, zawsze uśmiechniętych.

Błyskawicznie rozpakowałem najpotrzebniejsze rzeczy, a ponieważ do kolacji została jeszcze godzina, postanowiłem wybrać się na małą przejażdżkę taksówką. Rozklekotany pojazd, który zużyciem amortyzatorów górował nawet nad osławionymi taksówkami z Hawany, raz po raz przechylał się ku morzu, to znaczy - ku przepaści. Wlekliśmy się straszliwie, zwłaszcza dojeżdżając do położonej w pobliżu hotelu wioski, gdyż na drodze zebrał się tłum świętujących ludzi. Wśród nich znajdował się ich wódz. Na twarzy tego przystojnego pięćdziesięcioletniego mężczyzny z obnażonym, potężnym torsem malowała się powaga; siedząc na macie, przewodził ceremonii. Z pobieżnych opisów wiedziałem co nieco o tej uroczystości. Mieszkańcy wioski wręczali wodzowi maty, a on dotknięciem pulchnego, lecz wrażliwego kciuka i spojrzeniem dużych, przypominających migdały oczu oceniał ich jakość. Największą wartość miały te o mocnym splocie - słynne fine mats, opisywane przez antropologów. Taka mata to upominek cenny i zarazem symboliczny, bo czas poświęcony na jej utkanie świadczy o szacunku, jakim ofiarodawca darzy obdarowanego.

Zaledwie o dziesięć godzin lotu od Los Angeles, od Hollywood, od celuloidowego świata uludy i hałaśliwych dyskotek życie toczyło się jak w minionym stuleciu. A może jak przed wiekami.

Takie chwile najpierw się przeżywa, potem dopiero przychodzi refleksja. Wiem jednak, że już wtedy uległem czarowi Pacyfiku. Nieco później zacząłem przypominać sobie dawnych podróżników, powróciłem myślą do znakomitego *Supplement au voyage de Cook* Diderota i do wszystkich "dobrych dzikusów", którzy zaistnieli w mitologii XVIII stulecia. Ani "dzicy", ani "dobrzy" w znaczeniu "naiwnego prostaczka", jakie nadaje się temu słowu od czasów Rousseau, ale po prostu kobiety i mężczyźni, może nie skażeni tak bardzo jak my arogancją technokratów i merkantylizmem. Kiedy po raz pierwszy dotarłem na Pago-Pago, jedyny chyba odbiornik telewizyjny znajdował się w hotelu, a jakość obrazu szybko zniechęciła mnie do szukania na jego ekranie nowin ze świata. Na wyspach Pacyfiku czas płynie w szczególny sposób. Gdyby któregoś dnia nastąpił koniec świata, ich mieszkańcy dowiedzieliby się o tym dopiero nazajutrz.

Archipelagi Oceanu Spokojnego w jeszcze większej mierze niż pewne obszary Afryki - urzekające naturalnością, wolne od fałszu i zakłamania naszej cywilizacji, a zwłaszcza owej sztucznej nagości, którą demonstrujemy na plażach i w nocnych lokalach - okazały się zadziwiająco odporne (tak było w każdym razie wtedy, kiedy tam gościłem) na wpływy Zachodu. Przybysz nabierał pewności, że w tym zakątku świata od bardzo dawna nic się nie zmieniło. Ani teflonowe patelnie sprzedawane w sklepiku w Appia w zachodniej części archipelagu Samoa, ani plastikowe kosze w rękach gospodyń z Nandi na Fidżi, ani nawet radia tranzystorowe bogatych dzieciaków z Tonga, ani kilka starych samochodów z Port Moresby, ani biustonosze "Mirabelle" na Markizach, wprowadzone przez surowego biskupa, na pewno niczego nie zmieniły. Jeżeli na Nowej Gwinei-Papui nie poczęstujemy kogoś, kto o to prosi, papierosem, damy mu istotny powód do zgładzenia osoby tak rażąco skąpej i samolubnej. Na Fidżi ciężką obelgą, jaką jest odrzucenie propozycji o charakterze erotycznym, usprawiedliwić może jedynie niewiedza i brak obycia cudzoziemca. W Port Moresby zawsze miałem przy sobie dwie paczki papierosów, na Fidżi...

Powinienem chyba wyznać, że ten rozdział nie jest w pełni obiektywny, ponieważ kocham wyspy Oceanu Spokojnego. Lecz bez miłości lub nienawiści nie można napisać właściwie niczego.

Pokochałem Pacyfik, bo tu odnalazłem człowieka, którym mógłbym się stać. Zachwycała mnie również niesłychana godność i władcza postawa mamki ostatniego króla, matrony, która dogląda jadalni w kwitali. Oczarowała mnie farandola, którą tańczyły kobiety z Rainmakera, podając mi langustę tego wieczoru, gdy szalał tajfun, bawiły zręczne krętaactwa handlarza oferującego wyroby papuaskich artystów, którego spotkałem w pobliżu Port Moresby, gdy szukałem przedmiotów związanych z kultem cargo. Jaki uroczy był dzieciak z Tonga, który pouczył mnie na plaży, gdy zamierzałem właśnie wejść do wody, że religia zabrania kąpieli w niedzielę, i na pociechę podarował gałązkę migdałowca. Nie zraził mnie nawet krwiożerczy uśmiech Papuasa, ubranego jedynie w pióra, gdy ten chwycił mój aparat fotograficzny i powiedział, że powinienem raczej użyć obiektywu zmiennoog-niskowego, jeśli chcę robić zdjęcia panoramiczne. Z przyjemnością wspominam roślinożerne nietoperze, które widziałem w klatce

Muskali, pluszowe niedźwiadki o złocistym futrze, śpiące ze zwieszonymi w dół łebkami w czarnych kauczukowych parasolach i "zajadające" banany, wielkopański gest pewnego młodzieńca z Markizów, który oddał mi swojego wierzchowca, bo zauważył, że ledwie dyszę, wspinając się po stromej ścieżce, smętny uśmiech taksówkarza z Auckland w Nowej Zelandii, który zapytany o powód tego smutku, odpowiedział zagadkowo:

"Jestem Maorysem", jakby to wyjaśniało wszystko. Zauroczyły mnie samozańskie domy, w których za dnia zwija się pełniące rolę ścian maty, bo przecież uczciwi ludzie nie mają nic do ukrycia (rzeczywiście, nawet rozbierali się bez skrępowania), troskliwość papuaskiej pokojówki, która w Port Moresby, gdzie obowiązywało coś na kształt stanu wyjątkowego, przyniosła mi kwiaty do pokoju, bo tego wieczoru, gdy przed moimi oknami trwała potworna strzelanina, nie bez powodu wydałem się jej zaniepokojony...

Oceania to świat prastarej delikatności, wyrosłej z archaicznego porządku, zgodnie z którym tylko ten był pociągany do odpowiedzialności, kto świadomie naruszał obowiązujące rytuały, a przybysza witano z otwartymi rękami, nie okazując mu "anielskiej dobroci" ani politowania...

Świat Pacyfiku jest zatem bardzo stary. Wydaje się, że warto tu szukać źródeł zła, a więc i obecności diabła.

Można chyba przyjąć, że jako pojęcie abstrakcyjne zło istniało zawsze. Trudno oprzeć się pokusie, by o wszelkiego rodzaju cierpienie, ból, nieszczęścia, wypadki, a także śmierć oskarżać siłę wyższą. To rozumiały, że ową siłę uznaje się za "ducha", to znaczy istotę, wobec której człowiek pozostaje bezsilny, a od czasu wynalezienia pisma nazywa się ją bogiem. Jesteśmy zatem skłonni przyjąć, że w swej pierwotnej naiwności, która nie pozwalała mu dostrzec sprzeczności ani subtelnych różnic, potomek Kaina wyobraził sobie wielkiego ducha zła, przodka diabła, i jego obarczył winą za swe cierpienia. Chętnie dalibyśmy wiarę, że przed tysiącami lat przerażony lawinami, burzami, trzęsieniami ziemi, atakami dzikich zwierząt, pożarami lasów, śmiercią najbliższych, człowiek stworzył ideę demona zła, sprawcy tych wszelkich nieszczęść.

Pamiętajmy jednak, że to tylko hipoteza, ponieważ o religii pierwszych reprezentantów gatunku ludzkiego, to znaczy neandertalczyka, który pojawił się przed około osiemdziesięcioma, a zniknął przed około trzydziestu pięcioma tysiącami lat, oraz człowieka kromaniońskiego, naszego bezpośredniego przodka, który przez pewien czas współistniał z ginącymi neandertalczykami, a potem zajął ich miejsce, nie wiemy właściwie nic. To prawda, że za istnieniem uczuć religijnych w tym okresie przemawia znana nam forma pochówku. Także duża różnorodność symboli graficznych, zwłaszcza tych, które przedstawiają słońce, żeńskie i męskie narządy płciowe, boga burzy i boginię płodności, świadczy o sakralizacji sił witalnych. Jednak na podstawie danych, które posiadamy, nie można dokonać daleko idących rekonstrukcji. Brakuje nam tekstów, nie znamy opowieści plemiennych starszyzny oraz czarowników i szamanów, którzy - jak zapewne wierzone - umieli leczyć i pośredniczyć w kontaktach z bogami. Nie wiemy, o czym rozmawiano podczas zgromadzeń klanów i plemion ani co dawało początek mitom.

Prehistoria jest bardzo mocno zmitologizowana. Jeden z jej najwybitniejszych badaczy, Andre Leroi-Gourhan przestrzega, że wszystko, co dotyczy religii tamtej epoki, "okryte

jest gęstą mgłą". Bezkrytycznie powołano na przykład do życia "kult szczątków ludzkich" i "kult niedźwiedzia", gdy w pierwszym przypadku "można snuć jedynie nie potwierdzone przypuszczenia", w drugim zaś "mamy do czynienia tylko ze skłonnością do tworzenia przypadkowych konstrukcji, mieszających prawdę i fałsz z tak wielką łatwością, że po trzech wiekach prac i dziesiątkach odkryć dyskusja pozostaje otwarta" *. Próby odgadnięcia, które zwierzę stało się symbolem zła, nie mają sensu; koń, bizon, koziorożec, tur, renifer, mamut, wąż, ryba, drapieżny kot, każde z tych rytych często w kamieniu stworzeń mogło być jego ucieleśnieniem. O "człowieku prehistorycznym" (jakże nieprecyzyjne jest to określenie, zarówno pod względem etnicznym, geograficznym, jak i chronologicznym) możemy powiedzieć tylko, że znana mu była religia, której struktura i detale nam się wymykają.

Wbrew temu, co przeczytać można w literaturze fantastycznej, czerpiącej inspirację z odkryć neolitycznych budowli - megalitów, menhirów i dolmenów, które niegdyś duchowni uznawali za dzieło diabła - kult z nimi związany pozostaje dla nas tajemnicą, podobnie jak leżące u jego źródeł wierzenia. Pewnych wskazówek dostarcza usytuowanie tych budowli, odnoszące się zapewne do przesilenia i zrównania dnia z nocą, co wydaje się przemawiać na rzecz kultu Słońca. Jednak odpowiedzialny historyk nie odważy się na wysuwanie pochopnych wniosków².

Uwagę badacza diabelskiego rodowodu przyciągają pewne wskazówki, których dostarczają znaleziska z okresu środkowego paleolitu i neolitu, to znaczy sprzed 60000-8000 lat, przede wszystkim zaś znacznie liczniej zachowane przedmioty z epoki brązu. Otóż wszystkie przedmioty kultu mają wyraźny związek ze wspomnianymi wcześniej symbolami życia. Wydaje się, że uczucia religijne pierwszych ludzi zwracały się ku życiu, przede wszystkim zaś ku Słońcu, często utożsamianemu z Wielkim Myśliwym, który pędził konno po nieboskłonie; obrzędy były przejawem jego afirmacji. "W dużej części Europy środkowej, wschodniej i północnej »część oddawana Słońcu jako istocie boskiej zdaje się być dominującą cechą postawy człowieka wobec zjawisk nadprzyrodzonych«", pisze Green³. Wydaje się, że negatywny obraz bosko-

ści, uosabiany przez diabła, jeszcze wówczas nie istniał. Oznacza to, że wbrew postawionej wcześniej hipotezie, lęk przed ziemią nie przybrał tak konkretnej formy, jak afirmacja życia.

Z wielu powodów należy także ostrożnie podchodzić do "modernistycznych" czy też europejskich interpretacji. W doskonałej Historii wierzeń i idei religijnych⁴ Mircea Eliade mówi o "kobiecych figurkach znalezionych w Palestynie, pochodzących z okresu określanego na około 4500 lat przed Chrystusem", "przedstawiających przerażający i demoniczny aspekt Bogini- Matki". Z całą pewnością człowiekowi współczesnemu posądkami odnalezionymi w Munhata wydać się mogą niepokojące. Czy jednak tak samo jawiły się tym, którzy na nie patrzyli przed wiekami i tym, którzy je wykonali? Co o tym tłustym - wedle naszej oceny

- monstrem, o tych zwałach ciała myśleli ludzie z epoki mag-daleńskiej? Widzieli w nim symbol płodności czy może ideał piękna? Co w tamtych czasach było piękne? Ich wyobrażenia na pewno różniły się od naszych, tak odmiennych od chociażby dziewiętnastowiecznych. Niezliczone przedstawienia kobiecego piękna w sztuce Afryki Europejczycy mogli wydać się równie odrażające jak sztuka Azteków konkwistadorom. Wszystko jest kwestią ustaleń i nawyków. Przecież w XX wieku ludzie uznali za piękne obrazy Picassa.

Podobnie rzeźby i malowidła odkryte w prehistorycznych osadach sprzed ośmiu, dziesięciu tysięcy lat, takich jak Hačilar, Catal Hiyyik czy Tell-Halaf, nie pozwalają ustalić, jak wyglądały wierzenia i obrzędy ludów, które uwieczniały tam postacie kobiet, byków i sceny z życia codziennego. Eliade przyznaje zresztą w związku ze znalezieniem dużych ilości czaszek, m.in. w Bawarii i Wirtembergii, że nie sposób ustalić, czy należały one do osób zmarłych śmiercią naturalną, a następnie z nie znanych nam przyczyn pozbawionych głów (wydaje się, że chciano w ten sposób zapewnić sobie ich stałą obecność wśród żywych, jak w Melanezji, gdzie takie czaszki często pokrywa się gliną, aby nadać im pozór życia), czy też zamordowanych przez łowców głów albo ludożerców.

Metoda "paraleli etnologicznych", na którą powołuje się Eliade, jest dyskusyjna jako sposób poznania wierzeń z najdawniejszych czasów na podstawie ich fragmentów

zachowanych we współczesnych religiach "prymitywnych", nic bowiem nie pozwala stwierdzić, że owe elementy nie uległy na przestrzeni dwóch tysiącleci przemianom, i to nawet wielokrotnym. Z całą pewnością możemy przecież powiedzieć, iż katolika schyłku XX wieku wiele dzieli i różni od chrześcijanina z okresu soboru nicejskiego.

Uważam, że moim obowiązkiem jest potępienie już w pierwszym rozdziale tej książki nadużyć europocentryzmu, który narzucał (i wciąż jeszcze narzuca) poznawanemu światu przeszłości i teraźniejszości schematy interpretacyjne tylko jednej, to znaczy własnej, kultury. Europa długo uważała się za spadkobierczynię myśli hellenistycznej (w rzeczywistości była jej raczej wroga), następnie przyjęła chrześcijaństwo, aż w końcu stała się zwolenniczką myślenia technokratyczno-pozytywistycznego. Europa, która nauczyła się używać prochu długo po tym, jak wynaleźli go Chińczycy, która wynalazła maszynę parową ponownie, po Hero-nie z Aleksandrii (I w. p.n.e.), następnie zaś oswoiła siły drzemiące w atomie, narzuciła reszcie świata swoje poczucie wyższości, dotyczące w takim samym stopniu dokonań z przeszłości, jak i obecnych. Wydaje się, że pomyliliśmy w ten sposób postęp techniczny z rozwojem filozofii, która z natury rzeczy nie ewoluuje.

Pisząc tę książkę, korzystałem z prac z zakresu antropologii i etnologii, dyscyplin, które pomogły nam znacznie rozszerzyć nasze horyzonty i powściągnąć skłonność do uznawania Europy Zachodniej za pępek świata i oś jego dziejów. Te dwie dziedziny nauczyły mnie także większej pobłażliwości i tolerancji. W fundamentalnym dziele z zakresu antropologii "La Mentalite primitive" Lucien Levy-Bruhl napisał w roku 1922 zdania, które po siedemdziesięciu latach budzą mieszane uczucia. Wypowiadając się na temat znaczenia snów w kulturach prymitywnych (zaznaczmy, że jego poglądy wywarły ogromny wpływ na sposób rozumienia tych kultur), stwierdził, że Maorysi z Nowej Zelandii, Indianie z Ameryki Północnej, aborygeni z Australii, Batakowie z Sumatry i inni przywiązują ogromną wagę do snów, które są dla nich równie realne, jak rzeczywistość. Powołując się na opowieści misjonarzy, stwierdza, że "dzicy" nawracają się często pod wpływem snów. "Często, kiedy wszelkie wysiłki misjonarza zmierzające do nawrócenia tubylca okazują się daremne, nagle nakłania go do tego sen, zwłaszcza jeżeli ów sen powtarza się wielokrotnie", relacjonuje Levy-Bruhl, jakby chodziło tu o specyficzną cechę "dzikich". A dalej pisze: "Jest to jedna z przyczyn uznania tej mentalności za prelogiczną", tworząc w ten sposób jedno z kluczowych pojęć antropologii, użyte później przez Levi-Straussa w Myśli nieoswojonej.

Warto byłoby zapoznać się z wnioskami "współczesnego" antropologa, który odkryłby, że część naszych prezydentów i ministrów nie potrafi podjąć ważnej decyzji bez zasięgnięcia opinii wróżek i astrologów, i który oszacowałby liczbę horoskopów podsuwanych dzień w dzień przez media milionom Europejczyków: "Waga. Miej się na baczności, dzień może przynieść niemiłe niespodzianki!". Czyją umysłowość należałoby wówczas uznać za "prelogiczną"?

Mentalność "prelogiczną" zostanie następnie w dziele Levy-Bruhla, a potem we współczesnej antropologii uznana za specyficzną cechę ludów "prymitywnych", zasadniczo różniącą się od myślenia logicznego, przypisywanego kulturom na wyższym poziomie technicznym. Co zatem należy sądzić o tym, że pewna dyscyplina naukowa, która zyskała znaczącą pozycję we współczesnym świecie - mam tu na myśli psychoanalizę - przywiązuje wielką wagę do interpretacji snów? Do czego doszliśmy, skoro kandydaci do pracy na pewnych stanowiskach administracyjnych zmuszeni są korzystać z usług psychoanalityków? Może należałoby wyciągnąć z tego faktu wniosek, że cywilizacje technokratyczne cofnęły się do poziomu myślenia "prelogicznego"? A może fantazje pacjentów leżących na czarnych kozetkach, skryte myśli ubiegających się o posadę mają jakieś szczególne znaczenie, inną wartość? Levy-Bruhl podkreśla jednak, że "dzicy" nie ulegają wszystkim snom i że "Kafrowie, jak wszystkie ludy kierujące się w swych poczynaniach snami, nauczyli się rozróżniać sny dobre i złe, a także prawdziwe i kłamliwe".

Zapewne za czasów Levy-Bruhla politycy we Francji oraz innych krajach nie mieli zwyczaju - jak to robił wspomniany przeze mnie Ronald Reagan - zasięgać ukradkiem porad wróżbitów w sprawie niektórych decyzji politycznych.

Nieco wcześniej Levy-Bruhl podał jako typowy przejaw myślenia "prelogicznego"

(posłużył się tu wdzięczną peryfrazą, mówiąc o "operacjach myślowych Indian") wiarę Indian Lenguas z Grań Chaco we wszechobecność, to znaczy w możliwość przebywania tej samej osoby równocześnie w wielu, czasem bardzo odległych, miejscach. Nasuwa się pytanie, czy Levy-Bruhl czytał żywoty świętych, którym oddawano cześć w jego zachodnioeuropejskiej parafii, czy słyszał o świętej Brygidzie Szwedzkiej i świętej Teresie z Avila, które lewitowały wysoko nad ziemią, o nieszczęsnym świętym Jerzym, który zabił smoka i za ten niezwykły czyn został wykreślony z kalendarza kościelnego. Levy-Bruhl, który zmarł w roku 1939, nie mógł przewidzieć, że niewiele tylko od niego młodszy Padre Pio (zmarł w roku 1968), którego kult zalecił wiernym już w 1970 roku papież Paweł VI, zwrócił na siebie uwagę właśnie ową potwierdzoną przez świadków zdolnością do przebywania w kilku miejscach równocześnie¹.

Interpretacje Levy-Bruhla wprawiają w zakłopotanie, zmuszają bowiem do zastanowienia się, dlaczego myślenie "prelogiczne" miałyby być cechą "dzikich" i czym wiara Indian z Grań Chaco we wszechobecność różni się od wiary współczesnych Włochów w analogiczne zjawisko. Rozdział tej książki poświęcony religiom Afryki powinien wyjaśnić nieporozumienia dotyczące pozornie "prelogicznego" charakteru myśli archaicznej. Chociaż myślenie to jest w swej istocie religijne, nie znaczy wcale, że Maorys czy Indianin z Grań Chaco jest niezdolny do odróżnienia zwierzęcia, o którym śnił, od tego, które widzi na jawie.

Omówienia wymaga także wiele innych poglądów, które utrzymują się w antropologii. Levi-Strauss na przykład twierdzi, że monoteizm sprzyjał rozwojowi myślenia logicznego i techniki⁸. Ta opinia na pierwszy rzut oka skłania do bliższego przyjrzenia się historii nowożytnej Europy. Zaraz jednak nasuwa się pewna wątpliwość: nie można przecież powiedzieć, że myślenie logiczne było obce politeistycznym Grekom, w których ojczyźnie rozwijała się nauka i technika, gdzie w III w. p.n.e. Eratostenes obliczył z dokładnością do tysiąca kilometrów długość południka ziemskiego, a w I w. p.n.e. Heron z Aleksandrii wynalazł maszynę parową. Chiny, które bez wsparcia monoteizmu doprowadziły logiczne myślenie do rozkwitu, przodowały w nauce i technice. Już w IV stuleciu p.n.e. Chłczycy używali oświetlenia gazowego, w XIII wieku zaś produkowali pociski. Politeistyczna Japonia wyprzedzała i nadal pod wieloma względami wyprzedza monoteistyczną Europę. Należy zatem odpowiedzieć sobie na pytanie, czy przytoczone tu poglądy nie wynikają z europejskiego poczucia wyższości nad "dzikimi", za których łatwo uznaje się i Greków, i Chińczyków.

Skoro wspominałem już o tych uprzedzeniach, pozostaje mi mieć nadzieję, że Czytelnika nie zdziwi brak odwołań do pewnych koncepcji szczególnie cenionych przez antropologię współczesną (jeżeli inna w ogóle istniała), jako że każda religia, objawiona czy archaiczna, jest w pewnym sensie "prelogiczna"⁹. Wiedza o kulturach, które nie znały pisma, pozwala nam wnioskować jedynie, że religia pełniła w nich funkcje społeczne. Pochodzące z początku XX wieku prace Emila Durkheima, a przede wszystkim jego najdonioślejsze dzieło *Elementarne formy życia religijnego*. System totemiczny w Australii, udowodniły w oczywisty sposób, że religia jest jednym z fundamentów kultury. Idea ta pozostaje wciąż żywa i płodna. Konieczność stawienia czoła lub szukania ugody z groźnymi potęgami, z siłami nieznanymi, a zatem nadprzyrodzonymi (zgodnie z logiką neandertalczyka i kromaniończyka) - błyskawicami, piorunami, powodziami, wichurami, dzikimi zwierzętami, mocami drzemiaczami pod ziemią lub bardziej abstrakcyjnymi, jak płodność, choroba, szczęście w polowaniu i w walce - daty początek zorganizowanym praktykom religijnym, to znaczy legły u źródeł rytuałów. Rytuał wymaga podziału ról, nie można bowiem pozwolić słabej jeszcze jednostce, by samotnie lub w sposób przypadkowy pośredniczyła między klanem lub plemieniem i ową nadprzyrodzoną potęgą. Wydaje się, że wstawiennictwo, zapewne poparte ofiarami, przybierało rozmaite formy, w zależności od tego, do którego z bóstw zwracał się pośrednik - boga ognia czy na przykład boga wody. Kontakt z bogami nawiązywano w określonym momencie, niekiedy w sytuacjach wyjątkowych¹⁰.

Pomiędzy ludźmi i bóstwami mogła pośredniczyć tylko osoba do tego uprawniona, ten, kto posiadał władzę - wódz klanu lub plemienia - albo osoba obdarzona mocą magiczną - szaman, który znał sekrety ziół i rozmaitych substancji oraz potrafił rozszyfrować znaczenie takiego czy innego splotu okoliczności. W pierwszym przypadku następuje

utożsamienie kapłana z kro-lem, w drugim - rozdział tych dwóch spośród trzech wyodrębnionych przez Dumezila funkcji (nie wydaje się możliwe, by istniało już wówczas rozróżnienie funkcji króla i wojownika, ponieważ przywódcy klanów czy plemion byli zarazem wojownikami).

Można powiedzieć, że na tym etapie religia była już tym, czym miała na zawsze pozostać - odbiciem wierzeń i przekonań zbiorowości, doświadczeń wspólnoty, a także "polityki" uprawianej przez nią wobec świata realnego. Na przestrzeni tysiącleci ta "polityka" niewątpliwie ulegała przemianom, dostosowywana do warunków życia i liczebności grupy. Wiele obrzędów zniknęło na zawsze wraz ze swoimi wyznawcami, a na ich miejsce pojawiły się inne, jak choćby kult cargo w Oceanii.

Dlatego aktualna forma najdawniejszych religii, poprzedzających niekiedy o tysiąclecia narodziny wielkich religii monoteistycznych, nie może być podstawą do analizy pierwotnych wierzeń. Nawet jeśli założymy, że społeczeństwa zwane pierwotnymi żyją z powodu swej izolacji i prymitywnej technologii poza historią, trzeba przyznać, że mogły jednak zmieniać się z powodu migracji, wojen, epidemii, czy też pod wpływem kataklizmów przyrodniczych, na przykład erupcji wulkanów. Nie sposób porównywać sytuację historyczną ludów Nowej Gwinei z sytuacją mieszkańców kontynentów, którzy wędrowali po dużych, otwartych przestrzeniach, bogacących się dzięki handlowi, dokonujących najazdów, ale i narażonych na podboje. Nie można jednak utrzymywać, że plemiona Papuasów są obecnie takie, jak w epoce kamienia11., Po pierwsze dlatego, że nie wiemy, jak wyglądało ich życie w tej! zamierzchłej przeszłości, po wtóre zaś dlatego, że wydaje się wątpliwe, by gdziekolwiek czas stał w miejscu. Możemy jedynie przypuszczać, że społeczności te, a zatem także ich religie,! zmieniały się znacznie wolniej niż kultury mieszkańców koń-' tynentów. Stąd założenie, że skoro ludy prymitywne zachowały | pewne zwyczaje i obrzędy w postaci zbliżonej do pierwotnej, to ich obserwacja daje nam szansę na rozwiązanie zagadek odległej przeszłości.

Wydaje się, że właśnie w ten sposób możemy poznać przeszłość Oceanii, skoro dzisiejsza Nowa Gwinea-Papua została zaludniona przed około czterdziestu tysiącami lat, a także religii afrykańskich, ponieważ badania paleoantropologiczne dowodzą, iż właśnie na Czarnym Łądzie pojawił się najstarszy przedstawiciel naszego gatunku, nasz prawdziwy przodek - Homo sapiens sapiens. Nie mamy oczywiście pewności, że te religie, bez wątpienia tkwiące korzeniami w czasach prehistorycznych, przetrwały do dziś w nie zmienionej postaci. A to dlatego, że religia stanowi żywy element kultury i jako taki podlega szybszym lub wolniejszym przemianom, a także dlatego, że o ich pierwotnej postaci nic nam nie wiadomo.

Zacznijmy od Wyspy Wielkanocnej, dziś nazywanej także Rapa Nui, która wyłoniła się z morza kilkadziesiąt tysięcy lat temu w wyniku erupcji wulkanów. Odkrył ją przez przypadek w roku 1687 zbłąkany korsarz, Edward Davis, lecz dla żeglarzy pozostawała tylko niedostępną "Ziemią Davisa" aż do roku 1722, kiedy dotarł tam Holender Jacob Roggeveen. Potem wyspa znów popadła w zapomnienie do czasu, gdy w roku 1770 natrafiła na nią wyprawa pod wodzą wicekróla Peru.

Przykład Wyspy Wielkanocnej, która zamieszkała była przypuszczalnie już w IV w. p.n.e., pokazuje, czym grozi zbyt pochopne wyciąganie wniosków, nawet gdy wydają się one szczególnie przekonujące, oraz jak trudno jest odtworzyć rodowód mitów. Wśród atropologów12 długo obowiązywał pogląd, że pierwsi mieszkańcy wyspy przywędrowali z dwóch przeciwnych kierunków - jedna fala przybyszów napłynęła niewątpliwie z Polinezji, o czym świadczą polinezyjskie źródła ich języka, druga natomiast miałaby pochodzić z zachodnich wybrzeży Ameryki Południowej, być może z Peru. Za taką hipotezą przemawiają niektóre cechy fizyczne ludności, sławne posągi oraz wpływ}' językowe. Posągi rzeczywiście przypominają te, które na terenie Peru wzniosł nieznany lud w okresie historycznym zwanym twhuanaco. Thor Heyerdahl wysunął więc hipotezę, że właśnie stamtąd pochodzi cywilizacja Wyspy Wielkanocnej, choć ani prądy morskie, ani wiatry nie sprzyjają migracjom z tego kierunku. Pomimo to jego poglądy znalazły wielu zwolenników i jeszcze w latach dziewięćdziesiątych uważane były za najbardziej przekonujące.

Lecz w roku 1992 dwaj antropolodzy, Bahn i Fleniey, obalili tę koncepcję. Po pierwsze na wyspie dominuje roślinność, jaką spotyka się w południowo-wschodniej Azji i na

Polinezji. Przepuszczano wprawdzie, że przynajmniej jeden gatunek trzciny, totora, pochodzi z Ameryki Południowej, jednak badania śladów pyłku dowiodły, że roślina ta pojawiła się na Rapa Nui trzydzieści tysięcy lat temu, a zatem na długo przed powstaniem cywilizacji andyjskich.

Ponadto badania antropologii fizycznej wykazują, że budowa czaszek oraz uzębienie mieszkańców wyspy są typowo polinezyjskie i nie przemawiają na rzecz pokrewieństwa z ludami andyjskimi. Natomiast z punktu widzenia lingwistyki tubylczy język jest bliski rodzinie języków polinezyjskich, nie zaś południowoamerykańskich. Tajemnicze tabliczki rongorongo, ze względu na ich zawartość i sposób wykonania, również wydają się bliskie Polinezji.

I wreszcie słynne monumentalne rzeźby, w których Heyerdahl widział wpływ cywilizacji tiahuanaco lub preinkaskiej kultury megalitów, można równie dobrze łączyć z tradycją monumentalnych budowli i posągów z Markizów, Tahiti i Tonga¹³. Należało więc zdać się raczej na opinię kapitana Cooka, który w roku 1774 rozpoznał mowę tahitańską, gdy tylko pierwsi tubylcy z Wyspy Wielkanocnej odezwali się do niego.

Rapa Nui została zatem zasiedlona głównie, jeśli nie wyłącznie, przez Polinezyjczyków, którzy dotarli tam przed tysiącami lat. Zresztą to właśnie polinezyjscy żeglarze skolonizowali większość wspaniałego Pacyfiku, obszaru liczącego trzydzieści milionów kilometrów kwadratowych, dokonując w ten sposób jednego z największych wyczynów w dziejach żeglugi morskiej. Dlatego my, Europejczycy, dumni z sukcesu Kolumba, powinniśmy powściągnąć nieco pychę i oddać sprawiedliwość brawurze tych śmiałków, których setki wpływały na kruchych łodziach, by zdobyć nieznaną ziemię.

Odizolowana już wówczas, gdy pojawili się tam pierwsi przybysze, Wyspa Wielkanocna jest idealnym laboratorium do badań nad ewentualnym kształtowaniem się idei diabła. Dlatego proponuję, byśmy właśnie stąd wyruszyli w naszą podróż w czasie i przestrzeni i tu rozpoczęli poszukiwania diabelskiej genealogii.

Bez względu na to, czy na Wyspie Wielkanocnej przeważały wpływy Wschodu czy Zachodu, można by się spodziewać, iż odnajdziemy tu ślady istniejących przed wiekami koncepcji zła. Alfred Metreaux, który zawitał na Rapa Nui w roku 1934, a więc na długo przed falą zwabionych egzotyką tego miejsca turystów, pisał, że tubylcy czczą jednego potężnego boga, Makemake, "prawdziwego atua i stwórcę świata". To jego imię usłyszeli pierwsi chrześcijańscy misjonarze, jednak kult ten uległ zapomnieniu po rzezi tubylczych kapłanów z roku 1862¹⁴.

Makemake nie był naturalnie jedynym bogiem miejscowego panteonu; należeli do niego także Rongo, Ruanuku, Atua-metua (bóg-ojciec) i wielu innych, dziś już zupełnie nieznanymi. Bogowie ci płodzili liczne potomstwo, a ich poczynania bywały czasami zaskakujące. Na przykład ze związku Boga o Straszliwym Obliczu z Bogiem Szczerości powstały małe zatoczki zwane poporo, a Zagajnik z Pniem dali początek drzewu marinkuru.

Chociaż istnienie najwyższego atua Makemake pozwala sądzić, iż miał on godnego siebie przeciwnika, to jednak rzecz ma się zupełnie inaczej. Metreaux zanotował, że "wszystkie istoty nad- przyrodzone nazywa się tu bez różnicy akuaku lub tatane, stowem utworzonym od imienia "szatan" (mamy tu do czynienia z typowym przypadkiem europejskich wpływów na inną kulturę, który powinien nas skłonić do traktowania z większą ostrożnością danych zgromadzonych przez antropologów). Trudno jednak uwierzyć, że do tej samej kategorii mieszkańcy Rapa Nui zaliczają złośliwe, bezcielesne istoty oraz dobroczynne duchy, które często spieszą ludziom z pomocą. Jeden tatane nie istnieje, a lista imion tych istot sporządzona za czasów Metreaux, choć nie jest kompletna, zawiera ich co najmniej setkę, ponieważ bóstwo może pojawiać się pod najróżniejszymi postaciami - pięknej dziewczyny lub walecznego młodzieńca, którzy wiedzą najzwyczajszy, ludzki żywot, wychudzonego nędzarza lub rozkładającego się trupa, któremu widać już sterczące żebra. Na Rapa Nui nie ma więc jednej zawsze złowieszczej istoty. To duchy zmarłych, złośliwe i przebiegłe, zakradają się nocami do domostw, by prześladować ludzi, choć jednak na ogół czynią dużo złego, są tylko podrzędnymi bóstwami, które nie reprezentują zła. Mimo że przybyły z piekieł, nie są wysłannikami piekła w naszym rozumieniu.

W nadprzyrodzonym świecie Wyspy Wielkanocnej, świecie niezliczonych tabu i potężnej

magii, w którym tak silna jest pozycja czarowników i rzucających uroki, świecie pełnym bardzo różnorodnych, przyjaznych i złowrogich istot oraz niezliczonych sposobów porozumiewania się z nimi, na próżno by szukać wcielenia zła w pewnej choćby mierze porównywalnego z naszym diabłem. Trwa tu raczej nieustanna walka sił - kiedy jeden czarownik rzuci urok, inny, potężniejszy, może go zdjąć. Można także za pomocą uroku zabić człowieka. W tym celu należy wykopać w ziemi jamę, zakopać w niej głowę w dół żywego koguta, a następnie udeptywać to miejsce, powtarzając zaklęcie oraz imię osoby, której śmierci pragniemy. Nasza ofiara na pewno umrze, jeżeli nie pomoże jej inny czarownik, który potrafi zdjąć urok. Można powiedzieć, że w religii mieszkańców Wyspy Wielkanocnej nie istnieje stałe, jednoznaczne wcielenie dobra lub zła. Są one tu postrzegane wyłącznie jako emanacja indywidualnych lub zbiorowych sił o charakterze antagonistycznym.

Skoro na Wyspie Wielkanocnej diabła nie ma, poszukajmy go gdzie indziej.

Znany antropolog, Bronisław Malinowski, przez siedemnaście lat obserwował plemiona Pacyfiku, między innymi tubylców z Wysp Trobrianda. Lata 1914-1922 poświęcił trzydziestu wyspom położonym na północ od Nowej Gwinei, rozrzuconym na obszarze stu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych oceanu. Raport z tych prac "w terenie", zatytułowany Argonauci zachodniego Pacyfikalska, to jedno z najlepiej znanych dzieł antropologicznych. W okresie, gdy Malinowski prowadził swoje badania, tubylcy ściśle oddzielali świat mitów, czyli lili'u, który istniał od zarania dziejów, od świata realnego¹⁶. W ich mitach raz po raz pojawiały się latające czółna, ludzie wyłaniali się z ziemi (tak w mitologii greckiej przed stworzeniem pierwszej kobiety, Pandory, powstawali mężczyźni), młodzieli, zmieniali się w zwierzęta, które z kolei przyjmowały ludzką postać, a cuda zdarzały się na co dzień. Tubylcy wiedzą jednak, że to wszystko już się nie zdarza, albo ściślej - nie może się już zdarzyć, bo czółna nie mogą latać. Kiedy pewien misjonarz opowiedział im o latających maszynach białego człowieka, zapytali o nie także Malinowskiego, a on pokazał im zdjęcia samolotów. Wówczas Trobriandczycy zapytali, czy to prawda, czy nie jest to przypadkiem lili'u. W ich przekonaniu Historia Święta misjonarzy to tylko lili'u, którego nie uznają. Cuda znane z pradawnych przekazów mogły się wydarzyć tylko dzięki magii, umiejętności, która zaginęła lub tak dalece podupadła, że nie potrafi już nic zdziałać. Pozostali za to czarownicy, pośredniczący w kontaktach pomiędzy światem realnym i rzeczywistością mityczną, gdzie istnieją geniusze zła.

Zło, przede wszystkim choroba, pojawia się za sprawą czarownika lub bwaga'u; czasem mogą ją także sprowadzić latające czarownice. Najgroźniejsze z nich, mulukwausi, niewidzialne, kryją się w wierzchołkach drzew lub na dachach domów i kradną ludzkie wnętrzności - płuca, serca, trzewia, mózgi i języki. Za epidemie odpowiadają tauva'u, które potrafią także zmieniać się w zwierzęta. W tej postaci nie unikają już towarzystwa ludzi, rozpoznając się wzajemnie po szkarłatnej plamie na skórze. Swoje ofiary ogłuszają kijem lub maczugą, można jednak zapewnić sobie ich przychylność, obdarowując je cennymi przedmiotami. Trzecia grupa nieprzyjaznych istot, tokway, przypomina chochliki. Te złośliwe duszki powodują jedynie łagodne schorzenia.

Podobnie jak w trzech religiach monoteistycznych, na Wyspach Trobrianda "zlokalizowano" złe duchy: "dusze zmarłych wędrują pospiesznie w kierunku wyspy Tuma, położonej na północny zachód od Boyowa, podczas gdy mulukwausi przybywają z południowej lub wschodniej części Boyowa oraz z wysp Kitava, Iwa, Gawa, Murna, tauva'u zaś z północnych wybrzeży Normanby, z okręgu Du'a'u, a szczególnie - pisze Malinowski - z miejsca zwanego Sewatupa".

Wysiłki złych mocy mogą zniweczyć czarownicy pod warunkiem, że ich interwencja nastąpi wystarczająco szybko. Malinowski przytacza w związku z tym ciekawą anegdotę, którą opowiedziała mu córka greckiego kupca i tubylczej kobiety z Oburaku. Kiedy matka dziewczyny była dzieckiem, do domu jej rodziców zapukała czarownica sprzedająca maty. Rodzice nie kupili maty, ale dali jej trochę żywności. Ciesząca się szacunkiem yoyova przywykła do większych względów, toteż obraziła się. Nazajutrz dziewczynka zachorowała tak ciężko, że uznano ją już za zmarłą. Wówczas dziadek odwołał się do pomocy innej yoyova., która pod postacią mulukwausi wyruszyła na poszukiwanie skradzionych wnętrzności dziecka. Odnalazłszy je, odprawiła stosowny rytuał i wnętrzności powróciły na swoje miejsce. Malinowski zaznacza, że relację tę przedstawiono mu bez cienia

sceptycyzmu, z pełnym przekonaniem.

W praktykach magicznych wykorzystuje się rośliny i substancje o nieznanym działaniu, mogło się więc zdarzyć, że obrażona czarownica sięgnęła po truciznę podobną do tych, które na Haiti przemieniają zdrowego człowieka w zombi, a yoyova odczyniająca jej uroki posłużyła się antidotum.

Na Wyspach Trobrianda istniała skomplikowana i świadcząca o bogatej wyobraźni tubylców strategia ochrony przed złymi duchami. Na przykład rytuał kayga'u pozwala wytworzyć pewną odmianę mgły, w której mulukwausi nie umieją odnaleźć drogi.

Struktura trobriandzkich wierzeń związanych ze złem na pierwszy rzut oka bardzo przypomina strukturę naszych wierzeń - sprawcami zła są przebiegłe, niewidzialne istoty, ale ważne jest także pośrednictwo ludzi kontaktujących się z nimi. Ludzie ci mogą zapobiec złu dzięki praktykom podobnym do naszych egzurcyzmów. Znamy także miejsca pobytu tych istot. Nasz diabeł przebywa pod ziemią, one zaś mieszkają na odległych wyspach, a w wyjątkowym przypadku (mulukwausi), w miejscu najbardziej oddalonym od tego, które zarezerwowane jest dla dusz zmarłych. Nie można jednak posunąć się w tych porównaniach dalej; w animistycznych religiach wysp Oceanii złe duchy współistnieją z dobrymi na zasadach godnych demokracji, toteż nie odnajdziemy tu wielkich podziałów cechujących indo-aryjskie mity dotyczące pochodzenia diabła.

Bardzo podobne do trobriandzkich są mitologie Nowej Gwinei 17, które także nie zawierają kosmogonii w pełnym tego słowa znaczeniu, porównywalnej chociażby ze stworzoną przez niektóre plemiona afrykańskie, szczególnie przez Dogonów. Opowiadają one, że w zamierzchłej przeszłości, w "epoce snów", mity były prawdziwe, lecz to się już nie powtórzy, bo ich czas przeminął.

Nie sądźmy jednak pochopnie, ulegając regułom typowo europejskiej logiki, że mity szybko popadły w zapomnienie. Przeciwnie, jeszcze do niedawna wywierały duży wpływ na życie społeczne Papuasów i były nie tylko obecne, ale i potężne, a wyznawcy żarliwie wypełniali rytuały. Jeszcze dziś wielu Melanezyjczyków żyje w przekonaniu, że gdyby nie obchody święta ignamów (ważnego także w życiu religijnym i społecznym Trobriandczyków) czy świń, nie byłoby ani zbiorów, ani trzody, ani radości życia. Jednak odpływ ludności do miast, szczególnie do Port Moresby, stolicy Nowej Gwinei-Papui, sprawił, że obrzędy zatraciły dawny koloryt. Niektóre przedmioty kultowe nowogwinejskich Sepika i Maprika, bardzo liczne w latach siedemdziesiątych i na początku lat osiemdziesiątych, niemal zupełnie zniknęły. Podobnie rzecz ma się na Wyspach Salomona i Fidzi. Telewizja, postępujące zmiany w sposobie odżywiania się i nieustanny rozwój przemysłu, nie mówiąc już o turystyce, z pewnością stanowią zagrożenie dla wierzeń Oceanii, które mogą zaniknąć już w ciągu najbliższych dziesięcioleci.

W latach siedemdziesiątych zebrano jednak wystarczająco dużo świadectw, by na ich podstawie można było stopniowo zrekonstruować istniejące wówczas wierzenia. Aby scharakteryzować to, co możemy nazwać zarodkową formą kosmogonii, przytoczmy słowa Maconiego: "W przeważającej części Nowej Gwinei oraz zachodniej i centralnej Melanezji mit początku koncentruje się wokół pierwszej pary herosów, często męskiego i żeńskiego, czasami antytetycznych". Imiona tych potężnych istot są różne w różnych plemionach; na przykład Mejbratowie z Irianu* nazywają ich Siwą i Mafit, Kuma-Boli i Geru, a inne nowo-

Malinowski wykazał, że w istocie mitologia ta jest dość płynna. W południowym Irianie, na co zwraca uwagę także Maconi, istnieje cała gromada istot nadprzyrodzonych, tak zwanych dema, które są stwórcami świata. Jednak, podobnie jak dwa wielkie bóstwa-twórcy, także dema, czyli wui na Wyspach Banksa, wun na Nowych Hybrydach, kibe u Kuma z Nowej Gwinei, czy banara na Choiseul i Wyspach Salomona, są antagonistyczne.

W każdym razie wszystko, co dzieje się na świecie, jest zgodne z wolą jednego z dwóch wielkich bóstw lub jednego czy wielu duchów z dwóch aniagonistycznych grup. Trzęsienia ziemi albo choroby, narodziny lub deszcz następują za sprawą duchów--stwórców, bezpośrednio lub po interwencji czarownika, który potrafi nawiązać z nimi kontakt. Dlatego właśnie tubylcy tak niechętnie odnoszą się do magii, podejrzewając, że obdarzony niezwykłą mocą i umiejętnościami czarownik pragnie ich nieszczęścia.

Widzimy zatem, że Melanezyjczycy zakładają istnienie dwóch przeciwstawnych bóstw stwórczych, nie przesądzając z góry, że jedno z nich musi być złe, a drugie dobre. Zła

wola nie jest cechą przypisywaną tylko stwórcom. Także tworzące osobną grupę duchy przodków, uważane są przez niektóre plemiona za złowrogie lub co najmniej dokuczliwe, zwłaszcza gdy należą do osób niedawno zmarłych, z czasem łagodnieją, aż w końcu stają się życzliwe ludziom.

Podobna ambiwalencja, a właściwie brak ostatecznego podziału roli pomiędzy istoty niebiańskie czy nadprzyrodzone, podziału, jakiego przykładem jest istnienie naszego dobrego Boga i złego diabła, występuje w wierzeniach australijskich aborygenów. Ich mitologii były w tym stuleciu przedmiotem wyczerpujących badań. Są ów, podobnie jak kosmogonia, bardzo rozbudowane (tym, co je łączy, jest opowieść o stworzeniu świata na Mlecznej Drodze w następstwie wielu konfliktów i związków miłosnych) i funkcjonują w rozmaitych wersjach u różnych plemion, stąd nie sposób wymienić je tu wszystkie.

Zanim przystąpimy do podsumowania, musimy jeszcze o czymś wspomnieć. W roku 1887 antropolog Anđrew Lang wzbudził wśród swych kolegów wątpliwą sensację, twierząc, że potrafi dowieść quasi-monoteistycznego charakteru religii australijskich. U podstaw tego zamierzenia leżały, co zauważono nieco później, skłonność do europocentryzmu, pojawiająca się często także dzisiaj, oraz chęć dowiedzenia z góry przyjętych założeń bez głębszej analizy problemu. W innej dyscyplinie naukowej trzeba było czekać aż do roku 1991, by obalić mit, który powstał jako efekt tego samego błędu. Nie był może aż tak przewrotny, jak przekonanie o odwiecznym monoteizmie, lecz równie kłamliwy. Był to mit o kanibalizmie dinozaurów. Ich rekonstrukcja dokonana w XIX wieku wykazała, że były to zwierzęta brzydkie. Na tej podstawie uznano, że musiały być złe, przyjmując szybko za dowód odnalezienie w kłatkach piersiowych kopalnych ichtiozaurów mniejszych od nich zwierząt tego samego gatunku. Natychmiast uznano ichtiozaury za dzikie bestie, które wzajemnie się pożerały. Minął wiek, nim ustalono, że domniemani "kanibale" to ciężarne samice, a owe "pożarte" małe stworzenia, to ich nie narodzone potomstwo. Powstrzymajmy się od komentarzy.

Błąd polegający na przypisywaniu rdzennym mieszkańcom Australii, jak wielu innym ludom "prymitywnym", koncepcji monoteistycznych utrzymywał się przez wiele lat. Tak oto w roku 1925, podejmując dzieło Roheima, angielski antropolog Herbert Basedow pisał: "Istota Najwyższa nosi u Aruntów imię Altadžira.

Dobry Altadžira nieustannie przemierza nieboskłon, bacznie obserwując plemiona, które żyją w dole. Tubylcy są tak mocno przekonani o jego wszechobecności, że ich ulubiony zwrot, używany na przykład wtedy, gdy ręczą za coś honorem, brzmi Altedzemmarum, co znaczy mniej więcej: »Oby Bóg mnie usłyszał." Mówiąc to, wzywają na świadka swych słów Altadžirę". Tymczasem Altadžira Aruntów jest tożsamy z Altadžira innych plemion, ten zaś w żadnej mierze nie przystaje do czysto monoteistycznej charakterystyki wzorowanej na Bogu chrześcijańskim. Ponadto, co podkreśla Roheim, "wyrażenie cytowane przez Basedowa używane jest wyłącznie przez aborygenów z misji i powstało pod bezpośrednim wpływem prowadzących szkołę misjonarzy". Tak oto wykluczono istnienie pradawnego monoteizmu australijskiego.

Prawdziwego rozmachu tradycyjna antropologia nabrała jednak dopiero na początku naszego wieku. Ustalono wówczas, że plemiona australijskie wyznawały religie całkowicie sprzeczne z ideą monoteizmu i cechującym go, by tak powiedzieć, centralizmem moralnym. Mora na przykład uważają, że niebo jest siedzibą dwóch duchów, Minungara, które są zarazem dobre i złe. Złe, ponieważ zawsze, gdy zachoruje człowiek, marzą tylko o tym, by zejść na ziemię i go dobić. Wówczas jednak występował przeciwko nim antagonistyczny duch Mumpani, który mieszka w lasach. Minungara są mimo wszystko dobre, bo to one uczą uzdrowicieli, jak leczyć chorych. Takie paradoksalne połączenie odnajdujemy także w wierzeniach innych plemion, na przykład Bimbinga i Anula.

Ta zaskakująca sprzeczność bierze się ze sposobu interpretacji świata opartego na dialektycznej złożoności ról: nic nie jest samo w sobie "dobre" ani "złe", wszystko może być i dobre, i złe, zależnie od sytuacji. Roheim pisze, że "demon i uzdrowiciel ulepiani są z tej samej gliny". Ten sam najwyższy duch religii plemienia może być określany jako "dobry" lub jako "zły" albo jako "dobry" i "zły" jednocześnie. Aruntowie z grupy Iliinka uważają, że wielki duch Altadžira jest dobry albo mara (wkrótce przekonamy się, że lepiej nie tłumaczyć za szybko tego przymiotnika), natomiast Aruntowie z grupy Tjoritja określają go jako "złego". Jak pisze Roheim, mara nie znaczy "dobry" w sensie

przypisywanym temu słowu przez chrześcijan. Słowo mara pozbawione jest metafizycznych konotacji i można stosować je zarówno w odniesieniu do demonów, jak i do każdej innej rzeczy.

Na tym jednak nie kończy się nieodzowna "rewizja" semantyczna, bez której nie może być mowy o zrozumieniu wierzeń ludów Oceanii. Oczywiście pojęcia "demonia" nie należy odnosić, jak w europejskim kręgu kulturowym, wyłącznie do służby diabła, w pełni solidarnego ze swymi współbraćmi. Chociaż australijskie demony przeważnie są wrogie ludziom i pożerają ich ciała, atakując od wewnątrz i od zewnątrz, plemię Pindupi zna demona mangukwatę, który żywi się demonami! "Wysoki i chudy jak tyczka, pozbawiony jest odbytu" (Roheim). Równie niezwykła postać nie istnieje w religiach monoteistycznych, a nawet nie da się pogodzić z ich założeniami, ponieważ demon pożerający inne demony byłby w pewnym sensie sprzymierzeńcem Boga. Tymczasem australijskie mangukurata nie przestają czynić zła nawet wtedy, gdy polują na inne demony.

Idea nadprzyrodzonej istoty zamieszkującej w niebiosach budzi nieodpartą chęć porównania jej z bogami, którzy są nam bliżsi, a nawet z samym Bogiem. Odczuwamy wobec niej także swoisty szacunek. W przypadku plemion australijskich rzecz ma się inaczej. Na przykład Altadžira, wymieniony wyżej w związku z istotną deformacją osobowości - jak zauważa Strehlow¹⁹ - "Jest dobrym bóstwem Aruntów... Nie stworzył istoty ludzkiej, a jej szczęście jest mu obojętne... Tubyłcy ani się go nie obawiają, ani nie kochają. Boją się tylko, by niebo nie runęło im na głowy, zabijając wszystkich".

Uderza podobieństwo lęków, łączące ludy tak od siebie odległe, jak Galowie i rdzenni mieszkańcy Australii, podobnie jak zdumiewa fakt, że wiele australijskich plemion - Yumu, Pindupi, Pitdżentara - wierzy w zamieszkującą Mleczną Drogę nadprzyrodzoną istotę niezwyklej urody, o psich łapach i jasnych włosach (przypomnijmy, że wśród aborygenów zdarzają się naturalni blondyni).

Warto przy tym zwrócić uwagę, że chociaż aborygeni są lepszego lub gorszego zdania o bóstwach, większość z nich uważa demony za istoty głupie, które łatwo można oszukać. Na przykład Dajakowie znad rzeki Katoengomi na Borneo w czasie epidemii wystawiali przed drzwi swoich domów drewniane wizerunki, wierząc, że demony zabiorą je, oszczędzając ludzi. Natomiast Dieri z centralnej części Australii, by uchronić się przed zarazą, wysyłali czarownika, który wypchanym ogonem kangura bił w ziemię dopóty, dopóki nie przegonił kryjącego się w nim winowajcy - diabła lub Cootchie - i nie wypędził go z obozu²⁰. Takie praktyki świadczą, że inteligencja, odwaga i waleczność demonów nie są tu zbyt wysoko cenione.

Przemierzając Oceanie wzdłuż i w szerz, nie trafiamy na ślad naszego wielkiego i jedyne go ducha zła - szatana, Belzebuba, diabła. Warto zaznaczyć, że na innej szerokości geograficznej sobory laterański i trydencki potwierdziły, że stał się on zły z własnego wyboru i że nakłonił człowieka do grzechu. Taka istota powinna być wszechobecna, wieczna i znana wszystkim ludziom. Możemy jednak zapewnić, że w Oceanii nie słyszano o szatanie. Choć zło, czynnik sprawczy chorób, śmierci i kataklizmów przyrodniczych, jest znane w religiach Oceanii, Polinezji czy Melanezji oraz w wierzeniach, które przetrwały w epoce samolotów odrzutowych, tranzystorów i tworzyw sztucznych, Panuje przekonanie, że do jego powstania przyczyniły się różne siły, nie zaś emanacja jednej potęgi przeciwstawianej jedyne mu

Bogu. Wbrew temu, co skłonni bylibyśmy przypuszczać, obserwując ludy zwane "pierwotnymi", ich interpretacja zła wolna jest od redukcjonizmu. Zgodnie z różnymi koncepcjami animistycznymi z siłami zła należy podjąć negocjacje, co w pewnej mierze przypomina sposób myślenia chrześcijan, zwracających się w konkretnych sytuacjach do świętych patronów - Łucji w przypadku chorób oczu, Huberta w związku z polowaniem i Antoniego Padewskiego, by odnaleźć zgubę - z prośbą o wstawiennictwo u Boga, by użył swej mocy przeciw diabłu, sprawcy nieszczęścia. A jednak mieszkaniec Oceanii postępuje inaczej, zleca bowiem czarownikowi pokonanie demona, który spowodował zło. Choć porównanie takie jest nieco ryzykowne, można powiedzieć, że przekonany o dualizmie świata monoteizm uznaje niebo za scentralizowaną jednostkę administracyjną, animizm Oceanii zaś za podzieloną na regiony.

Taka "regionalizacja" powoduje, że każda wyspa ma własną mitologię, ale błędem

byłoby dopatrywanie się w tym prowincjonalizmu, gdyż na każdą z tych mitologii składają się mity o powstaniu danej wspólnoty, co w istotny sposób różni je od trzech religii monoteistycznych, bez wyjątku uznających się za uniwersalne. Funkcja mitów jest podobna do roli konstytucji w społeczeństwie demokratycznym, zarówno mity bowiem, jak konstytucja stanowią zespół norm życia społecznego. Jest zatem zrozumiałe, że każda wyspa ma własne mity. Równie zrozumiałe wydaje się, że owe mity zakładają, iż zło, które nie jest przeciwstawne dobru utożsamianemu z życiem jako takim, a przede wszystkim z harmonią społeczną, można zapobiec. Wystarczy odwołać się do rytuałów i porozumieć ze zdolnymi do złych czynów duchami. Zło immanentne nie istnieje.

Aby zrozumieć, na czym polega ta różnica, porównamy współczesne chrześcijaństwo z mitami zanotowanymi przez Malinowskiego. Chrześcijaństwo posiada wspólną z judaizmem kosmogonię, którą odnaleźć możemy w Księdze Rodzaju. Bóg istnieje, On stworzył świat i On jest dobrem. W bardzo odległych czasach przemówił do ludzi, by odmienić ich zachowanie i życie społeczne. Interweniując po raz ostatni, przysłał na ziemię swego syna, Jezusa. Na przeciwnym biegunie jest zło, domena diabła. Dobro i zło są immanentne, przetrwały i przetrwają wszystkie ludzkie społeczności. W dzisiejszym świecie istnieje rozdział Kościoła od państwa, bo podstawowe mity chrześcijaństwa przestały spełniać swoją funkcję w nowożytnych społeczeństwach (we Francji dzieje się tak co najmniej od czasów rewolucji 1789 roku). I wreszcie ze względu na trwałość pojęcia zła immanentnego, którego inkarnacją jest diabeł, pogłębia się przepaść między dobrem społecznym w rozumieniu obywateli współczesnych społeczeństw laickich a mitami Kościoła, które przeobraziły się w dogmaty. Dziedzina, w której przepaść ta stała się najbardziej widoczna, jest seks.

W społecznościach trobriandzkich lub australijskich tubylców z połowy XX wieku nie istniało poza tabu kazirodztwa (rozumianym szeroko jako naruszenie zakazów związanych z pokrewieństwem lub strukturą plemienia) wyobrażenie "zła seksualnego" i nie znano, rzecz jasna, lubieżnego diabła. Ta postać zła, niezwykle istotna w kulturach monoteistycznych, nie ma najmniejszego znaczenia na Wyspach Trobrianda i Nowej Gwinei. Onanizm, homoseksualizm kobiet czy mężczyzn, cudzołóstwo czy antykoncepcja oceniane są wyłącznie w kategoriach społecznych. Na przykład w Nowej Gwinei-Papui homoseksualizm męski jest zgodny z normami prawa, a nawet obowiązuje chłopców w określonym momencie po osiągnięciu dojrzałości płciowej²¹. Poglądy Papuasów różnią się od koncepcji starożytnych Greków (którzy byli znacznie mniej liberalni, niż nam się wydaje, prawo nie uwzględniało bowiem woli partnerów, tolerując jedynie stosunki z młodymi chłopcami). Uważają oni, że obcujący z dojrzałym mężczyzną chłopiec (co należy zresztą odpowiednio zalegalizować) niejako "zaraża" się cnotami doświadczonego, dzielnego wojownika. Pojęcie cudzołóstwa nie jest tu znane. Jeszcze do niedawna podróżnik obdarzany był względami tej czy innej kobiety z plemienia, u którego gościł, bez względu na to, czy była ona mężatką, czy panną i czy on sam tego pragnął. Równie obce jest Papuasom pojęcie onanizmu.

Nie ma potrzeby rozwodzić się nad faktem, że takie praktyki pozostają w sprzeczności z normami monoteizmu. Myliłby się jednak ten, kto uznałby, że życie mieszkańców Oceanii, by ograniczyć się do dziedziny seksu, jest nieustającą orgią. W Australii wódz plemienia Kaitish powstrzymuje się od stosunków płciowych z żoną przez okres wzrostu traw²². Dzięki temu może poświęcić całą energię odnawiającym się pastwiskom. Dzielać z wieloma innymi ludami odrazę do miesiączkujących kobiet, australijskie plemię Dieri zabrania im kąpieli w strumieniu, lękając się, by krew menstruacyjna nie zabita ryb. Na wyspie Muralug, w cieśninie Torresa mężczyźni nie pozwalają miesiączkującym na spożywanie pokarmów pochodzących z morza. Oni także wierzą, że naruszenie tego zakazu mogłoby spowodować śmierć wszystkich morskich stworzeń. Swobodniejsze podejście do problemów seksu mają mieszkańcy Leti, Sarmata i wysp leżących pomiędzy Nową Gwineą-Papua i północną Australią, którzy w święto Słońca, Upu-lera, głównego bóstwa męskiego zaptadniającego Ziemię, odbywają orgie, kopulując, by pobudzić źródło płodności²³.

Uznałem, że rozpoczynając podróż dookoła świata, warto przytoczyć pewne koncepcje zła i jego źródeł w dwóch słabo znanych kulturach - Yami z wyspy Irala, zwanej także Yu Tao lub Wyspą Orchidei, a usytuowanej na południowy wschód od Tajwanu, oraz kultury

Nagów, ludu zamieszkującego indyjski Asam, tuż przy granicy z Birmą.

Yami to jeden z ludów, które tworzą pomost między Azją i Polinezją, ze względu na swoje malajsko-polinezyjskie pochodzenie. Zainteresowałem się nim z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że jego mity stanowią ogniwo pośrednie między mitologiami ludów Azji i Oceanii. Możemy zatem przekonać się, czy odizolowane bardzo wcześnie od wszelkich wpływów azjatyckich wierzenia tych ludów ewoluowały w kierunku mitu diabła, czy też - przeciwnie - zarzuciły ten wątek. Po drugie Yami interesują nas ze względu na ich kontakty z Tajwanem, najbliższym położonym skrawkiem lądu, utrzymywane za czasów dynastii Ts'ing, czyli w latach 1644-1912. Nie przyciągająca ani ze względów ekonomicznych, ani strategicznych Irala miała ze światem zewnętrznym raczej sporadyczne kontakty, a Japończycy, którzy okupowali wyspę w latach 1895-1945, uznali ją za "muzeum etnograficzne" i zamknęli przed przybyszami z zewnątrz.

Irala to wyspa otoczona łańcuchem gór, wśród których wznoszą się dwa wygasłe wulkany. Jej ludność liczy około dwóch tysięcy tubylców osiadłych w kilku wioskach oraz około tysiąca tajwańskich techników, żołnierzy i nauczycieli z rodzinami. Mieszkańcy utrzymują się z połowu ryb, przede wszystkim ryb latających, ale także tuńczyków, oraz z uprawy batatów, prosa i taro. Irala nie jest odwiedzana przez turystów. Nie ma tu hotelu, a ponieważ często szaleją tajfuny, domy ukryte są pod ziemią, nad której powierzchnię wystają tylko dachy. Być może przed końcem tego stulecia kultura Yami zaniknie, prymitywna gospodarka wyspy skłania bowiem młodzież do ucieczki na Tajwan.

Irala byłaby rajem dla etnologów, gdyby pozostała absolutnie nie skażona wpływami obcych kultur. Stało się jednak inaczej, ponieważ po roku 1945 podjęto próby jej chrystianizacji. Przybyli misjonarze dwóch najbardziej rozpowszechnionych w Azji kościołów - katolickiego i prezbiteriańskiego - lecz chrześcijaństwo zostało wchłonięte przez kulturę lokalną i nie wyparto tradycyjnej religii. Niemożliwe jest zresztą ustalenie, jak dawne są wierzenia Yami, gdyż kultura ta nie zna pisma, trwa więc wyłącznie dzięki przekazom ustnym.

System etyczny Yami, ugruntowany przede wszystkim w religii, określa szczegółowe zasady spożycia ryb. Niektóre spośród czterystu pięćdziesięciu znanych gatunków mogą być jedzone przez osoby obojga płci i bez względu na wiek, inne tylko przez mężczyzn lub przez mężczyzn w podeszłym wieku, jeszcze inne przez starców obu płci. Pewne gatunki zarezerwowano dla ciężarnych, inne dla położnic, a niektórych nie wolno jeść mieszkańcom konkretnej wsi. Katalog zaleceń i zakazów jest długi i skomplikowany - osiemdziesięciu ośmiu gatunków nie wolno spożywać nikomu, sześćdziesięciu innych nie mogą w pewnych okolicznościach jadać mężczyźni (niektórych od chwili, gdy dowiedzą się o ciąży żony). Kolejnych sześćdziesięciu nie wolno jeść kobietom, które w czasie ciąży mogą odżywiać się mięsem zaledwie czterech gatunków... Tak drobiazgowy system tabu istnieje w całej niemal Oceanii i nie opiera się na etyce, ale - jaki zawsze - na dążeniu do zachowania porządku świata: poszanowa-| nie tabu pozwala utrzymać ład kosmiczny. Jeżeli Yami umrze "w stanie tabu", to nawet wówczas, gdy jest chrześcijaninem, można odmówić mu chrześcijańskiego pochówku. Przekonamy się jednak, że system tabu Yami jest niezależny od bóstw.

Choć Irala jest niewielką wyspą, Yami stworzyli bogatą kosmo-gonię, na którą składają się mity o pochodzeniu poszczególnych plemion oraz zhierarchizowany panteon.

Uderzające, że odnajdujemy tu dalekowschodni wariant mitu o potopie, który spowodowała brzemienna kobieta. Na szczycie panteonu Yami stoi Simo-Rapao, który niczym Bóg z Genesis, stworzył pierwszą parę ludzi. Otacza go rada bogów. Najniżej w hierarchii stoją złowrogi bóstwa, których żarłoczność może pozbawić Yami taro i batatów a ich mściwość czasami ściąga na ludzi plagi szarańczy i gąsieni

Kosmogonię Yami uzupełnia skomplikowana genealogia tego ludu, sięgająca czasów, gdy pierwsza istota ludzka pojawiła się na wyspie.

Pomiędzy stojącymi na przeciwnych biegunach bóstwami znajduje się wiele pomniejszych, w tym istoty nadprzyrodzone, ale nie boskie. Dwie postacie kobiece, Pina Langalangao, czuwają nad narodzinami i życiem. Pojęcie "boga" zdaje się odbiegać od znanego większości innych kultur. Bogowie zwani są bowiem akey do to, czyli "niebiańskimi przodkami", i tawo do to - "ludźmi z góry".

Yami, podobnie jak wspomniane wcześniej ludy, stworzyli zatem panteon nieco

chaotyczny, dlatego też raz do roku, w grudniu, składają rytualne ofiary wszystkim bóstwom jednocześnie. Charakterystyczną cechą ich wierzeń jest to, że w hierarchii świata nadprzyrodzonego duchy zajmują pozycję wyższą niż bogowie. Każdy człowiek ma własnego "najwyższego ducha" oraz wiele duchów pomniejszych, które żyją w jego ciele i władają narządami. Śmierć człowieka uwalnia te istoty, ale za pomocą magii można je znów przywołać, na przykład po to, by je przebłagać. Należy zwrócić się z tym do czarownika, makahawy, gdyż tylko on może widzieć je i zaklinać (potrafi także rozpoznać cudzołożników, a nawet odgadnąć ich myśli).

Zazwyczaj w przypadku śmierci naturalnej spowodowanej przez starość, a nie przez wypadek czy niespodziewaną chorobę najwyższy anito odchodzi na mityczną Białą Wyspę, skąd, jeśli jest niezadowolony, może powrócić wraz z innymi duchami, by nękać żywych - zarówno ludzi, jak i zwierzęta, sprowadzając na nich choroby i kłótnie. Yami żyją więc w stałym i "niekontrolowanym" zagrożeniu ze strony anito, duchów, które opuściły ciała zmarłych. Najostrzejsze tabu Yami są związane z pochówkiem. Podczas czuwania przy zwłokach żaden z krewnych i przyjaciół zmarłego nie może zmrużyć oka, w przeciwnym bowiem razie naraziłby się na atak oswobodzonego anito. Najbardziej przerażającą praktyką czarnej magii jest doprowadzenie do zetknięcia się żywej istoty z piachem pochodzącym z grobu, gdyż w nim właśnie może czaić się anito.

W wierzeniach Yami szczególnie uderzają dwa elementy. Po pierwsze, wyraźnie oddziela się w nich duchy od demonów z niższych szczebli panteonu. Po drugie, duchy cechuje am-biwalencja - zło nie jest ich cechą stałą, jednak mają do niego skłonność. Najgorsze zło nie pochodzi od bogów, lecz jest emanacją najwyższego ducha człowieka, jego anito. W mitologii, tej zaobserwować możemy lęk przed zmarłymi, typowy, jak się; później przekonamy, dla pierwotnych religii azjatyckich. Wierze-j nią Yami są także podobne do wspomnianych już wierzeń ludów Oceanii; dlatego rdzenni mieszkańcy Irali nie znają oczywiście) diabła²⁴. U podstaw ich wierzeń leży przekonanie, że źródłem zła jest raczej człowiek niż istoty nadprzyrodzone, że wynika ono ze złej woli ludzi. Można by ująć tę myśl w zdaniu: "Człowiek umiera, ale jego złe myśli żyją nadal".

Liczący w sumie około pół miliona osób lud Nagów z Asamu dzieli się na piętnaście zróżnicowanych pod względem kulturowym plemion. Niewiele wiemy o ich pochodzeniu poza tym, że w ich wyglądzie dominują cechy mongoloidalne - mają czarne gładkie włosy i czarne skośne oczy. Wydaje się prawdopodobne, że w okresie migracji, które zaczęły się przed trzydziestoma pięcioma tysiącami lat, ludy mongolskie, docierając aż do Ameryki Południowej, wyparty miejscowe populacje, dziś już nie istniejące, a należące do typu australoidalnego lub negroidalnego. Ten ostatni charakteryzuje się kręconymi lub kędzierzawymi włosami, Takie przypuszczenie nasuwa się w związku z pewnymi niemongoloidalnymi cechami części Nagów. W nagaskich podaniact wspomina się zresztą o spotkaniu z ludami niemongolskimi Nagowie posługują się trzydziestoma językami tonicznymi, nalfr żącymi do wielkiej rodziny chińsko-tybetańskiej; mogli zaten[^] przywędrować z południowych Chin I\ Przy okazji wspomnijmy, że aż do końca XIX wieku wszyscy byli łowcami głów. Nawet jeśli ich korzenie nie sięgają paleolitu, są z pewnością ludem bardzo starym. Ich religia, zawierająca prawdopodobnie elementy religii Azji Południowo-Wschodniej sprzed migracji, przechowała zatem dawne schematy rozumienia świata i wydaje się niezależna od systemu politycznego. W niektórych plemionach, na przykład u Ao, rządzą najstarsi mężczyźni, inne, jak Konyakowie, podporządkowane są władzy autokratycznej, czy wreszcie, jak Angami, wprowadziły demokrację "w czystej formie", mówiąc słowami autorów Encyklopaedia Britannica. Dziś w każdym razie możemy powiedzieć, że są to plemiona spokrewnione, że ich skupiska powstały bardzo dawno, a kultury formowały się niezależnie, czasami nawiązując lub opierając się na tradycji, a czasami bez związku z nią.

Nagowie, którzy zachowali do dzisiaj pamięć własnej religii, chociaż chrystianizacja tego ludu rozpoczęła się już w roku 1890, są przekonani o nadprzyrodzonym pochodzeniu ludzi, według jednych plemion potomków kamienia, a według innych, dyni lub ogromnego ptaka. Nagowie nie mają jednolitej mitologii ani religii, choć pewne wspólne elementy odnaleźć można w wierzeniach i rytuałach różnych plemion. Wszyscy wierzą w istnienie boga--stwórcy, ale dla części z nich, na przykład Angami, jest to bogini Kepenopfu, daleka, obojętna i nie ingerująca w życie ludzkie, dla innych natomiast

(Konyakowie) to bóg Gawang, który bezustannie towarzyszy ludziom w ich codziennym życiu. Wszystkie plemiona rozróżniają także dwa rodzaje duchów, ziemskie oraz niebiańskie, naturalnie - potężniejsze. Wśród tych pierwszych odnajdujemy złe duchy, duchy polowania, płodności itp. Drugie, nazywane przez Lothow[^]orro, nie są "lepsze" w sensie etycznym, przynoszą bowiem złe wieści. W każdym razie Nagowie uważają duchy niższe, a wśród nich duchy zła, za bardzo ważne i składają im ofiary.

Nagowie nie uznają istnienia uniwersalnej przyczyny zła, nie mają zresztą jego jednorodnej koncepcji. Rozróżniają wiele odmian zła, a każda z nich ma własne źródło, które można usunąć. Według Konyaków sprawcą trzęsienia ziemi może być duch przywódcy klanu, któremu drogę zagroziły liany, a niebezpieczeństwo to może zażegnać prosty rytuał - wystarczy, by mieszkańcy wioski zgromadzili się i krzyknęli: "Nie spadaj, nie spadaj, niechaj ziemia pozostanie spokojna!". Przeróżające zjawisko, jakim jest zaćmienie Słońca albo Księżyca, zdarza się, gdy tygrys, żaba lub pies próbują pożreć któreś z tych ciał niebieskich. | Wodzowie klanu muszą wtedy zawołać: "Nie jedz go, to nasze Słońce!".

Także religia Nagów, podobnie jak wszystkie inne, o których mówiliśmy wcześniej, daje ludziom możliwość pertraktowania ze złymi mocami. Istoty nadprzyrodzone Nagów, podobnie jak bóstwa innych ludów, domagają się ofiar. Celem religii archaicznych jest utrzymanie równowagi pomiędzy różnymi siłami nadprzyrodzonymi otaczającymi człowieka, a osiąga się ją dzięki stosownym rytuałom. Nie istnieje ani nieodwracalny podział świata, ani grzech pierworodny, a człowiek nie jest zniewolony przez siły nadprzyrodzone. Religie starają się zapobiec fatalnym skutkom aktywności bóstw i demonów, które - gdy wpadną w gniew - dotkliwie utrudniają ludzką egzystencję. Ani bogowie ani demony nie są etycznie jednoznaczne; są to istoty ambiwalentne, obce, w pewnym sensie nawet natrętne, którym należą się specjalne względy. Nie są one jednak w stanie narzucić ludzemu systemowi teologicznemu. A zatem religia jest tu w istocie zbiorem egzorcyzmów mających powściągnąć wybryki świata nadprzyrodzonego. Wydaje się, że zasady oddziaływania tych religii stanowią przeciwieństwo reguł, jakimi kierują się monoteizmy. Różnicę tę na pierwszy rzut oka można uznać za akademicką, lecz ma; zamiar dowiedzieć, że jest inaczej.

Warto podkreślić, że także u Nagów, jednej z niewielu już grup etnicznych żyjących niemal tak, jak przed wiekami, brakowi centralnych władz towarzyszy brak centralizacji zła i jego uosobienia w postaci jednego diabła. Nasuwa się pytanie, dlaczego społeczności zwane "prymitywnymi", takie jak ludy Oceanii, Yami i Nagowie, nie stworzyły idei dobra i zła absolutnego. Jest to także jedno z wielkich pytań antropologii religii, a sam problem jest zbyt szeroki, by go tu choćby poruszyć. Trzeba by nie tylko przywołać tezy Lévy-Bruhla dotyczące "społeczności niższych", bo pozbawionych przekazów pisemnych, poglądy Marcela Maussa i Emila Durkheima na temat związku religii z życiem społecznym i oczywiście poglądy Levi-Straussa dotyczące formowania się religii w powiązaniu z realiami technicznymi, ekonomicznymi i społecznymi, ale posunąć się znacznie dalej - zająć się problemem narodzin etyki. Aby to uczynić, trzeba by mieć przed sobą więcej niż jedno życie oraz posiadać rozległą i wszechstronną wiedzę.

Możemy jednak pokusić się o krótkie wyjaśnienie tego problemu. Społeczności mało liczne, skupione na niewielkim i wyizolowanym terytorium, mogły stworzyć tylko wąskie pojęcie zła, ponieważ w ich środowisku wypadki, choroby, głód czy śmierć dotykały tylko niewielkiej grupy osób jednocześnie. Kataklizmy, takie jak wielkie epidemie, gdzie indziej kojarzące się ze stosami trupów, były tu nieznanymi. Do niedawna społeczności takie nie stykały się też raczej z obcymi kulturami. Ludy Oceanii nie znały również wielkich wydarzeń literackich, jakie w starożytnej Grecji i Rzymie mogły mieć miejsce dzięki rozwojowi teatru, a w późniejszych czasach - dzięki wynalezieniu druku. Trudno też wyobrazić sobie, by Trobriandczycy mieli dostęp do budzących trwogę opowieści, podobnych chociażby do zebranych przez Swetoniusza w Żywotach Cezarów. W porównaniu z siłami przyrody - Słońcem, morzem, roślinnością i płodnością kobiet - wszelkie wyobrażenia zła istniejące na wyspach Pacyfiku mogą się wydać śmieszne. Pod tym względem mity Oceanii porównać można z greckimi, a może także z mitologiami innych archipelagów. Są to mity życia, do których kategorie etyczne właściwie nie przystają.

Ze względu na słabość ekonomiczną tego obszaru także władza ma tu ograniczony zasięg. W pamięci ludzkiej nie zachowały się wspomnienia o bezwzględnych tyranach, jakich znał Wschód, a struktura społeczna Oceanii nie dała początku wielkim systemom politycznym, które są nierozzerwalnie związane z wielkimi systemami religijnymi. Dlatego na wyspach Oceanii plemiona nigdy nie miały jednej wspólnej religii podobnej do tych, które utożsamiają to, co jest niedopuszczalne społecznie, z geniuszem zła.

Wyklęty w religiach monoteistycznych diabeł nie miał zatem racji bytu w Oceanii. Tylko czasem ludzi prześladowały tu istoty nadprzyrodzone, którym jednak etyka była obca. Może to właśnie urzekło pierwszych przybyszów ze Starego Świata, poczynając od Cooka, a na współczesnych Bougainville'a kończąc. Może stąd wziął się mit o "dobrych dzikusach". Tubylcy nie byli, co prawda, ani dobrzy, ani źli, a wielu z nich jeszcze nie tak dawno uprawiało kanibalizm, ale dzielni żeglarze zwracali uwagę tylko, na to, że nie znają zła, naszego zła - mrocznego, przytłaczającego, bezmyślnego, podstępnego, nieuzasadnionego.

Najpierw idealizowaliśmy "dzikich", potem straciliśmy co do nich złudzenia, a wreszcie - zdeprawowaliśmy, każąc najpierw osłaniać "wstydlive" części ciała i ukrywać wdzięk fizyczny,; następnie ucząc, że istnieje diabeł, a w końcu - dowodząc jego! istnienia za pomocą naszych filmów. ;

* Irian Barat, zachodnia część Nowej Gwinei, wyspa, która obecnie w połowie należy do Indonezji, a w połowie do Niezależnego Państwa Papui-Nowej Gwinei. gwinejskie plemiona - Kilibob i Manup. Są one uznawane za twórców wszystkiego, co istnieje na ziemi, a w mitach opowiadających o stworzeniu przez nie świata używa się słów oznaczających "zakładanie, położenie fundamentów". Są to zatem mity założycielskie.

Indie ocalone przed złem

O tym, jak trudno mówić o Azji jako całości - O tym, w jaki sposób Jakuci zasymilowali chrześcijaństwo i zniszczyli diabła - O wedyzmie, kolebce wielu religii - O względności naszego poznania i o wedyjskim "Któż wie?" - O Buddzie, jego pojedynku z Mara, demonach i nieobecny w buddyjskiej kosmologii diabła - O kłopotach z jednoznaczną definicją hinduizmu - O dobroci złego Siwy - O jedynej konieczności, jaką uznaje hinduizm, to znaczy o połączeniu się z bóstwem.

I oto docieramy do brzegów Azji, gdzie poszukiwanie diabła staje się szczególnie uciążliwe dla umysłu Europejczyka, nawykłego do posługiwania się zasadą wyłączonego środka, która uczy, że "to" nie może być jednocześnie "tamtym". Dlatego patrząc na przykład na freski w którejś ze świątyń Cejlonu i widniejące na nich diabła i haczykowatych nosach, turysta skłonny jest uznać, że buddyści najwyraźniej mają swego diabła, a w każdym razie diabły, jego dzieci, bratanków czy kuzynów. A zatem - że "zły" jest uniwersalny.

Jednak mówiąc o Azji jako całości, podejmujemy pewne ryzyko. Przede wszystkim dlatego, że każdy ma własną Azję. Tybet, Syberia, Indonezja, Borneo, Malezja, Filipiny, Indie, Pakistan,

Chiny, Japonia - na pobieżne choćby poznanie każdego z tych miejsc trzeba by całego życia, tak bardzo są od siebie różne. W porównaniu z nimi Europa jest niczym zbiorowisko spokrewnionych prowincji, różniących się między sobą może trochę bardziej niż Bretania od Sabaudii, Asturia od Andaluzji czy Meklemburgia od Bawarii. Natomiast od malezyjskiej dżungli, gdzie kwiaty rozkwitają tylko na godzinę, by pozostawić po sobie rozpostartą na ziemi migotliwą smugę różowego pyłku, po pustynię Gobi, gdzie rosyjscy podróżnicy odnaleźli ponoć ludzi uduszonych przez piasek, którym wiatr wypełnił nozdrza i usta, nie ma poza "upartym dwunogiem" ani jednej żywej istoty zamieszkującej ten obszar. Jakże zatem mogłaby istnieć tu jedna, wspólna religia? A tym bardziej - wspólny diabeł?

Kultura Azji jest starsza od naszego europejskiego świata. Mówienie o Azji oznacza więc posługiwanie się dziś, gdy etnologia tak bardzo wzbogaciła naszą wiedzę, pojęciem

godnym lekcji geografii w szkole podstawowej, kiedy uczeń stawał przy starych mapach, na których Europa - centrum świata - oznaczona była kolorem różowym; Azja - żółtym; natomiast Afryka - przeważnie brązowym, co było chyba nieśmiałą aluzją do czerni. Europa, która przyjęła imię uprowadzonej greckiej dziewczycy, kwiliła dopiero niczym niemowlę, kiedy Azjaci, znacznie bardziej zróżnicowani, niż chciała to swego czasu uznać nasza antropologia, wyruszyli na północny wschód w poszukiwaniu nie wiadomo czego i suchą, ale skostniałą nogą przedostali się przez skutą lodami cieśninę Beringa, a potem rozprzestrzenili się na terytorium obu Ameryk, docierając aż do Ziemi Ognistej. Wydarzyło się to trzydzieści pięć tysięcy lat temu, kiedy Europa od Madrytu po Moskwę tkwiła jeszcze w neolicie.

Jakże zatem uwierzyć, że po tylu wiekach ci ludzie trwają przy podobnych do naszych, zamkniętych w okowach logiki wierzeniach, które wychowany w kręgu myśli helleńskiej Szawet-Pawel rzyniōsi do Rzymu, gdzie miał zbudować swój Kościół? Kiedy a Targu Złodziei w starym Hongkongu napomknąłem przed dwudziestu laty o mongolskim chłopcu wyrzeźbionym w kości słoniowej, a dziesięć lat potem o starcu z okolic Banju Wangi na południe od Jawy, za każdym razem rozpoznałem u obecnych to samo spojrzenie, biegnące z dystansu tysiącleci. Spojrzenie, którym nie mógł mnie obdarzyć liczący osiemdziesiąt dwa lata półnagi hinduski kapłan z Cejlonu, gdy prowadził mnie na zawieszoną trzysta metrów nad morzem skalną platformę, nie większą od kawiarnianego stolika, by pokazać, skąd spadł księżę Rama, którego uratowali od śmierci skrzydlaci geniusze. Nie mógł, ponieważ był ślepcem. Azja to kontynent, który nie liczy już lat, który trzykrotnie przeżył naszą historię, a wszystkie jego dzieci przypominają młodego Dalajlamę, tak poważne są ich oczy.

Ani telewizja, ani telefony komórkowe nic tu nie zmieniły. Azja opiera się wszelkim wpływom mocą swojej przeszłości i przestrzeni. Syberyjscy Jakuci (o których antropolodzy piszą, że są Turkami z Północy) mieszkający na wybrzeżu Morza Arktycznego, a właściwie u bram piekła, są tego najlepszym przykładem. Oni znają tę ziemię i potrafią na niej żyć, ale członkowie sowieckiej ekspedycji hydrologicznej wysłanej do Jakucji w 1926 r. pomarli z głodu w tym kraju, gdzie za fant soli trzeba było dać cztery gramy złota, a za funt mięsa - dwadzieścia! U schyłku XVIII stulecia wytrwali misjonarze podjęli dzieło chrystianizacji tego ludu. Kilkadziesiąt lat później Jakuci opowiadali: "Szatan był starszym bratem Jezusa, on jednak był zły, a Jezus - dobry. I kiedy Bóg chciał stworzyć Ziemię, rzekł do szatana: "Chwalisz się, że potrafisz wszystko zrobić i że jesteś potężniejszy ode mnie, przynieś mi więc trochę piasku z dna oceanu«. Szatan skoczył w morską toń, ale kiedy się wynurzył, dostrzegł, że woda wypłukała piasek z jego dłoni. Nurkował jeszcze dwukrotnie, jednak na próżno, a za czwartym razem przemienił się w jaskółkę i zdołał unieść w dziobie odrobinę mułu. Wówczas Jezus pobłogosławił błoto, które zamieniło się w Ziemię. A Ziemia była piękna i płaska, i gładka. Lecz szatan chciał stworzyć własny świat, ukrył więc nieco mułu w dziobie. Jezus przejrzał jego podstęp i wymierzył mu cios w głowę. Wtedy to szatan wypluł błoto, które upadło, tworząc góry" *.

To wymowna opowieść, która pokazuje nam, że szatan został unicestwiony przez archaiczne mitologie. Pomimo przypisywanego mu przez chrześcijan sprytu, pomimo przysłowiowej inteligencji, zły duch został sromotnie pokonany przez Jezusa, niczym przyłapany na gorącym uczynku złodziej. Stracił swą niszczycielską, uniwersalną moc i stał się jedynie kuglarzem, tricksterem, postacią także uniwersalną, lecz nie diabelską (bliżej zajmiemy się nią nieco później *). Stało się tak, ponieważ żaden Azjata, od Arktyki po Ocean Indyjski, nigdy nie wpadł na pomysł, że kości zostały rzucone i że na górze jest Bóg, w dole zaś diabeł. Obie te postacie są w istocie wytworami kultury i jeśli Azjata w naturalny sposób skłania się ku wierze w istnienie Boga, to nie potrafi wyobrazić go sobie w konflikcie z antagonistycznym diabłem. Po lekturze tej książki przekonamy się, że koncepcja taka wcale nie jest gorsząca, ponieważ współczesny filozof chrześcijański, Giovanni Papini, sformułował ją niezależnie od Jakutów.

Sądząc po tym, co przetrwało z jej cywilizacji, Azja, a zwłaszcza jej część południowa - podobnie jak Afryka, Oceania i dawne Ameryki - jest przesycona religijnością. Europejczycy sądzą, że skoro pełno tam demonów i cudów, jest to kontynent pogański, a jego mieszkańcy są po prostu bałwochwalcami. Choć dziś Azja wydaje się być podzielona

między zaledwie trzy religie - buddyzm, hinduizm oraz islam - to ich zakorzenienie na tym kontynencie (przy założeniu, że buddyzm jest raczej religią niż filozofią) i wzajemne oddziaływanie jest problemem bardziej złożonym.

Wszystko zaczęło się w Indiach, bo Indie są dla Azji tym, czym była Grecja dla Europy. I skoro już odważyliśmy się mówić o Azji; musimy zacząć od Indii, które są jej duchową ojczyzną.

Wielkie autochtoniczne religie Azji - hinduizm, buddyzm, dżinizm, taoizm, shintoizm - wywodzą się w głównej mierze z wedyzmu, który pojawił się na subkontynencie indyjskim około 1500 r. p.n.e. wraz z najazdami Ariów (od słowa arya, to znaczy "szlachetny") przybywających z Iranu *. Wedyzm, którego nazwa pochodzi od świętych ksiąg, Wed, zajął miejsce jednej lub wielu dawnych religii. Ponieważ każdy, kto wyrusza na poszukiwanie diabła, powinien wiedzieć, skąd wzięli się pierwsi bogowie, a zatem i pierwsze demony, a historia ludzkości sięga daleko poza XV w. p.n.e., uzasadnione byłoby pytanie o to, jakie religie poprzedzały wedyzm i czy miały swojego diabła. Tymczasem nasza wiedza na ten temat jest niepewna.

Wiadomo oczywiście, że przed inwazją Ariów istniała cywilizacja Harappa albo Indusu, zwana tak od potężnej rzeki, nad którą się rozwinęła. Jednak o samej cywilizacji wiemy niewiele poza tym, że nie stworzyła pisma**, a światem zewnętrznym interesowała się właściwie tylko ze względu na handel bydłem, że nie miała dostępu do morza, że broniły jej cytadele, a konie i wozy nie były jej znane i że nie wytworzyła właściwie organizacji politycznej, pozostając pierwotną monarchią, której władca był jednocześnie wodzem i wielkim kapłanem. Można jeszcze dodać, że przedstawiciele tej cywilizacji, Drawidowie, mieli skórę ciemniejszą od Ariów oraz płaskie twarze (tak przynajmniej opisywali ich Ariowie, spoglądający na nich z widoczną pogardą, a nawet ze wstrętem²).

Cywilizacja prearyjska istniała na tych obszarach być może już w V tysiącleciu p.n.e., a ponieważ nie znata koła, można przypuszczać, że zachowała swój pierwotny charakter aż do czasu osiedlenia się w Indiach Ariów. Przez analogię z innymi pradawnymi cywilizacjami możemy tylko wyobrazić sobie, że ówczesna religia była prymitywna, oparta na kultach podstawowych, takich jak kult słońca i płodności. Istnieją też podstawy, by sądzić, że Drawidowie oddawali cześć Wielkiej Bogini - Matce; na tym jednak kończą się wnioski, które można wysnuć na podstawie odkryć archeologicznych, i zaczynają się zwykłe spekulacje.

Wedyzm Ariów zaszczerpiony w Indiach przetrwał tysiąc lat. O tych dziesięciu wiekach nic prawie nie wiemy. Ariowie nie zostawili po sobie żadnych budowli z kamienia ani dokumentów pisanych. Ich święte księgi, Wedy, zostały spisane dopiero około III w. p.n.e. Do tego czasu mity były przekazywane ustnie i trudno ocenić, co z nich przetrwało w tekście, który powstał dopiero po wielu stuleciach. Nie wiemy zatem nic pewnego o pierwotnej religii Ariów; znamy ją tylko dzięki przekazom pisany, te zaś powstały późno. Przypuszczamy, że Ariowie, kasta arystokratów-wojowników, kultywujących męskie braterstwo, narzuciła Indiom męski panteon, detronizując Boginię--Matkę, a w każdym razie - podważając jej autorytet.

Podobnie jak inne religie, wedyzm głosi w Nasadiji, czyli Hymnie o stworzeniu (Rygweda X; 129), będącym odpowiednikiem biblijnej Genesis, że na początku nie istniało nic - był ani nieby^B powietrze ani niebo, śmierć ani nieśmiertelność, noc ani dzień;« był tylko Jeden Jedyny, który oddychał bez najlżejszego tchnieni^B swą własną mocą. Zgodnie z Nasadiją wewnętrzna sprzeczność[^] pierwotnego bytu wytworzyła pierwszą antytezę, parę byt - niebyty a następnie parę aktywna energia - pasywna materia. Purusasukta^f^ czyli Hymn o człowieku, przedstawia nieco inną wersję wydarzeni

- bogowie stworzyli świat dzięki ofierze pierwszej istoty, PuruszyJ którv' jest wszystkim, co kiedykolwiek istniało, i który nigdy nie będzie istniał⁴.

Wedyzm indyjski, podobnie jak staroirrański, wyraża porządek świata za pomocą dualistycznego schematu: władza bogów, czyli dwv.' - Waruny, Mitry, Indry i bliźniaczych Nasadija - stanowi przeciwagę dla władzy antybogów, czyli asurów, którzy są tak samo różnorodni jak bogowie. Jednym z nich jest Wrytra, z którym Indra stoczył zwycięską walkę. Asurowie byli mitologicznym odpowiednikiem wrogich Ariom ludów cywilizacji Harappa, które osiedliły się nad Indusem. Indra jest na przykład określany mianem pwardara, czyli "tego, który burzy fortyfikacje", oczywiście fortyfikacje ludów Harappa⁵.

Sposób stary jak świat - przeciwnikowi przypisano demoniczne cechy i przedstawiono go w czarnych barwach. A przecież, jak nam już wiadomo, Drawidowie mieli ciemną skórę...

Z kolei na poziomie metafizycznym dualizm ten przeciwstawia sobie byt i niebyt, kreację i chaos; interpretuje świat, opierając się na antagonizmach. W tej koncepcji kosmos jest na ogół życzliwy ludziom, co nie oznacza jednak, że zło nie istnieje. Jest ono następstwem kosmicznego chaosu, naturalnym składnikiem świata, zawsze obecnym, ponieważ nie może zaistnieć pokój pomiędzy opozycyjnymi, nadprzyrodzonymi potęgami. Ów spór dotyczy człowieka tylko dlatego, że mikrokosmos ludzki stanowi część makrokosmosu. Z tego względu tak wielkiej wagi nabiera dokładne wypełnianie rytuałów - domowych gryhja i dotyczących wspólnoty srauta. Rytuał podlega ścisłym regułom, a niestosowanie się do nich może być przyczyną chaosu. Tak wielkie znaczenie rytuału doskonale odzwierciedla organizację spoteczno-polityczną Indii pod panowaniem Ariów. Społeczeństwo jest już wówczas zhierarchizowane, posiada skodyfikowany system prawny, religia ^ jest fundamentem oraz narzędziem polityki zmierzającej do stworzenia dobrze zorganizowanego państwa. Rytuał, dzięki któremu rośnie potęga kaptanów, umacnia społeczność, której są strażnikami. W ten sposób koto się zamyka.

Równowaga świata, który rozpościera się pomiędzy dewami i asurami, utrzymywana jest dzięki rytuałom i ofiarom obrzędowym, między innymi dzięki spożywaniu napoju zwanego somą, halucynogennego ekstraktu⁶, przygotowywanego prawdopodobnie z muchomora sromotnikowego. Warto tu zwrócić uwagę na sens obrzędu, sprowadzający się do tego, że świat może istnieć tylko wtedy, gdy człowiek w odpowiednim czasie i zgodnie z rytuałem wprawi się w stan oszołomienia, co pozwoli mu zbliżyć się do natury istot boskich. To samo przekonanie legnie u podstaw greckich misterii, ono również zadecyduje o postawie wyznawców judaizmu, którzy czują wstręt do pijaństwa, czego najlepszym dowodem są biblijne dzieje Noego. Ariowie natomiast nie gardzili napitkami, poza SOWĄ spożywali bowiem także surę, która nie miała znaczenia religijnego.

Około V w. p.n.e. nastąpił kryzys wedyzmu. Wydawało się, że religia traci spójność. W zapomnienie szły imiona, tożsamość i role bóstw. Jeśli najwyższym bóstwem był Pradžapati, dlaczego nazywa-' no go także Hiranjagarbha lub Brihaspati? A poza tym, czy był to, naprawdę najwyższy bóg wszelkiego stworzenia i wszechrzeczy, czy może tylko bóg istot żywych? Był równy czy wyższy od Sur j i, boga Słońca, i od Agni, boga ognia? Czy bogowie to odrębne istoty, czy też różne postaci jednej jedynej rzeczywistości? Najchętniej zgadza< no się z koncepcją, wyrażoną w Wodach: "Rzeczywistość jest jedna lecz człowiek uczony nadaje jej rozmaite imiona" (X, 129, 2) Czytamy także: "kapłani i poeci za pomocą słów mnożą ukryt rzeczywistość, która jest godnością". (X; 1147)7.

W tej religii wielu bogów nie mogło być oczywiście tylk< jednego diabła. Wówczas bowiem antybogowie wedyzmu musieli by być demonami w rozumieniu współczesnej nam cywilizacji zachodniej, oni zaś są "po prostu" opozycyjnymi mocami. Jeszi Dumeził nazywał te istoty "arcydemonami" i "archaniołami

Jest to fundamentalne rozróżnienie, którego ślady przetrwały w religiach monoteistycznych, przede wszystkim w judaizmie;

Lucyfer (trzeba przypomnieć, że tak nazwano dawniej planetę Wenus, Gwiazdę Zaranną), nie tylko był, ale i pozostał archaniołem. W teologii judaizmu przetrwało bowiem wiele elementów wedyzmu, przejętego za pośrednictwem ludów Iranu.

Dokładny czas powstania Wed nie został nigdzie określony, natomiast badacze przyjmują, że przynajmniej w jednym z wersetów znajduje się wzmianka o konkretnym wydarzeniu znanym z historii Indii, to znaczy o dającej się zauważyć w pewnym okresie frustracji wiernych, zmęczonych wieloznacznością i nieuchwytnością ról swych bóstw: "Kim jest Indra? Kto kiedykolwiek go widział? Któremu z bogów składamy ofiary?" ("Bóg nieznany lub Złoty Embrion", X; 121)9. Byłby to schyłek wedyzmu, który nastąpił mniej więcej w V w. p.n.e.

Trzeba jednak podkreślić, że przez cały okres swojego istnienia indyjski wedyzm zmienia się, nieustannie potwierdzając fundamentalną ideę zwątpienia człowieka w obliczu świata. Koniec okresu wedyjskiego stworzył podwaliny dla agnostycyzmu - według ostatnich, to znaczy najnowszych zbiorów Wed, upanisad, zwanych także wedantą, prawda jest niepoznawalna, religia zaś ma dawać ukojenie umysłowi ludzkiemu. Agnostycyzm ten, chociaż uważany często za odmienny od cechującego

Wedy, jest przecież jego ukoronowaniem, gdyż idea uniwersalnego zwątpienia pojawia się już na początku Nasadiji:

"Któż naprawdę wie? Kto ośmieli się tak twierdzić?... Jak doszło do stworzenia? Bogowie przybyli po stworzeniu tego świata. Któż zatem wie, z czego się narodził?" (X, 129, 6).

W Wedach raz po raz powtarza się pytanie: "Kto wie?" Ko zwróca? Wątpliwość ta nasila się jeszcze nieznacznie w upanisadach. Wedyjski panteon traci na znaczeniu - na tym padole niczego nie udało się wyjaśnić. Materia, element podstawowy, nie znajduje wytłumaczenia w funkcjach życiowych, a żywej istoty nie można zdefiniować. Rozum nie potrafi doszukać się logicznego uzasadnienia zjawisk, a logika jest bezradna wobec wyższych aspektów bytu. Bytu, którego nie można sprowadzić do sumy stanów, przez które się przejawia, bo wówczas stałby się niebytem, jakby powiedział po latach Heidegger, który zresztą interesował się wedyzmem. Byt jest niezmienny i permanentny, a zatem atman utożsamiany jest z istotą wszechświata, brahman zaś to najwyższa i jedyna szczęśliwość, pełne i najdoskonalsze wyjaśnienie wszechświata. Tat tvam asi: "To jest tobą". Ponieważ istota wszechświata jest niepoznawalna z definicji, niepoznawalny jest także byt. Koło się zamyka. Nigdy niczego się nie dowiemy.

Ale - i to jest właśnie dominującą myślą upanisad - brahman staje się tu jedyną pełną rzeczywistością i w ten sposób następuje odejście od dualizmu. Szczęśliwość, ananda, nie może zawierać zła, zatem zła nie ma. Nie może go być, a tym bardziej nie mogą istnieć demony czy diabeł; są one tylko iluzją. To założenie określać będzie później stosunek do zła we wszystkich religiach czerpiących natchnienie z wedyzmu, ponieważ zaś kultura Indii rozprzestrzeniła się po całej Azji, można powiedzieć, że diabeł jest tam nieznany, że jest tylko fikcją, wytworem ludzkiego umysłu.

W negujących dualizm upanisadach pierwotny wedyzm zrzucił maskę, zdarł ją też z twarzy bogów, którzy stali się odtąd figurami stworzonymi przez człowieka i doczepionymi do niepoznawalnego.

Płynność, by zastosować europejskie kategorie, panteonu wedyjskiego, mająca doprowadzić w przyszłości do jego upadku, jest oczywista. Nie sposób też zaprzeczyć, że propozycja filozoficzna religii panujących w Indiach jest trudna. Bez wątplenia jest to filozofia arystokratyczna, przeznaczona dla ludzi wykształconych, dla skłonnych do medytacji umysłów, które nawykły do finezji metafizyki. "Radosni kompanii" księcia, którymi byli aryjscy najeźdźcy w XV w. p.n.e., z upływem czasu stworzyli elitę (intelektualną) kraju. Była to elita tak wykształcona, że nawet w trzy tysiące lat od schyłku wedyzmu filozofia zachodnia nie zdołała wzbogacić wiedzy na temat bytu¹⁰ i pójść dalej w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania stawiane już przez wedyzm. Łatwo zauważyć, że brahmani stworzyli arystokratyczną kastę, lud natomiast zadowolili się prostszymi, bardziej przystępnymi pojęciami religijnymi oraz magią, warto jednak zastanowić się, dlaczego wiernych, którzy przez piętnaście stuleci dostosowywali się do takiej sytuacji, nagle ogarnęło zniechęcenie. Półtora tysiąclecia to przecież okres wystarczająco długi, by przekonać się o "wiarygodności" panteonu, tym bardziej, że jak wszystkie inne, był on przecież wytworem ludu.

Przyczyn takiego stanu rzeczy szukać należy przede wszystkim w starzeniu się rytuałów. Wedyjski panteon nie zniknął, a dawnym bogom nadal oddawano cześć, lecz obrzędy religijne ulegały skostnieniu. Odpowiedź znaleźć można także w ewolucji społeczeństw zrodzonych z wedyzmu od okresu Indii wedyjskich po okres epicki. W tym miejscu musimy dokładniej przeanalizować przedstawiony wcześniej w ogólnym zarysie schemat.

Kiedy Ariowie dotarli do północnych Indii, byli jeszcze zorganizowani w kohorty czy też wojownicze plemiona, którym przewodziła arystokracja z księciem-radzą na czele. Władzę książęcą ograniczały rady plemienne, nazywane sabha i samiti. Najślynniejszym z plemion aryjskich byli Bharatowie. W Wedach odnajdujemy krótki, lecz barwny opis Ariów - radosnych kompanów" i wytrawnych wojowników, którzy byli równocześnie rolnikami i hodowcami, kochających muzykę ("grają na fletach, lutniach i lirach"¹²) i taniec, nie stroniących od alkoholu, a zapewne i od urodziwych kobiet. Mieszkali w wioskach (nic nie wiemy o ich stolicy ani o miastach), położonych pośród uprawnych pól i pastwisk, a kiedy było trzeba, ruszali do boju, organizując przy lada okazji suto zakrapiane uczty. Podobny opis pasowałby także do innych Indoeuropejczyków - Celtów.

Ariowie osiedlili się najpierw w Pendżabie, "krajnie pięciu rzek", tam, gdzie dzisiaj Indie graniczą z Pakistanem. Nieliczni zapuścili się dalej na wschód, do legendarnej krainy Saraswari, położonej przypuszczalnie w dorzeczu Sarsuli, która zostanie wyniesiona do rangi bóstwa jako bogini elokwencji, wiedzy i mądrości (później cały ten region stanie się świętą ziemią buddyzmu)¹³. Wciąż żyli jeszcze we wspólnotach plemiennych, zajmując się rolnictwem, hodowlą i wojną.

Lecz z czasem powstały imperia. Ariowie dotarli do Kurusu w dzisiejszym Radżastanie i założyli w pobliżu Delhi pierwszą znaną nam stolicę. Zaczęła się tworzyć prawdziwa władza polityczna, dynastia, ponieważ zaś nie ma polityki bez religii, nazbyt "płynny" wedyzm poddany został pierwszym reformom. Potem imperium Kurów upadło, część Ariów zaś, wędrując doliną Gangesu na wschód, założyła kolejne imperia, których centralnymi ośrodkami były Kosala, Wideha i Kasi, inni natomiast skierowali się na zachód i dotarli do Udźdźajnu, rozciągając swą władzę na porty handlowe.!

Oznacza to, że przeważająca część Indii, pozostająca pod wpływem Ariów, wytworzyła organizację polityczną. Religia niej dość jednoznaczna, a zarazem skostniała nie mogła już sprostać swoim zadaniom. Wedyzm wymagał reformy. Co ciekawe, mniej więcej w tym samym czasie zreformowana została religia w Iranie¹⁴ gdzie około 600 r. p.n.e. dokonał zmian Zaratustra, oraz w Indiach J za sprawą Wardhamany około roku 570 i Buddy około roku 560. We wszystkich przypadkach kontekst historyczny reform jest taki sam - utworzenie centralnej władzy politycznej - a różni polega na tym, że wedyzm będzie odtąd w Indiach podążał inną drogą niż w Iranie.

Mogłoby się wydawać, że zmiana ta dokonała się niejako poprzez "reinkarnację" bóstw. Jednak stało się inaczej. Zdumie wający zryw oswoił wedyzm z pozostałości teizmu i wy doby jego intelektualny charakter. Trzy systemy filozoficzne, w niewielkim stopniu pierwsze z tych systemów to materializm lub kłajata. Uczy on, że postrzeganie zmysłowe to jedyne źródło poznania, a wszystko, czego można się dowiedzieć o rzeczywistości, jest materialne. Inteligencja jest narzędziem niedoskonałym, a uniwersalne prawidłowości i relacje, które dostrzega, są zwodnicze. Sumienie to jedna z funkcji materii, nie ma życia pozagrobowego, a dusza umiera wraz z ciałem. Świat powstał samoistnie, a boskość jest mitem, na który się zgadzamy z braku wiedzy i umiejętności. Nie istnieje etyka, a tym bardziej - etyka immanentna, ponieważ zarówno wady, jak i cnoty są względne. Zwróćmy uwagę, że w poglądach tych pobrzmiewa echo greckiego cynizmu.

Drugi system to dzieło współczesnego Buddzie, lecz, o dziwo, zapomnianego na Zachodzie Wardhamany, o którym już wspomnieliśmy. Jest to dżinizm, który przyczynił się do powstania relatywizmu filozoficznego. Aby go przybliżyć, sięgnijmy po alegoryczną powiastkę o sześciu ślepcach, którzy wspólnie usiłowali opisać słonia, kładąc ręce na różnych częściach jego ciała. Ten, który dotknął ucha, twierdził, że to miękki wachlarz, ten, który ujął nogę - że to kolumna, itp.

Dżinistyczna doktryna punktów widzenia (najawada, najas) uczy, że wszelka wiedza jest względna, a zatem nie możemy niczego jednoznacznie potwierdzić ani niczemu zaprzeczyć, a to ze względu na złożoną naturę rzeczy. Dżinizm opisuje świat, posługując się elementarnymi kategoriami, takimi jak istoty żywe i nieożywione, materia pierwotna i materia subtelna, byty obdarzone zdolnością ruchu i nieruchome... Materia subtelna, czyli karman, wypełnia wszechświat i wchodząc w kontakt z duszą, łączy się z nią. Natura karmanu sprawia, że każda przemiana trwale się w nim zapisuje, a od jego nagromadzenia wokół duszy zależy los jednostki. Ta idea została zaczerpnięta bezpośrednio z późnego wedyzmu upaniszad, a na początku XX wieku odbiła się szerokim echem w Europie.

Trzeba zaznaczyć, że w dżinizmie odnajdujemy niezwykłą, bo zrodzoną na pięć wieków przed początkiem naszej ery, intuicję, że świat istnieje w dwóch postaciach - atomów i skupisk atomów, które dziś nazywamy cząsteczkami, a "identyczne [atomy] tworzą rozmaite elementy, zależnie od kombinacji, w jakiej się znajdują"¹⁴. Teorię tę europejska fizyka zweryfikowała dopiero w XVIII w.

Dżinizm nie ma swego boga, choć dusze mogą osiągnąć "stan boskości"¹⁵ dzięki ascetycznemu życiu. Ono bowiem pomaga w zniszczeniu karmanu i zapobiega jego ponownemu skupianiu się, a zatem kolejnym mozolnym wędrówkom duszy. Nie ma więc

w dżinizmie także i diabła, choć etyka zajmuje w nim bardzo istotną pozycję. Ten nurt religijny wciąż istnieje, a ponieważ nie jest dogmatyczny, składa się z pięciu znacznie różniących się między sobą odłamów¹⁶.

Trzeci system religijno-filozoficzny okresu epickiego to bud' dżyzm. Zrodził się z nauki Buddy, wielkiego reformatora wedyzmu którego rola jest porównywalna, jeśli nie większa, niż rola Zaratustra, a może nawet - niż rola wszystkich proroków świata Schopenhauer powiedział, że był on jednym z trzech najwybitniejszych filozofów ludzkości*. Jego uśmiech zdominował dzieje religii, tak jak uśmiech kurosa jest kwintesencją sztuki greckiej! a uśmiech Giocondy unosi się nad niewysłowionym marzeniem o szczęściu.

W tych z konieczności ograniczonych ramach, jakie wyznacza odtwarzanie rodowodu diabła, nauka Buddy, królewskiego syna urodzonego około 563 r. p.n.e. w królestwie Sakjów, na dzisiejszym pograniczu Indii i Nepalu, zdaje się być zaprzeczeniem dżinizmu jako takiego, a obojętności materializmu lokajata w szczególności

Można by bowiem sądzić, że odnajdujemy w niej najwyraźniejszą (po egipskim Secie) prefigurację naszego diabła. Kiedy po sześciomiesięcznej głodówce podobny do chodzącego szkieletu i bliski śmierci Gautama¹⁷, wówczas zaledwie początkujący "Budda tuż przed narodzeniem", usiadł pod drzewem figowym, szukając natchnienia, bóg Mara, personifikacja śmierci, zwany także Papi-mantem, czyli po prostu złym, zbliżył się do niego na czele zastępu złych duchów. W słowach, które kusiciel wypowiedział pod adresem bodhisattwy, nie było złości. Ponieważ Gautama wyglądał blado, Mara zwrócił jego uwagę na owo wyraźne wycieńczenie i rzekł:

"Krępują cię więzy ziemskie i niebiańskie, krępują cię wszelkiego rodzaju więzy. O, asceto, nie zdołasz się oswobodzić"¹⁸. Trudno nie dostrzec podobieństwa tej sytuacji do sceny kuszenia Chrystusa przez szatana na pustyni. Aby właściwie zrozumieć słowa Mary, należy jednak umieścić je w szerszym kontekście, a ten w niczym nie przypomina sytuacji biblijnej. Trzeba przeciwstawić je medytacji Buddy, owemu stanowi, w którym nie ma już percepcji, ale nie ma też nie-percepcji, stanowi nicości lub prawdziwej absolutnej, nirwanie, kiedy to jednostka uwalnia się od konieczności powtórnych narodzin i cierpienia. Ten stan różni się zasadniczo od ziemskiej egzystencji, do której Mara chce skłonić bodhisattwę, przekonując go, że oderwanie się od ludzkich spraw jest niemożliwe.

Na pozór zatem powraca odrzucony przez wedyzm upanisad dualizm: zło naprawdę istnieje i nie jest wyłącznie projekcją ludzkiego umysłu. Jest on podobny do dualizmu koncepcji gnostyckich (a właściwie leży przeciw u ich źródeł), według których wszystko co ziemskie musi być złe. Przeciwnie Mara nie popycha Buddy do zbrodni, do rozpusty ani kradzieży. Nakłania go po prostu do życia i w tym tkwi "zło". Mara nie jest diabłem, a na pewno nie naszym diabłem, chyba że posuniemy się bardzo daleko w porównaniach z koncepcjami teologii chrześcijańskiej. 10 bóg śmierci, ponieważ wszystko, co żyje, skazane jest na

śmierć i każde życie nosi w sobie zarodek śmierci; żyć znaczy więc gotować się na śmierć. Przypominając Buddzie, że nie może uwolnić się od tych więzów, Mara chce go zniechęcić, skłonić, by pogodził się ze smutnym losem człowieka, który nie widzi światła, by pogodził się ze śmiercią.

Lecz silny mocą dziesięciu cnót, paramita, Gautama odrzekł:

"Żądza jest twą pierwszą bronią, druga jest odraza do szlachetnego życia, trzecią głód i pragnienie, czwartą pożądanie, piątą ospałość i lenistwo, szóstą tchórzostwo, siódmą zwątpienie, ósmą hipokryzja i upór, dziewiątą chęć zysku, uciążliwość pochlebstwa, zaszczytów i fałszywej sławy, dziesiątą zaś zapatrzenie w siebie i wgarda wobec innych. Oto, jaką władasz bronią, Maro. Żaden słaby człowiek nie potrafi się jej przeciwstawić, choć tylko niszcząc ją, można osiągnąć szczęście". Nocą, przy pełni księżyca, w maju roku 528 p.n.e. Mara poniósł największą klęskę. Podczas trzeciego czuwania, między drugą a szóstą nad ranem, Gautama poznał Cztery Szlachetne Prawdy i z tą chwilą stał się obojętny na ziemskie pokusy. Pomimo to Mara jeszcze wiele razy usiłował go pokonać i można by rzec, że udało mu się to przy ostatniej próbie - Budda umarł.

Prawda historyczna na temat Buddy ma niewielkie znaczenie. Wydaje się zresztą, że nikt nie podejmował trudu odtworzenia jego biografii, odkąd powstało klasyczne studium Lamotte'a¹⁹, traktujące o daremności wszelkich wysiłków zmierzających do nakreślenia

precyzyjnego portretu tej postaci. Po cóż zresztą, skoro Mahajana, "wzbogacona" forma buddyzmu, która rozprzestrzeniła się w Azji od IV stulecia, docierając do Chin, Korei,, Japonii, na Sumatrę, a nawet Cejlon, gdzie dominował wówczas tradycyjny, znacznie skromniejszy kanon buddyzmu, głosi, że Buddów jest wielu. Jedni mówili, że wcielił się w pięć postaci;

- Wajroczanę, Akszobhję, Ratnasambhawę, Amitabhę i Amoghasiddhiego, inni utrzymywali, że gdy stał się Gautama, miał już za sobą dwadzieścia cztery wcielenia. Istnieje zresztą tak wiele odmian buddyzmu, które nigdy się nie zwalczały, iż wolno nam chyba powiedzieć, że każdy może znaleźć swój buddyzm. Jego istota zawsze pozostaje nie zmieniona, a opiera się na współczuciu i dystansie wobec świata.

Groźny Naga z Uruwilwy, który występuje przeciwko Buddzie no jego pierwszym pojedynku z Marą, także nie jest diabłem. To legendarna kobra, kuzynka smoków. Budda sprowokował to niebezpieczne zwierzę, siadając ze skrzyżowanymi nogami i wyprężonym torsem w jego własnym domu - gdyż tam chciał je pokonać. Ujrawszy go, Naga plunął dymem, Budda uczynił to samo. Naga plunął wówczas ogniem, a z ust Buddy także wydobył się płomień. Świadcowie zdarzenia, widząc z daleka wydobywające się z domu kłęby dymu i ognia, zaniepokoiili się. Wkrótce jednak poznali wynik pojedynku - Budda dzięki swej nadnaturalnej sile zmusił Nagę do poddania się i uwięził go w wazie. Opowieść ta jest z pewnością pacyfistyczną prefiguracją mitu o świętym Jerzym oraz wszystkich mitów o herosach pokonujących baśniowe potwory, od Perseusza, który uśmiercił smoka pilnującego Andromedy, po Odyseusza, który oślepił cyklopa Polifema. To symbol ducha triumfującego nad materią.

W kosmologii Therawady*, szkoła, która naucza buddyzmu w tradycyjnej postaci, nie istnieje również "diabeł-pan". Najniższą sferę trzech światów, sferę żądź, zamieszkuje kilka rodzajów istot, wśród których są półbogowie, ludzie, demony, a także pewna odmiana bezcielesnych i wygłodzonych zjaw, przypominających nieco duchy z Wyspy Wielkanocnej. Te grupy istot to Szarwas-tiwada, Sautrantika, Mahisasaka, Dharmaguptaka, Sammatija, Winaja, Mahasanghika, Lokottarawada, Satjasiddhi. Nie ma pośród nich zwierzchnika demonów, bo chociaż rozmaite szkoły buddyjskie w Indiach, na Cejlonie, w Chinach czy Japonii nadają

Antagonizm Bóg-diabeł nie istnieje i - co więcej - nie ma sensu w buddyzmie. Pouczający jest tu przykład pewnej metamorfozy teologicznej: w Tybecie uważa się, że dawne, zdezonizowane przez buddyzm w VIII w. bóstwa mogą przeistoczyć się we wrogie demony, które tylko dawni czarownicy lub mądrzy potrafią trzymać w szachu. Jest to wariant reorganizacji panteonu zastosowany w zaratustriańskiej reformie wedyzmu*; w tym przypadku jednak polega ona na integracji, a nie na odrzuceniu. Buddyści w Tybecie, podobnie zresztą jak w Chinach, wznosili małe świątynie w pobliżu miejsc kultowych innych religii, by zażegnać gniew obcych bogów. Azja dowiodła już, że jest ojczyzną godnej naśladowania tolerancji religijnej. Kiedy w VIII w. buddyzm rywalizował w Japonii z shintoizmem (choć właściwie trudno mówić o konflikcie, a już na pewno nie zdarzyło się nic, co można by uznać za wojnę religijną, shintoiści bowiem wznosili swoje kapliczki w świątyniach buddyjskich, a buddyści - w shintoistycznych) i kiedy kapłani zaczęli zastanawiać się nad tym, jaka religia jest "dobra", cesarz Shomu ujrzał we śnie Amaterasu, boginię Słońca założycielkę dynastii, która powiedziała mu, że Japonia jako ziemia bogów powinna oddawać cześć im wszystkim, zwłaszcza ze natura Buddy Wajroczany, pierwszego z "piątki", była identyczna z naturą japońskich bogów²⁰.

Cóż jednak dzieje się z duszami zbrodniczymi? Jeżeli naprawdę istnieje piekło, kres pewnych nie spełnionych istnień, to pobyt w nim nie trwa wiecznie, albowiem łańcuch reinkarnacji zabiera stamtąd dusze. Żadna zbrodnia, nawet zasługująca na najsroższą karę, jak ojcoobójstwo, nie usprawiedliwia wiecznego "potępienia" (pojęcie to nie pasuje do buddyzmu). "Opowieści o zjawach", czyli Pettawathu, księga należąca do Suttapitaki (Kosza kazań), jednego z trzech wielkich "Koszy" grupujących trzydzieści dwa teksty palijskie, przedstawia wiele opisów straszliwych miejsc, do których trafiają sprawcy zbrodni²¹. Nie są to jednak piekła ostateczne, odpowiadające naszym wyobrażeniom tego miejsca, lecz rodzaj czyściców. Tak czy inaczej, zgodnie z logiką buddyjską, piekło nie może być wieczne, podobnie jak zło, ponieważ nie istnieje pierwotny grzech, a człowiek nie ponosi odpowiedzialności za ów kaprys sił wyższych, jakim jest zło. W takim

systemie nie ma, rzecz jasna, miejsca dla diabła, ponieważ byłby on pozbawiony metafizycznego wsparcia ze strony zła, którego bogowie nie znają, a które czynią jedynie w kontaktach z ludźmi.

Błędem byłoby uznanie na tej podstawie, że buddyści są agnostykami w europejskim rozumieniu tego słowa. Nie jest to możliwe, ponieważ świat buddyjski jest przedwieczny, a nie stworzony, ponieważ jest łańcuchem przyczyn i skutków, zgodnie z subtelną teorią sylogizmów szkoły njaja *, które same w sobie

- dźwięk jest jak dzban. Po czwarte - to interpretacja - dzbany powstają z konkretnych przyczyn i są nietrwale, tak samo jak dźwięk. Wniosek

- dźwięk jest ulotny. stanowią tylko następstwo innych przyczyn, a zatem absolut jest niepoznawalny, ponieważ poznanie nie istnieje. Buddyzm nigdy nie stworzył metafizyki, koncentrując się na etyce, która opiera się nie na dogmatach, lecz na współczuciu. Nikt nie ma obowiązku wierzyć w prawdy wiary, jeśli sprzeciwia się temu jego umysł.

Mówiąc o cnotach i ułomnościach, Budda myślał o tym, w jaki sposób osiągnąć najpełniejszą harmonię w kontaktach ze światem. Dlatego też pierwszą z cnot lub "przymiotów" jest życzliwość, majtri* w sanskrycie, a metta w języku palijskim, która zabrania wyznawcom buddyzmu ranić kogokolwiek, także samego siebie. Pozostałe cnoty to miłość, żal nad żalem innych, radość z ich radości oraz pogoda ducha, z jaką przyjmować należy wszelkie troski i radości. Ułomności, czyli "więzów" wiążących ze światem, jest dziesięć. Są to złudzenie, że "ja" istnieje, zwątpienie, przesadna asceza, zmysłowość, przywiązanie do życia, zła wola, pycha, purytyzm i arogancja w kolejnym wcieleniu, pragnienie, by trafić do nieba. Skrajna asceza, ta ucieczka poszukujących absolutu, niecierpliwość w dążeniu do wyrwania się ponad swoją ziemską kondycję, są równie niestosowne, jak ignorowanie zaleceń Buddy. Oto jest droga środka, zalecana przez samego Gautamę.

Człowiek ogarnięty majtri odnosi się do innych życzliwie, nie oczekując i nie licząc na nagrodę ani na tej Ziemi, ani po śmierci. Gdybyśmy chcieli przedstawić tę wizję świata za pomocą kategorii europejskich, powiedzielibyśmy, że buddyzm ogranicza się do Dasein, heideggerowskiego "bycia tu". Lecz może takie porównanie jest nadużyciem? Nie można bowiem zrozumieć nauki Buddy, jeżeli pominie się warunki, w jakich ją głosił. A zwracał się do ludzi, którzy poszukiwali prawdy, odrzuciwszy przedtem dwie inne, całkowicie przeciwstawne religie epoki - braminizm,

Budda-człowiek, jakkolwiek byłby zmitologizowany, zasługuje na naszą uwagę. Potrafił przecież wyjść poza religie, które istniały wcześniej. Głosiły one przetrwanie, albo wręcz nieśmiertelność duszy, więc ludzie drżeli w swych chatkach z obawy, by duch rozgniewanego przodka nie wybił im trzody i kur. Gautama obalił tę wiarę, ponieważ buddyzm nie uznawał istnienia duszy w europejskim rozumieniu. Wszystko, co ma swój początek, ma też swój kres, a dusza, która zaczyna istnieć wraz z życiem, wraz z nim gaśnie. Trudno było przełknąć tak gorzką pigułkę, toteż uczniowie starali się łagodzić jej smak, uciekając się do metempsychozy - dusza była jednak nieśmiertelna, utrzymywali, ale tymczasowo. Podlegała reinkarnacji aż do osiągnięcia doskonałości, a wówczas ro/pływała się w wielkim wszystkim. Buddy nie można oskarżyć ani o cynizm, ani o materializm. Materia była według niego substancją przemijającą i tak ją traktował. Oczekiwano od niego kodyfikacji dobra i zła, ale on sprowadził je do rangi ziemskich iluzji. Gruntowna reforma zasad etycznych sprawiła, że diabeł został wypędzony tak, jak za naszych czasów przegania się karnawałowego przebierańca w Środę Popielcową. Oczekiwano usprawiedliwienia dla zasłużonych przyjemności, ale to oznaczałoby usprawiedliwienie żądz i pragnień, a one marszczą taflę wody, w której powinno odbijać się oblicze Jedyne. Budda radził wyzbyć się pragnień - umysł oświecony to taki, który nie potrafi pragnąć. Budda zwrócił się zatem przeciw wszelkim aspiracjom religijnym swoich czasów i - za to Indiom należy się chwała - zdołał narzucić wyznawcom swą trudną i surową wizję religii.

Obok trzech wielkich nurtów buddyzmu istniał także w ramach szerokiego wachlarza wierzeń zwanych hinduizmem dawny we-dyzm. Hinduizm powstał z połączenia wedyzmu upaniszad, wierzeń kultury Harappa, zdominowanych przez nowsze religie, ale nie zapomnianych, oraz tradycji plemiennych²². Trzeba zaznaczyć, że wszyscy autorzy zgodnie twierdzą, iż termin "hinduizm" jest raczej językowym udogodnieniem niż słowem

oddającym konkretną rzeczywistość religijną²³. Chociaż bowiem można wyodrębnić w hinduizmach wspólny trzon, to jednak liczne i ważne różnice dzielą rozmaite nurty hinduistyczne - braminizm, wisznu-izm, śiwaizm, tantryzm, śaktizm, popularny hinduizm i hinduskie mistycyzmy. Ponadto z biegiem czasu wierzenia hinduistyczne ulegały istotnym przemianom, wchłaniały elementy innych religii, co prowadziło do wyodrębniania się nowych nurtów i trwającego aż do dzisiaj ich różnicowania. Wiadomo na przykład, jak wielki wpływ wywarła na Mahatmę Gandhiego Modlitwa Pańska, rzadziej jednak uświadamiamy sobie, że Hindusi okazują wielką tolerancję wobec chrześcijaństwa, co przecież nie jest zjawiskiem powszechnym. Na ogół jednak odrzucają teologię i dogmaty chrześcijańskie, a to ze względu na ich bezkompromisowość. Tradycyjnie uznaje się, że hinduizm kształtował się pod wpływem trzech wielkich mistrzów - Śankary, Ramanudży i Madhwy.

Braminizm, najbliższa pierwotnemu wedyzmowi odmiana hinduizmu, stworzył teologię, która początkowo przyjęła istnienie jednego boga, Puruszy, boga i materii zarazem, twórczej mocy absolutu, zapowiadającego powstanie religii monoteistycznych. Z Puruszy zrodziła się bogini Wiradź, z której raz jeszcze zrodził się Purusza, który nie miał wrogów. Kosmos zdążył już zapomnieć o dramatach, których sceną powinien się stać zgodnie z koncepcją wedyjską. Braminizm ewoluował i - to uderzająca prefiguracja teologii chrześcijańskiej - Purusza połączył się w jedno z Narajaną, synem człowieka, i Pradżapatim, stwórcą świata oraz bogiem wszystkich bogów. Tak oto stał się zarazem bogiem i swoim człowieczym synem. Różnicując się, stworzył wszelkie formy życia, następnie zaś zdeintegrował się i rozpułnął w rytuałach.

Oznacza to, że rytuał sam w sobie stał się bóstwem i że jego wypełnianie zapewniało trwanie boga.

Także w braminizmie zło rozumiane zgodnie z jego monoteistycznymi definicjami, to znaczy jako chęć zakłócania porządku świata przez niewłaściwe postępowanie, nie istnieje. Zarówno absolutne zło jak absolutne dobro są poza zasięgiem śmiertelników. Od nich zależy dobre lub złe wypełnianie obrzędów, dlatego też hinduizm jest pod tym względem skrajnie formalistyczny. Choroba lub nagła śmierć są konsekwencją naruszenia tabu, na przykład poprzez zetknięcie się ze zwłokami albo popełnienie błędu podczas składania ofiar lub odmawiania modłów. W takich przypadkach życzliwi zazwyczaj bogowie, jak Agni, ogień niszczący zło, czy Waruna, bóg równowagi, zamieniają się w mściwe bóstwa, a zapobiec temu może tylko nowa ofiara przebłagalna.

Problem jest poważny, gdyż podobnie jak w wedyzmie, tylko skrupulatne przestrzeganie rytuałów może zapobiec najgorszemu nieszczęściu, jakim jest utrata zasług religijnych, które są brane pod uwagę przy kolejnych reinkarnacjach. Nową cechą braminizmu, podobnie jak innych odłamów hinduizmu, jest rozwój i różnicowanie wiary w reinkarnację, która występowała już w wedyzmie upaniszad. Jednostka, zależnie od tego, na co zasłużyła sobie w poprzednich wcieleniach, może powrócić na ziemię pod postacią szczura (stąd szacunek Hindusów dla tego obdarzonego zadziwiającą inteligencją stworzenia), krowy lub człowieka. Najważniejsze, by nie utracić tego, co zyskało się żyjąc w ludzkim ciele. Nie jest to możliwe bez znajomości sposobów utrzymania porządku kosmicznego, raz jeszcze związanego z rytuałem, jak dowiadujemy się ze świętej księgi upaniszad Bryhadaranja-ka- Zawiera ona nakazy dotyczące obrzędowej czystości, unikania Postępków dwuznacznych oraz przestrzegania prawa religijnego (albo dharmy), które zapewnia wiernym bezpieczny świat (lub hkę) z Jak najmniejszą ilością przykrych przeżyć podczas reinkarnacji.

Wisznuizm wprowadza zainteresowanych w złożone problem} hinduizmu. Kult boga Wisznu i jego dziesięciu wcieleń staje się zrozumiałym dla człowieka, który wyrastał w kulturze europejskiej, gdy uświadomi sobie, że stwórca świata, Isana lub Brahma, wcielił się w trójcę (Trimurti), składającą się z Brahmy, Wisznu i Siwy Europejczyka może jednak ogarnąć zdumienie, gdy się dowie, że niektóre odmiany wisznuiзму głoszące boską jedność Wisznu przekształciły się w XII wieku w monoteizmy uderzająco podobne do trzech wielkich religii jednego Boga, szczególnie zaś do chrześcijaństwa. Jako pierwszy przełamał hinduistyczną wiarę w reinkarnacji Ramanudża, hinduski reformator i myśliciel, który twierdził, że Bo Wisznu Withoba, odwieczna przyczyna istnienia świata on wszelkich istot i zdarzeń, to jedyna droga ocalenia. W związku z tym Ramanudża odrzucił

bezosobową teologię monisty Śankary (VIII-I w.) i w swoim klasztorze głosił własną naukę, ujętą w trzech księgach komentarzy. W ten sposób powstała pierwsza niechrześcijańska wiz Boga uosobionego. Filozof utrzymywał również, że dzieło stworzenia nigdy nie dokonało się w sposób absolutny, a zatem, że Wisznu VA zmaterializował się i jest zasadniczo różny od wszelkiej materii, a w swej doskonałości stanowi sumę dusz wszystkich żyjących istot ich świadomości, a nawet doznań "wyższych" (co uznać możemy z prefiguracją pewnych teorii psychoanalitycznych).

Tej postaci dualizmu Bóg-materia nie powinniśmy mylić z jego chrześcijańską odmianą, ponieważ głosi on niematerialność i nieguje wcielenie Boga. Jest więc bliższy judaistycznemu i chrześcijańskiemu gnostycyzmowi, przyjmuje bowiem, że wszystko, o materialne, nie jest boskie, a zatem - jest złe. Nie wskazuj* jednak na istnienie przeciwnika Boga - straconego anioła, bóstwa lub innej istoty. Wierny ustaleniom wedyzmu, Bóg Ramanuc nie jest "zazdrosnym Bogiem" Deuteronomionu (Księgi Powtór: nego Prawa), lecz Bogiem życzliwym, dobroczynnym. Dziel niemu człowiek może osiągnąć doskonałość, odrzucając wszelk

Łpdy i zło. Innymi słowy, jednostka osiąga boskość dzięki świadomości, zyskiwanej na drodze ascezy lub za sprawą łaski rktórej definicja zaskakująco przypomina łaskę w rozumieniu iansenizmu), lub po prostu nie istnieje. Upraszczając naukę Ramanudży można powiedzieć, że Bóg istnieje lub nie istnieje nic. Widzimy zatem, jak bardzo oddalił się on od naszej koncepcji zła wszechobecnego, pozostającego we władzy piekieł.

Nauka Ramanudży wywarła istotny wpływ na wisznuzm, nie zdołała jednak narzucić całemu temu nurtowi swojej gnostyckiej wizji. Górę wzięła tradycyjna idea Boga stanowiącego o fizycznym i psychicznym kształcie wszystkich istnień. Przetrwiał również pogląd o błędach obrzędowych jako źródle zła, ale - co znamienne - oprócz tego obok skłonności do mistycyzmu o silnie erotycznym zabarwieniu wytworzyło się pojęcie grzechu, który przekreśla możliwość stopienia się z istotą boga Wisznu. Grzechem jest zazdrość, fałsz, hipokryzja (różna od fałszu), zniewaga i pycha.

Niewątpliwie w największe zakłopotanie wprawia europejski umysł śiwaizm, czyli kult Siwy, boga zniszczenia, dawnego wedyjskiego Rudry, znanego także jako Parwati, Prithivi, Urna, Ambika, Kali i Durga, dowodzący skrajnego polimorfizmu hinduistycznego panteonu. Jeżeli metamorfozy Wisznu, który w relacjach ze śmiertelnikami występuje nawet pod postacią kobiety, zaskakują przez samą swoją liczbę, to fundamentalna ambiwalencja Siwy wywołać może prawdziwy niepokój. Ale w ten właśnie sposób hinduizm podejmuje najbardziej bezpośrednią dyskusję ze złem, dziełem diabła, którego dotąd na próżno szukaliśmy. Otóż Siwa, "ten, który daje szczęście", może stać się zarazem źródłem życia i bogiem zniszczenia, wielkim mścicielem i szafarzem wszelkich dóbr.

A zatem ów zbijający z tropu Siwa zdaje się być nieprzewidywalnym bogiem wedyzmu, który symbolizuje kaprysy sił natury, ale też i bogiem niższej rangi. Pojawia się jako "Pan zwierząt"

- Pasiupati i jako karzący bóg Aghora, jako zatwardziały złoczyńca i wzorowy mąż. Raz jest pogrążony w mistycznej zadumie, innym razem podniecony i niespokojny, gdy po długich okresach wstrzemięźliwości daje upust dzikim żądom (jego fallus ma zresztą istotne znaczenie religijne). Jest to bóg zawsze dwoisty i pełen sprzeczności, który dopiero później, wraz z rozwojem hinduizmu, został wyposażony w swoje najważniejsze cechy - z jednej strony bóstwa najwyższego, wysoce uduchowionego, z drugiej zaś - gniewnej i złowrogiej siły (otacza się chociażby zastępami demonów i z ich pomocą prześladowuje nieszczęsnych śmiertelników). Jednak żywioł gwałtowny i kapryśny nie jest bezwzględnie potępiany przez śiwaizm, który zakłada, iż można dostąpić objawienia poprzez błysk intuicji (pojęcie to odnajdujemy także w religii zeń).

W Siwie mieliśmy nadzieję odnaleźć w końcu naszego złego ducha, prekursora diabła, lecz nam się to nie udało. Ledwie zdążyliśmy się oswoić z jego zwierzęcą, wykrzywioną i ociekającą krwią ofiar twarzą, a już widzimy życzliwą, najwyższą istotę z czołem zwieńczonym półksiężycem, na którym zawsze lśnią krople napoju życia wiecznego. Jeden z mitów śiwaistycznych, świadczący o tym, jak bujna jest indyjska wyobraźnia religijna, opowiada jak to Siwa, którym teść, Daksa, gardził tak bardzo, że doprowadziło to do samobójstwa żonę boga, Sati, wyruszył w góry, by oddać się medytacji. Po

reinkarnacji Sati odnalazła małżonka na pustkowiu, lecz świat potrzebował go, by uwolnić się od groźnego demona Taraki. Oto dowód, że Siwa nie jest diabłem, skoro do niego zwracają się śmiertelni, gdy gnębi ich zło. Ponieważ jednak z Siwą nic nie jest pewne, ocalenie świata może nie nadejść. Otóż Karne, bóg miłości, spróbował obudzić uczucie w sercu Siwy. Czekał sześćdziesiąt milionów lat, by ugodzić go pierwszą strzałą (co dostarcza nam pewnych informacji o azjatyckim rodowodzie Kupidyna). Rozgniewany na śmiałka, który odważył się go niepokoić, Siwa zapragnął ukarać Karne. W tym czasie Taraka nadal pustoszył świat. Jednak moc strzały zaczęła wreszcie działać, ponieważ Siwa otrząsnął się z zadumy, dostrzegł nowe wcielenie Sati i wzruszony ascetycznym żywotem, który żona wiodła u jego boku, pozwolił, by ogarnęło go pożądanie. Spłodzone przez nich dziecko, Kumara, oswoi świat od demona Taraki.

Widzimy zatem, że Siwa fascynował, by w końcu w IV w. p.n.e. w upanisadach Sweteśwatery, osiągnąć najwyższą, przynależną mu od tego czasu pozycję, jednego z bogów Trimurti. Wielka hinduska szkoła filozoficzna, sankhja, utrzymuje nawet, że jego pięcioraka natura odpowiada dwudziestu pięciu pierwiastkom podstawowym. W XIX wieku mistyk i teolog Ramakrishna ujrzał w nim, pod postacią bogini Kali (płeć indyjskich bóstw bywa zmienna), najwyższego boga. Siwa przypomina bardzo Dionizosa, a to za sprawą tańca, który nadaje rytm życiu świata i obrzędów, których uczestnicy wprawiają się w stan upojenia. Choć jednak Dionizos nie jest bóstwem rdzennie greckim (pochodzi z Tracji lub Tesali, jeśli nie z Krety), nic nie wskazuje na jego hinduski rodowód. W dodatku w przeciwieństwie do Siwy nigdy nie bywa okrutny. Nie jest też dwupłciowy, podczas gdy Siwa raz występuje jako bóstwo męskie, kiedy indziej jako żeńskie, to znów jako męskie i żeńskie zarazem, pod postacią Ardhanariśwary (postać na wpół Siwy, na wpół Parwati).

W teologii siwaizmu istnieją wprawdzie demony, są one jednak istotami drugorzędnymi, porównywalnymi z widmami. Błędem byłoby uznawanie ich za braci "naszych" demonów i należałoby raczej nazwać je "geniuszami" niż "demonami", pojęcie to jest bowiem zbyt bliskie słowu "diabeł", oznaczającemu tego, który namawia do grzechu w religiach monoteistycznych. Można raczej przyjąć, że są one spokrewnione z sokratejskim daimonionem-doradcą.

Wydaje się oczywiste, że etyka religii, której patronuje bóg tak zmienny jak Siwa, jest bardzo skomplikowana. Równie oczywiste jest, że nie wyodrębnia ona boga zła, skoro sam Siwa często je uosabia, ulegając swym kaprysom. Natomiast zio, które może spaść na ludzi, ma źródło w budzących gniew boga niewiedzy albo nieczystości.

Polimorfizm bogów, tak wyraźny w przypadku Siwy, widoczny jest także w teologii śakti, hinduistycznej sekty bardzo silnie związanej z tantryzmem. Aby określić, czym naprawdę jest siaktyzm, musielibyśmy znacznie przekroczyć ramy tego rozdziału, tyle łączy on nurtów i tendencji, które wzajemnie się przenikają. Najkrócej można powiedzieć, że jest to kult bogini Sakti, żony (tzn. śakti) i zarazem uosobienia mocy boga Brahmy.

W wyniku przemian, w które obfituje hinduizm, Sakti została matką Siwy, choć w siaktyzmie bengalskim utożsamiana jest tylko z jednym z jego wcieleni, krwiozerczą boginią Kali. Bogini ta, kapryśna, złośliwa, ale i twórcza, odbiera często jedną ręką to, co dała drugą. Siaktyzm wydaje się więc tak bliski siwaizmowi, że właściwie powinien się z nim połączyć. A jednak stało się inaczej. W odróżnieniu od wisnuizmu, wysoko ceniącego ascezę, oraz siwaizmu, który zaleca ją w nieco tylko złagodzonej formie, siaktyzm wykreśla seks z listy zakazów. Wręcz przeciwnie, choć pod warunkiem, że są zrytualizowane, stosunki płciowe i zmysłowość zyskują rangę obrzędu zjednoczenia ducha i ciała, tego, co ludzkie, z tym, co boskie. Siaktyzm zaleca współżycie z kobietą zamężną, a to dlatego, że tę trudniej jest uwieść!

Zmuszeni jesteśmy zatem zrezygnować z poszukiwania w siaktyzmie - podobnie jak w tantryzmie kontemplacyjnym, dążącym do harmonii pomiędzy mikrokosmosem jednostki i makrokos-mosem oraz do przewyciężenia chaosu - przebiegłych, złych, zawziętych albo lubieżnych demonów.

Hinduizm ludowy, ów wachlarz opisanych wyżej prądów, dominujących w różnych regionach, nie jest w rzeczy samej jednorodnym nurtem, lecz raczej tygłem, w którym roi się od demonów; nie ma w nim jednak diabła.

Przedstawione w tym rozdziale informacje, z konieczności skąpe i lakoniczne, dają, rzecz jasna, tylko bardzo schematyczny obraz nurtów hinduistycznych, które ulegały na

przeżyci wieków zbyt licznym przemianom i wpływom, byśmy mogli je tu omówić. Zapamiętajmy jednak, że w hinduistycznej wizji świata dobro i zło są dopełniającymi się cechami dwoistych sił, oraz że istnieje czynnik intelektualny, który pomaga jednostkom w systematycznym dążeniu do doskonałości. W rzeczy samej to nie dobro lub zło powinny mobilizować wiernych do rozwoju, lecz chęć zjednoczenia się z bóstwem. Oto, dlaczego w Indiach pojęcie imperium zła nie istnieje.

Zjawisko wydaje się tym bardziej zaskakujące, że u źródeł religii indyjskich odnajdujemy ten sam wedyzm Indo-Ariów, który w Iranie dał początek ostro zarysowanym pojęciom zła i diabła. Ale Iran, jak się wkrótce przekonamy, był położony na niewielkim obszarze scentralizowanego imperium, zaś Indie nigdy się nim nie stały. Ani za panowania Maurjów, ani pod rządami dynastii Andhrów czy Satawahanów, ani później, za czasów Guptów, ani w VIII wieku, gdy krajem władali Arabowie, nie udało się nadać Indiom jednolitej organizacji politycznej. Nie zdołano im także narzucić sztywnego kanonu wierzeń, który pozwoliłby wystarczająco długo stosować tę samą zasadę rozróżniania dobra i zła, by mógł narodzić się diabeł. Jak w przekonaniu wrogów Pasteura po pewnym czasie ze sterty pleśniejącej, brudnej bielizny lęgną się myszy. Dla nas największe znaczenie ma to, że w Indiach wedyzmu, hinduizmu, dżinizmu, buddyzmu nie ma diabła. A z pewnością nie ma tam naszego diabła. Indie uchroniły się przed diabłem, którego stworzyli wyznawcy Zaratustry.

Wieczorami, gdy wieje silny wiatr, w Polonnaruwa na Cejlonie chmary owadów wdzierają się do domów, szukając tam schronienia przed swoimi wrogami. Rankiem podłoga zasłana jest białymi, błyszczącymi płatkami, srebrzystym dywanem z ich martwych ciał. To niema parabola wielkich porywów ducha, które niszczą przesady.

* Rozmowa z Fryderykiem Morin. Dwaj pozostali to Platon i Kant.

* Szkoła Starszych - przyp. tłum. zwycięstwu Buddy nad Marą wielkie znaczenie, uważa się, że demony, podobnie jak bogowie, istnieją tylko w sferze niższej, a zatem w sferze żądz. Wielcy myśliciele czasami zresztą śmiało odrzucają wiarę w bogów i demony. Buddyzm jest w swej istocie nauką o kolejnych oczyszczeniach, które prowadzić mają ku nirwanie, trudno zatem mówić o przypisywaniu diabłu czy diablom lub bogom metafizycznej natury, jak to robią religie monoteistyczne. Są to istoty realne, lecz przypadkowe. Nawet Brahma, bóg przejęty z hinduizmu i porównywalny z naszym Bogiem-Stwórcą, nie jest wieczny. Pojawia się jako pierwszy, a znika jako ostatni, na początku i na końcu każdego cyklu kosmicznego. Piekielne czy niebiańskie, bóstwo podlega zatem przemijaniu.

* Po pierwsze, dźwięk jest ulotny. Po drugie, dzieje się tak, gdyż dźwięk powstaje z konkretnych przyczyn. Po trzecie - to przykład

* Gdzie indziej tłumaczona jako miłość lub przyjazna postawa (przyp. tłum.). którą cenili rolę zmysłów, oraz skrajny ascetyzm, postulowany na przykład przez dżinizm, a zmierzający do przerywania procesów życiowych i umysłowych.

** Drawidowie uchodzą za twórców nie odczytanego do dziś pisma (NEP, II) przyp. tłum.

Chiny i Japonia - pismo, które odprawia egzorcyzmy

O buddyzmie tybetańskim, który uważa demony za wytwór ludzkiej wyobraźni - O tao i taoistycznym lekceważeniu obrzędów religijnych - O Konfucjuszu, pragmatyzmie etycznym i konfucjańskim sceptycyzmie - O shintoizmie, jego koncepcji stworzenia jako daru i o braku rozróżnienia na dobro i zło - O przyczynach nieobecności diabła w religiach Chin i Japonii - O roli pisma w zwalczaniu przesądów i diabłów.

"Szlachetny synu, słuchaj uważnie! Oto, gdy nastanie dwunasty dzień, pojawia się przed tobą krwiożerczy Budda z rodziny Karma imieniem Karmaheruka. Jego ciało jest barwy ciemnozielonej; ma on trzy oblicza, sześćcioro ramion i czworo szeroko rozstawionych nóg. Twarz po prawej jest biała, po lewej - czerwona, środkowa zaś - zielona; jej

majestat budzi lęk. W pierwszej dłoni po prawej trzyma miecz, w środkowej - puchar z czaszki, w ostatniej zaś lemiesz. Jego małżonka to bogini Karmakrodhiś-wari, opleciona wokół niego. Prawą ręką obejmuje jego szyję, lewą zaś podtyka pod usta czaszkę pełną krwi. Te złożone w uścisku postacie Jab-Jum z twojego wywodzą się mózgu, z jego północnej strony, i teraz ukazują ci się tutaj. Dlatego nie trwój się nimi! Nie lękaj się ich! Nie żyj ku nim gniewu! Rozpoznaj w nich formę twego umysłu! Tym bóstwem jest twój Jidan przeto nie obawiaj się go! W istocie jest to Jab-Jum Budd Amoghasiddhi. Oddaj mu kornie cześć! Ze zrozumieniem prz^ chodzi wyzwolenie!"

Taką oto przestrożę znajdują w Tybetańskiej Księdze Umarłych ci, których godzina wybita. W owej chwili zawieszenia, kiedy następuje przejście od życia do śmierci, bar-do, to znaczy w stani pośrednim, człowiek, który widzi przed sobą opisane wyżej bóstwa, widzi także, jak pojawia się blask i zostaje mu ukazana Światłość (Oharmakaja), doskonała natura Buddy.

Nie jest to jedyna wizja, jakiej doświadczyć może istoty przebywająca w bar-do, także wiele innych czeka na ów zawieszony byt - biała Gauri, która w prawej ręce dzierży niczym maczując martwe ciało, w lewej zaś czaszkę napełnioną krwią, żółta Czaur wypuszczająca z łuku strzałę, czerwona Pramoha, która wywi sztandarem potwora morskiego, czarna Wetali trzymająca wadzi - kulę najeżoną kolcami w prawej, a czaszkę wypełnioną krwią w lewej ręce, pomarańczowa Pukkasi, która w prawej ręce trzyma wnętrzności, a lewą unosi je do ust, zielona Ghasmari, która pi krew z czaszki trzymanej w lewej ręce i potrząsa wadzą, żółta Czandali, która ćwiartuje i pożera ciała, ciemnoniebieska Śmasiar która czyni to samo, Sinhamukha barwy wina, bóstwo z Iw grzywą, którą potrząsa, szarpiąc trzymane w paszczy zwłok szczyżące zęby, czerwona Wjaghrimukha o łbie tygrysy, czarna Srygalamukha z głową lisa, która w prawej ręce dzierży brzytwe i pożera wnętrzności ludzkie, trzymane w lewej dłoni...

Wszystkie te wizje wydadzą nam się piekielne. Ale okrutni potwory to tylko szyderstwo. Tybetańska Księga Umarłych zaleca by traktować je jak "widziadła powstające w tobie samym".

A to dlatego, że demony nie istnieją. Modlitwa umarłych jasno to wyraża:

"Gdy tak tutaj błędzę samotnie, oddzielony od mitych przyjaciół,

I ukazują mi się cielesne utudy, których istotą jest Siunjata,

Niechaj miłosierdzie Buddów przyda mi siłę

I niech się w bar-do nie pojawia trwoga i lęk!

Gdy w pięciorakiej formie pojawia się tutaj przede mną

Jasna, wyraźna światłość Mądrości - obym bez strachu i trwogi mógł w niej rozpoznać siebie samego!"².

Człowiekowi, który nie uwierzy w realność wytworów własnego umysłu, nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Po bar-do, stanie pośrednim między śmiercią a odrodzeniem, a trwającym niekiedy nawet czterdzieści dziewięć dni, nie ma już nic. Przebycie tej drogi jest trudne jedynie dla bojaźliwych.

Jeżeli umysł ukształtowany przez kulturę europejską naraża się na pewne ryzyko, decydując się na wędrowkę po niezliczonych i krętych ścieżkach religii indyjskich, tak różnorodnych, że chwilami na pozór sprzecznych, to niewiele łatwiej będzie mu zgłębiać tajniki innych azjatyckich wierzeń. Wspomnijmy choćby o buddyzmie, którego oblicze zmienia się, skoro tylko przekroczyliśmy linię Himalajów. Tam wiara wydaje inne owoce, niczym drzewko pomarańczowe przeniesione z Europy do Afryki, gdzie w ostrym słońcu owoce nabierają innego smaku.

Azja Północna zasadniczo różni się od reszty kontynentu. W V tysiącleciu Chińczycy z regionu Barkól (Szensi), który leży u wrót pustyni Gobi, u stóp Ałtaju, na południe od granicy dzisiejszej Mongolii, na własną rękę stworzyli rolnictwo. To prawda, że mieli ponad dwa tysiące lat opóźnienia w stosunku do Indoeuropejczyków, jednak stworzyli je samodzielnie, tak, jak wiele innych technologii³, co dowodzi, że od dawna przebywali na tych terenach. Wierzenia Indoeuropejczyków nie miały wpływu na rozwój ich religii. Poza tym nie wiemy o niej absolutnie nic, ponieważ nie pozostawiła po sobie żadnych źródeł pisanych z tej epoki. Możemy najwyżej powiedzieć, że Chińczycy z Północy: wierzyli w nieśmiertelność duszy, pozostawiali bowiem w miejscach pochówku żywność i narzędzia⁴. Kult płodności, o którym świadczą zachowane rzeźby i rysunki

przedstawiające narząd płciowe, koncepcja cyklu kosmicznego, oparta na wiedzy o zmienności pór roku, odpowiadają prawdopodobnie typowym dla tego okresu wierzeniom. Zainteresowanie budzą natomiast drobne wyroby z ceramiki, przedstawiające domy, które są zarazem urnami pogrzebowymi i "domostwami przodków". Niektórzy badacze twierdzą, iż chiński kult przodków sięga co najmniej II tysiącleci p.n.e. Ponieważ każdy lud tworzący swoje mity, bierze pod uwagę środowisko i krajobraz, w jakim przyszło mu żyć, także mit pierwszych Chińczyków z Północy różni się od mitów Hindusów z doliny Gangesu. Oznacza to, że kiedy przybyli tu buddyjscy misjonarze, nie zastali ziemi dziewiczej ani podobnej do indyjskiej.

Okolo roku 2000 p.n.e. Indoeuropejczycy dotarli na terytorium Zachodniej Syberii. Z badań archeologicznych wynika, że założyli tam osady, nie próbowali jednak opanować rozległych terenów ani rozpowszechnić swojej kultury⁵. Ponieważ nic nie wiem o ich kontaktach z innymi ludami syberyjskimi, trudno powiedzieć, czy przekazali elementy swych wierzeń rdzennym Azjatom. W każdym razie za panowania dynastii Szang (ok. 1751-102 p.n.e.) powstały duże ośrodki miejskie, wyłoniła się arystokracja; wojskowa, ukształtowała monarchia i wynaleziono pismo. Panteon chiński wyraźnie różnił się od indoaaryjskiego. Na jego czele stał najwyższy bóg, Szang-Ti, Najwyższy Przodek, opiekun płodności i deszczu, król bogów i przodków króla. Wydaje się, że religia ta, która poza kultem przodków cechowała też kult urodzaju, wywodzi się z systemu wierzeń istniejącego na terytorium Chin już w epoce neolitu. Jej wyznawcy składali rytualne ofiary z ludzi, o czym świadczą odnalezione w grobach królewskich obok szkieletów zwierząt bardzo liczne szczątki "złożonych w ofierze prawdopodobnie po to, by towarzyszyli władcy w zaświatach"⁶. Wiara w nieśmiertelność duszy nigdy nie skłoniła istoty ludzkiej ani do poszanowania życia, ani do współczucia. Zwłaszcza, jeśli nieśmiertelność duszy przypisywano tylko władcom.

Kult przodków zachwyca i wzrusza synowskim szacunkiem współczesnego Europejczyka, który przeważnie nie wie, że w owych czasach "tylko szlachetnie urodzeni mieli pewne powody, by troszczyć się o przodków, gdyż tylko ludzie należący do tej kategorii, posiadali duszę zdolną do przeżycia. Posiadali nawet dwie dusze - jedną będącą tylko tchnieniem zwierzęcia, którego przeznaczeniem po śmierci było przeistoczyć się w upiora krążącego nad własnym trupem, i drugą, prawdziwą, wstępującą po śmierci do niebios pod postacią geniusza, ale przebywającą tam tylko dopóty, dopóki ofiary pogrzebowe potomnych dostarczały jej strawy"⁷. W ofierze składano z reguły wieśniaków. Nieszczęśników zabijano, by utrzymać w niebiosach duszę arystokraty. Wieśniak nie miał w owych czasach duszy, podobnie zresztą, jak w niektórych stronach świata nie miał jej jeszcze w XX wieku. Dusza wydaje się być swego rodzaju luksusem. Warto zatem powściągnąć trochę nasz podziw dla kultu przodków.

Ostatni władca z dynastii Szang, Czou Sin, był bezwzględny i zepsuty. Wu Wang (Wojowniczy Król), wódz pół-nomadów, przypominających pionierów z Dzikiego Zachodu, albo postacie z filmów Akira Kurosawy, rozgromił armię Czou Sina, kładąc w ten sposób kres panowaniu okrutnika. Aby Czytelnik mógł wyrobić sobie pogląd o obyczajach epoki, która - jak się wydaje - bardzo dbała o honor, przypomnijmy, że pokonany rozpustnik wrócił do pałacu, wystroił się w perły i jaspis, następnie wspiął się na szczyt Wieży Jelenia, rozpałił ogień i rzucił się w płomień. Odnalazłszy zwłoki władcy, Wu Wang ściął mu głowę Wielkim Toporem, a potem założył własną dynastię - Czou. Właśnie za panowania tej dynastii, która nastąpiła bezpośrednio po dynastii Szang i najdłużej sprawowała władzę w Chinach (1028-256 p.n.e.), nieco wyraźniej zarysowała się koncepcja religii, w tym również dobra i zła. Ti (Szangdi), który przeobraził się w Tien (niebo), to bóg osobowy, o wyglądzie człowieka, bardzo przypomina Jahwe-Boga-Adama trzech monoteizmów. Zasiada on na Wielkiej Niedźwiedzicy, widzi i wie wszystko. Czuwa nie tylko nad ładem kosmicznym, lecz także nad prawem moralnym. Ni wiemy, czy nadal uważał, że chłopcy nie mają duszy, ale nie mam szczególnych powodów, by sądzić, że zmienił poglądy.

Z pewnością jednak możemy powiedzieć, że religia ta jako jedna z pierwszych ukształtowała pojęcie etyki inspirowanej przez niebiosa. Nie ma w tym nic niezwykłego, podobny schemat odnajdujemy dość często, szczególnie zaś w Iranie, do którego przeniesiemy się w następnym rozdziale tej książki. Z chwilą wprowadzenia władz

totalitarnej w scentralizowanym państwie, król zaczyna nazywa się "wysłannikiem nieba", toteż prawo, które wprowadza, jest rzecz jasna, narzucone przez "niebo". Oznacza to, że władz przypisuje sobie absolutne prawo decydowania o dobru i o złu.

Czy zatem w Chinach istniało absolutne zło? Tak, a było nim wszystko, co sprzeciwiało się prawu stanowionemu przez cesarza;

Znane są nam tylko nieliczne ślady chińskiej kosmogonii z tamtych czasów, ale wiemy, że już wówczas istniało pojęcie "błąd rytualnego", który na samym początku brutalnie rozdzielił nieb i ziemię. "Góra, która dotykała nieba, została spłaszczona"⁸. To już jest obraz utraconego raju, stąd coraz bliżej do pojęcia zła; a także diabła jako źródła zła. Za panowania mitycznego cesarza Yao "świat nie był jeszcze uporządkowany". Jego syn "Yu wykopał kanały i wody do morza skierował. Wygnał węże i smoki i puścił je w zarośla"⁹. Węże i smoki przeciwstawiają się porządkowi świata, a zatem są zwiastunami zła, które potrafi pokonać jedynie władza królewska.

Potwierdza się tu obserwacja, że proces zawłaszczania zarówno zła, jak i dobra przez władzę trwa od wieków i jest równie stary jak pierwsze scentralizowane państwo. Temu odwiecznemu procesowi kładą kres dopiero koncepcje filozoficzne zalecające oderwanie się od spraw tego świata (jak w Indiach), a w wymiarze politycznym - demokracja (jak w Grecji). Chiny, gdzie istniały wielkie dobra feudalne, nie wydają się zatem na pierwszy rzut oka glebą podatną na przyjęcie buddyzmu, który, jak się przekonaliśmy, uznaje zło i demony za twory ludzkiej wyobraźni, a ponadto głosi ideę równości i tolerancji. I rzeczywiście, jak się wkrótce przekonamy, buddyzm chiński zasadniczo różni się od indyjskiego, ponieważ religia musiała przystosować się do nie sprzyjających warunków panujących na wrogim terytorium.

Jednak kiedy w III wieku p.n.e., to znaczy w 300 lat po jego pojawieniu się w Indiach, buddyzm dotarł do Chin, nie było tam już owej archaicznej i okrutnej religii, którą opisaliśmy wyżej. Jej miejsce zajął taoizm, doktryna rdzennie chińska, której historia sięga VI w. p.n.e., epoki szczególnie sprzyjającej narodzinom wielkich religii Wschodu. Prawdopodobnie jej twórcą był Lao-Tzu, uważany za reinkarnację boga, a nawet za wcielenie pierwotnego tchnienia wszechświata. Ten rodzaj "pośmiertnej" gloryfikacji określany w języku angielskim terminem transmogrification, jest uniwersalny. Dziś wiemy, że Lao-Tzu był po prostu uczonym.

Termin "taoizm", wywodzący się od słowa "tao", czyli "droga", jest nieprecyzyjny, oznacza bowiem zarazem wiarę i filozofię. Podczas gdy filozofia została w ostatnim stuleciu poddana wnikliwej analizie, religia zajęto się dopiero w latach siedemdziesiątych XX wieku. W dodatku doszło do nieporozumienia, taoizmowi przypisano bowiem różnego rodzaju praktyki magiczne i cielesne (kontrola oddechu, powstrzymywanie wytrysku spermy podczas stosunku oraz inne "umiejętności" seksualne, specjalny sposób odżywiania i wiele innych działań, często związanych z tradycjami wcześniejszymi od niego¹¹), które wchłonięły, dokonały ich selekcji i oczyszczenia zgodnie z własną filozofią).

Kiedy narodził się taoizm, miejscowa ludność oddawała cześć licznej rzeszy mniej lub bardziej fantastycznych bóstw, odziedziczonych po najdawniejszych religiach. Z ich kultem związane były obrzędy, które bardziej kojarzą się z magią niż z praktykami religijnymi w naszym rozumieniu, a w każdym razie z defnicją ducha, wypracowaną przez chińskich mędrców. Obrzędy odprawiano pod przewodnictwem szamana (a zatem czarownika który twierdził, że potrafi porozumieć się z bogami i demonami za jego pośrednictwem można było poznać przyszłość i przeszłość). Krótko mówiąc, obrzędy te składały się z egzorcyzmów i zaklęć. Nas jednak najbardziej interesuje fakt, że taoizm uznaje ów panteon składający się z gromady duchów, które niekiedy są pomocne ludziom, najczęściej jednak przynoszą szkodę, a kontakt z nimi mogą doprowadzić do szaleństwa lub zguby. Chińska religia ludowa nie ma nic wspólnego z tao. "Droga" nie może prowadzić przez majaczenia chłopów i ciemnych barbarzyńców.

Wyraźnie widoczna jest niechęć taoizmu do wszelkiego rodzaju obrzędów religijnych odprawianych w wioskach, a czasami nawiązywać do tych zgromadzeń ludzi prostych, najczęściej wieśniaków, odurzonych wonnymi dymami kadzideł, upojonych alkoholem lub wywarami z alkaloidów", zahipnotyzowanych przez wirujących w narkotycznym transie szamanów, którzy pociągają za sobą wiernych w szaleńczy taniec,

doprowadzając ich do stanu obscenicznej ekstazy. Taoiści nazywali to zjawisk yin-su, "błędny kultami", a ich niechęć do tego rodzaju praktyk była tak silna, że w końcu zdołali nakłonić władze, by ich zabroniły¹².

Cóż więc miało zająć ich miejsce? Otóż w zamian zaproponow; no system interpretacji świata oparty na zasadzie równowagi między dwiema antagonistycznymi siłami - kobiecym jin i męskim ;an^, które pozostając wobec siebie w opozycji, dopełniały się nawzajem tak, jak zimno i ciepło, noc i dzień, zima i lato, ogień i woda, oraz wyobrażeniu istoty ludzkiej jako mikrokosmosu powiązanego z makrokosmosem i rządzonego przez liczby symboliczne. Tak na przykład trzysta sześćdziesiąt stawów ciała ludzkiego odpowiada trzystu sześćdziesięciu dniom roku, a uczucia i namiętności oraz pięć najważniejszych narządów (serce, płuca, śledziona, żołądek, narządy płciowe), odpowiadają pięciu kierunkom, świętym górą, częściom nieba, porom roku i żywiołom. Mikrokosmos ludzki i makrokosmos zamieszkują ci sami bogowie, a zło nie istnieje jako takie - jest ono tylko konsekwencją naruszenia porządku.

Taoizm jawi się dzisiaj jako mistycyzm zalecający oderwanie od świata. Idąc odmienną drogą, podąża w tym samym kierunku co buddyzm, a wszelkie pragnienia, nawet chęć zdobycia wiedzy, uważa za zagrożenie dla równowagi, które może spowodować rozdzielenie obu dusz - organicznej i duchowej, i w konsekwencji doprowadzić do śmierci. Głosi zasadę nieingerowania ("bezczynności" albo "działania zgodnego z naturą"), wu wei, i zaleca mistyczną ekstazę, bowiem tylko dzięki niej można zjednoczyć głęboką świadomość z najwyższym porządkiem świata - absolutem. Jeden z mistrzów tej doktryny, Czuang Tzu (IV-III w. p.n.e.), potępił nawet rzemiosło i handel, uznając, że nakłaniają do złego postępowania:

"Wyrabiajcie korce i kosze, a ludzie kraść będą korce i kosze" B.

Nawet robiąc naczynie zaburza się ład przyrody! Zło jest według taoizmu wyłącznie efektem nieporozumienia - dobro i zło, podobnie jak prawdę i fałsz Czuang Tzu uważa za odzwierciedlenie niewiedzy i nieznamości wszystkiego lub tao:

"Podejmujesz dyskusję, to zaś znaczy, że jest coś, czego nie wiesz W największym tao nic nie ma nazwy, najgorętsze dyskusje trwają choć niczego się nie mówi... Ten, kto wie, milczy, ten, kto mówi nie wie".

Widzimy więc, że z radykalnego, antyspołecznego, skrajnie kwietystycznego mistycyzmu do ludu dotarła jedynie ta część którą można by nazwać "wtórnymi praktykami", na przykład tajne stowarzyszenia i praktyki medyczne. Taoiści, lekarze i uzdrowiciele wzbogacili swą wiedzę sztukę leczenia, uczyli, jak kontro' Iować oddychanie, by "żyć się powietrzem" (ten, kto potrafi po tysiącokrotnie powstrzymać oddech, może być pewien nieśmiertelności), jak uprawiać gimnastykę, przepowiadać przyszłość i - o dziwo - jak wykonywać rzemiosło.

Choć bowiem mistycyzm taoistyczny w "czystej" postaci mógł: zostać i został przyjęty wyłącznie przez wykształcone elity, wpływ taoizmu był ogromny, a to przede wszystkim w Chinach, gdzie uległy mu sztuka i rzemiosło (dobry rzemieślnik powinien kształtować swe wyroby "od wewnątrz"). Zarówno kołodzieje, jał kowale i garncarze bardzo na tym skorzystali, tworząc przedmioty których piękno i elegancja po dzień dzisiejszy wzbudzają zachwyt. Potem wpływy te ogarnęły także Europę, gdzie mistycy, tacy jak Plotyn w III wieku i Mikołaj z Kuzy w XV stuleciu rozwinięli łączącą przeciwieństwa taoistyczną zasadę absolutnej jedności. Zwracano nawet uwagę na związki pomiędzy taoizmem a europejskimi mistykami - mistrzem Eckhartem, świętą Teresą z Avilc i hezychastami z góry Athos, którzy w XIV wieku kładli nacisk na kontrolę oddechu i koncentrację na własnym ciele.

Tych kilka nazbyt lapidarnych uwag o taoizmie¹⁴ ukazuje w jaki sposób kultura dworska (Lao-Tzu był archiwistą m dworze Czou, powiadają jednak, że opuścił go, przeczuwając upadek dynastii) wpłynęła na opisany wyżej proces tworzenia systemu etycznego i dostosowywanie go do swoich potrzeb przez władzę totalitarną. Ten paradoks wiąże się z dwiema specyficznymi cechami Chin VI stulecia p.n.e. i wieków następnych - po pierwsze z rozległym terytorium, po wtóre z izolacją świata dworskiej arystokracji.

Podobnie jak Indie, Chiny były bowiem państwem zbyt dużym, by udało się narzucić im na dłuższą hegemonię ideologiczną¹⁵. Stosunki panujące w państwie rządzone przez władzę totalitarną, porównać można do gwiazd, których aktywność określa się

odwołując się do ich wielkości¹⁶. Hegemonia, która zrodziła demony w archaicznych monarchiach chińskich, zdołała utrzymać się wyłącznie dlatego, że były to państwa niewielkie, obejmujące jedną lub dwie prowincje, a najczęściej miasta-państwa (liczba miast zwiększyła się szczególnie w okresie "Wiosen i Jesieni"). Dopiero u schyłku VI w. p.n.e. w wyniku nieustannych wojen pomiędzy królestwami i podbojów powstało prawdziwe państwo. Państewko o powierzchni około 1000 km kwadratowych z połowy IV stulecia, czyli królestwo Ts'in, wchłaniało stopniowo sąsiednie królestwa - Szu, Wei, Czu, Hana, potem Jen, Cza, Czi, Czou, tak że pod koniec III stulecia jego powierzchnia wynosiła już 225 000 km kwadratowych¹⁷.

Od zarania dziejów w cesarskich Chinach szczególną rolę odgrywał dwór, który był czymś na kształt państwa zwierzchniego, czego wyrazem było istnienie w Pekinie Zakazanego Miasta. Aż do upadku ostatniego z cesarzy było to miejsce niezwykle wytworne, gdzie protokół decydował o wszystkim, można by rzec - kierował nawet lotem motyli, gdzie panowała swoista atmosfera i rozwijała się wyrafinowana kultura. Właśnie tam w niezwykłym umyśle Lao-Tzu zrodził się taoizm. Najpierw szerzył się w kręgach arystokracji, aż do zatracenia swego politycznego charakteru, jak stało się za panowania cesarza Wu Ti z dynastii Hań (141-87 r. p.n.e.), kiedy to ministrowie, bardziej zaprzątnięci problemami ezoterycznymi niż polityką, usiłowali wcielić w życie doktrynę władzy idealnej¹⁸.

Oczywiście w późniejszych wiekach kodyfikacja taoizmu doprowadziła do pojawienia się wiary w demony, zwykle bowiem porządkowanie prowadzi do powstania dychotomii. Ale było to za późno, bo choć w kulturze ludowej występowały rozmaite diabełki, to diabeł utracił prawo bytu w Chinach, a na pewi - wśród chińskich taoistów.

Utracił je zaś nie tylko za sprawą taoizmu, lecz także inną szkołę filozoficzną, która wywarła głębokie piętno na kulturę Azji. Ową szkołą jest konfucjanizm, który również stworzył etykę i zaproponował własną interpretację świata. Czy jest (religią? Podobnie jak w przypadku taoizmu i buddyzmu, zdań są podzielone. Europejczycy tak mocno przywiązali się (myśli, że religia powinna odwoływać się do zjawisk naturalnych, iż konfucjanizm skłonni są uznawać raczej : filozofię. I z pewnością jest to filozofia, skoro Azjaci, którzy uważają się za buddystów, taoistów, a nawet chrześcijaństwo pozostają mu wierni. Można być buddystą i konfucjanistą, tak jak w Europie można być, albo raczej uważać się za chrześcijanina i heglistę. Lecz która z filozofii nie zawiera w sobie pewnych aspektów religijnych, choćby nawet była w istocie sw "bezbożna"?

Sam Konfucjusz był w każdym razie człowiekiem wierzący! ponieważ modlił się, pościł, uczestniczył w ceremoniach religijnych, składał ofiary, wierzył w niebo. To jednak nie przeszkodziło mu zdecydowanie odrzucić praktyki religijnej epoki - animizmu odziedziczonej po dynastii Yin i opisanych wyżej kulturach archaicznych. Praktyki te uległy degeneracji, przeradzając się w magię i czary. Konfucjusz zachował się jak Lao-Tzu - odrzucił je. Nic dziwnego, ponieważ w Czuang Tzu odnajdujemy relację 3 spotkania obu myślicieli. Lao-Tzu był, zgodnie z tą relacją poruszony mądrością mistrza. Ponieważ jednak Czuang Tzu spisana została przez sławnego ucznia Lao-Tzu, i zachowała w tytule jego imię, być może spotkanie (a znamy siedem różnych jego opisów) miało nieco inny przebieg.

Wywodzący się ze zubożałej rodziny szlacheckiej K'ung fu-tsy, czyli Konfucjusz, urodzony w roku 551 p.n.e., a zatem siedem lat przed Buddą, w szczęśliwych, jak już wspominałem, czasach, szybko musiał stawić czoło trudom życia. Wiemy, że wcześniej osierocony, zaznał biedy i zaczął zarabiać na swoje utrzymanie pracując w ogrodach i spichlerzach cesarskich. Mimo że był samoukiem, stał się, jak powiadają, najbardziej wykształconym mężem swej epoki. Zapewne jest w tym odrobina przesady, trudno jednak przeczyć, że był człowiekiem nieprzeciętnym.

Kluczem do jego osobowości szukać należy w reakcji na nędzę i cierpienie, które były skutkiem toczonych przez feudałów wojen, na głód, podatki i niewolniczą pracę, do której bogaci zmuszali ludność. Konfucjusz rozumiał ubogich i współczuł im. Starał się wpłynąć na sytuację, ucząc młodych ludzi. Nie narzucał im jednak szkolnych rygorów, lecz próbował rozwijać zdolności każdego z nich i skłonić ich do szczerości. "Cnotą jest kochać ludzi, mądrość polega na tym, by ich rozumieć", czytamy w Analektach Konfucjanickich. Dalej trafiamy na myśl: "Wszyscy ludzie zamieszkujący wybrzeża czterech mórz są braćmi". Mimo że wielu chrześcijan skłania się ku konfucjanizmowi, nie odnajdujemy w

naukach mistrza metafizyki, której unikał podobnie jak logiki, przekonany, że nie da się poznać rzeczywistości za pośrednictwem słów.

Choć konfucjanizm uznawał tao, ani ezoteryczne, ani mistyczne wątki taoizmu nie przystawały do jego założeń. Być może stary mędrzec przeczuł niebezpieczeństwo:

"Mistrz rzeki: »Choćby kto umiał wyrecytować trzysta utworów Księgi Pieśni, ale obdarzony urzędem nie wykaże umiejętności, a wysiany z daleką misją nie potrafi tam udzielić odpowiedzi, na cóż mu się owa wiedza przyda?*" 19

Sięgnijmy dalej:

"Mistrz rzekt: »Nie dane mi było szczęście spotkania ze świątyn Radowałbym się jednak, mogąc natrafić choćby na człowieka uczonego«"20.

Oczywiście Czuang Tzu rozumiał aluzję i czym prędzej potęp: bohaterów i twórców, których sławił konfucjanizm, a także mędrców, usiłujących narzucać społeczności obyczaje i zasad) "Tao i jego cnoty zostały unicestwione, ponieważ ktoś chciał uczynić ludzi życzliwymi i prawymi".

Trudno o bardziej jednoznaczne potępienie konfucjanizmu dążącego do zaprowadzenia na świecie rządów mądrości. Trzeba przyznać, że zalecenia konfucjanizmu czasami przypominają wskazówki J. Prudhomme'a.

Pomimo to konfucjanizm został wyniesiony do rangi filozofii oficjalnej i miał przed sobą imponującą przyszłość. Wiem:

Konfucjuszowi, którego nie znał, żyjący w latach 371-289, jego pierwszy wybitny uczeń, Meng-tsy, znany także pod zlatynizowaną nazwiskiem Mencjusza, nie stworzył koncepcji przedstawiającej potęgę niebiańskie lub piekielne. "Niebo widzi, jak widz, ludzie. Niebo słyszy, jak słyszą ludzie", pisze. Innymi słowy niebo wie nie więcej niż zwyczajni śmiertelnicy. To samo dotyczy: wszechwiedzy potęg wyższych. Otóż problemy te nie interesują;

Mencjusza, troszczącego się podobnie jak Konfucjusz o to, by uszczęśliwić ludzi na tej Ziemi pomagając im stać się jał najlepszymi. Wierzy bowiem w istnienie uniwersalnej siły witalnej, którą każdy powinien w sobie rozwijać. Kiedy człowiek; wypełnia ją, jego natura niebiańska i jego natura ziemská stają się identyczne. "Wszystkich dziesięć tysięcy rzeczy żywych tkw w nas"21. A zatem także diabeł, gdyby tylko istniał.

Siln-tsy, konfucjanista żyjący w III w. n.e. napisał: "Z natury człowiek jest zły. Dobro musi w sobie wypracować". Te słowa nasuwają skojarzenie z judaistyczną ideą grzechu pierwotnego, lecz jest to fałszywy trop. Wobec kogo dopuszczono by się owego grzechu? Na pewno nie wobec nieba, Sun-tsy nie wzywa bowiem do oddawania mu czci. Nie obdarza ono błogosławieństwem ani nie pomaga tym, którzy sami nie potrafią sobie pomóc. Nie jest też siedzibą boga nieśmiertelnego, a tym bardziej antropomorficznego. Poglądy te niewątpliwie wyrażają dezaprobatę wobec chrześcijaństwa. Człowiek niczego nie powinien oczekiwać od nieba, ponieważ jest samodzielnie funkcjonującym organizmem. W tym odrzuceniu metafizyki zdają się pobrzmiewać echa słów Pindara: "O duchu mój, nie dąż do życia wiecznego, lecz wykorzystaj wszelkie dane ci możliwości!". A co z demonami? Nie ma tu dla nich miejsca, Siin-tsy zdecydowanie odrzuca bowiem magię, wróżby, egzorcyzmy i wszelkie inne przesady. Wyklucza też możliwość odwoływania się do sił nadprzyrodzonych, ponieważ te nie istnieją, a zatem - odrzuca religię. Interesuje go imperium ziemskie. Nieustannie nakłania swoich słuchaczy do uległości, dzięki czemu staną się lepsi, co sprawi, że cesarze będą zbyteczni. "Kiedy każdy człowiek odnajdzie właściwe miejsce, kiedy zdoła nad sobą zapanować i będzie wypełniać swe obowiązki, cesarz, tkwiący na tronie niczym bryła ziemi, nie będzie miał już żadnych zajęć".

Teoretycznie buddyzm mógł w tej sytuacji działać bardzo mało. A jednak znowu stało się inaczej, ponieważ w III w. p.n.e. wykazał niezwykłą zdolność dostosowania się zarówno do taoizmu, jak do konfucjanizmu. Cesarz Aśoka, który panował na subkontynencie indyjskim w latach 321-297 p.n.e.22 jako pierwszy władca na świecie wysłał misjonarzy, najpierw na Cejlon, a potem także do Azji Południowo-Wschodniej, do Birmy, Kambodży, Syjamu i wreszcie do południowych Chin. Przed V w. buddyzm dotarł już na Jawę i Sumatrę. Nie wiemy jeszcze, któredy nauki

Gautamy przedostały się do Azji Centralnej, wiadomo jednak, że przyjęty się i tam, przetworzone w tyglu języków, religii, kultury i plemion, jakim były ziemie Tarimu23.

Byłoby dziwne, gdyby stało się inaczej, ponieważ buddyzm uległ tu wpływom irańskiego mazdaizmu, chrześcijańskiego^ nestorianizmu, wielkich głosicieli ewangelii²⁴, religii lokalnych a poczynając od VIII wieku, również islamu. Buddyzm zysk; w Chinach ogromną popularność, szczególnie za czasów dynastii Hań - jeden z cesarzy tej dynastii, Ming, uznał, że ztocist latające bóstwo, które ukazało mu się we śnie jest uosobieniem Buddy. Był to jednak buddyzm zdegenerowany, zdominowany przez miejscowy taoizm, a przede wszystkim przytłoczony lud(wymi praktykami magicznymi²⁵. Buddyzm zaczął w Chinach nowe życie. Tu zrodziła się na przykład szkoła zwana buddyzmem "Czystej ziemi", według której, by zasłużyć sobie na odrodzeniu w raju, a zatem "Czystej ziemi", wystarczyło oddać się dziesięciu, krotnej medytacji nad rajem Amitabhy. Sposób ten wydaje się niezwykle łatwy, i niestety przypomina nasz chrześcijański handt ^ odpustami.

Sukces religii "importowanej" może wydać się zaskakującą nawet temu, kto wie, jak wysoką cenę musiała ona zapłacić z popularnością. Łatwiej zrozumieć to zjawisko, jeśli uwzględnimy zwrot w poglądach propagatorów buddyzmu. Podczas gdy oryginalna ideologia buddyjska nie uznawała istnienia nieśmiertelnej duszy i trwała na tym radykalnym stanowisku, pozostając! w sprzeczności zarówno z kultem przodków, jak z taoistyczną ideą duszy dwoistej, jego propagatorzy głosili, że dusza jest niezniszczalna. Nirwana była nicością, a stała się nieśmiertelną ścieżką²⁶. Budda opowiadał się za drogą środka, nie odrzucającą namiętności, oni głosili konieczność tłumienia uczuć, raz jeszcze ulegając taoistom. I wreszcie kładli nacisk na cnotę miłosierdzia, i współczucia, podążając tym razem za konfucjanistami. Innym przykładem ustępstw jest transformacja, jakiej uległ bodhisattwa, czyli "Budda mający się narodzić", Awalokiteswara, który stał się bóstwem żeńskim i został utożsamiony z boginią-matką Kuan-in, a w Tybecie z jej odpowiednikiem, Białą Tara. Takie metamorfozy dokonywały się znacznie częściej.

Ponadto buddyzm "konfucjański", w odróżnieniu od hinduskiego, stał się pragmatyczny, można by rzec - twardo stąpał po ziemi: "Zakony miały własne wytwórnie oleju, nadzorowały wspólne magazyny, dbały o utrzymanie dróg, a nawet zajmowały się handlem i udzielaniem pożyczek pieniężnych"²⁷.

Nigdzie jednak nie natrafimy na trop pierwiastka zła, na ślad diabła. Sekta Tien-tai nauczała, że w każdej sekundzie, w każdej drobinie pyłu tkwi cały wszechświat. Czyżby zatem należało szukać diabła w każdym ziarnku ryżu?

Nawet kiedy za panowania dynastii Tang buddyzm stał się religią państwową, a mnisi musieli zwracać się o wydanie stosownych świadectw do urzędników-konfucjanistów zatrudnionych w państwowych urzędach (ponieważ biurokracja chińska jest bardzo starej daty), zupełnie jak imigranci przedłużający pozwolenie na pracę we współczesnej zachodnioeuropejskiej demokracji, nikt nie mówił o diable. Władza państwowa, dążąca do tego, by rozstrzygać, co jest dobre, a co złe, pragnąca widzieć przyczynę zła w bycie nadprzyrodzonym, chętnie by się nim posłużyła. Jednak nawet rządzący zostali ukształtowani przez taoistów, konfucjanistów i buddystów, dlatego trudno by im było uwierzyć, że istnieje zły duch. Owszem, tu i ówdzie zdarzali się ludzie przesądni, którzy wierzyli, że rozgniewane duchy zmarłych uporczywie ich prześladowają. Zdarzało się, że ktoś szukał w takiej sytuacji pomocy u szamana, który odprawiał obrzędy odstraszające te istoty, wydając dziwne dźwięki i poruszając się chwiejnym krokiem oraz składał ofiary i modlił się, by zjawy mogły wrócić do swojego świata. Na poglądy te nic nie można było poradzić, ignoranci zawsze są przesądni, a zresztą bezpiecznie było tolerować praktyki, które zapewniały spokój społeczny. Cele kapłanów i rządzących było zawsze scalanie, nie zaś wywołanie rewolucji. I nawet kiedy w Japonii radykalizm sekty Nagle) Ośnienia, Chan (późniejszy zeń, mający przed sobą okres wspaniałego rozkwitu w XX wieku w Kalifornii), sięgnął szczytu, nie pojawił się na horyzoncie diabeł.

Buddyjska sekta zeń nie była wszak pozbawiona tej egzaltacji i zuchwałości, które sprawiły, że chrześcijanie w różnych zakątkach świata - w Azji znacznie później niż w V-VI stulecie - wierzyli, iż gdzieś w pobliżu czai się diabeł z ogonem i kopytan. Zeń wyodrębnił się z dwóch kierunków - szkoły Bodhidharma buddysty, który przybył w roku 470 z Indii do Kantonu, skąd w pół wieku później wyruszył dalej na północ, oraz nauki mnicha Tao-shenga, żyjącego także w V wieku. Głosił, że przebudzenie lub oświecenie (po chińsku wu, a po japońsku satori), nie ma nic wspólnego z mechanicznym recytowaniem tekstów. Przyszłość tylko wówczas, gdy człowiek potrafi wytworzyć w sobie pustkę bo wtedy

zamieszkuje w nim prawda.

Przedstawiony w ten sposób pierwotny zeń robi wrażenie pacyfistycznego mistycyzmu, a przecież skłaniał się ku niebezpiecznej skrajności. Zapewniano na przykład, że Bodhidharma popa w tak głęboki trans, że trwał w nim przez dziesięć lat, aż wreszcie jego nogi odpadły, lecz on niczego nie zauważył. Ponieważ zaś opadają powieki przeszkadzały mu w medytacji, obciął je. Trzeba bowiem pamiętać, że adept zeń za żadną cenę nie może pozwolić sobie rozproszenie uwagi w czasie medytacji, a mistrz I hsian zaleca

"Zabijcie każdego, kto stanie wam na przeszkodzie. Jeżeli spotka' Buddę, zabijcie go! Jeżeli spotkacie Mistrza mistrzów, spotka' arthów *, zabijcie ich".

Krwawy program! Podobne wyczyny wykluczają jednak obecność diabła i demonów, godzą w ich istotę, ponieważ w pustce nie ma niczego - ani boga, ani diabła. Do ideologii tej nawiązała jednak część japońskich wojskowych, którzy zrozumieli, jakie korzyści mogą przynieść techniki medytacyjne zeń, gdy chce się osiągnąć pełną kontrolę nad ciałem, pewność reakcji, pogardę śmierci²⁸. Tak właśnie narodziły się sztuki walki.

Japonia przyjęła buddyzm, który dotarł tu z Korei, choć długo nieufnie mu się przypatrywała. A przecież kraj ten miał swoją rdzenną religię, shintoizm, lub, mówiąc prawidłowo - shintó, czyli "drogę bogów". Trzeba powiedzieć, że Japończycy nie odnosili się do buddyzmu zbyt łaskawie. Na przykład w XIII w. mnich Nichiren, założyciel jednej z sekt, określił zeń mianem "demonicznego" i oskarżył jeden z jego dwóch odłamów, zjaponizowany i popierany przez władzę cesarską Shingon, o "niszczenie kraju". Wiadomo jednak, że Nichiren był egzaltowany i niezrównoważony umysłowo²⁹. Europejczycy, dla których problemem jest nawet opanowanie języka japońskiego, z trudem mogą zrozumieć shintó, jedyną rodzimą religię Japonii, jest ona bowiem zaprzeczeniem typowo europejskiego sposobu myślenia, a także samej koncepcji religii. Jak pisze znawca Japonii, Herbert³⁰, "nie jest to religia podobna do innych. Shintó, które nie zna dogmatów, nie posiada świętych ksiąg, a jedynie krótkie teksty, nie stworzyła nigdy kodeksu moralnego, nie narzuca ścisłego obrządku, pozostaje dla Japończyków raczej świadectwem więzi łączącej ich ze współbraćmi, z naturą i bóstwem".

Tam, gdzie nie było etyki, nie mogło być definicji tego, co my nazywamy "złem", a tym bardziej symbolizującego je anty-bóstwa. Powinniśmy zatem przerwać poszukiwania i ograniczyć się do wniosku, że shintoizm nie zna diabła. Byłaby to jednak ocena zbyt powierzchowna, uznaje on bowiem istnienie przeciwieństw na ziemi i w niebie. Wedle jednej z licznych wersji mitów kosmogonicznych, kiedy dwa pierwotne bóstwa, czyli karni (a je ich osiemset miriad) Izanami i Izanagi, spłodziły władców świat którymi były przeciwstawne sobie istoty - bogini stońca Amat rasu-o-mi-kami oraz jej brat Susanoo, bóg burzy, potęga niebiańska i potęga ziemską* - doszło do konfliktu. Susanoo nie potrafił zadowolić się swoim królestwem, którym był ocean, to znaczy;

świat podwodny, i płakał tak długo, aż rzeki i morza wyschły. Chciał dołączyć do swej matki, która schroniła się w podziemny świat, "ponurej krainie", czyli w piekle, i za to ojciec, Izana[^] kazał wypędzić go z nieba. Zanim wypełniono wolę Izana[^] Susanoo poprosił, by pozwolono mu odwiedzić siostrę. Pole miał odejść na zawsze. Powiadomiona przez damy dworu o przycięciu gwałtownego i skorego do gniewu brata, Amaterasu zęb rykadowała się w sali, gdzie tkęła szaty dla niebian. Bn siostrzanej miłości tłumaczyć należy faktem, iż ziemskie karni n miało prawa wstępu do królestwa światła, zaburzałoby to bowiem naturalny porządek świata. Intruz Susanoo pogwałcił więc niebia: ski spokój, przez co dworki Amaterasu uznały się za zgwałcoi i na znak tego wbiły w swe ciała kołowrotki, ona sama z schroniła się w skalnej grocie³¹.

Jednak świat roślin pod postacią drzewa, świat zwierząt r prezentowany przez ptaka, siły płodności symbolizowane przy kobiecie karni z obnażonym łonem i piersiami, męczyzna z kl(notami, które są odpowiednikiem zdolności człowieka do twórczości piękna i bogactwa, i wreszcie cudowne lustro, świadczą o możliwości odzwierciedlenia tego, co boskie, nakłoniły Amat rasu do opuszczenia kryjówki i powrotu do nieba. Susanoo z został skazany na wieczny pobyt w krainie ziemskiej.

Istnieją liczne warianty tego boskiego konfliktu³², ja zaś starałem się przedstawić Czytelnikowi ich syntezę. Symboliczna wymowa tych mitów jest jasna - między potęgami niebiańskimi i ziemskimi istnieje antagonizm, dlatego nie da się ich pogodzić. Susanoo, bóstwo ziemskie, ma wady, takie jak bezczelność, nieprzyzwoitość, porywczność, które

można utożsamiać ze złem, a w każdym razie z naruszeniem zasad cnoty i mądrości. W jednej z wersji Nihongi* powiedziane jest bowiem: ^ami było istotą zdeprawowaną, lubującą się w słuchaniu jęków i skłonną do gniewu... Dlatego rodzice rzekli doń: »Gdybyś objął władzę na Ziemi, na pewno unicestwiłbyś wiele istnień«. W innym tekście, Bingo-fudoki, czytamy, że Susano zniszczył cały rodzaj ludzki, oszczędzając tylko Somina (który pewnej nocy udzielił mu schronienia), jego żonę i syna. Lecz jak wiele innych azjatyckich bóstw, także i jego cechuje ambiwalencja, sam bowiem nauczył swojego gospodarza różnych technik uprawy roli. Nie jest demonem, ale pełnym sprzeczności duchem, odzwierciedlającym azjatyckie postrzeganie złożoności świata. Z pewnością jednak nie jest w Japonii uważany za diabła, lecz czczony w świątyniach.

Do dualizmu świata shintó dołącza oczywiście dwoistość geniuszy lub karni, wśród których są dobre i złe. Na dowód przypomnijmy, że gdy w roku 903 minister oraz przywódca klanu, legenda kultury i poezji japońskiej - Michizane Sugawara, zmarł, padłszy ofiarą niesprawiedliwości, jego duch uporczywie nawiedzał dom cesarski i siat postrach w całym kraju. Wrogowie Michizane, a nawet syn cesarza, umierali jeden po drugim. Duch zapamiętał się w gniewie i w roku 947 oświadczył ustami dziecka, iż ma na swoje usługi sto sześćdziesiąt osiem tysięcy demonów.

Wreszcie uspokojono go, nadając mu tytuł Tenjina, niebiańskie^ karni, który nie przysługuje nawet cesarzom. A zatem demon istnieją. Są jednak tylko ziemskimi karni, pozostającymi w opozycji do karni niebiańskich. Jeżeli są niespokojne i hałaśliwe, to dlatego że również życie związane z ziemią jest niespokojne i burzliwe,

Czyżby miało to oznaczać, że shintó uważa dzieło stworzeń: za nieczyste, przywołując w pewnym sensie judaistyczne pojęcie grzechu pierworodnego? Otóż nie. "Shintó uznaje, że ludzkość; powinna być głęboko wdzięczna za dokonanie aktu stworzeń i nie czyni żadnych aluzji do późniejszej rozwiązalności świat; (Herbert). Obecność zła w świecie nie oznacza ani że świat je zły, ani że zło po kres czasów pozostawać będzie w opozycji L dobra, ani też, że ma swoją stałą siedzibę. Jest ono skutkiem: gniewu bogów. Przytoczmy taką oto opowieść: za czasów cesar;

Sujin epidemie nękały kraj, pochłaniając wiele istnień ludzkie "Pewnej nocy pogrążony w smutku mikado zasnął w pałaców kaplicy i wówczas objawił mu się bóg O mono mushi, i rzekł do:

»To, co się stało jest zgodne z moją wolą. Jeśli jednak każesz, I przed mym obliczem minister O ta taneko złożył matsuri [ofiara mój gniew wyciszy się i w kraju zapanuje spokój«"33.

Niezgodna do wyobrażenia sobie jednego jedyne diabła Aż z pewnością wierzyła w istnienie złych bogów lub bogów zarazem złych i dobrych. Trzeba by poświęcić wiele tomów, by przedstawić ich koncepcje stworzone przez wszystkie ludy Dalekiego Wschodu my jednak zadowolimy się kilkoma przykładami: "Ainow z Kuryli i Hokkaido... wierzą w istnienie złych bogów, ale bogowie nie mają żadnego wpływu na rządzenie światem; wład nad nim sprawują wyłącznie bogowie dobrzy"34. Czuczki i Kriacy wierzą natomiast, że istnieją dwa rodzaje bóstw, mają jedn; o nich nie najlepsze zdanie, sądzą bowiem, że dźwięk bębna wystarczy, by je odstraszyć, jakby chodziło o wilki czy lisy. Bębi odgrywa zresztą główną rolę w szamańskich obrzędach. Według wierzeń koreańskich "bogowie są istotami rozproszonymi wszędzie w przyrodzie; nie ma powodu by się ich lękać, pod warunkiem, że się ich nie uraziło".

Ale - i to wydaje się najważniejsze - wiara w demony słabnie w Azji wśród wyższych warstw społecznych. W wierzeniach ludów pierwotnych, albo wśród wieśniaków, demony postrzegane są jako istoty nieokrzeseane, można by rzec - pokrewne zwierzętom. Ale wśród ludzi wykształconych konceptualizacja obrazu świata powoduje odrzucenie tych wyobrażeń jako przejawów błędnej interpretacji. Przesady na całym świecie utrzymują się w najniższych warstwach społecznych. Można by zatem przyjąć, że wykształcona azjatycka arystokracja pozbyła się piekielnego balastu. I nie popełnilibyśmy błędu, jednak nasz tok myślenia byłby niepełny, ponieważ nic takiego nie zdarzyło się na innych kontynentach, w innych krajach, które przecież także miały swoje wykształcone warstwy.

Na pierwszy rzut oka religie azjatyckie spełniały wszelkie warunki konieczne, by wydać na świat diabła - podtrzymywały przesady prymitywnych ludów, nie zwalczała ich też autorytarna władza. Lecz dwa istotne ograniczenia stanęły na przeszkodzie jego

narodzinom. Przede wszystkim - rozległość terytorium i brak stabilnych granic. Indie to nie tylko kraj, ale i subkontynent, a w historii Chin na przestrzeni czterdziestu stuleci raz po raz odnotowuje się zmiany linii granicznych. Parafrazując krótką przypowieść G. B. Shawa powiemy, że można przez pewien czas utrzymać ład na kontynencie lub stale utrzymywać ład w kraju, ale nie można stale utrzymywać ład na kontynencie. Każdy najazd, każdy podbój, pociągają za sobą kłopotliwe dla panującej ideologii wstrząsy kulturowe.

Poza tym dwie wielkie religie Azji (nie licząc trzeciej potężnej szkoły filozoficznej, czyli konfucjanizmu) - buddyzm i taoizm, narodziły się niemal równocześnie w umysłach dwóch wybitnych mężów, którzy wyodrębnili od razu etykę, odzwierciedlając; porządek ziemski oraz istotę wyższą, której zgodnie odmówił cech ludzkich, a którą Budda utożsamiał wręcz z nicością. Tam gdzie twórcy nowych religii wykraczali poza granice istniejących już wierzeń, tak, jak to zrobił Zaratustra, tworzyli całkowicie nowe systemy intelektualne. Różne demony, które uganiały się po polach, wprawiając w przerażenie wieśniaków i prostaczków a które szaman potrafił utrzymać w korbach swymi czarami i zaklęciami przetrwały, nigdy jednak nie osiągnęły wieki dojrzałego, a zatem - stanu właściwego naszemu diabłu.

Stało się tak, jakby pismo odprawiło egzorcyzmy nad piekłem i jego mieszkańcami, których oblicza zastygły w grymasie złości. Przypomnijmy cytowaną na początku tego rozdziału przestrogi dla umierających, stwierdzającą jednoznacznie, że demony, które ujrzą, są to tylko wizje śmiertelników, nic, ulotne halucynacje, które dusza prawa i silna powinna bez trudu przezwyciężyć.

Żegnając się w ten sposób z demonami, a tym bardziej z diabłem, zamierzam opuścić Azję. Pierwsi przybysze z Zachodu opowiadali, że to kontynent plujący ogniem smoków. Pewnie mieli na myśli ogromne warany z wysp Komodo u wybrzeża Indonezji. Lecz jedno jest pewne - Azja wymknęła się diabłu. Azjatyckie smoki są już tylko wspaniałym motywem dekoracyjnym lub duchem podziemi. To istoty, których miłości własnej nie należy ranić. Na przykład w Hongkongu przed rozpoczęciem budowy domu trzeba upewnić się, czy nie zakłóci się spokoju któregoś z nich.

Wszystko wskazuje na to, że twórcy imponującego drapacz; chmur Banku Chińskiego zlekceważyli tę zasadę. Trzeba było choć z opóźnieniem, naprawić błąd, ale wtedy kosztowało to już: znacznie więcej...

* Arthowie - święci mężowie, którzy osiągnęli nirwanę i wyzwolili się spod władzy namiętności, wyrwali się z kręgu reinkarnacji.

* Poza nimi narodziło się też trzecie dziecko, Tsuki-yomi, b Księżyca.

* Tekst napisany w roku 720 i będący, obok Kojiki (712) jednym z najważniejszych świętych tekstów shintoizmu. Znanych jest siedem jego wersji.

Zaratustra, pierwszy ajatollahowie i rzeczywiste narodziny diabła

O tym, jak stara jest cywilizacja Iranu - w tak zorganizowanym państwie - O scentralizowanej władzy pierwszego indoeuropejskiego królestwa - O potrzebie silnej religii - O aryjskim wedyzmie - O rewolucji zaratustriańskiej w VI w. p.n.e. - O dualistycznej koncepcji nieba i piekła - O powstaniu pierwszego monoteizmu w historii religii

- O Zaratustrze i jego osobowości - O tym, dlaczego sprzeciwił się składaniu krwawych ofiar, popieranym przez arystokrację - O "ewangelicznym" charakterze Gat - O pojawieniu się siedmiu grzechów głównych i o przeczuciu apokalipsy - O narodzinach demonologii

- O dziedzictwie zaratustriańskim i o Manim - O inwencji politycznej magów zaratustriańskich i próbie dokonania teokratycznego zamachu stanu - O antyklerykalizmie Dariusza i o tym, dlaczego zmuszony był uznać religię Zaratustry.

Upłynęło około czterech tysięcy lat od chwili, gdy gromady jeźdźców, które nadciągnęły z południa dzisiejszej Rosji, z rozległych terytoriów obejmujących dorzecza Dniepru i Dońca, dolinę Wołgi i stepy Kazachstanu, przedostały się przez góry Kaukazu na zielone równiny Iranu i tam osiadły. Znad brzegów Morza

Czarnego i Azowskiego przybysze przenieśli się nad Morze Kaspijskie i Zatokę Perską, skąd część plemion ruszyła w kierunku Grecji i Anatolu, inne zaś powędrowały przez Skandynawię i Finlandię na Wyspy Brytyjskie, gdzie dotarły około 2000 r. p.n.e. Możemy sobie wyobrazić, jak w obcisłych spodniach, w czapkach przypominających nasze kominiarki jechali na niskich koniach, wydając gardłowe okrzyki, które z trudem przebijały się przez łoskot kół ciągnących za nimi wozów z kobietami, dziećmi i dobytkiem.

Pośród tego dobytku, wśród sprzętów domowych, skrzyń i worków, był już ukryty - choć świat miał dowiedzieć się o tym dużo później - jeden z najsilniejszych środków wybuchowych wynalezionych przez człowieka; wtedy jeszcze prawie nic, ot, kilka wierzeń symbolizowanych zapewne przez statuetki i amulety, a w rzeczywistości - zarodek diabła. Ci przybysze, wojownicy i pasterze, nazywani "ludźmi kurhanów" (od rosyjskiego kurgan), mieli stworzyć pierwszą na świecie religię, która jedyne diabła przeciwstawiła jednemu bogu'.

Ta potężna migracja powtarzająca się zresztą, choć innymi szlakami, także w następnych stuleciach, stanowi z wielu względów jedno z najważniejszych wydarzeń w dziejach ludzkości. Uczestniczyły w niej ludy indoeuropejskie, nazwane tak z racji podobieństwa wywodzących się z sanskrytu języków, którymi się posługiwały. Niemal wszystkie języki europejskie - górno- i dolno-niemiecki, łacina, greka, francuski, angielski, armeński, norweski czy litewski pochodzą od sanskrytu. Najazdy Indoeuropejczyków stworzyły podwaliny kultur, które daty początek naszej dzisiejszej cywilizacji od Władystoku po Los Angeles i Rio de Janeiro poprzez Paryż, Rzym i Ateny. Ogromny blok kultur i wierzeń zwany cywilizacją Zachodu uformował się w wyniku tej kolonizacji. Znaczna część nowych systemów interpretacji świata, w tym pojęcie boskości, nie powstałaby bez podboju Bliskiego i Środkowego Wschodu, niemal całej Europy oraz części kontynentu azjatyckiego, dokonanego przez "ludzi kurhanów". Dziś zapomnieliśmy o tych wydarzeniach, podobnie jak o wielu innych. Grecy jednak doskonale wiedzieli, że tam była nasza kolebka. Właśnie w Kolchidzie, gdzie płynie rzeka Rioni, usytuowali górę, do której Prometeusz został przykuty za to, że zdradził bogów, wykradając im ogień, do Kolchidy też wyprawili się w poszukiwaniu Złotego Runa Argonauci.

Chociaż przybywający na nowe tereny "ludzie kurhanów" trwali wciąż przy organizacji plemiennej, mieli już ukształtowany system społeczny, własną technikę i religię. Władza królewska podlegała kontroli starszyny, którą uznać możemy za poprzedniczkę parlamentu w nowoczesnym państwie. Jeśli chodzi o technikę, nie tylko znali koło i mieli wozy, ale potrafili również żeglować po rzekach. Uprawiali już pola, siejąc zboża, z których robili mąkę. Ich religia uznawała nieśmiertelność duszy oraz istnienie życia pozagrobowego, w świecie rządzonym przez męskie bóstwo, którego atrybutem był topór lub młot; jemu właśnie powierzano zmarłych. Lud ten czcił boginię-matkę, której kult przejął zapewne od dawniejszych mieszkańców kraju, a także Słońce i święty ogień. Wiemy też, że kozłowi, wężowi i dzikowi przypisywano magiczną moc.

Nie wiadomo, od kiedy wierzenia te uległy wpływom religii Indii, ani jak do tego doszło, pewne jest tylko, że tak się stało. W ostatnich trzech wiekach II tysiąclecia p.n.e. Hindusi osiedlali się na Bliskim Wschodzie. Świadczy o tym lista bóstw sporządzona przez króla Mitanni, Matizawę, w traktacie zawartym w 1380 r. p.n.e. z hetyckim władcą Suppiluliumą. Odnajdujemy tu imiona bóstw panteonu hinduskiego - Mitrę (Mitrę), Warunę (Uruwnę), Indrę (Indarę), Naszatię (Nasadiję). Indie i Iran długo czciły wspólnych bogów, wymienionych w świętych księgach Wed.

A zatem na dwa, może trzy tysiące lat przed naszą erą, jeszcze zanim nastąpiła epoka żelaza, Indoeuropejczycy stworzyli prawdziwą cywilizację, być może pierwszą cywilizację

godną tego miana. Kiedy osiedlili się w Iranie, postępowali jak prawdziwi władcy, budując na wyżynach ufortyfikowane miasta, a wokół nich wioski, na poty ukryte pod ziemią. Stamtąd rozciągać mogli blask, który opromieniał nie tylko Wschód, lecz i bardzo odległe zakątki świata. Dotyczyło to zarówno wpływów politycznych, jak intelektualnych.

Cywilizacja indoeuropejska, zdaniem historyków, wywarła najsilniejszy wpływ na formowanie się dawnych religii. Przez wiele stuleci, dzięki położeniu geograficznemu i silnej organizacji politycznej, wywierała wpływ na znaczną część religii Bliskiego Wschodu oraz wschodnich wybrzeży Morza Śródziemnego. Zbrojny opór państw helleńskich, nawet wojny medyjskie, nie stanowiły w tym przypadku wielkiej przeszkody, ponieważ wpływy indo-aryjskie dostrzegamy nawet w greckim orfizmie. Judaizm z okresu po exodusie, podobnie jak gnostycyzm rozmaitych odłamów judaizmu i chrześcijaństwa, chrześcijaństwo, a także islamski szytyzm noszą ich mniej lub bardziej wyraźne znamię. Można zaryzykować twierdzenie, że przeważająca część teologii monoteistycznych, które legły u podstaw współczesnych kultur, ukształtowała się na wzór irańskiej. Anioły i archanioły Żydów, chrześcijan i muzułmanów, a zatem i nasz diabeł, stamtąd wywodzą swój rodowód. Islam na przykład przejął irańską wizję raju. Już w Awescie, podobnie jak w późniejszym opisie raju muzułmańskiego, czytamy, że dusze wybrańców witane są przez piękne młode dziewczęta, które wyliczają wszelkie zasługi zmarłego. Religia irańska zasługuje więc na szczególną uwagę, a ze względu na jej ogromne wpływy dokonując analizy warto także zastanowić się głębiej nad jej pochodzeniem.

Indoeuropejscy najeźdźcy nie przybyli na pustkowiu. Historia Iranu jest niezwykle długa. Wydaje się, że jego terytorium było zaludnione niemal bez przerwy, pomiędzy okresami zlodowaceń, podczas gdy na innych obszarach na ogół tak się nie działo. Człowiek żył tam co najmniej od górnego paleolitu, a zatem od trzydziestu pięciu tysięcy lat, chociaż właściwie pojawił się już sto tysięcy lat temu, o czym świadczą odkrycia dokonane w latach trzydziestych naszego stulecia w górach Zagros, w zachodnim Iranie. Nie wyklucza się nawet możliwości odnalezienia śladów ludzkiej obecności w okresie dolnego paleolitu, to znaczy przed stu pięćdziesięcioma tysiącami lat. A zatem jest to kraj, gdzie stosunki społeczne kształtowały się od tysiącleci.

Wspólnoty, które zastali w Iranie Indoeuropejczycy, nie były rozproszone, jak we wschodniej Azji, lecz skupiały się na wyżynach. Tu pojawiły się pierwsze osady, których mieszkańcy trudnili się uprawą ziemi i udomowieniem zwierząt. Iran był jeśli nie pierwszym, to na pewno jednym z pierwszych regionów, w których dokonała się rewolucja neolityczna, czego świadectwem są "zachodnie" osady Guran, Asiab, Gandz-e-Dareh, Ali Kosh oraz leżące na obecnej granicy z Irakiem osady wschodnie, jak Karim Szahir i Zawi Semi Chanidar. Począwszy od VIII tysiąclecia p.n.e. istniało tu już rozwinięte rolnictwo. Powstały zatem podstawy cywilizacji, dlatego osady na wyżynach i w Kuhistanie² wyrastały jedna po drugiej.

Te osady miały swą religię. Nie możemy jednak twierdzić, że ją znamy - wyjaśniałem już w rozdziale poświęconym wierzeniom Oceanii, jak wygląda nasza wiedza na temat religii prehistorycznych. Możemy przypuszczać, że panował tam politeizm, a pomiędzy poszczególnymi wioskami istniały pewne różnice. Eliade utrzymuje, że na całym Środkowym Wschodzie czczono byka³, co jest możliwe, ale nie zostało dowiedzione i należy przynajmniej powstrzymać się od podawania go za dowód ubóstwienia pierwiastka męskiego. Co prawda w Catal Hüyük w Anatolii, osadzie z VIII tysiąclecia p.n.e. odnaleziono bukraniony, które zdają się potwierdzać tezę o "kulcie" byka, lepiej jednak zachować ostrożność w interpretacji symboli o licznych, być może, znaczeniach. Niewątpliwie istnieje podobieństwo między rogami byka, półksiężycem i macicą (wraz z jajowodami). Egipski hieroglif oznaczający macicę ma kształt rogów byka. Amerykanin Cameron szczegółowo przedstawił zresztą tę interpretację⁴. Wymownym przykładem nawarstwiania się symboli jest egipska bogini płodności, Hathor, przedstawiana z półksiężycem między krowimi rogami. Wolno nam w każdym razie uznać, że dawne religie łączyły byka i płodność w podwójnym symbolu kobiecości i męskości, siły i płodności. A ponieważ ciąża krowy trwa dziewięć miesięcy, podobnie jak ciąża kobiety, tego rodzaju zbieg okoliczności musiał zainspirować pierwszych rolników.

Równie wymowny wydaje się fakt, że w Elamie, jednym z dużych państw półksiężyca, najwyższa bogini - Kiririszna - przedstawiana była jako kobieta siedząca w kucki, jak w

czasie porodu, i trzymająca się za piersi, co wyraźnie wskazuje na kult płodności. Trudno jednak dostrzec, choć mogliśmy się tego spodziewać, związek jej towarzysza, boga Inszu szinaka, z bykiem.

Na wyżynach Iranu nie tylko najwcześniej narodziła się świadomość społeczna, ale zapewne i religijna. Ponieważ jednak do potowy III tysiąclecia wyżyny pozostawały w znacznej izolacji, właściwa religia irańska rozwinęła się w Elamie, królestwie, które obejmowało doliny dwóch dużych rzek - Choaspes i Eulaios oraz pasmo pobliskich gór. W jego granicach leżały cztery miasta, w tym sławna Suza, stolica państwa.

Królestwo Elamu powstało bardzo wcześnie, prawdopodobnie około roku 2700 p.n.e. Podporządkowane ściśle zasadom władzy dynastycznej, zmuszone było ponosić znaczne ciężary militarne, pod jego kontrolą pozostawała bowiem część wyżyn, a trzeba było także powstrzymać próby ekspansji ludów ze Wschodu. Do chwili utworzenia Królestwa Medyjskiego w połowie IX w. p.n.e. historia Elamu była pasmem podbojów i starań o rozszerzenie wpływów. Kraj toczył wojny z Urem, Babilonem i Asyrią. Religia, o czym świadczy znaczenie słowa religio, wywodzącego się jak wiemy od ligare, to znaczy "wiązać", była zatem problemem natury politycznej. Kiedy pojawili się Medowie, a następnie Persowie, zastali silne i od dawna istniejące struktury polityczne i religijne, których twórcami byty do dziś nie określone, ale z pewnością nie indoaryjskie populacje.

A zatem na długo przed najazdami Indoeuropejczyków na terytorium dzisiejszego Iranu istniały już warunki szczególnie sprzyjające rozwojowi silnej władzy scentralizowanego państwa--narodu. W każdej starożytnej cywilizacji, nie tylko w Iranie, władcę niemal zawsze otacza coś, co można by nazwać "aurą powodzenia". Nawet, jeśli jego pozycja pochodzi z nadania społeczności, z jej wyboru, jest on zarazem wybranym losu, lub inaczej mówiąc - niedostępnym bogów - i staje się ich reprezentantem na ziemi. Dlatego też jest gwarantem dopełniania obrzędów związanych z kultem tych bogów i poszanowania ich woli, którą wypowiadają za jego pośrednictwem. Wspomnijmy przy okazji, że słynna triada król-kaptan-wódz, o której pisał Dumezil⁶ wymaga w tym kontekście pewnych wyjaśnień, trzeba bowiem wziąć pod uwagę, że często król jest zarazem najwyższym kapłanem i wodzem naczelnym. Świadczą o tym przykłady faraonów i królów żydowskich.

Boskim kultem otaczane są w każdym razie nie tylko bóstwa, ale i sam król. Dlatego też władca nie może dopuścić do nadmiernego rozbudowania panteonu (jednak Cyrus i Dariusz, których władza była niepodważalna i niezwykle silna, przez pewien czas tolerowali to zjawisko). Zbyt wielka liczba różnorodnych bóstw i mocy rywalizujących ze sobą, a także brak ich wyraźnej hierarchii, mogłyby rzeczywiście osłabić władzę królewską.

Taki system polityczny wymagał silnej i bogatej w symbole religii, zdolnej opanować zbiorową wyobraźnię. Stał się nią wedyzm, bazujący na świętych księgach Rygwedy⁷. Kiedy Medowie dotarli do Iranu, wyznawali go wszystkie żyjące tam ludy. Pierwotnie była to religia arystokracji, Ariów, którzy przybyli z Indii. Składali oni hojne ofiary z koni i wołów, brali udział w orgiastycznych obrzędach, w czasie których odurzani narkotykami wierni spółkowali ze sobą i dokonywali okrutnych czynów. Religia ta została narzucona ludom irańskim.

Co jednak kryje się pod określeniem "ludy irańskie"? Są to nie tylko owe szczepy indoeuropejskie, które przybyły po raz pierwszy w III tysiącleciu, a ponownie w roku 1700 p.n.e. na terytorium odpowiadające w przybliżeniu obszarowi dzisiejszego Iranu, ale także te, które osiadły na ziemiach Scytów i Sarmatów, po obu stronach Morza Kaspijskiego oraz Alanów, wędrujących między Donem i Uralem. Można przypuszczać, że istnienie miast-państw, które przyczyniło się do silnej strukturalizacji religii irapskiej, rozszerzyło jej wpływy także na pobliskie ludy. Najogólniej rzecz biorąc na wschód, to znaczy na Sogdię, Baktrię (dzisiejszy Afganistan), Sakastan (Sistan), Arachozję i oczywiście na południe, na Karmanię (dzisiejszy irański Beludżystan), na krainę Fartów, zajmującą część obecnego terytorium Turkmenii, sąsiadujące z ziemiami Sarmatów i Irańczyków Asyrię i Babilonię oraz Królestwo Kasytów, a zatem tereny odpowiadające mniej więcej dzisiejszemu Irakowi.

I oto przybyli Medowie. Wówczas też wybita godzina chwały. Królestwo Medów założone według Herodota przez niejakiego Deioca w 728 r. p.n.e. (prawdopodobnie jednak sto

lat wcześniej), mniej więcej dziesięć wieków po inwazjach indoeuropejskich stało się zalążkiem nowego imperium Iranu i było z pewnością państwem wojowniczym i na ogół zwycięskim, jeśli pominiemy okres dominacji Scytów, trwający od połowy VII do schyłku VI stulecia. W VI i V w. p.n.e., w epoce Achemenidów, było to jedno z wielkich imperiów świata, sięgające od Libii po Indie, od Morza Czarnego, Kaspijskiego i Aralskiego, aż po Etiopię i zajmujące wschodnie wybrzeże Zatoki Perskiej i Morza Arabskiego. Zwano je Imperium Siedmiu Mórz - Śródziemnego, Czerwonego, Czarnego, Kaspijskiego, Aralskiego, Arabskiego i Zatoki Perskiej. Było jednym z najrozleglejszych państw w dziejach świata. Pokonał je dopiero Aleksander Wielki, który podbił niemal cały ten obszar.

Ludność królestwa Medów posługiwała się wieloma językami, przede wszystkim jednak mówiła po aramejsku. Tego języka używano niemal w całym imperium, był on bowiem językiem cesarskich urzędników i nie opanował właściwie tylko prowincji elamickiej. Poza tym w powszechnym użyciu był staroperski, babiloński i elamicki.

Około roku 600 p.n.e. doszło do rozłamu religijnego. Wtedy to dokonano reformy zaratustriańskiej, którą należy uznać za wydarzenie niezwyklej wagi. Aż do tej chwili dominował na tym obszarze wedyjski politeizm. Poza Rygwedą dysponujemy nielicznymi tylko tekstami dotyczącymi życia religijnego w Iranie przed nastaniem zoroastryzmu. Wiemy w każdym razie, że w religii wedyjskiej główną rolę odgrywały dwie grupy mocy nadprzyrodzonych - ahury, czyli bóstwa wyższe i dewy, bóstwa niższego rzędu. Jednym i drugim przewodzili bogowie najwyżsi - Ahura Mazda i Mitra, którzy kierowali biegiem Słońca, Księżycy i gwiazd. Nie znano natomiast przeciwnika boga, którego moc byłaby porównywalna z potęgą diabła.

Ale oto w historii religii pojawia się pojęcie zupełnie nowe

- pojęcie zbawienia. Głównym problemem religii irańskiej jest

- i to jeszcze przed reformą zaratustriańską - zbawienie indywidualne i zbiorowe. Można wręcz powiedzieć, że diabeł mógł pojawić się tam równie łatwo, jak paciorkowce na pożywce z agaru. Kto mówi "zbawienie", mówi zarazem "potępienie", kto zaś mówi "potępienie", mówi "diabeł". Po raz pierwszy ostateczny i nieodwołalny sąd nad duszą zmarłego dokonuje się w religii Sarmatów i Alanów (wierzenia Scytów są słabo znane). Podczas obrządku pogrzebowego Osetyńców, bdhfaldisynu, zabiera głos jeden z mężczyzn, by przypomnieć, że dusza zmarłego, która odjechała konno do krainy bohaterów, Narts, będzie musiała przepawić się przez wąski most rozdzielania, czyli Szinwat Peretu. Jeżeli dusza należała do człowieka prawego, bez trudu przedostanie się na drugą stronę, w przeciwnym wypadku most załamie się pod nią i jej rumakiem. Znane są różne warianty tej przeprawy. Według medejskiej sekty zurwanistów, nazwanej tak od imienia Zurwana, boga czasu i przeznaczenia, most zamienia się w ostrze miecza, kiedy przechodzi po nim winowajca. Ten obraz coś nam przecież przypomina.

Dokąd idzie ten, kto zawinił? Jeżeli osąd Rasznu, boga rozstrzygającego o losie duszy, jest niekorzystny, grzesznik trafia w piekielne czeluście, do hamestaganu, gdzie pali go ogień i duszą cuchnące opary. Nawet po reformie zaratustriańskiej piekło to jest tylko miejscem tymczasowego pobytu i przestanie istnieć po zmartwychwstaniu w dniu Sądu Ostatecznego. Zwróćmy uwagę, że oto pojawia się kolejny bliski chrześcijanom wątek, przy czym piekło w takim rozumieniu bliższe jest chrześcijańskiemu czyśccowi niż piekłu - miejscu wiecznego pobytu. Natomiast pojęcie zbawienia implikuje już pojęcie grzechu.

Motyw zbawienia przybiera wyraźniejszy kształt w prezaratust-riańskim micie Mitry, wybawcy zapowiadanego jak nasz Zbawiciel przez proroctwa. Jego narodziny, także podobne do narodzin Jezusa, miały miejsce w grocie. Był cudownym dzieckiem, a jego przyjście na świat oznajmiła niezwykle gwiazda. Mitra to niebiański pośrednik między antagonistycznymi bogami - Ahura Mazdą i Arymanem (lub Angra Mainju), dobrym i złym, władcami świata, zrodzonymi przez obojętnego demiurga, nazywanego różnie przez rozmaite nurty religijne. W wierzeniach irańskich jest to Ahura Mazda, który począł samego siebie, zaś według zurwanizmu był nim Zurwan, obojga płci bóg, który dał życie bliźniętom - Ahura Mazdzie i Arymanowi, czyli dobru i złu. Mitra przejmuje funkcje Wisznu, który w religiach poprzedzających zaratustrianizm uważany był za zbawiciela świata. Otóż, gdy bogowie i demony toczyli walkę, siejąc ogień we wszechświecie, a nawet - co jest jak na owe czasy niezwykle w metafizyce - grozili jego zniszczeniem,

Wisznu okrył go swoim ciałem i pozwolił mu się odrodzić.

Warto zaznaczyć, że religia irańska, która przetrwała bez przerw do III w. n.e., to znaczy do okresu partyjskiego, wypracowała wizję diabła znacznie dokładniejszą niż wszystkie inne religie.

W tym miejscu należy podkreślić, że rola społeczna, jaką pełnić może bóstwo, zarysowuje się tu niezwykle wyraźnie. Weźmy na przykład Arjamana, który kojarzony często z Waruną i Mitrą, uważany był także za głównego "pomocnika" tego ostatniego. Arjaman, którego imię znaczy "przyjaciel", "czuwa nad trwałością więzów łączących członków społeczności Ariów", jak pisze Du-meził, dba, by przestrzegano reguł gościnności, zapewnia wędrowcom bezpieczeństwo na drogach (nie tylko na ziemi, ale i w zaświatach), opiekuje się małżeństwem, pilnuje wypełniania rytuałów, wymiany upominków i składania danin. Podstawowym obowiązkiem z dziedziny spraw nadprzyrodzonych, jaki ciążył na tym swojego rodzaju "ministrze spraw społecznych" jest zatem czuwanie nad "ojcami", który to termin zdaniem Dumezila oznacza zarówno duchy przodków, jak całe zastępy pomniejszych demonów⁹. Ten aspekt boskości jest szczególnie istotny, dowodzi bowiem, że Ariowie, prawdziwi, pierwsi Ariowie, kształtowali swe bóstwa, z pewnością zaś Arjamana, zgodnie z potrzebami społeczności. Irańczycy uważali, że ich bogowie istnieją po to, by kierować sprawami ziemskimi.

Nawet po reformie zaratustriańskiej, kiedy Arjaman utracił godność bóstwa i powrócił jako Sraosza - "król irańskiej krainy" - zachował podobne do poprzednich funkcje, wzbogacone o dodatkową, którą uznać możemy za prefigurację roli chrześcijańskiego Anioła Stróża. Sraosza to ten, który "chroni przed demonami pragnącymi zaciągnąć do piekła w ciągu trzech dni po śmierci duszę, która najpierw czuwa przy swym ciele, potem zaś wzbija się w przestworza, aby przejść z tego świata na drugi", pisze Dumeził (cytując komentarz J. Darmestetera do Zend Awesty I). Widzimy zatem, że pierwszy prawdziwy monoteizm jest już blisko.

Irański politeizm oparty jest więc na systemie scentralizowanej władzy niebiańskiej, która stanowi nadprzyrodzone odwzorowanie władzy ziemskiej i podobnie jak ta ostatnia, bazuje na chwiejnej równowadze pomiędzy dobrem a złem. I tak jak owa względna równowaga ma trwać aż do chwili ostatecznego triumfu dobra, co nastąpi w bliżej nie określonej przyszłości. Jest to władza podbojów, dokładnie taka, jaka utrzymywała się w Iranie, zwłaszcza we wspaniałym okresie panowania Achemenidów. Wedyzm odzwierciedlał więc strukturę polityczną imperium, na czele którego stał król, a arystokracja miała uprzywilejowaną pozycję.

I wreszcie pojawia się Zaratustra.

Zaratustra w języku staroperskim, a we współczesnym perskim Zartoszt lub Zardoszt, urodził się prawdopodobnie około 628, a zmarł około 551 r. p.n.e. Znaczenie jego imienia nie jest jasne. Platon nazywa go "synem Oromazdesa"¹⁰, co ma sens symboliczny, Oromazdes bowiem to sam Ahura Mazda, jeden z dwóch wielkich bogów panteonu wedyjskiego. Także Plutarch w I w. n.e. przypisuje mu kontakty z bogamin, a Pliniusz zapewnia, że śmiał się od dnia swoich narodzin¹². Oznacza to, że już w starożytnej Grecji był postacią legendarną, synem boga, herosem. Według Diona Chryzostoma Zaratustra poszedł na szczyt góry, którą trawił ogień, lecz płomień nie tknął go i mógł stamtąd przemówić do ludu.

Sama osoba proroka także zasługuje na uwagę. Trudno wszak wyobrazić sobie, że charakter reformatora mógłby nie wpłynąć w zasadniczy sposób na podejmowane przezeń działania i decyzje, podobnie, jak trudno przypuścić, by reforma dokonała się w nie sprzyjających warunkach historycznych.

Z pewnością wiedzielibyśmy o nim znacznie więcej, gdyby Spend Nask, trzynasta księga Awesty¹¹, zawierająca jego biografię, nie zaginęła; niestety, pozostałe księgi niewiele mówią nam o jego życiu. Tylko jedna z Jaszst zapewnia, że cała przyroda uradowała się z narodzin proroka oraz że był kapłanem-ofiarnikiem i kantorem recytującym inwokacje, w san-skrucie nazywanym hotarem. Ta informacja jest szczególnie interesująca, Zaratustra zwrócił się bowiem przeciw ludziom składającym w ofierze woły. Po głębszej analizie przekonujemy się, że nawet te nieliczne cechy osobowości Zaratustry wspomniane w Awescie są bardziej znaczące niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

Wyprzedzając o ponad sześć wieków historię kuszenia Jezusa na pustyni, kolejna księga Awesty, Wendidad, opowiada, jak szatan zbliżył się do Zaratustry nakłaniając go do wyparcia się wiary, Jaszty zaś mówią, że Zaratustra odniósł zwycięstwo nad demonami i przepędził je z ziemi. Inne, późniejsze księgi, które o nim wspominają, to hagiografie zawierające opisy licznych cudów, w tym - cudownych uzdrowień. Zaratustra niewątpliwie uważany był w swoich czasach i przez następne stulecia nie tylko za proroka, ale też za człowieka obdarzonego nadprzyrodzoną mocą. To właśnie sprawiło, że uważano go nawet za postać mitologiczną, a nie historyczną, podobnie jak część historyków podawała w wątpliwość istnienie Jezusa. Taki już jest los proroków...¹⁴. Lepiej oszczędźmy jednak Zaratustrę, który był postacią z krwi i kości i w określonym momencie historycznym zreformował wedyzm.

Nie wiemy dokładnie, gdzie urodził się prorok. Część historyków wymienia Baktrianę (czy Baktrię), inni Medię lub Persję. Według dwóch ksiąg Awesty - Jaszty i Wendidad, dom jego ojca Puruszasy ("Na srokatym koniu"), gdzie prorok przyszedł na świat, wznosił się nad rzeką Dareją w prowincji Airanwej. Ponieważ inne źródła wskazują, że znajdował się bliżej Atropaten, można wnioskować, że było to w prowincji Aran, nad rzeką Araks, w pobliżu północno-zachodniej granicy z dawną Media\>, tuż przy granicy z Armenią, na wybrzeżu Morza Kaspijskiego. Pochodził zatem z krainy magów i niewątpliwie był jednym z nich. Wiemy, że był żonaty, znamy bowiem imię jego młodszego dziecka, córki Puruczisty. Z niezastąpionych Jaszty wiemy także, że należał do klanu hodowców koni, Spitama, "atakujących jak błyskawica". Jego pełne imię brzmi Zartoszt Spitama.

Dość szybko zraził do siebie wiele osób. Był ubogi i mówił o tym otwarcie w modlitwach do Ahura Mazdy. "Wiem, o Mądry, dlaczego jestem tak bezradny. Zbyt nieliczne mam stada, zbyt mało ludzi". Zwrócił na siebie uwagę i wzbudził niechęć gromady młodych wojowników, ludzi aroganckich i bogatych, należących do tajnego bractwa, "Stowarzyszenia mężczyzn", którego dewizą była aeszma - wściekłość. Dziś nazwalibyśmy ich awanturnikami. Znamy nawet imiona dwóch z tych mężczyzn, których prorok poddał pod osąd swych zwolenników. Byli to niejaki Bandwa i "mały książę Waepja", który podczas surowej zimy nie udzielił schronienia prorokowi i towarzyszącym mu, wycieńczonym i drżącym z zimna, zwierzętom. Opowieść ta pomogła odeprzeć hipotezę przeczącą realnej egzystencji Zaratustry i czyniącą zeń postać wyłącznie mityczną.

W końcu wreszcie możemy pokusić się o naszkicowanie portretu psychologicznego Zaratustry - ubożego, natchnionego poety, człowieka łagodnego i zapewne wrażliwego, nie wolnego od egzaltacji, może szamana, ale i mściciela. Z rzadko spotykaną gwałtownością atakował tych, którzy składali krwawe ofiary. Tymczasem, jak pisze Eliade, owe ceremonie były elementem kultu całej społeczności ludzkiej. Kusząca wydaje się możliwość, że Zaratustra, syn hodowcy koni, ze wstrętem odnosił się do zwyczaju składania ich w ofierze. Trudno bowiem byłoby pogodzić się z myślą, że ktoś, kto żył tak blisko owych wspaniałych stworzeń, mógłby nie darzyć ich niemal braterskim przywiązaniem i obojętnie patrzeć, jak są zabijane dla domniemanej satysfakcji bogów. Jeszcze bardziej pociągająca wydaje się hipoteza, że wstręt Zaratustry do składania krwawych ofiar nasilił się, gdy prorok zetknął się ze składającymi je kapłanami - okrutnymi i pełnymi pychy, jak pozwalają nam przypuszczać Gaty. Podjęlibyśmy zbyt duże ryzyko, usiłując dokonać głębszej analizy wspomnianych tu wydarzeń po upływie dwudziestu sześciu wieków. Możemy być jedynie pewni, że prorok z niechęcią odnosił się do tych brutalnych arystokratów.

Nie mamy żadnych podstaw, by sądzić, że mazdaizm zrodził się wyłącznie z osobistej niechęci Zaratustry do bogatych ofiar-ników koni i wołów. A jednak cechy osobowości proroka, na które wskazują przytoczone wyżej informacje, predysponują go do odrzucenia religii arystokratycznej i okrutnej¹⁶. Irański wedyzm był religią możnych, lud zaś pozostawał bez prawdziwego wsparcia duchowego. Zaratustra, który był również magiem, tego rodzaju brakom nie mógł przypatrywać się obojętnie. Liryzm, udręka i żarliwość duchowa jego Gat często łączą się ze współczuciem. Człowiek, który należał do rzędu wielkich proroków, pełen był troski o swój lud. A czasy sprzyjały Zaratustrze.

Po wycofaniu się Asyryjczyków i podporządkowaniu sąsiednich krajów Imperium Perskim władali Nabuchodonozor II i Cyrus. Kraj miał centralną władzę, nie musiał

obawiać się wrogów, a jego stolica, Persepolis, rozkwitała pełnym blaskiem. W Suzie, Ektebanie i innych miastach wyrastały jeden po drugim wspaniałe pałace i świątynie otoczone cudownymi ogrodami, do których wstęp mieli tylko członkowie panującej kasty. Nawet jeśli Dariusz przejawiał pewne oznaki wrażliwości społecznej, czego dowodzi edykt, w którym osobiście określił wysokość płac robotników, pragnąc zapewne położyć kres ich wykorzystywaniu przez kastę bogaczy, to lud był wciąż odsunięty od udziału w ważniejszych ceremoniach religijnych.

Właśnie wtedy stało się widoczne, jak bardzo potrzebna była temu młodemu imperium religia na jego miarę. Już sam obszar państwa i mnogość religii wyznawanych przez jego mieszkańców stanowiły zagrożenie dla duchowieństwa okresu schyłkowego. Magowie stali się tylko jedną z wielu kast, jakie utworzyło duchowieństwo; niektóre z nich okryły się złą sławą, jak kasta magów babilońskich - oczywistych szarlatanów. Nadszedł czas, by religia magów-uzdrowicieli zdecydowanie wyodrębniła się spośród politeizmów. Musiała być prosta, a zarazem narzucać ścisłe zasady. Nie można już bowiem było zyskiwać przewagi dzięki wspaniałym obrzędom, ofiarom i potędze zwolenników. Można było ją zdobyć dzięki wpływowi na duchowe życie jednostki, która miała sobie uświadomić nieuchronność losu oraz to, o jak wysoką stawkę toczy się gra - wstęp do nieba lub zatrześnięcie jego bram, zbawienie lub wieczne potępienie. Wtedy właśnie pojawił się prorok. Przemówił i nawet jeżeli z religii, którą stworzył na podłożu wedyzmu, pozostały dziś już tylko szczątki, echo jego słów rozbrzmiewa i rozbrzmiewać będzie z pewnością przez wieki.

Zaratustra, pierwowzór Jezusa, na co wskazuje legenda o jego narodzinach, to nie tylko reformator. To on jest twórcą pierwszej religii monoteistycznej, o czym świadczą jego "ewangeliczne" hymny (Gaty) zapisane w Aweście i co potwierdzają księgi w języku pahlawi oraz przekazy historyków greckich 17. Pozornie politeistyczny charakter jego nauki to tylko echa dawnej religii (omawialiśmy ją wyżej), której rozważnie nie próbował zniszczyć.

Trzeba jednak unikać pokusy wyciągania pochopnych, lecz jakże nęcących wniosków. Zaratustrianizm nie powstał z minuty na minutę, prorok nie przybył z dokładnie opracowanym, kompletnym i niepodważalnym projektem religii. Gaty, zaratustrian-skie hymny, pokazują, że ewolucja dokonywała się powoli i stopniowo 18. Na przykład ogień był początkowo utożsamiany z duchem świętym, potem ze słońcem, widzialną postacią Pana, a wreszcie z najwyższym bóstwem, czyli Ahura Mazdą. Przemiana wedyzmu ograniczyła się w pierwszej fazie do potępienia orgii towarzyszących składaniu ofiar oraz spożywania haomy 19. Niewątpliwie silne halucynacje, potęgowane widokiem krwi, popychały uczestników obrzędów wedyjskich do oddawania się rozpuście i do mordów, co wzbudziło oburzenie Zaratustry. Choć w młodości brał udział w obrzędach odprawianych przez scytyjskich szamanów, w kraju sąsiadującym z jego rodzinnymi stronami, i widział odurzone dymem z nasion konopii tłumy, musiał uznać je za niezwykle spokojne, gdy ujrzał szaleńcze orgie urządzone przez wyznawców wedyzmu.

Oburzenie maga na wedyzm stało się motorem reformy, która początkowo miała charakter umiarkowany i pojednawczy. Dopiero u kresu drogi, w ostatnich Gotach, nabrała cech rewolucji z prawdziwego zdarzenia.

Z całą pewnością możemy stwierdzić, że w tej ostatniej fazie przemian wyłonił się monoteizm. Dumezil podkreśla, że dawna trójca, którą tworzą Waruna, Mitra oraz Indra, znika. Jedynym bogiem, zasługującym na wyłączne uwielbienie, jest odtąd Ahura Mazda. Indra, dawny bóg, spada do rangi demona, podobnie jak "drugorzędne" bóstwa, czyli dwaj Nasadijowie sprzed reformy. Według Gat Ahura Mazda jest stwórcą nieba i ziemi, świata materialnego i duchowego. Jest najwyższym prawodawcą, najwyższym sędzią, władcą dnia i nocy, środkiem świata przyrody, twórcą prawa moralnego. Trudno byłoby trafniej scharakteryzować boga w rozumieniu trzech późniejszych monoteizmów, a wzajemne przenikanie się mazdaizmu, judaizmu, chrześcijaństwa i islamu wydaje się oczywiste.

Ahura Mazda jest naturalnie mężczyzną i nie ma towarzyszkę. System patriarchalny nie byłby bowiem w stanie zaakceptować podziału władzy pomiędzy męskiego boga i kobietę, a nawet przekazania jej części tej władzy.

Późne księgi Awesty przedstawiają Ahura Mazdę jako boga otoczonego przez sześciu

świętych nieśmiertelnych, Amesza Spenta - Słuszny Ład, Dobrą Mysi, Umiarkowanie, Króbstwo, Zdrowie i Nieśmiertelność. Istoty te również stworzone zostały przez boga i muszą przestrzegać prawa moralnego obowiązującego wyznawców Ahura Mazdy, aszawanów.

Czwarty spośród nieśmiertelnych zasługuje na bliższą uwagę, ponieważ nosi w sobie załączek myślenia apokaliptycznego i eschatologii judeochrześcijańskiej. Królestwo albo Ziemia Upragniona jest bowiem odzwierciedleniem królestwa bożego.

A zatem diabeł po raz pierwszy pojawia się w Iranie. Gaty nauczają, iż na początku świata istniały dwa duchy, które miały wolny wybór. Pierwszy, Ahura Mazda, dokonał trafnego wyboru i stał się panem mądrości, oczywistym poprzednikiem naszego chrześcijańskiego boga. Drugi, Aryman lub Angra Mainju, zły duch, wybrał źle i jest złym bogiem, którego uczniowie to "podążający za kłamstwem" otumanieni przez kłamstwo, czyli drug.

Aryman pozyskał dla siebie dawne bóstwa, przede wszystkim dewów - Indrę, który przeobraził się w Indrę-Waju, boga śmierci, Saurwę, demona śmierci i choroby, Akomana, złego ducha, Tauru, Aeszme, czyli zapewne "ojca" biblijnego Asmodeusza, demona gniewu, przemocy i zbrodniczych czynów. Pozyskał także Aza, demona chciwości, Mitrandrugę, tego, który okłamuje Mitrę, demona fałszu, Jeha, łajdackiego demona stworzonego przez Arymana dość późno, dla upodlenia rasy ludzkiej, a nawet - o dziwo - Zairi, bóstwo związane niegdyś ze spożyciem haomy lub somy, rytualnego napoju używanego podczas wedyjskich obrzędów. Był to ostateczny cios wymierzony w urządzane przez wyznawców wedyzmu orgie oraz utwierdzenie religii umiarkowanej i uduchowionej, stanowiącej wyraźną zapowiedź trzech monoteizmów.

I oto dochodzimy w końcu do interesującego nas wątku, gdyż właśnie teraz po raz pierwszy pojawia się odrębny, pozbawiony wszelkiej ambiwalencji bóg zła. Jest nim Aryman, który bogu dobra, Ormuzdowi, swemu bliźniaczemu bratu, wypowie bezlitosną walkę. W zaginionych apokaliptycznych tekstach Awesty, na których ślady natrafiamy w zachowanych do dziś przekazach pahiawijskich, mówi się o Wielkiej Wojnie, w następstwie której niebo wysłało Wielkiego Króla²⁰, czyli Mitrę, ale po reinkarnacji, jaką przeszedł, gdy zakończył swój ziemski żywot. Mitra zbawiciel pokonał złe moce ogniem i mieczem. Po raz pierwszy w dziejach religii pojawiają się przewodnie wątki profetycznych monoteizmów; dobro i zło zostały wyniesione do rangi pierwiastków transcendentnych. Zniknęła dwuznaczność będąca wynikiem pragmatycznej interpretacji bytu.

W czyniącej zło armii Arymana odnajdziemy także Azazela, demona bezludnych obszarów pustynnych, który wcielił się w kozła ofiarnego, przejętego w praktycznie nie zmienionej postaci przez judaizm, Lewiatana i Rahaba, demony Chaosu, patetyczną Lilit, która - jak głosi również przejęta przez judaizm legenda - była pierwszą żoną Adama, niestety bezpłodną. To ona straszy nocami, by zemścić się za odrzucenie jej przez pierwszego mężczyznę²¹. Do dziś jesteśmy spadkobiercami tego dziedzictwa. Żydzi, chrześcijanie i muzułmanie nie zapomnieli o demonach.

Także siedem grzechów głównych rysuje się już wyraźnie
- chciwość, pożądanie, złość, kłamstwo, zabójstwo...

Na pozór, ale tylko na pozór, Zaratustra nie dokonał radykał nych zmian. Opozycja pomiędzy Ahura Mazdą i Arymanem, choi może utajona, istniała już od dawna w dziedzictwie wedyjskim Reformator jedynie "uprościł" skład panteonu, usuwając z niego (podrzedne bóstwa, a przede wszystkim zakazał składania ofia;

Arymanowi, przeciwnikowi Ahura Mazdy oraz dawnym, drugo rzednym bóstwom wedyjskim, to znaczy dewom, zesłanym d(piekieł i walczącym w szeregach Arymana. A jednak dokonani przez niego zmiany byty decydujące, ponieważ wyeliminowa: niejednoznaczność charakterów bóstw. Po raz pierwszy dobre było wyłącznie dobrem, a zło złem. Podział był ścisły. Tak otc Zaratustra stworzył demonologię.

W III w. n.e. inny Irańczyk, Mani, miał przekształcić ns własną modłę myśl Zaratustry. Skoro życie to tylko próba podczas której istota ludzka jest nieustannie wystawiona na ataki zła, trzeba uznać, że właśnie egzystencja ziemska naraża nas na zbrukanie, powoduje, że człowiek zatracca pierwotną czystość. Złe może brać się jedynie z tego, co materialne, a demony mają nad nami władzę wyłącznie dlatego, że jesteśmy istotami z krwi i kości. W sferze duchowej pozostajemy wolni od zła. A zatem materia jest zła, duch

zaś - czysty. W twierdzeniach Maniego tkwią już załączki gnostycyzmu. Nad tym problemem zastanowimy się jednak nieco później.

Z punktu widzenia historii istotny jest też pewien szczegół z biografii Zaratustry. Otóż w wieku lat czterdziestu, a zatem około 588 r. p.n.e., miał nawrócić króla Wisztaspę, o którym wiemy właściwie tylko tyle, że był ojcem Dariusza I i władcą Chorezmu, ziem leżących na południe od Morza Aralskiego, oraz że do końca życia zapewniał prorokowi opiekę. W dalszej części naszych rozważań pokażemy, jak wielkie znaczenie ma ten fakt.

W tej chwili największe znaczenie ma to, że Zaratustra stworzył pojęcia immanentnego dobra i zła, istniejących od zarania dziejów i pozostających w nieustannym konflikcie, któremu położy kres dopiero koniec świata. Jego wizja jest tak bardzo podobna do koncepcji chrześcijańskiej, jakby Ojcowie Kościoła czytali Gaty, albo czasem wręcz je kopiowali²². Życie to tylko droga, w czasie wędrówki nią każda myśl, słowo i czyn sumują się i przesądzają o pozaziemskich losach jednostki. Po śmierci dobry Bóg ukarze złych i nagrodi dobrych, a kiedy u kresu dziejów Aryman zostanie pokonany przez Mitrę, który wcielił się w człowieka, umarli zmartwychwstaną i na Sądzie Ostatecznym źli raz jeszcze zostaną zesłani do piekła. Dobrych zaś czeka wieczny żywot w raju. Pomijając drobne różnice, taki obraz odpowiada znakomicie wizji trzech monoteizmów, choć drugi z nich można weń wpisać najłatwiej. Irański kapłan wystawił zatem akt urodzenia naszego diabła.

Dzieło Zaratustry wciąż intryguje historyków. Oto, jak początkowo wyjaśniano tę rewolucję religijną: zakaz składania ofiar ze zwierząt pociągnął za sobą usunięcie bóstw, dla których były przeznaczone i orgii towarzyszących ceremoniom ofiarnym, a budzących odrazę proroka. Ale myli się ten, kto widziałby w Zaratustrze tylko pruderyjnego ojczulka, ponieważ cel jego reformy jest aż nazbyt oczywisty. Nie chodziło mu o likwidację szaleńczych obrzędów i "uproszczenie" panteonu. Była to gruntowna przemiana, polegająca zarówno na wykorzenieniu kultu dawnych bogów i potępieniu rytuałów z nim związanych oraz na radykalnej przebudowie hierarchii istot nadprzyrodzonych. Zdania historyków na temat kształtu reformy są podzielone. Dumezil widzi w niej właściwie tylko "zwykłą" zamianę bogów²³, Mole skłania się ku uznaniu jej za stworzenie nowej teologii²⁴. Mena-sce²⁵ z kolei postrzega ją jako odrzucenie przez Zaratustrę ofiar obrzędowych, gdyż powodowały chaos, który doprowadził do zagubienia istoty religii. Te różnice nie powinny jednak przesłaniać nam sedna problemu - bezprecedensowego dzieła kreacji pary bóg-diabeł oraz dostrzeżenia, także po raz pierwszy, dualizmu etycznego dobro-zło. Bez wątpienia Zaratustra, ów poprzednik Savonaroli i Lutera, mógł "zreformować" religię irańską, podobnie, jak później dokonał tego w przypadku chrześcijaństwa protestantyzm. Hipoteza taka jest nęcąca, ale nie wydaje się w pełni zadowalająca.

Tajemnicą pozostaje, dlaczego Zaratustra podjął próbę dokonania reformy właśnie w tym momencie, wbrew oporowi, który - zgodnie z przekazem Gat - był silny. Z Gat dowiadujemy się również, że Zaratustra musiał ograniczyć zakres zmian i zgodzić się na składanie ofiar oraz na pozostawienie niektórych dawnych bóstw. Jeszcze trudniej zrozumieć, dlaczego magowie zaakceptowali w końcu zoroastrizm i opozycję dobro-zło. Zapewne nie uczyniliby tego, gdyby nie dostrzegli korzyści, jakie mogła przynieść im reforma.

I dostrzegli je, teologia nie była bowiem jedynym przedmiotem reformy. Zaratustra, kapłan i mag, niewątpliwie wcześniej uświadomił sobie, jak poważne ryzyko stanowi dla jego kasty dwuznaczność bogów, ich nieodgadniona wola, a może, choć to tylko hipoteza, jak niebezpiecznie jest tworzyć religię na obraz i podobieństwo społeczności ziemskiej. Przepowiednie, egzorcyzmy i zaklęcia kapłanów sprzed reformy musiały wydawać mu się jałową komedią; także władcy zdawali sobie z tego doskonale sprawę, choć udawali, że wierzą w moc tych obrzędów. Religia mogła stać się potężna tylko wtedy, gdy wspierała się na mocnych podstawach, to znaczy na transcendentnych pojęciach dobra i zła. Na ziemi ocena tego, co jest dobre, a co złe, należeć powinna do duchowieństwa, bo tylko w ten sposób można było umocnić pozycję kapłanów.

Zaratustra wzmocnił ją jeszcze dodatkowo, głosząc, iż religia należy do ludu i tylko jego wiara nadaje jej sens. Te demagogiczne posunięcia miały duże znaczenie, pozwoliły bowiem kapłanom wywierać wpływ nie tylko na życie duchowe wiernych, przez

określanie czym jest dobro, a czym zło, lecz także na politykę, a zatem na wolę ludu. W ten sposób mazdaizm doprowadził do powstania rzeczywistej władzy równoległej, która nie podlegała królowi. Była to reforma pionierska w dziejach cywilizacji.

Przedstawiona tu hipoteza wydaje się tym bardziej prawdopodobna, że chociaż kapłani czy magowie byli oczywiście potężni, jednak mogli czuć się zagrożeni przez najpotężniejszą władzę świecką tej epoki, która nie miała sobie równych. Przyjmując triadę Dumezila - prawodawca-wojownik-kapłan - stwierdzić należy, że kasta kapłanów traciła na znaczeniu wobec kasty wojowników tak znakomitych, jak Cyrus i jego dowódcy, którzy mieli za sobą pasmo zwycięstw i budowali Imperium Perskie wśród szczyku oręża i dźwięku fanfar. Reforma zaratustriańska przyznawała kapłanom władzę, która wymykała się spod kontroli władzy świeckiej. Zapewne kapłani potraktowali nadane im prawa zbyt serio w 522 r. p.n.e., podczas niezbyt udanej kampanii perskiego króla Kambyzesa w Nubii (gdzie posłużył się oddziałem żydowskich najemników). Wówczas to pewien uzurpator podający się za królewskiego brata Bardiję, skłonił prowincje cesarstwa do rebelii przeciwko nieobecnemu królowi, a właściwie przeciwko władzy Achemenidów. Magowie stanęli po jego stronie (przebiegły Bardija obiecał im obniżenie podatków). Zdradzili dynastię Achemenidów mając nadzieję, że władca, któremu pomogli zdobyć tron okaże im znacznie więcej względów. Oznacza to, że u podłoża ich działań tkwiły pobudki polityczne. Na nieszczęście dla dynastii Kambyzes właśnie w tym czasie umarł i władza wpadłaby w ręce uzurpatora, gdyby książe Chomezmu, znany potem jako Dariusz I, nie ocalił tronu, obejmując władzę i zabijając awanturnika. Magowie musieli ukorzyć się przed władcą.

Epizod ten zasługuje na szczególną uwagę, gdyż pomoże nam odnaleźć klucz do zagadki diabelskich narodzin. W rzeczywistości uzurpator miał na imię Gaumata i był magiem. Podobnie jak współcześni ajatołahowie, którzy zwrócili się przeciw szachowi, magowie dokonując zamachu stanu powołali się na religijną władzę ludu. Gdyby tron przejął jeden z nich, mogliby stworzyć pierwszą w świecie teokrację. I prawie im się to udało. W modnym w XX wieku żargonie można by ją nazwać "teokracją ludową", ponieważ Gaumata jako wyznawca zaratustrianizmu dopuścił się różnych zuchwałych czynów, między innymi kazał zburzyć ołtarze przeznaczone tylko dla szlachetnie urodzonych, znosząc w ten sposób ich religijne przywileje. Wspomnieliśmy już, że zaratustrianizm głosił ideę ulżenia doli ludu i wprowadził w życie obcą Persji demokrację. Był to poważny błąd, bo jeśli nawet znaczna część satrapów chętnie stanęłaby po stronie uzurpatora, to jednak arystokracja była przywiązana do swych przywilejów. Dlatego panująca dynastia odniosła ostateczny triumf w tej walce.

Dariusz zresztą korzystał z jej wsparcia, a gdy przebił włócznią oszusta podającego się za Bardiję, zaś jego ściętą głowę wystawił na widok publiczny, pomagało mu sześcioro książąt z królewskiego rodu. Kazał także po zwycięskiej walce odbudować ołtarze arystokratów, chociaż sam był wyznawcą Ahura Mazdy. Jego wiara musiała być wtedy jeszcze dość powierzchowna²⁶, ponieważ wciąż oddawano cześć dewom. Zaznaczmy przy okazji, że upokorzenie było przyczyną determinacji, z jaką zaratustriańscy magowie dążyli do uznania ich religii za jedyną obowiązującą, skoro już Kserkses, syn Dariusza, zakazał ludności imperium oddawania czci dewom, domowym bóstwom, które stały się demonami. Nie zapominajmy jednak, że czas triumfu był krótki, bowiem już Artakserkses II, następca Kserksesa, przywrócił dawną wedyjską trójcę, choć nieco zmienioną, stawiając Mitrę i Anahitę u boku Jedynego boga, Ahura Mazdy.

Po odniesieniu zwycięstwa Dariusz wykonał w każdym razie bardzo wymowny gest, kazał wyryć opowieść o swych sukcesach na stromym nadmorskim zboczu w górach Zagros. Opowieść ta została spisana w trzech językach, tak, by wszyscy mogli ją odczytać - po staroperski!, elamicku i akadyjsku. Monarcha odzyskał funkcje prawodawcy i organizatora, których próbowali pozbawić go magowie. Ta rewindykacja jest dość szczególna, gdyż władca niejako z definicji jest prawodawcą. Skoro jednak Dariusz tak zdecydowanie podkreślał, że ten przywilej jest mu należny, to z pewnością dlatego, że był on kwestionowany.

I tak właśnie było. Zaratustriańscy kapłani nieustannie próbowali zdobyć władzę prawodawczą. Wandidad, jedna z pięciu ksiąg Awesty napisana przez samego Zaratustrę, miała stanowić nie tylko prawo religijne, lecz i cywilne. Gdyby magom udało się dokonać

zamachu stanu, wystawiliby diabłu - Arymanowi pierwszy na świecie dowód tożsamości. Spełniłoby się odwieczne niemal pragnienie dostojników wszelkich religii - każde naruszenie prawa religijnego byłoby ścigane i karane przez władze świeckie. Zaratustriańska przygoda, która zaczęła się od wskazania jedyne boga i jednego diabła, znalazłaby zatem finał na scenie życia politycznego. Ale tym razem walka jeszcze się nie zakończyła ostatecznie. Mniej więcej osiem wieków później, gdy do władzy doszedł Konstantyn, cesarz i "obrońca" wiary, miały powstać teokracje. Tak czy inaczej, diabła zrodziła polityka i jest on właśnie jej tworem.

Czy wolno nam przypuszczać, iż magowie, powołujący się na władzę ludu, staliby się prekursorami demokracji? Ta hipoteza jest wysoce nieprawdopodobna, ponieważ w Iranie bardzo wcześnie musiałaby się narodzić krytyczna myśl polityczna, a magowie jako jej rzecznicy musieliby uformować partię polityczną. Pomysł taki wydaje się absurdalny. Gdyby nawet do tego doszło, władza królewska zgmiotłaby ich bez wysiłku jak źdźbło trawy. Dokonałby tego choćby Cyrus Wielki. Trudno nawet wyobrazić sobie w Persji Achemenidów zorganizowaną na współczesną modłę walkę polityczną. Niebezpiecznie byłoby też nazywać "demokracją" system władzy stworzony przez kapłanów. Kiedy analizuje się ten okres w historii Persji, łatwo można stwierdzić, że już sama idea demokracji w rozumieniu helleńskim wydaje się w tym kraju dziwaczna. Nawet jeśli magowie odwoływali się do ludu, by umocnić swą władzę, była to tylko demagogia. Zapewne inaczej rzecz miałaby się z mistrzem Zaratustrą.

W rzeczywistości wyjaśnienia pozornego "demokratyzmu" mazdaistów szukać należy raczej we wspomnianym już wcześniej aspekcie rewolucji zaratustriańskiej, to znaczy w genialnej intuicji Zaratustry, który zrozumiał, iż religia nie może i nie powinna już zwracać się do obywatela imperium, ale do zwykłego człowieka. Głosząc wiarę w zbawienie duszy, a zatem przenosząc doznanie szczęścia z ziemi w zaświaty, prorok oderwał religię od przyziemnych obrzędów politeistycznych i przeświadczenia, że dary, jakich oczekiwano od nieba, mogły zostać ofiarowane przez jedno z bóstw, a odebrane przez inne. Natomiast zbawienie, jeśli tylko istniało, mogło zależeć wyłącznie od jednej potęgi, zaś potępienie - od mocy przeciwnej. Poza tym Zaratustrą wyrwał jednostkę ze szponów władzy doczesnej, która nie miała najmniejszego wpływu na decyzje niebios i nie mogła ani dać, ani odmówić zbawienia.

Zaratustrą stworzył więc pierwszą w dziejach religię uduchowioną, wzorzec dla trzech monoteizmów. Skąd czerpał inspirację? Przecież wyprzedził o całe stulecie Buddę, wypowiadając myśl, iż świat materialny jest tylko przedśmionkiem wielkiego królestwa ducha. Można by pomyśleć, że to raczej Budda zaczerpnął z nauki Zaratustry pogardę dla świata doczesnego. W rzeczywistości obaj wyrosli z tego samego indyjskiego podglebia: Zaratustrą wychował się przecież w tradycji wedyjskiej. W ich wspólnym świecie, od wieków niszczone przez potężne siły przyrody, wszechobecna śmierć musiała skłaniać do medytacji nad ulotnością rzeczy i spraw doczesnych. I skłoniła zarówno Buddę, jak Zaratustrę.

Od tej chwili duchowieństwo zyskało władzę wyższą, zdolną sięgnąć do granic imperium, a nawet dalej; osiągnęło przewagę nad władzą królewską. Brakowało już tylko spowiedzi i sakramentów, aby władza ta stała się absolutna. Po siedmiuset latach pojawi się to dopełnienie władzy teokratycznej. Reforma Zaratustry niejako antycypowała przyszłość - nowa irańska religia miała wyrzeć zasadniczy wpływ na późny judaizm.

Pomimo represji, których zaznali za panowania Dariusza, magowie przetrwali, jakby na dowód boskiej immanencji, a zapewne - dzięki wsparciu ludności. A zatem odnieśli przynajmniej częściowe zwycięstwo, zwłaszcza że zaratustrianizm zyskiwał coraz więcej wyznawców, a Dariusz musiał przynajmniej pozornie respektować tę religię. Historycy sądzą, że władca ten był synem króla Wisztaspy, nawróconego przez Zaratustrę *. W takiej sytuacji nie mógłby wyprzeć się wiary ojca, widać jednak, iż z ciężkim sercem okazywał szacunek kapłanom, którzy chcieli umniejszyć jego władzę. Dariusz pozostał zaratustrianistą, ale traktował tę religię z dużym dystansem.

Bardziej prawdopodobne wydaje się, że Dariusz pozostał wierny perskiej tradycji, która wymagała od króla tolerancji religijnej. Za czasów Cyrusa, panującego mniej więcej w latach 550-539 p.n.e., w Persji można było wyznawać wszystkie religie, w tym babilońską oraz hebrajską²⁷. Zaratustrianizm, choć był praktykowany przez dwór królewski,

pozostawał jedną spośród wielu religii. Cyrus zapewne był zaratustrianistą, nie mamy jednak pewności, czy jego wiara była tak "czysta i mocna", jak chcieliby kapłani, a to z dwóch przyczyn - po pierwsze, gdyby tak było, monarcha akceptowałby

Z całą pewnością magowie, wyznawcy zaratustrianizmu, nie patrzyli przychylnie na królewską tolerancję, która ograniczała nie tylko ich władzę, ale prawdopodobnie i dochody. Narzucając nową formę kultu Ahura Mazdy, Dariusz niejako stał pod murami Canossy, jeśli wolno nam użyć takiego porównania. Pomimo represji, jakie ich osiągnęły, kapłani zyskali bardzo dużo, ponieważ utrzymali pozycję niezależnej władzy religijnej.

Warto jednak dowiedzieć się, kim byli magowie, których najślawniejszy reprezentant stworzył diabła, magowie, których spotykamy nawet w Nowym Testamencie, świadkowie narodzin Jezusa. Według Herodota byli Medami. Tworzyli kastę dziedzicznych kapłanów, wróżbitów i proroków, którzy wygłaszali przepowiednie, składając w ofierze białe konie, co tak bardzo oburzało Zaratustrę. Prawdopodobnie przybyli do Iranu podczas inwazji Medów, około połowy IX wieku p.n.e. Wiemy, że odegrali istotną rolę w budowaniu królestwa, zapewne dlatego, że znając astrologię przepowiadali przyszłość i byli szamanami. Spotykamy ich zarówno w otoczeniu władców partyjskich, jak seldżuckich, na dworach Achemenidów i Sasanidów. Z biegiem czasu ich prestiż religijny rośnie, gdy tymczasem magów babilońskich uważano za oszustów.

Ktoś mógłby pomyśleć, że zbliżamy się do zakończenia tej książki: oto szatan urodził się w Iranie około VI w. p.n.e. i właśnie magowie trzymali go, jeśli można tak rzec - do chrztu. Ponadto był on wynalazkiem natury politycznej.

Wnioski są oczywiste - władza religijna to przeciwieństwo różnorodności i demokracji, choćby nawet te pochodziły z nieba.

Tłok w panteonie budził podejrzliwość śmiertelników, potem nawet ich sarkazm wobec nieśmiertelnych. Na przykład Grecy, podobnie jak Celtowie, bez wahania kłócili się ze swymi bogami. Kapłani religii politeistycznych toczą ze sobą spory. Jakim prawem kapłan Apollina miałby pouczać kapłana Afrodyty czy Hermesa? Każdy rządzi u siebie, Zeus panuje nad wszystkim. Nawet w Kościele tak scentralizowanym jak chrześcijański zdarzała się zaciekle rywalizacja. Na przykład kiedy Szaweł-Paweł zaczął chrzczyć nie obrzezanych, wywołał oburzenie innych apostołów z Jerozolimy, wciąż przeciw Żydów - Piotra, Jakuba Młodszego, Filipa i Jana. Wspomnijmy też o ostrej rywalizacji między Antiochią i Jerozolimą czy Antiochią i Aleksandrią. Są to jednak drobiazgi w porównaniu z religiami politeistycznymi. Zaratustra postanowił zreformować irański panteon niczym minister, który ogranicza liczbę okręgów wyborczych. Uczynił to, ponieważ wobec rosnącej w siłę władzy świeckiej, władza religijna była zbyt słaba. Rozproszenie i chaos obrzędów i kultów nie ułatwiały tej sytuacji.

Narzuca się tu pewne porównanie - magowie byli właściwie przodkami dzisiejszych ajatollahów. Wychowani w silnym państwie, umocnieni dzięki buntowi i reformie zaratustriańskiej, musieli z zazdrością spoglądać na potęgę władzy świeckiej i dążyć do powiązania religii z polityką. Dumezilowska triada byłaby wówczas silnie zagrożona, ponieważ w rękach jednego człowieka spoczęłyby funkcje monarchy, wodza i prawodawcy.

Ale magowie przegrali tę batalię. Stworzyli diabła, lecz nie udało im się osadzić go na tronie i uczynić godnym przeciwnikiem boga. Dopiero chrześcijaństwo zdołało tego dokonać. Mimo to "pradziad" prześladowcy Fausta przetrwał, przetrwali też magowie. A w każdym razie mieli licznych naśladowców.

Ciekawe, że z religią Zaratustry bardzo długo rzecz miała się zupełnie inaczej.

* Nie ma co tego pewności, ponieważ zachowane przekazy są dość mgliste, a w dodatku część badaczy uważa Dariusza za krewnego Kambyzesa. zalecenia mistrza i zakazałyby składania ofiar wszystkim bóstwom poza Ahura Mazdą, po drugie zaś sama reforma była dostosowywana do istniejącej sytuacji, a przez to - łagodzona.

Mezopotamia albo narodziny grzechu

O pradawnych cywilizacjach Mezopotamii - O ich losach do chwili, gdy Mezopotamia

stałą się prowincją Imperium Perskiego - O zatłoczonym panteonie - O kosmogoniach i bohaterach mitycznych - O tym, dlaczego tu po raz pierwszy powstała koncepcja grzechu, za który winę ponosi kobieta - O pojęciu zła metafizycznego, pojawieniu się obrzędu spowiedzi oraz idei powszechnego zbawienia - O politycznym podłożu tych zjawisk - O teokratycznej tyranii, która rozwinęła się na niewielkim obszarze i znikomym znaczeniu jednostki w państwie.

Historyczny obraz "państwa doliny dwóch rzek", Mezopotamii leżącej pomiędzy Tygrysem i Eufratem, mniej więcej tam, gdzie dziś znajduje się Irak, jest dla wielu osób równie mglisty, jak zamglone jest niebo nad trzęsawiskami zajmującymi dużą część tego obszaru. Od Bani Lam na północnym wschodzie i Nasirjji na zachodzie aż po południowe krańce, rozcięte wodami Szatt al-Arab, wpadającej do Zatoki Perskiej, ta kraina pokryta jest bagnami, których groza aż do schyłku XX wieku utrzymywała w ryzach ludzką ciekawość. Tam zapuszczały się tylko tarady i hulamy prymitywnych ludów zamieszkujących nad brzegami rzek. Owe tarady i balamy to, można by rzec, połączenie pirogi z gondolą, łodzie o dziobach przypominających ostrze sztyletu dumnie wznoszące się w górę, których kształt pozostał od stuleci nie zmieniony.

Poza nielicznymi wyjątkami Europejczycy nie podróżują po tej krainie, zaś współczesny Irakijczyk, aż do chwili, gdy pod koniec XX wieku region ten ogarnął zamęt, odczuwał pewien niepokój, spoglądając na te ziemie, gdzie telefon i karta kredytowa są właściwie nie znane. Jeśli chodzi o znajomość "kultury", o sferę pojęć, rysuje się ona niemal równie mgliście. Dawna Mezopotamia, a dzisiejszy Irak, to region, który pozostaje nie znany światu, skazany na los obszarów, które starożytni kartografowie, nic o nich nie wiedząc, opisywali w trzech słowach - Hic sum leones, "Tam są lwy", co miało znaczyć "nie troszczcie się o te ziemie". Podróżnemu, który dziś zapuściłby się w te strony i ujrzał bezmiar wód zmieniający się o świcie w morze krwi, trudno byłoby uwierzyć, że tam właśnie wyrastały imperia o nazwach dziś jeszcze budzących podziw - Babilonia, Asyria, Sumer. Jeszcze trudniej uwierzyć, że w tym zakątku świata kształtowało się duchowe oblicze Europy. Bo nawet Grecja, promienna i doskonała Grecja, w której chcielibyśmy widzieć pogromczynię niespokojnego Wschodu, wylęgarni gorączkowych wizji i trujących miazmatów, nawet owa Grecja uległa wpływowi kultury ukształtowanej na błotnistych terytoriach pradawnych państw.

A jednak pomiędzy wysuniętym na północ Assurem, wznoszącym się na południu Babilonem, Akadem położonym w sercu kraju i Sumerem na południu, w rejonach narażonych na gwałtowne wylewy dwóch rzek, rozkwitły imperia, które odmieniły losy Wschodu, a potem także świata zachodniego. Około roku 6300 p.n.e. pojawił się tu pierwszy warsztat tkacki, a w mniej więcej dwieście lat później udomowiono bydło rogate i człowiek nauczył się pić mleko. Około roku 3700 w Sumerze powstają pierwsze miasta-państwa. Potem jednostka zostawia pierwszy bezpośredni ślad swego istnienia składając podpis; od tej chwili pieczęć pozwala zidentyfikować autora listu. W roku 3400 dokonano wynalazku, którego znaczenie trudno wprost przecenić

- ludzie posiedli tajemnicę koła. Mniej więcej w roku 3100 jeden z najbardziej niezwykłych wynalazków myśli ludzkiej, pismo, rodzi się w Sumerze* i umożliwia utrwalanie słów, a za ich pośrednictwem - całej wiedzy, jaką do tej pory zgromadzono. Nim przeminęła epoka brązu, trzy tysiące wersów Poematu o Gilgameszu spisano na dwunastu tabliczkach. Po wiekach odnaleziono je w Niniwie, w bibliotekach sumeryjskich królów

- Asurbanipala i Sennacheriba. Dzięki temu od blisko czterech tysięcy lat cała ludzkość wie z owych glinianych tabliczek, że babiloński heros Gilgamesz odrzucił miłość bogini Ishtar, Gwiazdy Porannej, oczarowanej urodą półboga, który kochał tylko swego przyjaciela Enkidu. Kiedy Enkidu umarł, serce wielkiego Gil-gamesza wypełniło się bólem: "Enkidu, mój miody druhu, ty, któryś ściga}, Dzikię oria gór, panterę stepów! Którys zdobywał wszystkie rzeczy, łamał góry... Cóż teraz, jest że to sen, który tobą zawładną?.," *.

Wówczas heros postanowił wyjść na spotkanie śmierci. Udał się na brzeg morza oblewającego świat, a wtedy stanęła przed nim Siduri Sabitu, boska karczmarka, by wyperswadować mu nazbyt ambitne dążenia i uświadomić, że przeznaczeniem człowieka jest śmierć. Na nic jednak nie zdały się jej starania. Gilgamesz wbrew jej prośbom

wyruszył w zaświaty, by dopiero po powrocie

Epos o Gilgameszu wzbudza współcześnie ogromny i być może zasłużony zachwyt. Ten hołd złożony niezłomnemu męstwu jest pierwszym znanym poematem, jaki stworzyli ludzie i tylko Homer potrafił równie pięknie opisać człowieka rzucającego wyzwanie losowi. Obecność zła, którym jest śmierć, staje się już wówczas inspiracją przejmującego opisu rozpacz. Pamiętajmy, że mieszkańcy Mezopotamii zdawali sobie sprawę, że ich kraj jest igraszką w rękach potężnych mocy, został bowiem doświadczony przez potop, o którym opowiedział Gilgameszowi Utnapisztim. Potop, który był pamiętnym po wsze czasy przejawem szaleństwa bogów.

Ten kataklizm, znany nam z przekazów zapisanych pismem klinowym około 2000 roku p.n.e., wydarzył się naprawdę, o czym świadczą warstwy mułu przykrywające odnalezione przez archeologów domostwa. Nie udało się jednak w sposób wiarygodny określić, kiedy nastąpił³. Według ówczesnych ludów, następnie zaś Hebrajczyków z VIII-VI w. p.n.e., którzy dostosowali opowieść do potrzeb eschatologii, był to kataklizm o zasięgu światowym, ogarnął bowiem ogromną część Mezopotamii. Z łatwością odgadujemy, że nastąpił wyjątkowo potężny wylew Tygrysu i Eufratu, co, jak przekonał się w roku 1954, zdarza się do dziś. Nigdy jednak ziemie te nie znalazły się całkowicie pod wodą, jak opowiada legenda.

Potop czy potopy nauczyły mieszkańców Mezopotamii, że bogowie nie zawsze bywają przyjaźnie nastawieni do rodzaju ludzkiego. Semici, którzy przybyli do Mezopotamii w bardzo odległych czasach⁴, nie mogli zaaprobować idei boskiej wrogości, zwłaszcza pojmowanej tak, jak czynili to Mezopotamczycy. Dlatego Hebrajczycy dokonali jej reinterpretacji i dostosowali do teologii przymierza, teologii znacznie już łagodniejszej, wciąż jednak ukazującej boga jako istotę zazdrosną i mściwą. W tej krainie bóg nigdy nie był przyjazny, podobnie jak grecki Zeus.

Mezopotamia, podobnie jak Iran, nieustannie pozostawała pod okupacją. Nie wiemy jednak dokładnie, pod czyją. Tkwi w tym szczypta ironii, bo dziś ani siedzący za kierownicą samochodu mężczyzna, ani redaktor naczelny dużej gazety, ani piekarz, który właśnie wsuwa chleb do pieca, ani kobieta, która wyszła z psem na spacer, ani producent tekstyliów nie wiedzą, czy ich przodkiem nie był przypadkiem wynalazca koła albo pisma, rolnik, który jako pierwszy uprawiał zboże i mełł ziarno, albo udomowił jakiś gatunek zwierząt, lub ktoś, kto wymyślił krosno, na którym tkał wełnę i len, by się przydziać. Nic więcej nie wiemy o pochodzeniu Sumerów. Wyłonili się z mroku. Mamy pewne podstawy, by sądzić, że przybyli ze wschodniego brzegu Eufratu, ponieważ ich legendy opowiadają o zaginionym mieście, Der in Aszunak. Pięknym mieście, które naprawdę istniało, ponieważ natrafiono na jego szczątki w pobliżu dzisiejszego Asmaru, czterdzieści kilometrów na północny wschód od Bagdadu.

Także język nie dostarcza nam bliższych wskazówek na temat ich pochodzenia. Nie należy do grupy języków indoeuropejskich, zaś ten, kto próbuje się nim posługiwać mocno zgrzyta zębami, a czasem może je nawet połamać⁵. Mrok okrywający te dzieje jest oczywiście dokuczliwy, ponieważ nie pozwala podążyć tropem wierzeń i technik znanych Mezopotamczykom, miejmy jednak nadzieję, że przyszłość dokona odkryć, które to umożliwią.

Naszym celem nie jest odtwarzanie historii Mezopotamii, historii bardzo zresztą skomplikowanej. Ograniczymy się do pobieżnego jej naszkicowania. Po królach z Ur za czasów panowania Irańczyków, którzy przeobrazili Mezopotamię w prowincję, dynastie zmieniały się równie często jak linie graniczne. Po dynastii sumeryjskiej przychodzi semiccy Akadowie, a po obaleniu imperium Akadów władzę zdobywa dynastia Gutejów, następnie raz jeszcze dynastia sumeryjska zwana III dynastią z Ur, później zaś królestwo rozpada się na dwie części. Po upadku imperium Ur władcy semiccy wybierają na swą siedzibę Babilon, natomiast Asyryjczycy Asur. Babilończyk Hammurabi jednoczy imperium, później zaś dynastia wymiera, a Asur i Babilon znów zaczynają ze sobą rywalizować. Gdy jedno z nich bierze górę, drugie pozostaje w jego cieniu. Wydaje się, że po zdobyciu Asuru przez Medów zwycięża w końcu dynastia asyryjska. Dawne imperium zostaje podzielone pomiędzy Medów i dynastię chaldejską, której najznakomitszym przedstawicielem był Nabu-Kudurri-usur II, lepiej znany pod biblijnym imieniem Nabuchodonozora. Babilonia była zwyczajną perską prowincją, kiedy w roku 330 p.n.e.

przekroczył jej granice i zastał w Babilonie tylko ruiny wielkiego zikkuratu, opisanego sto lat wcześniej przez Herodota. Spełniły się apokaliptyczne przepowiednie, choć z czterechsetletnim wyprzedzeniem:

"Wielki Babilon, Macierz nierządnic i obrzydliwości ziemi"*, który upajał się krwią ludu bożego, zamienił się w pustynię.

Zapalczywy gniew autora Apokalipsy dziś nas zaskakuje, bo przecież właśnie babiloński Kodeks Hammurabiego stał się inspiracją, natchnieniem dla Mojżesza, a przez to wywarł wpływ na Dziesięć Przykazań, przejętych później przez chrześcijan. W I wieku n.e., to znaczy w czasach, gdy Jan napisał swe wizjonerskie dzieło zemsty, Babilon był już tylko cieniem dawnej świetności i nie zasługiwał na tyle zapachu. Ale Żydzi wciąż pamiętali i mieli zapamiętać na zawsze, że w roku 598 p.n.e. znany nam już Nabuchodonozor, oblegał i zdobył Jerozolimę, a żydowskiego króla Jehojakina uwięził i uprowadził do Babilonu, by na jego

Biblia Tysiąclecia, Apokalipsa św. Jana, 17, 5. tronie osadzić swoją marionetkę - Zedekiasza. Pamiętali także, że w roku 587 p.n.e. zbuntował się z kolei ów Zedekiasz, a Babilończycy powrócili i tym razem zabrali ze sobą wielu żydowskich jeńców. Pamiętali, ponieważ dwie niewole naznaczyły kres królestwa Judei. Bolesne wspomnienie! Właśnie wtedy Żydzi zaczęli zadawać sobie pytanie, czy Przymierze pozostaje nadal w mocy i czy Bóg nie zapomniał o swoim ludzie.

Prawdą jest również, że Babilonia wzbudzała w Żydach odrazę, bo czcząc wielu bogów dopuszczała się niewybaczalnej zbrodni. Jacy to byli bogowie? "Nie ma właściwie możliwości sporządzenia »sensow-nej« klasyfikacji bogów Mezopotamii", pisze znawca dziejów tego państwa, Georges Roux, "ponieważ nasza logika zasadniczo różni się od logiki starożytnych". Autor decyduje się na wyróżnienie tylko "dwóch kategorii [bóstw], dość zresztą płynnych"⁶. Najważniejsi władcy panteonu, to Anu, pan nieba i ojciec bogów Nintud, bogini-matka, choć zarazem panna, niebiańska dziewica Inanna, Eniil, władca ziemi, oraz jego małżonka Niniil, bóg wody Ea, zwany po sumeryjsku Enki oraz jego małżonka Damkina. A zatem trzy pary i jedna regentka stoją na czele panteonu. Imiona, zakres władzy, miejsca kultu, a nawet pochodzenie bogów były jednak zmienne. Dysponujemy listą co najmniej czterdziestu jeden imion Nintud, Belit Hani, czyli matki bogów, zwanej też Makh, Ninkursag, czyli Królową Góry, co dla Sumeryjczyków oznaczało Królową Ziemi, a dla Babilończyków Królową Krainy Zmarłych. Zwano ją także Aruru, a zatem Boginią Położnic lub po prostu "Mamą", tą, która stworzyła człowieka z gliny, co czyni ją uosobieniem życiodajnej mocy kobiet i odbiciem społeczności matriarchalnej⁷. Oto siedem bóstw, a raczej ich archetypów, które przetrwają wiele dynastii i cywilizacji, połączą różne języki i religie Mezopotamii.

"Z czasem liczba bogów uległa znacznemu ograniczeniu", pisał Bottero. Enuma elisz - Poemat o Stworzeniu wymienia ich około roku 1200 już tylko sześciuset⁸.

Ale nie pojawia się ani jeden diabeł. Enki, to znaczy Pan Ki, władca świata składającego się z powierzchni ziemi i piekła, nie jest diabelski w naszym rozumieniu, chociaż jest równocześnie bogiem wód, a w Mezopotamii - wód podziemnych. Przypomnijmy, że właśnie stamtąd przyjdzie kiedyś zło. Jak to się często zdarzało w religiach starożytnych, także bóstwa Mezopotamii zlewały się ze sobą lub władały tą samą dziedziną. Kiedy ludzie grzeszyli, a bogowie grozili im karami, dwie boginie jednocześnie wstawiały się za nimi i osłaniały przed karą. Już samo pojęcie grzechu niejako implikuje wybaczenie, ono zaś, jak w życiu doczesnym, dokonuje się za sprawą kobiet. Boginie orędowniczki miały zapewne wiele pracy, jeśli chciały ochronić nieustannie dopuszczającą się grzechów ludzkość.

Do którego z bogów wstawiały się życzliwe ludziom boginie? Marduk, pierwotnie jako sumeryjski bóg Amar-Utuk, co znaczy "Młody Byk Słońca", hebrajski Merodach, bóstwo czuwające nad Babilonem i całym Imperium Babilońskim, które staje się z czasem bogiem Sprawiedliwości i Wiosennego Słońca, a jego symbolem jest planeta zwana przez nas Jowiszem oraz smok-wąż Mususu. Wraz z podbojami wciąż nowych ziem bogowie zdobywają kolejne kraje, wędrują po różnych religiach. Tracą przy okazji część swych funkcji, lecz w zamian zyskują nowe⁹.

Wydawałoby się, że ze względu na liczbę bóstw oraz ich imion religie Mezopotamii stanowiły chaotyczną plątaninę, albo że ograniczały się w zasadzie do zbioru mitów

zaludnionych przez butnych herosów o barbarzyńskich imionach. Było jednak inaczej, a epicki talent Mezopotamczyków był tak wielki, że starotes-tamentowa Genesis wydaje się przy nim banalna. Nawet w późnej wersji owa mitologia zachowuje niezwykłą siłę wyrazu. Kiedy narodził się Marduk, wnuk najwyższego boga Anu, pierwowzór herosów, przywracających ład we wszechświecie - Gilgamesza, Herkulesa czy Jezusa, jego boski dziadek zbuntował się, gdyż poczuł, że traci koronę. Wtedy wystąpiły cztery wiatry przeciwko morzu-smokowi, bogini Tiamat, matce piekielnej rzeki i stworzy-cielce wszelkiego życia. Ona zaś oparła się intruzowi:

"Sięgnęła po niezrównaną broń, wydała na świat przeogromne węże o ostrych zębach i żarłocznych paszczach; miast krwią, wypełniła ich ciała jadem, nadała przerażającą moc rozwścieczonych smoków, przydała wspaniałości i uczyniła podobnymi bogom. Ktokolwiek ujrzy owe węże, wpadnie w przerażenie! Niechaj jednak baczy, by się przed nimi nie cofnąć! Stworzyła hydrę imieniem Baszma, czerwonego smoka i Lachamu, ogromne lwy, psy, z których pysków toczyła się piana, i człowieka-skorpiona, podstępne demony burzy, człowieka-rybę i Kusarikku".

Trzeba bowiem wiedzieć, że Mezopotamczycy - zarówno Sumeryjczycy, jak i Semici, mieli przerażającą wizję swoich bogów. Chyba bóstwa żadnej innej religii nie były tak groźne. Również myśl żydowska uległa epickiemu geniuszowi Babilonii oraz bojaźni bożej, która ogarniała każdego, kto słyszał te opowieści. Oprócz Kodeksu Hammurabiego, który legł u podstaw Dziesięciorga Przykazań, w biblijnej Księdze Rodzaju przywołano opowieść o początku Wszystkiego, pochodzącą z Enuma elisz, Poematu o Stworzeniu, czyli o walce z chaosem. Porównania, które przytaczam, dokonał Bernard Teyssedre¹⁰: Enuma elisz I, 1-16*

Kiedy w górze nie było nieba, a w dole nie istniała jeszcze ziemia poza pierwotnym Apsu, z którego wyłonili się bogowie Mummu - rodzic i Tiamat, która wszystkich ich zrodziła, a wody łączyły się w jedno potężne zlewisko... Genesis J, 1-2

Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. Ziemia zaś była bezładem i pustkowiem: ciemność była nad powierzchnią bezmiaru wód, a Duch Boży unosił się nad wodami *.

Lekceważenie tych mało znanych w XX wieku bogów byłoby wielkim błędem, ponieważ mezopotamskie bóstwa po raz pierwszy w dziejach ludzkości podporządkowały ją sobie tak, jak żadne inne - ani w Oceanii, ani w Indiach, ani w Chinach czy Egipcie. Trudno jednak dokładnie prześledzić dzieje bogów na tle burzliwej historii tego regionu. Częste przejmowanie bóstw przez inne państwo lub miasto pociąga za sobą zmianę jego imienia, a czasem nawet płci. Nawet jeśli pominiemy mnogość imion, nikt nie wie właściwie, dlaczego Isztar, późniejsza Astarte i Afrodyta, która pierwotnie była Actarem, męskim bóstwem Arabów, bogiem planety Wenus, wędrując z Arabii do Mezopotamii zamieniła się w kobietę. A trzeba też pamiętać o zdumiewających podobieństwach. Na przykład Szamasz, semicki bóg Słońca, to sumeryjski Utu, znany też pod dobronliwie brzmiącym imieniem Babbar¹¹. W dodatku ów wymuszony synkretyzm, wynikający ze stykania się religii Sumerów, Semitów, Babilończyków i Asyryjczyków wymagałby chyba użycia technik komputerowych, jeśli chcielibyśmy rozszyfrować tożsamość około czterech tysięcy bogów regionu. Na przykład Ninurta, bóg wojny, to dawny Ninib, który utożsamia się z Nusku, bogiem ognia. Babiloński Marduk to Nabu, zaś antagonizm wody i ognia jakby się ulotnił, gdyż bóg ognia Gibil, inaczej Nusku, jest nierozłączny z Enkim, bogiem wody, podczas gdy Marduk i Nabu...

Trzeba by zapisać grubą księgę, by wskazać wszystkie pokrewieństwa i powinowactwa mezopotamskich bóstw, określić

Wszelkie interpretacje komplikuje fakt, że na przykład Nintud czczona była w nie zidentyfikowanym mieście Kesz, a także w Kiszu (który nie wydaje się być Keszem), wielkim mieście na północy. Anu i Inanna mieli świątynie w Erech, Eniil i Niniil w Nippurze, Ea i Damkina w Eridu, u ujścia Eufratu.

W tej teologicznej mozaice na pierwsze miejsce zdają się jednak wysuwać dwa mity, zgodnie z którymi każdy żywioł związany jest ze swoim przeciwieństwem, jak wspomniane wyżej woda i ogień. Jako pierwszy przykład wymieńmy małżeństwo niebiańskiego boga Nergala, władcy lata i upału, z boginią sfer dolnych, Ereszkigal, panią piekła, to znaczy królową zmarłych i chłodu, jeżeli wolno nam odnieść się do mitologii afrykańskich, które nieodmiennie głoszą przymierze zimna i ciepła. Nie jest to naturalnie

małżeństwo zbyt harmonijne, a na pewno już - dalekie od ideału. Dochodzi do niego w następstwie wizyty, którą Nergal na rozkaz bogów złożył Ereszkigal, by przeprosić ją za afront. Wtedy to urzekło go piękno władczyni zaświatów i uległ żądzy czynienia tego, "co czynią mężczyźni i kobiety". Zapewne musiał być utalentowanym kochankiem, kiedy odchodził bowiem uwodzicielska pani piekła zalewała się łzami:

"Nergalu, kochanku z mych snów! Zbyt krótko dane mi było przeżywać z tobą rozkosz!".

Warto wspomnieć, że taki ton charakteryzuje cały poemat Nergal i Ereszkigal, z czego można wysnuć wniosek, że galanteria nie była wynalazkiem siedemnastowiecznej literatury francuskiej. Oszałała z miłości Ereszkigal wysłała do nieba posłańca, Namtara, by schwycił Nergala i sprowadził go do piekieł, tak bardzo chciałyby tulić go i całować.

"Idź, Namiarze, musisz przemówić do Anu, Eniia i Ei!

Zapukaj do drzwi Anu, Eniia i Ei, by im powiedziec, że nawet dziecięciem nie zaznałam radości, jak inne dziewczęta, nie wiedziałam, czym jest zabawa.

Niechaj bóg, którego mi zesłałiście i który uczynił mnie brzemienną, znów legnie u mego boku!

Niechaj powróci i jak kochanek noc ze mną spędzi!".

Te zadziwiające słowa miłostnego zapału, godne młodszych o trzydzieści stuleci heroin Ryszarda Straussa, nie padły jednak z ust płaczącej starej panny, wypowiedziała je potężna mściciel-ka. Bo trzeba wiedzieć, że Namtar ma przekazać w imieniu bogini także groźbę. Jeżeli Nergal nie wróci do brzemienną Ereszkigal:

"Odeślę na ziemię zmarłych, by pożerali ciała żywych, sprawię, że na ziemi więcej będzie trupów niż ludzi żyjących!".

W Eposie o Gilgameszu ta sama przerażająca groźba pada z ust innej oszałałej z miłości bogini, Isztar, która chce za wszelką cenę pozyskać względy Gilgamesza. Ten jednak nie uległ szantażowi. Ale Nergal musiał podporządkować się żądaniom szalonej. Zszedł zatem po schodach wiodących z nieba do piekła, nie kryjąc przy tym wściekłości i besztając strażników Siedmiu Bram, dotarł do sali tronowej, zmierzył Ereszkigal chłodnym wzrokiem, wybuchnął śmiechem i, chwyciwszy ją za włosy, zrzucił z tronu i powłókł za sobą, płaczącą i błagającą, by wziął ją za żonę:

"Bądź mi mężem, a będę twą żoną, Oddam ci Królestwo wielkiej Ziemi! W twe ręce złożę tablice mądrości! Bądź panem, Ja chcę być ci kochanką!"¹²

W końcu Nergal uspokaja się, całuje piekielną kochankę i godzi się dzielić z nią tron. Ta burzliwa historia miłosna, uderzająco podobna do tak drogich Ryszardowi Wagnerowi wielkich mitów, ma wymowę symboliczną, a ową symbolikę możemy odczytać bez większego trudu. Świat żywych jest ściśle związany ze światem umarłych, a potęga piekieł przewyższa moc nieba. Zepsucie tkwi w sercu materii ożywionej, a śmierć i zło uosabia żeńskie bóstwo Ereszkigal. Pojawia się już załączek pojęcia grzechu pierwotnego oraz mizoginia, cechująca religie objawione, a wyrastająca na gruncie systemu patriarchalnego. Płciowość jest nośnikiem grzechu, a Ereszkigal to przecież uwodzicielka, prababka Ewy oraz Lilith, rzeczywistej pierwszej żony Adama.

O specyfice religii mezopotamskiej decyduje ukonstytuowanie jej na pojęciach grzechu i zła, które są nierozłącznie związane z człowieczeństwem.

Drugi szczególnie istotny mit opowiada o stworzeniu człowieka zrodzonego z krwi dawnego boga, Kingu, który stał się arcy-demonem i został skazany przez boga Marduka na śmierć za sianie zamętu w kosmosie. Kingu jest zatem demonem wolnym od wszelkiej ambiwalencji. Jest zły, jednoznacznie zły, jak nasz diabeł. Nie można oczekiwać od niego pomocy, choć na przykład egipski Ra korzystał czasem z pomocy nieznośnego Seta. Oznacza to, że natura człowieka, syna Kingu, jest w swej istocie zła i demoniczna, że zło tkwi w jego ciele¹³.

Ani poezja, ani humor nie są w stanie złagodzić tej negatywnej wizji świata i natury ludzkiej. Pomimo to rozkwitają one w kulturze mezopotamskiej. Pierwsza pojawia się wraz z opowieścią o Stworzeniu, której teksty, jak na ironię, odnaleziono w ruinach pałacu Asurbanipala. Marduk - demiurg, bóg Słońca i Babilonu, stacza walkę z Tiamat, kobietą-smokiem. Warto zaznaczyć, że Tiamat jest także matką wszelkiego stworzenia, boginią wód słonych oraz małżonką boga wód słodkich, Apsu. Tiamat i Apsu dali życie bogom, których młodość przebiegała dość burzliwie. Apsu tak żalił się małżonce: "Wprost trudno znieść ich zachowanie. Nie zaznaję chwili wytchnienia we dnie, nie sypiam nocami. Chcę

ich zniszczyć, by położyć kres tym awanturom. I niechaj wreszcie zapanuje cisza, byśmy mogli spokojnie spać"14.

Potem dochodzi do zadziwiającej rozmowy, nieco mieszczańskiej, nieco - zbrodniczej. Tonem rodziców z dzielnic biedoty, którzy złorzeczą w sobotni wieczór, kiedy dzieciaki znów wyczerpały ich cierpliwość, ojciec i matka rozprawiają nad - ni mniej ni więcej - wymordowaniem potomstwa, czego domaga się zgryźliwy Apsu. Wieść o tym dociera do bogów. Marduk, wysłany, by rozprawić się z Tiamat i stanąć w obronie niebiańskich mocy, wyrusza do boju na swym wozie. Jedenastu sprzymierzeńców boskiej jędry ucieka na jego widok. Bogini-smok stawia napastnikowi czoło, ale on chwyta ją w sieć z promieni słonecznych, ciska w jej paszczę piorunami i przebija ją strzałą. Już martwą, ćwiartuje, a jej cętkowane plecy wyrzuca w górę, tworząc z nich sklepienie niebieskie. Potem brzuch ciska w dół, gdzie powstaje ziemia i oceany. Podczas tej tytanicznej walki z ręki Marduka ginie także Kingu, wezwany przez swoją matkę, Tiamat, na pomoc.

Krwawa kosmogonia oparta na matkobójstwie, w której męski heroizm nie jest w stanie przysłonić okrucieństwa... Poszukiwacze symboli zechcą zapewne ujrzeć w tej opowieści kolejny wariant pojedynku między pierwiastkiem męskim i żeńskim, zakończony zniszczeniem pierwiastka żeńskiego. Zło, jak już wspominaliśmy, jest kobietą. Możemy teraz przyjrzeć się, na jak kruchych podstawach oparte są interpretacje ludzkich zachowań przez pryzmat kompleksu Edypa".

Znaczenie humoru staje się wyraźnie widoczne w innej kosmogonii. Tej, która zawiera opowieść o stworzeniu brzydkich ludzi. Tym razem boga chłodnej wody, Enki, który, jak wspomnieliśmy wcześniej, ma zostać ojcem Marduka, budzi nagle ze snu Nammu, jego matka i bogini głębin. Skarży się na ogrom prac ciężących na bogach. Enki wpada na pomysł stworzenia kukielek, które wyręczałyby bogów. Przede wszystkim - mówi - potrzeba nam błota z pogranicza ziemi i głębin morskich. To błoto, które trzeba wydobyć z ciała Nammu, posłużyć ma do zrobienia serc dla kukielek. W pracy pomaga mu ośmiu innych bogów i tak powstaje rodzaj ludzki.

Ale na tym nie koniec. Aby uczcić swój sukces, Enki urządza ucztę, gdzie piwo leje się strumieniami. Żona Enki, Ninmah, jest lekko podchmielona. Zapewne sceptycznie spoglądała na sukces stworzenia, skoro rzuciła pod adresem męża: "Cóż warte jest ciało ludzkie? Mogłabym zrobić takich, ile zechcesz! - A zatem zrób", odpowiedział Enki, przyjmując pijackie wyzwanie. "Obiecuję ci, że każda istota ludzka, którą stworzysz, znajdzie swe miejsce". Ninmah przystąpiła do pracy i wymyśliła eunucha, bezpłodną kobietę oraz czterech ludzi kalekich. Enki wyznaczył każdemu z nich rolę w społeczeństwie. Eunucha uczynił urzędnikiem, bezpłodną kobietę - konkubina, co zrobił z kalekami - nie wiadomo. Potem nabrał zapału do tej zabawy i "wyzwał Ninmah do jej kontynuowania, ale przy odwróconych rolach. Teraz to on miał tworzyć coraz dziwniejsze istoty, a ona - wynajdować dla nich właściwe miejsce. Ninmah podjęła wyzwanie. Enki stworzył najpierw mężczyznę, »który narodził się dawno temu« i to był pierwszy starzec. Stał przed Ninmah, a ta poczęstowała go kawałkiem chleba. On jednak nie miał ani zębów, ani nawet dość siły, by go utrzymać w ręku. Bogini nie wiedziała, co począć z tym nieszczęśnikiem. Chcąc ją pokonać, pijany Enki zadał boskiej małżonce ostateczny cios, tworząc jeszcze pięcioro ludzi-mężczyzn i kobiet, przeraźliwie zdeformowanych i godnych litości. Ninmah nie potrafiła znaleźć dla nich zajęcia. Wieczór dobiegał końca pośród ogólnej wrzawy"16.

Można by pomyśleć, że Mezopotamczycy nie okazywali swym bogom większego respektu niż Grecy czy Celtowie. Ale podobieństwo jest tylko pozorne. W opowieści o Stworzeniu, które początkowo jest dziełem poważnym, ale potem przeradza się w bezmyślną zabawę pijanych mocarzy, bóstwa ukazane są jako istoty potężne i okrutne. Ludzie są zatem albo wytworem zła, albo powstają po to, by stać się sługami bogów.

Trzeba zaznaczyć, że Asyryjczyk był do głębi przesiąknięty duchem służalczości, chyba że sam był potężny. To jednak dotyczyło tylko książąt. Na dowód przytoczmy króciutki dialog pana ze sługą, przypominający teksty Moliера lub Brechta. Tekst nosi tytuł "Dialog pesymisty":

"Sługo, czyń, co każe!

- Tak, mój Panie, tak!

- Zamierzam pokochać kobietę.

- Tak, kochaj, mój Panie, kochaj. Mężczyzna, który kocha kobietę, zapomina o cierpieniu i nudzie.

- Nie, słuگو, nie będę kochał kobiet.

- Nie kochaj, Panie, nie kochaj. Kobieta jest niczym potrzask, niczym dobrze naostrzony sztylet! Potrafi poderżnąć gardło"⁷.

Ten tekst nie ma nic wspólnego ani z religią, ani z kulturą helleńską, do głębi przesiąkniętą beztroską, która świadczy o uznaniu wolności za dobro najwyższe. Religia sumeryjska nigdy nie zważała na wolność, będącą dobrem natury filozoficznej, które wyrosło na gruncie kultury greckiej. Jej liturgia nie tylko stanowi prefigurację liturgii żydowskiej i chrześcijańskiej, lecz odzwierciedla także najposępniejsze lęki egzystencjalne Wschodu, które odnajdujemy w obrzędach bizantyńskich. W Mezopotamii bez końca trwały modły i błagania zwrócone do bogów, a przede wszystkim do Eniia, erszemmy, którym wtórował dźwięk fletu.

Od czasu do czasu przerywał je błagalny śpiew, kiszub. Praktyki te towarzyszyły ubieraniu bóstw, zaspokajaniu ich głodu, ich ślubom (zawieranym "przez posążki, które bogato ozdabiano, by następnie poprowadzić je do »komnaty matżeńskiej« i pozostawić tam na noc, ułożone obok siebie"ls), a także ich adoracji.

Duchowieństwo klasycznej epoki wielkiej odnowy sumeryjskiej, przypadającej na okres panowania ostatniej dynastii z Ur oraz królów Larsy i Isin, wypracował wysoce skomplikowaną liturgię, w której układ erszemmow i kiszubów służył uwypuklaniu najistotniejszych elementów i wątków teologicznych "o charakterze niezwykle przynębiającym i pokutnym"¹⁹. Każda liturgia zawierała hymn do Stówa gniewu boga, na którego cześć była odprawiana. Bez trudu odnajdziemy w nich pierwowzory naszego Dies irae oraz litanii, w owych liturgiach bowiem uwzględniano również długą litanie do patrona świątyni. Wymieniano w niej imiona bóstw, do których się zwracano, a po każdym z imion następował żałobny refren. Pokutne błagania zamykały rozdzierającą ceremonię nieustającego Wielkiego Piątku²⁰. Istniała również "nieprawdopodobna mnogość zakazów pozytywnych, a przede wszystkim negatywnych... Nie wolno było składać przysięgi, jeżeli nie umyto się dłoni, którą należało unieść przyrzekając ani wzywać imienia bożego ze wzniesioną motyką, ani pić z naczynia z niewypalanej gliny, ani łamać gałęzi na stepie, ani trzciny na plantacji..."²¹.

I już jesteśmy niemal w Bizancjum, ponieważ zaczyna się rysować model kalendarza liturgicznego. Jest kompletny i gotowy do przyjęcia. Na każdy miesiąc wyznaczono okolicznościowe liturgie i nabożeństwa przeznaczone do odprawiania w określone dni przez kapłanów, czyli gale. Są dni, kiedy należy odprawić kolejno kilka mszy. Liturgia ma na celu odwrócenie złego losu, a rytuał ustala, gdzie należy celebrować nabożeństwo w konkretnej intencji - na przykład z okazji wyświęcenia budowli czy obrzędowego bębna. Rodzi się już także ekumenizm, ponieważ po raz pierwszy w historii religii odprawiane są nabożeństwa mające oddalić groźby wiszące nad całą ludzkością oraz gniew boży. "Nie ma [jednak] śladu apotropaizmu w rozumieniu magicznym w tych muzycznych obrzędach", czytamy w Encyclopaedia Britannica²², a zatem nie są to magiczne zaklęcia, których posępny charakter usprawiedliwiłaby przenikająca je do głębi desperacja. "Są to surowe hymny sławiące bogów, przeplatane pesymistycznymi opisami ludzkiej niedoli oraz marności tego żywota". Bez trudu, choć z pewnym lękiem, wyobrażamy sobie przesuujące się przez ogromne świątynie procesje czarnobrodych kapłanów o smutnych oczach, którzy drobniawo dopełniają długie cierpiętnicze obrządki.

Gdy publiczne ceremonie okazały się niewystarczające, religia sumeryjska wypracowała zestaw modlitw wyrażających skruchę, które można było odmawiać indywidualnie. To kolejna nowość o korzeniach sumeryjskich, która wycisnęła głębokie piętno na praktykach innych religii. Są to psalmy pokutne. Istnieje jednak także inny ich rodzaj, nieco późniejszy - psalmy pochwalne, wyznania, psalmy błagalne, które odmawia się razem z kapłanem. A zatem znów coś pojawia się w Mezopotamii. Tym razem jest to rytuał spowiedzi. Archeolodzy nie bez zdziwienia spoglądali na odkryte przez siebie tabliczki świadczące o tym, że nawet po wyparciu języka sumeryjskiego pozostał on językiem liturgii, jak łacina w Kościele rzymskokatolickim.

Raz jeszcze zastanawiamy się nad wrogością autora Apokalipsy wobec Babilonu.

Oślawiona "matka wszetecznic" była państwem, gdzie odprawiana nasza msza żałobna została by uznana za pogodną operę. Nic na świecie nie dorównuje posępnością religii sumeryjskiej, i śmiem twierdzić, że bezgraniczna rozpacz narodziła się w tym samym czasie i miejscu, co pismo - w Sumerze.

Na większą uwagę zasługuje jednak uderzające podobieństwo religii sumeryjskiej do religii objawionych, a szczególnie - judaizmu i chrześcijaństwa. Można zastanawiać się nad źródłem pojęcia grzechu, które pojawia się w ich teologiach. Także w Sumerze odnajdziemy wyraźny zamysł stworzenia diabła, zarysowujący się już w Iranie.

Zgodnie z teologią Sumerów i Semitów za większość spadających na nich nieszczęść oraz ciążyących na nich przewin odpowiedzialne są demony. "Demonologia stanowiła niezwykle istotny aspekt ich religii", piszą autorzy Encyclopaedia Britannica²³. Kiedy bowiem Irańczycy mieli już tylko jednego boga i jednego anty-boga, Mezopotamczycy trwali wciąż przy politeizmie, a ich światu zagrażały demony. Owych pół-ludzi, pół-potworów było siedem. Miały głowy zwierząt - lwa, pantery, psa, barana, kozła, ptaka i węża.

Tej groźnej siódemce przewodziły dwa wyjątkowo żalosne stwory - Pazuzu Asyryjczyk, demon o czterech skrzydłach, głowie nietoperza i ogonie skorpiona, uosabiający południowo-wschodnie wiatry, a także Lamasztu, diaboliczna gorączki połogowej, reinkarnacja sumeryjskiej bogini Dimmea, okrutna samica, przedstawiana na ogół z psem i świnią przy piersi²⁴.

W ostatnim przypadku natykamy się na tyle sprzeczności, że nasuwa się porównanie z bóstwami wedyjskimi. Dimmea, choć jest córką Anu, władcy niebios, jest też siostrą okrutnego Arymana Indoirańczyków. Miała przy tym brata, który nie był od niej lepszy, z trudem przyszłoby nam bowiem wymienić choćby jeden jego dobry uczynek. Mowa o Utukku Limnu, przywódcy demonów i synu Anu. Dla Mezopotamczyków związki miłosne bogów nie były źródłem szczęścia, czego dowodem jest Namtaru, demon przeznaczenia, który był synem Eniia, władcy ziemi, oraz posłańcem Ereszkigal, władczyni piekła. Widzieliśmy go już w akcji. To on miał nieść ludziom śmierć²⁵. To odrażające stadko bożych wyrzutek uważano za twór piekieł i nazywano "gorzką trucizną bogów". Piekło coraz wyraźniej nabiera kolorytu, który będzie je cechował w religiach objawionych, poczynając od żydowskiej potępieniem. Jak więc spełnił się ów cud, którego nie znała ani Azja, ani Afryka, ani inne wcześniejsze cywilizacje?

Przede wszystkim trzeba uwzględnić skąpe rozmiary sceny, na której rozgrywa się spektakl - Mezopotamia to tylko wąski pas ziemi, okruch Azji, ułamek Afryki. Trzeba by dziesięciu takich skrawków, by złożyć z nich Egipt, a już pięćdziesięciu, by powstała Baktria. Potop, prawdziwy potop, pogrążyłby ją całą w Zatoce Perskiej. Scytowie, Dakowie, Getowie, Sarmaci, Mas-sageci, którzy wędrowali wokół Morza Kaspijskiego, zajmowali terytoria nieporównanie większe i kiedy następcy Aleksandra Wielkiego wcielili Mezopotamię do Imperium Seleucydów, trudno było odnaleźć ją na mapach. Ten owalny skrawek ziemi zniknął w bezkresnym morzu ludów greckich. Na tak ograniczonym terytorium można było bez trudu sprawować radykalne rządy.

I rzeczywiście kraj był trzymany silną ręką. Sumer, Ur, Asur, Akad, Babilon to orle gniazda. Pełni niepokoju bogacze na przemian rozwijają handel i potęgę militarną miast-państw, w niczym zresztą niepodobnych do miast helleńskich, które narodziły się znacznie później. Grecja była niczym sielska wioska, gdzie na każdym drzewie rosną owoce, a dzień powszedni ma smak owczego sera, oliwek i fig, smak wina i poezji, a także - ironii. Władcy Mezopotamii są bogaci. Już w III tysiącleciu p.n.e., kiedy Egipt raczkuje, a Grecja jeszcze się nie wykluliła, Mezopotamia prowadzi handel z całym światem, wie, jak ważyć towary, bo pozostawiła po sobie ołowiane odważniki w kształcie kaczek i lwów. Czym handlowano? Złotem, miedzią, cyną, biżuterią, kamieniami szlachetnymi, kością słoniową, koralami, przyprawami, ziołami, futrami, a później szkłem, porcelaną, wełną, jedwabiem i wyrobami artystycznymi. Chcielibyśmy wierzyć, że obok Rzymian my pierwsi doceniliśmy sztukę grecką, jednak mezopotamscy bogacze rozkochali się w niej już w V wieku p.n.e. A zaopatrywali się choćby w koloniach w Azji Mniejszej.

Kraj bogaci się także dzięki rolnictwu. Namuły, jeżeli potrafi się zapanować nad wylewami rzek, dają niezwykle obfite plony. A Mezopotamczycy wiedzą, jak postępować,

bo już w III tysiącleciu p.n.e. zobowiązani do pracy na rzecz władcy ludzie budowali z rozkazu królów z Ur kanały odprowadzające wodę, i żaden z późniejszych władców nie zapomniał, że bogactwo kraju zależy także od wierności bogu wód słodkich, Apsu²⁶. Z biegiem czasu kanały nawadniające stworzą sieć szlaków wodnych i właśnie nimi płynąc będą barki transportujące ogromne, wykute w kamieniu byki, które ozdobią pałac Sennaszeriba w Niniwie. Dopiero po przybyciu Arabów sieć dróg wodnych Mezopotamii została zaniedbana i wreszcie całkowicie zapomniana. Popadła w ruinę, a dwie potężne rzeki przejęły władzę nad tą krainą i utrzymują ją po dzień dzisiejszy.

Bogactwo, pozostające aż do końca panowania III dynastii z Ur, to znaczy do roku 2030 p.n.e., pod kontrolą władzy państwowej, stało się załączkiem prywatnego kapitalizmu. Ostatni władca z Ur, Ibbisin, utrzymuje jeszcze folwarki królewskie w Puzriszdagan i sprawuje kontrolę zarówno nad handlem wewnętrznym, jak i zagranicznym, lecz wszystko zmienia się po przybyciu Semitów. Górę bierze prywatna inicjatywa, na czym skarb królewski tylko zyskuje, pobiera bowiem podatki od majątku poddanych. Dzieje królestw mezopotamskich znaczą, niczym kamienie milowe, imponujące rezydencje i pałace królewskie, istne cytadele zdobione freskami, płaskorzeźbami i monumentalnymi posągami, otoczone rajskimi ogrodami. Pod bacznym okiem uzbrojonych w łuki wartowników mieszkali tam liczni dworzanie i kapłani. Każdy z władców, potomków królów-bogów, był królem-stońcem.

Od roku 1843, kiedy Francuz Botha prowadził poszukiwania w Chorsabadzie, do odkryć Amerykanów Mallowana i Oatesa w Nimrud, nasza wiedza o życiu dawnej Mezopotamii stale się wzbogacała. Rekonstrukcja pałaców w Asurze, Kar-Tukulti-Ninur- ta, Dur-Szarukin {pałac Sargona), Niniwie (pałac Sennaszeriba), pozwoliła na wyciągnięcie wniosków, wykraczających znacznie poza zakres zainteresowań archeologii i architektury. Przede wszystkim stało się jasne, że niesłychany przepych tych ośrodków władzy nie znajduje równego sobie w historii świata. Może tylko Teby, Memfis czy Karnak miałyby szansę konkurować z nimi. Ani chińscy cesarze, ani władcy Indii, choć przecież panowali nad wielkimi narodami, nie pozwalali sobie na taką wystawność. Wpływ Mezopotamii na Grecję jest widoczny. Tymczasem chcielibyśmy, w każdym razie pragnęłoby tego wielu z nas, by grecki cud wypieściła wyłącznie attycka kolebka, by zrodził się z wdzięku attyckiego nieba, które kąpie się w turkusowym morzu. A jednak Grecja również jest dlužniczką Mezopotamii²⁷.

Dzięki dokonany rekonstrukcjom możemy wyobrazić sobie tytaniczną potęgę monarchów, na rozkaz których budowano owe imponujące gmachy (dziesięć hektarów pod liczący dwieście dziewięć komnat pałac Sargona). Śnili oni sen o podbojach i tym właśnie są dzieje Mezopotamii - pasmem zuchwałych wojen, które przyniosły korzyści późniejszym zdobywcom, a wśród nich - Aleksandrowi. Tak oto Sargon, tuż po urodzeniu włożony do skrzyni i powierzony przez własną matkę rzece, jak później mały Mojżesz²⁸, w XXIV wieku p.n.e. zdobywa tron, dociera w góry Taurusu, przemierza wyżyny Anatolii, podbija całe królestwo Ur i "obmywa broń" w Zatoce Perskiej, a potem wznosi wspaniałą stolicę, Akad. W VII wieku p.n.e. Esarhaddon odważył się nawet zaatakować Egipt. Podbił go, podzielił na dwadzieścia dwa dystrykty i oddał władzę nad nimi asyryjskim urzędnikom. Jego syn Asurbanipal ponownie podporządkował sobie kraj, tłumiąc bunt i biorąc do niewoli faraona. Zburzył Teby, a jako trofea wywiózł do Niniwy dwa obeliski.

Na podporządkowanych Mezopotamii ziemiach, od Sumeru po Asur, powstały tyranie. Życie w imperium toczyło się zgodnie z narzuconym rytuałem i według ścisłej etykiety. W raportach przedstawicieli administracji królewskiej używano konwencjonalnych formuł obowiązujących w korespondencji. Z każdego słowa przebijała cześć dla królewskiej wszechpotęgi. Na przykład poddany piszący list do Sargona przedstawia się w taki oto sposób: "Jam jest niewolnikiem zrodzonym w tym domu, sługą króla i pana mego! Wszystko, com ujrzał i usłyszał, przekazuję królowi, panu memu, niczego przed nim nie tając"²⁹. A przecież autorem tego listu jest gubernator jednej z prowincji. Jak pisywali wróżbici? Kapłan Marduka wróżący z wnętrzości, tak oto zwraca się do Asurbanipala, wkrótce po objęciu przezeń tronu: "We śnie Asur nazwał mędrcom dziada mego pana. Król, władca wszystkich królów, jest potomkiem mędrca i Adapy. Górujesz mądrością nad Apsu, nie masz erudyty nad ciebie"³⁰. "Ja, twój wierny pies, błogosławię memu panu...", oświadcza inny pochlebca w pierwszych słowach listu. Trzeba jednak pamiętać, że pod

absolutną władzą teokracji mezopotamskiej człowiek jest tylko marną istotą, produktem ubocznym woli bożej, śmieciem kalającym powierzchnię ziemi. Liczy się wyłącznie król, który nie tylko rządzi urzędnikami i poddanymi, ale także osobiście decyduje o losach ich dzieci: "Przyślijcie do mnie swych synów! Niechaj pozostaną na mym dworze!", rozkazał Asurbanipal głowom wielkich rodów z Niniwy³¹.

Poza władzą sprawowaną za pośrednictwem niezwykle rozbudowanej biurokracji, która osiągnęła chyba najwyższy w świecie antycznym stopień rozwoju, w tym systemie monarcha ma nad poddanymi władzę tym większą, praktycznie nieograniczoną, że jest zarazem najwyższym dostojnikiem religijnym: "Czytając opisy rytuałów, odnosimy wrażenie, że to władca jest najważniejszą postacią asyryjskiego kultu, a to albo dlatego, że akt kultu dokonuje się w jego obecności, albo dlatego, że jest on głównym aktorem tego wydarzenia, ważniejszych od tego, którego tytuł w tłumaczeniu brzmiałby »wielki kapłan«, pisze Durand³², dodając poniżej: "Niektórzy królowie sami mianowali się kapłanami któregoś z bogów lub świątyń". Król wędrował po miastach i świątyniach obojga królestw - Asuru i Babilonii. Religia mezopotamska nie jest pustym hasłem - twardą ręką trzyma zarówno króla, jak najlichszego z wieśniaków.

Na zadziwiających stronniczością, zapewne nieumyślną, ale jednak graniczącą z obelgą, kartach Złotej Gałęzi sir James G. Frazer bierze w obronę między innymi babilońską tyranję: "Nie będzie żadnej przesady w stwierdzeniu, że w tych dawnych czasach despotyzm był największym przyjacielem ludzkości i - chociaż brzmi to paradoksalnie - wolności. W końcu bowiem więcej jest swobody w najlepszym znaczeniu tego słowa - swobody myślenia po swojemu i kształtowaniu swego losu - pod rządami absolutnego despotyzmu i najbardziej dławiącej tyranii, aniżeli w pozornej wolności życia dzikiego, gdzie los jednostki od kolebki do grobu kształtują żelazne formy dziedzicznego zwyczaju³³.

Wiadomo, że James George Frazer, baronet Imperium Brytyjskiego, pisał te słowa w najpiękniejszych latach historii Imperium, (praca została wydana w roku 1922), gdy jeszcze nigdy Słońce nad nim nie zachodziło. Zapewne podzielał przekonanie swych rodaków, że tyrania brytyjska jest lepsza od "dzikiego życia", jakie wiodłyby ludy skolonizowanych ziem bez dobrodziejstw zaznanych ze strony Korony Brytyjskiej. Czas i doświadczenia innych tyranii dowiodły, jak fałszywe i absurdalne są pod tym względem opinie Frazera, a także jego poglądy na temat "życia w stanie dzikim". Frazer należy do grona tych, którzy wierzą w "postęp" dokonywany przez istotę ludzką i nie wiedzą, lub może nie chcą dostrzec, że brazylijski Yanoama i "Indianin" z wielkiego amerykańskiego miasta są dokładnie tacy sami, choć ten drugi żyje w świecie elektroniki, mediów i komfortu. Zamieszki wywoływane przez ubogich mieszkańców przedmieść Londynu, Lyonu czy Los Angeles dowiodły, pomijając tło polityczne, jak fałszywa jest idea "postępu", za który zwykło się uważać powszechne wybory i prawo do płatnych urlopów. Czas i doświadczenie ujawniły także, jak niebezpiecznie jest snuć wyssane z palca teorie, starając się dopasować je do faktów.

Powracając do królestw Mezopotamii, musimy stwierdzić, że poczynając od Sumeru stworzyły one z przyczyn czysto politycznych religię podporządkowania i upokorzenia. Owo podporządkowanie i upokorzenie miały przenikać sumienia i umysły wiernych. Żadna cywilizacja nie poniżała jednostki tak bardzo, jak mezopotamska. Jej głównym celem było jak najpełniejsze podporządkowanie człowieka w życiu doczesnym, nawet w sferze ducha. Nie będąc z pewnością nośnikiem "postępu", o którym mówi nie tylko Frazer, ale i wielu późniejszych antropologów, zniewolenie nie było konieczne, czego jednoznacznie dowodzi przykład Greków czy Celtów. Musimy także stwierdzić, że w królestwach Mezopotamii zrodziło się zło metafizyczne, którego kwintesencją jest pojęcie grzechu pierwotnego. A przecież ani Grekom, ani Celtom, owo pojęcie nie było potrzebne. Pojęcie grzechu było zatem wytworem takich samych ludzi, którym je narzucano, owocem koncepcji politycznej urzędników brutalnej teokracji, którzy o trzydzieści pięć stuleci wyprzedzili Machiavel-lego w jego kalkulacjach.

Mezopotamia wymyśliła grzech, aby poniżyć jednostkę i - co gorsza - by jednostka pogodziła się ze swym upodleniem, Iran wymyślił diabła, by ją zastraszyć. Podwaliny pod nasze "zdiabo-lizowane" monoteizmy zostały położone. Teraz wystarczyło już tylko wznieść na nich gmach.

* Zapomniany świat Sumerów, Warszawa 1996, s. 255, przekład M. Bielickiego. uświadomić sobie, jak kruchą istotą jest człowiek². Na Wyspie Szczęścia bowiem, leżącej za Morzem Śmierci, władca tego miejsca, Utnapisztim, nauczył Gilgamesza, że przywileje herosa są tylko darem bogów, a nie zdobyczą czy nagrodą za zasługi. Potężni zawdzięczają swój los wyłącznie szczęściu, które innym nie dopisało.

* Enuma elisz, przekład polski K. Łyczkowska, K. Szarzyńska (w:) Mitologia Mezopotamii, Warszawa 1981.

* Cytaty polskie wg Biblii Tysiąclecia. ich tożsamość i przemiany, jakim ulegały. Inanna na przykład miała siostrę Ereszkigal, która władała piekłem, ono jednak było także królestwem Nintud, a zatem Inanna i Nintud również byłyby siostrami. Jeżeli uwzględnimy, że mezopotamscy teolodzy wyodrębnili najwyższy, niebiański panteon, Igigi, w którego skład weszło sześciuset bogów, oraz Anunnaki, panteon niższy, ziemski i piekielny, obejmujący trzysta bóstw, a religia Babilonii i Asyrii znała ich około czterech tysięcy, przyznamy, że tamtejsi teolodzy mieli ręce pełne roboty.

Celtowie albo trzydzieści pięć wieków bez diabła

O indoeuropejskim pochodzeniu Celtów - O starożytnych opisach tego ludu - O tym, jak stworzył religię zupełnie różną od wiary jego dalekich przodków - O charakterystyce bogach i wielkiej bogini tej religii - O demonach i o nieobecności diabła w wierzeniach Celtów - O Lokim, boskim figlarzu i o jemu podobnych żartownisiach: Eynissyenie Syrdonie, kuzynach Poliszynela - O politycznych i historycznych przyczynach, które sprawiły, że bóg Celtów nie mógł być bogiem przywar, zła i słabości.

W latach sześćdziesiątych XX wieku większość antropologów przyjmowała zgodnie, że po raz pierwszy człowiek pojawił się w Afryce, a stamtąd rozprzestrzenił się w bliżej nie określonym momencie na inne kontynenty. Uczeni sądzili, że migracje dotarły na Środkowy Wschód, tam zaś wyodrębniły się co najmniej dwie potężne fale, z których jedna zaludniła Europę, a druga Azję. Następnie część owej rodzącej się dopiero ludzkości, po trudnej wędrówce przez nieprzyjazne lądy, miała dotrzeć przez Cieśninę Beringa do Ameryki, część zaś, drogą morską, przedostać się na wyspy Oceanii. A zatem wspólną matką wszystkich ludzi byłaby "afrykańska Ewa".

W trzydzieści lat później obalono tę hipotezę. Stało się to, gdy w Azji odnaleziono szkielety, których wiek wskazywał, że pierwsze istoty ludzkie w pełnym tego słowa znaczeniu, a zatem poruszające się w pozycji pionowej, pojawiły się niezależnie także i w tej części świata. Być może to samo stało się również na innych kontynentach, na przykład w Europie. Mówiąc o chronologii zaludniania Ziemi, nie należy pochopnie wysuwać hipotez i lepiej nie dowierzać temu, co Anglosasi humorystycznie nazywają famous last words. Przyjmijmy, że aż do początku lat osiemdziesiątych utrzymywano, jakoby zaludnienie kontynentów amerykańskich nie mogło nastąpić przed ostatnim zlodowaceniem, które miało miejsce przed około dwunastu tysiącami lat. Sam dając wiarę specjalistom, powtarzałem tę opinię, która zresztą wówczas obowiązywała. Ale na początku lat osiemdziesiątych dokonano niezwykłego odkrycia, początkowo przyjętego bardzo sceptycznie, by nie powiedzieć - nieprzychylnie. Archeolodzy francuscy odnaleźli w brazylijskiej osadzie zwanej Piedra Furada, czyli Przedziurawiony Kamień, jaskinie, w których człowiek musiał pojawić się trzydzieści tysięcy lat temu, lub nawet wcześniej. Wskazywało na to badanie metodą rozpadu izotopów węgla C-14. Na początku lat dziewięćdziesiątych nie można już było podważać ustalonego wieku znalezisk i hipoteza o wcześniejszym niż przyjmowano zaludnieniu Ameryk stała się faktem.

Wciąż jednak nie wiemy, jak doszło do powstania różnic antropologicznych i dlaczego na

przykład Celtowie są wysocy i jasnowłosi, zaś Azjaci mają mongoloidalne rysy, czarne włosy i są niscy. A to rzeczywiście może wpłynąć na wizerunek diabła.

Skoro poruszyliśmy tę kwestię, dla lepszego zrozumienia dalszych rozważań, przytoczmy hipotezę przyjmowaną zgodnie przez większość antropologów. Otóż powtarzające się krzyżowanie w ramach względnie wyizolowanej populacji doprowadziło do powstania, na drodze przekazu powtarzających się zespołów genów, recesywnych lub dominujących (ale nie jest to jedyny możliwy mechanizm), swoistego genotypu i wspólnoty pewnych cech fizycznych. Na przykład dominacja cech recesywnych dała jasne włosy i niebieskie oczy populacjom północnoeuropejskim, czyli Celtom. Także po uwarunkowanych dziedzictwem genetycznym cechach rozpoznajemy członków populacji mongoloidalnych.

Możemy właściwie powiedzieć wprost, że o pochodzeniu pierwszych Celtów wiemy bardzo mało, choć jest to, podobnie jak Etruskowie czy Grecy, jedna z najsilniej obecnych w zbiorowej wyobraźni Zachodu populacji europejskich. Wiemy, że należą do dużej rodziny ludów zwanych indoeuropejskimi. Sama nazwa "Celtowie" budzi jednak wiele niepokoju, stając się przedmiotem rozmaitych spekulacji i interpretacji, a nawet fantazji o druidach, menhirach czy wiedzy tajemnej, zwykle rażąco uproszczonych. Stary, romantyczny przesąd chce, by wyobraźnia była bogatsza od rzeczywistości, ale nawet pełne rezerwy kontakty z nauką zwykle pokazują, że jest zupełnie odwrotnie. Mówiąc bez ogródek, opowieści o Asteriksie, które odznaczają się często podziwu godną wiernością wobec faktów historycznych, są bardziej pouczające niż egzaltowane rozprawy o legendarnej "celtyckiej wiedzy".

Ponieważ jako pierwsi wspomnieli o Celtach Grecy (nazwa Keltoi pochodzi z języka greckiego) uszanujmy przekazany przez nich opis przedstawiciela tego ludu - wysokiego blondyna o niebieskich lub szarych oczach, żyjącego na północ od Alp.

W I w. p.n.e. Diodor Sycylijski, który, co prawda, spisywał tylko opowieści i pogłoski, twierdził, że "Galów", (bo terminów "Gal" i "Celt" używano wymiennie) cechuje przerażający wygląd, głos głęboki i bardzo ostry, a prowadząc rozmowę, używają niewielu słów i posługują się zagadkami, na ogół czyniąc tylko aluzje do spraw i rzeczy, każąc domyślać się reszty. Przesadnie podkreślają swoją wartość, innych zaś próbują poniżyć. To zarozumialcy, którzy stają się groźni, kiedy wpadną w gniew, a równocześnie ludzie uzdolnieni, o bystrych umysłach, którzy łatwo się uczą. "Mają też lirycznych poetów, których nazywają bardami. Bardowie ci śpiewają przy akompaniamencie instrumentów przypominających lirę. Czasami układają elegie, kiedy indziej satyry. Mają również swoich filozofów i teologów, których darzą wielkim szacunkiem. Nazywają ich druidami".

A zatem jest to lud przebiegłych krzykaczy, nieco sentymentalnych, z upodobaniem do ironii. Na początku I w. n.e. Strabon wskazywał na ich awanturnicze skłonności i odwagę, ale także na prawość i prostolinijność. Pisał, że są zawsze gotowi stawić czoło niebezpieczeństwu, nawet jeśli mogą liczyć wyłącznie na własne siły. Choć Celtowie różnili się od Greków szalonym sposobem bycia i ubóstwem języka, bardzo ich przypominali, ponieważ tak jak oni kochali zbiorowe recytacje poezji, przede wszystkim zaś dlatego, że i oni stworzyli silne społeczności.

Nazywa się ich także ludem nordyckim, Norse. Początkowo byli prawdopodobnie podzieleni na trzy grupy: Skandynawów, którzy dokładnie odpowiadali greckiemu opisowi, mieli bowiem orle nosy, wydłużone czaszki i bardzo jasne włosy, Alpejczyków, z południowo-wschodniej Francji, Sabaudii, Szwajcarii, doliny Padu, Tyrolu, Owernii, Bretanii, Normandii, Burgundii, Ardenów i Wogezów, różniących się od poprzedniego typu okrągłą głową, wydatnym nosem, krępa budową ciała, piwnymi oczami i ciemnymi włosami oraz typ śródziemnomorski, który cechuje średni wzrost, szczupła budowa ciała, wydłużona twarz, ciemne włosy i oczy. Ten opis pasuje do ludów, które przybyły z drugą falą wielkich migracji i osiedliły się na Starym Kontynencie'. Jako pierwsze, ze wschodu na zachód, przenieść się miały ludy indoeuropejskie, które przybyły do Europy z Indii mniej więcej trzy tysiące lat p.n.e. Druga fala migracji przesunęła się ze swoich zachodnich siedzib na wschód i północ, a z Europy Środkowej wyruszyła około VIII w. p.n.e. Trzeci etap wędrówek rozpoczął się około V w., a zakończył się osiedleniem różnych ludów celtyckich w istniejących już średniowiecznych królestwach.

Hipoteza o wspólnym rodowodzie ludów tworzących trzy kolejne fale migracji jest dość powszechnie akceptowana. Wydaje się bowiem, że "w Celtach [można] upatrywać potomków pierwszych indoeuropejskich zdobywców kontynentu"². Na rzecz tej hipotezy przemawia język celtycki, należący do grupy indo-europejskiej, która pojawiła się około 4500 lat temu "gdzieś pomiędzy Karpatami a Uralem". Język Celtów jest spokrewniony z łaciną, językami słowiańskimi, hindi oraz greką.

Plemiona celtyckie nie napotkały na swej drodze rozległych, bezludnych terytoriów. Ich przodkowie, ludy kultury grobów kurhanowych, żyli na tych terenach już wcześniej. Choć jednak udało się dokonać pewnych ustaleń genealogicznych, Celtowie należący do drugiej i trzeciej fali migracji, zdaje się niewiele wiedzieli o swoich korzeniach. Trudno się temu dziwić, ukochali bowiem ustny przekaz tradycji, czego dowodzi cała, stworzona zresztą dość późno, literatura, dla której słowa, jeśli nie układają się w poezję, są bezużyteczne, przeszłość zaś musi zamienić się w cudowną baśń, bo w przeciwnym razie staje się nudziarstwem. Legendy mówiące o pochodzeniu ludów celtyckich narodziły się w świecie wyobraźni. Księga najazdów powiada, iż pierwsi najeźdźcy, którzy dotarli do Irlandii, pięćdziesiąt jeden kobiet oraz trzech mężczyzn, wywodzili się w prostej linii od Noego i wszyscy, z wyjątkiem jednego mężczyzny, zginęli w czasie potopu. Ów mężczyzna, Fintan, posiadał tajniki magii i przemienił się w łososa, dzięki czemu mógł swobodnie przetrwać w wezbranej toni. Kiedy wody opadły, zamienił się w orła, potem w krogulca i wzbil się nad ziemię, przypatrując się górom i równinom, które wyłaniały się spod wody³.

Taka wersja wydarzeń może wydać się zaskakująca, bo opisywane przez greckich historyków jasne włosy celtyckich najeźdźców nie występują na przykład wśród Irańczyków. Genetyka jednak uczy, że kolor włosów może być wynikiem krzyżowania prowadzącego do triumfu genów recesywnych.

Jest to ważne ustalenie, oznacza bowiem, że wszyscy przybysze, którzy napłynęli do Europy, w tym Celtowie, niegdyś hoładowali tym samym wierzeniom, co ludy, które miały stworzyć wedyzm i zaratustrianizm. Jest istotny także dlatego, że te ludy wytworzyły zupełnie inne religie niż Indoariowicie. A zatem gałęzie tego samego drzewa wydały różne owoce.

O Celtach jako takich, czyli o ludzie, który utworzył drugą falę najazdu, wiemy tylko, że prawdopodobnie pochodzili z Europy Środkowej i że od początku okresu zwanego lateńskim⁴, który rozpoczął się w V w. p.n.e., ich wpływy były znaczne. Celtowie zajęli Wyspy Brytyjskie, Hiszpanię, Grecję, Rosję. Podzieleni na plemiona, różnicowali się i dostosowywali do warunków panujących na konkretnym terytorium. Jedni nazwali się Irlandczykami, inni Galami, Duńczykami, Norwegami... W tym samym czasie ci urodzeni wędrowcy, którzy przybyli z terenu dzisiejszych Niemiec i Czech, zajęli Galię. Potrzebowali zaledwie pięćdziesięciu lat, by sforsować Pireneje i dotrzeć do Hiszpanii⁵. Aleksander Macedoński bez wątplenia był Celtem, podobnie jak Wercyngetoryks i Wikingowie, którzy w dziesięć stuleci później odkryli Amerykę.

Niechęć do nich, o której donoszą rzymscy historycy, nie jest oczywiście w pełni uzasadniona. Ludy, o których mowa, przejęły od swoich przodków rozwiniętą technologię obróbki metali, wypracowaną już przez proto-Celtów, którzy używali także już od III tysiąclecia p.n.e. wozów na kołach. Czy nazwiemy je barbarzyńcami, zależy głównie od punktu widzenia, warto bowiem pamiętać, że już ludy kultury kurhanów gotowały mięso w kotłach z brązu i miały rozwinięte poczucie estetyki, o czym świadczy zachowana po nich biżuteria, a także odzież, przypominająca stroje współczesnych bałkańskich chtëpów. A kiedy Wikingowie zaczęli budować statki, powstało owo arcydzieło morskiego geniusza, jakim jest drakkar, który potrafił dotrzeć przez ocean do Ameryki już pięćset lat przed karawelami Kolumba.

W roku 279 p.n.e. Celtowie ponownie zajęli Macedonię, a następnie przez Trację i Tesalię dotarli do Grecji. Od tej chwili wpisali się już na stałe w europejski krajobraz. Celtyccy najemnicy brali udział w wojnach helleńskich w III wieku, wchodzili także w skład specjalnej straży, liczącej czterystu Galów, przysłanej przez Rzym Herodowi Antypasowi, słynnemu tetrarsze, o którym wspomina Nowy Testament. Około dwudziestu tysięcy Celtów wyruszyło na podbój Azji Mniejszej i osiadło w Galacji. Celtowie pojawiali się także w Bretanii, Turcji, Hiszpanii oraz w Rosji. Niczym plama płynnego złota rozlewali się na wszystkie strony, pokonując bez trudu granice ówczesnego świata, a w końcu

nawet morza. Nasi słynni "galijscy przodkowie" również byli Celtami.

Jak zatem mówić o Celtach? Jak odnaleźć ich ogród hiperborej-ski, gdzie poza granicami znanego świata, gdzie ludzie zawsze byli szczęśliwi, czy owe legendarne Wyspy Szczęśliwe, wyspę Lyonesse, leżącą pomiędzy Wielką Brytanią a Francją (prawdopodobnie była nią Jersey lub Guernesey), wyspę Hi Brazył, która rozciągała się na południowy zachód od Irlandii? Celtowie nie tworzyli jednolitego, zwartego ludu. Byli rozrzućeni po całej Europie, a z upływem wieków różnili się coraz bardziej (różnice między Wikingami i Galami są przecież oczywiste). Ich obyczaje i wierzenia kształtowały się niezależnie od siebie.

Mimo tego owe wierzenia wyrosły ze wspólnego pnia i, choć może to oburzyć purystów, będę omawiał ich rozwój w czasie i przestrzeni, nie zważając szczególnie na to, że wyznawali je Arvernowie lub Wikingowie i że kształtowały się w konkretnych i często zupełnie odmiennych warunkach.

O najwcześniejszych wierzeniach, z epoki brązu i żelaza, nie wiemy właściwie nic, zaś wiedzę o właściwych Celtach zawdzięczamy islandzkiemu erudycie, Snorri Sturisonowi, który w XIII w. zebrał celtyckie legendy w księdze stanowiącej podstawę późniejszych prac, Eddzie młodszej, czyli prozaicznej (zwanej tak dla odróżnienia od Eddy starszej, poetyckiej, spisanej w bliżej nie określonym czasie⁶). Także okruszki wiedzy o proto-Celtach nie wystarczają do odtworzenia ich wierzeń. Wiemy, że uprawiali kult świątych głów, na co licznych dowodów dostarcza ich sztuka i zachowane teksty. Przeróżający słup ze świątyni w Roquepertuse w Bouches-du-Rhône, wzniesiony w III lub II w. p.n.e. i dorównujący nawet najpotworniejszym artefaktom papuaskim to tylko jeden z wielu przykładów. Jest to prawdziwa czaszka osadzona w kamieniu, bowiem Celtowie wierzyli, że święte moce zdobytej przez nich głowy będą im odtąd służyły i ochraniały przed oddziaływaniem istot nadprzyrodzonych⁷. Jednak by na tej podstawie zrekonstruować ich religię, trzeba by wykonać skok, na jaki mogą się zdobyć tylko poeci.

Ta obsesja głowy była wyjątkowo uporczywa, o czym świadczą celtyckie legendy, a zwłaszcza wyczyny młodego herosa i awanturnika, Cuchulainna, który nie potrafił dogadać się z nikim, nie ścinając mu głowy⁸.

Wiara, że niebieski jest świętym kolorem bogini-matki, skłaniała Celtów do malowania tą barwą ciał. Od tego zwyczaju pochodzi nazwa Piktowie, odnosząca się do Celtów (a może także proto-Celtów) ze Szkocji, którzy byli nie lada przeciwnikami dla Rzymian. Stąd właśnie wzięła się ich fatalna reputacja u rzymskich autorów, którzy nazywali ich po prostu kanibalami. Bez wątplenia w oczach Rzymian, jednego z najbardziej cywilizowanych ludów tych czasów, ludzie, którzy rzucali się do walki nago, z pomazanymi farbą ciałami, posługiwali się lekkimi wozami i potwornie wrzeszczeli ruszając do ataku, byli barbarzyńcami.

Kiedy czytamy u Tacyta opis widoku, jaki ukazał się oczom

Rzymian nad cieśniną Menai, leżącą pomiędzy krajem Galów i wyspą Anglesey, bezwiednie odczuwamy przerażenie, które stara się w nas wzbudzić autor (sam z pewnością nie uczestniczył w rzezi, w owym czasie był bowiem dzieckiem). Kobiety w czarnych szatach, trzymające w rękach pochodnie, niczym furie runęły na rzymskie legiony, zaś gromada druidów w bieli rzucała na napastników kłatwy. Rzymianie nigdy jeszcze nie zetknęli się z tego rodzaju szaleństwem, a to, że świętując, Celtowie publicznie uprawiali miłość, kazał także wątpić w ich skromność.

Zajmijmy się teraz celtyckim panteonem. Mommsen zachwyca się "barokowym i fantastycznym natłokiem elementów ziemskiego pochodzenia, zapożyczających ów celtycki Olimp", który zresztą uważa za "pozbawiony piękna i czystości". Zapewnia także, iż "daremne byłyby próby nadania precyzyjnego znaczenia nauczaniu druidów, mieszały się w nim bowiem w dziwny sposób spekulacja i fantazja"⁹. Przeciwstawia także religię celtycką grecko-rzym-skiej, ponieważ się uważa, że ta ostatnia w większej mierze potrafi zaspokoić potrzeby duchowe człowieka. Jest to oczywiście przejaw wspomnianego już wcześniej złudzenia optycznego typowego dla XIX wieku. W celtyckim panteonie zasiadało "co najmniej czterysta bóstw"¹⁰. Jest wśród nich Wielka Bogini Danu, za której potomków uważają się Celtowie z Irlandii (Tuatha De Danann, Synowie Danu). Nie potrafimy ustalić jej rodowodu, ponieważ tyle starożytnych kultur od Catal Hiiyuk po Lepeński Vir i Etrurię (by wspomnieć tylko kilka przykładów) czciło Boginię-Matkę, a

tradycje tego kultu, który sięga VII tysiąclecia p.n.e. jest tak stare, że wszelkie próby określenia wzajemnych powiązań, i ustalenia, jaką rolę odegrało w jego kształtowaniu się indoaryjskie pochodzenie Celtów, byłyby ryzykowne. Prawdopodobnie od chwili powstania rolnictwa, urodzajna gleba i liczne stada - początkowo gwarancja przeżycia, potem źródło bogactwa - były wynoszone do roli bogów przez ludy, które nauczyły się siał zboża i udomowiły bydło, a następnie także inne zwierzęta. Płodność i seks, który jest z nią nierozzerwalnie związany, niemal obsesyjnie powracają w sztuce Celtów poczynając od menhirów-fallusów umieszczonych obok posągów bogini rozchylającej dłońmi srom, po gigantyczne rzeźby w kamieniu, ukazujące mężczyzn w trakcie erekcji. Lista tego rodzaju artefaktów jest bardzo długa. Wyobraźnia Celtów zdaje się oscylować pomiędzy dwoma biegunami - seksem i śmiercią, scenami obscenicznymi i makabrycznymi.

Danu nie była jedyną Boginią-Matką: "Boginie panteonu celtyckiego były na ogół Boginiami-Matkami, wyposażonymi w atrybuty symbolizujące życie rodzinne. W ramionach trzymały zwykle dzieci, owoce lub bochny chleba" n.

Równie trudno jest dziś ustalić niebiańską genealogię bogów męskich. Na przykład Ług, od którego imienia pochodzi nazwa Lugdunum, czyli dzisiejszego Lyonu, zdaje się być produktem syntezy bóstwa irańskiego i greckiego. Jest zarazem bogiem wojny, magii, słońca, burzy i sztuki¹², a zatem Aressem, Hermesem, Heliosem, Zeusem i Apollinem w jednej osobie.

Nie możemy, nawet opierając się na "najnowszych", to znaczy historycznych relacjach dotyczących drugiej fali inwazji celtyckiej, nakreślić pełnego obrazu wierzeń Celtów. Są one bardzo zróżnicowane, a systemy religijne rozmaitych plemion, znacznie od siebie odbiegają. Celtowie mieli silną potrzebę wiary w cuda, lecz najwyraźniej nie chcieli wszyscy i stale wierzyć w to samo. Sporo wiemy o ich obrzędach i rytuałach. Najważniejsze celtyckie święto, Samhain, przypadające zgodnie z naszym kalendarzem na 30 października, upamiętniało stworzenie świata, chwilę, w której chaos ustąpił miejsca kosmicznemu porządkowi. Był to budzący trwogę okres powrotu na ziemię duchów zmarłych, które nękały ludzi, jeżeli ci nie złożyli im stosownych ofiar. Chrześcijanie nieznacznie tylko przesunęli datę tego święta i obchodzą je 2 listopada¹³. Wiemy już, że Celtowie wierzyli w istnienie duchów zmarłych, to znaczy w życie duszy po śmierci. Dusze te potrafili przyzywać druidowie, którzy, jak zanotował w II wieku Strabon, wróżyli i składali ofiary z ludzi. W skrócie Dziejów* Trogusa rzymski historyk Justynus opowiada, że Celtowie byli mistrzami w sztuce wróżbiarskiej. Religia celtycka dopuszczała wiele praktyk, które można by nazwać przesądnymi, podobnie zresztą, jak odwołują się do nich liczne religie współczesne.

Wierzyli także w demony, takie jak na przykład Draugra, niespokojny duch, który nawiedza kurhany¹⁴. Badacze nie trafili jednak na ślad jedyne go diabła, antagonisty jedyne go stwórcy.

Cernunnos ("Rogaty"), ów zmienny bóg, którego wyobrażano sobie jako mężczyznę z rogami jelenia, z pewnością miał konszachty z piekłem, ale równocześnie był - jak Prozerpina, pani piekieł - bóstwem płodności, szczęścia i żniw¹⁵. Jeżeli ów bóg, najwspanialszy z jeleni, mógł być diabłem, to był (choć tylko chwilami) diabłem dobrym, który ponadto łączy w sobie różne rodzaje boskości, będąc kuzynem greckiego Pana i - jako opiekun myśliwych - naszego świętego Huberta. W muzeum w Reims znajduje się jego późne, bo pochodzące z II wieku wyobrażenie. Ów bóg, któremu dane było "żyć" stosunkowo długo, siedzi w "pozycji Buddy", a towarzyszą mu Apollin i Merkury, których obecność można wytłumaczyć okupacją rzymską. Przypomina boga Pana i nie wzbudza szczególnych obaw, lecz jeśli przyjrzymy się innemu także galoromańskiemu wizerunkowi, który przechowywany jest w muzeum w Ciuny, zmienimy zdanie. Koźle rogi i wpatrzone w nas oczy czynią go dziwnie podobnym do średniowiecznego diabła. Jest to ostatnie i najgorsze wcielenie bardzo starego bóstwa, którego wizerunki wyrzyte w skale, pochodzące z IV-III wieku p.n.e., odnaleziono w Val Cammonica.

Inne przedstawienia nie są tak jednoznaczne. Jako przykład wymieńmy potwora z Noves, odnalezionego w mieście o tej samej nazwie na terenie Bouches-du-Rhône, wyrzeźbionego w III wieku p.n.e. Ów potwór o wielkich zębach i mocnych pazurach, trzymający w paszczy na pół pożarte ramię człowieka i wspierający łapy na dwóch świątynnych głowach, ów potwór z nabrzmiałym fallusem, jest na pierwszy rzut oka jednym z

najdoskonalszych wyobrażeń diabła z wczesnego okresu chrześcijaństwa. Niewątpliwie artyści okresu romańskiego i wczesnego gotyku mogli swobodnie czerpać inspirację z niezliczonych rzeźb tego rodzaju, by nadać najbardziej wyraziste rysy wcieleniu zła. Największy wpływ na portret diabła wywarł jednak bóg Cromm Cruaich, Garbus ze Wzgórza, któremu Celtowie składali w ofierze ludzi, by potem, jak opowiada Juliusz Cezar, zjadać ich mięso podczas rytualnej uczy.

Do naszych czasów zachowały się tylko kamienne posągi Cromm Cruaicha, ale rzeźbiono go również w złocie, o czym wspomina w XI wieku anonimowy mnich, pisząc w Kronice Leinsteru:

"...Żle się prowadzili,
Klaszcząc w dłonie, okładając różgami własne ciała,
Płacząc przed potworem, który pętał ich swą mocą,
Zalewali świat łzami.

A stało przed nimi dwunastu kamiennych bożków,
Lecz posąg Cromma był} szczerozłoty"16.

A zatem Cromm był bóstwem nadrzędnym. Poświadcza to legenda, według której w XVI w. p.n.e. za panowania legendarnego króla Tiernmasa ze Szkocji składano mu w ofierze pierwotne dzieci przywódców klanów. Działo się to w miejscu kultu boga na równinie Mag Slecht, gdzie był czczony.

Po głębszym zastanowieniu dochodzimy do wniosku, że związek płodności i śmierci odzwierciedla dwoistną naturę mocy nadprzyrodzonych, które są zarazem dobroczynne i okrutne. To tylko my, żyjący w XX wieku, poddani wpływom ikonografii chrześcijańskiej, która ma już dwa tysiące lat, dostrzegamy diaboliczny charakter Cromma. Jak bowiem uznać, że bóg ten był diabłem, skoro miał również - między innymi jako bóg płodności - dobroczynny wpływ na życie ludzi.

Istnieje inny bóg, który wydaje się lepszym kandydatem do miana celtyckiego przodka diabła. Jest nim Loki. Dumeził poświęcił mu odrębne studium i już na początku zaznaczył, że jest to "jeden z najbardziej charakterystycznych bogów skandynawskich"17. Loki to podstępny żartowniś panteonu nordyckiego, skandynawskiego oraz germańskiego, ojciec i przywódca mocy wrogich bogom - wilka Fenrira, bogini piekieł, Hel, węża Jormungandrali. To bóg zmiennokształtny, który może przybrać dowolną postać. W legendach celtyckich przetrwał także jako ojciec ośmionogiego konia Sleipnira19. "Etymologia ludowa", pisze Lurker20, "wywodzi jego imię od słowa log (niemieckie Lohe oznacza nieokiełznany płomień)".

Choć czasami zmienia wygląd, najczęściej pojawia się pod postacią małego człowieka, niemal karła. Czy jest on rzeczywiście diabłem? Dumeził w każdym razie nie chce widzieć w nim tylko mitycznego oszusta, trickstera. Trickster jest tajemniczą postacią, którą spotykamy w wielu religiach i możemy porównać do królewskiego błazna, który potrafi wprowadzić rozgniewać króla, zawsze jednak ma swe miejsce na jego dworze. Warto zaznaczyć, że cała ikonografia, w tym także ta ze współczesnych kart do gry, chce widzieć w nim istotę przebiegłą, ale nie jednoznacznie złą, operetkowe półdiabłą, jokera. Ciekawe, że tego rodzaju bóstwa odnajdujemy w religiach, których nic na pozór nie łączy. W panteonie Jorubów, dużego ludu z Afryki Zachodniej jest nim Esu, posłaniec bogów, porównywalny z Hermesem-Merkurym. Dumeził chce mimo to widzieć w Lokim prawdziwego geniusza zła.

Ale Loki, który pozostaje w służbie boga Odyna, odznacza się pewną specyficzną cechą, jakiej nie posiada żaden celtycki bóg, poza Odynem i Thorem, którym towarzyszy. Tą cechą jest skłonność do życia w gromadzie. Loki nie stroni nawet od olbrzymów i potworów21. Niestety, wykorzystuje każdą nadarzącą się okazję, by spłatać swemu panu, a także innym nieśmiertelnym przykry figiel, lub nawet wyrządzić prawdziwą krzywdę: to on jest bowiem sprawcą śmierci boga Bałdra i o mały włos nie doprowadza do zniszczenia świata.

W mitologii germańskiej Loki to zwiastun zagrażającej światu apokalipsy zwanej ragnarók. W mających nadejść Czasach Topora i Miecza ludzie będą walczyli, póki cały świat nie stanie w ogniu. A wtedy bogowie chwycą za broń, by wyzwąć na ostateczny bój moce zła - gigantów, którym przewodzi Imir, synów Muspella pod wodzą Lokiego, a przede wszystkim niosącego ogień Surtura. Wilk Fenrir połknie potężnego Odyna, którego

syn, Vidar, potem go zabije. Thor pokona węża Jormungandra, ale sam zginie od jego śmiertelności oddechu. Frey ulegnie Surturovi, bogowi ognia, który podpali wówczas świat. "Słońce poczernieje, morze pochłonie lądy, a złociste gwiazdy spadną z nieboskłonu"²². Jak widzimy, wizja apokalipsy jest bardzo podobna w różnych religiach!

A zatem Loki byłby bogiem ognia, wywodzącym się od indo-aryjskiego Agniego, z tą jednak różnicą, że nie otaczano go kultem. Przetrwał jednak w tradycji chłopów norweskich, duńskich, szwedzkich oraz islandzkich: "Przysłowia i opowieści przywołują jego imię", pisze Dumeził. "W Telemarku... rzuca się w ogień kozuch z mleka, mówiąc, że to ofiara dla Lokje", który zdaje się być Lokim, a w "wielu regionach Szwecji, a także wśród Szwedów mieszkających w Finlandii, dziecko rzuca mleczny ząb, który właśnie wypadł, do ognia, mówiąc: "Locke, daj mi ząb z kości za ząb ze złota!".

Czy jednak mamy przynajmniej pewność, że jest on bogiem ognia? Dumeził przypisuje tę hipotezę "pierwszym zwolennikom szkoły naturalistycznej"; być może jest to efekt swoistego lekceważenia etymologii, które tym razem okazało się wielce pouczające. Zwrócił na nie uwagę Lurker. W naszych czasach określenie "szkoła naturalistyczna" brzmi nie najlepiej i jest przestarzałe podobnie jak "antyklerykalny", czy "wolnomyślicielski". Natomiast prawdą jest, że Lokiego najczęściej kojarzy się z ogniem, co przemawiałoby na rzecz jego "piekielnej" natury, chociaż niektórzy znawcy przedmiotu widzieli w nim boga wody, roślinności, lub mocy piekielnych, to znaczy jokera, który zamyka historię świata. Ta ostatnia interpretacja zrodziła się z sarkastycznej wizji losów świata, podobnej do znanej nam ze średniowiecznych misterii, na przykład z okresu Śródpościa, wówczas, kiedy opowiedziano już historię ludzkości od dnia Stworzenia aż po najnowsze dzieje, kiedy aktor poruszając lędźwiami podsunął już Ewie jabłko, wspomniawszy o koronacjach, zabójstwach, wojnach i księżęcych zaślubinach, reżyser wysłał na scenę groteskową postać, karta w czapce z dzwoneczkami, z żółtą pończochą na jednej, a czerwoną na drugiej nodze, by spuścił kurtynę i oznajmił publiczności, że historia dobiegła końca, ponieważ była zbyt śmieszna.

Historia z pewnością jest zabawna, a skoro tak uważa Loki, i jeśli to on byłby diabłem, jesteśmy skłonni przychylić się do jego opinii. Lecz przede wszystkim musimy ustalić, jaka jest natura tego bóstwa - czy rzeczywiście ono jest diabłem lub choćby kuzynem perskiego Arymana. Wydaje się to wątpliwe, ponieważ jest Asem²³, należy do rasy bogów, którzy zamieszkują nordycki Olimp - Asgard, wraz z innymi półśmiertelnymi - Odynem, Thorem, Tyrem, Baldrem, Heimdallem i boginiami, Frigg, Nanną i Sif. W ten sposób upada hipoteza, jakoby Loki był diabłem, nie zdarza się bowiem, by moce niebiańskie dzieliły siedzibę z mocami piekielnymi. Nie koniec jednak na tym.

Wydaje się, że można także odrzucić pogląd, że Loki jest opiekunem świata roślinnego. Jednym ze złośliwych kawałów, jakie lubił płatać, było obcinanie złotych włosów pięknej bogini Sif, małżonki Thora (po starosaksońsku, Thunara, a po staro-niemiecku Donnera), boga burzy i płodności, którego ojcem był sam Odyn. Włosy Sif były poetycką metaforą łanów zbóż, które falują na wietrze, co doskonale potwierdza rolę Sif jako nordyckiej K\`bele, bogini żniw i opiekunki roślin. Gdyby odrażający Loki był bogiem roślinności, to po pierwsze dublowałby funkcje Thora, po drugie zaś obcinając włosy Sif dopuściłby się zbrodni przeciw sobie samemu. Możemy więc wykluczyć tę hipotezę. Loki musi być kimś innym.

Wspomnijmy przy okazji o pewnym dość istotnym wydarzeniu, a mianowicie - o reakcji bogów na zbrodnię, której ofiarą padła Sif. "Kiedy Porr (zwany w Eddzie Thorem²⁴) dowiedział się o tym, chwycił Lokiego i połamałby mu kości, gdyby ten nie przysiągł, że każe Czarnym Elfom zrobić dla Sif złotą perukę, która będzie rosła jak jej naturalne włosy". Krótko mówiąc, przyciśnięty do muru przez groźnego małżonka znieważonej damy, Loki obiecuje perukę. Celtowie z pewnością nie mieli o gniewie swych bogów wyobrażenia bardziej podniosłego niż na przykład Grecy. Loki w każdym razie wychodzi z opresji cało, dzięki peruce!

Wynika z tego, że Loki nie mógł oprzeć się chęci ostrzyżenia Sif, niewątpliwie nazbyt pyszniącej się pięknymi włosami, ale gniew Thora zmusił go do skruchy. Nie jest to jedyny przykład przebiegłości i złośliwości Lokiego. Pewnego razu dowiedział się, że bogini Freyja pragnie zdobyć naszyjnik wykonany przez czterech karłów, którzy zgodzili się go jej oddać, ale pod warunkiem, że z każdym z nich spędzi noc. Ta opowieść jest w

pewnym sensie sproszą wersją bajki o Królowie Śnieżce. Loki donosi o umowie Odynowi, mężowi bogini, a ten poleca mu ukraść naszyjnik. Loki pod postacią muchy wkrada się nocą do sypialni Frei, kąsa ją w szyję i wykorzystując chwilę oszołomienia bólem, kradnie klejnot. Ten wodewilowy epizod zdumiewająco przypomina groteskowe opowieści z mitologii greckiej, na przykład tę, w której Hefajstos zaskoczywszy Aresa w tożu swej małżonki, zarzuca na kochanków sieć, by pokazać ich w takim stanie mieszkańcom Olimpu, którzy oczywiście śmieją się do leż. Tego rodzaju przejawy humoru są w mitologiach tak rzadkie, że nie możemy ich pominąć. Świadczą o ironicznym stosunku do mocy nadprzyrodzonych, co z kolei dowodzi poczucia wolności człowieka, tak wyraźnego u Celtów. Loki kojarzy się nieodparcie z Tillem Eulenspiegłem (Dylem Sowizdrzałem) czy też Poliszynelem, odwiecznym wrogiem żandarma i fanfaronu.

Także pozostałe interpretacje postaci Lokiego wymagają bliższej analizy. Mówiono, że jest bogiem wody. Tak właśnie miała się rzecz z bogiem ognia, wedyjskim Agnim, który był zarazem bogiem wody, "w której żyje dusza wygasłego ognia". Dumeził nazywa go też bogiem podziemnych mocy. Nie śmiałbym posuwać się do zbyt łatwych porównań, lecz raz jeszcze muszę stwierdzić, że podobna jest sytuacja Agniego, którego wydały na świat głębie Ziemi²⁵.

Natomiast zainspirowany spostrzeżeniami Dumezila Eliade twierdzi, że Loki naprawdę jest diabłem. Dumeził twierdził bowiem, że Loki jest odpowiednikiem diabelskiej istoty, Duryodhana, "par excellence ucieleśniającego demona naszej epoki"²⁶. Jednak Eliade nie ma racji. Podobieństwo jest oczywiste, mimo to Duryodhana nie jest w Mahabharacie²⁷ diabłem, a tym bardziej nie ponosi odpowiedzialności za koniec świata. To odrażający łotr, którego najcięższą winą jest to, że wygrał w kości całą fortunę księcia Dhritarashtry. Ale przecież nawet nie próbował uprowadzić duszy zmarłego księcia, gdy ten przybył do nieba ze swoim psem i odmówił przekroczenia jego bram, bo moce niebiańskie nie zgodziły się wpuścić go wraz ze zwierzęciem.

Ponieważ pojawił się wątek niezwykle istotny w rozważaniach dotyczących koncepcji diabła, a mianowicie zbawienie i przeznaczenie świata, czyli kres wszystkiego, eschatologia, warto może zastanowić się nad modną koncepcją, zgodnie z którą ewolucja religii zmierzałaby nieuchronnie ku chrześcijaństwu. Celtycki rangarók nie jest oczywiście końcem świata, takim jak w trzech monoteizmach, to znaczy ostatecznym i absolutnym kresem kosmosu. Po potwornych bijatykach, które już opisaliśmy "wylania się nowa ziemia, ziemia zielona, piękna i tak płodna, jak nigdy dotąd. Nowe słońce, lśniąca jaśniej niż stare, rozpoczyna wędrówkę po niebie", pisze Eliade²⁸. Zauważmy, że niemal identyczna myśl zrodziła się w starożytnym Egipcie w okresie Nowego Państwa *.

Koniec świata jest więc tylko zamknięciem pewnego wielkiego cyklu, po którym następuje kolejny cykl. Jeżeli Loki odgrywa w owym świecie znaczącą rolę, jeżeli to on prowokuje walkę, to dlatego, że "mity germańskie przenika idea bogów heroicznych, zgodnie z nią zaś walka pozwala utrzymać porządek świata, a zarazem unicestwia go, nim nadejdzie świt nowego świata". Oznacza to, że walka jest dobrem, ponieważ dzięki niej utrzymuje się równowaga sił, a także dlatego, że umożliwia odnowę świata. Odnajdujemy tu echa środkowoamerykańskich wierzeń, zgodnie z którymi każdy musi w ustalonych dniach wytluc całą zastawę, by zdobyć nową.

Nie ma zatem sensu dopatrywać się w Lokim przodka diabła. Na pierwszy rzut oka jest zwykłym błaznem²⁹, na drugi - siłą nieodzowną dla zachowania porządku świata, jak wspomniany wcześniej Esu, którego czczą Jorubowie.

Celtowie zresztą posiadali niezwykle dar tworzenia tego rodzaju postaci. Wymieńmy choćby Bricriu "o jadowitym języku". Nie był bogiem, ale legendarnym wodzem plemienia z Uisteru żyjącym za panowania legendarnego króla Conora Mac Nessa. Był pyszałkiem i chciał, by wszyscy goście zapamiętali go jako przemiłego

Por. rozdział 10. gospodarza. Choć był prostakiem, kazai wybudować dla siebie okazały zamek, który stał się wzorem dla innych. Ale w rzeczywistości kochał intrygi i waśnie³⁰. Zaprasza! do siebie wszystkich wodzów uisterskich plemion i przekonywał każdego z nich z osobna, że jemu należy się królewska porcja, najlepszy kawałek tortu. A kiedy nadszedł dzień zabawy, okazało się, że rywalizacja przyjęta fatalny obrót, wszyscy bowiem domagali się obiecaną królewską porcją. A Bricriu, co gorsza, próbował jeszcze uwodzić żony gości, wmawiając każdej z nich, że jest piękniejsza od pozostałych. Jego ulubioną

rozrywką było sianie niezgody, a mimo to nie był diabłem. Przenikliwy i bystry był właściwie prorokiem³¹ i - jak pisze Dumčić - w późnych tekstach "chętnie przedstawiano go jako ollama, czyli mędrca". Bywał złośliwy i wrogi, nie mógł też utrzymać języka na wodzy ani zachować sekretu, bo na czole robił mu się wrzód wielki jak pięść.

Kolejny nicpoń, Evnissyen, nie zazna spokoju, dopóki nie skłóci życzliwych sobie ludzi. Czasami bywa wręcz odrażający. Zdarzyło się, że straszliwie okaleczył konie podarowane królowi Irlandii z okazji ślubu z przyrodnią siostrą i rozpętał wojnę, ale kiedy indziej przenikliwy bożek ujawnił podstęp Irlandczyków, którzy przemycili do sali, gdzie miano uczcić zawarcie pokoju³² wojowników ukrytych w workach.

Dumčić przyrównuje do Lokiego i Bricriu inną mitologiczną postać - Syrdona, bohatera legend przypisywanych "zaginienemu ludowi" Nartów, a zachowanych w pamięci wielu mieszkańców Kaukazu - Osetyńców, czyli ostatnich potomków Scytów, Sarmatów, Alanów i Roksolan oraz Tatarów, Czerkiesów, Czeczenów i Inguszy³³. On również "lubi czynić zło" i zwał go "biczem na Nartów". Jest nieodpowiedzialnym rozpustnikiem i wykołajeńcem, nęka nieszczęśliwych i konających, drwi i płała bolesne figle. Uważa się go zresztą za diabelski pomiot: jeden z mitów o jego narodzinach uznaje go za syna diabła i pięknej dziewczyny z plemienia Nartów, inny zaś czyni go dzieckiem diablidy, poczętym na skutek klątwy.

I oto staje przed nami idealny na pierwszy rzut oka kandydat do roli diabła. Niestety, Nartowie często wybierali go na arbitra w sporach, ponieważ był bardzo inteligentny i, choć złośliwy, czasami potrafił wyświadczyć ludziom przysługę, odkrywając na przykład knowania olbrzymów, którzy schwytali Nartów, sadzając ich na stołkach posmarowanych klejem. Wątek ten uderzająco przypomina podstęp Ulyssesa dążącego do uwolnienia kompanów uwięzionych przez Polifema. Innym razem Syrdon wskazał Nartom zwierzę łowną. Cóż, trudno uznać go za diabła. W baśni "Nart Uryzmaeg, Uaerp i Aeldar"³⁴ odgrywa szlachetną rolę, odciąga bowiem Uryzmaega od flirtu, który wystawia na szwank jego reputację. To samo podanie głosi, że "bóg stworzył [Syrdona] dlatego, że Nartowie nie mogliby bez niego żyć". Trudno byłoby odnieść te słowa do roli naszego diabła i jego stosunków z Bogiem.

Z powyższych rozważań wynika, że Syrdon, Evnissyen, Loki, Cuchulainn i Bricriu uosabiają pewne cechy temperamentu Celtów - ich skłonność do zwady, butę, okrucieństwo, spryt, ale także inteligencję i w gruncie rzeczy - poczciwość oraz oddanie, kiedy wymaga tego dobro wspólnoty. Są krewniakami Nasreddina Hodży i Tilla Eulenspiegla, a także przodkami tureckiego Karagheusza, protoplasty naszego Poliszynela, wszystkich tych kpiarzy, których żarty i zuchwalstwo rozśmieszały ludzi przy wieczerzach. Cieszyli się, kiedy wykpionym był żandarm, reprezentujący siły dobra, ale śmiali się też, kiedy nieznośny kawalarz dostawał cięgi od żandarma. Dostrzegamy tu echa opowieści o Hermesie, złodziejaszku stad. A przecież Hermes nie był diabłem.

Celtowie nie mają zatem swego diabła. Jak greccy kupcy i żeglarze, dumni ze swej siły, ponad wszystko ceniący odwagę, beztroscy, kochający przygodę, przesądni, ale i pełni wiary, że inteligencja może odwrócić gniew bogów, żyli w małych królestwach lub społecznościach, zachowali struktury plemienne i nigdy nie stworzyli władzy centralnej. A gdyby spotkali diabła, to na pewno umieliby się z nim rozprawić.

Zastanówmy się teraz, dlaczego religia celtycka nigdy nie osiągnęła tego stadium rozwoju, jakie cechowało na przykład wierzenia Irańczyków, wśród których właśnie na tym "wyższym" etapie niejako w naturalny sposób zamieszkał diabeł. Przecież łączą je wspólne korzenie i niewątpliwie Celtowie przybywając w III tysiącleciu p.n.e. do Europy, przynoszą ze sobą pewne wierzenia, które Irańczykom dały podstawę do wykreowania Arymana.

Czy stało się to za sprawą struktury owych wierzeń? Nie wydaje się, by tak było. Druidzi³⁵, których Diodor uważa za "filozofów i teologów", pełnili w społeczności celtyckiej rolę porównywalną do roli irańskich magów. Przekonaliśmy się, że nie byli bojaźliwymi mnichami, że pojawiali się w ogniu walki, podsycając zapal bojowy swego ludu. Dość dziwne wydaje się, że greccy erudyci z Aleksandrii porównywali ich do hinduskich magów i braminów. Uważano, że druidzi, którym Celtowie mieliby przypisywać wyolbrzymione zasługi, cieszyli się nadmiernym prestiżem. Nie jest to słuszna opinia. Juliusz Cezar przyznaje, że poza funkcjami religijnymi sprawowali też rolę

sędziów. "Ferowali wyroki, decydowali o odszkodowaniach i karach za zbrodnie i przestępstwa, rozstrzygali także spory dotyczące praw do spadku i prawa własności". Sądy odbywały się raz w roku, na ziemi Karnutów, w okolicy Chartres. "Wszyscy, którzy toczyli spory, przybywali z najodleglejszych zakątków kraju, by poddać sprawę osądowi tego trybunału"³⁶. Zadania sądów nie były błahę, często bowiem dotyczyły "całych rodów, gdyż wedle celtyckiego prawa, o czym świadczą stare teksty praw irlandzkich, bliscy krewni oskarżonego, a nie tylko sam winny, mogli być uznani za winnych jego czynu. A człowiek, który pozwolił, by jego stada weszły na sąsiedzkie pole, mógł zostać zobowiązany do udostępnienia poszkodowanemu własnych pól na cały sezon"³⁷. Funkcje druidów są zatem podobne do tych, jakie w owych czasach sprawowali żydowscy rabini.

Połączenie roli kapłana i prawodawcy³⁸ jest typowe dla teokracji i to teokracji silniejszej od irańskiej, która nadawała uprawnienia prawodawcze królowi, jak działo się za czasów Dariusza. Celtowie dzielili społeczność na druidów, magów i prawodawców, wojowników i ludzi wolnych, to znaczy właścicieli krów, pisze Eliade³⁹. Druidzi stali zatem na szczycie drabiny społecznej. Ich funkcje sędziowskie czyniły ich równymi wodzom plemienia, nad którymi, być może, nawet mieli pewną przewagę. Dlatego wolno nam zastanawiać się, dlaczego nie podążyli drogą irańskich magów i nie dokonali centralizacji panteonu, głosząc istnienie jedyne boga i jego przeciwieństwa - jedyne diabła. Właściwie powinniśmy mówić o centralizacjach, istniały bowiem liczne skupiska ludów celtyckich.

Zjawisko to staje się zrozumiałe, gdy uwzględnimy kilka istotnych czynników. Otóż struktura społeczności celtyckiej nie była aż tak sztywna, jak twierdzi Eliade. Choć struktura ekonomiczna, która w ogromnej mierze przesądza o hierarchii społecznej, była ściśle określona, a władzę sprawował król i stała grupa druidów, to społeczność tę cechowała duża mobilność, ponieważ wojownicy, erudyci, a także rzemieślnicy, tworzący elitę, "zdani byli na łaskę króla i przychylności losu, który pozwalał im zabłysnąć lub kazał ponieść klęskę"⁴⁰. W tej społeczności trzeba było błyszczeć odwagą, czynami, urodą, bogactwem, podbojami, talentem oratorskim lub poetyckim. Była to zatem "zasługokracja", w której najwyżej ceniono odwagę osobistą i osobowość, co jest niewyobrażalne w społeczeństwie feudalnym.

Nawet po chrystianizacji potomkowie Celtów zachowali zdumiewająco dziki sposób walki, opiewany w ich podaniach. Saga o Ferojanach⁴¹, opowieści o wojnach i bohaterskich walkach spisane długo po tym, jak poczęto wpajać Wikingom chrześcijańską łagodność, pokazują, że topór i miecz pozostawały wciąż podstawowymi narzędziami umożliwiającymi pomszczenie zabitego wojownika i rozstrzygnięcie osobistych sporów. Ludzie padają jak muchy, a ścięte głowy, odrąbane członki, poćwiartowane lub przebite na wylot ciała raz po raz ubarwiają relacje. Kult herosów, dominujący w kulturze celtyckiej, jest znacznie silniejszy niż w społeczności irańskiej dowolnej epoki. Bogowie byli zatem potężni i nigdy nie przejawiali słabości, toteż nie mógł istnieć antagonistą boga naznaczony tą ułomnością, diabeł, prawdziwa potęga, nie byłby wszak wrogiem, gdyby miał odwagę, inteligencję i spryt⁴².

Ponadto społeczności celtyckie miały charakter plemienny i nie wytworzyły scentralizowanego państwa, gdzie mogłaby powstać jednolita religia i centralne władze religijne. Nigdy nie powstało ani wielkie państwo, ani wielka stolica celtycka. Każde plemię miało własnych druidów, niezależnych od druidów sąsiedniego plemienia. Aż do upadku Cesarstwa Rzymskiego Celtowie tworzyli mozaikę ulegającą ciągłym zmianom i przesunięciom. Jutowie, Anglowie i Sasi zajęli Brytanię i założyli siedem państw, przeszczepiając na ten obszar swe wierzenia. Frankowie, Wandalowie, Alemanowie, Ostrogoci, Wizygoci i wiele innych ludów szuka wciąż na kontynencie skrawka ziemi, na którym można by żyć w miarę bezpiecznie⁴³. Nawet po uformowaniu się pierwszych europejskich królestw Wikingowie kontynuowali wędrówki, grabieże i podboje, zajmując Hebridy, Orkady, Szetlandy, wyspę Mań i Dublin, a czasami zapuszczali się nawet na kontynent, niszcząc i rabując ziemie sięgające aż po Paryż i Hamburg. Waregowie ze Szwecji zawędrowali aż do Nowogrodu. W roku 896 Wikingowie osiedli u ujścia Sekwany, trwając wciąż w pogaństwie⁴⁴. Warto przypomnieć, że chrystianizacji Wikingów dokonano dopiero około roku 1000. Ich pierwszym państwem była Szwecja, zjednoczona w roku 600 przez władców Uppsali. Po raz pierwszy zobowiązali się zrezygnować z

uprawiania piractwa w traktacie zawartym w Saint-Clair-sur-Epte w roku 911 pomiędzy Wikingami znanymi jako Wikingowie a królem Francji Karolem Prosiakiem⁴³.

I wreszcie, co może się wydać paradoksalne, ludy celtyckie nie miały świadomości narodowej; Jutowie, Anglowie i Sasi walczyli z innymi Celtami - Bretonami z Anglii, aby przepędzić ich z kraju Galów w roku 450. Również duńscy Wikingowie walczyli z celtyckimi Anglami i Sasami, by odebrać im Northumberland i wschodnią Anglię w roku 862. Każde celtyckie plemię spoglądało zazdrosnym okiem na posiadłości innych Celtów. W takich warunkach nie mogła ukształtować się jednolita religia.

Kiedy Celtowie, zwani wówczas Normandami, osiedlili się i zaczęli zakładać swoje państwa - królestwo Anglii, Normandii, Apulii i Sycylii, lub uczestniczyli w działaniach państwowotwórczych, jak w przypadku Księstwa Kijowskiego, państwa polskiego czy Królestwa Węgier, ulegali wpływom chrześcijańskim, bardzo silnym na kontynencie. Ich religia zanikła, zanim zdążyli ją zreformować. Pozostały po niej tylko pewne obrzędy i legendy. Wpływy kultury celtyckiej na Europę były nikłe aż do XIX wieku, kiedy ożyły w pełnej nostalgii literaturze, przede wszystkim anglosaskiej, przywołującej kult indywidualizmu i heroizmu. Wikingowie, których można by nazwać ostatnimi wielkimi nomadami, ulegli czarowi królestw założonych przez innych Celtów. I jeżeli, jak pisze Regis Boyer "w sumie Wikingowie nie wywarli istotnego wpływu na Europę Środkową i Śródziemnomorską", natomiast "bardzo szybko zdołali wpłynąć na Europę Wschodnią, a tylko przelotnie na Zachodnią⁴⁶, to dlatego, że ich kultura ścierała się ze stabilnymi i silnymi systemami religijnymi i politycznymi.

U kresu ich wędrówki i walk pojawił się zły. Potrzebował blisko trzydziestu pięciu wieków, by wygrać z nieustraszonymi Celtami.

* Justynus: Zarys dziejów powszechnych starożytności na podstawie Pompejusza Trogusa.

Grecja albo diabeł pokonany przez demokrację

O tym, jak zazwyczaj wyobrażamy sobie Grecję - O obcym rodowodzie greckich bogów oraz ich niezwykłych temperamentach - Dlaczego nie ma diabła na Olimpie - O wyjątkowej zuchwałości Greków wobec bóstw i o ich pojmowaniu wolności - O przesądach świata helleńskiego i hellenistycznego - O poglądach Platona na temat czarów i religii oraz o jego mistycyzmie - O tym, jak Grecy radzili sobie z lękiem - O misteriach dionizyjskich, eleuzyńskich i orfickich - O demokracji greckiej i o tym, jak chroniła ona przed diabłem.

Poszukiwanie diabła w Grecji to pomysł, który w pierwszej chwili może wydać się dziwny - przecież dobrze wiemy, że tam nie mieszkał. Skąd jednak o tym wiemy? Stąd, że wiara w istnienie diabła wywołuje grymas na ludzkich twarzach. Mówiąc o ludzkich reakcjach, mam na myśli przede wszystkim sztukę, ponieważ ludzie minionych wieków pozostawili nam po sobie tylko zapisany przez nią wizerunek. Postacie ludzkie w sztuce gotyckiej, podobnie jak w bizantyńskiej mają chorobliwy wygląd. Są wychudzone i pokryte zmarszczkami. Sławny Uśmiech z Reims maluje się na bladej, anemicznej twarzy, a smutne oblicze Chrystusa z istambujskiej Hagia Sophia nie przekonuje nas raczej, że boskość jest stanem radosnym.

Cała chrześcijańska sztuka aż do renesansowego zrywu lekceważyła uśmiech i piękno ciała. Pierwsza uśmiechnięta kobieta, choć jeszcze niemal w żałobie, czyli Gioconda, z powodu swojej beztroski zyskała niezwykłą sławę. I nie dlatego, że jej uśmiech jest tajemniczy, ale dlatego, że w ogóle pojawił się na jej twarzy. A dokładnie - dlatego, że ta kobieta ożywiła uśmiech znany nam z greckich posągów i malowideł, utrwalony w kamieniu uśmiech starożytnych młodzieńców, nieco ironiczny i nieodparty. Początkowo, nim sztuka grecka pogrążyła się w hellenistycznym patosie, nim popadła w orientalną przesadę, jaka cechuje już posąg Laokoona i jego synów czy ołtarz pergamoński, nieodmiennie towarzyszył jej uśmiech, zawsze dążyła do harmonii - w architekturze, rzeźbie i malowidłach zdobiących wazy. Dlaczego tak się działo? Otóż bogowie greccy nie mieli wrogów, toteż boskość triumfowała, a ludzie byli pogodni. A może było odwrotnie.

Poszukiwania diabła w Grecji nie miałyby sensu, gdyby nie potrzeba udzielenia odpowiedzi na pytanie: "Dlaczego nie w Grecji? Jak to możliwe, że kraj, tak bliski w czasie i przestrzeni irańskim Indoeuropejczykom, twórcom diabła, uchronił się przed ich wpływem? Cóż szczególnego mieli w sobie ci bogowie, a raczej ci ludzie, bo przecież to ludzie tworzą bogów na swoje podobieństwo?".

Gdy myślimy o greckich bogach najczęściej wyobrażamy sobie kuso odzianych herosów, prowadzących egoistyczny żywot i wtrącających się w sprawy ludzi tylko wówczas, gdy mają związek ze sporami toczonymi przez mieszkańców Olimpu. Trudno porównywać tę religię z monoteizmami, w których istota boska nieustannie i niemal zazdrośnie czuwa nad każdym krokiem jednostki i zbiorowości, choć czasem za czyny wspólnoty karę ponoszą także jej niewinni członkowie, jak stało się w Sodomie i Gomorze*. W skrajnym przypadku (jak np. u esseńczyków czy też w chrześcijańskich zakonach) każdy czyn wyznawców monoteizmu winien być hołdem dla jedyne Boga.

Z perspektywy religii monoteistycznej greccy bogowie wydają się frywolni, a czasem wręcz śmieszni. Żaden z nich nie jest w stanie spowodować w człowieku przemiany, jaka dokonuje się za sprawą bogów dominujących dziś religii monoteistycznych - Jehowy, Boga czy AHaha, owego ponadzmysłowego przeobrażenia, które rozbija twardą skorupę, krępującą jednostkę; oczyszcza duszę i wiedzie ją ku Objawieniu. Ulegając wrodzonej skłonności umysłu ludzkiego, który tak chętnie widzi postęp w przemianie zachodzącej w imię wiary w "sens historii", powiedzielibyśmy zapewne, że monoteistyczna koncepcja bóstwa jest bez porównania głębsza, bardziej dynamiczna, a także bardziej tajemnicza od uosabianej przez Zeusa, władcę Olimpu.

Wszelkie próby odnalezienia diabła lub zapowiedzi jego pojawienia się w religiach Grecji i Rzymu byłyby zatem bezcelowe. Choć mitologia grecka ma swe potwory, które mogłyby właściwie znaleźć się wśród krewnych monoteistycznego diabła, to żaden z nich nie dorównałby nawet smokowi z Aries. Każdy ma takich wrogów, na jakich zasługuje... Czyżby więc Grecja była tylko zabawnym epizodem w dziejach ducha i umysłu ludzkiego? Czyżby jej wytwory w najlepszym wypadku zasługiwały na to, by je ulokować w jakimś muzeum i opisać w książkach dla specjalistów?

Od dawna wiemy, że jest zupełnie inaczej. Trudno byłoby zrozumieć, a nawet wyobrazić sobie historię bez Grecji i Rzymu.

Grecja, jaką znamy dzięki licznym odkryciom, zapoczątkowanym w epoce renesansu, a kontynuowanym w XVIII wieku, kiedy to podjęto pierwsze prace archeologiczne i badania naukowe nad cywilizacją tego kraju, trwające aż do dzisiaj, jest czymś więcej niż prostym "epizodem" w dziejach świata. Jest areną, na której rozpoczął się nie zakończony do tej pory pojedynek między wolnością a starą ideą wpojoną ludziom przez monoteizmy, która brzmi: "Nie ma diabła, więc nie ma Boga!" Tylko ta walka na śmierć i życie może obalić twierdzenie, że bez diabła istota ludzka byłaby skazana na bezbożność.

Warto tu wspomnieć o walce Tezeusza z Minotaurom, jedynym greckim potworem, którego w pewnej mierze można porównywać z naszym diabłem. Symboliczną zapewne wymowę ma fakt, że Minotaur jest przyrodnim bratem Ariadny. Zaskakujący, lecz nieunikniony jest ten związek kobiety i strachu! Chcąc poznać Grecję, zapuszczamy się w Labirynt, w którym czai się potwór, uczestniczymy w metafizycznej corridzie, aż w końcu otwiera się przed nami morska kraina wolności. Słony wiatr rozwiewa odrażające wspomnienie cuchnącego oddechu bestii, a fale zmywają z ciała krew i pot.

Podziwiamy Grecję, bo uwolniła się od diabła. Ale którą Grecję mamy na myśli? Długo przedstawiano nam jej obraz "skomponowany" tylko z tego, co odkrył wiek XVIII i XIX, a były to głównie pamiątki tak zwanego "wieku (czy raczej - półwiecza) Peryklesa". Ale okres attycki nie odzwierciedla w pełni greckiego ducha, podobnie jak czasy Ludwika XIV nie mówią wszystkiego o Francji. Grecja nie jest marmurowym monolitem, który z czasem zawłaszczyli Rzymianie, by w końcu przekazać go całej Europie, choć taki pogląd mógłby wyrobić sobie uczeń dzisiejszych szkół. Niebo Greków to nie dekoracja o harmonijnych barwach, to nie siedziba niestałych bogów. Grecja okresu helleńskiego i hellenistycznego zagarnęła cały basen Morza Śródziemnego, dotarła nawet w głąb Azji. Grecja, która przeniosła się do Aleksandrii zasługuje na uwagę tak samo, jak Ateny czy Korynt. Od narodzin do schyłku, od najazdów mykeńskich w II tysiącleciu p.n.e. i doryckich w XII stuleciu p.n.e. do nastania Heraklidów bizantyńskich w VII wieku, duch

grecki przetrwał trzy tysiące lat, przechodząc metamorfozy, jakich zapewne nie zna żadna inna cywilizacja z wyjątkiem chińskiej.

Grecja nie pojawiła się, niczym wschodzące słońce, jak Atena wyskakująca z głowy Zeusa. Najpierw, w epoce homeryckiej, była to zaledwie garstka niewielkich, rozproszonych miast-państw, pozostających we władaniu książąt i królów, i - jak to ładnie powiedział Tukidydes na początku Wojny Peloponeskiej - oddawała się prowadzeniu wojen, bo grabieże i piracki proceder zapewniały jej byt. Religia oczywiście istniała tu już w epoce brązu i żelaza, ale podobnie jak organizacja społeczna i polityczna, była słaba i niejednolita. Składało się na nią wiele mitów i legend opowiadających o antropomorficznych herosach i sitach, wtedy jeszcze nie rozpoznanych, jak Wiatry.

Oczywiście nie był to folklor, ale też nie trzymająca w karchach religia, zaś kult bogów nie opierał się na konkretnych rytuałach i nie wymagał obecności kapłana. Bogów czczono składając im ofiary, libacje, polegające na wylaniu odrobiny wina z kielicha przed uniesieniem go do ust, albo przeznaczano dla nich całe stada zwierząt*, tzw. hekatombę. Te elementy kultu przetrwały dopóty, dopóki płonął ogień hellenizmu. Grek utrzymywał z bogami bezpośredni kontakt, toteż kapłani, którzy pojawiają się później, by strzec świątyń i wypełniać niektóre obrzędy, nigdy nie będą mieli władzy, jaką zdobyli kapłani innych kultur, choćby egipskiej czy irańskiej. Panteon grecki formował się i rozkwitał z biegiem czasu, jego charakter pozostawał jednak niezmienny. Była to społeczność herosów godnych uwielbienia i wzbudzających lęk. Żaden mieszkaniec Olimpu nie osiągnął jednak metafizycznego wymiaru absolutnego dobra lub zła.

Osobliwość tego jedyne w swoim rodzaju rozwiązania problemów ludzkich polega na tym, że Grecja nie ma w swym rodowodzie śladu "greckości". Jest mozaiką. Język grecki, jak twierdzi sam Herodot, pochodzi od Fenicjan, religia - ze Wschodu. Jej przeszłość, to okrutne cywilizacje egejskie, a potęgą to w wielkiej mierze dzieło bohaterskiego władcy, który był Macedończykiem, a więc barbarzyńcą, potomkiem ludu półnomadów, którzy nawet nie znali greki. Mowa oczywiście o Aleksandrze Wielkim. Jeszcze u schyłku XX wieku Grecja rości sobie prawa do Macedonii, jak niegdyś Włochy do Sabaudii i księstwa Nicei, a Niemcy do Alzacji i Lotaryngii.

Jeżeli jednak chcemy zachować wierność wobec faktów historycznych, musimy przyjąć do wiadomości, że "Grecja" naszych humanistów, biała Grecja "Modlitwy na Akropolu" i "Śpiewu Parek", podobnie jak Grecja Racine'a, Poussina, Stefana Georga i Hólderlina, oraz wyobrażenia, które powstały w osiemnasto-wiecznej Anglii, gdy British Museum kupowało marmury lorda Elgina, to tylko czysta fikcja literacka. Hellenowie drodzy sercom zachodnich humanistów, ci, do których przyzwyczaiła nas tradycja, których ukazywali Winckelmann i Goethe, ci, których chętnie uznajemy za odwiecznych mieszkańców greckiej ziemi, za czasów Homera byli tylko małym tesalskim plemieniem!

Ta Grecja stworzona z marzeń i niewiedzy jest pianą unoszącą się na fali, która przez trzy tysiące lat wędruje po Morzu Śródziemnym. Uderzała o jego brzegi już w VII tysiącleciu p.n.e. Kultury mykeńskie, które utworzyły podwaliny tego, co znacznie później miało stać się "Grecją klasyczną", skupiały się wokół Krety, stopniowo sięgając Cykladów i kilku innych wysp. A przecież trudno o miejsce mniej greckie niż Kreta sprzed czterech tysięcy lat, u schyłku epoki kamiennej lub neolitu. Pierwsi Kreteńczycy pochodzili z Anatolii czy też Afryki Północnej², a może z obu tych regionów i oddawali cześć Wielkiej Bogini. Zwracali się raczej na Południe niż na Północ. Ich kontakty z Egiptem były intensywne i oczywiste - pałac w Knossos powstał pod wyraźnym wpływem monumentalnych egipskich świątyń. Nawet kamienne wazy Kreteńczyków robione były na wzór egipskich. Dopiero u schyłku II tysiąclecia, za czasów XIX dynastii egipskiej, kontakty z tym państwem osłabły. Stało się tak, bo państwo mykeńskie było już wystarczająco potężne i niezależne, by jego władcy i egipscy faraonowie zaczęli spoglądać na siebie zazdrośnie i nieufnie. Właśnie na terenie państwa mykeńskiego, w grocie pod górą Ida, narodził się władca bogów Zeus, którego kult, być może, miał być przeciwagą dla kultu Wielkiej Bogini, późniejszej Kybele.

Kultura mykeńska osiągnęła największy rozkwit około roku 1250 p.n.e., rozprzestrzeniając się nie tylko na Cyklady i Sporady, ale także na "naszą" Grecję, Messenię, Keffalienię, Peloponez, Attykę i Eubeję, część Eolii oraz Tesalię. Ateny, Korynt, Teby, Delfy, miejsca znane dzięki antycznej tragedii i drogie współczesnej wyobraźni,

znalazły się pod panowaniem zdobywców ze Wschodu.

Można by przypuszczać, że właśnie wtedy Mykeńczycy stworzyli Grecję. Pomyliliśmy się jednak. Z nieznanym nam przyczyn ludy Eurazji ogarnął nagle ekspansjonistyczny zapał. Ilirowie, Dakowie i proto-Celtowie, wdarli się na Bałkany, podczas gdy Trako-Frygowie wyruszyli w kierunku Anatolii. Właśnie wtedy ludy, które nazwiemy "Grekami klasycznymi" - Dorowie, Eolo-wie, Jończycy - wyruszyły na podbój Półwyspu Peloponeskiego, wypierając Mykeńczyków i tworząc wreszcie zrab Grecji. Kun byli ci najeźdźcy? Były to plemiona barbarzyńców prawdopodobnie rodem z Krety, jak Dorowie lub z Azji jak Jończycy³, a później Frygowie i Eolowie, którzy skolonizowali Wyspy Eolskie (obecnie - Liparyjskie). Prawie wszyscy ci ludzie mieli domieszkę obcej krwi - na przykład Jończycy i Edonowie, przemieszali się z Persami⁴.

Wszyscy Indoeuropejczycy starszej i świeższej daty lubowali się w mitach i wszczepili zamiłowanie do nich Grecji. Trzeba bowiem wiedzieć, że Grecy kochali baśnie i długie opowieści, spektakle tragiczne i komedie. To nie przypadek, że Sofokles, Ajschylos i Eurypides pojawili się właśnie w Grecji, zaś wśród Rzymian nigdy nie znaleźli godnych rywali. Oddajmy też należną cześć najeźdźcom, ponieważ to Dorowie, dawni Mykeńczycy, dali Grecji Apollina i Heraklesa, tych potężnych bogów, których kult zdumiewał inne ludy.

Cud polega zaś na tym, że w końcu narodziła się Grecja. Z nie kończących się inwazji, z mieszaniny ras i plemion już przemieszanych, zrodziła się niezwykła kultura. Bo przecież istnieje grecki panteon, a my potrafimy wyrecytować imiona bogów, którzy do niego należeli. Jest on równie dziwny, jak na przykład panteon hinduistyczny. W przystępie straszliwej zazdrości Apollin, którego utożsamiamy z pięknem, światłem, chwałą należną boskości, a zatem ze wszystkimi cnotami bezgranicznej szlachetności, żywcem obdziera ze skóry satyra Marsjasza, za to, że lepiej od niego grał na lirze. Władca Olimpu Zeus, choć ożeniony z Herą, nieustannie szuka przygód miłosnych, uwodząc Antiope, Alkmenę, Ledę, Europę i nie ogranicza się do pań, bo pewnego razu porywa urodziwego Ganimedesa (rzadziej wspomina się o innym uroczym chłopcu, Faetonie, który również trafił do nieba). Posejdon, władca mórz, rozgniewał się, ponieważ Ateń-czyzycy wybrali nie jego, lecz Atenę, i dlatego sprowadził na nich powódź. Afrodyta, żona brzydala Hefajstosa, boga, ale przecież i kulawego kowala, zdradza męża z Aressem. Hefajstos - po części za karę, po części dla przyjemności, pojmuje kochanków na gorącym uczynku pokazuje ich wszystkim bogom. Hermes, który był przewodnikiem zmarłych podążających do Hadesu i zostanie patronem jednego z ambitniejszych nurtów religijnych, pozwala sobie na kradzież pięćdziesięciu sztuk bydła ze stada Apollina... Można by bez końca wymieniać aż nazbyt ludzkie słabostki greckich bogów, ich występki, a nawet - zbrodnie. Lecz choćbyśmy byli najzagorzalszymi przeciwnikami anachronizmów i braku szacunku, przyznamy, że ich wyczyny nie zasługują na bardziej podniosły akompaniament niż muzyka Offenbacha.

Uwodziciele, złodzieje, istoty wiarołomne i okrutne, mordercy, awanturnicy, chętnie uciekający się do podstępów - oto prawdziwe oblicza tych pięknych bogów. Skąd wziął się tak niepoehlebny wizerunek? Przede wszystkim trzeba było przypomnieć mocarzom z Olimpu, że są tylko wytworem ludzkiego umysłu. Ale lepiej zrobić to ostrożnie, by nie podzielić losu Prometeusza, który chciał być najśmielszym spośród śmiertelnych i wykraść niebiański ogień, by przynieść go na Ziemię. Za karę tkwił przez jakiś czas przykuty do skały, a orzeł Zeusa pożerał jego wątrobę. Nieśmiertelni są bowiem mściwi, a w każdym razie - za takich uważają ich ludzie. Są potężni, to prawda, lecz ich moralność można uznać, łagodnie rzecz ujmując, za wątpliwą, ponieważ często bywają zwykłymi łajdakami i łotrami. Pamiętajmy jednak, że Grecja jest moralna, a nie - moralizatorska.

Czyżby zatem Grecy nawet nie przeczuwali, jak wielką rangę zyska boskość w czasach, które nadejdą po upadku Rzymu i najazdach barbarzyńskich? Czyżby za sprawą zagadkowego braku przenikliwości nie upatrywali żadnych wyższych cnót w istocie boskiej? Chociaż kosmogonie Hezjoda często odwołują się do czynnika nadprzyrodzonego, greccy bogowie są stale wystawieni na krytyczne spojrzenia śmiertelników, którzy nie wierzą w ich szczególną zycżliwość i nie na nich wzorują swą etykę. Dobroć nie jest cechą konieczną, ani stałą bogów. Na przykład Atena bierze pod opiekę Orestesa, który zabił swą matkę, Klitajmestrę i podczas obrad Areopagu przechyla szalę na jego korzyść, w Iliadzie zaś staje po stronie Diomedesa, walcząc u jego boku. To

piękne przykłady przychylności i troski o jednych śmiertelników, a pogardy lub wrogości wobec innych. Bogowie nie są życzliwi z natury, czego świadectwem jest choćby puszka Pandory, zdradziecki dar Zeusa dla Epimeteusza, brata Prometeusza i męża pierwszej kobiety. Pewnego dnia, nie mogąc powściągnąć ciekawości, Pandora otworzyła puszkę, a wówczas wszelkie plagi i choroby, wszelkie nieszczęścia wydostały się z niej i spadły na ludzi.

Bogowie, jakich wyobrazili sobie Grecy, nie są więc ani przyjaciółmi, ani wrogami ludzkości. Motywacje bogów były dla człowieka nieprzeniknione. Okazji, by się o tym przekonać, jest wiele. Kiedy Herakles, syn Zeusa, w napadzie szału zabija własne dzieci w pałacu swego ziemskiego ojca Amfitriona, następnie zaś odzyskuje zmysły i ogarnięty rozpaczą, targany wyrzutami sumienia, chce zadać sobie śmierć, Tezeusz uspokaja go (tak opisuje to Eurypides w tragedii Herakles szalejący: "Człek śmiertelny bogów nie poplami". A później, kiedy rozwścieczony Herakles postanawia zemścić się na bogach, którzy zestali nań obłąd i grozi: "Bóg dumny, lecz ja również dumny wobec boga!", Tezeusz poucza go:

"Czy myślisz, że twe prośby co obchodzą nieba?"⁵). Eurypides przedstawił greckiej publiczności ten gorzki obraz bogów w epoce klasycznej, bo około roku 424 p.n.e. I taki właśnie wizerunek dominuje w religii greckiej od zarania aż do jej schyłku.

Śmiertelni nie pozwalają bogom łatwo się zastraszyć. Kiedy Achilles zamierzył się, by przebić Agamemnona mieczem, poczuł na głowie dotyk czyjejś dłoni, odwrócił się i ujrzał Atenę, która tym czułym gestem chciała ukoić jego gniew. "Wielka córo pana błyskawicy, / Po cóżes tu z niebieskiej nadeszła stolicy?", krzyczy, wciąż jeszcze miotany gniewem. "Czy widzieć, jaką Atryd obelgę mi czyni?"⁶.

Bogowie greccy są więc równie nieprzewidywalni jak ich odlegli indoaryjscy przodkowie. Nigdy nie wiadomo, czy nie ukąsi ich jakiś giez, prowokując, aby czynić zło lub dobro. Jakimi uczuciami religijnymi można by ich darzyć? Na początek zastanówmy się jednak, czy religia starożytnej Grecji brata pod uwagę naturę bogów, którym miała przecież oddawać cześć. Pytanie stare jak Grecja... Pamiętajmy, że stowu religia nie możemy nadawać takiego samego znaczenia, jak wówczas, gdy odnosi się ono do monoteizmów, a zatem oznacza indywidualne praktyki, wypełniane w samotności i skupieniu, mające na celu duchowy rozwój człowieka. Musimy powrócić do etymologii tego słowa, aby dokładnie zrozumieć różnicę: pochodzi ono od łacińskiego ligare, wiązać, i tym właśnie - więzią pomiędzy wiernymi, a ściślej - pomiędzy mieszkańcami Miasta, jest religia grecka. Nie sposób ją zrozumieć, jeżeli nie uwzględnia się jej roli w życiu Miasta, roli być może poważniejszej niż gdziekolwiek indziej. To znaczy - roli politycznej.

Religia była spoiwem państwa, a bogowie greccy, jak wszyscy inni, byli herosami dźwigającymi ciężar mitów założycielskich. Kult, jakim ich otaczano, nie był metafizyczną przygodą, rytualizacją dążenia jednostki do doskonałości duchowej, ale celebracją cnoty identyfikowanej z istotą Miasta, zdolnej wzniecać bunty i wojny. W ten sposób demokracja grecka zaczyna utożsamiać się z cnotami obywatelskimi, których inkarnacją są bogowie. Dni bogów greckich przejętych przez panteon rzymski, dopełnią się, kiedy cesarze zawłaszczą ich, a potem ośmieszają. Stanie się tak, gdy rozkwitnie tyrania i jej występki. Z pomocą bogów Grecy obalili tyranów, z pomocą tyranów Rzymianie obalili bogów. Ale prawdziwym bogiem Greków jest polis.

Równocześnie myśl grecka, którą cechuje niesłychana wprost różnorodność (bo przecież trudno o większe różnice niż te, które dzielą Macedończyka i Ateńczyka), bardzo wcześniej zaczyna krytycznie przypatrywać się ludzkiemu honorowi. Być może żadna inna religia nie jest tak wyczulona na ten problem. Mit założycielski sphywa wprawdzie krwią porodową (oczywiście nie w dosłownym znaczeniu) honoru obywatelskiego, gdyby jednak wymknął się spod kontroli krytycznego rozumu, mógłby przeobrazić się w tyrańską i pustą fikcję, która nijak się ma do interesującej nas kwestii. Geniusz Greków polegał więc na tym, że choć stworzyli bogów, to nie chcieli dopuścić, by ci bogowie ich tyranizowali. Bo tyrania, władza absolutna spoczywająca w rękach jednostki lub grupy, nie przystaje do Grecji. Kiedy tebański herold przybywa do Aten i szuka króla, Tezeusz replikuje: "Słuchaj, ty człeku ze świata. W twych pierwszych zaraz słowach jest myłka, albowiem / Chcesz szukać samodzierzcy tutaj, gdzie ci powiem, że nie ma tu podwładnych ni żadnego pana, lecz jedno wolne państwo"⁷. I dlatego racje bogów są podawane w

wątpliwość, a mitologia przypisuje im wady, oskarża, o krwawe walki, złe uczynki i rozpustę, które oburzają wyznawców monoteizmów.

Kultura grecka to jedyne w swoim rodzaju zjawisko w dziejach myśli, to przypadek, gdy inteligencja zatriumfowała nad mitami, które sama stworzyła, sprowadzając je do żalostnego stanu, jaki osiąga meduza po kilku godzinach leżenia na suchym piasku. Już w V w. p.n.e. cynizm dokonuje spustoszeń w tym ogromnym magazynie baśni, który religia, poeci, tragicy i tradycja zapelniali przez długie wieki, dając zaskakujący dowód braku poszanowania wolności. Diogenes, założyciel tej szkoły, twierdzi na przykład, że Edyp "nie udał się do Delf, by zasięgnąć rady wyroczni, lecz spotkał Tejrezjasza, ale ignorancja sprawiła, że z przepowiedni marnego wróżbity pojął tylko tyle, iż spadną nań straszliwe nieszczęścia. W końcu zdał sobie sprawę, że poślubił własną matkę, która dała mu syna; w tej sytuacji może lepiej bytoby milczeć lub przynajmniej zalegalizować sprawę w oczach Tebań-czyków. Jednak stało się inaczej. Najpierw wszyscy dowiedzieli się, co zaszło, potem wzburzony Edyp powtarzał głośno, że jest zarazem ojcem i bratem swych dzieci, mężem i synem tej samej kobiety". Rozmówca Diogenesa rzekł na to: "Ależ, Diogenesie, Edyp, którego tak przedstawiasz, zdaje się być największym głupcem, jakiego wydał rodzaj ludzki! Grecy zaś uważali go za człowieka najroztropniejszego, choć zapewne nigdy nie sprzyjało mu szczęście". Na te słowa Diogenes wybuchnął śmiechem i dalej opisywał Edypa jako durnia, kwestionując nawet wymowę jego spotkania ze Sfinksem, symbolem głupoty⁸.

Ten sam Diogenes udzielił Aleksandrowi Wielkiemu zuchwałej odpowiedzi ("Nie zasłaniaj mi słońca!", odrzekł, gdy bohaterski wódz zapytał, co mógłby dlań uczynić), zadrwił z Platona (pytając, po co było pisać Prawa po Państwie, jakby ono ich dotąd nie miało), ośmieszał wyczyny Heraklesa, krótko mówiąc obrócił na nice wszystko, do czego przyszłe wieki, zwłaszcza XIX i XX, będą przywiązywały wielką wagę i co będą traktowały niezwykle serio.

A przecież Diogenes i inni przedstawiciele szkoły cyników - Menimos, Onezikritos, Demetrios, Hipperchia i Herakleios reprezentują Grecję tak samo, jak Platon, Arystoteles, Sofokles, Ajschylos czy Fidiasz. Zapewne w owym Szalejącym Sokratesie, jak nazwał go Platon, można dostrzec uderzające podobieństwo do hinduskich mędrców, a przede wszystkim do gymnosofistów, którzy nawoływali i nadal nawołują do daleko idących wyrzeczeń. Być może jest to kolejny ślad wpływów indoaryjskich, ponieważ Grecy znali hinduskie koncepcje religijne, ale odnosili się do nich z helleńską ironią.

Łatwo zrozumieć, dlaczego w tak szczególnej atmosferze prestiż bogów nie był zbyt wielki, a demony lekceważono jeszcze bardziej. Znacznie później, rozgniewany cesarz Julian, uznał cyników za bezwstydných, a o przypisywanych Diogenesowi tragediach, które nie zachowały się do naszych czasów, powiedział, że swoją niegodziwością wzbudzają wstręt; natomiast Oinomaos dopuścił się jego zdaniem "hańby nad hańbami"⁹. Wiadomo przecież, że bogowie i tyrani trzymają ze sobą. Ostatnie strony tej książki pokażą, że dziś gdy neguje się istnienie diabła, budzi to zaniepokojenie policji. Bo od polis do policji droga jest całkiem prosta.

Ale cesarz zawsze jest podejrzany, a Julian, choć rozmiłowany w Grecji, był Rzymianinem i zapewne odebrał chrześcijańską edukację. Tymczasem Grecy - w każdym razie Grecy epoki klasycznej - nie wierzyli nawet w przepowiednie i wyrocznie, w słowa Pytii oraz inne wróżby, choć z ust wróżbitów miały przecież płynąć słowa boskich wyroków. Wspomniany już Tezeusz złajał króla Adrastosa za to, że usłuchał Fojbosa który przekazał mu przychylną opinię Apollina i nieszczęśliwie wydał swe córki za obcych: "Do tych głupców zaliczam i ciebie, bo niby to posłuszny wyrokowi Fojbosa (...) swe córki dałeś obcym, kalając w ten sposób swe gniazdo"¹⁰. Oto dowód, że wyrocznie i przepowiednie nie cieszyły się w Atenach dużym poważaniem, zaś Julian Apostata, sławny, ale nierozważny cesarz, myślał jak Rzymianin, a nie jak Grek.

Mimo wszystko trzynaste stulecie historii Grecji należy uznać za okres rozkwitu cywilizacji przepełnionej niezwykłym heroizmem, całkowicie wyzbytej uczuć religijnych i lęków egzystencjalnych, a w każdym razie wolnej od przesądów, deisidaimonia. Począwszy od V wieku p.n.e. Grecy, początkowo na terytorium rdzennej Grecji, a potem całej Magna Graecia oraz świata rzymskiego, zwracają się ku mrocznym praktykom, wypełnianym za pośrednictwem magów, czarowników i znachorów (magoi, goetoi, phar-

makoi1^, którzy stosowali wspomniane wyżej metody i pełnili taką samą rolę, jak wiejscy "lekarze" w czasach nam znacznie bliższych. Nie mieli też żadnego oficjalnego statusu, ich działalność miała charakter nieformalny.

Słowo deisidaimonia zasługuje na bliższą uwagę. Nie oznacza ono bezsensownego, irracjonalnego lęku przed wszystkim, z czym się stykamy, ale wyolbrzymioną obawę, jaką wzbudzają istoty nadprzyrodzone, czyli daimones. A jednak tak się składa, że wszystkie rozprawy chrześcijańskich teologów o sławetnych "demonach", które czerpią czasami inspirację z dzieł Sokratesa, stosują błędną i anachroniczną interpretację greckiego słowa deimon, które oznacza po prostu "boga", ewentualnie "ducha" czy "geniusza". By się o tym przekonać, wystarczy sięgnąć do grecko-francuskiego słownika Bailly'ego. Niejaka Epikasta, która znalazłszy córce bogatego narzeczonego, bała się, że urok rzucony przez sąsiadkę przeszkodzi w zawarciu małżeństwa, w tajemnicy udała się do pharmakosa, będącego nie tylko ówczesnym aptekarzem, ale także, przynajmniej w opinii Sofoklesa, trucicielem, zaś według Platona - czarownikiem. Pharmakos przygotował maść, używając różnych okropnych składników i spalił ją na trójnogu, wygłaszając wiele przerażających zaklęć. W ten sposób zamierzał unieszkodliwić nieprzychylną sąsiadkę.

Choć czarowników powszechnie potępiano, ich interwencje były zadziwiająco częste, ponieważ jednym z elementów życia codziennego Greków, zwłaszcza w okresie hellenistycznym, stało się rzucanie klątw i uroków oraz czary. Ochoczo odwoływano się do złośliwej Hekate, do nieco odmienionych Artemidy, Persefony, Hermesa i wielu innych, wśród których później pojawił się nawet odpowiednik boga Hebrajczyków, zwany tu Javoth. Oni to mieli siał niesnaski w domach wrogów lub przeszkodzić znenawidzonej osobie w zaznaniu szczęścia, by użyć tego słowa - na tym świecie i w zaświatach.

Andrć Bernard¹² przytacza liczne formuły zaklęć, a niektóre z nich są szczególnie efektowne: "Zawierzam ten urok wam, bogowie i boginie podziemi, Plutonie Ueszmigadoth i Koro Eroszigalu i tobie Adonai, zwany też Barbarką, Hermesowi,

Thotowi i Anubisowi, a także Pserifcie, który dzierży klucze Hadesu i wam, duchy podziemi, dziewczętom i chłopcom, którzy zgaśliście przedwcześnie, młodym mężczyznom i dziewczynom, czynię to w każdym roku, w każdym miesiącu, w każdym dniu i każdej nocy, i w każdej godzinie. Wzywam wszystkie duchy podziemi - towarzyszcie duchowi, który tu jest obecny. Obudź się na me wołanie, duchu śmierci, kimkolwiek byś był, kobietą czy mężczyzną, i nawiedz każde miejsce, każdy zaułek i dom, i Heronusa, za sprawą którego Tsenubastis jest brzemienna, i spraw, by nie zaznała rozkoszy z żadnym mężczyzną prócz mnie jednego, by żaden nie tknął jej ust ni tona". Duchy podziemi niejedno musiały usłyszeć!

Poza pewną liczbą bóstw absolutnie egzotycznych czy wręcz ekstrawaganckich, jak Baruchambra, Barbaramchelumbra, Ab-ratabrasaks, Sesengenbarfaragesa czy Pakeptoah, przejętych od Fenicjan, Azjatów, a nawet z krańców Cylicji i z Malty czy wręcz powołanych przez nieokiełznaną wyobraźnię czarowników, zwracano się także o "pomoc" do bóstw greckich, co dowodzi, że ich oblicza nie zawsze były tak promienne, jak chciał to widzieć późniejszy europejski humanizm. A kiedy okazywało się, że greccy bogowie nie są wystarczająco groźni, by spełnić oczekiwania przesądne ludu, poszukiwano innych, także oficjalnie uznanych, lecz obcych, na przykład Anubisa czy Thota.

Czarownicy współpracowali też ze złośliwymi duchami zmarłych, które czasem bywały wścibskie i lubiły mieszać się w ludzkie sprawy. Bo Grecy, jak wiele innych ludów - choćby Melanezyj-czycy - chcieli wierzyć, że ci, których zabrała nagła śmierć, którzy konali w bólu lub zginęli tragicznie, mścili się za to na żywych. Dlatego zawsze można było namówić ich do złego czynu, bo w ten sposób znajdowali ujście dla swej nienawiści. Innymi słowy, Grecy byli równie przesądni, jak większość ludów, być może nawet nieco bardziej, o czym świadczy ciągły lęk przed urokiem, potwornym phtonos, najpodlejszym wyrazem zawiści, jaką odczuwali pechowcy na widok ludzkiego szczęścia.

Jednak i tym razem dokładniejsza analiza zaklęć nie pozwoliła nam odnaleźć śladu jedyne, czy choćby najważniejszego diabła. Uderza natomiast fakt, że głównym przedmiotem hellenistycznych czarów jest miłość cielesna lub pospolite waśnie. Najczęściej bogów i zmarłych wzywa się wówczas, gdy idzie o cele godne sybaryty, nie mające w sobie nic mrocznego, lub o zemstę za niesprawiedliwość, której ktoś czuje się ofiarą, a zatem - o zadowolenie własnego phtonos. Nawet najbardziej wyrafinowane

inwokacje nie przypominają w niczym czarnej mszy, ulubionego obrzędu dekadencjonalnych umysłów XVII i XVIII wieku we Francji oraz XIX w Anglii. Formuły te, być może, nawet rozśmieszały współczesnych, obserwujących z boku wysiłki zakochanych i sfrustrowanych, lecz gdy je obecnie czytamy, zastanawiamy się, czy nie tworzą one raczej po to, by umocnić chęć zdobycia pożądanego obiektu w tym, kto go zapragnął.

A zatem wstępna analiza wskazuje, że przesadą byłoby uznanie tych praktyk za równoprawne z religią. Ich świat jest ciasny, cele niskie i pospolite. Wydaje się, że tylko niezwykle pedantyczny umysł mógłby oburzyć ten wniosek. Ale po głębszej analizie problem okazuje się być niezwykle ważki. Omówione zjawisko pokazuje bowiem, że praktyki pseudoreligijne skłaniały się potajemnie ku negatywnej stronie rzeczywistości, która potem zostanie otwarcie nazwana złem. Podobnie jak w średniowieczu, gdy strach i głupota były tworzywem, z którego powstała drugorzędna religia, a ta z kolei stworzyła diabła. Bo diabeł nigdy nie bywa szlachetny, zawsze jest niegodziwy. To dziecięce przejmującego strachu oraz ignorancji, żalosna istota skłonna do gniewu i z gruntu zła.

Lektura zaklęć pozwala zrozumieć motywy, jakimi kierują się ludzie przesadni. Są nimi frustracja i niezyczliwość. Religia grecka zatem nie tylko zatracza swą podstawową funkcję, którą było umacnianie cnót polis, lecz zaczyna wręcz rozsądzać państwo od środka, ponieważ służy teraz wyłącznie jednostce w jej zmaganiach z innymi, w ich podstępny zwalczaniu. Nikt bowiem w biały dzień nie prosi złych duchów o rozstrzygnięcie problemu. Dzieje się to w zamkniętych izdebkach magów, czarowników i wszelkiego autoramentu szarlatanów. W dodatku wśród bóstw wzywanych podczas seansów nie ma tych najpotężniejszych - Zeusa, Apollina, Dionizosa, Ateny, Afrodyty; są tylko "drugorzędne" lub podziemne, chtoniczne jak Pluton czy mroczne postacie wielkich bogów, na przykład Hekate, "sobowtór" Artemidy oraz duchy zmarłych. Co ważniejsze, często odwoływano się także do obcych bóstw.

Podobnie dzieje się w religiach monoteistycznych, wszyscy bowiem chętnie uznają, że złowrogie moce przybywają z zewnątrz i są obcego pochodzenia.

Greckie przesady i mroczne praktyki, które nazwać można za pozbawioną diabła prefiguracją czarnej magii uprawianej w świecie chrześcijańskim, mają zatem szczególną wymowę - chcąc, by spełniły się zasługujące na potępienie, egoistyczne życzenia, trzeba odwołać się do mrocznych potęg. Z tego wniosek, że najgłębiej wierzą w istnienie złowrogich mocy ci, którzy pragną uzyskać od nich osobiste korzyści. A zatem rogate diabły to po prostu oni sami!

Łatwiej w świetle tych faktów pojąć surowe opinie filozofów na temat owej kontrreligii. Według Platona mageia, magia, to "oszustwo mamiące czarami"¹³. Uczciwy obywatel nie ma powodu nadmiernie obawiać się bogów. A Sokrates dodaje, że czarnoksiężnicy są szarlatanami¹⁴. Twierdząc, iż wykorzystują duchy zmarłych do własnych celów, ludzie ci zakłócają spokój Państwa. Mimo to, by lepiej uchwycić istotę konfliktu między oficjalną religią a przesadami, należy wspomnieć, że Sokrates i Platon, mistrz i uczeń, byli zwolennikami (choć nie zawsze za takich ich uznawano) społeczeństwa quasi-totalitarnego. Idealne Państwo jest utopia, a jego opis przedstawiony przez Platona mrozi krew w żyłach¹⁵.

Można przy okazji zapytać o jego poglądy i uczucia religijne. Nawet gdy przeciwstawia czarowników uczestnikom obrzędów religijnych, jego konstatacje budzą wątpliwości: "Co zrobimy z tymi, którzy albo nie wierząc w istnienie bogów, albo odbierając im pieczę nad światem, albo uważając za przekupnych, wykazują poza tym cechy drapieżnych zwierząt, jak by można powiedzieć? Na jaką karę zasługują ci, którzy gardzą ludźmi, zniewalają i ciągną do siebie dusze żywych, zapewniając, że potrafią wywołać dusze zmarłych i uzyskać od bogów wszystko, co zechcą, przez ofiary, modły i czarodziejskie zaklęcia, i nie wahają się dla pieniędzy doprowadzać w ten sposób do zguby nie tylko poszczególnych ludzi, ale również całe rodziny i państwa? Oto ten, komu będzie dowiedzione popełnienie zbrodni tego rodzaju, zostanie zgodnie z prawem skazany przez sąd na zamknięcie w owym więzieniu znajdującym się w środku kraju. Przebywający tam więźniowie nie będą mieli styczności z żadnym żywym człowiekiem..."¹⁶.

Kategoryczne słowa. Mimo to zadajemy sobie pytanie, w kogo właściwie wymierzone, trudno bowiem wyobrazić sobie czcicieli, którzy z jednej strony negują istnienie bogów, z drugiej zaś składają im ofiary i to bardzo kosztowne, jak zaznacza Platon, z czego

wniosek, że nikomu nie przychodzi do głowy, by lekceważyć bóstwa. Cały ten wywód kryje więc w sobie - mówiąc ogólnie - pewne sprzeczności. Ponadto aluzja do "tych, którzy podobni dzikim zwierzętom..." nawiązuje w sposób oczywisty, do uczestników bachanaliów, którzy przywdziewali skóry panter, jeżeli nie do samej pantery, zwierzęcia tradycyjnie kojarzonego z Dionizosem. A zatem w niego wymierzony był atak Platona.

W dodatku Platon, który z całą pewnością doskonale zna tych bogów, wie, iż naprawdę są tacy, jakimi ich przedstawił - pełni pogardy, przekupni (czego dowodzi zaciekłość, z jaką nęka ją nazbyt piękne śmiertelniczki i śmiertelników), kapryśni, poryw-czy, stronnicy. W rzeczywistości za atakiem na magię i czarowników kryje się w słowach i zręcznej retoryce Platona pośrednia krytyka już nie tylko nadmiernej żarliwości religijnej, ale nawet samych bogów. Dostrzegamy to także w innych jego pismach, na przykład Eutyfronie⁷, gdzie teolog tego imienia staje przed Sokratesem i toczy z nim dysputę na temat pobożności. Eutyfron okazuje się być człowiekiem miernym, niezdolnym zrozumieć Sokratesa. W idealnym Państwie (aluzja do tytułu książki Platona) byłby z pewnością urzędnikiem.

Zarówno Eutyfron, jak i Timaios dowodzą, że Platon był pitagorejczykiem, czyli używając nieco brutalnego skrótu myślowego - człowiekiem Wschodu per procura. To mistyk znacznie bliższy Zaratustrze i orfizmowi niż umystowości attyckiej. Pitagorejczycy wierzyli w metempsychozę, a wiarę tę przejęli bezpośrednio z hinduskiego wedyzmu. Wierzyli zatem w wędrówkę dusz, w ich nieśmiertelność. Tę ideę odnajdujemy w Fedonie, a przede wszystkim w Uczcie, gdzie Platon głosi istnienie pośredników pomiędzy ludźmi i bogami, daimonionów, które są pewnego rodzaju dobrymi duchami (o dziwo właśnie od Platona autorzy chrześcijańscy zapożyczą pogląd, że demony zamieszkują w powietrzu wokół nas); kwestię tę podejmie chrześcijańska scholastyka.

W I wieku szkoła neopitagorejska stopi się ze szkołą platońską. Obie uznają, że świat przenika wyższy ład, Idea. Jacqueline de Romilly ujęła to następująco: "Osiąga ona [Idea, której Platon podporządkowuje cały świat] żywot świetlany i niewystawialny - wszystko, co uważamy za realne jest tylko jej marną namiastką" ¹⁸. Już tu spotykamy się z twierdzeniem, że świat realny jest iluzją. Gnostycyzm podejmuje ją i rozwinie dochodząc do wniosku, że wszystko, co materialne, jest złe. Można by rzec, że religia Platona nie jest religią grecką; zresztą w żadnej innej części Państwa nie jest to aż tak widoczne. Kiedy filozof przedstawia i gloryfikuje zasadę dobra absolutnego, bez ogródek wyraża niechęć do greckiego panteonu i wszelkich hellenistycznych praktyk religijnych. Niechęć, której nie odważa się ujawnić w innych tekstach. Religijny totalitaryzm, pozostający w rażącoym kontraście z grecką kulturą, wyklucza Platona z tradycyjnego kręgu hellenizmu. Stawione w Państwie dobro absolutne implikuje istnienie absolutnego zła, czyli właśnie tak obcego umysłowości greckiej diabła. Grozi to deportacją olimpijskich bóstw! Takie stanowisko zapowiada już gnostycyzm, a nawet chrześcijaństwo, dlatego też platonizm zostanie tak dobrze przyjęty przez myśl chrześcijańską. Ożyje także później w postaci teizmu, owego swoistego rozumienia bóstwa, które rozkwitnie - nagle, by równie nieoczekiwanie zniknąć w okresie rewolucji francuskiej. A zatem wolno nam chyba powiedzieć, że Platon niemalże otarł się o diabła.

Ksenokrates, który podobnie jak Arystoteles był uczniem Platona, stworzy już prawdziwą demonologię. Jego zdaniem daimoniony są to uwolnione dusze, przed reinkarnacją, które przeżywają po śmierci ciała. Wyróżnia daimoniony dobre i złe.

Interesujący się czarami Arystoteles dostrzega pobudki działania czarowników w zazdrości i zawiści. Ponieważ zazdrość jest uczuciem nikczemnym, które zakłóca harmonię w państwie, najwyższym ideale świata greckiego, czary również godzą w ten ideał. Są uprawiane w tajemnicy, w ciemnych izbach, w przeciwieństwie do religii, której obrzędy są uroczyste i publiczne. Bernand wykazał¹⁹, że zazdrość, wyżej wspomniana phthonos, jest uważana przez wielu greckich myślicieli za jedną z głównych przyczyn nieporozumień. Dlatego też jej narzędzie - czary - pozostają w opozycji do religii, która dąży do utrwalania ładu.

Potępiając zazdrość, Arystoteles sugeruje, że jest ona jedną z form zła, które uznaje za "niedostatek".

Również Plutarch, ulegając wyraźnie wpływom Wschodu, a zapewne głównie Iranu, rozważa problem daimonionów w dwóch traktatach - w Izydzie i Ozyrysie oraz De defectu

oraculorum. Kontynuując myśl Ksenokratesa, opisuje daimoniony jako duchy pośrednie, które mogą stać się bóstwami lub spaść do poziomu ludzi. Wyróżnia wśród nich dobre i złe, po czym, w zagmatwanym wywodzie oskarża te ostatnie o zachęcanie do czynienia zła, podczas gdy dobre mają dawać zarówno ludziom, jak i bogom natchnienie do szlachetnych uczynków. Gnostycyzm zajmuje w tej kwestii zdecydowane stanowisko - duchy zła istnieją tak samo, jak duchy dobra. Chrześcijańska apologetyka z zacięciem przysłuchuje się tym poglądom - istnienie złych daimonionów uwalnia bogów od odpowiedzialności za złe czyny. Idea ta jest właściwie obca greckiej umysłowości, ponieważ przeczy wolności, podporządkowując bogów i ludzi mocom nadprzyrodzonym. Z pewnością nie znaleźliśmy jeszcze diabła, ale jesteśmy już blisko celu, bo gdy wyróżnia się dobre i złe daimoniony, powstaje dualizm, i praktycznie rodzą się już anioły i demony.

Niełatwo zatem odnaleźć u greckich filozofów jednolite spojrzenie na potęgę zła, podobnie jak nie dostrzega się u nich wspólnego poglądu na siły dobra. Jednak filozofia grecka zrodziła się i rozwijała w kręgu greckiej cywilizacji, absurdem byłoby więc uznawanie jej za konstrukcję czysto intelektualną, wyobcowaną z realiów życia codziennego Greków i z ich wierzeń. Kojeve²⁰ dowiódł, że w epoce hellenistycznej stoicy oddali hołd filozofii Arystotelesa, która wyrosła z platonizmu, głosząc, iż najwyższe bóstwo, z którym można utożsamiać kosmos, jest ciągłym stawaniem się, a kosmos, poprzez który owo bóstwo się objawia, trwa w cyklicznym ruchu po okręgu. W tym poglądzie odnajdujemy skłonny do krytyki, ale i pełen niepokoju sceptycyzm, który przenika całą kulturę grecką. Ponieważ wszystko powraca nieustannie do tego samego punktu, nie ma miejsca na "przewagę" jednego pierwiastka nad innymi, co oznacza, że filozofia grecka odrzuca pojęcie historii w nowoczesnym, heglowskim rozumieniu. Odrzuca także pojęcie ostatecznego końca, które wprowadzi później judaizm. Nic się nie zmienia, ruch jest tylko iluzją, głosi paradoks Zenona. W epoce hellenistycznej filozofia grecka w ten sposób odmalowuje obraz, który w jej rozumieniu odzwierciedla bieg rzeczy, zamyka koło, które zaczął kreślić Heraklit, gdy jako pierwszy mówił, iż wszystko nieustannie zaczyna się od początku. Myśl ludzka, podobnie jak kosmos, zamyka się w tym kręgu.

W tej sytuacji nie może istnieć ani absolutne dobro, ani absolutne zło, co podkreśla Kojeve²¹. A co za tym idzie, nie ma ani boga dobra, ani też boga zła. Rzut oka na późne dziedzictwo stoicyzmu, przejęte przez myślicieli i retorów hellenistycznych, jak Apolloniusz z Tiany, pokaże nam, że gnostycyzm powróci do -tego wątku, uznając, iż aktu stworzenia dokonał Demiurg wyższy nad dobro i zło, a judeochrześcijańskie bóstwa dobra i zła, Bóg i diabeł, są jedynie podrzędne i niejako przejściowe.

Jeżeli prawdą jest, iż "filozof grecki" (w jak najszerzym rozumieniu, trudno bowiem o większe różnice, niż te, które dzielą na przykład Heraklita od cyników) dystansuje się wobec praktyk helleńskich i hellenistycznych, to warto zauważyć, że nie interesuje go też niepokój, który odczuwa każda istota ludzka, gdy uświadomi sobie, jak ograniczone są jej możliwości i jak bardzo jest krucha w konfrontacji z siłami natury. Nie porusza też problemu uczuć religijnych. Tymczasem greckie praktyki religijne wykraczają poza ramy religii państwowej nie tylko z powodu przesądów, lecz także poprzez misteria. One zresztą dostarczają informacji, dzięki którym można zrozumieć, w jaki sposób Grecy pertraktowali z potworami, zrodzonymi z lęków egzystencjalnych.

Wspomnijmy o składaniu ofiar z ludzi, zjawisku, które przetrwało bardzo długo. Choć trudno uwierzyć, że tego rodzaju praktyki istniały w Grecji, potwierdza to Plutarch (ok. 50-125). Wyniesiony do godności dostojnika miejskiego w rodzimej Cheronei, dokonywał ceremonii "przepędzenia głodu", która polegała na chłostaniu niewolnika gałęziami specjalnego drzewa, agnus castus, następnie zaś wygnaniu go z miasta pośród rytualnych okrzyków uczestników obrzędu: "Przegnajmy głód, niechaj w mieście zagości dostatek i zdrowie"²². Ale, jak zaznacza Frazer, ofiara nie zawsze była symboliczna: kiedy Marsylię, jedną z najzasobniejszych kolonii greckich, dotknęła epidemia dżumy, jakiś mieszkaniec, należący przeważnie do którejś z najniższych grup społecznych, poświęcał się dla ocalenia innych. Przez rok był utrzymywany na koszt miasta, a następnie przybrany w rytualny strój i wieniec z gałęzi świętego drzewa, wędrował ulicami, zaś marsylczycy modlili się, prosząc bogów, by całe zło spadło na niego. Potem

wypędzano go precz, lub nawet chłostano na śmierć za miejskimi bramami.

W Azji Mniejszej, w razie wybuchu epidemii lub kataklizmu takiego jak trzęsienie ziemi, szpetną lub kaleką osobę, już wcześniej przeznaczoną na ofiarę, obarczano najpierw odpowiedzialnością za wszelkie zło, następnie chłostano przy dźwiękach lutni po narządach płciowych, a wreszcie rzucono na stos. Tego rodzaju ofiary nie zawsze składano tylko w sytuacjach nadzwyczajnych, czasami spełniano je regularnie. We wcześniejszym okresie w Atenach podczas majowego święta żniwnego Targelii, o czym również pisze Frazer, wyprowadzano za miasto kobietę i mężczyznę i chłostano ich na śmierć. W trackiej Abderze ofiarą mógł być nawet szanowany obywatel. Na Leukas co roku rzucono do morza mężczyznę, by spłacić dług władcy wód, Posejdonowi.

Ulegając powszechnemu przekonaniu, że bogowie są tak samo mściwi i chytry jak ludzie i dlatego domagają się ofiar, które mogą powściągnąć ich gniew, Grecy sądzili, iż w ten sposób oczyszczą miasto. Samo pojęcie oczyszczenia implikuje stan nieczystości, co z kolei dowodzi, iż Grekom znane było pojęcie zła niematerialnego, któremu można było zapobiec pertraktując z którymś z bóstw. Ale zto nie pochodziło od konkretnego boga, stanowiło jedynie negatywny wyraz boskości. Na Leukas bogiem, któremu ofiarowywano młodzieńca rzuconego do morza, mógł być Apollin lub Posejdon, a niekiedy - obaj bogowie.

Ofiary miały zatem charakter obrzędowy, lecz stanowiły tylko jeden z elementów rytuału, na który składały się także inne formy oddawania czci bogom. W epoce helleńskiej istniały na przykład trzy rodzaje misterii - dionizyjskie, eleuzyjskie i orfickie. Pierwsze były poświęcone trackiemu Dionizosowi, najszerzej znanemu jako bóg winorośli, ale w pewnych regionach patronującemu też zbożom, ogrodowi i kwiatom (w Attyce był bogiem kwiatów, w Atenach - owoców, w Koryncie - lasów iglastych, w Tracji - zbóż). Zeusowy syn z nieprawego łoża, urodzony przez Semele, znienawidzony przez prawowitą małżonkę władcy Olimpu Herę, został za jej podszeptem poćwiartowany, ugotowany i zjedzony przez Tytanów, jak głosi kreteński mit. Ta uczta okazała się dla Tytanów fatalna, bowiem ogarnięty boskim szałem Zeus zgładził ich. Ciało Dionizosa odtworzył Apollin. Niektóre legendy mówią, iż pogrzebano je w Tebach, inne - że w Delfach. Zeus miał przywrócić synowi życie lub - jak chce inna wersja mitu - spłodzić go powtórnie.

Można by właściwie zastanawiać się, czy Tytani nie są swoistym wcieleniem demonów, skoro z ich rąk zginął heros, który był pierwowzorem istot, które zmartwychwstają, następnie zaś zostają wyniesione do godności bogów. Jak nasz Lucyfer i legiony podążających za nim rogatych sług, wygnanych z nieba do piekieł, Tytani zostali wypędzeni z Olimpu, a później ostatecznie pokonani. Przesunięcie fonetyczne, jak i semantyczne od thety Teosa do zety Zeusa jest stosunkowo łatwe. Tak czy inaczej, ów bóg-król, odsyłający swe sługi "do diabła" bardzo przypomina chrześcijańskiego boga, który wiarołomne anioły strąca w piekielne czeluście. Najistotniejsze jednak wydaje się, że odrażający kanibalizm Tytanów jest ostatnim tego rodzaju czynem zanotowanym w mitologii. Z ich prochów zrodzi się już ludzkość. Poza tym jest możliwe, że Eliade, który chyba ze zbyt wielkim przekonaniem wysuwa tę hipotezę, nie myli się pisząc, iż mit o mordzie dokonany na Dionizosie jest wariantem mitów inicjacyjnych, które opowiadają także o przejściu przez ogień lub przypalaniu i rozczłonkowaniu ciała.

Przejęty około VII w. p.n.e. z Tracji lub Frygii, gdzie nosił imię Sabaziosa, Dionizos pojawia się już w tekstach mykeńskich, choć część badaczy uważa, że był czczony w epoce premykeńskiej, czyli od początku III tysiąclecia. Inni uważają go raczej za postać egipskiego Ozyrysa, którego losy potoczyły się według podobnego scenariusza, on także był bogiem, który się odradza, a jego ciało również zostało poćwiartowane. Być może warto wspomnieć, że babiloński Tammuz oraz wiele symbolizujących odrodzenie bóstw innych cywilizacji padło ofiarą mordu, by dostąpić triumfalnego zmartwychwstania.

W sztuce greckiej Dionizos przedstawiany był jako bóg piękny, urzekający młodością, zawsze uśmiechnięty. Trudno zarzucić mu cokolwiek oprócz porywczoci; to za jej przyczyną Orfeusz został zamordowany przez Menady. Jego potworną śmierć przypisuje się także złemu spojrzeniu, photos Hery, choć ta przecież niewiele ma wspólnego z bóstwem piekielnym, ponieważ zasiada na Olimpie u boku swego małżonka Zeusa. Grecy w każdym razie lubili Dionizosa, skoro na jego cześć urządzali jedno z największych

święt, dionizja, czyli doroczne zabawy odbywające się w całym kraju. Na Krecie na przykład odtwarzano męki boga, dając przy okazji upust okrucieństwu. Zjadano ociekające krwią kawałki mięsa byka, którego tłum rozszarpał przedtem na strzępy.

Niektórzy sugerowali także, że w starożytności, zapewne około VII w., uczestnicy misteriów, zwanych menadami albo "szalonymi", rozszarpywali ludzi (sparagmos) i zjadali ich surowe mięso (omofagia). Tak przynajmniej twierdzi Ajschylos, autor Bachantek. Wydaje się to możliwe, ponieważ Grecy nie potępiali jednoznacznie ofiar z ludzi, a Trakowie i Frygijczycy, którzy wprowadzili kult Dionizosa, mogli posunąć się do tak dzikich obrzędów. Jednak w V lub IV w. p.n.e. tego rodzaju ludobójczy obłęd prawdopodobnie zaniknął. Były po temu istotne powody - obrzędy dionizyjskie, bezpośrednia ekspresja zjednoczenia z siłami natury, nie mają mocy oczyszczającej. Nie odpędzają zła, oddają tylko cześć życiu i utrzymują metafizyczną więź ze zmarłymi, żyjącymi oraz z przyszłymi pokoleniami. Dlatego można uznać, że poprzez te obrzędy religia wykracza poza ramy polis.

Należy jednak podkreślić, że już w starożytności przejściowy "obłęd", "korybantyzm" misteriów dionizyjskich, zaczyna razić. Herodot i Demostenes drwią z niego. Ekstaza i orgie klóć się, ich zdaniem, ze zdrowym rozsądkiem. Mało brakuje, by dostrzegli w nich sprawkę diabła. Ale przecież Grecy nie znają żadnego diabła!

Drugi typ misteriów wiąże się z Eleuzis. Są one właściwie świętem ziemi - siewu, wzrostu i zbioru plonów - obchodzonym pod przewodnictwem bogini Demeter i jej córki Kory w ośrodku położonym pomiędzy Atenami i Megarą. Mit głosi, że Hades, władca podziemi, porwał Korę. Szukając córki Demeter przybyła do Eleuzis i oznajmiła, że ona, bogini płodności, nie zatroszczy się o wzrost zasianego ziarna. Bogowie rozkazali wreszcie Hade-sowi, by oddał Korę, a gdy ta pojawiła się na ziemi, pola porosty łanami. Jednak Kora, która zjadła w podziemiach ziarno granatu, symbolizujące śmierć i narodziny, nie mogła na zawsze pozostać na ziemi, dlatego też ustalono, że przez cztery miesiące mieszkać będzie z małżonkiem, przez resztę roku zaś - z matką. Zadowolona Demeter ustanowiła misteria eleuzyńskie.

Wszelkie próby utożsamiania Hadesa z naszym diabłem lub jego poprzednikami byłyby zatem chybione, ponieważ grecki bóg nie symbolizuje nawet śmierci wiecznej, lecz tylko przejściową. "O, po trzykroć szczęśliwi śmiertelni, którzy nacieszywszy oczy misteriami, odejdą do Hadesa. Oni jedni będą mogli żyć w podziemiu, dla innych każda chwila będzie cierpieniem", pisze Sofokles o misteriach eleuzyńskich. Innymi słowy, udział w obrzędach jednoczących przeciwstawne siły natury daje ludziom wiarę w życie wieczne i szczęśliwe.

Misteria orfickie bardzo przypominają eleuzyńskie, ponieważ - według jednej z wersji mitu - Orfeusz na rozkaz Dionizosa zginął rozszarpany przez menady. To szokujące okrucieństwo uroczego boga wiąże się z postacią Apollina, bo przecież zwykła zazdrość i gniew na herosa, który wołał czcić Apollina niż jego, Dionizosa, skłoniła boga winnej latorośli do zbrodni. Eliade, powołując się na Diodora z Sycylii²³, pisze, że Orfeusz zreformował misteria dionizyjskie. "Reforma" nie jest może najwłaściwszym słowem, ponieważ misteria orfickie²⁴ przypominają eleuzyńskie - tak jak one obejmując zejście do podziemia i ucieczkę ze świata zmarłych (mowa oczywiście o Eurydyce, która umarła ukąszona przez żmiję).

Nie ma tu miejsca na bardziej wnikliwą i dokładną analizę greckich mitów, ich wzajemnego przenikania się i genezy. Warto jednak zwrócić uwagę na wyraźny antagonizm pomiędzy orfizmem i kulturami helleńskimi oraz hellenistycznymi, a także na wschodnie korzenie i wyraźnie przedchrześcijański charakter tych misteriów. Wiemy bowiem, że nie rozbudzające cielesnej egzaltacji hymny orfickie nakłaniały do surowego życia, do rezygnacji ze spożywania mięsa i picia wina, a także do wstrzemięźliwości seksualnej. Tylko takie życie miałoby prowadzić do ocalenia, otworzyć drogę na Pola Elizejskie (co jest poglądem bezprecedensowym w kulturze helleńskiej), a także pozwolić na uniknięcie piekielnych mąk przeznaczonych dla tych, którzy wiodą żywot dionizyjski. Otóż ta troska o życie w zaświatach i ocalenie pozostaje w sprzeczności z tradycją helleńską.

Orfizm jest ponadto pierwszym greckim nurtem myślowym, który zawiera nie tylko ziarno, ale - można by powiedzieć - zarodki antagonizmu pomiędzy dobrem i złem oraz grzechu pierwotnego. Teksty orfickie mówią bowiem, że sam fakt, iż ludzie zrodzili się

z prochów Tytanów, istot czyniących zło, dowodzi, iż noszą w sobie jego cząstkę. Ponieważ jednak Tytani przed ostateczną klęską zjedli ciało młodego Dionizosa, które ugotowali i upiekli, ich prochy, a zatem i ludzie, mają w sobie także cząstkę boskości. Przed pojawieniem się człowieka świat był doskonały. To występek Tytanów zakłócił jego równowagę. Teraz każdy z ludzi powinien odnaleźć w sobie ów pierwiastek boski, by zyskać ocalenie. Jest to już oczywista zapowiedź _ eschatologii chrześcijańskiej. Choć diabeł nie pojawił się jeszcze na scenie, dekoracje już ustawiono, i zły może na nią wyjść w każdej chwili.

Encyclopaedia Universalis słusznie podaje, że "orfizm jest w istocie rodzajem buntu religijnego, który rozpoczął się w Grecji w VI w. p.n.e..." oraz że "mistykcizm orficki... godzi w oficjalną religię państw greckich". Nie zaskakuje zatem fakt, że orfizm nie zyskał w Grecji wielu wyznawców, choć wywarł istotny wpływ na Platona (mimo sarkastycznych uwag, jakie robił pod adresem niektórych jego wyznawców), a za pośrednictwem innych misterii na pitagorejczyków, którzy przejęli wiele elementów tego kultu.

Orfizm nie jest więc "grecki". Ma w sobie tak mato cech specyficznych dla kultury greckiej, że aż do roku 1962, kiedy to odnaleziono tekst z końca V w. p.n.e. który rozwiał wszelkie wątpliwości, uważano go za wytwór bardzo późnych epok. A jednak ta starożytna tradycja mitologiczna bardzo wcześnie pojawiła się w Grecji, chociaż nigdy nie zdołała się tam naprawdę zakorzenić. Nazwany przez Diodora "prorokiem Dionizosa" i "twórcą inicjacji"²⁵, Orfeusz jest nie tylko współczesny Dionizosowi, być może jest od niego starszy. Ten pradawny rodowód może nas dziwić, ponieważ w Grecji bardzo wcześnie pojawia się jednolita i spójna postawa ludzi wobec bogów, "pożeraczy teraźniejszości", jak nazwał ich obelżywie Hezjod. Ten, którego można uznać za jednego z ojców-założycieli religii greckiej, żył na przełomie VIII i VII stulecia i właściwie prosta droga wiedzie od jego Teogonii do myślicieli hellenistycznych najpóźniejszego okresu. Według Hezjoda świat był najpierw chaosem, któremu kres położyła dopiero walka, w wyniku której Zeus zdołał narzucić władzę innym bogom. Dla Orfeusza natomiast Jajo, z którego wykuł się Eros, pierwszy bóg i antychaos, istniało od samego początku. Dla tych, którzy byli pierwsi, porządek zrodził się po zamęcie chaosu, dla innych istniał od początku. Trudno sobie wyobrazić, by orficy mogli przeoczyć poglądy Hezjoda lub dominujący prąd greckiej myśli religijnej. Chociaż musimy przyznać, że byli buntownikami, a w każdym razie, że żyli w pewnej izolacji.

Kusząca wydaje się hipoteza, że to geniusz greckiej ziemi pokonał orfizm pozwalając na jego przetrwanie tylko w zamkniętych kręgach. Orfizm musiał budzić podejrzenia Greków, ponieważ stawiał kapłana, pośrednika między ludźmi i bogami, na szczycie Dumczilowskiej triady - król-kapłan-wojownik, wówczas, gdy to właśnie demokracja była istotą Państwa. Tą drogą szybko doszłoby do świętego przymierza, a ono stworzyłoby tyranię, w każdym zaś razie skończyłoby się na połączeniu funkcji króla i kapłana lub na wyniesieniu króla do rangi bóstwa, jak stało się w Egipcie czy też w Cesarstwie Rzymskim.

Łatwiej więc teraz rozumiemy, że zniechęcony Dionizos wydał Orfeusza na pastwę rozpasanych menad. Ten aspekt mitu o Orfeuszu jest z pewnością późniejszy od narodzin orfizmu i od- zwierciadła niechęć Greków do śpiewającego herosa. Skąd zatem pochodzi orfizm, a może - skąd przybył Orfeusz? Tego nie wiemy. Archeologia wciąż pozostaje nie dokończoną księgą, a wędrówki ludów indoeuropejskich w II i I tysiącleciu to temat, który znamy bardzo słabo. Na pewno jednak ten tracki bóg

- abstynent, wegetarianin, asceta, nie pasuje ani do Dionizosa, ani do innych Olimpijczyków. Nie jest też Scytem ani Frygijczykiem: kojarzy się raczej z Iranem. Jeżeli przybył właśnie stamtąd, stało się to podczas wielkich migracji, gdy przemieszczały się ludy Azji Centralnej oraz Bliskiego i Środkowego Wschodu, pomiędzy XV a VIII wiekiem p.n.e. Być może ktoś kiedyś natrafi w Iranie czy Afganistanie na wizerunek boga z lirą i będzie mógł z całą pewnością określić, kiedy i gdzie ów bóg się narodził. Tymczasem możemy tylko stwierdzić, że niewiele brakowało, by wprowadził na Olimp diabła i wypuścił go na zbocza góry _ Hymettos. Tak bliska Indoeuropejczykom, tak łasa na mity, Grecja w ostatniej chwili wymknęła się z rąk obcego.

Pozostaje jeszcze jeden zasługujący na uwagę fakt - to helleńska i hellenistyczna demokracja utrzymała diabła poza granicami państwa. Bo upadły anioł jest wynalazkiem

władzy totalitarnej. Grecy kapłani nigdy nie uzyskali ponadpaństwowego prawa oddzielania dobra od zła. Grek nigdy nie zapomniał, że sam stworzył swych bogów, którzy byli jego lustrzanym odbiciem. Chcę przez to powiedzieć, że nigdy nie był niewolnikiem.

Na koniec jeszcze paradoks, zbyt efektowny, by go pominąć

- otóż cywilizacja która stworzyła tragedię, tę opowieść o zniewoleniu, wielkie sukcesy odnosiła w dramacie - opowieści o buncie wobec przeznaczenia.

* Przykład ten jest niezbyt fortunnie dobrany, ponieważ zgodnie z przekazem biblijnym aniołowie wyprowadzają jedynych sprawiedliwych, to znaczy Lotę z żoną i córkami, by mogli uniknąć śmierci w mieście skazanym przez Jahwe na zagładę. Dopiero wówczas, gdy (wbrew przestrodze) żona Loty ogląda się za siebie, chcąc zobaczyć, jak dokonuje się boski wyrok, zostaje zamieniona w słup soli.

Rzym - ziemia, na którą diabeł nie miał wstępu

O wptywie Rzymu na następne wieki - O pochodzeniu religii rzymskiej

- O porażce historyków usiłujących dowieść, że od zarania swych dziejów była to religia zdegenerowana i zmierzająca ku chrześcijaństwu

- O kłamstwach - O głębokiej religijności Rzymian, którzy za zło winili wyłącznie nazbyt beztroskich lub słabych bogów - O pierwotnym znaczeniu słowa religio - O zapomnianym kluczu do religii Cesarstwa, czyli o superstitio albo o zakazie utrzymywania indywidualnych kontaktów z bogami - O związku tego zakazu z rzymskimi cnotami obywatelskimi, a także o poczuciu wolności i godności - O tym, dlaczego diabeł nie miał wstępu do Imperium, które wciąż pozostaje wzorem dla państw demokratycznych i płynącej z tego nauce.

Geniusz Rzymu, ojca praw, jego światowa potęga i widoczne do dziś wpływy, o dziwo, nie przyczyniły się do szczęśliwego przebiegu dziejów tego państwa. Przez całe wieki, a zwłaszcza od czasów renesansu, niemal każdy uczonej i ideolog szarpie cesarską purpurę, starając się zdobyć jej skrawek i przedstawia wypaczony obraz Imperium. Można by sporządzić długą listę tych osób, zaczynając od Ludwika XIV i Napoleona, którzy na portretach starają się wyglądać jak na Rzymian przystało, po Mussoliniego i Hitlera, nie wspominając nawet o pomniejszych tyranach, którzy podawali się za twórców Nowego Rzymu. Wersal to przecież gigantyczna rzymska willa, podobnie jak oficjalne gmachy Berlina z czasów wilhelmowskich Niemiec, jak Kapitel i Biały Dom w Waszyngtonie - owe pozbawione duszy kopie rzymskich budowli. Anglia pragnęła dać swej młodzieży "rzymską edukację", a klasyczny rzymski fronton skopiowała i umieściła na osłonie chłodnicy swego najszlachetniejszego auta. Przyjąwszy wiarę chrześcijańską cesarze bizantyjscy nadal używali tytułu "augustus", udając, że nie rozumieją, iż monoteizm i indywidualne praktyki religijne jawnie kłócą się z duchem rzymskim. Rzym był przede wszystkim państwem kupców, rządzącym się wyłącznie zasadami polityki, a ponieważ nie miał "duszy", "duszy" chrześcijańskiej, faszystowskiej, nazistowskiej czy innej, zbulwersowani potomni postanowili ją dla niego stworzyć. Rzym rzeczywiście nie miał ani boga, a na pewno - boga transcendentnego i jedyne, ani diabła, a zatem i piekła. I jak tu można, do diabła, zrozumieć Rzym bez diabła?

Wiele mądrych głów uporczywie i mozolnie próbowało zgłębić korzenie religii rzymskiej¹. Każdy chciał i nadal chce narzucić w tej kwestii własne poglądy. Większość badaczy usiłowała dowieść, że religia rzymska nie była, mówiąc wprost, rzymska. Rzym miałby przygotowywać się do nadejścia chrześcijaństwa od założenia miasta przez Romulusa. Wybitni specjaliści nie byli w stanie pogodzić się z tym, że Rzymianie mogliby wielbić "owe nędzne namiastki bogów i bogiń grecko-rzymskich, wyblakłe, leżące na łożach, jakby wiecznie uczujące na podobieństwo najzwyczajniejszych obywateli"². Taki rewizjonizm, niekiedy graniczący wręcz z groteską, wynikał z oczywistego dążenia do "sakralizacji" Rzymu, przyjętego za wzór przez Imperium Brytyjskie, oraz wszelkiego rodzaju imperializmu aktywne do potowy XX wieku. Trzeba było przecież uczyć o Rzymie w szkołach, lecz czy udałooby się wytłumaczyć panujący tam politeizm (przy którym

uporczywie obstawały grupy niedowiarków), skoro wciąż powtarzano, że jest on religią nedorozwiniętych umysłowo, barbarzyńców i pogan? Zatrzymywano się więc dłużej przy Tacycie i Swetoniuszu, odmalowywano w jak najczarniejszych barwach postacie cesarzy prześladowających chrześcijan, tworząc długą listę okrutnych i krwiożerczych kretynów, którzy, Bogu dzięki, nie reprezentowali "prawdziwego" Rzymu, Rzymu Wergiliusza, Cicerona i Marka Aureliusza. Trzeba było czekać aż do schyłku naszego wieku, by ustalić na przykład, że Tacyt w swoich relacjach okazał wyjątkowo dużo złej woli, ponieważ wbrew rozpowszechnionym opowieściom, Neron przebywał o pięćdziesiąt kilometrów od Rzymu, gdy miasto stanęło w ogniu, nie mógł zatem być sprawcą pożaru, nie grał ani na lirze, ani na flecie stojąc na zgłiszczach Wiecznego Miasta, a nawet - był zasmucony pożarem, który nie oszczędził także jego najpiękniejszego pałacu. Co gorsza, ów "histeryczny histrion", ów szatański pomiot (choć był przecież uczniem Seneki), kazał odbudować bibliotekę świątyni Augusta i przyczynił się do rozkwitu literatury i sztuki³. Ostatnie lata pozwoliły wprowadzić wiele równie istotnych poprawek do naszej wiedzy o Rzymie.

Podsumowując nasze dotychczasowe rozważania, możemy powiedzieć, że historycy starali się odnieść mistyczną koncepcję boskości do bóstw rzymskich i że owa koncepcja ludzko przypominała koncepcję judeochrześcijańską, którą zawrzeć można w słowie mana, zapożyczonym przez etnografię z religii Melanezji, a oznaczającym świadomość świętości⁴.

Nikt zresztą nigdy nie zwrócił uwagi na zdumiewający (by nie powiedzieć - niestosowny) fakt, iż dla wyjaśnienia natury religii rzymskiej trzeba było użyć słowa, a właściwie (i co gorsza)

- pojęcia, pochodzącego z antypodów, z kraju, o którego istnieniu Rzymianie nawet nie wiedzieli. Co więcej, nigdy nie stworzyli odpowiednika tego słowa, choć przecież doskonale opanowali sztukę wypowiedzi werbalnej. Równie dobrze moglibyśmy podjąć próbę wyjaśnienia, czym jest buddyzm za pomocą koncepcji przeistoczenia Hostii. Zapomnijmy więc o mam. A może numery s To słowo ma przynajmniej łaciński rodowód, Wergiliusz użył go i w Eneidzie i choć nie znamy jednoznacznej definicji tego pojęcia, 1 ośmielę się twierdzić, iż oznacza ono "boską obecność". Hipoteza | ta wydaje się możliwa do przyjęcia, bo przecież człowiek od jj chwili, gdy pojawił się na ziemi, miał świadomość istnienia f. zjawisk nadprzyrodzonych. Czy to cokolwiek wyjaśnia? Otóż | wiemy, że Rzymianie już u zarania swych dziejów mieli silny | zmysł praktyczny i że nadawali bogom imiona związane z ich | funkcjami, zupełnie jakby czynili z nich swoich intendentów: | bóg pierwszej orki nosił imię Vervactor, bóg drugiej orki nazywał -| się Repurator, bóg bronowania to Imporcitor, siewu - Insitor, i tak dalej. Niechaj owe bóstwa wybaczą mi śmiałość, ale ofiary, które Rzymianie składali im po żniwach przypominają zapłatę wręczaną sezonowym pracownikom jeszcze na początku XX wieku (do dziś w ten sposób opłacani są studenci pracujący na przykład przy winobraniu).

Zaznaczę na wstępie, że nie ja pierwszy szukam diabła w Rzymie. Szukano go tam już wcześniej, ale bez skutku. A wyjaśnienie jest chyba dość proste: kiedy coś nie potoczyło się po ich myśli, ludzie wiedzieli, że Obarator, Occator, a może któryś inny bóg, jest niezadowolony i właśnie dokonał zemsty.

Skąd jednak wzięli się ci "użytkownicy" bogowie? Kto i kiedy zasiedlił Italię? Czy ów lud miał swoją religię? Otóż Italia została zaludniona na długo przed powstaniem Rzymu, a Rzymianie wywodzili się od ludów przybyłych tu w I tysiącleciu p.n.e. Od tego czasu miejscowe kultury stają się coraz bardziej jednorodne.

Wspomnijmy o dwóch największych - kulturze grobów fosowych, która przestrzegała zwyczaju grzebania zmarłych, oraz kulturze pól urnowych, w której zwłoki palono. Pierwsza skupiała ludy willanowiańczyków, adriatyckie i apulijskie, druga kultury Gola-secca, a zatem Atestynów i Latynów. O ich wierzeniach nie wiemy prawie nic. Możemy tylko domyślać się, że stosunek tych dwóch grup do zmarłych był odmienny⁵.

Wiemy również, że kiedy uciekający przed wojenną zawieruchą Trojańczyk Eneasza dotarł do ujścia Tybru, straciwszy wcześniej na Sycylii ojca i uległszy wdziękowi Dydony, królowej Kartaginy, został przyjęty przez króla Lacjum (stąd słowo "łaciński", "łatyński"), który oddał mu swą córkę Lavinie za żonę. Od jej imienia pochodzi zresztą nazwa założonego przez Eneasza miasta, Lavinium. A zatem w XIII w. p.n.e. w starożytnej Italii istniała co najmniej jedna kultura, bo przecież właśnie na ten okres przypada według

Herodota wędrowka Eneasza. Kultura Lacjum miała swoją religię i z niej wywodzą się niektóre spośród wspomnianych wcześniej bóstw. Niektóre, dlatego że inny lud italski, Sabinowie, spokrewnieni z Samnitami, uczestniczył w tworzeniu Rzymu i wprowadził do rzymskiego panteonu kilku własnych bogów.

Latynowie i Sabinowie byli Indoeuropejczykami, ponieważ większość znanych języków Italii - umbryjski, wenecki, wschodnioitalski, celtycki, używany w dolinie Padu, Lombardii, Piemontie i Ligurii, messapijski, używany w Apulii oraz grecki, którym posługiwano się na południowych wybrzeżach i Sycylii należała do grupy indoeuropejskiej⁶.

Religie Latynów i Sabinów również były pochodzenia indo-europejskiego, przynajmniej wówczas, gdy Eneasza przybył na Półwysep Apeniński. A zatem były politeistyczne. Ludy te powoływały bogów odpowiadających każdej ze znanych im sił natury i dziedzin aktywności - Słońcu, Niebu, gwiazdom, piorunom, płodności, żniwom, a także wojnie, sztuce, handlowi, mitości... Być może badacze przeceniali wpływ panteonu indoeuropejskiego na panteon rzymski, ale ten problem wykracza poza krąg naszych zainteresowań⁷. Podobnie jak wiele innych, także religia rzymska, wywodząca się od italskiej i łącząca elementy lokalnych wierzeń, miała boga nieba. To jemu przypisywano początkowo władzę nad piorunami (potem stał się opiekunem prawa i poręczycielem danego słowa). Był nim Jowisz, który panował nad światem, nie ingerując przesadnie w jego sprawy. Do panteonu dołączyli inni bogowie - Mars, Kwirynus⁸, Ceres, Herkules, Bachus, Wenus...

Należy podkreślić, że Italia jest przypadkiem szczególnym, którego nie wolno, choć mamy do tego poważne skłonności, utożsamiać z innymi regionami Europy Śródziemnomorskiej, na przykład z Grecją. Pomiędzy rokiem 753 a 749 p.n.e., a zatem w czasach, gdy - jak głosi grecka legenda⁹ - legendarni bohaterowie, potomkowie Eneasza - Romulus i Remus założyć mieli Rzym, istniał trzeci duży lud, który przyczynił się do powstania miasta, Etruskowie. Na pierwszy rzut oka nie należeli oni do ludów indoeuropejskich. Powiedziałem "na pierwszy rzut oka", ponieważ niegdyś przypuszczano, że nie byli Indoeuropejczykami. Ich język rzeczywiście nie należał do tej rodziny.

Skąd przybyli Etruskowie? Herodot powiada, że pochodzili z Lidii w zachodniej Anatolii, skąd zawędrowali do Italii na przełomie II i I tys. p.n.e.¹⁰. A zatem wywodziliby się ze wspólnego, indoeuropejskiego pnia, z tym jednak, że ich język przeszedłby na przestrzeni wieków zupełnie inną ewolucję. Co ciekawe, Eneasza, Trojańczyk, a zatem Frygijczyk, należący do nacji bliskiej geograficznie Lidyjczykom, był "kuzynem" Etrusków. Oznaczałoby to, że znaczna część mieszkańców Italii i pierwotnej populacji rzymskiej przybyła w I tysiąclecie z Turcji. Bo Etruskowie byli przecież współzałożycielami Rzymu¹².

Poszukiwanie diabła i jego genezy staje się tym ciekawsze, że Etruskowie, podobnie jak inni mieszkańcy Italii, opuścili swoje indoeuropejskie gniazdo na długo przed reformą zaratustriańską. Dlatego nie zetknęli się z antynomią bóg-diabeł, jaka wytworzyła się w wedyjskim panteonie. W religii Etrusków natomiast, podobnie jak w wierzeniach rzymskich, nie natrafiamy na żaden ślad diabła. Ryzyko spotkania z nim jest tym mniejsze, że od VI wieku p.n.e. Italia uległa wpływom greckim, co tak bardzo drażniło Savonarolę starożytności, Katona. Wiemy już, że w Grecji diabła nie było. Włóczyła się po niej tylko gromada demonów, które potrzebne były ludziom przesadnym, a przydawały się głównie wtedy, kiedy rozczarowany kochanek, oszukany kupiec, zdradzony mąż lub zazdrosny sąsiad zapragnął dokonać zemsty. Mogło z tego procederu wyżyć kilka czarownic.

Pozwolę sobie jednak zauważyć, że wpływ Grecji na Rzym był znacznie mniejszy, niż niejeden chciałby sądzić, ponieważ już choćby utożsamianie Jowisza z Zeusem jest zabiegiem czysto formalnym, a nawet - fałszywym i powierzchownym, chociażby dlatego, że Zeus nigdy nie był poręczycielem przysięgi. Od wieków toczą się dyskusje, mające wyjaśnić, czy Ceres to Libera, a Ariadna to Wenus czy Semele¹³. Bo Rzym nie jest kopią Aten.

W czasach, o których tu mówimy, wierzenia etruskie, łatyńskie i sabińskie stopiły się, tworząc wspólną religię Italii. Czy zbyt mało było w nich uduchowienia? Dumezil,

zapewne żartem, powiada, że "w epoce rozkwitu Cesarstwa Rzymianie nie mieli mitologii, a Dionizy z Halikarnasu sławił tę powściągliwość wyobraźni, która uchroniła ich przed świętokradztwem i pozwoliła podporządkować rytuał czystej i prostej teologii"¹⁴. Rzymianie nie powinni zbyt ufnie przyjmować komplementów z ust Dionizego z Halikarnasu, greckiego wygnańca, który mieszkając w Rzymie, starał się dowieść, że jest on tylko odbiciem Grecji. Trudno uwierzyć w jego szczerość. Być może pragnął, by Rzymianie trwali przy swych pozornie surowych i chłodnych praktykach religijnych.

Wiemy już, że Rzymianie mieli bogów pełniących funkcje konsula, prefekta, urzędnika. Saturn dbał o sieci, Ops doglądał prac polowych, Janus strzegł bram miast i domostw, Juwentyus dbał o młodość, Terminus miał pieczę nad granicami dzielącymi pola, Statulinus uczył dzieci chodzić, a pewna boginka imieniem Lawerna czuwała nad złodziejami! "Rzymski panteon jest odbiciem życia ziemskiego", pisze Mommsen¹⁵, "stara się on uchwycić wszystko z niesłychaną dokładnością. Państwo, rodzina, zjawiska przyrodnicze, moralność, ludzie, miejsca, przedmioty, a nawet prawo - wszystko to istnieje w świecie rzymskich bogów... Nie warto szukać tam chwalebnych obrazów, zarazem ziemskich i idealnych, jakie przedstawiał kult Apollina; boskiego upojenia Bachusa-Dionizosa, dogmatów kryjących się za rytuałami i misteriami Ziemi...". Kult jest odprawiany w stowarzyszeniach, takich jak Fratres Arvales czy Dwunastu Braci Polnych, bractwach jak Titieni, strzegący świętych ognia trzydziestu kurii, a wyznaczone rody oddają hołd bóstwom - jak na przykład Potitieni i Pinarieni Herkulesowi¹⁶. Można by w nieskończoność wymieniać celebransów i uroczystości. Dzisiejsze defilady z okazji świąt narodowych wypadają w porównaniu z nimi blade.

Zapewne Rzymianie nie przejawiali bujnej wyobraźni, tworząc swe mity. Tam, gdzie trzeba koniecznie łączyć zmysł poetycki lub poczucie absurdu z wiarą, nawet Melanezyjczycy dowiedli większej fantazji tworząc swe kosmogonie, mitologie i panteony. Czy jednak możemy zarzucać Rzymianom, że mocno stąpali po ziemi i nie ulegli czarowi świata nadprzyrodzonego? Przecież ów świat w ich oczach był uosobieniem chaosu i dlatego wprawiał ich w przerażenie. Grecja uczyniła z religii stróża demokracji, Rzymianie chcieli, by ich religia zapewniała porządek, a później by umacniała państwo, i dlatego nie chcieli wierzyć, że ludzie zrodzili się z kamienia, ptaka z ogonem węża czy w wyniku kopulacji kosmicznych potworów. Bardzo szybko ich religia stała się religią gens, to znaczy rodu, domu, zmarłych przodków, oraz podstawowej grupy społecznej, curia i grup zawodowych, collegia. Była to religia użytkowa, stroniąca od wszelkiego rozpasania, które zresztą do religii greckiej przeniknęło ze Wschodu, a tym bardziej stroniąca od trudnej mistyki religii azjatyckich. Ta odmienność wpłynęła w zasadniczy sposób na wizerunek Rzymu, jego religii i kultury. Nie ma tam miejsca na interpretację, na idealizację, pozostaje tylko realizm. Można powiedzieć, że realizm w historii sztuki jest bezprecedensowym wytworem rzymskim.

Kluczem do religii rzymskiej jest, co może wydać się paradoksalne, kwestia przeważnie pomijana, a czasem chyba celowo przemilczana w opracowaniach, które gdyby nie to, można by uznać za wyczerpujące. Mam na myśli zakaz nawiązywania kontaktu z bogami¹⁷ bezpośrednio przez jednostkę. Pogwałcenie tego zakazu ściągało na Rzymianina oskarżenie o superstitio, to znaczy "anarchiczną religijność". Choć wolni wobec bogów i stale pozostający pod obserwacją, Rzymianie, nie powinni byli dążyć do nawiązania osobistego kontaktu z nimi. Przepowiadanie przyszłości, jasnowidzenie, wróżby indywidualne są przez Rzymian uznawane za wykroczenie przeciw religii, która jest przede wszystkim umową społeczną z bogami. Interpretacja znaków przez wróżbitów to działalność kontrolowana przez zbiorowość. Nawet cesarz Wespazjan, który w Egipcie pozwolił sobie dać do zrozumienia, że posiada cudotwórczą moc, w Rzymie prezentuje zgoła inne oblicze i nie wspomina o nadprzyrodzonych darach, bo to z pewnością rozgniewałoby senatorów.

Zakaz bezpośrednich kontaktów z bogami nie pozostawał martwą literą prawa. Seneka na przykład poświęcił mu odrębny traktat, De superstitio, analizując pewne kultury rzymskie, w których dostrzega elementy występku, a przede wszystkim wierzenia wschodnie, coraz częściej przenikające do Wiecznego Miasta. Ów zakaz uzasadnia rozdział obrzędów pomiędzy zbiorowości - gens, curia, collegium i inne. Współczesnemu Czytelnikowi, wychowanemu w kręgu kultury chrześcijańskiej, może wydać się nie-

zrozumiaty, wystarczy jednak uświadomić sobie, że bezpośrednie kontakty z bogami pociągają za sobą dwojakiego rodzaju zagrożenie. Po pierwsze, jednostka mogłaby bezprawnie wykorzystać moc tytułarnych bóstw, godząc w ten sposób w istotę państwa i torując drogę tyranii - władzy absolutnej człowieka, który podałyby się za pomazańca bożego. Dlatego też każdy obywatel rzymski, który był świadkiem nadprzyrodzonego lub niezwykłego zjawiska, miał obowiązek zawiadomić o tym zwierzchników religijnych swej grupy, tylko oni bowiem mieli prawo osądzić to zjawisko.

Drugie niebezpieczeństwo to zamach na prawo rzymskie, które opierało się na zasadzie prymatu zbiorowości. Jeżeli bowiem ktokolwiek zacząłby się podawać za dyspozytoriusza boskiej mocy, każdy obywatel mógłby rościć sobie podobne pretensje, a wówczas zamiast porządku, który gwarantuje prawo, zapanowałby chaos.

Ten sam zakaz tłumaczy nie tylko brak, ale niemożność pojawienia się mistycyzmu w religii rzymskiej, co tak bardzo trapi współczesnych historyków. Nie jest to jednak niedostatek, lecz konieczność - człowiek, który rozmawia z bogami, lub do którego się oni bezpośrednio zwracają, nie jest już członkiem społeczności. Każdy wie, że od mistycyzmu wiedzy prosta droga do szaleństwa lub deprywacji, że często graniczy on z histerią.

Zakaz ten wyjaśnia wreszcie nieobecność diabła. Każda istota obdarzona władzą tak wielką, jak ta, którą mazdaizm lub judaizm przypisywały Arymanowi albo szatanowi, musiałaby być bogiem, a ład publiczny zostałby zagrożony, gdyby jednostka miała możliwość wzywania takiego boga dla własnych celów. Godziłoby to również w harmonię panującą między tytułarnymi bogami Rzymu. Dlatego właśnie nieliczne w mitologii rzymskiej demony pełnią bardzo skromne role, jak Robigo, demon powodujący rdzę zbożową i podrzędne bóstwa, które jak Kakus, demon ognia, czy Wejowis, "zły Jupiter", lubią drwić z ludzi i dokuczać im. W bardzo tłocznym rzymskim panteonie, gdzie każda chwila życia ma swego boga lub boginię, są prawie niedostrzegalne. Bogowie Rzymu są niemal zawsze dobrzy. Pojęcie boskości jest nierozzerwalnie związane z Życiem i Miastem. Nieprzypadkowo trzej bogowie czuwający nad Kapitelem bronią trzech rzymskich zasad kardynalnych - Jowisz przysięgi, Junona małżeństwa, a Minerwa samego Rzymu.

Czyżby więc Rzymianie tak dalece ignorowali zło, że na jego reprezentantów wyznaczali zaledwie "bóstewka"? Z pewnością nie - w dziedzinie etyki, tak - jeśli chodzi o religię i metafizykę. Uprzywilejowanie pojęcia zła wszechobecnego, odrażającego i groźnego, to wytwór chrześcijaństwa oraz lęku egzystencjalnego. Rzymianie mieli bóstwa miazmatów, gorączki, chorób, te jednak odgrywały drugoplanowe role na scenie religijnej i nie byłyby w stanie stworzyć nawet namiastki jedyne, potężnego diabła. Zło wynika z zaniedbania obowiązków religijnych - oto najwyższa forma prymitywnego tabu. Jest również przejawem ignorancji:

"Czym jest dobro? Wiedzą o rzeczywistości. Czym jest zło? Jej nieznanością", pisze Seneka¹⁸. Rozpętane zło jest zemstą bogów. "Lecz tego tajemniczego drżenia, które przenika serce, [religia rzymska] nie potrafi wzbudzić", pisze Mommsen¹⁹, Albo Rzymianie byli bez serca, albo ich serca były inne, wydaje się bowiem, że obywali się przez wieki bez tego niepojętego drżenia.

Czyżby więc Rzymianie byli ludźmi zimnymi, bez ikry, czyżby Rzym się nudził? "Zaspokojona żądza dóbr ziemskich, a w tle lęk przed siłami natury, który objawia się, gdy ukazują one całą swą moc, oto główne cechy religii rzymskiej", pisze Mommsen. "Nigdy wyrocznie i prorocy nie zdobyli w Italii wpływów, jakie mieli w Grecji". To osłabienie wrażliwości na metafizykę niemal ściągnęło na Rzymian oskarżenie o barbarzyństwo. A przecież była to kultura łagodna, kraj, w którym nigdy nie składano bogom ofiar z ludzi, co zdarzało się w Grecji: "...W Rzymie nigdy nie złożono życia w ofierze, poza osądzonym i skazanym zbrodniarzem, albo niewinnym, który z własnej woli zdecydował się na śmierć".

Prawdopodobnie Mommsen, oczarowany, jak cała jego epoka wzorcem rzymskim, przesadnie wychwala Rzymian, może też ulega skłonności do porównywania Imperium Brytyjskiego z Cesarstwem i mimowolnie utożsamia jego mieszkańców z wiktoriańską burżuazją. Tymczasem byli oni takimi samymi ludźmi jak inni. Znane im były wysublimowane uczucia i okrucieństwo, i trudno zapomnieć, nawet gdy Mommsen wieńczy ich czoła najwspanialszymi laurami, o potwornym mordzie na Cynceronie i o megierze Fulwii, wdowie po Klaudiuszu oraz żonie Antoniusza, która na oczach

wszystkich przebiła szpilką do włosów język mówcy, którego głowa została już ścięta²⁰. Od dnia narodzin Republiki do upadku Imperium, Rzym był miastem namiętności, intryg, bezwzględności i okrucieństwa, rozpusty, niesłychanego wyrafinowania i wspaniałej kultury, o czym również należy pamiętać. A uszczypliwa ironia, z jaką mówią o swoich współczesnych Juwenalis czy Petroniusz, a także odmalowany przez nich portret Miasta dowodzą, że nuda nie groziła mieszkańcom Rzymu.

Nie bez powodu w końcu tyle krajów na przestrzeni wieków starało się naśladować rzymskie wzorce. Był to najdoskonalszy model państwa-narodu, jakiego nie wykształciła Grecja, skoncentrowana na doskonaleniu znacznie skromniejszego modelu mias-ta-państwa. Geniusz kolonizatorski, i - o czym już mówiliśmy - cywilizacyjny sprawił, że Rzym-Miasto rozrósł się w potężne państwo. Dlatego właśnie istniały Pax romana, ale nie Pax graeca.

Właściwie można by na tym poprzestać. Rzymianie nie mieli diabła, a tylko kilka drugorzędnych demonów, jak nawiedzające nocami mroczne domostwa duchy zmarłych. Wkrótce dowiemy się, jakie było ich wyobrażenie, a raczej ich wyobrażenia na temat zaświatów, bo religia nie nakazywała wiary w nie. Przekonamy się również, jak postrzegali zło. Warto zaznaczyć, że religia rzymska nieodmiennie stanowiła wyzwanie już w czasach Imperium, tym bardziej zaś dla naszej epoki, przesiąkniętej mani-cheizmem i niepokojem egzystencjalnym. Niczym bluszcz pnący się po białych kamieniach starożytnych świątyń, uporczywe i liczne wysiłki erudyty zmierzały do tego, by uwięzić religię rzymską w okowach spekulacji przypisujących Rzymianom lęki i niepokoje zwiastujące nadejście judeochrześcijaństwa.

Zacznijmy od czasów, które są nam najbliższe. Od początku tego stulecia wielu historyków²¹, którym nie przypadła do gustu religia, ich zdaniem "martwa", czyniło, co w ich mocy, by dowieść, że prawda jest inna, że nie wolno pozwolić, by zwodziły nas starożytne teksty i inskrypcje. Taką postawę nazwano później "rewizjonizmem". Wydaje mi się, że nie ma sensu wdawać się w nużące szczegóły dotyczące tego mitu, który jest wytworem tego samego sposobu myślenia, który inspirował pewne mgliste teorie snute wokół "sekretów" Wielkiej Piramidy.

Uczestnicząc w przedsięwzięciu "prechrystianizacji" Rzymu a posteriori, Dumezil przyjmuje, że Rzymianie mieli instynkt religijny, lecz go zatracili²². Nie wyjaśnia jednak, co rozumie pod pojęciem "instynktu religijnego", ani kiedy i dlaczego miałby on zaniknąć. Już w roku 1939 Carcopino ostro piętnował ów domniemany schyłek praktyk religijnych, pisząc o religii za czasów Cesarstwa: "Z pewnością panteon rzymski na pozór istnieje w nie zmienionej postaci, a ceremonie, które od wieków odbywały się w wyznaczonych terminach i były wypełniane przez kapłanów zgodnie z uświęconym kalendarzem, są nadal odprawiane, jak tego chce tradycja przodków. Ale dusze ludzkie już nie wczuwają się w te obrzędy i choć religia przyciąga nadal ludzi i ma swych kapłanów, brak jej wiernych. Wyblakłe bóstwa i bezbarwne mity, proste morały poparte szczegółami z łacińskiej topografii lub nędzne kopie przygód, które zdarzają się Olimpijczykom w greckiej epopei... Religia rzymska mrozi porywy wiary chłodem i użytkową prozaicznością"²³.

Czy tak oczywista chęć przypisania Rzymianom wiary niejako prechrześcijańskiej, ale przygaszonej przez religię Imperium, może nie wzbudzać zażenowania? Cóż zatem należałoby powiedzieć o Chińczykach, Japończykach, Hindusach, Egipcjanach, ludach Afryki, Majach, Aztekach, którym również pojęcie "wiary" w rozumieniu chrześcijańskim było całkowicie obce? Od czasów Republiki do czasów Imperium religia rzymska nie uległa przemianom. Jak zatem wyjaśnić, że - jak utrzymuje Carcopino - rozczarowała ludzi? Jak to możliwe, by w takiej sytuacji przetrwała blisko dwanaście wieków?

Trudno zresztą byłoby lepiej, niż robi to w swej filipice Carcopino dowieść tezy przeciwnej, skuteczniej przekonać, że religia rzymska nie znała ani diabłów, ani tych tajemniczych bogów, których chciano jej przypisać. W gruncie rzeczy czyni się jej zarzut właśnie z powodu tej podwójnej nieobecności - nieobecności boga i diabła.

Dlaczego w takim razie Rzymianie nie zarzucili praktyk religijnych?! O dziwo, przyznaje to sam Carcopino: "...Lud wcale nie przestał przejawiać żywego zainteresowania świętami bóstw, hojnie subwencjonowanymi z finansów publicznych... Wśród uciech, które wabiły prostaczków, były i takie, które podobały im się szczególnie, ponieważ »były

radośniejsze, bardziej hałaśliwe i zdawały się należeć w większej mierze właśnie do nich», pisał, cytując Marka Aureliusza. Pogarda tolerancyjnego wobec chrześcijaństwa cesarza jest aż nadto wyraźna, nie zmienia jednak faktu, iż uciechy pospółstwa były w pełni uprawnione. Fakt, że z pieniędzy publicznych pokrywano koszty obrzędów i świąt religijnych - "hojnie" czy też nie - wydaje się zupełnie normalny, skoro religia była gwarantem istnienia Państwa. Tymczasem znaczna część współczesnych opracowań dotyczących religii rzymskiej celowo kładzie największy nacisk na chrystianizację.

Wydaje mi się, że pora puścić w zapomnienie tendencyjne rozprawy, z których wyłaniał się wypaczony obraz religii rzymskiej, uważanej za pustą skorupę, fikcję zdegenerowaną już w chwili narodzin.

Prawdę mówiąc, współcześni historycy, którzy starają się odnaleźć w religii rzymskiej nie istniejące oznaki zapału mistycznego, podążają szlakiem, na który ich koledzy wkroczyli już bardzo dawno. Nie od dziś bowiem podejmowane są próby udowodnienia (ich "twórcy" nie troszczą się przesadnie o to, by unikać sprzeczności), że z jednej strony Rzymianie mieli nie zaspokojoną "potrzebę religijności", z drugiej zaś, że sami sobie sprawili zawód. Ilustracją takiej postawy niech będzie historia "boga niewystowionego".

Kiedy w roku 181 odnaleziono na Janikulum trumnę pokrytą inskrypcjami wskazującymi, iż spoczywa w niej drugi król Rzymu, Numa, natrafiono podobno także na tajemnicze teksty, które Senat pod wodzą pretora Kwintusa Petyliusza czym prędzej postanowił spalić. Tajemnicze teksty, których nikt nigdy nie czytał, ponieważ zostały zniszczone, najprawdopodobniej rzeczywiście istniały, bo Plutarch wspomina o nich w opowieści o życiu Numy²⁴. Oczywiście ten fakt rozpałił wyobraźnię współczesnych, którzy stwierdzili, że Senat potępił księgi, ponieważ godziły w religię przodków²⁵. Znacznie później powiadano, że były to pisma pitagorejskie, dla których inspirację znalazł Numa u samego Pitagorasa²⁶. Przekonamy się zresztą, że było to wysokiej klasy oszustwo intelektualne.

Hipoteza ta już z punktu widzenia chronologii jest absurdalna, ponieważ Rzym powstał w połowie VIII wieku p.n.e., a jego pierwszym królem był Romulus. Numa, jego następca, mógł zatem objąć władzę pod koniec VIII stulecia, a najpóźniej na początku VII. Tradycyjnie przyjmuje się, że panował w latach 715-672 p.n.e. Tymczasem Pitagoras nauczał w Krotonie, doryckiej kolonii w południowej Italii około roku 530 p.n.e. A zatem dzieliło ich mniej więcej dwieście lat. Za czasów Numy doktryna pitagorejska nie istniała. Ale to nic, trzeba było przecież tchnąć mistyczną duszę w religię rzymską, przytłumioną przez Senat, prawdopodobnie zawsze hołdujący racjonalizmowi.

Pewien historyk tej epoki, Armand Delatte, przeprowadził dowodzący erudycją, fascynujący wywód, w którym zaprezentował przesłanki skłaniające do uznania, iż słynne zaginione teksty zostały sfabrykowane przez zapomnianego rzymskiego pisarza żyjącego w II wieku, Fulwiusza Nobiliora²⁷. Miałby on uważać Numę za pitagorejczyka ze względu na jego wiedzę o gwiazdach. Numa rzeczywiście interesował się gwiazdami i właśnie on podzielił rok na dwanaście miesięcy. Ale, jeśli wierzyć Plutarchowi²⁸, nawet za życia nie zyskał opinii wielkiego astronoma. Krótko mówiąc, Fulwiusz i Ennius, współautorzy "działa", opracowali teorię osnutą wokół postaci stworzonego przez nich boga - Herkulesa Muzagety, opiekuna Muz, co wydaje się, mówiąc ogólnie, niespójne. Opierali się też na mylnej interpretacji dawnych tekstów, w tym owidiuszowego "Pitagorasa", "boga niewysłowionego"²⁹. Wystarczy zatem powiedzieć, że Senat spalił stertę bzdur. Wpływ pitagorejczyków na myślicieli rzymskich był niewątpliwie istotny, ale to nie uprawnia do twierdzenia, że Numa był uczniem "niewysłowionego boga", oczywistego prekursora Boga gnostyków, ani też - że Senat stłumił w zarodku renesans monoteizmu rdzennie rzymskiego.

A zatem w cesarskim Rzymie nie tylko praktyka religijna była żywa, przetrwały także uczucia religijne. To właśnie one od zarania dziejów Rzymu kierowały wszelkimi poczynaniami obywateli: "Łamiący słowo dopuści się zdrady wobec Jowisza", pisze

Tacyt o aktach sprzedaży³⁰. A ranga przysięgi wiąże się z faktem, że poręcza za nią sam władca bogów. Naród kupców i wojowników, przywiązujący szczególną wagę do honoru i przysięgi, ma oddzielnego boga działań podjętych w dobrej wierze, mogącego zadowolić moralistów i badaczy mitologii, Deus Fidius, zapewniającego ochronę handlowi i interesom. Ale odróżnia też Merkurego, boga handlu w ogóle, a złodziei w szczególności

(posmakujmy ironii kryjącej się w takim połączeniu). "Czczono go w każdej osadzie w całej Italii - opowiada jeden ze starożytnych. - Jego ołtarze można było napotkać dosłownie wszędzie - na ulicach miast i przy ważniejszych drogach"³¹. To powinno rzucić właściwe światło na refleksję Carcopino, który uważa, że udział Rzymian w świętach religijnych nie dowodzi jeszcze ich wiary, podobnie jak spożywanie przez paryżan tradycyjnej kolacji wigilijnej nie świadczy o żarliwości ich uczuć religijnych. Podążając dalej tym tokiem myślenia, warto zadać sobie pytanie, ilu pozostałoby wiernych, gdyby zrezygnować z wszelkich obrzędów, rytuałów, świąt.

Zresztą trzeba wiele lekkomyślności albo złej woli, by sądzić, że Rzymianie przez całe wieki budowali coraz to nowe świątynie dla swych bogów, świątynie naprawdę piękne i imponujące, że utrzymywali je nie szczczędając pieniędzy - dla nikogo i po nic. Po cóż mieliby urządzać tyle świąt: Carmentalia na cześć bogini Carmenty, wieszczki uznawanej niekiedy za bóstwo płodności i znanej pod różnymi imionami, Parentalia, święto zmarłych, które westalki obchodziły w lutym, poza tym zaś Regifugium, Equirria, Fodicidia, Ceñalia, Padlin, Vinalia, Lemuria, mające ukoić gniew zmarłych, Yestalw i Matralia, święta kobiet, Nones caprotines, Neptunalia, Furrinalia, Portunalia, Consualia, Fontinalia, Armilust-rium, Satumalia... Nie wspominając o Lupercaliach, które wzbudzały tak wielkie oburzenie historyków z minionych epok, gdyż w czasie obchodów tych świąt młodzież tańczyła nago wokół Palatynu.

Nie wspominając o zabawach ani o rytuałach oczyszczenia. Nie mówiąc wreszcie o potężnej organizacji kapłańskiej, urzędnikach państwowych, członkach kurii, kapłanach odpowiedzialnych za kult poszczególnych bóstw, pontyfikach, westalkach, augurach. Gdyby Rzymianie robili to wszystko z bliżej nie określonych przyczyn, musielibyśmy zwątpić w ich zdrowy rozsądek, w ich rozum, który przecież uważali za jedną z głównych zalet. Poza tym bezbożność była zbrodnią, za którą groziła kara śmierci.

Skąd zatem wniosek, że Rzymianie nie wierzyli we własną religię? Taki pogląd ukształtował się zapewne pod wpływem sceptycznego podejścia rzymskich pisarzy do mitów, które później zostały przejęte przez monoteizmy, jak na przykład mit piekła.

"...W opowieści o duchach zmarłych (manes), królestwie podziemnym i łodzi Charona, czarnych żabach w otchłani Styksu i o tym, że jedna łódź wystarcza, by przewieźć tysiące zmarłych, w te opowieści nie wierzą już nawet dzieci, może z wyjątkiem tych, które są zbyt młode, by płacić za wejście..." , pisze Juwenalis, a Carcopino cytuje go, by ukazać, jak bardzo religia rzymska osłabła za czasów Cesarstwa. Troszcząc się jak zwykle o "prostych ludzi", Carcopino dodaje, że "sceptycyzm widoczny u Juwenala był powszechny. Ogarnął prostych ludzi, a najzycielsi spośród nich przejawiali po prostu kompletną obojętność wobec bogów rzymskich, którzy mają teraz »nogi jak z ołowiu« - pedes lanatos. Bez zażenowania okazywały ją wielkie damy - stolatae - które »nie bardziej dbały o Jowisza niż o zeszłoroczny śnieg«".

Relacja Juwenala zawiera sugestie, które pozwalają odczytać tekst w następujący sposób: kto nie wierzy w piekło, nie może być religijny. Z całym szacunkiem należnym Jerome'owi Carcopino, muszę stwierdzić, że z jego stów wyciera niezrozumienie rzymskiej religii. Religii, która nie uznaje dogmatów. Dla Rzymian Watykan był tylko jednym ze sławnych wzgórz, a piekło i diabeł nie mają związku z boskością. Piekło to pojęcie poetyckie, można wierzyć w jego istnienie lub nie. Jego twórcą jest Wergiliusz, który z teologią niewiele ma wspólnego. Kiedy poeta wskazuje jedną z bram piekielnych - rozlewiska Acherontu w okolicach Cannes, zwane dziś jeziorem Fusaro, jest równie wiarogodny jak Wiktor Hugo, "twórca" Jerimadeth, a fakt, że Juwenalis nie wierzy w jego zmyślenie, z pewnością nie oznacza, iż jest bezbożnikiem. Takie miejsce powinno być odrażające i dlatego Wergiliusz, który śmierć utożsamia z odorem, tam właśnie sytuuje źródła piekielnej rzeki.

"Mit opisany w Eneidzie odniesie ogromny sukces, zarazem poetycki, alegoryczny i »faktograficzny«, uwiedzie liczne pokolenia intelektualistów, fascynując, dzięki pośrednictwu sztuki popularnej, masowego odbiorcę"³². Myliłby się jednak ten, kto uznałby, że piekło jest kamieniem probierczym rzymskiej religii; odniosło ono tylko sukces literacki. Lukrecjusz utrzymuje, że "teraz trzeba, jak sądzę, dalsze rzeczy poruszyć słowem wiążanem, wyłożyć naturę ducha i duszy - wygnąć z serca strach ciągły przed Acheronta krajem. Strach, co zatruwa życie, spokoju nam nie daje. Wszystko

zaczernia śmiercią³³ i umysł dąży do dna". "Cyceron nigdy nie brał pod uwagę istnienia piekła i uważał, że wszystko, co piszą na ten temat poeci, jest tylko kanwą ich opowieści. Pozostaje wybór pomiędzy szczęściem z bogami a nicością", stwierdza bardzo słusznie Georges Minois³⁴. Na tym polega problem współczesnych nam historyków - oceniając inne religie z perspektywy chrześcijaństwa, nie potrafią zrozumieć ich istoty i uznać religio, która nie jest przesiąknięta obawą i lękiem, a ogranicza się do roli spoiwa społecznego.

Niewątpliwie Rzym pozostawał pod wpływem greckiej wizji piekieł, tak jak pozostawał pod wpływem greckiej myśli w ogóle. Platon trzykrotnie mówi o piekle - w Fedonie, Gorgiaszu, a nawet w Państwie, gdzie Er, który zstąpił do piekieł, następnie zaś zmartwychwstał, potwierdza istnienie sądu oddzielającego sprawiedliwych od niesprawiedliwych, a zatem formułuje ideę bezspornie prechrześcijańską *. Musimy jednak pamiętać, że Platon nie miał w Rzymie pozycji teologa i to ani za czasów Republiki, ani w okresie Cesarstwa. Ponadto należałoby ustalić, jakimi ścieżkami myśl Platona, nim osiągnie znaną nam postać, tak wyraźnie przechodzi od nurtu pitagorejskiego i orfickiego (czyli związanego z irańskim monoteizmem) Akademii ku prechrześcijańskiemu gnostycyzmowi, tak jaskrawemu w Fedonie, nacechowanemu quasi-manichejskim dualizmem, oddzielającym świat absolutny, który nigdy się nie uwidoczni, od świata zmysłowego, który nigdy nie jest prawdziwy. Po wiekach Nietzsche zwrócił uwagę na ten dziwny bieg myśli w często źle interpretowanych zdaniach (uznawanych za "dowód" jego antysemityzmu, rzecz jasna urojonego, warto bowiem pamiętać, jak zdecydowanie Nietzsche wyrażał niechęć wobec antysemickiej postawy Wagnera): "Drogo kosztowało nas przystąpienie tego Ateńczyka do szkoły Egipcjan - a zapewne egipskich Żydów"³⁵. Ale przecież w Rzymie nikt nie uznawał za dowód bezbożności obojętnego podejścia do platońskich nauk. W roku 1922 większość niemieckich chrześcijan deklarowała ten sam brak wiary w piekło buchające żarem i pełne rogatych potworów³⁶.

Z pewnością rzymska elita, a także ci, których można uznać za inteligencję, sceptycznie odnosili się do mitów greckich. Brak szacunku, z jakim świat helleński, a tym bardziej hellenistyczny, odnosił się do Olimpijczyków, musiał być dla Rzymian szokujący, podobnie jak arbitralne zachowanie bóstw. Staje się to widoczne za czasów Republiki: "Teologia narodowa Rzymian zawsze starała się, by przejawy i atrybuty boskości były bliskie ludziom i łatwe do pojęcia", pisze Mommsen³⁷. Połączenie zdrowego rozsądku

Jest leż pewne, że wśród elit społecznych i "inteligencji" częste były przypadki areligijności, ale wyłącznie w nowoczesnym rozumieniu tego pojęcia, czyli - ateizmu. Rzymska religia - warto o tym przypomnieć - nie ma w zasadzie nic wspólnego z naszym rozumieniem religii. Łączy je tylko etymologia i pewien zespół cech wyróżniających: religia to zespół zasad moralnych mających "zespalać" społeczność, to etyka i spoiwo zarazem. Jest zatem duchem prawa. Nie zakłada ani immanencji, ani transcendencji boskiej, ani też objawienia, choć podobno Numa udał się po radę do groty nimfy Egerii *. W tym też kontekście należy rozumieć słowo tak często pojawiające się w rzymskich tekstach - pietas, które nie odpowiada chrześcijańskiej bogobojności i miłości, ale oznacza szacunek wobec bogów Miasta. "Nie sądzmy, że pietas oznacza to, co chrześcijanin rozumie przez wiarę... Chodzi raczej o postępowanie dowodzące stałej gotowości i wierności, chęci wypełniania zobowiązań, a przede wszystkim przyrzeczeń"³⁸.

Pietas ma związek z honorem. Nie można oddzielić jej od mrtus, która nie jest cnotą, ale odwagą, męstwem, oraz ofides, którą poznać można po tym, jak pisze Polibiusz, że Rzymianin nie sięgnie po grosz publiczny. Symbolizują ją dwie ściskające się dłonie, oznaczające to samo, co nasze "słowo honoru" - umowę

Tytuł "augusta", do którego cesarze przywiązywali ogromną wagę, "oznacza obdarzonego augusem, czyli niezwykłą siłą" w. Początkowo nazywano tak świątynie, symboliczne siedziby duchów przodków; oznaczało to, że cesarze zarazem uosabiają i chronią siłę narodu, dlatego za czasów Domicjana, który dąży do uzyskania godności boskiej, członkowie jego rodu, Flawiusze, dokonają subtelnych oszustw, odrestaurowując świątynię Jowisza Kapitońskiego, którego filozofowie uznawali za symbol oporu wobec tyranii.

Rzymianin to filozof, a jego teologia jest w swej istocie obywatelska. Kiedy po odnalezieniu trumny Numy Senat polecił ~ spalić sławetne, a przypisywane mu teksty, uczynił tak nie tylko w obawie przed narastaniem wpływów pitagorejskiego mistycyzmu, ale przede wszystkim ze względu na zawarte w nich wzmianki o bogach, którzy byli zdeifikowanymi ludźmi. Takiego szaleństwa, takiej aberracji Senatowi nie wolno było tolerować! Miał poważne powody, by pozbyć się owych tekstów, ponieważ cesarze marzyli już o tym, żeby raz na zawsze zyskać boski tytuł. Chyba każdy rozsądny człowiek byłby poruszony faktem, że Oktawiusz, w młodości pitagorejczyk, skłonny wierzyć w istnienie sekretnych powiązań .pomiędzy różnymi wydarzeniami i zjawiskami, wybrał sobie na "świętego patrona" Apollina, tylko dlatego, że zwycięstwo pod Akcjum nastąpiło w pobliżu świątyni tego boga⁴¹. Ale wyciągając na tej podstawie wniosek, że Rzymianie nie respektowali bogów, dalibyśmy upust wyłącznie pragnieniu doszukania się tego, co chcemy znaleźć, a co nie istnieje.

Niektórzy historycy⁴² dopatrywali się u autorów, takich jak

Tacyt, skrywanej sympatii do judaizmu, a potem do chrześcijaństwa, co ich zdaniem dowodziłoby wyparcia się religii rzymskiej. Szkoda, że nie zagłębili się w pisma tych autorów! Bo w jedynej wzmiance o Jezusie, wymienionym tu pod imieniem Chrystusa, wzmiance w oczywisty sposób utożsamiającej judaizm i chrześcijaństwo (większość rzymskich chrześcijan stanowili Żydzi, którzy przyjęli chrzest), Tacyt pisze: "Aby zdusić pogłoski (według których miałby być odpowiedzialny za pożar Rzymu), Neron skierował podejrzania i skazywał na najbardziej wyrafinowane kary ludzi znienawidzonych za zbrodnicze obyczaje, a przez pospólstwo zwanych »chrześcijanami«. Tym, od którego wzięta się ich nazwa, jest »Chrystus«, za panowania Tyberiusza skazany na śmierć przez prokuratora Poncjusza Piłata; stłumiony wówczas na krótko, ten ohydny przesąd odrodził się i to nie tylko w Judei, gdzie po raz pierwszy pojawiła się ta plaga, ale także w Rzymie, dokąd dociera zewsząd i rozprzestrzenia się wszystko, co odrażające i haniebne. Najpierw zatem zatrzymywano tych, którzy przyznawali się do winy, następnie zadenuncjowane przez nich rzesze, które skazano nie tyle za zbrodnię podpalenia, co za nienawiść do rodzaju ludzkiego"⁴³. "Zbrodnicze obyczaje", "ohydne przesady", "plaga", "odrażające i haniebne", "nienawiść do rodzaju ludzkiego" - gdzie podziela się "cicha sympatia" Tacyta dla judeochrześcijan?

Trzeba żyć w Imperium i sprawować najwyższe urzędy, a właściwie - być cesarzem, by odważyć się na najłżejszą choćby ironię, ironię bardzo subtelną, wobec religii. Umierając w roku 79, dotknięty chorobą Wespazjan nie postradał rzymskiego poczucia humoru (bo w tej dziedzinie Grecy i Rzymianie wyprzedzili Anglików): "Wierzę, że przemieniam się w boga", żartował. Te słowa nie pozostały bez echa. Wespazjanowi zarzucano, że nie lubi filozofów, którzy za Nerona prosperowali doskonale, nie przynosząc państwu żadnych korzyści. Rzym zaniepokoił się, słysząc o związku cesarskiego syna Tytusa z Żydówką Bereniką.

Czy dziewczyna nie przekona go do obcej wiary? Ale na dowód niezłomnej wierności rodu cesarskiego wobec religii, Tytus oddalił tę drugą Kleopatę (która, nawiasem mówiąc, była podejrzewana o kazirodcze związki z bratem, Herodem Agryppą II).

Wydaje się, że religia rzymska daje nam dwie istotne wskazówki. Po pierwsze dowodzi, że można długo i bardzo dobrze żyć bez diabła. Po drugie, że nie istnieje fatalizm "rasowy" czy też etniczny - Rzymianie, którzy byli indoeuropejczykami jak Irań-czycy i jak oni stworzyli Imperium (podobnie uczynili Etruskowie, Latynowie i Sabinowie), nie odziedziczyli po nich szczególnego zamiłowania do mitów ani skłonności do jak największego upraszczania panteonu.

Należałoby zastanowić się, czy nie istniała w tym zakresie relacja przyczynowo-skutkowa, czy nie istniał genius lód, czy wreszcie krajobrazy nie przesądzały o kształcie religii. Trudno wyobrazić sobie, że Wergiliusz mógłby być Aztekiem, a Mojżesz - weneccjaninem czy neapolitańczykiem. Pejzaż Italii, od Apulii po Toskanię, jest zbyt piękny, by gościć szatana, jeżeli ten musi być rzeczywiście odrażającą bestią, jak zwykło się go przedstawiać. Zrodzony na surowym płaskowyżu Iranu, dorastający na stromym wybrzeżu Morza Martwego, nieszczęsny diabeł traci siły pod radosnym niebem Italii. Wszystko, co zdołało uczynić pierwotne chrześcijaństwo, nękanie obsesją seksu, to nadanie mu wyglądu boga Pan, pótkozta, półcztowieka, najwyraźniej też opętanego

żądzą. I nawet genialny Michał Anioł, malując sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej, potrafił uczynić zeń tylko Murzyna, jakby żywcem wyjętego z komedii.

Ale wpływ krajobrazu na wyobrażenia o mocach nadprzyrodzonych to już całkiem odrębny problem.

* Por. rozdział 8. i logiki w trosce o zrozumiałość nie pozostawia miejsca dla zjawisk nadprzyrodzonych, które inne ludy wiązały z boskością. W oczach Rzymian bogowie mieli przede wszystkim chronić cnoty najcenniejsze z punktu widzenia narodu i tradycji, religia zatem jawiła się im raczej jako geniusz zbiorowości niż stróż jednostek, a z pewnością nie była drogą doskonalenia człowieka jako niezależnej jednostki. Bez wątplenia mistycyzm jest kulturze rzymskiej całkowicie obcy.

* Legenda głosi, że nimfa Egeria odwiedzała króla nocami w grocie Kamen i służyła mu radą, praktycznie kierując jego polityką (przyp. tłum.). opartą na zaufaniu³⁹. A zatem jest to także zaufanie. Pietas, virtus, fides to trzy' pojęcia, które ujmują rzymskie przeświadczenie o tym, że człowiek jest panem swego losu. Są niczym proklamacja wolności i godności ludzkiej. Surowa na pozór religia rzymska, która wprawiała w tak wielkie zakłopotanie nowożytnych historyków, była gwarantem wspólnoty.

Egipt - ojczyzna religii, której obce jest potępienie

O literackim micie Echnatona, "twórcy monoteizmu" - O drzemiącej w religii egipskiej skłonności do monoteizmu i bogach, którzy są tylko częstką nieznanego - O ambiwalencji egipskich bogów - O tym, że gdy są pozbawieni ofiar i adoracji grozi im śmierć - O tym, dlaczego Seta można uznać za przodka diabła i o faktach, które przeczą tej hipotezie - O braku jednoznacznych przeciwieństw - O pokoju, który w religii egipskiej stwarza atmosferę sprzyjającą radosnej adoracji bóstwa.

Religia egipska do dziś pobudza wyobraźnię ludzką i - niestety - dość często inspiruje także pisarzy. Do ulubionych też amatorów teorii nie sprawdzonych, czy, jak mawiają Anglosasi, half-baked, należy twierdzenie, iż monoteizm narodził się za panowania słynnego faraona z XVIII dynastii, Amenhotepa IV lub - bo tak brzmiało jego pierwotne imię dynastyczne - Amenofisa IV, który sam siebie nazywał Echnatonem. Jest on jedną z ulubionych postaci mitologii powieściowej i intelektualnej XX wieku. Aby przybliżyć kontekst historyczny tej postaci, wspomnijmy, że XVIII dynastia była najznamienitszym rodem panującym w okresie Nowego Państwa, a początek dat jej Ahmosis I. Echnaton panował prawdopodobnie w latach 1375-1352 p.n.e.

Według nowożytnej mitologii Amenhotep IV, syn Amenhotepa III, miałby, natchniony proroczą intuicją, zastąpić w chwili objęcia tronu egipski panteon jednym bogiem, Atonem - Słońcem. To piękna, a przy tym wygodna prefiguracja uniwersalnego i pełnego monoteizmu, który od zarania dziejów był przeznaczeniem ludzkości. Pierwszym zwiastunem owej idei byłby zatem sławny, a jak chcą współcześni humaniści - nieco "tajemniczy" faraon o kobiecych kształtach i lisiej twarzy. Małżonek równie stawnej Nefretete, bladoliciej i dziwnie posępnej piękności, której wizerunek podziwiać możemy w berlińskim muzeum, kobiety tak bardzo przypominającej nam dziś Gretę Garbo. Piszę "dziwnie posępnej", bo portrety wszystkich innych faraonów i członków ich rodzin ukazują twarze uśmiechnięte, przepojone boskością, którą od pokoleń ucieleśniają -władcy. Egipski uśmiech można porównać z uśmiechem Buddy. To uśmiech szczęścia i pogody, uśmiech istoty ludzkiej, która wszystko dostrzega i pojmuje, lecz nie odczuwa smutku z powodu swej obojętności wobec świata. Z niezrozumiałych dla nas powodów na twarzy Nefretete nie ma takiego uśmiechu.

Echnaton, jej małżonek, jest tym faraonem, który obok nieszczęsnego Tutenchamona, znanego bardziej dzięki grobowcowi, niż biografii i wielkim czynom, najczęściej skupiał uwagę zachodnich badaczy i pisarzy. Wśród jego wizerunków najbardziej zadziwia wizerunek mistyka-pacyfisty. Być może był mistykiem, jednak pojęcie pacyfizmu nie tylko nie przystaje do rzeczywistości XIV w. p.n.e., ale jest po prostu fałszywe. Monoteista, a w dodatku quasi-"chrześcijanin". Zygmunt Freud, rzadko interesujący się teorią, twierdził nawet, że Mojżesz, egipski "książe", z kraju nad Nilem zaczerpnął ideę

monoteizmu i przekazał ją narodowi żydowskiemu. Przekonamy się, że hipoteza ta nie ma żadnych podstaw historycznych i jest czystym wytworem fantazji.

Postać faraona o niezwykłej twarzy, jego prorocze zdolności, uroda jego małżonki i rzekome związki z Mojżeszem, wszystko to postrzegane na tle kultury Egiptu, której przecież zawdzięczamy tak wiele, skłoniło pewne umysły, wcale zresztą nie drugorzędne do stworzenia mitycznej teorii. Skłonni wyswobodzić się spod ciężaru faktów i wzlecieć w krainę spekulacji, intelektualiści zachwycali się Atonem, który mógłby być, używając skrótów myślowego, duchowym ojcem Jehowy. Zachwycali się też pieśnią miłości i uwielbienia, jaką o brzasku wznosił na cześć "nowego" bóstwa Echnaton:

"Twe promienie! Każdy z nich muska... Wypełniasz Oba Państwa swą miłością, ludzie żyją, bo ty wznosisz się dla nich... Sprawiliś, że niebo odpłynęło wysoko, byś mógł wędrując po nim podziwiać cud twego stworzenia, tyś Jedyny, lecz w tobie trwają miliony istnień...". czytamy w hymnie do tarczy słonecznej, Atona, którego promienie artyści królestwa przedstawiali zakończone małymi dłońmi. Widzimy więc, że Echnaton zastąpił panteon egipski bogiem najwyższym, Atonem. Rewolucja ta zasługuje na naszą szczególną uwagę, ponieważ stworzenie jedyne boga jest logicznym przygotowaniem gruntu dla jego jedyne wroga. Wydawałoby się, że mamy szansę odnaleźć naszego diabła już czternaście wieków p.n.e., na osiem stuleci przed jego oficjalnymi narodzinami w Iranie!

Prawda jest jednak nieco inna.

Szybko możemy rozprawić się z mitem o "pacyfizmie", ponieważ na to nowożytne pojęcie nie ma miejsca w systemie wartości starożytnego Egiptu: Echnaton był władcą autorytarnym, a kampanie wojenne trwały za jego panowania tak samo, jak za czasów jego poprzedników. "Odkryte niedawno płaskorzeźby z Karnaku przedstawiają małe, dobroczynne dłonie podające bułat i maczugę królowi, który zabija wroga ojczyzny", pisze Traunecker'.

Teraz zajmijmy się rewolucją, jaka dokonała się w religii. Jej przebieg był znacznie bardziej skomplikowany, niż na to wskazują przytoczone uogólnienia. Już za panowania wielkiego Amenhotepa III pojawiła się najpierw idea rozszerzenia kultu boga-Słońca Ra lub Re, a następnie unifikacji i uproszczenia istniejącego panteonu. "Amon Tebański, Horus w Horyzoncie, Chnum Elefantyński, Atum z Heliopolis z czasów Nowego Państwa utożsamiani są z Re", piszą na przykład Erman i Ranke, dodając: "Rozwój tej tendencji mógłby doprowadzić, jak wskazuje logika, do stopniowego zniesienia politeizmu, i rzeczywiście, podjęto takie próby. Zdarzyło się na przykład, że w hymnie do Słońca (wcześniejszym od skomponowanego przez Echnatona), złożona boska istota Amon-Re-Harachtes-Atum jest uważane za jedyne boga"2. A zatem Amenhotep IV wcale nie wykazał "proroczej intuicji".

Przyjrzyjmy się teraz bliżej owemu dążeniu do monoteizmu, które, jak już wiemy, pojawiło się, nim nasz monarcha zasiadł na tronie. Tendencje te były bardzo stare; jak piszą Erman i Ranke "w bardzo dawnych czasach kult Ozyrysa, zapoczątkowany zapewne w Dzedu w Delcie *, ogarnął cały Egipt i sprawił, że zaczęto z nim utożsamiać inne bóstwa, jak Ptah i Sokaris z Memfis czy Chenti-Imenty z Abydos"3. Ta tendencja unifikacyjna jest ściśle związana z budową jednolitego państwa egipskiego: "W miarę jak egipscy chłopcy ze wszystkich nomów (prowincji) uświadamiali sobie, że przynależą do jednego ludu, w miarę jak rozwijały się kontakty między poszczególnymi częściami rozległego kraju, także kult bogów musiał zostać ujednoczony"4.

Oznacza to, że unifikacja (i przemiany religii, które jej towarzyszą), opiera się na świadomości narodowej, która w dodatku jest poddana wpływom polityki. Jeżeli tendencja do ujednoczenia

Egipt stał się potężny i bogaty. Został też scentralizowany. XVIII dynastia zniosła lokalne władztwa, które istniały za czasów Średniego Państwa, a uczyniła to stosując odwieczny scenariusz, przyjęty znacznie później także przez kardynała Richelieu. Za panowania późniejszych władców tej dynastii, Tutmosis II, a potem III (który z wyprawy nad Orontes powrócił z siedmioma wziętymi do niewoli królami), Amenhotepa II, Tutmosisa IV i Amenhotepa III Egipt rozciągał blask i był potęgą, która nie miała sobie równych w świecie starożytnym. Ze wszystkich stron znanego świata napływały dary, wspomagając pośrednio prace, których efekty możemy podziwiać do dziś - budowę

świątyni w Luksorze i Tebach, wspaniałą rozwój Karnaku.

Możemy więc stwierdzić, że wszyscy faraonowie XVIII dynastii, choć każdy na swój sposób, byli nie tylko królami-bogami, ponieważ boskość była nierozłącznie związana z władzą królewską, lecz także królami-Słońcami. Religia, rzecz jasna - religia państwowa, musiała w tej sytuacji przydawać im boskości kosztem blasku konkurujących z nimi bóstw, choć, jak się przekonamy, ostatecznie go nie zgasiła. Tendencja do ujednolicenia panteonu rozwijała się zgodnie z przewidywaniami, zmierzając do utożsamiania innych bogów z władczym Re.

Amenhotep IV, nasz Echnaton, przejął więc imponujące dziedzictwo, choć raczej nie dziedzictwo genetyczne, ponieważ jego kobiece biodra i nienormalnie wydłużona twarz znane nam z wizerunków świadczą o anomaliach chromosomowych. Istnieją przypuszczenia⁵, że ten fanatyk⁶ był kapłanem Re-Hor-Achte (Horusa na horyzoncie) w Heliopolis. Zamiast jednak poświęcić się tradycyjnemu kultowi tego bóstwa, powrócił do jednej z archaicznych form jego imienia, Aton, oznaczającej nie samo bóstwo, ale tarczę słoneczną. Jak piszą Erman i Ranke, termin ten "nie był zwyczajowo uświęconą formą języka religii".

Wbrew powszechnemu przekonaniu Echnaton nie dokonał zatem tego, co dziś nazwalibyśmy przeistoczeniem bóstwa solar-nego Re, ale - przeciwnie - cofnął się ku bałwochwalczemu kultowi samej tarczy słonecznej. "Jest zatem oczywiste, że nowy nurt był bezpośrednio związany z dawną teologią solarną", czytamy w Encyclopaedia Britannica. Reakcja Echnatona miała więc dawne i tradycyjne inspiracje. Nie narzucał bowiem symbolu transcendentnego bóstwa z panteonu egipskiego, symbolu, który wskazałby monoteistyczny kierunek rozwoju religii egipskiej, lecz, przeciwnie, wyłączną adorację słońca w jego materialnej postaci⁷.

W tym dziwnym zabiegu upatrywano pewnej odmiany monoteizmu dlatego, że Echnaton uczynił z tarczy słonecznej "Boga, poza którym nie ma żadnych innych". Byłaby to zatem na pozór rewolucja typu monoteistycznego, zmierzająca jednak do obalenia całej złożonej symboliki egipskiego panteonu, wówczas, gdy religia koncentruje się już na kulcie jednego transcendentnego bóstwa, interpretowanego jednak na wiele sposobów. Tymczasem dokonano radykalnego zubożenia istniejącej symboliki. Echnaton nie wprowadził bowiem boga przyjmującego postać słońca, lecz nakazywał czcić samo Słońce i tylko Słońce. Bóstwo, które niegdyś ogarniało świat, narodziny, śmierć, sferę ducha, seksu, wegetacji, niebo, gwiazdy, księżyc, stało się teraz wyłącznie gwiazdą dnia. Innymi słowy, tradycyjnej religii Echnaton brutalnie przeciwstawił formę ograniczonego bałwochwalstwa.

Inicjatywa ta była tym bardziej chybiona, że politeizm religii egipskiej umacniał władzę królewską, a polimorficzna natura świata była dla Egipcjan tylko materializacją jedynej prawdy. Dlatego też potęga faraona rozciągała się na wszelkie dziedziny życia i nakładała się na rzeczywistość boską. Za sprawą Echnatona faraon stał się tylko bogiem-Słońcem i ta niezmiennosc wykluczała go ze sfery boskości i cudów życia. To bardzo istotne spostrzeżenie, ponieważ różni egipscy bogowie byli tylko przejawem, czy wręcz metaforą, boskością nieuchwytną i niepoznawalną, która właśnie dlatego była wszechobecna. "Na przykład mit o Ozyrysie", pisze Traunecker⁸, "bogu, który umiera i odradza się dzięki troskliwym boginiom Izis i Neftydzie, jest swoistym wyrazem wszystkich zjawisk cyklicznych, od wegetacji i wylewów Nilu po życie i śmierć".

Czy oznacza to, że politeizm był sztuczny i przypadkowy, a Echnaton po prostu nieco brutalnie, ale celowo, zdemaskował mitologiczną i liturgiczną maskaradę? Tego typu bezpodstawne uproszczenia obrażają filozoficzną inteligencję Egipcjan. Raz jeszcze przytoczmy słowa Trauneckera: "Różne mogą być źródła, z których wyłoni się ta sama siła"⁹. Tkwiąc pomiędzy niemożnością zrozumienia pełni boskości a koniecznością składania jej hołdu, Egipcjanin czcił ten przejaw boskości, który był w stanie postrzegać, obawiać się go i wielbić zarazem. Dlatego otaczał kultem Chonsu, tego, który odchodzi i wraca, bóstwo lunarne,

Upuauta, boga szakala - "zwiadowcę", tego, który toruje drogę boginiom - Iwicom Pachet i Sachmet, Atuma, boga królestwa, Amona ukrytego, Homsa dalekiego, Hathor, ukochaną Horsa, Thota, boga pisma i myśli...

Egipt powstał z Nilu, a Nil jest dzieckiem Afryki. Tamtejsze wierzenia i cała cywilizacja

wyrosty zatem z afrykańskiej gleby. Jak w całej Afryce, i tam wrażliwość na to, co boskie, jest naturalna. Boskość stanowi nieodłączny składnik życia, zaś każda forma życia jest przejawem boskości. Egipskie słowo neter oznacza zarazem boga i odnowę¹⁰. Boskość jest tym, co wiecznie się odradza, i o tym musi pamiętać każdy, kto chce zrozumieć starożytny Egipt. Dlatego właśnie kapłani i lud wznosili ołtarze i oddawali bogom cześć.

Zapewne taki obraz egipskiej religii byłby zbyt trudny do zaakceptowania dla dawnych europejskich egiptologów, uzależnionych od przekonania, że prawdziwa religia to religia objawiona. Nic dziwnego, że długo jeszcze toczyły się dyskusje nad genealogią tych bogów. Czy byli totemami, fetyszami, a może pełnymi, kompletnymi bogami? Dziś są to już kwestie przebrzmiałe. Przyznajemy za Morenzem¹¹, że istotne pojęcie boga (które należałoby zdefiniować) pojawia się dopiero wówczas, gdy jednostka, niczym dziecko, które zaczyna wyodrębniać się ze swego środowiska, zyskuje świadomość własnej tożsamości. Wydaje mi się, że w tych rozważaniach zaniedbano rolę pisma, ponieważ każde pojęcie, które można zapisać, i które w ten sposób zostaje utrwalone, z czasem zyskuje na znaczeniu i mocy. Egipcjanie znali pismo. Zapewne dlatego mogli przeobrazić totemy i fetysze w bogów, zanim religie monoteistyczne przemieniły kilka z nich w demony, a potem - w diabła. Wydaje się, że w Egipcie bóstwa pojawiły się w okresie tynickim, czyli około roku 3150 p.n.e. Już wówczas wyróżniano bóstwa z głowami zwierząt - sokoła, poprzednika Horusa, krowy, zapowiadającej Hathor oraz słonia, który później zniknął z egipskiego panteonu. Są świadectwem owego "przejścia od natury do kultury", o którym pisze Levi-Strauss.

Nie pozbawiając bogów cech indywidualnych i stałych, na ogół uwidocznionych poprzez przydanie im głów zwierzęcych, Egipcjanin określał zakres, w jakim mogli się zmieniać, dlatego to samo bóstwo mogło być męskie lub żeńskie i często zmieniało rolę. Amon mógł być ojcem, ale też matką, "bogini Neith, stwórczym świata, mężczyzną postępującym jak kobieta i kobietą zachowującą się jak mężczyzna"¹² (biseksualizm jest tylko wyrazem androgynii przedwiecznego). Sobek, bóg-krokodyl i władca zwierząt wodnych, mógł przeobrazić się w Sobka-Re, odpowiedzialnego za wędrówkę Słońca po niebie.

W tym znaczeniu politeizm stanowił lekcję ludzkiej pokory. Człowiek, który wyznawał, że nie można poznać głębokiej natury bogów, musiał okazać pokorę. Dlatego rewolucja Echnatona była w rzeczywistości inwolucją, ponieważ jej twórca w porywie pychy utrzymywał, iż potrafi wreszcie rozszyfrować, czym jest boskość. Nie była to pycha wyłącznie intelektualna, ale również osobista, dynastyczna, ponieważ obdarzony boską naturą faraon utożsamiał się z bogiem-Słońcem.

Możemy założyć, że Echnaton zamierzał w ten sposób położyć kres napięciu, na które zwraca uwagę Eliade, napięciu pomiędzy dwoistym rodowodem faraona: zgodnie z teologią solarną był on synem boga Re, ponieważ jednak przejmował dziedzictwo po zmarłym władcy, reprezentowanym przez Ozyrysa, był także Horusem. Echnaton wcielił się natomiast wyłącznie w Słońce. Jest to nieco zastanawiające, gdyż w ideologii królewskiej teologia solarną Starego i Średniego Państwa została stopniowo zdominowana, jeżeli nie wyparta, przez motyw pokrewieństwa z Ozyrysem, z drugiej zaś strony faraon zawsze był tylko synem boga Re, nigdy - samym Re, z definicji - niepoznawalnym. Jak zatem zrodził się zamysł herezji Echnatona? Wydaje się, że jak twierdzą Veraus i Yoyotte¹³, uległ on wpływom myślicieli z Heliopolis, którzy "upatrywali wcielenie stwórcy wyłącznie w owej niebiańskiej tarczy". Zaczerpnięcie przez Mojżesza idei monoteistycznych z Egiptu to hipoteza zaspokajająca potrzeby badaczy skłonnych do ryzyka i spekulacji myślowych¹⁴. Żydzi mieli przecież inne źródła inspiracji, przede wszystkim Mezopotamię, z której wzięli zamysł Dekalogu, a także monoteistyczny Iran, skąd później, od mazdaistów, przejęli ideę diabła.

Byłoby zatem nadużyciem i literacką fantazją w ujemnym tego słowa znaczeniu, nadal uznawać Echnatona za "twórcę" monoteizmu, a w każdym razie prekursora monoteizmu judajskiego, który dał początek obu pozostałym. Zacytujmy Vernusa i Yoyotte¹⁵: "Pewne opowieści uczyniły zeń oswobodziciela walczącego z obskurantyzmem i bałwochwalstwem, pacyfistę dążącego do realizacji idei ekumenicznej, ludowego antyklerykała, przezwytyczającego ucisk Amona i jego czcicieli, ale wszystkie te wizerunki okazały się fałszywe w świetle źródeł lub po prostu anachroniczne"¹⁶. Echnaton nie

wymyślił "boga", tym bardziej więc nie mógł wymyślić naszego diabła.

Teraz jednak spróbujemy przekonać się, czy diabeł - w postaci pełnej lub szczątkowej, istniał w religii egipskiej. W związku z tym musimy zdefiniować pojęcie tak płynne jak "religia egipska", której nie powinno się uważać za jednolity i stabilny zespół wierzeń. Ta religia bowiem przetrwała co najmniej trzy tysiące lat, przechodząc transformacje tym liczniejsze, że nie opierała się na dogmatach, była tylko zbiorem interpretacji.

Długo uczono nas, że Egipt miał dwóch głównych bogów - Horusa, władcę Górnego Państwa, i Seta, pana kraju Dolnego oraz że obaj byli synami Ozyrysa i Izis, lecz pokłócili się o władzę. Set zgładził swojego boskiego ojca, by zagarnąć schedę Horusa. Ten jednak wyzwał brata na pojedynek, pokonał go i objął rządy w obu, nareszcie zjednoczonych państwach. W micie ukazującym legalne przejęcie władzy królewskiej, Horus jest dobrym, a Set złym synem. Zresztą w wielu innych mitach Set występuje w roli "czarnego" charakteru. Mógłby zatem być przodkiem geniusza zła.

Ale rzeczywistość raz jeszcze okazuje się bardziej złożona. ponieważ dokładna analiza mitu Horusa zajęłaby grubą księgę, zwróćmy tylko uwagę na dwa fakty. Po pierwsze, kult Horusa, boga nieba, zrodził się w Delcie, w okresie prehistorycznym, następnie zaś ogarnął cały Egipt. Tymczasem niesłusznie uznano, że oddawano mu cześć w Górnym Egipcie, ponieważ w miejscu, gdzie dziś znajduje się Nechen * odnaleziono ruiny Hierakopolis, "miasta sokoła", poświęconego temu bogu. Miasto to było stolicą Górnego Egiptu, Set natomiast był bogiem Górnego Państwa, władcą miasta Ombos. Obaj bogowie panowali zatem zgodnie i byli uważani za obrońców króla. Przed objęciem władzy przez V dynastię, aby uzasadnić to współistnienie, każdemu z nich przyznano część Egiptu, przy tej okazji jednak pomyłono ich pochodzenie i Dolny Egipt przypadł Setowi, Górny zaś Horusowi.

Spór pomiędzy bogami zaistniał późno, po tym, jak u schyłku V dynastii, czyli około 2245 r. p.n.e., zmarły król wcielił się w Ozyrysa, a następca tronu, żyjący król - w Horusa. Dopiero wtedy Horus został synem Ozyrysa i Izidy. Wtedy też Set stał się rywalem i wrogiem Horusa, ponieważ nie mógł dzielić z nim królestwa¹⁷. Tak właśnie zrodził się późny mit o zabiciu Ozyrysa przez jego syna Seta.

Innymi słowy pozorny konflikt pomiędzy dobrem i złem, Horusem i Setem, był religijnym odzwierciedleniem problemów dynastycznych. Zwróćmy uwagę, że w religii egipskiej nie było

Jednak religia egipska stanowiła system interpretacji kosmosu, a także dostarczała wzorów postępowania człowieka starającego się poprzez rytuały chronić dzieło stworzenia. Od zarania do schyłku państwa egipskiego, aż do czasu rzymskiej okupacji, mity podlegały nieustannym transformacjom, przejmując często wątki z innych kultur i w zamian wzbogacając panteony obcych ludów. Na przykład Set został zapożyczony przez Asyryjczyków, którzy dostrzegali jego podobieństwo do rodzimego Baala. Wymownym świadectwem tych procesów jest mit o Horusie i Ozyrysie, w którym zmieniały się nawet imiona. Horus stał się Har-machisem (po grecku) i Har-em-achetem (po egipsku), to znaczy Horusem w Horyzoncie, Harpokratesem lub Harpechradem, Horu-sem-dzieckiem, Haroerisem lub Har-werem, Morusem Starym, Har-somtusem lub Har-Sem-Towem, Horusem jednoczącym Oba Państwa, Harendotesem lub Harend-yotefem, Horusem, opiekunem ojca. Jakby nie dość było tych przemian, Grecy utożsamiali ostatnie jego wcielenie z Apollinem, zaś wizerunek egipskiego boga Setecha zabijającego Krokodyla zainspirował chrześcijan, którzy przeobrazili go w świętego Jerzego zabijającego smoka. Dopiero niedawno Watykan potępił tę legendę, gdyż okazało się, że ów święty Jerzy nigdy nie istniał...

Podobnie rzecz się miała z Ozyrysem, bohaterem niezliczonych mitów, o którym Traunecker pisze: "Trudno mówić o jednym, zapisanym i uporządkowanym micie Ozyrysa. Zależnie od potrzeb, teksty czerpią z całej serii sekwencji powiązanych z głównymi wątkami mitu - królewskością Ozyrysa, jego nagłą śmiercią, żałobą, zachowaniem ciała, dziedzicem, zmartwychwstaniem, procesem, zemstą, itd."

Ta zmienność nie jest, jak skłonny byłby sądzić współczesny europejski Czytelnik, świadectwem braku spójności, lecz odzwierciedleniem egipskiego przekonania, że nie można dotrzeć do prawdy o bóstwie. Jest też odbiciem uwarunkowań politycznych i ekonomicznych religii. Świątynie były jednostkami gospodarczymi, posiadającymi na ogół

rozległe posiadłości, zatrudniającymi dużą grupę ludzi - od należących do hierarchii kapłanów, po nadzorców, administratorów i robotników. Dlatego świątynie miały znaczący wpływ na gospodarkę kraju. Każda prowincja i każdy wyższy kapłan mógł swobodnie faworyzować jedno z bóstw i na własny sposób interpretować święte teksty. Religia egipska nie miała zatem centralnego ośrodka kultu, ani też odpowiedników papieża czy imama.

Poza tym wpływy Chaosu nigdy nie dosięgły etyki. Zło i dobro mogły istnieć wyłącznie w życiu doczesnym, zaś Chaos lub "zło" miały ograniczony zasięg, ponieważ konieczność zachowania równowagi spychała je w wytyczone ramy i były godne respektu, bo reprezentowały moce starsze niż akt stworzenia. Tak czy inaczej, aż po okres Nowego Państwa w Egipcie nie istniał żaden system etyczny poza tym, który narzucała potrzeba utrzymania równowagi społecznej bez użycia przemocy. Dopiero w okresie Nowego Państwa została ustalona relacja pomiędzy moralnością i religią, głosząc, że bojaźń boża winna umacniać w wiernych cnoty.

Istota ludzka nie znając dobra i zła, może przyjąć wyłącznie istnienie stworzonego i niestworzonego, ale nie może zgłębić ich istoty. A zatem nie może ich nazwać. Dlatego właśnie aż do okupacji rzymskiej panteon egipski zachował swoistą polisemię, to znaczy zmienność znaczeń, która oddaje dominujące uczucie niemożności uchwycenia istoty bóstwa, a także przeświadczenie o względności zdarzeń i działań. Jednak wróg królestwa, siewca niepokoju, uosobienie agresji, Set zachował rangę boga i ewentualną przydatność. Dowodem tego jest mit, który opowiada o tym, jak wąż Apopi wyłonił się z pierwotnego chaosu i czynił zło, ściągając na ludzi głód, powodzie, chmary szarańczy. Kiedy zaś boska łódź za sprawą Apopi wpadła na mieliznę, Re wystąpił właśnie Seta, by poskromić potwora i przywrócić właściwy porządek rzeczy. I tak "zły" stał się dobrym.

Może należałoby poszukać diabła gdzie indziej. Może był nim właśnie wąż Apopi, który zbuntował się, podobnie jak szatan... Jednak Apopi, podobnie jak inne bóstwa reprezentuje siły destrukcji, nie był wcieleniem zła. Wyłonił się z pierwotnego Chaosu, ze zła metafizycznego, a zatem był efektem konfliktu pomiędzy stworzonym i niestworzonym. I niech nas nie zmyli jego postać, bo Egipcjanie łączą węża (którego najczęściej widują wysuwającego się z podziemnej nory), z bóstwami chtonicznymi i z mocami powodującymi wzrastanie. Wąż jest pierwszym i ostatnim wizerunkiem boga-stwórcy Atuma²⁰. W Księdze Umarłych bóg Men, utożsamiany niekiedy z Horusem, syn i mściciel Ozyrysa, ma na czole "diadem z dwóch piór lub dwóch węży, dwóch ogromnych węży, które wysuwają się przed oblicze boga Atuma"

Węże, zbuntowane potęgi i wysłannicy Chaosu, nie są mimo to złowrogie, reprezentują bowiem moce twórcze, których nigdy nie wolno zniszczyć, gdyż mogą okazać się przydatne. Podobnie jest z Nun²², nieruchomą i groźną cieczą, która otacza świat stworzony, i jest źródłem wszelkiego życia, a która jednak może okazać się niszczycielska. Tak dzieje się na przykład podczas gwałtownych ulew lub gdy nagle wzbierają wody rzek. A gdy wśród ludzi wybucha bunt, Pan Wszystkiego ogłasza, że "ten kraj znajdzie się we władaniu Nun". Wąż, nawet kiedy używa swej postaci potworowi imieniem Apopi, nie jest symbolem zła. Obok krogulca i skarabeusza jest trzecim świętym zwierciem boga-słońca Re. Jeszcze jaskrawszym przykładem jest kobra, widoczna na białej koronie Górnego Egiptu. Również panteon nie świadczy o nieufności Egipcjan wobec innych niebezpiecznych zwierząt. Przecież bogini Selkis, obrończyni ciała Ozyrysa, ma głowę skorpiona, Sobek, bóg lęku i płodności zarazem, głowę krokodyla, Ermutis, bogini żniw, także głowę węży, podobnie jak Meresger, inna postać samej Izidy.

Czy oznacza to, że Egipcjanie nie znali demonów? Przeciwnie, mieli ich całe kohorty. Podobnie jak w wierzeniach ludów Pacyfiku i wielu innych, drugorzędne demony obarczano odpowiedzialnością za chorobę i nieszczęście. Były równie odrażające, jak ich monoteistyczni kuzyni. Jest wśród nich ten o odpychającej twarzy i ten, który żywi się robactwem, a także ten, który pozera własne odchody. "Stają się wyjątkowo złośliwe w okresach przejściowych, takich jak pięć dni epagomenu, oraz w czasie, gdy zmarły podąża do krainy Duat". Wędrując w grupach siedmioosobowych lub liczących kilka razy po siedem osób szerzą groźną gorączkę; ta idea jest znacznie bardziej rozpowszechniona, a także bardziej "nowoczesna" niż mogłoby się wydawać, ponieważ nawet za czasów Pasteura, w połowie XIX wieku, istniała szkoła lekarska, która przyczyn

epidemii i chorób doszukiwała się w "miaz-matach". Już sam termin jest niezwykle trudny do wyjaśnienia w kategoriach naukowych.

Demony, nazywane duchami achu, "zamieszkiwały na obrzeżach zorganizowanego świata"²³ - w ciemnościach, miejscach odosobnionych, w wodzie. Pod tym względem można by bez wahania uznać je za przodków naszego diabła, który zawładnął tymi samymi obszarami. Wywarły prawdopodobnie wpływ na wierzenia

Żydów, a za pośrednictwem judaizmu przeniknęły do pozostałych wielkich religii monoteistycznych. Chociaż możliwości symboliczne "sług Chaosu" są bardzo ograniczone, byli wśród nich bogowie i boginie. Jest pośród nich czterdzieści bóstw o lwich głowach, jak Sachmet, a także Nefenum, syn Sachmet i Ptaha.

W egipskiej kosmogonii akt stworzenia jest krótką chwilą w łonie Chaosu i nie zawiera sam w sobie pierwiastka dobra ani zła, etyka bowiem pozostaje sprawą społeczności ludzkiej, to znaczy - problemem ziemskim. Fundamentalne zakazy społeczności egipskiej dążą nie do narzucenia metafizycznego pierwiastka dobra, w bliskim nam znaczeniu, lecz do zapewnienia ciągłości kreacji, zabezpieczenia źródła życia. Pierwotna nieczystość w Egipcie nie istnieje, a rytuał oczyszczenia towarzyszy wyłącznie obrzędowi pogrzebowemu, poza tym zaś zarezerwowany jest dla posągów bóstw.

Egipcjanin jest przekonany, że wszystko na tym świecie, nie wyłączając bogów, przemija. "Śmierć boga, jakkolwiek byłby potężny, jest motywem często pojawiającym się w tekstach religijnych", pisze na początku naszego stulecia egiptolog Moret:

Księga wiedzy o tym, co jest w Hadesie przedstawia grobowce Ra, Tumu i Chepri, bogów świata żywych, a także Ozyrysa-Sokarisa, boga zmarłych. Autor Izidy i Ozyrysa* także wspomina o tej tradycji: "Egipcjacy kapłani powiadają nie tylko o tym bogu (Ozyrysie), ale o wszystkich bogach w ogóle (a nie są oni ani wieczni, ani nieprzekupni), że ich pogrzebane ciała leżą pośród ludzi, otoczone czcią, a dusze są w niebie, pośród świetlistych gwiazd"²⁴. Bogowie żyją wyłącznie dzięki kultowi, jakim otaczają ich śmiertelnicy, a gdy król lub kapłani zaniedbają służbę bożą, marnieją, powoli giną, aż wreszcie obracają się w proch²⁵. Można by właściwie powiedzieć, że boskość w każdej postaci jest

Egipcjanin wie, że kiedyś nastąpi koniec świata, znikną gwiazdy, zakończy się proces stworzenia. Podkreślmy, że iluzją jest pogląd, jakoby Egipcjanin nie znał czasu dokonanego, przez co byłby nam po dwakroć obcy, a jego wiara mogłaby interesować nas tylko z historycznego punktu widzenia. Pogląd ten jest błędny, bo przecież religia starożytnego Egiptu ma swą eschatologię, wizję końca dziejów, a stworzyła ją zapewne wcześniej niż inne religie, zapewne w tym samym czasie, gdy dokonały tego religie starożytnego Iranu i całej Azji. Nawet jeśli pojęcie to nie było zbyt wyraźne, jednak istniało, i Grecy właśnie od Egipcjan przejęli ideę kresu dziejów, po którym nastąpi Złoty Wiek, czas nowego stabilnego świata. Ta myśl uwidoczniła się w tekstach Marynarza-rozbitka i Rozmowy Atuma z Ozyrysem²⁶. My ideę kresu dziejów przejęliśmy z kolei od Greków.

Chętnie uwierzylibyśmy, że mądry i pogodny Egipcjanin żył z dala od trosk i cierpienia, chroniony przez wiarę w niezliczone, uśmiechnięte bóstwa. Popełnilibyśmy wówczas kolejny błąd. W mitologii egipskiej raz po raz leją się łzy. Płacze Izis, która odnajduje swego brata Ozyrysa zdradziecko zamordowanego przez Seta. Zazdrosny o sławę otaczającą Ozyrysa jego brat, Set, w pewien świąteczny wieczór przyniósł do pałacu przepięknie zdobiony sarkofag i obiecał podarować go temu, na kogo będzie najlepiej pasował. Naiwny Ozyrys przyjął wyzwanie i położył się w nim, a wówczas siedemdziesięciu dwóch współników Seta rzuciło się na pokrywę i zabiło ją gwoździami. Następnie polali sarkofag roztopionym ołowiem i cisnęli do rzeki, która uniosła go ku morzu. Wówczas Izis, która po tym wydarzeniu wylewała gorzkie łzy i na znak żalu obcięta sobie włosy, ruszyła na poszukiwanie ciała, które fale wyrzuciły na brzeg w Byblos w Fenicji. Wyrosło nad nim cudowne drzewo, które je ochraniało. Gdy Izis odnalazła drzewo i sarkofag, wniosła trumnę na łódź i wypłynęła w morze. Tam otworzyła wieko, przytuliła policzek do twarzy brata, ucałowała go i zapłakała²⁷.

Odwieczne łzy i szloch, którego echa wciąż jeszcze rozbrzmiewają, by przypominać, że Egipt, zbudowany z granitu i słońca, był podatny na cierpienie, na ból i lęk, że nie był tylko krainą sal kolumnowych, gigantycznych kamiennych budowli i Sfinksa. Niechaj

uśmiechnięte oblicza posągów nie przysłonią udręki. śmiertelników, o której więcej mówią nam papirusy. Egipcjanie również bali się śmierci. Ale ich śmierć nie była mrocznym i ponurym aktem, którego obraz pozostawiło nam w spadku średniowiecze. Egipcjaninowi nie ciążyą owe wyobrażenia trupów pożeranych przez demony, ani powstających w dniu Sądu Ostatecznego, rozkładających się, z kawałkami ciała zwisającymi ze szkieletów. Śmierć to ostrożne, ale majestatyczne wejście do królestwa bogów. Rozkład ciała jest faktem znanym, ale może i powinien zostać zażegnany dzięki lasce bogów. Jednym z licznych na to dowodów jest fragment Hymnu do Ozyrysa z Ksifgi Umarłych, znany jako Rozdział o ciele, które nie może ulec zniszczeniu:

"Chwała ci, o mój boski Ojczy, chwała ci, Ozyrysie! Przybyłem do ciebie, byś mógł zabalsamować me członki, albowiem nie chcę zgnić i zniknąć, lecz pragnę być jak mój boski ojciec Chepri, którego ciało nigdy nie zazna rozkładu. Przyjdź zatem i spraw, bym zyskał władzę nad oddechem, panie wiatrów, który przydajesz blasku tobie podobnym istotom boskim. Umocnij mnie zatem, uczyni mnie silnym, panie mego grobowca. Pozwól mi wejść do krainy Wieczności, jak pozwolono wejść tam tobie i twemu ojcu Tenu, ty, którego ciało nie wie, czym jest rozkład... Kiedy ujrzy mnie robactwo, kiedy mnie rozpozna, spraw, by padło na ziemię, przejęte głębokim strachem przede mną, a po mej śmierci uczyni to samo dla każdego stworzenia - dla zwierzęcia, ptaka, ryby, a nawet robaka, który pełza. I spraw, by życie zrodziło się ze śmierci"28.

Wspaniały, subtelny tekst dowodzi, że Egipcjanom lęk nie był obcy, ale ufając bogom, umieli zamienić go w nadzieję29.

Wyobrazenie diabła wiecznego, który dręczy dusze i ciała potępionych na Sądzie Ostatecznym było nieznanne, i nie mogłoby zostać zaakceptowane przez Egipcjanina. Wizja zbawienia jest mu równie obca jak wizja potępienia. Przesiąknięta idea nieuniknionej śmierci i ostatecznego powrotu do pierwotnego Chaosu religia egipska nie odzwierciedla stosunków panujących w społeczności ludzkiej. Jest niczym bóg Szu, przestrzeń, który unosi łódź bogini Nut, sklepienie niebieskie. Ponieważ Szu również umrze, kiedyś niebo runie. Religia bez dogmatów, ten zbiór mitów i rytuałów, nie ocenia z punktu widzenia etyki ani ludzkich uczynków, ani ludzkiej natury, ani też natury jako takiej. Wymaga tylko poszanowania bogów i ich ziemskich przedstawicieli - faraonów. Obok greckiej jest to ostatnia religia, która nie dąży do utrzymania równowagi pomiędzy istotą ludzką oraz Światem i antagonistycznymi mocami. Dlatego też nie mogła wydać na świat diabła.

Kultura, która pozwalała umierać nawet bogom, nie mogła pogodzić się z ideą wiecznego potępienia.

* Późniejsze Busiris, czyli dom Ozyrysa, stolica IX nomu w Delcie (eg. Per usir). panteonu pojawiła się za panowania XVIII dynastii, stało się tak dlatego, że ta właśnie dynastia szczególnie przyczyniła się do powstania potęgi Egiptu. Jej założyciel, Ahmosis I, rozgromił Hyksosów na północny wschód od Deltę, zdobywając najpierw ich fortecę w Awaris, a następnie ścigając ich aż do Palestyny, gdzie po trzyletnim oblężeniu zajął kolejną ich twierdzę - Szaru-hen. Ten sam władca rozprawił się następnie ze swymi przeciwnikami w Nubii i Libii, i rozszerzył granice Egiptu, przede wszystkim na południu, gdzie sięgnęły one 3. katarakty. Nubię i Dolny Sudan podporządkował władzy wicekróla, która sięgała poza 4. kataraktę. W ten sposób zjednoczenie doliny Nilu stało się faktem, ponieważ rzeka prawie na całej swej długości znalazła się na terytorium państwa faraonów. Co więcej, następca Ah-mosisa, Tutmosis I, powiększył imperium, docierając aż nad Eufkrat. Zmarł, czyniwszy dla swego kraju naprawdę dużo i jako pierwszy został pochowany w Dolinie Królów.

* Tak brzmi egipska nazwa miasta, które Grecy nazywali Hierakopolis. dobra ani zła w ich chrześcijańskim rozumieniu. Użycie tych terminów jest nieuprawnione, ponieważ "zło", które jest siłą niszczycielską, narodziło się, gdy Chaos wtargnął w dzieło stworzenia, uznawane jako całość za "dobro". Tymczasem "zło" ukazane przez religię po wygaśnięciu V dynastii było wrogiem króla-polityka. Ten sam schemat odnajdziemy w religiach wszystkich monarchii. Oznacza to również, że "zło" jako przejaw pierwotnego Chaosu, który zagraża stworzeniu, pełni pośrednio funkcje polityczne.

* Plutarch. wytworem stworzenia i woli człowieczej. Skoro nie ma boskiej wieczności, nie ma też ani abolutnego dobra, ani abolutnego zła. Ziemskie dobro i zło są

odzwierciedleniem walki pomiędzy Chaosem i kosmosem, w której sędzią jest król. Występki ludzkie, karane przez władzę doczesną, mogłyby zrobić wyłom, w który wcisnąłby się Chaos. Ale zanim nadejdzie jego Koniec, świat wciąż odnawia się i odradza cyklicznie. Co wieczór zachodzące Słońce jest połykane przez sklepienie niebieskie, boginię Nut, co rano rozsuwa jej nogi i wychodzi z niej, by wędrować po niebie.

Afryka, kolebka ekologii religijnej

O powolnej śmierci Afryki - O kłopotach z teorią animizmu - O kulcie życia w religiach afrykańskich - O ambiwalencji afrykańskich bogów

- O niemożności włączenia diabła do panteonów Czarnego Łądu
- O afrykańskim poczuciu jedności we wszechświecie.

Cóż jeszcze można powiedzieć o Afryce? Czy Afryka naprawdę jeszcze istnieje u schyłku tego najposępniejszego w jej dziejach stulecia, gdy tak późno uzyskana i wciąż jeszcze niepewna wolność rodzi się w południowej części kontynentu, w huku wystrzałów z broni maszynowej, trzymanej w dziecięcych rękach małych Somalijczyków, wstrząsana bratobójczymi walkami w Angoli, nękana rojeniami autokratów, którym pomogły przejąć władzę bezradne mocarstwa zachodnie, i podstępnych uzurpatorów, gotowych zaprzedać duszę diabłu i Bogu równocześnie, przeżarta niczym spróchniałe drzewo, rojąca się od agentów służb specjalnych z całego świata, udręczona sporami plemiennymi. Afryka przytłoczona przez międzynarodowe organizacje, niby to usiłujące uczyć tubylców, jak uprawiać ziemię i korzystać z dobrodziejstw informatyki, obdarowana ogromnymi lotniskami, na których siadają tylko sępy, ogłuszona zgiełkiem telewizji satelitarnych, wabiona do klimatyzowanych restauracji, w których mimo żaru lejącego się z nieba sprzedaje się czerwone wino wychudzonym Murzynom w grubych golfach? Jaka to Afryka? Ktokolwiek zapragnąłby o niej mówić, niechże wspomni przepiękną, lecz jak smutną książkę Michela Leirisa, *L'Afrique fantôme* ("Widmo Afryki"), stanowiącą poniekąd kontynuację *Podróży do Konga* André Gide'a, niech pomyśli o budzącym grozę, ale wspaniałym filmie Jeana Roucha *Les Maitres fous* ("Szaleni władcy"), który pokazuje, jak Afrykanie odprawiają egzorcyzmy nad "białym światem", naśladując "czu-czu-czu" lokomotyw, które zaprzęgli do pracy Biali, i rozbijają sobie jajka na głowach, żeby upodobnić się do oficerów angielskich wojsk kolonialnych, którzy nosili czapki z kitami.

A zatem jaka Afryka? Nie Afryka Maghrebu, tak mało afrykańska, nie Egipt, który jest już tylko świętym kwiatem doliny Nilu, niegdyś zjednoczonej w jednym królestwie, i nie Sahara, którą zawładnęły zjawy rodem z Hiszpanii i Francji. A może Ciskei, to dziwne państwo, utworzone przez białych, i nazwane tak, by uniknąć słowa "getto"?

Szukać diabła? To znaczy - uwierzyć w diabła! Bo jedyny diabeł, który grasował po tym kontynencie, był biały. To kolonista, budzący niechęć budowniczy imperiów opiewanych przez Kip-linga, to handlarz żywym hebanem i kością słoniową, bratnia dusza conradowskiego Kurtza, bohatera *Jądra ciemności*, który umierając krzyczał z przerażenia. To wyzyskiwacz, który podczas gdy jego ojczyzna-matka pogrąża się w dyskusjach nad duszą i zbawieniem, upycha czarnych niczym drewno w cuchnących lukach statków i sprzedaje za oceanem. Bo Czarni nie mają, jego zdaniem, duszy.

A przecież Vasco da Gama zdumiał się, gdy dotarłszy w XVI wieku do Malindi, bogatego wschodnioafrykańskiego miasta, przekonał się, że poziom rozwoju tamtejszej cywilizacji dorównuje cywilizacji europejskiej. Przypomnijmy tylko, że "około roku 1500 handel książką stał się w Timbuktu ważną gałęzią gospodarki" a "wędrowni kupcy opowiadali, że to miasto, w którym mieszkało wówczas czterdzieści tysięcy ludzi, pełne było uczonych i erudyków".

Jaka Afryka? Cóż z niej zostało? Książki o świecie, który umiera dzień po dniu i który jako pierwszy ponosi konsekwencje zmian klimatycznych spowodowanych przez rozwój przemysłu na północy. Właśnie teraz, kiedy poszukuję diabła w resztkach afrykańskich kultur, stu milionom mieszkańców kontynentu nękanego przez suszę zagraża głód. Powiedziałem - książki, niestety jednak, było ich za mało i za krótko trwała ich obecność na kontynencie, by Afrykanom mogły przynieść prawdziwą korzyść. Poza tym nigdy

zapewne nie dowiemy się dokładnie, jak wyglądała Afryka w X tysiącleciu p.n.e., kiedy po ostatnim zlodowaczeniu ulewne deszcze przeobraziły Saharę w zielony, pełen zwierząt ogród, w którym żyli także ludzie. Czy istniała tu jakaś cywilizacja, czy może było ich kilka? Są to pytania bez odpowiedzi. A jednak malowidła skalne odkryte w Tasili i n-Adżdżar pozwalają stwierdzić z całą pewnością, że żyli tam myśliwi, i to myśliwi, którzy mieli własną mitologię.

Dwa i pół tysiąca lat p.n.e., kiedy na wschodzie Egipt miał już II dynastię swoich tajemniczych czarnych faraonów, a na północy ludy naddunajskie zalewały Europę Zachodnią, Sahara wysychała. Żyjące na jej terytorium ludy wędrowały na południe i być może plemiona zamieszkujące dziś pustynię Kałahari są ostatnimi potomkami tych przybyszów. Jakim bogom oddawali cześć? To także zagadka. O dziejach Afryki nie wiemy prawie nic. Zabytki przeszłości, nawet te, które przetrwały, są trudne do zinterpretowania, jak świątynia odkryta przez Leo Frobeniusa w roku 1928 w Rodezji (dzisiejszym Zimbabwie). Choć została wzniesiona stosunkowo niedawno, nie tylko nie wiemy, jakim bóstwom składano w niej hołd, ale nawet - kiedy powstała. Udało się określić jej wiek z dokładnością do pięciuset lat i stwierdzić, że pochodzi z XII - XVII w. n.e.

Nasza wiedza o Afryce nowożytnej również nie jest pewna. Kiedy w roku 1177 papież Grzegorz III pisał list do legendarnego księdza Jana, nie wiedział nawet, dokąd ma go wysłać. Legenda o tym mocarzu, przyjacielu chrześcijan, zyskuje lokalizację geograficzną dopiero w XV stuleciu, kiedy ustalono, że Jan był prawdopodobnie królem Abisynii. Ponieważ chrystianizacja Afryki Wschodniej rozpoczęła się w IV wieku, a podjęli się tego dzieła wędrowni mnisi syryjscy, poczynając od Frumencjusza, pierwszego abuna, czyli biskupa Abisynii, założyciela kościoła koptyjskiego, Jan rzeczywiście mógł być chrześcijaninem. Ale królestwo aksumickie, zwane tak od stolicy - Aksum, położonej na wysokości 3000 metrów, było znacznie starsze. Księga abisyńska z Aksum zapewnia, że założono je przed wieloma tysiącami lat, na długo przed pojawieniem się chrześcijaństwa.

Kto mógł założyć to królestwo? Jego pradawność nie była lokalnym wymysłem. Na wzmianki o jego mieszkańcach, Etiopczykach, natrafiamy w dziełach Homera. Kim byli, skąd przyszli? Kilka inskrypcji sabińskich, greckich i w języku gyyz, pozwala nam zebrać okruszki dziejów Abisynii. Wiemy, że Aksum założyli w I tyś. p.n.e., a być może wcześniej, Semici, którzy przywędrowali tu z Arabii, a zatem pokonali Morze Czerwone. To oni byli pierwszymi kolonizatorami, wiemy bowiem również, że w wyniku walk z Etiopczykami, czyli "ludźmi o ciemnych obliczach", pierwszymi mieszkańcami tego regionu, zwanego wówczas Kuszem lub Funtem, zyskali nad nimi przewagę. Niezwykłe, wycięte w skałach monolity, datowane na ten sam okres, co budowle z Baalbek, pozwalają ustalić, że ludy te czciły Słońce.

I oto pytania rodzą się jedno po drugim. Jaka była religia Etiopczyków, nie wspominając już o wierzeniach sprzed najazdu Semitów? Kiedy przybyszom udało się narzucić kult Stońca, jak wreszcie ich religia łączyła się ze świeżo przyjętym chrześcijaństwem? Królestwo Aksum było potężnym państwem mniej więcej do VII wieku. Mamy - dość mgliste i ogólnikowe, co prawda, wyobrażenie o mozaice wierzeń starożytnej Etiopii, o pierwotnych religiach afrykańskich, religii semickiej, wpływach chrześcijaństwa, a także o wierzeniach greckich i rzymskich, ponieważ port Adulis, obecna Żuła, był ośrodkiem ożywionej wymiany handlowej z krajami śródziemnomorskimi². Niewiele więcej wiemy też o wpływach religii egipskiej, a potem judaizmu, nie wspominając o różnorodnych religiach Azji... Jak rozsupłać ten węzeł, jak ustalić pochodzenie tego czy innego strzępka wierzeń? Jak wreszcie ustalić, skąd wzięła się idea zła?

Wiemy, że wpływom azjatyckim uległy ludy Bantu, mające kontakt z malajsko-polinezyjskimi żeglarzami, którzy około V w. n.e. dotarli do Afryki z Indonezji, przynosząc ze sobą umiejętność uprawy roli. Nie wiemy jednak, czy Bantu przekazali tę wiedzę innym plemionom, zagadką pozostaje dla nas także zadziwiająca ekspansja kultury Beninu w średniowieczu.

Prawie nic nie wiadomo o wpływach, jakie judaizm wywarł na Afrykę Wschodnią, choćby za pośrednictwem tajemniczego państwa żydowskiego, które istniało na południu Półwyspu Arabskiego, gdy w VI wieku aksumicki król Kaleb podjął przeciw niemu wyprawę zbrojną.

Zaślepiąca i arogancka Europa zawsze uważała Afrykę za ziemię bezwładną, ziemię dziką, choć właśnie Afrykanin zwany Abrahamem wywarł w VII w. zasadniczy wpływ na losy świata, przyczyniając się do narodzin religii, która stała się najzagorzalszym wrogiem chrześcijaństwa. Był on królem Aksum, który wziął pod opiekę Mahometa oraz jego prześladowanych uczniów. Odmowa gościny z pewnością oznaczałaby dla Proroka i jego wyznawców wyrok śmierci. Jak zauważył angielski historyk Edward Gibbon, właśnie Abraham umożliwił rozkwit islamu, a w konsekwencji podbój zbrojny, a potem duchowy terytorium sięgającego od Gibraltaru po Indonezję, na którym dziś rozpościera się imperium religii Proroka. A zatem Afryka naprawdę wpłynęła na losy świata.

Nie wolno nam też lekceważyć wpływów chrześcijaństwa. Zwykle uznaje się, że Afryka pozostawała poza ich strefą aż do chwili, gdy misjonarze podążający w ślad za kolonizatorami z Wielkiej Brytanii, Francji i pomijanych często Niemiec przybyli tu w XIX wieku. Tymczasem już w połowie XV stulecia Portugalczycy podjęli próby chrystianizacji Afryki Zachodniej, Elminy w dzisiejszej Ghanie oraz Konga, nawracając władcę Manikonga i wielu jego poddanych. Nie obeszło się bez problemów, bo król zerwał nagle przyjaźń z Portugalią i na jakiś czas położył kres działalności misjonarzy. W ciągu kolejnych stuleci podejmowano dalsze próby nawracania, w wyniku czego powstały rozmaite złożone religie. Ponieważ ludy Afryki nie pozostawały długo na tym samym miejscu, trudno odtworzyć pochodzenie ich rodzimych wierzeń, a także religii syntetycznych, które powstały pod wpływem chrześcijaństwa. Nieustanne migracje plemion afrykańskich spowodowały, że ich wierzenia są bardzo "plastyczne" i podatniejsze na wpływy niż na przykład religie Azji.

Do roku 1927 Bwiti z lasów równin Gabonu byli wyznawcami jednej z takich religii synkretycznych, stworzonej przez plemię Mizogo i, co wydaje się zaskakujące, właśnie te wierzenia stały się poważną przeszkodą dla chrześcijańskich misjonarzy. "Posługując się chrześcijańskimi symbolami - świecami, różańcami, krzyżami i ołtarzami, Bwiti oddawali się praktykom jak najdalszym od chrześcijańskich, odprawiali egzor-cyzmy nad chorymi i krwawe obrzędy mające ściągnąć nieszczęście na ich wrogów". Chrystianizowana przed laty Afryka jest obecnie nawracana na islam, ale wygłodzone, wymierające plemiona często porzucają wszelkie wierzenia, jak to się stało na terytorium Sahelu, gdzie ani dla Boga, ani dla diabła nie ma już miejsca.

Co gorsza, upadek religii afrykańskich jest coraz szybszy, ponieważ przyniesione z zewnątrz chrześcijaństwo i islam, przyczyniły się do rozwoju nieznanego tu dawniej nietolerancji.

Na przykład w Kamerunie Kirdi musieli ustąpić pod naporem muzułmanów Fulbe, a potem albo osiąść w religijnym getcie, albo odejść. Niektórzy byli nawet sprzedawani do niewoli. "Dopiero kolonialne władze niemieckie zdołały (na początku XX wieku) położyć kres uprawianemu przez Fulbe handlowi żywym towarem"⁴.

Z tych właśnie względów trudno było by dziś mówić o "czystej" religii afrykańskiej, a wzajemne przenikanie się chrześcijaństwa oraz islamu, spowodowało, że wszystkie religie tego kontynentu wywodzą się w pewnym sensie ze wspólnego pnia.

Nasza obecna, dość ogólnikowa wiedza na temat mitologii afrykańskich, wzbogacona ostatnio dzięki pracom etnologów, ukazuje mozaikę mitów i legend. Możemy jednak stwierdzić, że choć tak różnorodny, cały kontynent afrykański wydany jest w rzeczywistości na pastwę dwóch rodzajów zła - suszy i śmierci, one zaś łączą się ze sobą, bo susza w istocie oznacza śmierć. Od sawanny po dżunglę, od równin po góry, życie uzależnione jest od wody. "Gdyby nie łaska Nomo (wody), ...nie byłoby ziemi, bo stałaby się skałą, a od wody otrzymuje dar życia", twierdzi dogoński Ogotemeli w jednym z najsłynniejszych dzieł z zakresu etnologii Afryki, *Bóg wody*⁵.

Chociaż nieznaną w swej pierwotnej postaci wierzenia afrykańskie należą do najstarszych na świecie, bo Afryka to obok Azji kolebka ludzkości. Antropologowie sądzą, że nasz gatunek ukształtował się w wyniku serii ewolucyjnych przemian, od praczłowieka odnalezionego we wschodnim Rifie po Homo sapiens i Homo sapiens sapiens⁶. W latach 80. XX wieku dowiedziano, że nie istniała jedna kolebka ludzkości i nikt już dziś nie wygłasza poglądów o rozprzestrzenieniu się rasy ludzkiej z takiego miejsca po całej planecie'. Śmiało wydaje się hipoteza Martina Bernala, który utrzymuje, że Afrykanie dali początek wszystkim innym kulturom, w "nieodległej" epoce pokonując Morze

Śródziemne. Miałyby to nastąpić około XV w. p.n.e. Tymczasem można przyjąć jedynie, że kultura Czarnej Afryki, a dokładniej cywilizacja nubijska, dała początek kulturze Egiptu. Możemy także przypuszczać, że zróżnicowane już ludy Afryki ruszyły - być może przez sawannę - na północ i dotarły najpierw na Bliski Wschód, a potem rozprzestrzeniły się także na innych kontynentach, lecz hipoteza ta jest ryzykowna, nic bowiem nie dowodzi, że nasi przodkowie - neandertalczyk i człowiek kromanioński - mieliby pojawić się po raz pierwszy lub tylko w Afryce.

Ponieważ jednak potrzeba religii tkwi bardzo głęboko w człowieku, możemy przyjąć, że Afrykanie byli jednymi z pierwszych, którzy wyobrazili sobie bogów, których zapewne nigdy nie poznamy, bo afrykańskie wierzenia opierają się wyłącznie na przekazach ustnych. Trudno nam nawet ustalić, jakie były religie tego kontynentu przed zaledwie tysiącem lat. Afrykańskie rzeźby wykonywano przeważnie z drewna, a więc materiału nietrwałego, toteż najstarsze zabytki liczą około dwustu lat; wyjątek stanowi sztuka Beninu.

Cechą charakterystyczną religii afrykańskich jest ich wewnętrzna polaryzacja, wyraźna dwubiegunowość, nasuwająca skojarzenie z systemem binarnym informatyki - życie albo nic, I albo O, z tą różnicą, że nie istnieje tu logiczna opozycja pomiędzy wartościami. Gdybyśmy zdołali uwolnić się od europocentryzmu, który deformuje naszą wizję obcych kultur, a zwłaszcza tak zwanych kultur "prymitywnych", (choć to pojęcie wydaje się dość niezręczne i zarazem naiwne, bo oparte na wierze w "postęp", a jaki postęp dokonuje się w sferze wiary w Boga!), gdybyśmy wreszcie wyzbyli się myśli o "egzotyce", owej etykiety uwłaczającej zarówno tym, których się nią opatruje, jak tym, którzy po nią sięgają, przyznalibyśmy, że piękno religii afrykańskich nie tkwi w bogactwie mitów, ale w ich organicznym charakterze. Wiara mieszkańca Ghany czy Sudanu jest spontaniczna, ponieważ żyje on w świecie, który poprzez sam fakt swojego istnienia wydaje mu się przesycony cudownością. Religia daje o sobie znać nie tylko podczas obrzędów związanych z konkretnymi sytuacjami - narodzinami, pochówkiem, obrzezaniem, ślubem czy żniwami, ale przenika ogół zachowań indywidualnych i zbiorowych. Jak wyraził się pewien afrykański intelektualista, "Czarna Afryka jest nieuleczalnie religijna"⁸.

W odróżnieniu od innych religii, które nazywają "wypełnieniem obowiązku" obecność w miejscu kultu w wyznaczonych terminach, zaś resztę czasu pozwalają spędzać wiernym na innych zajęciach, bez żadnego odniesienia do obrzędów, w których uczestniczyli, wierzenia afrykańskie powodują, że rolnik z Kenii czy Sudanu, gdy udaje się na targ, by sprzedać swe plony (czasem tak liche, że wręcz niegodne uwagi Europejczyka - trochę prosa, pieprzu tureckiego, ziół, chudą kureę, suszoną rybę, owoce lub przyprawy), bez trudu i automatycznie nawiązuje kontakt z Wszzechpotęgą, a ta rozstrzyga o jego powodzeniu lub klęsce. A ponieważ jego celem jest oddawanie czci życiodajnym sitom, dla diabła nie ma tu miejsca. On po prostu nie istnieje, a jedynym przeciwieństwem życia jest śmierć. Trzeba zobaczyć, jak pod koniec XX wieku Afrykanin wznosi ręce w religijnej ekstazie, witając pierwsze krople deszczu spadającego po długiej suszy, by zrozumieć, że woda płynąca z nieba może być uznana za dar życzliwego bóstwa lub przejaw jego gniewu, zawsze jednak będzie oznaką poruszenia w kosmosie, nie zaś zderzenia frontów atmosferycznych.

Teoria animizmu długo decydowała o podejściu Europejczyków do religii afrykańskich, aż ostatecznie sama zamieniła się najpierw w banał, a potem - w przesąd. Kolonizatorzy arabscy, później europejscy, następnie zaś misjonarze chrześcijańscy i islamscy, różnorodność mitów i legend Afryki oraz bogactwo jej panteonów mylnie uznali za przejaw niedojrzałości tubylczych religii. Doszli do wniosku, że Afrykanie nie potrafią wyobrazić sobie bóstw bardziej wysublimowanych niż duchy baobabów, węże i rzeki, nie potrafią wnieść się myślą ku wielkiemu Bogu, Stwórcy wszechświata. Ten przesąd głosiła ad nauseam kultura, która potrafi być najgroźniejsza, bo jest zarażona ideą "uprzystępniania" cudzych myśli. Dlatego często utrzymywano, że mieszkańcy Afryki oddają cześć "fetyszom", co świadczy o karygodnej niewiedzy, ponieważ Afrykanie czcili wyłącznie bóstwa i duchy, przez owe fetysze reprezentowane; dla nich przeznaczony był obrzęd błagalny i ofiary.

Poważnym błędem jest także utożsamianie ateizmu z animizmem: animizm, czyli kult duchów, zasadza się na wierze w nieśmiertelność duszy, pokrewnej, jeśli nie tożsamej z

wiarą wyznawaną przez monoteistów. Zasadnicza różnica polega na odniesieniu pojęcia duszy nieśmiertelnej nie tylko do istot ludzkich. Dlatego właśnie religia jest w kulturach afrykańskich prawdziwie wszechobecna. Afrykanin w każdym tworze Boga dostrzega jego Tchnienie⁹, a nawet najrozumiejsi nie potrafią wszak zgłębić wszystkich tajemnic bożych. Dinkowie i Szylukowie z Sudanu wierzą na przykład, że w każdej istocie tkwi cząstka boskości, od której zależy równowaga we wszechświecie, i dlatego, kiedy człowiek umiera lub jest poważnie chory, ta zamierająca w nim cząstka może spowodować ogólną katastrofę. Stąd brała się obawa przed chorymi, stąd tak pospiesznie pozbywano się zmarłych. Prawie wszystkie afrykańskie religie poświadczają istnienie poczucia więzi człowieka ze wszechświatem.

Poza tym przeważająca część afrykańskich religii uznaje wiarę w Boga Najwyższego, stwórcę wszechświata. Wielu współczesnych autorów afrykańskich podkreślało to, by zwalczyć pokutujące wciąż błędne przekonania, które nabierały mocy twierdzeń antropologicznych (t). Europa długo i bezpodstawnie przypisywała sobie "stworzenie" monoteizmu, wszystkie inne religie określając mianem "pogańskich" lub "prymitywnych". Jest to oczywistą nieprawdą, ponieważ twórcą monoteizmu był w VI w. p.n.e. Zaratustra, zaś nasza aktualna wiedza o religiach Afryki wskazuje, że od dawna były one w swej istocie monoteistyczne, nawet jeśli miały pewne cechy politeizmu. Na przykład mitologia ludu Dinka zawiera załączek semickiej wizji raju - w niepamiętnych czasach każda istota ludzka miała swobodny dostęp do boga, a cierpienie i śmierć nie istniały. To jeden z najbardziej wyrazistych przejawów sprzeciwu wobec dwóch największych nieszczęść nękających człowieka, nierozzerwalnie związanych z życiem, rodzaj spontanicznego credo, które brzmi: "Niemożliwe, byśmy zostali stworzeni po to, by cierpieć i umierać. Dawniej tak nie było, ale potem stało się coś złego". Być może zresztą mit raju jest uniwersalny, a wyraża tęsknotę za utraconym dzieciństwem.

Fakt, że otaczają go moce nadprzyrodzone, lecz wasalne, nie pomniejsza potęgi boga, nakłada tylko na Afrykanina obowiązek upostaciowienia tych drugorzędnych emanacji Pana Najwyższego w opowieści o stworzeniu. Bo podobnie jak w Genesis, w religiach afrykańskich jest to również opowieść. A interwencja mocy takich, jak człowiek-lew czy człowiek-szakał jest naturalnym odbiciem specyfiki kultur - twórców tych religii. Nawet w żydowskim i chrześcijańskim monoteizmie Stwórca jest wyobrażany jako starzec z białą brodą, zazdrosny i kapryśny, na podobieństwo patriarchy, reprezentatywnego dla społeczności hebrajskiej dostojnika.

Wszechobecność pierwiastka boskiego w kultach afrykańskich jest, a w każdym razie długo była, niezrozumiała dla Europejczyków, których problemy egzystencjalne mają tylko dwa możliwe rozwiązania - albo Bóg istnieje i jest z tajemniczych przyczyn niesprawiedliwy, toteż nie możemy przypisać mu dobra, albo nie istnieje, a świat jest absurdem. Afrykanie natomiast dostrzegają wyłącznie pozorne sprzeczności, wynikające z faktu, że człowiek nie jest zdolny w pełni zrozumieć całej złożoności świata. "Wiara ludu Joruba" w obecność innego aspektu czasu (boskiej wieczności) w jego codziennym życiu dawno została dostrzeżona, była jednak niewłaściwie interpretowana", pisze Nigeryjczyk Wole Soyinka¹². "To nie abstrakcja. Joruba nie jest, tak jak Europejczyk, zainteresowany czysto twórczymi aspektami czasu. Zbyt realnie i konkretnie realizują się one w jego własnym życiu, w religii, w sposobie odczuwania, by stać się tylko etykietami służącymi do objaśnienia metafizycznego ładu świata...". Wbrew niektórym, jednoznacznie rasistowskim europejskim interpretacjom, Joruba wyraźnie odróżniają "siebie samego od bóstw, siebie samego od przodków, świat wyobraźni od świata realnego..." (Soyinka).

Trzeba też podkreślić, że religie afrykańskie są z pewnością bardzo "nowoczesne" i przejawiają, wraz z niektórymi, również zanikającymi religiami Indian Ameryki Północnej, świadomość kosmiczną, która pojawiła się w kręgu kultury euroamerykańskiej u schyłku XX wieku, a która wyraża się przede wszystkim poprzez stosunek do środowiska naturalnego. Są to bowiem religie zjednoczenia z naturą. Jak pisze René Bureau¹³: "Człowiek w Afryce nie jest absolutnym panem natury. Zapełniają ją istoty, które mają władzę nad płodnością, zdrowiem i wszelkimi innymi zjawiskami...". Afrykański bóg, "najwyższy przodek", w pewnym sensie hipostaza naszego Boga, któremu towarzyszą niekiedy bliźnięta i wiele niewidzialnych dla człowieka istot..., panuje nad fundamentalną rzeczywistością świata, jaką jest Życie. Świat jest postrzegany poprzez ów witalny

wzorzec wraz z odwrotną stroną życia - śmiercią. Można zatem mówić o religii kosmobiologicznej. Człowiek stanowi cząstkę kosmosu, jest weń włączony, zależy od niego, jest jego użytkownikiem, ale nie właścicielem". Trudno byłoby trafniej ująć prawdę o religiach afrykańskich, przepojonych respektem odradzającym się dziś w Białym człowieku, który wcześniej zatruł powietrze, wodę i ziemię, bo zbyt długo uważał się za ich pana.

Ten szacunek sprawia, że w Afryce "prosta organizacja przestrzeni zamieszkałej (urządzenie wiosek i domostw) doskonale wyraża troskę o ład, na którym opierają się stosunki człowieka z jego środowiskiem", piszą A. Ba Hampate i Germaine Dieterien¹⁴. "Wiemy także - twierdzi Sów - że niektóre siedziby ludzkie są architektonicznym odzwierciedleniem struktury kosmosu... Stanowiąc najmniejszą część kosmosu, jest on (dom) zarazem jedną z infrastruktur całkowicie podporządkowanych organizacji i kontroli ludzkiej oraz superstrukturą wyrażającą koncepcję wszechświata"¹⁵.

Próby zrozumienia religii afrykańskich (podobnie jak innych, zwanych "prymitywnymi") są niecelowe, jeśli nie uchwyci się rządzącej nimi podstawowej zasady, która nakazuje zachowanie naturalnego ładu świata. Ta koncepcja świata (która nie jest specyficzna dla Afryki, bo w nieco innej formie odnajdujemy ją choćby u Jana Jakuba Rousseau w jego micie "dobrego dzikusa"), w naturalny sposób nakazuje poznać świat taki, jakim jest, by ustalić, jak może przetrwać w swej pierwotnej czystości i by unikać wszystkiego, co jej może zagrażać¹⁶. Takie założenie prowadzić może do najrozmaitszych dziwactw. Na przykład "Kikuju (z Kenii) uważają, że człowiek staje się nieczysty tylko dlatego, że zobaczył żabę, czyli zwierzę wodne, skaczącą do ognia. Jest to grzech, toteż pechowiec powinien się wypowiedzieć"¹⁷. "Ba-Ila rzeczy dziwne i obce nazywają tonda (termin o znaczeniu analogicznym do tabu), dlatego tubylcy nie chcieli nawet skosztować bananów, kiedy te zostały po raz pierwszy sprowadzone do ich kraju, mówiąc, że są tonda"¹⁸.

Na tych przesłankach zasadza się kult przodków, czczonych przez plemiona afrykańskie podobnie jak przez Chińczyków (choć z zupełnie innych przyczyn): zmarli, świadkowie, którzy odeszli ze świata takiego, jakim był na początku, obdarzeni są ogromnym autorytetem duchowym. To oni narzucają zasady moralne i prawne żywym¹⁹ (ludy Tallensi i Lo Dagaa z Ghany).

Oczywiście diabeł, który w naszej mitologii odgrywa ogromną rolę, ponieważ wyraża cząstkę odwiecznej natury świata, a zatem sam też jest "naturalny", nie może znaleźć dla siebie miejsca w religiach afrykańskich. I nie znalazł go, pomimo wpływów chrześcijaństwa oraz islamu. Widząc w nim wroga, trzeba by uznać, że nieczystość także jest odwieczna, a zatem stanowi element czystości, to zaś kłóci się z filozofią religii afrykańskich, które nie znają grzechu pierwotnego - znają jedynie błąd. Zło bierze się na świecie z niezdolności jednostek do włączenia się w ład kosmiczny lub do przestrzegania go, a podtrzymywanie ładu i zachowanie życia wymaga nieodzownych cnót i praktyk. Stąd mnogość rytuałów odprawianych przez społeczność afrykańskie, ich nadmiar, który zawsze zadziwia obserwatora z Europy, człowieka o poglądach laickich, to znaczy uznającego, że postępowanie w życiu codziennym pozbawione jest znaczenia dla wszechświata.

Według kosmogonii ginącego ludu Ików, który zamieszkuje górzyste obszary na południowy wschód od Jeziora Rudolfa, na pograniczu Sudanu, Kenii i Ugandy, bóg nieba, Didigwari, dał ludziom oszczepy i nakazał, by używali ich do polowań, a nie przeciwko współbraciom. Do tej chwili ludzie mogli bez przeszkód kontaktować się z bogiem - wystarczyło wspiąć się po lianach, by go spotkać. Jednak kiedy po udanym polowaniu mężczyźni nie oddali należnej części łupu kobietom, zagniewany Didigwari przeciął liany i ludzie nie mogli już do niego dotrzeć. Ta opowieść wiernie przekazuje, bez jakich cnót społeczność Ików nie mogłaby przeżyć w trudnych warunkach klimatycznych. Są nimi dobroć, hojność, szacunek, miłość, uczciwość, gościnność, współczucie, litość... Według Ików osoba, która je posiadała, nie może oczekiwać nagrody, nagrodą jest bowiem radość, jakiej doznaje mogąc je okazać²⁰.

Diabeł jest zatem nie tylko nieobecny we wszechświecie, ale nie ma dla niego miejsca nawet w religii, ponieważ jego obecność sugerowałaby istnienie wolnej woli człowieka, taka idea zaś jest sprzeczna z obrazem świata religii afrykańskich. Wybór zła, który nam przyniósł liczne korzyści, nie ma żadnego sensu dla Afrykanina, oczywiście nie tego

"zeuropeizowanego". Tak oto zrodziła się tragiczna wizja, charakterystyczna dla mitologii afrykańskich, w których śmierć włada niepodzielnie, co potwierdza legenda o młodzieńcu z plemienia Basumbwa. Otóż pewien młody człowiek ujrzał swojego zmarłego ojca wiodącego stada Śmierci. Zjawa wciągnęła młodzieńca w rozpadlinę, głęboko pod ziemię i porzuciła w miejscu, gdzie gromadził się tłum. Pojawił się Wielki Wódz-Śmierć: połowa jego ciała była piękna, połowa zaś w stanie rozkładu, zżerana przez robactwo. Wierni zebrali robaki i obmyli ciało półtrupą, a kiedy skończyli, Śmierć oznajmiła, że mężczyzna, który narodzi się tego dnia, zostanie okradziony, jeśli zajmie się handlem, kobieta, która tego dnia pocznie, umrze w połogu, rolnik, który pracuje w polu, straci zbiory, a ten, kto wejdzie do dżungli, zginie w paszczy lwa. Potem Śmierć zniknęła, by pojawić się nazajutrz, a wierni znów obmywali i perfumowali piękną część jej ciała. Kiedy skończyli, Śmierć oznajmiła, że kto się w tym dniu urodzi będzie bogaty i będzie miał szczęście w interesach, kobieta, która pocznie, urodzi dziecko zdrowe i długowieczne, a ten, kto wyruszy do dżungli, zabije dużo zwierzyny i spotka słońce.

"Gdybyś przyszedł dzisiaj, rzekł zmarły ojciec do syna, który pojawił się w złym dniu, byłbyś szczęśliwy i bogaty, ale tobie przeznaczone jest ubóstwo, to oczywiste. A zatem jutro będziesz musiał odejść"²¹.

Los człowieka jest zatem z góry przesądzony. Nie do pomyślenia jest, by mógł zbuntować się przeciw najwyższej woli, taka rewolta zburzyłaby ład kosmiczny, ponieważ jest to najstraszliwsza zbrodnia. Jej ślad odnajdujemy w religii egipskiej: bóg Maat, który czuwa nad ważeniem dusz w zaświatach, jest zawsze obecny, by zaświadczyć, że zmarły nie naruszył równowagi świata. Bez względu na różnice pomiędzy religiami afrykańskimi, wszystkie one koncentrują się na boskości i nie tworzą równoległego imperium zła. W Bogu wody Ogotemmelii pisze, że według Dogonów każdy człowiek posiada od urodzenia duszę zwierzęcia, po obrzezaniu zaś - duszę Słońca. Nie ma możliwości odejścia ku imperium zła. Zakazy ustanawia plemię. Pozostają one w harmonii z prawami natury, ich naruszenie zaś jest błędem, ale nie zbrodnią²².

Złe duchy, uosobienie "złej woli", która godzi w ład kosmiczny, i której unieszkodliwienie leży w gestii czarowników, nie powinny zatem być uznawane za "drugorzędne diabły", ale za emanację błędów przeszłości, zawiści, niezadowolenia zmarłego lub naruszonych tabu. Afrykanin dąży do sprowadzenia błądzącego na dobrą drogę, nie zaś do wykluczenia go.

Jednym z najbardziej znaczących przejawów tej postawy wobec świata jest stosunek Afryki do "obłędu"²³. Postrzegany i traktowany w Europie aż do XVIII wieku jak klątwa, jak przejaw działalności szatana, w Afryce jest akceptowany przez społeczność, co pozwala na znalezienie bezkonfliktowego rozwiązania tego problemu. Dziewięćdziesiąt procent chorych umysłowo szybko powraca do zdrowia²⁴. Odwracając sławetny paradoks doktora Knocka, Afrykanin uznaje, że każdy chory to zdrowy, który nie zna samego siebie.

Ponieważ nie ma diabła, nie ma także rozdzierających świat walk bogów, choć zdarzają się konflikty pomiędzy mitycznymi potęgami. Kiedy Szakal, "rozczarowany Syn i źródło rozczarowań Boga", zapragnął pojąć Słowo, Wielką Organizatorkę, położył dłoń na sukni tej, która była jego matką, dopuszczając się złego czynu. Jednak Słowo oparto mu się i uciekło przybierając postać mrówki, by ukryć się w mrowisku. Ale Szakal pędził za Nią; nie było zresztą na świecie innej godnej pożądania kobiety. Wreszcie mu uległa, a kazirodztwo miało poważne następstwa. Przede wszystkim oddało Słowo we władanie Szakala, dając mu tym samym wieczną możliwość przekazywania wróżbitom woli Boga"²⁵. Oznacza to, że zakazane stało się elementem ładu.

Warto podkreślić, że jest to częste zjawisko, ponieważ kazirodztwo zajmuje istotne miejsce w wielu mitologiach. Grigorieff²⁶ wyróżnia trzy jego rodzaje: autokazirodztwo lub kazirodztwo wewnętrzne, "konieczne, by Coś [lub Ktoś] mogło wyłonić się z równego - odmiennego"; ilustruje to przykład greckiej Gai, Ziemi, która oswobodzona od początkowego Chaosu, bez udziału mężczyzny poczęła syna, Uranosa. Potem pojawia się przypadek kazirodztwa między matką a synem. Syn łączy się z ziemią-matką, i tu znowu natykamy się na Gaje, która ze swym synem Uranosem poczyną Tytanów i Tytanidy, a wreszcie kazirodztwo pomiędzy bliźniętami, bez którego nie narodziłyby się przyszłe pokolenia. Zasadę tę utrzyma państwo egipskie, gdzie faraon zyskiwał legalną władzę

pod warunkiem, że wcześniej poślubił własną siostrę.

Kazirodztwo, teoretycznie nośnik nieładu, a według religii afrykańskich - nieczystości, przybiera niekiedy charakter odmienny od tego, jaki przypisujemy mu we współczesnej Europie. "Warto zauważyć, że bardzo często zakazane jest nie samo współżycie, ale tylko zawieranie małżeństw pomiędzy krewnymi lub osobami z jednego klanu"²⁷. Pożycie seksualne ma znaczenie wyłącznie jako akt społeczny, jeśli nie wykracza poza sferę prywatności, jest go pozbawione. System zakazów, jakimi kultura europejska obwarowała prywatne życie seksualne, nie istnieje.

Diabeł nakłaniający do masturbacji i nieprzyzwoitości w naszym rozumieniu w Afryce nie miałby racji bytu. Turnbull opowiada, że stosunki płciowe pomiędzy chłopcami z jednego klanu nie budziły oburzenia, a inni obserwatorzy poświęcili długie studia rytualizacji pewnego typu zachowań seksualnych, a ściśle - homo-seksualizmu, który na pierwszy rzut oka wydaje się szczególnie niebezpieczny dla porządku kosmicznego²⁹. W plemienu gwinej-skich Banda na przykład odbywają się swoiste przedstawienia o jawnie homoseksualnym charakterze³⁰.

Taka postawa może oczywiście zdumiewać, ponieważ zgodnie z europejskimi normami, homoseksualizm uznawany jest za jedno z tych zachowań, które naruszają ład kosmiczny. W Afryce z dwóch powodów problem postrzegany jest inaczej. Przede wszystkim mitologie afrykańskie uznają współistnienie w człowieku obu płci: "Nommo... każdemu dziecku daje dwie dusze różnej płci", powiada Ogotemmeli, "historyk Dogonów", a pytany, czy obrzezanie uwalnia chłopca od kobiecej duszy, która odchodzi wraz z "jaszczurką", czyli napletkiem, dodaje: "Nie! Zachowuje przecież cień, który jest szczątkiem kobiecej duszy"³¹.

Poza tym kultury afrykańskie nie miały takich samych wyobrażeń "organicznych" czy biologicznych o sferze seksu, jak kultury europejskie. Na przykład Azande z Kongo "wierzą, że cząstki płodu nie tworzą się równocześnie, ale powstają w wyniku kilku kolejnych zapłodnień komórki jajowej trwających przez wiele dni"³². Egipcjanie natomiast uważali za pewne tylko pokrewieństwo z matką i dlatego legalność władzy faraon uzyskiwał po symbolicznych zaślubinach z siostrą, jedyną osobą zdolną przekazać uprawnienia potomstwu.

Wyobrażenie homoseksualizmu jako "sprzecznego z naturą" lub niemoralnego, bo naruszającego prawo boskie, nie ma zatem uzasadnienia w religiach afrykańskich, a w każdym razie w tych, które nie uległy wpływom chrześcijaństwa lub islamu, i nie może być związane z jakimkolwiek diabłem. Jego rytualizacja jest więc wyrazem typowej dla Afryki woli unikania konfliktów zagrażających łądowi społecznemu i kosmicznemu przez włączenie drugorzędnych, ale przecież istniejących form popędów płciowych (w przypadku homoseksualizmu ogranicza się przeważnie do wieku dojrzewania)³³, lub takich, które nie mają konsekwencji społecznych.

Nasz europejski, dychotomiczny sposób myślenia, utrudnia nam zrozumienie mentalności afrykańskiej, dla której coś nie może być wprawdzie czymś innym, ale może być od niego nieodłączne, podobnie jak w mechanice kwantowej światło jest zarazem cząsteczkowe i falowe, choć są to przecież pojęcia przeciwstawne. Także plemię Bambara, zamieszkujące w górnym biegu rzek Senegal i Niger, a przypisujące szczególne znaczenie wodzie, tak konstruuje swą kosmogonię: kiedy pustka dźwięku[^] czyli Glan, będąca także głosem pustki, rozdzieliła się, tworząc Dya, z ich związku powstały wibracje, w których unosiły się sygnały rzeczy nie stworzonych. Wtedy to Dya przejawiał swą wolę lub "myślenie-działanie", Yo. Ten zaś dokonał dzieła stworzenia, ale nadal nie pojawił się na ziemi człowiek "my-ślący-działający". Pemba, ziemia, będąca tu bóstwem męskim, otrzymał od nieba (Faro) niosącą urodzaj i płodność wodę, która go ożywiła³⁴ (mamy tu kolejny przykład "naturalnej dwupłciowości").

W jednej z wersji tej kosmogonii Pemba począł "kobietę--kobiecość", Musso-Koroni, która została jego małżonką i wydała na świat potomstwo - rośliny i zwierzęta. Pragnąc zwiększyć swą władzę, Pemba postanowił połączyć się ze wszystkimi kobietami na świecie, a kiedy i to przestało mu wystarczać, zaczął domagać się krwi kobiet i mężczyzn. Wyzyskiwał rasę ludzką, dając jej w zamian ogień. Ludzie ginęli, ale ocalało ich niebo - Faro, ofiarowując im pomidory, "owoce krwiste i bliźniacze", pisze

Grigorieff. Wówczas doszło do pojedynku pomiędzy Pemba i Faro, i Pemba został

pokonany. Wówczas zaczął mścić się na ludziach, a była to zemsta okrutna, która sprowadziła na nich śmierć. Ale Faro zaprowadził na świecie porządek, i wystąpił duchy, które miały go strzec.

Był to konflikt pomiędzy dwoma antagonistycznymi siłami - ziemią i niebem, który nie miał zabarwienia etycznego, choć daje wyraz potępieniu seksualnego rozpasania Pemby. Otóż problem powściągliwości w wielu religiach afrykańskich nabiera szczególnej wagi. Mit ludu Joruba powiada, że Sango, bóg pioruna, ale także tyran miasta Ojo, został zmuszony przez swoich przeciwników do samobójstwa z powodu nadużycia władzy. Trudno przy tej okazji nie wspomnieć greckiej bogini Nemezis, która karała tych, którzy nie znali umiaru.

Inna wersja tego mitu, przytoczona także przez Grigorieffa, stanowi prefigurację mitu o Ozyrysie. Z pierwotnego niebiańskiego jaja wyszły najpierw dwie pary bliźniąt, w tym męskie bóstwa Pemba i Faro, czyli ziemia i niebo. Zrodzonemu najwcześniej Pembie przyszło na myśl, by zawładnąć siłą stwórczą, toteż zdobył odrobinę pierwotnej placenty, z której powstała ziemia. Ponieważ była ona sucha i bezpłodna, Pemba zapragnął powrócić do nieba i zabrać stamtąd resztę placenty, a potem połączyć się z bliźniaczą siostrą. Jednak bóg unicestwił jego plany, powierzając bliźniaczkę opiece drugiej pary bóstw, a placen-tę przemieniając w słońce. Mimo to Pemba zdołał ukraść niebu osiem ziaren męskich i zasiał je w Matce-ziemi, dopuszczając się kazirodztwa, ponieważ ziemia zrodziła się z matczynej placenty. Choć jałowa, ziemia pozwoliła wykiełkować ziarnom, z których wyrosła pewna odmiana prosa. Tymczasem Faro został wykastrowany, a z jego członka wyrosło drzewo. Następnie bóg ożywił martwego Faro na niebie i nadał mu postać ludzką, a potem sprowadził go po tęczycy na ziemię...

Druga wersja mitu także opisuje konflikt, jednak z antagonizmu Pemba-Faro rodzi się w końcu ład. Z opowieści wyłania się uniwersalna idea religijna przywracania porządku przez ofiarę, którą tym razem jest Faro. Pemba przypomina Seta, a Faro Ozyrysa, który również został poćwiartowany i zabrany do nieba. Pemba w mitologii Bambarów, podobnie jak Set u starożytnych Egipcjan, nie jest siłą destrukcyjną. Jeżeli w wierzeniach afrykańskich nie natrafiamy na diabła, to dlatego, że wszelkie konflikty prowadzą ostatecznie do uzyskania równowagi.

Dlatego też żadna afrykańska religia nie utrzymywała, iż potrafi zgłębić tajemnicę świata w dwóch pozostających w sprzeczności postaciach. Według Jorubów Szopena, zwany także Obalu-jem, jest bóstwem ospy wietrznej i zasiada obok bogiń rzek Osun i Oja, a także Ifa, boga wróżbitów (za Atlantykiem odnajdujemy go w wierzeniach brazylijskich). Kiedy bóg Bochimów stworzył ziemię-kobietę, potem jej małżonka niebo-mężczyznę, a następnie gwiazdy, które są jej oczyma, księżyc-kobietę i zwierzęta, dopełnił kreacji dając życie lwu-mężczyźnie, protoplascie wszystkich ludzi. Dzieło stworzenia dokonało się, lecz antagonistyczna siła, diabeł, nie znalazła się wśród powołanych na świat istot.

Również w micie o stworzeniu przekazywanym przez kenijskie plemię Wahungwe Makoni³⁵, pierwszy człowiek Mwuetsi, którego uosabia księżyc, nudzi się na dnie jeziora i dlatego chce przenieść się na ziemię. Wystany tam, znowu zaczyna się nudzić, ale nie ma już odwrotu. Bóg uprzedził go, że stanie się śmiertelnikiem i dał mu towarzyszkę życia, Massassi, Gwiazdę Zaranną. Mwuetsi i Massassi połączyli się dając życie trawom, zaroślom i drzewom i sami zaznając szczęścia. Ale szczęście umiera wraz z Massassi. Mwuetsi znów uskarża się przed bogiem na nudę, a litościwy i wyrozumiały stwórca przysłał mu Morongo, Gwiazdę Wieczorną. Nowa para daje życie kurom, owcom i kozom już pierwszej nocy, następnej wydaje na świat antylopy i bydło, a trzeciej nocy płodzi dziewczęta i chłopców. Tak dopełniło się dzieło stworzenia, ale wciąż nie usatysfakcjonowany Mwuetsi raz jeszcze łączy się z Morongo. Tym razem kobieta rodzi pantery, lwy, węże i skorpiony, a na koniec - ogromnego węża mambę. Nie wyciągnąwszy odpowiednich wniosków z tego zdarzenia, Mwuetsi chciał znów osiąść Morongo. Ale tym razem wąż, syn i zarazem małżonek Morongo, wypełził spod łóżka i ukąsił Mwuetsiego w nogę. Ciężko chory Mwuetsi, król ludu, który spłodził w kazirodczych związkach z własnymi córkami, zostaje skazany na śmierć. Wąż pełni tu rolę symbolicznego stróża porządku.

Przekonaliśmy się, że ludy Afryki uważają bunt za zagrożenie dla równowagi

kosmicznej. Nie oznacza to, że nie zdarzały się wśród nich takie tendencje lub by nie miały w tym zakresie doświadczenia. Plemię Bantu z Zambezi przedstawia nieposłuszeństwo humorystycznie w micie o narodzinach pierwszego mężczyzny i pierwszej kobiety. "Na początku bóg zrobił dwie dziury w ziemi. Z jednej wyszedł mężczyzna, z drugiej kobieta. Bóg nakazał im, by kopali ziemię i siali proso oraz, by wybudowali dom, w którym będą je mogli gotować. Zamiast podporządkować się jego woli, mężczyzna i kobieta zebrane proso zjedli natychmiast na surowo, a potem, nie budując domu, zamieszkali w lesie. Wtedy bóg wezwał do siebie małą małpkę i koczodana, którym wydał podobne jak pierwszej parze instrukcje. A one - ku wielkiemu zadowoleniu boga - ściśle wypełniły polecenia. Wówczas rzekł, obcinając im ogony: "Bądźcie ludźmi!". A potem przywiązał te ogony kobiecie i mężczyźnie, mówiąc: "Bądźcie małpami!"³⁶.

Warto wspomnieć, że mitologie afrykańskie chętnie uciekają się do humorystycznych opowiadań, o czym świadczy na przykład mit plemienia Nupa z Nigerii o mówiącej czaszce. Znalazszy na swej drodze ludzką czaszkę, myśliwy zapytał półzartem: "Co cię tu sprowadza?". A czaszka odrzekła, kłapiąc zębami: "Słowo!"³⁷. Bo słowo może przecież zakłócić ład tego świata.

Pozostaje nam znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego władze polityczne państw afrykańskich nie dążyły do przekształcenia tych religii w doktryny etyczne, jak to się stało na przykład w Iranie, gdzie zaratustrianizm stworzył mit diabła. We współczesnej Afryce podobne rozwiązanie nie wydaje się możliwe. Zdarzało się bowiem, że kler chrześcijański czy muzułmański uczestniczył w życiu politycznym, jednak w Afryce nie znalazłby dostatecznego oparcia dla swoich dążeń, i to z kilku przyczyn. Po pierwsze, choć mamy pewność, że afrykańskie religie są odbiciem miejscowych kultur, dysponujemy bardzo skąpych dowodami na ich więź z ziemią, która je wydała. Zapis historii dawnych afrykańskich królestw - Ghany, Songai czy Zimbabwe, który niekiedy robi wrażenie mistyfikacji, nie pozwala nam dowiedzieć się, czy dawniej w Afryce kapłani stanowili odrębną grupę, jak w Iranie lub Mezopotamii. Wydaje się to zresztą mało prawdopodobne, dlatego że w Afryce nigdy nie istniały państwa narodowe. Ta "importowana" przez kolonializm formacja, która przetrwała dekolonizację, być może sprzyjałaby wyodrębnieniu się stanu duchownego. Wówczas, żeby zwiększyć i umocnić jego wpływy, znów podobnie jak w Iranie, próbowano by narzucić wspieraną nakazami religii etykę. Lecz Afrykanie, czego dowodzi nawet nasza skąpa wiedza o dziejach ich kontynentu sprzed epoki kolonialnej, byli wielkimi nomadami, migracje zaś utrudniają tworzenie państwa.

Idea państwa narodowego jest nie tylko obca, ale całkowicie sprzeczna z tradycją polityczną Afryki, której podział w okresie poprzedzającym kolonizację opierał się na więziach plemiennych, zaś różnice religijne pozwalały wyodrębnić grupy etniczne. A zatem triumfowała idea grupy etniczno-religijnej. Jak w najdawniejszych czasach, grupy etniczne tworzyły królestwa, władcy nie było więc potrzebne państwo, a kapłani nie mieli podstaw, by stworzyć organizm państwowy. Ponieważ grupy etniczne składały się z plemion, wróżbici, czarownicy, albo szamani nie dysponowali terytorium nieodzownym do ustanowienia władzy ekumenicznej.

Po trzecie wreszcie, sama idea duchowieństwa wywodzi się z rozróżnienia na sferę materialną i duchową, które jest obce afrykańskiemu sposobowi myślenia. Te kartezjańskie, a zarazem odziedziczone po Grekach pojęcia, są w Afryce nie znane. Tu boską mocą przeniknięty jest cały świat - od bawolego rogu po mrówkę, od akacji po młot kowala, wszystko, każdy materialny przedmiot, jest równie "duchowy" jak same niewidzialne duchy.

"Baczniej słuchaj rzeczy niż istot, Rozbrzmiewa głos Ognia, Rozbrzmiewa głos Wody, Wsłuchaj się w wiatr, który niesie Szloch krzewów, bo to oddech twych przodków. Ci, którzy zmarli, nigdy nie odchodzą, Są w mroku, który się rozwiewa, Są w mroku, który gęstnieje, Zmarli nie pozostali pod ziemią, Są w drżących na wietrze liściach drzew, Są w jęku smaganych wichrem gałęzi, Są w wodzie, która płynie i szemrze, Są w wodzie, która

leni się i drzemie, Są w bambusowej chacie i świętującym tłumie, Umarli nigdy nie umierają". pisze poeta Birago Diop w jednym z najpiękniejszych poematów swego kontynentu³⁸, odsłaniając przed nami duchową głębię Afryki, tak często pomawianej o "fetyszizm" i "prelogiczny infantylizm".

W takiej sytuacji, choć zakres działań wróżbity i czarownika jest dokładnie określony (odprawianie rytuałów grupowych i prywatnych, mających na ogół cele terapeutyczne), pozostają oni tylko pośrednikami w kontaktach z bogami i nie mają władzy ideologicznej (choć w szczególnych przypadkach nawet król musi zasięgać ich porady). Żaden z nich nie może ustanowić ani kościoła, ani dogmatów. "Rola pośredników dawałaby im potężną władzę, gdyby pole boskości nie było otwarte dla wszystkich".

"W ograniczonej przestrzeni geograficznej i społecznej żaden człowiek nie może osiągnąć władzy wyłącznej, a żaden duch - więc także żaden kapłan - nie może domagać się monopolu na skuteczność. To, czego jeden zakazuje, drugi może uznać za dopuszczalne"³⁹. W Afryce nie uformowała się więc (oczywiście, poza kręgiem wpływów chrześcijańskich i muzułmańskich) żadna absolutna władza religijna, która mogłaby ogłosić istnienie absolutnego dobra lub absolutnego zła, i to wcale nie dlatego, że religie afrykańskie koncentrują się wyłącznie na kulcie życia, nie pozostawiając miejsca dla rogatego i owłosionego diabła.

Stanowiąc część kosmosu, człowiek według wierzeń afrykańskich jest częścią Jednego i Wszystkiego, pozostaje wolny od rys i od skaz. W kontakcie z bogami może popełnić błędy, ale nigdy nie grzeszy. Grzech pierworodny czy indywidualny to pojęcia, które są tu nie znane. Afrykanin nie musi zabiegać o zbawienie, bo byłoby ono zbawieniem bogów, w których rzeczywistości uczestniczy. Pod tym względem jest on bratem Greka - będąc śmiertelnym, nosi w sobie część boskości. Jest bratem antylop, lwów i węży. Jego wieczny sen przepojony jest wonią owoców i głosami zwierząt z nocy ziemi.

Indianie Ameryki Północnej lub Ziemia - Ojczyzna

O tym, co zdarzyło się Nulkowi - O różnicowaniu Indian Ameryki Północnej i ich kultur - O tym, jak Europejczycy próbowali zakwestionować człowieczeństwo Indian odbierając im prawo do posiadania duszy - O indiańskim rozumieniu braterstwa pomiędzy ludźmi i naturą - O arenda, czyli niezwykłej mocy - O tym, dlaczego diabeł nie miał wstępu do wigwamu - O świecie ludzi, gdzie to, co nadprzyrodzone, przenika się z materialnym i o należnym temu światu szacunku.

Aby przybliżyć się do sposobu myślenia Indian Ameryki Północnej, przytoczmy mit o przygodach chłopca imieniem Nulk. Wybrał się w towarzystwie siostry Manony na spacer nad jezioro. Dla zabawy chwycił zwisającą nad wodą gałąź dzikiego wina. "Wspaniała zabawa! I ty chodź się pohuścić!" - zawołał do siostry, a ta chętnie przyłączyła się do niego. W pewnej chwili gałąź złamała się i dziewczyna wpadła do wody dokładnie w tym miejscu, gdzie przebywał Człowiek z Jeziora, duch wody, który schwytał ją i uwiódł. A ponieważ był piękny, jak wszyscy bogowie, Manona poślubiła go. Nulk był zrozpaczony. Codziennie płakał nad brzegiem jeziora, gdzie siostra ukazywała mu się i błagała, by przestał lamentować, bo jest teraz żoną Człowieka z Jeziora i nigdy już nie wróci na ziemię.

Jednak Nulk był nieutulony w żalu. Pościł i modlił się o uwolnienie siostry. Długotrwałe posty oczyściły jego duszę i zmysły; nie mógł już znieść zapachu człowieka. Pewnego wieczora stanął przed nim Manitu' i zapytał o powód tak straszliwej rozpaczki. Wysłuchał go i oświadczył, iż oswobodzenie dziewczyny nie leży w jego mocy. Ale Nulk nie przerwał modłów ani postu. Po szesnastu dniach we śnie pojawił mu się wojownik. Chłopak odgadł, że jest to bóg piorunów, który oznajmił, że gotów jest mu pomóc. Poradził chłopcu, by poszedł nad jezioro, ściął duży wiąz i wydrążył w nim canoe, które uniesie go

ku miejscu, gdzie pomiędzy drzewami stoi wysokie tipi. Mieszka w nim człowiek-jeleń, który wyśle Nulka do człowieka-żurawia, ten zaś wskaże mu drogę do człowieka-bobra.

Chłopiec zawarł przymierze z tymi istotami. Trzej geniusze zgodzili się pomóc mu przy wsparciu boga piorunów, który rozpętał straszliwą burzę. Gwałtowne porywy wiatru i pioruny wzburzyły wody jeziora, a fala była wysoka. Człowiek z Jeziora błagał żonę o pomoc i uzyskał ją. Na nic zdały się więc starania mocy nadprzyrodzonych, które nie mogły nic zdziałać bez wsparcia ze strony kobiety. Nułk, widząc co się stało, załął się łzami, a wówczas jego boscy sprzymierzeńcy przemienili Manonę w jezioro, dla chłopca zaś zrobili na nim wysepkę. W ten sposób rodzeństwo znowu było razem².

Mit ten ukazuje związki pomiędzy człowiekiem i życzliwymi mu siłami natury - piorunem, jeleniem, bobrem, żurawiem, oraz granice władzy tych mocy, które mogą spełniać życzenia (ludzkie) tylko wówczas, gdy sam zainteresowany sprzymierzy się z nimi. Pojawia się tu także wątek inicjacyjnego kontaktu z Manitu, który był możliwy tylko po surowym poście i kąpielach oczyszczających, zwraca się uwagę na ograniczoną obecność zła, znaczenie miłości i wierności. Łatwo można było nawiązać kontakt z północnoamerykańskimi Indianami, gdybyśmy wzięli pod uwagę ich system wartości. Poezja ich mitów nie ustępuje przecież w niczym naszej poezji średniowiecznej i romantycznej. Ale półnagi człowiek żyjący na zbyt rozległych dla niego terenach, chłba po prostu przeszkadzał przybyszom z Europy, w imię postępu roszcującym sobie prawo do jego ziemi.

Dlatego dziś o Indianach mówimy z pewnym smutkiem. Wiele plemion, jak Takelma, Coos, Atsuwegi, Mikasuki, wymarło w ubiegłym stuleciu. Ukochani przez Chateaubrianda Naczesowie, tak jak Tunika czy Tonkawa są dziś tylko wspomnieniem. Niewielu, bo może kilkudziesięciu przedstawicieli Wappo, Chasta--Costa, Mattole i Yuki dożyło schyłku XX wieku. Rezerваты upodobniają ich do smętnych zjaw, i choć plemiona kanadyjskie są bardziej żywotne, a ich kultura bardziej widoczna w krajobrazie tego kraju (zwłaszcza w Albercie i Kolumbii Brytyjskiej), to pierwotna cywilizacja amerykańska ginie na naszych oczach. Warunki środowiskowe oraz izolacja kulturowa powodują szybkie zniszczenia. To, co pozostaje, przypomina coraz bardziej eksponat muzealny.

A jednak wokół żadnego innego ludu nie powstało tyle europejskich mitów. Kiedy w roku 1970 miałem okazję zwiedzić "indiańskie" miasteczko na pustyni Ermenonville, spotkałem tam paryżanina, Owerniaka i Pikardyjczyka, którzy nie umieli mówić nawet po angielsku, a tym bardziej nie znali dialektów Czirokezów czy Komanczów, przywdziewali jednak stroje "czerwonoskórych" i spędzali weekendy w wigwamach, u boku swoich "squaw". Nosili ręcznie szyte mokasyny, a czasami ruszali na "łowy", celując z łuku w nie wiedzieć co. Poza "turecczyzną" i "chińszczyzną" w Wersalu i na kilku innych dworach europejskich, tylko kultura Indian naprawdę silnie inspirowała blade twarze.

Był to jednak wątpliwy sukces. Buffon utrzymywał, że Amerykę zamieszkuje "zdegenerowana rasa", mimo że nigdy nie widział Indianina. I chociaż Tomasz Jefferson czuł się w obowiązku wziąć ich w obronę, sam napisał w roku 1818:

"Cóż takiego trzyma ich przy barbarzyństwie i nędzy, jeśli nie przesądne uwielbienie owej wyższej mądrości ojców i absurdalne przekonanie, że winni spoglądać za siebie, by lam odnaleźć wszystko, co najlepsze, nie patrząc w przyszłość?"³.

Amerykańscy Indianie zawsze drażnili białych. Zdawali się być wyzwaniem dla wszelkich istotnych wartości europejskiego świata - dla chrześcijaństwa, dla pisma (nie istniała bowiem indiańska tradycja pisana, a wszelkie teksty zostały spisane przez etnografów). Byli też pozbawieni zasad moralnych, bo nie znali ducha zła. Ale w XVII wieku Sayinien musiał przyznać, że troska i czułość indiańskich matek "z pewnością nie ustępuje uczuciom matek cywilizowanych...". Jakże wymowne jest zdumienie wpisane w to porównanie! Taką samą czułość okazywali mężczyźni:

"Kiedy wódz Siuksów Eh-ah-sa-pa (Czarna Skala) stracił córkę, której uroda i skromność wzbudzały powszechny zachwyt, był zrozpaczony. Zobaczywszy u białego zdjęcie córki, ofiarował mu za nie dziesięć koni"⁴.

Tę szczególną pozycję Indian umocniło zapewne kino, oczywiście amerykańskie, które najpierw usprawiedliwiało zagarnięcie ich ziem przez białych, przedstawiając tubylców jako "dzikusów", którzy marzą tylko o skalpach⁵, potem zaś uległo sentymentalnym nastrojom, czyniąc z nich spadkobierców wiedzy minionych pokoleń, wzruszających, ale

bezużytecznych. Tak oto próbowano uwolnić się od trudnej prawdy o Indianach. Ponieważ - od tego zaczniemy - "Indianie" Ameryki Północnej, sławni "czerwono-skórzy" stworzyli tyle kultur, to znaczy form zbiorowej tożsamości, by wytworzyć liczne plemiona. A było ich aż sto czterdzieści siedem! Wrzucić do jednego worka Algonkinów, Sekanów, kalifornijskich Yokutów i Pawnisów z Oklahomy, to jakby nie dostrzegać różnic pomiędzy Bretończykami a Osetyńcami. Różnił ich język⁶, walczyli ze sobą, a duże plemię Lisów zostało niemal doszczętnie wybite przez Niedźwiedzie Stopy.

Bez wątplenia Indian obu Ameryk łączy wspólne pochodzenie. Ich kolebką była Azja, dlatego należą do typu ludów mongoloidalnych. Trzeba jednak pamiętać, że upłynęło około trzydziestu pięciu tysięcy lat (a nie dwanaście, jak twierdzono do roku 1985)⁷, nim dotarli z Azji na drugą półkulę przez skutą lodem Cieśninę Beringa. Można zatem powiedzieć, że mieli dość czasu, by się zróżnicować i dziś nie stanowią grupy jednolitej pod względem antropologicznym. Wiemy, że pierwszą falę imigrantów cechowała dolichocefalia, polegająca na wydłużeniu tylnej części czaszki, następnie zaś brachycefalia, to znaczy czaszka zaokrąglona⁸. Możemy więc przyjąć, że pierwsi mieszkańcy Ameryk mieli także wystarczająco dużo czasu na stworzenie mitów i religii.

Mieli też czas na ukształtowanie odrębnych kultur. Indianie leśni, pisze Rieder, byli bardziej romantyczni i pokojowo nastawieni (zwycięstwo nad wrogiem polegało na odebraniu mu jego rannego przyjaciela) od Indian z prerii, których upodobali sobie hollywoodzcy filmowcy. Zasadnicze różnice dzielą także ich sztukę. Wytwory Indian leśnych cechuje bogate zdobnictwo, sztukę Indian z prerii geometria form⁹.

Brak kontaktu z innymi kulturami sprawił, że stworzyli odrębny, zamknięty system myślowy, którego nie musieli modyfikować, bo ich ziemie zapewniały im wszystko, czego potrzebowali do życia. Kraj był rozległy, obfitował w zwierzyinę, ich zaś było niewielu. W *Mentalite primitif*, Levy-Bruhl przytacza fragment Relacji jezuitów z XVII wieku. Wtedy to zakonnicy po raz pierwszy zetknęli się z Indianami zamieszkującymi wschodnie obszary Ameryki Północnej. "Trzeba przyjąć, że Irokezi nie potrafią rozumować jak Chińczycy i inne cywilizowane ludy, które nawracano na wiarę w Boga Jedyne... Irokezi nie kierują się rozumem. Dla nich ważne jest tylko owo pierwsze wrażenie, obraz rzeczy i spraw, o których słyszą. Dowodzenie wiarogodności, do którego zwykła uciekać się teologia, by przekonać najbardziej zatwardziałe umysły, nie przemawia do nich, a zdarza się też, «że kłamstwem zwą największe prawdy wiary. Zwykli wierzyć tylko w to, co widzą" ¹⁰.

W tych słowach zamyka się stosunek przybyszów z Europy do Indian. Wielkim błędem jest twierdzenie, że Indianie wierzą wyłącznie w to, co widzą, wówczas bowiem musielibyśmy uznać ich za prekursorów pozytywizmu. "Indianie Hidatsa w Ameryce Północnej", pisze po latach Frazer¹¹, "wierzą, że wszystko w przyrodzie posiada swego ducha czy, mówiąc ściślej, swój cień. Cieniom tym należne są pewne względy i szacunek, nie wszystkim jednak takie same. Na przykład cień bawetnicy, największego drzewa w dolinie górnej Missouri, posiada w przekonaniu tubylców własny rozum i jeśli się odpowiednio stanie, może dopomóc w pewnych przedsięwzięciach, ale cienie krzaków i traw nie mają większego znaczenia" ^{*}.

Widzimy więc, że wbrew twierdzeniom XVII-wiecznych jezuitów, Indianie wierzyli (i być może wierzą też ich potomkowie), w istnienie bytów niewidzialnych. Ponieważ jednak misjonarze nie byli etnologami, nie byli przygotowani do podjęcia ewangelizacji i pracy misyjnej. Za uniwersalny uznawali własny miernik inteligencji i zdolności myślenia, a była nim wiara w dogmaty katolicyzmu. Levy-Bruhl zaznacza jednak, że uznawszy ich za niezdolnych do rozumowania, misjonarze zdali sobie sprawę (a dotyczyło to na przykład Grenlandczyków), że "można im przypisać prostotę, wolną od głupstwa, i zdrowy rozsądek, któremu

Tak jak Afrykanie, Azjaci, Celtowie, Grecy, Rzymianie i wiele innych ludów, Indianie z Ameryki Północnej wierzyli w "coś" znacznie bardziej określonego niż duchy lub "cienie" - w bóstwa w całym tego słowa znaczeniu, podobne do bóstw wymienionych tu ludów. Oczywiście nie w sławetnego "Wielkiego Ducha", którego zaszczepili im misjonarze. Według plemienia Hopi z Arizony, Musingwu był bogiem roślinności, a jego siostra Tupawong-tumsi bóstwem zamierającej przyrody, które sprawia, że spadają liście, zaś Masa'u, bogiem zarośli, ognia i śmierci¹³. Według wierzeń Indian z Wirginii¹⁴ Ahone to bóstwo zdecydowanie zwierchnie, i tak odległe, że ludzie przestają się doń zwracać ze

swoimi sprawami. Kojot Apaczów i Nawahów jest za to dokładnie identyfikowany. To bohaterski trickster, który oswobodzi kosmos od wodnego potwora Tieholdtsodi, aby mógł wyłonić się świat, jaki znamy¹⁵.

Podobnie jak w innych przedstawionych już kulturach, bóstwa mogły pełnić dwie role, które zmieniały się zależnie od plemienia. Kojot, w którym Apacze widzieli herosa, przez plemię Maida z Kalifornii uważany jest za antagonistę (ale nie wroga) bogów. Chociaż Indianie nie mieli wspólnej religii, co nie dziwi wobec takiego zróżnicowania pierwszych mieszkańców Ameryki, podzielali wiarę w pewne bóstwa, takie jak Wielki Pierzasty Wąż (niezwykle wcielenie Skrzydlatego Węża z Meksyku) Pajutów, Mono, Pima, Yuma i innych plemion z Nowego Meksyku. Mieszkaniec piekieł, władca zwierząt, roślin i wszystkiego, co żyje na powierzchni ziemi, Wielki Pierzasty Wąż, mógł dać bogactwo, ale jego przyjaźń bywała niebezpieczna¹⁶.

Naturalnie odnajdujemy w wierzeniach Indian zte duchy, od których roi się w innych religiach świata i które ponoszą odpowiedzialność za część zła. Ponieważ człowiek nie wierzy w istocie rzeczy ani we własną wolność, ani w przypadek, zrzuca "winę" za to, co niewyjaśnione i niewyjaśnialne na demona, zagubionego w zaroślach równin i pośród drzew w lesie. Na przykład Iya, potwór z mitologii Siuksów, który połyka lub okalecza ludzi i zwierzęta, przybiera czasem postać huraganu, a jego cuchnący oddech szerzy choroby¹⁷.

Jednak ten typ demonów nie zrodził się wśród Indian. Znało go także wiele innych ludów, które nadawały mu rozmaite postacie oraz imiona. Peys indyjskich Tamilów to kudłate nekrofagi, wysysające nocami krew z trupów. Serbska Psepolnica (Dama Południowa) pojawia się w południe, w deszczowe dni, doprowadza ludzi do szaleństwa, po czym sierpem obcina im głowy i członki, czasami zaś przybiera postać wichury. Srat Zachodnich Słowian to ognista zjawa. Kaia z półwyspu Gazeli w Nowej Bretanii wciela się w węża lub dzika, by czynić zło.

Cały świat od zarania dziejów nawiedzają złe i dobre duchy. Czasami jednak te dobre mogą stać się złymi, a złe okazać się dobrymi. W tym tkwi tajemnica mocy nadprzyrodzonych. Kiedy Indianie Hopi chcą w czasie wielkiej suszy sprowadzić deszcz, szukają niebezpiecznych grzechotników i wkładają je do dużej glinianej wazy, przed którą wypowiadają zaklęcia. Wężę są wysłannikami bogów, którzy dają deszcz. Taniec Deszczu zaczyna się przy śpiewach i muzyce bębnowej, a tancerze naśladują ruchy węża, podążając za kapłanami. Ciało kapłanów pokrywają symboliczne rysunki. "Czarownicy zbliżają się do świętej wazy, ze zręcznością prawdziwych fachowców chwytają wężę i unikając ukąszenia noszą je w zębach!"¹⁸.

Wąż, w kulturze zachodniej będący symbolem zła, dla Indian oznacza siły ziemi, jakby powiedzieli Grecy - moce chthoniczne, z którymi człowiek może żyć w zgodzie. Na dowód przytoczmy wstrząsający opis ceremonii węża-antylopy:

"Wszyscy członkowie społeczności tworzą krąg i siadają po turecku tak, by ich kolana dotykały kolan sąsiadów. Potem jeden z nich otwiera dzban, wypuszczając wężę na piasek. W tej samej chwili rozlega się łagodny, poważny śpiew. Były tam najrozmaitsze wężę, grzechotniki, wielkie [...] boa, około sześćdziesięciu wito się po ziemi. Śpiew je podniecał, pełzły to w tę, to w tamtą stronę, wpatrywały się w ludzi, którzy trwali w bezruchu i wciąż śpiewali... Aż wielki żółty grzechotnik podpełzt do starca, który śpiewał, przymknąwszy oczy, i wśliznąwszy się na jego nogi zwinął się w kłębek, by zapaść w sen...". Wbrew temu, co moglibyśmy sądzić, pisze przytaczający tę opowieść Amerykanin, kłamstwem jest, że wężę miały wyrwane zęby i opróżnione gruczoły jadowe... Podejmowano jednak pewne środki ostrożności. Wszyscy członkowie klanu Węża pili tak zwany chu'knga (lek przeciw ukąszeniom węży), który także wcierano w ręce udając się na polowanie na te zwierzęta¹⁹.

Indianin stąpa po świętej ziemi przodków tak, jak Grek - z ufnością i przekonaniem, iż z całym światem łączy go nić braterstwa. To braterstwo może przybrać formę magiczną, jak mam w Melanezji czy mewia Irokezów. "Orenda, pisze Mauss, to siła, siła mistyczna. W naturze nie istnieje nic, a zwłaszcza żadna istota ożywiona - bóg, duch czy człowiek - która nie miałaby swej arendy. Zjawiska naturalne, jak burza, są wywoływane przez orendę tych fenomenów"²⁰. Ona jest źródłem uniwersalnej życzliwości. "Cykada pobudza dojrzewanie kukurydzy i dlatego słychać ją w upalne dni, że jej mewia sprowadza upały,

a te powodują wzrost kukurydzy"21.

Braterstwo i arenda dotyczą także zwierząt. Kiedy Minnetavee oprawia bizona, stara się nie uszkodzić jego kości, wierzy bowiem, że nienaruszony szkielet umożliwi zwierzęciu powrót do życia i to nie w innym świecie, ale na ziemi. Dlatego tak starannie oczyszczano czaszki bizonów, jeszcze w początkach naszego stulecia zalegające na prerii22. Indianin sieje nienaruszone kości, jak rolnik pestki owoców, które zjada.

Świat jest rezerwuarem życia, a zjawiska nadprzyrodzone nierozdzielnie spletały się ze zjawiskami naturalnymi, czego dowodzi mit o pochodzeniu kukurydzy, który stał się inspiracją dla Longfellowa, angielskiego poety, autora Pieśni o Hajawacie. Młodzieniec odbywa inicjacyjną głodówkę, by ujrzeć swego monitu. Chłopak słabnie. Trzeciego dnia, leżąc, spostrzega młodego, urodziwego mężczyznę, który schodzi z nieba, we wspaniałych, zielono-żółtych szatach. Ta niebiańska istota wyzywa go na pojedynek, a chłopiec, choć u kresu sił, przyjmuje wyzwanie, woli bowiem umrzeć niż uznać się za pokonanego. Niebiańska istota powraca nazajutrz, by znowu go wyzwać, i tak przez kolejne dni, a młodzieniec za każdym razem przyjmuje wyzwanie, aż w końcu boski wysłaniec oznajmia chłopcu, że jego odwaga zjednała mu przychylność boskich mocy. Mówi: "Jutro wrócę tu, by stoczyć z tobą ostatni pojedynek. Gdy zwyciężysz, rozbierz mnie, rzuć na ziemię, a potem skop jej skrawek, by była miękka, i pochowaj mnie. A kiedy skończysz, zostaw me ciało w pokoju, ale odwiedź czasami mój grób, by wyrwać porastające go chwasty. Raz w miesiącu dorzuć trochę świeżej ziemi". Tak też uczynił młodzieniec. Pewnego wieczoru u schyłku lata zobaczył, że na grobie wyrosła wysoka, pełna wdzięku roślina o złotych włosach i bujnych liściach. Była to kukurydza, przyjaciółka ludzi23. A zatem istota nadprzyrodzona przeniknęła do świata roślin. Orenda urodziwego niebianina połączona z mewią ziemskiego chłopca wydała kukurydzę.

Pojęcie mocy magicznej, której można użyć, by uwodzić, grozić, pętać, znane jest nie tylko Irokezom. Siuksowie nazywali ją mahopa, plemię Omaha - nube, Dakota - waban, Szoszoni -pokunt. Tu posłużymy się tylko terminem arenda. Tubylcze ludy

Ameryki wierzą w stałą obecność nie nazwanego ducha. Trzeba respektować jego zasady, poddać się jego tchnieniu. To samo pojęcie pod koniec XX wieku pojawi się w naukowej hipotezie Jamesa Lovelocka jako Gaja. Według niego planetę należy uznać za żywą istotę, i patrzeć na nią jak na całość, na harmonijny system, któremu zagraża bezwzględna działalność człowieka24.

Otoczony arendą natury, która tworzy uniwersalne braterstwo, Indianin nie może zgodzić się, że świat to miejsce walki antagonistów - boga i diabła, i że ta walka toczy się wyłącznie o człowieka. Taki antropocentryzm jest całkowicie obcy jego sposobowi myślenia. Jeżeli nawet uświadamia sobie swoją wyjątkowość, to nadal uważa się za brata przyrody, w tym także roślin. Gdyby bóg i diabeł, jak to się dzieje w świecie Żydów czy chrześcijan, toczyli walkę, jej przedmiotem byłyby także bobry, wierzby i chmury.

Jednak zwyciężyły stereotypy. Europa trwała przy poglądzie o "niższości" Indian, ci bowiem nie wierzą ani w naszego Boga, ani tym bardziej w naszego diabła. Przez stulecia pseudoetnologia narzucała nam pojęcie "dzikiego poganina", który ledwie zasługuje na to, by zostać nawróconym i otrzymać szansę Zbawienia. W roku 1922 M. Mauss pisał: "Rzadkie znane nam przykłady pojęcia ośrodka magicznego nie powinny budzić w nas wątplenia w uniwersalizm owego pojęcia. Po prostu nie jesteśmy dość dobrze poinformowani o tego rodzaju zjawiskach. Od trzech stuleci znamy plemię Irokezów, ale dopiero od roku naszą uwagę przyciąga orenda"15. W siedemdziesiąt lat później ani nasza wiedza ogólna, ani los Indian Ameryki Północnej nie uległy wyraźnej poprawie. W opinii kultury europejskiej Indianie ledwie zasługiwali na to, by wierzyć w Wielkiego Ducha, (już samo to pojęcie jest sfabrykowane), który był uważany za istotę prymitywną, choć jego istnienie zapowiadało naturalną ewolucję religii ku dualizmowi bóg-diabeł. Jednak świat postanowił, że Indianie muszą być animistami.

Paradoksalnie, ów "animizm" Indian północnoamerykańskich, znacznie bardziej przypominający - by użyć języka teologii chrześcijańskiej - teizm, nie przejawia wrogości wobec monoteizmu. To najbardziej zastanawiający, a także najsłabiej znany aspekt problemu: Indianie nie mogli stworzyć jedynego diabła, choć stworzyli jedynego boga. Na przykład dla Siuksów bóg-słońce Wi, którego symbolem jest bizon, był istotą najwyższą, wszechwiedzącą, obrońcą odważnych i oddanych mu ludzi. Uderza fakt, że jego córka

Whope zstąpiła pewnego dnia na ziemię, przynosząc Siuksom fajkę pokoju. Inne wersje mitu ukazują Wi jako jedną z czterech emanacji boga o jeszcze wyższej pozycji, Wakan Tanka, boga bogów²⁶.

Ta skłonność Indian do monoteizmu była jednak ograniczona zarówno w Ameryce Północnej, jak i w Południowej. Mamy powody zastanawiać się nie tylko nad tym, czy północnoamerykańscy Indianie nie zetknęli się z Europejczykami na długo przed Kolumbem, na co mógłby wskazywać przykład Wikingów, którzy dotarli do Winlandii, ale również, czy biali przybysze nie zasiali wśród nich ziarna chrześcijaństwa, które wpłynęło na wierzenia tubylców.

Przemawia za tą hipotezą mit Pahany, zaginionego białego brata Indian Hopi, który ma wiele wspólnego z Białym i Brodatym bogiem Majów oraz Quetzalcoatlem Azteków i Tolteków. Kiedy w lutym roku 1540 jadący konno szlachcice i piesi żołnierze Francisco Vasqueza de Coronado przybyli do wioski Hopi w Arizonie, byli tam od dawna oczekiwani, bo plemię spodziewało się powrotu Pahany. "Co roku w Oraibi, ostatniego dnia Soyal, kreślono linię na dwumetrowej tyczce przekazywanej przez plemię Niedźwiedzi. W ten sposób próbowano określić czas jego (Pahany), powrotu. Hopi wiedzieli, gdzie go spotkają. Miało to nastąpić na zboczu Trzeciej Wyżyny, gdyby przybył w wyznaczonym terminie, a przy ścieżce Sikya'wa (Żółtej Skały), Chokuwa (Ostrej Skały), lub Nahoyungvasa (Na Rozdrożu), gdyby spóźnił się o pięć, dziesięć, piętnaście lub dwadzieścia lat. Cała tyczka pokryta była znakami, Pahana spóźnił się o dwadzieścia lat". Wreszcie przybył. Był Hiszpanem i nazywał się Pedro de Tovar. Był też pierwszym Białym, który zobaczył Indian Hopi²⁷.

Ale nawet obca, wtopiona w tubylcze wierzenia, sporadyczna skłonność niektórych kultur indiańskich do monoteizmu, a także wiara w nieśmiertelność duszy, nie upoważniają do wyciągania wniosku, iż owe wierzenia są niejako wrodzonym załącznikiem chrześcijańskiego monoteizmu. Brak tu bowiem pojęcia grzechu pierworodnego, tak istotnego dla chrześcijańskiej koncepcji diabła. W załączkach kosmogonii, występujących w indiańskich mitach, konflikty pomiędzy siłami nadprzyrodzonymi, prowadzące do stworzenia życia na ziemi, nie mają konsekwencji dla człowieka, który pozostaje niewinny, a więc nie może nosić w sobie zła. Półbóg Kitschikawano, który pojawia się na ziemi tuż po stworzeniu świata, by pokonać moce zła, jest bóstwem opiekuńczym wojowników i nie można uznać go za wcielenie dobra: jest odważny, lecz nie ma w nim surowości, która cechuje dobre moce. To wesoły kompan, a jego donośny śmiech unosi się nad światem²⁸.

Początkowo, głosi mit kosmogoniczny Apaczów, w miejscu, gdzie teraz znajduje się świat, był tylko mrok, woda i szalały cyklony. Nie było ludzi. Istniały tylko Hactciny, bóstwa o zakrytych obliczach. Wszystko było pustynią, bez ryb, bez zwierzyny. Ale Hactciny miały tworzywo, z którego razem wszystko zrobiły. Najpierw powstały ziemia i piekło, potem niebo. Ziemię uczyniły na podobieństwo kobiety i nazwały matką. Potem zrobiły niebo na podobieństwo mężczyzny, i nazwały je ojcem. Niebo pochylało się nad ziemią. Hactcin Czarny ulepił z gliny zwierzę (od którego pochodzą wszystkie inne zwierzęta) i rzekł: "Zobaczmy, jak będziesz chodził na czterech nogach". W owych czasach każde zwierzę posiadało zdolność mówienia, a wszystkie posługiwały się narzęciem Apaczów jicarilla. Hactcin Czarny wyciągaj rękę i spadł deszcz, on zaś zmieszał go z ziemią, i z błota ulepił ptaka, którego rzucił w powietrze tak, że stworzenie wirowało. Ptak dostał zawrotu głowy i wydawało mu się, że widzi na niebie chmury pobratymców - orły, sokoły, wróble i puchacze. A kiedy przyszedł do siebie, okazało się, że te ptaki naprawdę istnieją.

Ponieważ zwierzęta nudziły się poprosiły Czarnego Hactcina, by stworzył człowieka, zaś potem, by dał mu towarzyszkę życia; tak powstała kobieta.

Wszystko to działo się w piekle, gdzie nie było ani słońca, ani księżyca. Hactcin Czarny i Hactcin Biały wyciągnęli z toreb małe słońce i mały księżyc i powiększyli je, a potem rzucili na niebo. Ich widok poruszył ludzi, gdyż pośród nich było wielu szamanów, którzy twierdzili, że słońce i księżyc to ich dzieło. Zaczęli nawet kłócić się między sobą o to, który wykonał tę pracę i w końcu rozgniewali Hactcinów, tak, że ci zabrali oba ciała niebieskie. "Teraz, powiedzieli szamanom, przekonamy się, czy potraficie je sprowadzić!".

Szamani wirowali, wzbijali się w przestworza, pozostawiając na ziemi tylko oczy,

połykali strzały i całe drzewa, ale nie potrafili tego dokonać. Aż po wielu kolejnych próbach Hactcini zgodzili się znowu umieścić słońce i księżyc na niebie²⁹.

Nie natrafiamy w tej kosmogonii na ślad ducha zła, chyba że za przejaw jego obecności uznamy zachowanie szamanów. Nie ma też wzmianki o grzechu pierworodnym. W mitologiach indiańskich pojawiają się wprawdzie duchy zła, lecz są pasożytami, a nie fundamentalną częścią wszechświata. To figlarze, złośliwe, często okrutne duchy z mitologii ludów północnoamerykańskich, kuzyni celtyckiego Loki*.

Wielki Zając, Pan Królik, Niebieska Sójka, Stary Człowiek, Kruk i oczywiście Kojot, zwiodły misjonarzy i etnologów europejskich, którzy nie oparli się pokusie ujrzenia w tych podstępnych

"Kojot przygotował sobie czapkę z sosnowych szyszek z długimi, sięgającymi ziemi frędzlami z kory cedru. Ludzie Ognia zatańczyli pierwsi, lecz ogień był słaby. Kiedy Kojot i jego przyjaciele zaczęli tańczyć wokół ogniska i narzekać, że nic nie widzą, Ludzie Ognia podsyłali je; Kojot jednak był niezadowolony, dokąd płomienie nie wzbity się w niebo. Jego współnicy oświadczyli wówczas, że jest im gorąco i odsunęli się, żeby ochłonać. W rzeczywistości gotowali się już do ucieczki, a przy ognisku został tylko Kojot. Kręcił się jak opętany, aż jego czapka zajęła się ogniem i wtedy udając przerażenie, błagał Ludzi Ognia, by stłumili płomienie na jego łbie. Odpowiedzieli, że nie powinien tańczyć przy ognisku. Ale on, będąc tuż przy wyjściu, rozpałił cały pióropusz i uciekł pędem. Ludzie Ognia ruszyli w pogoń, lecz Kojot oddał czapkę Antylopie, a ta pogalopowała i przekazała zdobycz następnemu biegaczowi i tak oddawali ją sobie kolejno. Ludzie Ognia zabili wszystkie zwierzęta i o mało nie schwytali Kojota, ten jednak ukrył się za drzewem i podpalił je. Odtąd ludzie mogli krzesać ogień z kawałków drewna³¹."

Campbell pisze, że ten sam mit odnajdujemy u Indian znad rzeki Thompsona w Kolumbii Brytyjskiej, Krików z Georgii,

Czilkotinów mieszkających na północ od rzeki Thompsona oraz Kaśka, szczepu z plemienia Atapasków. Krikowie zastępują Kojota Królikiem, a plemię Kaśka oddaje tę rolę Niedźwiedziowi, strażnikowi Ognistego Kamienia, jak nazywali krzemień, który został w końcu skradziony przez małego ptaszka³². Trickster utożsamiany jest z ogniem, który chrześcijańskie mitologie (bo jak inaczej je nazwać?) wiążą z diabłem, ale ów trickster jest złodziejem ognia, postacią, której długo przypisywano rodowód indoeuropejski. Tymczasem złodziej ognia działa na korzyść ludzkości. Gdyby był diabłem, zmusiłby nas do przebudowy koncepcji złego, albo do uznania, że także Prometeusz był diabłem i że wszelki bunt jest diabelski. Tak zresztą oceniano rewolucję francuską.

A zatem indiańskiego diabła chciano widzieć w bliźniaczym bracie Prometeusza. Nie wiemy, kiedy żyjące o wiele tysięcy kilometrów od ojczyzny Prometeusza plemiona indiańskie niezależnie stworzyły ten sam mit. Być może wyprzedziły Greków, być może oba mity powstały równocześnie. Ale nie była to jedyna zbieżność. Podobnie jak Grecy, Celtowie i ludy Oceanii, Indianie byli ludźmi wolnymi. Są, a raczej byli, najbardziej wolni spośród ludzi. Mieli ranoe, łuki, żyli wśród swoich pobratymców, kierując się poczuciem honoru. Na południu, tam, gdzie mieszkali Indianie Pueblo, zakładali wioski, lecz choć to dziwny i rzadko przytaczany fakt, nigdy nie powstało wielkie miasto indiańskie. Nigdy też nie powstała indiańska wizja polityki ani centralna władza czy imperium indiańskie, a wódzowie nie byli tyranami. Warto zwrócić uwagę na ten wyjątek w dziejach ludzkości.

Bogów i mity indiańskie tworzone na podobieństwo ludzi, tym razem - kochających wolność Indian, którzy nie mieli powodu, by obciążać się grzechem lub powoływać do życia wielkiego bluźniercę czy też wielkiego wroga. Jak na ironię, wielkim bluźniercą okazał się biały, który zbeszcześcił ziemię Indian, a potem pogwałcił zawarte traktaty. Ośmieliła się powiedzieć o tym Amerykanka Helen Maria Hunt-Jackson, która w roku 1881 opublikowała książkę *Stulecie hańby*. Ale było już za późno, by powstrzymać nienawiść i gniew.

Oczywiście emigranci, którzy przybyli w XIX wieku do Ameryki i zawłaszczyli indiańskie ziemie Kolorado, Montany, Idaho, Newady i Oregonu nie mogli pozyskać przyjaźni rdzennych mieszkańców kontynentu. Europejczycy, w tym wielu przynależących do świata przestępczego³³, chcieli się osiedlić i nie zamierzali pozostawić Indianom bezkresnych obszarów, gdzie nie było jeszcze kamiennych budowli, ani kolei żelaznej. Ani uproszczona ideologia saint-simonistów, ani (ten typ myślenia przeważał) bezwzględna

chęć zysku nie pozwalały pogodzić się z takim marnotrawieniem cennych terenów.

Ale piracka mentalność nie tłumaczy wystarczająco straszliwych okrucieństw, jakich biali dopuszczali się wobec Indian. Zadziwia historia wojen i ostatecznej klęski wodza Czejenów Buli Knife'a, a także bitwy z Apaczami w roku 1879. Gdyby pojęcia ludobójstwa i zbrodni wojennej stosowano konsekwentnie, należało by potępić kwiat armii amerykańskiej, która świadomie i systematycznie wyniszczała ludność tubylczą. Około roku 1870 w Arizonie i Nowym Meksyku mieszkało dwadzieścia tysięcy Apaczów, "w 1875 było ich najwyżej siedem tysięcy, a około roku 1890 zaledwie kilkuset", pisali Thevenin i Coze³⁴. Nienawiść białych osadników wobec czerwonoskórych miała także podłoże kulturowe i religijne. W oczach białego człowiek, który nie zna diabła, sam musi nim być.

Któż więc jest wcieleniem diabła?

* Fragmenty Złotej Gałęzi w przekładzie Henryka Krzeczковского, t. I, s.168. nie towarzyszy zdolność do refleksji¹². Należałoby tylko zapytać, czy istnieje zdrowy rozsądek, gdy brak zdolności do refleksji, ale takie rozważania wykraczają poza ramy tej książki. Istota problemu polega na tym, że w owych czasach usiłowano dowieść słuszności paradoksalnej tezy, zgodnie z którą Indianie, nie mogąc pojąć niemożliwej wprost do zrozumienia idei Boga, wykazali brak zdolności myślenia.

* Por. rozdział 7. stworzeniach, kuzynach naszego średniowiecznego Lisa, przodka diabła, oczywiście indiańskiego, ale przecież diabła, bo jak można bez niego żyć? Zaczniemy jednak od tego, że nie jest on diabłem. To superszaman³⁰. "Możemy go sobie wyobrazić... stojącego wieczorem na szczycie góry i spoglądającego na południe", pisze Campbell. "I wydawało mu się, że gdzieś w dali ujrzał światło. Nie wiedząc jeszcze, co to takiego, zrozumiał dzięki darowi jasnowidzenia, że to ogień. I postanowił, że zdobędzie ten cud dla dobra ludzkości. Zwołał współników - Lisa, Wilka, Antylopę, i pognali ku ogniovi. Po długim biegu dotarli do domu Ludzi Ognia, którym oznajmili: »Przybywamy z wizytą, chcemy tańczyć, bawić się i robić zakłady.« Na ich cześć wyprawiono ucztę z tańcami".

Zagadka Quetzalcoatla - Pierzasty Wąż i bóg, który płacze

O tym, jak mało wiemy o kulturach indiańskich - O prehistorii Ameryki i niezadowoleniu, jakie wywołały odkrycia francuskich archeologów - O Olmekach, ich bogach i pogardzie śmierci - O Majach i ich złowrogim bogu, kuzynie naszego diabła - O podobieństwie teokratyczno-państwa Majów do Iranu i Mezopotamii - O wspólnej dla nich idei grzechu i potrzebie pokuty - O Toltekach i Aztekach - O zagadkowym Quetzalcoatlu, zwanym także Quecaltokoatlem i Wirakoczą - O białym bogu, który przybył z morza w VIII wieku naszej ery, i o tym, jak odszedł ku słońcu - O potędze Inków i dziwnym podobieństwie ich wierzeń do religii chrześcijańskiej, które zdumiało pierwszych hiszpańskich zakonników przybyłych do Peru - O symbolu krzyża i płaczącym bogu Inków, a także o domysłach na temat prób chrystianizacji Ameryki przed Kolumbem.

Wiosną roku 1519, opowiada franciszkanin brat Bernardino de Sahagun, hiszpański awanturnik Herman Cortez dotarł na czele liczącej dwanaście statków floty do północnych wybrzeży półwyspu Yucatan. Indianie zepchnęli na krystalicznie czyste wody łódzie, by wypłynąć na powitanie tych bladoliczych i, jak sądzili, boskich istot oraz by obdarować je naręczami kwiatów, a także tkaniną zdobioną kolorowymi piórami i kamykami. Oczekujący przybycia bogów Indianie nie wiedzieli jeszcze, że ich los spocznie w rękach barbarzyńców, którzy przywieźli ze sobą diabła, a pożąдали tylko niewolników i złota.

Krwawa wyprawa Corteza, bo Hiszpan pod pierwszym lepszym pretekstem wymordował trzy tysiące Indian w Cholula, dotarła do stolicy imperium Azteków, Tenochtitlan, gdzie wysłannik Jego Arcykatolickiej Wysokości miał spotkać się z władcą państwa, Moniezumą. Oczom Hiszpanów ukazało się imponujące, wielkie miasto, które wznosiło się na jeziorze Texococo, zbudowane jakby na tratwach, pocięte siecią kanałów i połączone z lądem mostami. Tak pięknego miasta nie znaleźlibyśmy w Europie, co przyznał sam Cortez.

Jego rynek był dwakroć większy od całej Salamanki. Z górskiego źródła woda akweduktem przepływała do serca Tenochtitlan. Indianą Wenecję zamieszkiwali skąpo odziani, ale przystrojeni biżuterią i barwnymi tkaninami ludzie, którzy poruszali się z niezwykle wdziękiem. Sahagun pisze, że wszystko to było niczym "czarowny sen".

W Tenochtitlan doszło do spotkania Corteza z Montezumą i jego dworem - dwustu bosonogimi dostojnikami w lśniących nakryciach głowy. Skóra Indian była czysta i wyglądała świeżo, bo w przeciwieństwie do Hiszpanów, którzy nawet w tym mieście, gdzie wody było pod dostatkiem, nie myli się i nie zmieniali odzieży, sypiając w pełnym rynsztunku, mieszkańcy Tenochtitlan idąc za przykładem władcy kąpali się co wieczór.

Spotkanie to było zapowiedzią apokalipsy. Rajskie kwiaty i bogactwa należały już właściwie do posępnej i groźnej istoty, do diabła, który przybył wraz z mordercami, do chrześcijańskiego diabła chrześcijan.

Rozmyślałem o tym tragicznym spotkaniu dwóch światów, kiedy w roku 1975, na początku mojej drugiej podróży po

Meksyku, pełen ciekawości i przygotowany dzięki licznym lekturom, postanowiłem wybrać się do Xochimilco nieopodal stolicy Meksyku, aby ocenić tamtejsze metro. Wsiadłszy na ostatniej stacji, trzeba było opuścić pastelową krainę podziemnych korytarzy, przesiąść się do tramwaju i powrócić do realiów życia na powierzchni. Wydawało mi się, że godzinami jadę pośród ruder i prowizorycznych chat, otoczony przez bosych, smutnych ludzi, których widok przygnębiał mnie jeszcze bardziej niż owe dzielnice.

Jak to często bywa w czasie podróży, ujrzałem pejzaże odmienne od znanych mi z albumów. Pamiętam, że zadawałem sobie wówczas pytanie, czy raj Sahagua naprawdę istniał? Bo dawne religie meksykańskie, które chrześcijaństwo zdołało jedynie pokryć warstwą złota i podporządkować rzymskiemu obrządkowi, musiały być w swej istocie posępne. Nieco później miałem się przekonać, że tak właśnie było. Kiedy dotarłem do Xochimilco, które pełni optymizmu przewodnicy zwą "roześmianym miastem--ogrodem, gdzie rozbrzmiewa radosna muzyka", nawet nie zerknąłem na siedzące w kucki kwiaciarki, które wypatrywały klientów. Nie miałem ochoty słuchać radosnej muzyki i czym prędzej wróciłem taksówką do stolicy.

Rzadko zdarzało mi się być prawdziwym turystą. Do Meksyku wybrałem się jako podróżnik, więc nie miałem szczególnych powodów ubolewać nad atmosferą Xochimilco. Nie potrafiłem jednak zachować obojętności; zresztą właśnie wtedy Meksyk naprawdę zaczął mnie interesować. Z zadziwiającym stoicyzmem znosiłem wędrówki po kolana w błocie, hotele, gdzie nie było nawet wody, bezsenne noce i głód w Pueblą, dokąd dotarłem już po zamknięciu restauracji. Skąd brał się smutek i przygnębienie meksykańskich wieśniaków, których spotyka się na ścieżkach omijanych przez turystów? Po tych ścieżkach przechadzał się diabeł.

To długa historia! Cywilizacje indiańskie Ameryki Środkowej i Południowej, zwanej przez Europejczyków "prekolumbijską", a potem "łacińską", które istniały na terytorium rozciągającym się pomiędzy południowymi granicami Arizony, Kalifornii, Nowego Meksyku i Teksasu a Ziemią Ognistą, są Europejczykom dobrze znane. Dzięki podróżom, wystawom i mediom nasza wiedza o kulturze Majów, Azteków i Inków jest stosunkowo duża. Najczęściej jednak nie wiemy prawie nic o znaczeniu i symbolice przedmiotów, które oglądamy. Przez wieki oswajaliśmy się ze sztuką grecką, rzymską i egipską, toteż raczej nie grozi nam, że pomylimy Horusa z Anubisem, Wenus z Minerwą czy Hermesa z Zeusem. Gorzej radzimy sobie z Tlalikiem i Wirakoczą. Ziemia Indian to obszar, na którym czują się pewnie tylko eksperci. Kim są więc te tajemnicze brodate postacie, które widzimy na stelach w Oaxaca, kojarzące się zarazem z kulturą Olmeków i Zapoteków? Brodate istoty rzadko pojawiają się w sztuce prekolumbijskiej. Ich obecność to jedna z niezliczonych zagadek dawnej sztuki południowoamerykańskiej. Wkrótce napotkamy także inne nie odgadnięte tajemnice.

Trzeba przyznać, że jest to kultura trudna i hermetyczna. Podróżny, który odwiedzi świątynie w Teotihuacan, nieopodal stolicy Meksyku, lub wyprawi się pięć tysięcy metrów nad poziom morza, do Machu Picchu, odczuwa przede wszystkim zawrót głowy, a dopiero potem długo oczekiwany "zachwyty". Wyznając, że coraz trudniej było mi go z siebie wykrzesać, gdy w latach siedemdziesiątych poznawałem kulturę prekolumbijską,

zwiedzając wspaniałe muzea antropologiczne w Palenque i Uxmal, Muzeum Złota w kostarykańskim San Jose, a następnie oglądając zbiory w boliwijskim La Paź i w Tiahuanaco. Zbyt wiele ujrzałem okrutnych, wykrzywionych masek, zbyt dużo potworów. Ale właśnie te dzieła o największej wartości symbolicznej niosą najwięcej znaczeń. Oczy Europejczyków nieodmiennie przyciągają twarze dorosłych i dzieci, subtelne i wyrafinowane, statuetki przedstawiające zwykłych ludzi, groteskowe lub falliczne naczynia i zwierzęta, wszystko to, co ujawnia dar obserwacji i talent artystów. Ale one najmniej mówią o kulturze, która je wytworzyła. Chcąc ją poznać czasami trzeba zadać sobie gwałt, by poskromić godną ubolewania skłonność do egzotyki i niechęć do świata, aż nazbyt obcego Europejczykowi.

Pomimo starań przewodników i własnych wysiłków turystów trudno jest pojąć, z czego wyrosły imponujące świątynie Słońca i Księżycy w Teotihuacan (wspaniałe zrekonstruowane przez archeologa Leopoldo Batresa), nieodgadniony Mur Piękna w Machu Picchu, owa mozaika dla Tytanów, tak precyzyjnie ułożona z ogromnych brył granitu. Oceny w kategoriach estetycznych zdają się nie oddawać natury tych zjawisk: jak więc oceniać tę kulturę?

Choć liczne znaleziska wskazywały, że obie Ameryki zostały zaludnione znacznie wcześniej, specjaliści z zakresu archeologii i antropologii aż do schyłku lat 80. utrzymywali, że pierwsi mieszkańcy pojawili się tu dwanaście tysięcy lat p.n.e. O ich wierzeniach i kulturze wiedzieli wystarczająco dużo, by pisać piękne, ilustrowane książki. Ale w końcu nastąpił wstrząs. Odkrycia Niede Guidon i Georgette Delibrias w Brazylii (1986) dowiodły, że ludzie zamieszkiwali Ameryki już przed około trzydziestoma pięcioma tysiącami lat p.n.e. Początkowo amerykańska szkoła archeologiczna odniosła się do tych francuskich odkryć pogardliwie, jednak badania rozpadu izotopu węgla C-14 potwierdziły ich prawdziwość. Dziś, choć wciąż budzą niechęć (szczególnie Amerykanów), zostały powszechnie uznane.

Kłopot w tym, że nie są to odkrycia wygodne. Oznaczają bowiem, że kromanończyk, który prawdopodobnie pojawił się czterdzieści tysięcy lat p.n.e., dość szybko przeszedł przez skutą lodem Cieśninę Beringa, by zawładnąć ziemią, na której Genuel - czvk Kolumb chciał szukać Indii. Istnieją dowody, że zaludnienie kontynentu amerykańskiego nastąpiło jeszcze wcześniej, być może nawet w erze zlodowacenia Wisconsin, czyli przed siedemdziesięcioma tysiącami lat *. W takim razie pierwszym mieszkańcem Ameryki byłby neandertalczyk. Na rozwiązanie tego problemu przyjdzie chyba jeszcze długo poczekać.

Zagadką pozostaje, skąd przybyli pierwsi mieszkańcy Ameryk. Jeszcze niedawno odpowiedź wydawała się oczywista - z Azji. Amerykańscy Indianie mieli należeć do typu mongoloidalnego. I zapewne ten typ dominuje. Ale trzeba też uwzględnić hipotezę, że część przybyszów pochodziła z Oceanii, i oni właśnie dotarli na wybrzeże Pacyfiku. Trudno też nie zauważyć, że niektóre ogromne głowy, które zachowały się na terenie Meksyku, a pochodzą z okresu olmeckiego, zwłaszcza te z La Venta i Tres Zapotes, uderzająco przypominają głowy afrykańskie. Szerokie, spłaszczone nosy, wydatne wargi - wszystko w nich kojarzy się z Afryką. Być może na długo przed Wikingami, którzy w IX wieku założyli na Nowej Ziemi kraj zwany Winlandią, "Ziemią Winorośli", ponieważ wzięli porzeczeki za winogrona, do Ameryki przybyli ludzie z dwóch stron świata - z Oceanii i z Afryki.

W Wenezueli odnaleziono w roku 1976 skarb - setki rzymskich monet, z których najmłodsze pochodziły z IV wieku n.e. W grobowcu z Veracruz w Meksyku w roku 1967 natrafiono na rzymskie popiersie Wenus, a w Kolumbii Brytyjskiej na chińskie "miedziaki", zapewne z XII wieku p.n.e. Wspomnijmy o jeszcze jednym, szczególnie istotnym znalezisku - o rzymskiej głowie z III wieku n.e., spoczywającej w meksykańskim grobowcu z XII stulecia2.

Oznaczałoby to, że śródziemnomorscy żeglarze docierali na wschodnie wybrzeża Ameryki Południowej, mogli zatem przynieść tu pewne elementy swojej kultury, może rzymskiej, może orientalnej. Do dziś nie wyjaśniono podobieństw greki i języka Azteków. Na przykład rdzeń teo, "bóg", jak w nazwie Teotihuacan

("Miejsce, w którym ludzie stają się bogami"), jest niemal identyczny z greckim "theos". Podobnie rzecz się ma z imieniem greckiego boga Atlasa, podtrzymującego nieboskłon, i

Aztlana, "nieba", od którego chcieli wywodzić się Aztekowie. A nazwa "Atlantyk"; czy pochodzi od azteckiego Aztlanu, mitycznej krainy, czy też od nazwy gór Atlas, które wszak sięgają wybrzeża oceanu?

Ani te fakty, ani pozostające bez odpowiedzi pytania nie wpłynęły na obiegową wiedzę o Ameryce. Przyznaje się, że przed Kolumbem odkryli ją Wikingowie, ewentualnie irlandzki mnich św. Brendan. Nadmierna pewność w takich przypadkach bywa zgubna. Olmekowie, którzy byli twórcami pierwszej cywilizacji środkowoamerykańskiej i pozostawili po sobie wiele zabytków, pojawili się w Meksyku, w rejonie Veracruz, około 1250 roku p.n.e. Byli doskonałymi astronomami, twórcami pierwszego pisanego kalendarza amerykańskiego, a także oryginalnej sztuki. Ich cywilizacja zaginęła około roku 600 p.n.e. i właściwie nic o nich nie wiemy.

"Skąd pochodzą Olmekowie? Jak narodziła się ich architektura? Ile pokoleń pracowało nad kalendarzem?"³. Wszystko to pozostaje tajemnicą.

Z trzydziestu pięciu, a może siedemdziesięciu tysiącleci historii kontynentu znane są nam zaledwie trzy ostatnie, poprzedzające naszą erę. Oznacza to, że odkrycia, jakie zostaną być może dokonane w przyszłości, mogą zburzyć doszczętnie naszą wizję cywilizacji indiańskich Ameryki Południowej i Środkowej. O religiach tych ludów wiemy bardzo mało. To, co z nich przetrwało, uległo z pewnością wpływom zewnętrznym, w tym wschodnim, śródziemnomorskim i chrześcijańskim. Poszukiwanie diabła na tej ziemi jest iście piekielnym zadaniem.

Problem komplikuje się dodatkowo, ponieważ Amerykę Środkową i Południową zasiedliły, przynajmniej po części, te same ludy mongoloidalne, które przybyły z Azji przez północną część kontynentu. Jednak gdy Nawahowie wydają nam się "znajomi",

Aztekowie i Majowie wciąż pozostają zagadką. Tak mało wiemy o ich dziejach, tak często nasza wiedza okazuje się fałszywa. W latach osiemdziesiątych XX wieku okazało się, że Toltekowie, których dotąd uważano za lud wyizolowany, zamieszkujący północny zachód Meksyku, podbili w X i XI wieku niemal cały Jukatan. A jeszcze w roku 1930 Amerykanie kategorycznie odrzucali tę hipotezę. Znacznie lepiej znamy Egipt i Mezopotamię sprzed trzech tysięcy lat niż Amerykę Łacińską sprzed dziesięciu stuleci.

Czujemy się trochę zażenowani, nie tylko dlatego, że nasza wiedza archeologiczna jest nader skąpa, ale i z tej przyczyny, że Indianie z Ameryki Środkowej i Południowej w przeciwieństwie do północnoamerykańskich, pozostawili po sobie trwałe ślady

- świątynie, piramidy, kamienne i gliniane rzeźby, płaskorzeźby, freski, przedmioty kultu i codziennego użytku, a także teksty pisane. Żadna kultura nie osiąga tego stadium rozwoju, jeśli wcześniej nie wzbogaci się i nie ma za sobą dość długiej historii- pamięci popartej samoświadomością i związkiem z miejscem, w którym się narodziła. Musi po prostu osiągnąć odpowiedni stopień złożoności. Jak zauważył historyk V. G. Childe, pismo pojawia się, gdy wielkość i bogactwo populacji osiągną jednocześnie "masę krytyczną". Wtedy okazuje się, że trzeba dokonywać różnorodnych obliczeń. Pojawiają się cyfry, po nich rodzi się pismo i wówczas myśl staje się coraz bardziej precyzyjna i wyrafinowana.

W jaki sposób ukształtowały się cywilizacje amerykańskie? Jaki wpływ wywarły na nie ludy, które wcześniej żyły na tych ziemiach? Wszystko to owiane jest mgłą tajemnicy. Możemy tylko założyć, że Olmekowie, najstarsi znani nam mieszkańcy Meksyku, pojawili się w połowie II tysiąclecia p.n.e.⁴, że cywilizacja Majów rozwinęła się w III wieku n.e. i została zniszczona w połowie XVI w. Zrodzona za czasów Dioklecjana dotrwała zatem do epoki Filipa II.

A zatem, kiedy ich północnoamerykańscy "bracia" polowali na niedźwiedzie i bizona, prowadząc na pot koczowniczy tryb życia, mieszkając w namiotach i przemieszczając się w miarę potrzeby, Indianie z Ameryki Południowej wznosili kamienne budowle, rozwinęli architekturę i rolnictwo (także system nawadniania pól), a nawet astronomię. Osiągnęli poziom wiedzy, umożliwiający obserwację zaćmień Słońca przez płytki ze szlifowanego obsydianu. Stworzyli system polityczny, mieli dziedziczną arystokrację, kastę wojowników i, jak każde potężne państwo, dążyliby z czasem do podbojów. Dla tak zwanego przeciętnego człowieka Indianie Ameryki Północnej to mozaika bliskich sobie ludów. Ten sam przeciętny człowiek uświadamia sobie, jak bardzo Olmekowie różnili się od Majów, zaś Majowie od Azteków i Inków, ponieważ kultury środkowe i południowoamerykańskie zdążyły się wyraźnie zróżnicować.

Choć wiemy o tym wszystkim, nie znamy, lub znamy nader słabo, system wierzeń południowoamerykańskich.

Te na pozór "prymitywne" religie opierały się na kosmologii, która wyznaczała dwie odrębne sfery - ludzką, czyli powierzchnię ziemi, oraz sferę mocy nadprzyrodzonych, z których część zamieszkiwała niebo, część - podziemia, zwane tu przez nas piekłem. Już Olmekowie, najstarsi mieszkańcy Meksyku uważali, że świat "ziemski" to lądy i wody, a jego symbolem uczynili krokodyla lub kajmana unoszącego się na falach, który potem stał się bogiem płodności. Wodę symbolizowała ryba, zapewne rekin, a odnalezienie prawdziwych zębów tego zwierzęcia-bóstwa przez archeologów pozwala przypuszczać, iż jego kult wiązał się z rytualnymi ofiarami. Trzecie święte zwierzę skromnego panteonu Olmeków to wąż, symbol władców.

Uważa się, że Olmekowie składali krwawe ofiary⁵, można też przypisać im prymitywną filozofię, która zakłada przejściowy charakter życia, kiedy bowiem umierał olmecki król, poddani dokonywali rytualnego okaleczenia posążków związanych z jego panowaniem, pokrywali rzeźbami monumentalny tron i utrwalali w kamieniu ogromną głowę, jakich wiele odnaleziono w La Venta, San Lorenzo i Tres Zapotes⁶. Nie wiadomo nic o ich demonach, możemy tylko wyobrazić sobie, że składali ofiary, by ukoić gniew bogów zdolnych czynić zarówno dobro, jak i zło.

Nie wiemy, ani skąd pochodzili Olmekowie, ani co stało się przyczyną ich wyginięcia. A zniknęli nagle mniej więcej w połowie IV wieku p.n.e, po nich zaś nastąpiła cywilizacja Teotihuacan, wyrosło wspaniałe miasto-państwo, które rozciągnęło swe wpływy na całą Amerykę Środkową, na ludy, takie jak Totonakowie z Veracruz i Zapotekowie z Oaxaca. Teotihuacan było kolebką kultury meksykańskiej, lecz wiemy o nim bardzo mało, nie dysponując żadną próbką pisma. Wiemy, że takowe istniało, "ale papier lub skóra, dokumenty malowane lub sporządzone inną techniką z biegiem czasu uległy zniszczeniu"⁷. O wizji świata mieszkańców miasta wiele mówią ocalałe dzieła sztuki. Na fresku zwanym "ziemskim rajem", odkrytym w Tetitla, dzielnicy Teotihuacan, istoty podobne do duchów tańczą z motylami i ta idylliczna wizja zaświatów pozwala odgadnąć, iż śmierć nie przerażała ludzi tej kultury, którzy zresztą niezbyt wysoko cenili ludzkie życie. W Teotihuacan składano ofiary z ludzi, wydzierając z ciała serce, by oddać je bogu płodności, deszczu, a może jakiemuś innemu. Bóg symbolizowany przez Gwiazdę Zaranną, w którym dostrzegamy poprzednika sławnego Ouetzalcoatla, odrzucał krwawe ofiary, przyjmując tylko kwiaty i owoce. Nie wszędzie okazywał taką łagodność, bowiem gwatemalscy Pipile poświęcali mu ludzkie serca.

Chcielibyśmy uwierzyć, że religia Teotihuacan oscylowała pomiędzy dobrem a złem, pomiędzy dobrym bogiem i złym diabłem. System polityczny Olmeków - teokracja militarna - burzy dumezilowską triadę wojownik-kapłan-rolnik: "Bogowie

Teotihuacan byli bogami rolników, ale nosili broń i często wyglądali jak wojownicy... Hierarchia kapłańska była w istocie hierarchią wojskową"⁸. Wydaje się jednak, że szczególnie ważną była ambiwalencja bóstw, które człowiek mógł pozyskać wyłącznie dzięki ofiarom. Ten sam bóg bywał dobry lub zły, zależnie od tego, czy czuł się zadowolony, czy też nie. Przypomnijmy, że podobnie rzecz się miała w wielu innych kulturach, przede wszystkim zaś w Indiach.

Cywilizacja Teotihuacan, tak jak olmecka, upadła nagle, w VI wieku n.e., i właściwie nie znamy powodów jej klęski. Jedną z hipotez głosi, iż doszło do tego w wyniku rebelii podległych plemion - Pipilów i Totanaków, którzy mieli zablokować drogi wiodące do Teotihuacan; są to jednak tylko pozbawione podstaw historycznych domysły. Dzieje cywilizacji prekolumbijskich, podobnie jak religie Indian, są wciąż zbyt słabo znane.

Równie nagle wyrosła cywilizacja Majów, o której Soustelle pisał, że pojawiła się "tak gwałtownie, iż skłonni jesteśmy wierzyć w samorzutne narodziny, w stworzenie ex nihilo"⁹. Autor dodaje jednak, że to tylko złudzenie. O Majach wiemy zresztą znacznie więcej niż o Olmekach czy Teotihuacanie. Wiemy na przykład, że na ziemiach zajętych przez Olmeków żyła populacja Majów i że lud ten po przybyciu Olmeków podzielił się na dwie grupy, z których jedna wyruszyła na północ, a druga na południe, i tam właśnie powstał właściwy lud Majów, który zatem nie wyrósł nagle spod ziemi.

Więcej potrafimy też powiedzieć o ich religii, bo utrwały ją budowle, rzeźby, freski, a wreszcie - manuskrypty Majów¹⁰. Księga Chilam Balam albo Wróżbita Jaguar, Obrządek

Bacabów, (podrzędnych bóstw mających podierać sklepienie niebieskie czterema drzewami), a przede wszystkim spisana wkrótce po najeździe Hiszpanów Popol Vuh, którą Soustelle uznaje za "jedno z największych osiągnięć w dziejach religijnej literatury świata", dostarczają nam sporo informacji. Mimo tego trudno byłoby przedstawić dzieje religii Majów, ponieważ zachowane dokumenty pochodzą ze schyłkowego okresu istnienia ich państwa i nic nie mówią o czasach wcześniejszych, a także dlatego, że nie wiemy, jaki wpływ na te sporządzone alfabetem łacińskim teksty wywarła cywilizacja europejska. Odnajdujemy w nich oprócz tego wyraźne ślady wpływów wewnętrznych, przede wszystkim tokeckich, i dostrzegamy obecność obcych Majom bóstw lub zmiany ich imion na obce (na przykład bóg deszczu Chac występuje obok Metzaboka). Nie mamy zatem pewności, czy najazd Tolteków nie spowodował głębokich przemian w religii Majów. Znamy tylko wierzenia Majów z Jukatana, gdzie ich państwo powstało dość późno.

Bez względu na te niedostatki wiedzy możemy stwierdzić, że cywilizacja Majów była najdoskonalsza i najbogatsza spośród cywilizacji prekolumbijskich. "Nazwani przez współczesnego antropologa Grekami Nowego Świata, Majowie osiągnęli... imponujący poziom intelektualny i artystyczny", czytamy w Encyclopaedia Universalis. Szkoda tylko, że zrozumiano to dopiero po czterystu latach od odkrycia Ameryki przez Kolumba, długo po tym, jak oszołomiona złotem i arogancka Europa unicestwiła tę cywilizację, pozwalając, by dżungla pochłonęła budowle i dzieła sztuki, uznane za "barbarzyńskie", a więc i "diabelskie". Właściwie cywilizację Majów odkryto dopiero w XIX wieku, kiedy amerykański dyplomata John L. Stephens spisał opowieść o nowych meksykańskich i gwatemalskich znaleziskach. Stajemy przed kryptą w Palenque, gdzie spoczywa na kamiennej płycie młodzieniec o szlachetnym profilu, zapatrzony na wieki, jakby pod wpływem jakiegoś przeczcucia w krzyż, i unoszącego się ponad nim ptaka życia - symbol boga Ouetzalcoatla, przed grupami imponujących, barokowych rzeźb z Copa i podziwiamy bogactwo wyobraźni Amerykanów, którzy zamieszkiwali tu przed przybyciem Europejczyków. Ten krzyż wprawia w zadumę, a naprawdę jest nad czym rozmyślać.

Jak w większości cywilizacji agrarnych, w panteonie Majów dominują trzej bogowie, reprezentujący trzy aspekty płodności - Kinich Ahan ("Pan Kinich"), uosabiający słońce, Chac, bóg deszczu oraz bóg kukurydzy. Obok nich zasiada dziewięć bóstw zaświatów i podziemi oraz trzynastu bogów dnia, bo tyle jest nieboskłonów nad ziemią. Pierwszymi władca bóg śmierci, Cizin, sprawca trzęsień ziemi i epidemii, drugimi "wielki bóg" Itzamna, znany też jako "Dom Iguany", stwórca wszechświata, "bezzębny i pomarszczony starzec", łączony ze słońcem". Tenże Itzamna, małżonek Ix Chebel Yax, patronki tkaczy, pojawi się w wierzeniach Majów z Jukatana jako Hunab Ku, "jeden bóg", co wskazuje na skłanianie się Majów ku monoteizmowi, choć jest to wciąż tylko jeden z bogów. Każde z bóstw jest zarazem jedyne i czworakie, jak cztery strony świata, a także jednocześnie dobre i złe¹².

Ta ostatnia cecha wystarcza, by zrezygnować z doszukiwania się w Cizinie poprzednika jedynego diabła. Przedstawiany pod postacią niemal szkieletu o odartym z ciała torsie, bóg śmierci pojawia się w towarzystwie złowieszczonego Yum Cimila, "pana śmierci", wczesnego odpowiednika ponurego Barona Soboty z kultu Woodoo¹³, który nawiedza wioski, poszukując umierających. Zwróćmy uwagę, jak bardzo ten mit przypomina pewne wierzenia z Wysp Trobrianda¹⁴.

Przed wszystkim jednak pamiętajmy, że zło według Majów nie bierze się wyłącznie z gniewu kapryśnych bogów, jak w wielu innych religiach świata, lecz jest także skutkiem działania bóstw jednoznacznie złych, jak Yum Cimil. Oczywiście Cizin nie może być diabłem, ponieważ jest bogiem, który, choć wrogo nastawiony do ludzi, nie jest antagonistą stwórcy, Itzamny. Jednak możemy uznać go za kuzyna naszego diabła w religii Majów, bo mieszka jak on w piekle, to znaczy pod ziemią, i jest zły. Aby stał się rodzonym bratem diabła, trzeba jeszcze tylko owej iskry buntu, która stworzyła szatana. Tymczasem jest dalekim krewnym Arymana Zaratustry i mezopotamskich demonów, choć nie dorównuje im rangą. W dyktatorskim systemie państwa Majów z Jukatana z pewnością miewał się doskonale. Wyizolowani na otoczonym wodami oceanów skrawku ziemi kapłani nie wymyślili Diabła, choć byli już tego bardzo bliscy.

Bo przecież struktura społeczeństwa Majów, podobnie jak Iranu i Mezopotamii, była

arystokratyczna, i zarazem teokratyczna. Władzę piastowali kapłani i królowie-kapłani, co doprowadziło u schyłku X wieku do pierwszego załamania państwa w wyniku buntów chłopskich. Skostniaли duchowni nie byli w stanie powściągnąć rebelii, która rujnowała imperium i oto dobiegł końca najwspanialszy okres jego rozwoju, zwany klasycznym. Wspaniałe miasta - Uxmal i Chichen-Itza opustoszały. Buntownicy nie zyskali spodziewanych swobód, bo obce plemię, Itzowie, narzuciło Majom nową wojskową tyranie i wprowadziło praktykę składania ofiar z ludzi¹⁵.

Charakterystyczne dla Ameryki prekolumbijskiej tyranie wojskowych i kapłanów wyjaśniają najbardziej posępne aspekty indiańskich religii - nie tylko zwyczaj składania ofiar z ludzi, lecz również ciągłe i przytłaczające poczucie winy, w jakim żyli Indianie. Uderza mnogość obrzędów pokutnych, którym oddają się Majowie. Soustel-le opisuje płaskorzeźbę, przedstawiającą kobietę, która klęczy przed kapłanem unoszącym sztandar z piór. Owa kobieta przeciąga przez język sznur najeżony kolcami, trwale się okaleczając, a "przed nią stoi kosz wypełniony narzędziami, których użyła, by przebić ciało". Przebijano sobie nie tylko języki, ale także uszy i nadgarstki, po to, by przegnać demona. Podobne udreki zalecała religia Mezopotamii, i nic dziwnego, że odnajdujemy je w meksykańskich tyraniach.

Choć Majowie rzadziej niż Olmekowie składali w ofierze ludzi, to jednak zwyczaj ten nie był im obcy, czego dowodzą reliefy i freski ze Świątyni Jaguara i Świątyni Wojowników. Przedstawiają ułożonych na ołtarzu ludzi, których trzymają za ręce i nogi ofiarnicy, gdy tymczasem kapłan wznosi nóż, by otworzyć klatkę piersiową nieszczęśnika i wyrwać mu serce. A zatem Majowie nie ustępowali Aztekom, lubującym się w tego rodzaju okrucieństwach. Trudno przypuszczać, że ktokolwiek mógłby w tej społeczności uchylić się od samookaleczenia lub udziału w składaniu ofiar.

Nasuwa się pytanie, jaki wpływ na postawę społeczeństwa wywierał częsty widok skrwawionych ciał, które ćwiartowano niczym wieprze. W XX wieku wolno nam powątpiewać w dobroć i łagodność tych ludzi, pamiętajmy jednak, że Majowie gardzili życiem, a samobójcom obiecywali wieczną szczęśliwość i szczególną troskę bogini wyobrażonej jako wisielec z zamkniętymi oczyma. Śmierć jest niczym i życie jest niczym. Ten fatalizm kojarzy się z nihilizmem pewnych reżimów politycznych naszego "wspaniałego" XX wieku - pomyślmy tylko o szesnastu milionach zamordowanych pod stalinowskimi rządami, o sześciu milionach ofiar III Rzeszy, o dwóch milionach ofiar czerwonych Khmerów, a wreszcie - o dziesięciu milionach ofiar wynalazku zwanego samochodem.

Podobnie jak w Mezopotamii, nie sposób więc było uniknąć rytualnych okrucieństw. Struktura społeczeństwa Majów była sztywna, hierarchia wyraźna, a życie toczyło się zgodnie z ustalonymi regułami, które obowiązywały wszystkich bez wyjątku. Soustel-le pisze, że wódz naczelny musiał przestrzegać "ściśle wyznaczonych tabu: wybrany na trzy lata, nie miał prawa w tym okresie współżyć z kobietą ani jadać mięsa, ani się odurzać. Żywił się kukurydzą, rybami i iguanami. Naczynia, których używał, leżały z dala od innych"¹⁶. A zatem żył niemal jak kapłan! Kapłaństwo zaś, to prawdziwe, było dziedziczne i dostępne dla dość licznej, sądząc po liczbie świątyń i obrzędów, grupy społecznej. Oznacza to, że społeczność Majów była autorytarna i zapewne silnie zmilitaryzowana, toteż mity o złu i konieczności zwalczania go poprzez umartwianie się miały ogromne znaczenie.

Wiedząc o tym, łatwiej zrozumiemy, dlaczego te populacje bez większego oporu przyjmowały chrześcijaństwo - otóż Jezus był przez nie utożsamiany z bogiem-słońcem Ouetzalcoatlem lub Kukulcanem, Matka Boska z księżycem, krzyż zaś przeobrażał się w symbol dobroczyńnego deszczu¹⁷. Również grzech nie był tu pojęciem obcym, a pokutę Indianie znali od dawna!

Zatrzymajmy się teraz przy Ouetzalcoatlu i określmy miejsce, jakie zajmowała w religii Majów ta dość dziwna postać.

Kiedy Hiszpanie ruszyli śladami Kolumba, zetknęli się nie tylko z religią Majów, lecz także z wierzeniami ludów, które żyły na tych obszarach później. Nie wiemy dokładnie, kiedy na ziemi meksykańskiej pojawiły się dwie populacje, które stworzyły niezwykle kultury. Nie wiemy też, skąd pochodziły te ludy - Toltekowie i Aztekowie. Toltekowie pojawili się już około VIII wieku, ale ich wcześniejsze dzieje wciąż stanowią zagadkę,

dlatego nie potrafimy ustalić pochodzenia ich wierzeń. Przypuszczano, że prowadzili koczowniczy tryb życia, by w końcu założyć królestwo, ale takie wyjaśnienie nie satysfakcjonowało specjalistów.

Na czym zatem opiera się hipoteza określająca czas powstania ich państwa na VIII w.? Historia jakby z nas zadrwiła, bo datę ustalono opierając się na micie, zaś czas powstania tego mitu pomogła określić astronomia. Mam na myśli opowieść o stworzeniu świata, w której Quetzalcoatl, "wegetariański" bóg Olmeków, słynny Pierzasty Wąż, przybył na ziemię, by założyć dynastię tolteckich władców. Chyba w każdym zakątku świata królowie i cesarze starali się dowieść swego boskiego pochodzenia. Quetzalcoatl był piękny, młody, i królował w Tollan. Dobry i szlachetny, zabronił składania w ofierze ludzi. Wspomnijmy też, że natura obdarzyła go niezwyklej rozmiarów penisem i że bóg-król zakochał się w księżniczce-bogini, która wiedziała, jak zapanować nad jego temperamentem. Sięgający chętnie po środki odurzające

- pulke, a może peyotl, Quetzalcoatl nie potrafił powściągnąć miłosnych zapałów. Wytrzeźwiawszy, gorzko żałował tego, co uczynił i wypłynął w morze jako wąż. Słońce spaliło skórę węża, a jego serce powędrowało do nieba, by przeobrazić się w planetę, którą nazywamy Wenus. Inna wersja mitu głosi, że dotarłszy nad brzeg oceanu, Quetzalcoatl wstąpił na stos, ogień strawił jego ciało, a serce boga trafiło do nieba. Wydarzenia te zbiegły się z zaćmieniem Słońca¹⁸, które stosunkowo łatwo można usytuować w czasie.

Historycy otrzymali tym razem wyjątkowo cenne wskazówki

- zaćmienie Słońca nastąpiło w chwili, gdy na niebie widoczna była Wenus, co zdarza się niezwykle rzadko. Angielskie obserwatorium w Hurstmonceux ustaliło, że stało się to 16 lipca roku 79019. A zatem dynastia toltecka została założona dokładnie 16 lipca roku 790, gdy Gwiazda Zaranna, Tchnienie Życia czy - jak o niej również mawiają - Bóg Wiatrów, zjawiła się na ziemi.

Oto bóg, który zadawała podświadomie pragnących pokoju etnologów i historyków, znużonych widokiem serc wyrwanych z krwawiących piersi. Wspomnieliśmy już, że Quetzalcoatl potępił te makabryczne obrzędy²⁰. Warto też zauważyć, że właśnie jego kult przejmą od Tolteków Aztekowie oraz że ma on zaprzysięgłego wroga, Tezcatlipokę.

Dzieje Tezcatlipoki uderzająco przypominają historię Quetzal-coatla - tak jak on jest pięknym młodzieńcem, choć bez jednej nogi, którą pożarł krokodyl. Nosi lśniąca protezę z obsydianu, i tak jak Quetzalcoatl obdarzony jest wyjątkowo dużym penisem. Przechadzał się po targowisku w Tollan całkiem nagi (jak głosi legenda, "przebrany" za kupca), aż w końcu ujrzała go księżniczka Tollanu, stolicy Tolteków i zakochała się w bogu o tak bujnej męskości. Kiedy rozchorowała się z miłości, ojciec pozwolił jej poślubić urodziwego młodzieńca. Inna wersja głosi, że Tezcatlipoka odurzył pulke króla Tollanu i uwiódł jego córkę, a ona poczęła syna, który przyszedł na świat w magicznym dniu Dziewięciu Wiatrów. Tezcatlipoka został ojcem księcia Tollanu i wtedy począł siać w królestwie ziarno niezgody, a czynił to tak zręcznie, że Quetzalcoatl postanowił opuścić miasto. Tezcatlipoka przywrócił zwyczaj składania krwawych ofiar z ludzi. Na jego cześć odbywało się święto, podczas którego wybierano przystojnego młodzieńca, by wyrwać mu serce i ofiarować je bogu.

Tezcatlipoka jest niczym zły brat-bliźniak Quetzalcoatla. Obaj są piękni, młodzi, obdarzeni wydatną męskością, obaj też uwodzą księżniczki, ale jeden jest przeciwnikiem, a drugi zwolennikiem krwawych ofiar, jeden jest dobry, a drugi zły. Tezcatlipokę można zatem uznać za "diabła", antagonistę boga Quetzalcoatla.

W rzeczywistości jednak symboliczna wymowa tego konfliktu jest odmienna niż znaczenie religijnego antagonizmu pomiędzy dobrem a złem.

Quetzalcoatl, przynajmniej ten stroniący od krwi ("wegetariański"), był bogiem cywilizacji Teotihuacan²¹, której religia koncentrowała się wokół bóstw "rolniczych", a chyba żadne z nich nie było żądne krwi. W VIII w, a więc na krótko przed założeniem dynastii królów tolteckich przez Quetzalcoatla, potęga Teotihuacan zaczęła podupadać. Był to także okres schyłku religii i wtedy pojawił się na scenie obcy bóg, Xipetotec, któremu składano w ofierze ludzi. Quetzalcoatl nie zniknął jednak z panteonu, choć miał teraz kolejnego rywala. W IX wieku wojowniczy lud Tolteków podbił Wyżynę Meksykańską i założył nową stolicę, Tollan²². Wraz z Toltekami pojawił się bóg

Gwiazdzistej Nocy, czyli Tezcatlipoka. Przez całe stulecie obaj bogowie walczyli ze sobą, aż w końcu Quetzalcoatl utracił dominującą pozycję i opuścił Tollan. Trudno o bardziej oczywisty przykład mitu religijnego, stanowiącego wierne odzwierciedlenie realnych wydarzeń historycznych, a zarazem pozbawionego wartości etycznych. Quetzalcoatl jest dobry, Tezcatlipoka nie jest zły, obaj symbolizują po prostu antagonistyczne mity zrodzone w odmiennych kulturach.

Aby zrozumieć istotę problemu, zauważmy, że wszystkie społeczności prekolumbijskie - Toltekowie i Aztekowie, którzy zajęli ich miejsce - były społecznościami wojowników. Wojna stanowiła warunek sine qua non ich przetrwania, zaś bogowie, dzięki którym odnosili zwycięstwa, domagali się krwi ofiar. Triumf Quetzalcoatla pociągnąłby za sobą klęskę Xipetoteca, a potem także Tezcatlipoka i dlatego nie wolno było do niego dopuścić. Tylko dzięki krwawym ofiarom udawało się powstrzymać sąsiednie i rywalizujące ze sobą plemiona. Kiedy wojna nie dostarczała rytualnych ofiar, Toltekowie świętowali "Wojnę kwiatów", rytuał, którego nazwa jest myląca, ponieważ turnieje kończyły się zawsze śmiercią pokonanych i do tej właśnie tradycji nawiązał w roku 1440 sławny władca Azteków, Montezuma. Doprawdy, Quetzalcoatl, który jako pierwszy potępił ofiary tak "ważne" dla wojowników i państwa, musiał zdumiewać.

Zwycięstwo Tezcatlipoki dowodzi, że obrzędy religijne mogą stanowić i często stanowią jedynie wierzchnią szatę przykrywającą problemy społeczne i polityczne. Cóż jednak mamy sądzić o Quetzalcoatlu? Przekonamy się, że istnieją podstawy, by zastanawiać się, czy nie był on Europejczykiem, a nawet - europejskim chrześcijaninem.

Cywilizacja Ameryki Środkowej, owego worka, w którym znalazły się bezkresne obszary Północy i Południa, jest nam równie słabo znana jak dzieje Meksyku. Rozdarta i sztucznie podzielona na liczne kraje - Gwatemalę, Honduras, Nikaraguę, Kostarykę, Panamę, buntującą się przeciw inwazji gringos z Północy, Ameryka Środkowa ma za sobą długą historię. Zgodnie z obecnym stanem wiedzy, w I tysiącleciu p.n.e. obszary te objęła migracja ludów, które przemieszczały się na północ i na południe, spotykając się po drodze, a zapewne także tocząc walki i mieszając krew poprzez małżeństwa i gwałty, pertraktując i znowu walcząc, i tak aż do przybycia Europejczyków. Kukurydza, maniok i przede wszystkim złoto, handel i wojny - oto, na co natrafiają europejscy archeolodzy. Wiemy na przykład, że dawno temu na terytorium obecnej Kolumbii na krótko uzyskało hegemonię plemię Czib-czów. O radościach i kłopotach dnia codziennego, o naiwnych, a może szaleńczych marzeniach, o zwykłym życiu i dramatycznych walkach, których świadkiem była ziemia amerykańska prawie nic dziś nie wiemy.

Z późnych, ale jedynek, które dostarczają nam pewnych informacji o tej ziemi opowieści towarzyszy Kolumba dowiadujemy się, że większość tubylców chodziła nago i tylko z okazji świąt kobiety ozdabiała tona zielonym kamieniem. Ci sami podróżnicy utrzymują, że tubylcy byli kanibalami²³. Wierzenia z południowej części Meksyku, a także Peru, gdzie rozkwitła najwspanialsza cywilizacja Ameryki Południowej, cywilizacja Inków, znamy tylko z dzieł sztuki, przedstawiających głowy jaguara, aligatora i małpy. Tym prymitywnym bóstwom z pewnością składano ofiary z ludzi, nie tylko krwawe. Czibczowie nie zawsze masakrowali w straszliwy sposób nieszczęsnych wybrańców; czasem skazywali ich na śmierć z głodu i pragnienia w palącym słońcu. Ich bóstwa cechowała ambiwalencja, a Inkowie, tak jak Olmekowie, Majowie, Aztekowie i wiele innych ludów, wyobrażali sobie, że są one zdolne czynić dobro, gdy są syte, kiedy jednak nie zaspokoją ich głodu, mogą okazać swoją wrogość. Konające w słońcu ofiary były bożymi psami²⁴. Pod tym względem Inkowie - lud z północy, który podporządkował sobie około roku 1200 ludy Mochica i Chimu - nie różnili się od innych plemion.

Diabeł, zgodny z wyobrażeniem, jakie wyrobiliśmy sobie w ciągu stuleci, nie musiał wcielać się w konkretnego boga, drzemał w każdym z nich, a to znaczy, że był wszechobecny. Nie oznacza to, że był wszędzie, ale że mógł, jak w wielu religiach pierwotnych aż do czasów Buddy i Lao-tzu, pojawić się w dowolnym miejscu. "Nie wierzymy, lecz boimy się!", powiadali Aztekowie. Te słowa, które moglibyśmy przypisać Kierkegaardowi, powtórzyliby wszyscy amerykańscy Indianie. Inkowie, podobnie jak inne ludy Ameryki, czcili jaguara nie dlatego, że był dla nich święty, huaca, ale dlatego, że budził ich lęk²⁵. Strach przed nim łączył Inków, Meksykanów i Mezopotamczyków.

Załamaniem tego zamkniętego systemu teologicznego i społecznego dokonało się jednak

w okresie dominacji Inków w Peru. Wtedy doszło do Piątej Katastrofy, zapowiadanej przez religię Inków. Stało się to w listopadzie 1532 roku, a więc wówczas, gdy żądny złota i władzy konkwistador, Francisco Pizarro, przybył wraz z sześćdziesięcioma przerażonymi towarzyszami na główny plac inkaskiego miasta Cajamarca, gdzie spotkał się z władcą Inków i osiemdziesięcioma tysiącami jego wojowników. Dominikanin Wincenty de Valverde pokazał władcy Inków brewiarz, on zaś z podziwem przypatrywał się okładce. Inkowie nie znali przecież pisma i właśnie dlatego tak mało o nich wiemy²⁶. Atahualpa upuścił książkę na ziemię, a wówczas pozostający w zмовie z Pizarrem dominikanin zakrzyknął: "Chrześcijaninie! Do ataku na te psy, które brukają świętości!". Wystrzał z działa wprawił w osłupienie armię Atahualpy i zaczęła się rzeź. W ciągu dwóch godzin napastnicy wybili blisko siedem tysięcy Inków i wzięli do niewoli Atahualpę. 26 lipca roku 1533, zgodnie z utrzymującą się do naszych czasów hiszpańską tradycją, uduszono go za pomocą garroty, zmuszając przedtem do przyjęcia wiary chrześcijańskiej. A przecież Pizarro uroczyście przysiągł uwolnić Atahualpę, gdy ten nawróci się i ochrzci. Zapewne jednak Pizarro, dobry katolik, nie czuł się zobowiązany dotrzymać słowa danego niewiernemu

Dopiero wtedy diabeł jako odrębna istota, źródło wszelkiego zła, diabeł z rogami, które przecież gdzie indziej symbolizowały siłę i płodność, tak potrzebne Zachodowi, ten potwór stworzony dwadzieścia dwa stulecia wcześniej przez irańskich i mezopotam-skich magów, wkroczył na ziemię peruwiańską. Wielki bóg Pachacamac ludów Chimu i Mochica, który stał się w religii Inków Wirakoczą, ale pozostał stwórcą świata, pierwszego mężczyzny i pierwszej kobiety, bogiem-słońcem, poszedł w zapomnienie. Imperium Inków rozpadło się, a biali zagarnęli złoto Indian.

Inkowie uważali, że zło jest rozproszone i czai się wszędzie, a ludziom stale groził gniew bogów, którzy byli też jego źródłem. Chrześcijaninie wierzyli natomiast w jednego diabła, który również mógł przebywać wszędzie. Ta zbieżność zasługuje na szczególną uwagę, a to ze względu na niezwykle bóstwo, jakim był Quetzal-coatl.

Unicestwiona z woli żądnych władzy i złota hiszpańskich awanturników, do których przyłączyli się fanatyczni kapłani, religia Inków jest dziś praktycznie nie znana, choć przecież, gdyby najeźdźcy zechcieli ją poznać, nie mogłaby ich oburzyć, a dominikanin Valverde być może nie ogłosiłby tak pochopnie, że z pomocą Chrystusa Pizarro i jego ludzie wymordowali tylu Indian. Gdyby napastnicy okazali choć odrobinę "chrześcijańskiego" miłosierdzia i otwartość na obcą kulturę, uderzyłby ich zapewne fakt, że Inkowie, podobnie jak ich poprzednicy - Mo-chika i Chimu, wierzyli, iż każdy człowiek ma swego "Anioła Stróża", Hauqui, cień, "ducha", który jest jego przyjacielem i doradcą²⁷. Dostrzegliby też z pewnością, że podbite "dzikie" plemiona wierzą, podobnie jak oni sami, w istnienie jednego najwyższego boga, stwórcy świata i ludzi. I zadaliby sobie pytanie, dlaczego ów bóg płakał, jak ich własny, nad losem ludzi, gdy spoglądał na nich ze wspaniałej i tajemniczej płaskorzeźby zdobiącej Wrota Słońca, do dziś wznoszące się pośród ruin niezwyklej świątyni w mieście Tiahuanaco nad jeziorem Titica-ca²⁸. Ten bóg we tzach zbija z tropu i stanowi jedyne w swoim rodzaju zjawisko w panteonach kultur amerykańskich.

Zauważmy, że wszystkie te analogie w istocie rzeczy przeszkadzają w chrystianizacji ludów peruwiańskich. Do dziś, po tylu wiekach istnienia Kościoła katolickiego, nauczania i gróźb, potomkowie dawnych Inków wciąż wierzą, że Bóg jest słońcem, a modląc się do Maryi Panny, uważają ją nie za księżyc, jak nawróceni Majowie, lecz za boginię ziemi. Świętego Jakuba, Santiago, uważają nadal za Apu Illapu, boga burzy i deszczu, a święta chrześcijańskie utożsamiają z inkaskimi. Pamiętajmy, że w ten sam sposób przesilenie zimowe, kiedy to świętowano odrodzenie młodych bóstw roślinności, przemieniło się w dzień narodzin Chrystusa. Dziewice księżycy otaczano takim samym szacunkiem, jak chrześcijańskie mniszki, a padre Calancha pisał:

"Są niczym nasze zakonnice"²⁹. Nie bacząc na to, ludzie dowodzeni przez podwładnego Pizarra, Hernando de Soto, zgwałcili w roku 1532 pięćset kapłanek księżycy³⁰.

Liczne podobieństwa pomiędzy chrześcijaństwem a pogańską religią Inków dość szybko zwróciły uwagę najeźdźców, a także Metysów, którzy zrodzili się z ich związków z Indiankami, i których nazywano tu Cholo. Nawet nie zgłębiając tajników tej religii, chrześcijanie mieszkający na południowoamerykańskiej ziemi, musieli jednak

zastanawiać się, jak zrodził się kult owego Boga, który płacze, tak bardzo różniącego się od innych miejscowych bóstw. Felipe Guaman Poma, Metys urodzony w roku 1534, przesłał na ręce króla Hiszpanii list liczący 1200 stron i zawierający 400 rysunków. Przedstawił w nim i opisał cywilizację i wierzenia Inków³¹. Inny Cholo, Garcilaso de La Vega, spisał w roku 1609 historię Peru przedstawioną z punktu widzenia Inków³². Żaden z nich nie posiadał zbyt rozległej wiedzy. Znali zapewne tylko opowieści współczesnych, te zaś wypaczały prawdziwą historię Peru. Część autorów XVI--wiecznych starała się uwiarogodnić legendę, zgodnie z którą Inkowie mieli być zaginionymi potomkami Noego. Gdyby tak było, chrześcijanie odnieśliby znaczący sukces, nawracając wreszcie zbłąkanych Żydów³³.

Ale inny hiszpański autor żyjący w tej samej epoce, Pedro Cieżą de Leon, przedstawił zadziwiającą relację. Otóż zwiedzając miasto Huari w dolinie Pacaycasa w pobliżu Ayacucho podał, że jego nazwa "brzmi Yinague. Zachowały się tam potężne i stare budowle, które - sądząc po tym, jak są zniszczone - wzniesiono bardzo dawno temu. Kiedy zapytałem żyjących w okolicy Indian, kto je zbudował, odrzekli, że uczynili to biali, brodaty ludzie, którzy przybyli tu i osiedlili się na długo przed panowaniem Inków. Te starożytne budowle, podobnie jak wiele innych w królestwie, nie przypominają w niczym wznoszonych przez Inków. Gmach jest sześcienny, budowane przez Inków bywają zaś długie i wąskie"³⁴.

Inkowie przybyli do Peru około roku 1200³⁵, natomiast miasto Huari wzniesli zapewne ich poprzednicy. Być może nastąpiło to w okresie Tiahuanaco. Przed Inkami terytoria te zamieszkiwali Mochica (III w. p.n.e. - X w. n.e.) i Chimu (X-XV wiek). Żaden z tych ludów nie był jednak biały, a ich mężczyźni nie nosili bród; przedstawiające postacie ludzkie dzieła sztuki południowoamerykańskiej nie ukazują zresztą brodatych mężczyzn. Ponadto ani Mochica, ani Chimu nie zawładnęli nigdy obszarami, na których powstało państwo Inków. Oznacza to, że biali, o których usłyszał Cieżą, pojawili się tu tylko w okresie budowy Huari, to znaczy w okresie Tiahuanaco, czyli pomiędzy rokiem 1000 a początkiem XIII wieku, kiedy przybyli tu Inkowie.

Myśl, że biali mogliby pojawić się w Peru na trzy stulecia przed Kolumbem, że dotarli na andyjskie płaskowyzę, wydaje się tak absurdalna, że właściwie powinniśmy od razu zaliczyć ją do legend. Jednak jest jeszcze inna dziwna i zagadkowa informacja, która pozostaje w zgodzie z tą pierwszą. I tu zaczyna się problem. Ten sam Cieżą, relacjonując wyprawę do położonego dalej na południe, już na obszarze dzisiejszej Boliwii, Tiahuanaco, które od jeziora Titicaca dzieli odległość dwudziestu kilometrów, pisze:

"Zapytałem tubylców [...], czy te budowle powstały za czasów Inków. Zaczęli się śmiać, powtarzając, że stały tu na długo przed ich panowaniem, ale nie potrafili odpowiedzieć na pytanie, kto je wznosił. Słyszeli tylko od przodków, że wszystko to pojawiło się w ciągu jednej nocy. Z tego względu, a także dlatego, że i oni utrzymywali, jakoby brodatych ludzi widziano na wyspie Titicaca i że to właśnie ci ludzie wzniesli budowlę w Vinague, pomyślałem, iż być może przed nastaniem Inków jakiś lud przybył tu, nie wiedzieć skąd, zbudował to wszystko, lecz zbyt nieliczny, wyginał, tocząc walki z tubylcami"³⁶.

Trudno oczywiście traktować poważnie opowieść o zbudowaniu Tiahuanaco w ciągu jednej nocy, warto jednak zwrócić uwagę na powtarzającą się wzmiankę o białych i brodatych ludziach, którzy wzniesli świątynię w Huari, zwanym Vinague, a których widziano także na wyspie Titicaca, choć nie wiadomo, kiedy to się zdarzyło. Nie lekceważmy też domysłów Cieży. Dwa wskazane mu przez tubylców ślady uzasadniają hipotezę o przybyciu do Ameryki Południowej Europejczyków lub mieszkańców basenu Morza Śródziemnego i pozwalają przypuszczać, że przybysze ze Starego Świata przyczynili się do wzniesienia budowli z okresu Tiahuanaco, to znaczy, że mogliby też sprowadzić do Nowego Świata Boga, który płacze, postać tak wyjątkową w cywilizacji Tiahuanaco, a nawet stanowiącą jej dynamizujący element³⁷.

Skąd mogli przywędrować owi tajemniczy ludzie? Najprawdopodobniej przepłynąwszy Atlantyk przybili do wschodnich brzegów Ameryki Południowej, a potem przez Morze Karaibskie dotarli do Ameryki Środkowej, na przykład do dzisiejszej Panamy.

Stąd lądem powędrowali w kierunku Peru, być może jednak płynęli przez Atlantyk, wzdłuż wschodnich wybrzeży Ameryki Południowej, potem wokół Przylądka Horn, by wodami Pacyfiku dotrzeć do Chile lub Peru. Mogli również żeglować po Pacyfiku, ale ta

ostatnia trasa wydaje się mało prawdopodobna, gdyż żeglarze płynący z Europy lub basenu Morza Śródziemnego zapewne zatrzymaliby się na którymś z licznych archipelagów Oceanu Spokojnego. Przylądek Horn bywa niebezpieczny, być może jednak drakkary zdołałyby pokonać ten szlak. Najbardziej prawdopodobna wydaje się hipoteza o przybiciu do wybrzeży Ameryki Środkowej. Należy podkreślić, że odrzucone przed czterdziestu laty jako bezzasadne spekulacje, hipotezy o poprzedzającej wyprawę Kolumba ekspedycji przez Atlantyk są traktowane coraz poważniej, zwłaszcza od czasu rejsów Thora Heyerdahla. Obecnie każda encyklopedia wspomina nie tylko o odkryciu Ameryki Północnej przez Wikingów jako o fakcie historycznym, lecz uznaje za możliwe pokonanie Atlantyku przez irlandzkiego mnicha Brendana (zwanego też Brandanem lub Brendonem) w VI wieku. Nikogo już nie dziwi, że Fenicjanie mogli piętnaście stuleci przed naszą erą opłynąć Afrykę.

Zwykle bardzo ostrożnie traktuje się wszelkie podobieństwa etymologiczne, czy można jednak nie zwrócić uwagi na zbliżone brzmienie imion Kukulkana i Cu Chulainna lub Cuchulaina, irlandzkiego herosa, pół-Achillesa, pół-Herkulesa, który, jak głosi legenda, zginął w nieuczciwym pojedynku mając dwadzieścia siedem lat? Poza bliskością fonetyczną mamy tu do czynienia z podobieństwem postaci. Meksykański Kukulkan-Quetzalcoatl (który stał się Wirakoczą Inków), to podobnie jak Cuchulain, młody heros, ginący przy próbie przyniesienia ludziom pokoju. Cóż mógł opowiedzieć tubylcom Brendan? Może, chcąc ich pozyskać i przemówić do ich wyobraźni, "połączył" postacie Cuchulaina i Jezusa? Bo przecież w micie Kukulkana dostrzegamy pewne elementy opowieści o Synu Bożym. Kukulkan zstępuje do piekieł wraz ze swym przyjacielem o psiej głowie, Xolotlem, by odzyskać kości zmarłych i przywrócić im życie...

Kiedy mogła nastąpić "wizyta" europejskich "misjonarzy"? Opowieści tubylców, a w każdym razie data pojawienia się Boga, który płacze i jego wizerunków w okresie Tiahuanaco, wskazują, że doszło do tego pomiędzy rokiem 600 a 1200. Wyżej przedstawiliśmy powody, dla których przybycie białych, być może Irlandczyków, należy datować na VIII wiek. A przecież pomiędzy VI i XII stuleciem chrześcijaństwo było religią całej Zachodniej Europy.

Czy biali ludzie uczestniczyli zatem w budowie świątyni w Huari i sprowadzili Boga, który płacze, a którego wyobrażenie odnajdujemy w Tiahuanaco i wielu innych miejscach? Archeologia nie jest obecnie w stanie dowieść słuszności hipotezy o "starszeństwie" Huari. To Tiahuanaco powstało jako pierwsze i ogarnęło swymi wpływami całą zachodnią Kordylierę Andów aż po Boliwię i być może Chile. Huari również pozostawało w tej strefie wpływów³⁸. A hipoteza o grupie obcych, na przykład białych i brodatych, którzy mieliby zainspirować lub nadzorować budowę (trwającą jedną lub tysiąc nocy), tak ważnych dla cywilizacji Tiahuanaco gmachów, wydaje się być czystą fantazją.

Pewne są jedynie trzy fakty: 1. tylko w cywilizacji Tiahuanaco pojawia się motyw Boga, który płacze; 2. ekspansja tej cywilizacji ma podłoże religijne; 3. opowieści tubylców zebrane przez Ciężę łączą tego boga z cywilizacją Tiahuanaco. Przybysze, o których pamięć zachowała się przez wiele pokoleń, musieliby być chrześcijanami, zaś Bóg, który płacze i który dat początek ekspansji Tiahuanaco³⁹, byłby amerykańską wersją Jezusa lub białego, chrześcijanina i brodacza (obdarzonego dużym członkiem), który ukazał się jako celtycki lub chrześcijański heros.

Hipoteza o pierwszej przedkolumbijskiej chrystianizacji Ameryki znajduje poparcie w oznakach, które pozwalają identyfikować Quetzalcoatla, Pierzastego Węża, z Kukulkaniem Majów, oraz - co jest dla nas szczególnie interesujące, Wirakoczę Inków z chrześcijańskim mnichem. Wiemy, że w Meksyku był to władca mądry i przeciwny ofiarom z ludzi, który wypędzony przez Tezcatlipokę, musiał opuścić Tollan i powrócić na morze. W dodatku w pewnych bardzo starych manuskryptach opisano go jako jasnoskórego brodacza, a zatem nadano mu europejski wygląd. Miał nosić długą szatę, co jest w tej kulturze niezwykle, i co ważniejsze, kojarzono go z symbolem krzyża⁴⁰.

Zwolennicy tej hipotezy powinni pamiętać, że ewentualna chrystianizacja była tylko częściowa, i że wprowadzone przez nią elementy zostały wchłonięte przez religie andyjskie, co po wielu wiekach miało się powtórzyć. Synkretyzm Quetzalcoatla - Kukulkana - Wirakoczy - Jezusa nie sprowadził do Ameryki Południowej diabła, chociaż

mitologia Tiahuanaco przyjęła Boga, który płacze. Poczucie winy i wola pokuty były silne wśród Inków, Majów i Azteków, i być może ów cierpiący Bóg jeszcze je umacniał, ale z nie znanych nam przyczyn diabła tu nie zaakceptowano.

Być może religia chrześcijańska, sprowadzona na długo przed pojawieniem się hiszpańskich misjonarzy, mimo bariery językowej, wydała się królom i kapłanom z Andów niebezpieczna; być może idea Zbawienia jednostki groziła wyrwaniem ludu spod ich władzy, a to było zbyt ryzykowne. Władza polityczna, która na Bliskim Wschodzie stworzyła złego, wypędziła go z Ameryki i nie dopuszczała aż do czasu zdecydowanego natarcia chrześcijańskiej Europy.

Wtedy zaczęto składać w ofierze dzieci.

Izrael albo demony w służbie nowoczesnego diabła

O roli węża w Genesis - O tym, jak Bóg rozgniewał się na swoje stworzenia - O podobieństwie Boga Izraela do stwórców mezopotamskich

- O Księdze Hioba i przyjacielskiej, ale zbijającej z tropu rozmowie Boga z szatanem, który zamiast mieszkać w piekle, zasiada wśród aniołów

- O równie dziwnym braku piekieł w dawnych wierzeniach judaizmu, gdzie Szeol był tylko miejscem ciszy i zapomnienia - O późnym pojawieniu się szatana jako nieprzyjaciela Boga w pismach apokryficznych, a szczególnie w Księdze Enocha - O wpływie religii mezopotamskich na esseńczyków i coraz częstszej obecności złowrogiego szatana.

Dzieje cywilizacji europejskiej, zdominowanej przez chrześcijaństwo i judaizm, zaczęły się od straty. Straty, która niknie w złocistej mgłę początków cudownej księgi - Biblii, a w każdym razie - opowieści przekazanych przez Żydów, bo to oni spisali pierwszą ze wszystkich naszych Ksiąg, a zwano ich wówczas Hebrajczykami. Ta regionalna, przeznaczona pierwotnie dla kilkudziesięciu tysięcy osób opowieść, w ciągu dwudziestu pięciu stuleci obiegiła cały świat. Niemal każda z setek istniejących na naszej planecie cywilizacji tworzyła własną Genesis, bo największą troską istoty ludzkiej jest odkrycie, swego rodowodu, a w razie potrzeby - jego zmyślenie. Bez względu na epokę, w której żyjemy, nie potrafimy się bez niego obejść i po prostu być sobą, niczym trzymane w niewoli ptaki, które śpiewają fałszywie, bo nigdy nie słyszały pieśni swych wolnych pobratymców. I oto swoisty snobizm, romantyzm kosmiczny, którego wyrazem był Raj utracony Milтона, sprowokował Darwina do poszukiwania cząstki szlachetności u naczelnych'. Mam nadzieję, że Czytelnik wybaczy mi tę dygresję.

Pamiętajmy jednak, że dla naszego kręgu kulturowego największe znaczenie miała od chwili przybycia Szawta do Rzymu właśnie historia w ujęciu Starego Testamentu. Wydawało się, że od upadku Cesarstwa Rzymskiego, jedyne prawdziwe imperium, jakie pamięta ludzkość (bo imperium Aleksandra zniknęło tuż po jego śmierci), do narodzin nowoczesnej historii i etnologii na początku XX wieku, żadne imperium niegodne było tego miana.

Pamięć ludzka jest krótka, zwłaszcza gdy nie wspierają jej Księgi i dlatego od pożaru Biblioteki Aleksandryjskiej po Świętą Inkwizycję i od Świętej Inkwizycji po Hitlera czasami rzucono je na stosy. Potencjalny czytelnik urodzony w ubiegłym stuleciu poświadczyłby, że do połowy naszego wieku od Brazzaville po Dublin i Brześć Litewski, od Goa po Los Angeles, od Sydney po Ziemię Ognistą nie znano innej opowieści o Stworzeniu poza tą, którą przedstawia Genesis - przeznaczoną pierwotnie dla kilkudziesięciu tysięcy Hebrajczyków, którzy uciekli przed gniewem tyrana, Nabuchodonozora II.

Tak oto dowiedzieliśmy się, .a raczej uwierzyliśmy, że jesteśmy ofiarami diabła.

Dlaczego? Bo nasi przodkowie - Adam i Ewa - jak opowiadano nam już w szkole podstawowej, żyli w ziemskim raju. To miejsce miało w sobie coś paradoksalnego, łączyło cechy Orientu i rous- seauowskich wyobrażeń, a w wizjach Bruegela Starszego ukazywało się jako ziemia, gdzie pantera żyje w zgodzie z owieczką, więc zapewne jest roślinożerna. Nie takie są pantery w dzisiejszych czasach. Wschód przed wiekami rozkochał się w baśniach, a zresztą Eden nie zrodził się z hebrajskiej wyobraźni, bo samo słowo jest

pochodzenia sumeryjskiego i pojawiło się pomiędzy III a II tysiącleciem p.n.e., a pochodzi od akadyjskiego "Eden", co oznacza "raj"². Przeciwno hebrajskiej genezie Edenu, a także jego odwieczności, przemawiają domysły archeologów, którzy sądzą, że "cztery rzeki", biorące początek z jednej rzeki-matki, a według Genesis zasilające swymi wodami tę rajską krainę - Pizon, Gichon, Chiddekel i Perat - spływają do Zatoki Perskiej³. Byłyby to Tygrys, Eufrat i po dwa ich główne dopływy, raj zaś znajdowałby się na terytorium dzisiejszego Iraku. Dziś taki pomysł wydaje się zaskakujący, ale przecież przekonał się już, że Irak odgrywał niegdyś rolę porównywalną z tą, jaką odegra u schyłku XX wieku. Pierwsi ludzie byli niewinni, a potem, jak głoszą opowieści, ; które pamiętam jeszcze z dzieciństwa, diabeł zaczął kusić Ewę, | ona zaś uległa jego namowom i nakłoniła do zła Adama, i który - zapewne z nudów - dał się jej skusić. Dlatego od j chwili narodzin każdy z nas dźwiga ciężar grzechu ludzi,! którzy nie wiedzieli, czym jest zło, dopóki nie skosztowali! zakazanego owocu, nie byli więc przygotowani na odparcie | ataków. Trudno byłoby dowieść ich winy-grzechu przed sądem, | bo grzech popełnia się świadomie, w przeciwnym razie mamy do czynienia tylko z błędem. Obciążanie nas grzechem przodków, tym bardziej zaś grzechem, który w rzeczywistości nim nie był, jest niesprawiedliwe.

Ale czy naprawdę nasz diabeł ukazany jest w Genesis jako "nagi wąż"? Ten wąż, który powiedział pierwszej kobiecie, że ani ona,, ani Adam nie umrą, jeśli skosztują owocu z drzewa rosnącego; pośrodku ogrodu? Te słowa są oczywiste, ale i zagadkowe, wspomniane drzewo jest bowiem drzewem wiadomości dobrego i złego, można więc zastanawiać się nad zasadnością boskiego zakazu, który uniemożliwia ludziom poznanie dobra i zła. Czy szacunek wobec Boga nie nakazuje nam, byśmy wiedzieli, czym jest dobro, a czym zło? Czyżby Bóg zabronił człowiekowi dowiedzieć się tego? W dodatku wąż powiedział Ewie, że ona i jej mąż, oboje nieśmiertelni, zjadając jabłko staną się równi bogom. To stawne Et eritis sicut Dei. Ponieważ jednak poznali śmierć dopiero po opuszczeniu raju, wolno nam sądzić, że wcześniej byli niczym bóstwa, obdarzeni nieśmiertelnością, a wąż prowadził rozmowę rażąco nielogiczną, jak na istotę posiadającą tak głęboką wiedzę.

Prawda jest, być może, znacznie prostsza i zgodna z tym, czego wszyscy domyślają się już w szkole podstawowej - otóż Adam i Ewa zapewne uprawiali miłość, i na tym polegał ich grzech. Długo można się zastanawiać nad sensem tworzenia dwóch uzupełniających się istot, mężczyzny i kobiety, skoro grozi się im ogniem i mieczem, kiedy uczynią coś, co było nieuniknione w ciepłym ogrodzie, po którym przechadzali się całkiem nago. Mam nadzieję, że Czytelnik wybaczy mi śmiałość, ale zawsze zadziwiał mnie fakt, że w tej sytuacji gadający wąż był w ogóle potrzebny, bo uważam, że prawa natury zadziałałyby i bez niego.

Krótko mówiąc, drzewo wiadomości dobrego i złego jest symbolem, czy jednak jest nim także wąż? Chciałoby się wątpić, bo Elohim, czyli Bóg, zwraca się do niego: "Ponieważ to uczyniłeś, bądź przeklęty wśród wszystkich zwierząt domowych i polnych; na brzuchu będziesz się czołgał i proch będziesz jadł po wszystkie dni twego istnienia"⁴. I dodaje: "Wprowadzam nieprzyjaźń między ciebie a niewiastę, pomiędzy potomstwo twoje a potomstwo jej". Czy to znaczy, że przedtem żyli w harmonii? Czy w raju plemię ludzkie mogło bratać się z plemieniem węża? Przekleństwo Boże rzucone na węża nie jest na Wschodzie motywem częstym, przypomnijmy, że Egipcjanie, Hindusi, a potem Meksykanie i wiele innych ludów otaczało to zwierzę boską czcią.

Cóż właściwie robił w raju diabeł, jeśli to on ukrywał się pod postacią węża? Czy oznacza to, że Bóg stworzył także zło i dał mu schronienie w raju? Jakże wobec tego można mieć za złe Adamowi i Ewie, że ulegli namowom mieszkańca Edenu? Przyznajmy, że mity bywają niekonsekwentne.

Jedna z wersji Biblii (bo istnieje ich kilka) zapewnia, iż "wąż był najbardziej przebiegłym spośród wszystkich dzikich istot, które Bóg stworzył"⁵. Ale Genesis nie wyjaśnia, na czym polegał podstęp, do którego uciekł się, by nakłonić Ewę do złamania zakazu Stwórcy. Co chciał w ten sposób zyskać wąż? Przecież wszystko wskazuje na to, że był także stworzeniem Bożym, że stworzył go sam Pan. Dlaczego zatem Bóg nie karze węża? I co stało się z tym wicherzycielem, by użyć współczesnego określenia? O tym już Biblia nie wspomina.

Wygnanie z raju okazało się niezbyt dotkliwą karą dla potomków pierwszej pary. Byli długowieczni, a to oznacza, że cieszyli się dobrym zdrowiem psychicznym i fizycznym - Adam przeżył dziewięćset trzydzieści lat, Set dziewięćset dwanaście, Enosz dziewięćset pięć, Kenan osiemset czterdzieści, Mahalalel osiemset dziewięćdziesiąt pięć, Jared dziewięćset sześćdziesiąt dwa lata, zaś rekordzista Matuzalem - dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć lat. Najbardziej zadziwia jednak, że Stwórca był niezadowolony z mnożenia się ludzi na ziemi: "...Pan widział, że wielka jest niegodziwość ludzi na ziemi i że usposobienie ich jest wciąż złe". Gdyby ktoś jeszcze wątpił w nieprzychylność Stwórcy wobec stworzenia, kolejne wersy rozwieją jego niepewność: "...żałował, że stworzył ludzi na ziemi"⁶. I postanowił: "Zgładzę ludzi, których stworzyłem, z powierzchni ziemi: ludzi, bydło, zwierzęta pełzające i ptaki powietrzne, bo żał mi, że ich stworzyłem"⁷. wszelkie stworzenie płaci za rozczarowanie, jakiego doznał Bóg. Za rozczarowanie czy może za gniew Boga? W każdym razie cała rasa ludzka, każde zwierzę, dźwigać będzie odtąd ciężar tego gniewu, a także piętno grzechu pierworodnego. I oto Bóg zsyła potop.

Czy jest on skutkiem podstępny węża? A może zbrodni Kaina, który nie mógł znieść, że brat jego zbiera obfitsze plony? Za cóż jednak cierpią ptaki na niebie? Na ten temat Biblia milczy. Stwórca zachowuje się niczym bezwzględny satrapa, którego nie zadowala stan królestwa. Pierwsza Księga Pisma przedstawia zatem Boga jako gniewnego despotę, być może skłonnego do złości i niesprawiedliwego, któremu obce jest przebaczenie, i który, rozgniewany, bo zawiedziony, postanawia utopić wszystkie stworzone przez siebie istoty. Potop! Jest przecież Noe, który zasługuje na łaskę Przedwiecznego, ale to nie koi złości Boga: "Ziemia została skażona w oczach Boga. Gdy Bóg widział, iż ziemia jest skażona, że wszyscy ludzie postępują niegodziwie, rzekł do Noego:

»Postanowiłem położyć kres istnieniu...«" Aby ostatecznie rozwiać wątpiwości, przytoczmy jeszcze jedno zdanie wypowiedziane przez Boga: "Zniszczę ich (ludzi) wraz z ziemią"⁸.

Od zarania judaizmu pochodzenie zła było niejasne. Mam na myśli judaizm udokumentowany na piśmie, bo Biblia powstała już po uformowaniu się ludu znanego archeologii Mezopotamii jako Habiru, czyli Hebrajczycy i istniejącego od bardzo dawna⁹.

Biblia jest znacznie późniejsza, na co wskazują analizy krytyczne Karla Grafa i Juliusa Weilhausena, przeprowadzone w XIX wieku, a znane jako teoria Grafa-Weilhausena, które wykazały, że Genesis to tekst napisany już po wyjściu z Egiptu, a więc po zdobyciu i zburzeniu Jerozolimy przez Nabuchodonozora II w roku 587 p.n.e., i niewoli babilońskiej Żydów, która zakończyła się w roku 538 p.n.e.¹⁰. Genesis zostałaby zatem napisana po powrocie do Jerozolimy, na początku V wieku.

Zwróćmy uwagę na uderzające podobieństwo rozczarowanego swym dzieciem Stwórcy do Apsu, babilońskiego boga i kreatora, który, udręczony krzykami swoich dzieci, postanowił je zgładzić, a także na analogie tączące Genesis z opowieścią o stworzeniu ludzkości przez Enkiego i Ninmah, którzy upojeni winem powołują do życia gromadę kalek i poczwarów. W każdym z tych trzech przypadków pierwsza próba stworzenia przez samowładnego Stwórcę kończyła się niepowodzeniem, które wprawiało go w gniew. Toteż najchętniej odesłałby stworzone przez siebie istoty - by tak rzec - do diabła.

A zatem Mezopotamia była ojczyzną wersji początku przyjętej przez autorów Genesis¹¹. Znaczna część Starego Testamentu powstała pod wpływem religii mezopotamskich prześladowców. Wspomnijmy jeszcze o kilku innych cechach wspólnych. Echa historii Noego porzmiewają w znacznie starszym od Genesis micie babilońskim. W roku 1965 w magazynach British Museum odnaleziono dwie tabliczki ze wzmiankami na temat potopu. Owe tabliczki pokryto pismem w babilońskim mieście Sipar za panowania króla Ammisaduka (1646-1626 r. p.n.e.). Dowiadujemy się z nich, że Stwórca pożałował, iż dokonał dzieła stworzenia i postanowił pozbyć się wszystkich istot zatapiając świat, ale bóg wody, już wspomniany Enki, zdradził ten katastroficzny plan królowi-kaptanowi imieniem Ziusiudra, który zbudował arkę i przeżył. Bohater mitu jest postacią autentyczną - około roku 2900 p.n.e. Ziusiudra był królem miasta Szuruppak na południu Babilonii¹². Ów Ziusiudra uderzająco przypomina Noego, a może po prostu nie istniały dwie arki...

Skąd jednak Żydzi wzięli koncepcję szatana? Choć bowiem wąż z raju nie został nazwany szatanem, to jest już jego doskonałym odpowiednikiem. W babilońskim eposie o

Gilgameszu odnajdujemy epizod kuszenia i nawet użyte tam argumenty uderzająco przypominają słowa Ewy, która nakłaniała Adama do złamania boskiego zakazu. Uległszy wdziękom bogini Isztar, Enkidu uznał, iż obdarzony jest "rozwagą i bogatszą wiedzą". Isztar zaś wypowiedziała słowa przypominające zdanie węża, który twierdzi, iż Adam i Ewa będą podobni bogom: "Jesteś mędrcelem Enkidu, jesteś niczym bóg". Ale Isztar nie była w wierzeniach babilońskich utożsamiana z duchem zła par excellence, choć czasami bywała napastliwa, wpadała w szat i posuwała się do okrucieństwa.

Oryginalność Genesis polega właśnie na przedstawieniu węża jako prefiguracji szatana, co pozwala przypuszczać, że ten miałby istnieć od zarania dziejów. Zdaje się to potwierdzać przestroga, jakiej Bóg udzielił Kainowi, przyjmując złożony przezeń w darze pierwszy plon, ale przyjmując go z niewiadomych przyczyn z niechęcią:

"Przecież gdybyś postępował dobrze, miałbyś twarz pogodną; jeżeli zaś nie będziesz dobrze postępował, grzech leży u wrót [niczym demon] i czyha na ciebie, a przecież ty masz nad nim panować"¹³.

Jednak chodzi tu o zwykłego demona, jednego z wielu występujących we wszystkich religiach świata, a szczególnie licznych na Środkowym Wschodzie, nie zaś naszego szatana. Na dowód przytoczmy fragmenty Księgi Hioba, odnoszące się do samego szatana:

"Zdarzyło się pewnego dnia, gdy synowie Boży [aniołowie] udawali się, by stanąć przed Panem, że i Szatan poszedł z nimi. I rzekł Bóg do Szatana: »Skąd przychodzisz?*. Szatan odrzekł Panu: »Przemierza}em ziemię i wędrowałem po niej«. Mówi Pan do Szatana: »A zwróciłeś uwagę na sługę mego, Hioba? Bo nie ma na całej ziemi drugiego, kto by tak był prawy, sprawiedliwy...«"¹⁴.

Obecność szatana i jego przynależność do Bożej świty zaskakuje, tym bardziej, że zły duch wydaje się być z Bogiem w zażytych stosunkach. Odnajdujemy tu wizję szatana jako boga podrzędnego, ale przecież boga, który tym razem przypomina bóstwa wedyjskie, a nawet trickstera Lokiego¹⁵. Za przyzwoleniem Boga zły duch nękał nieszczęsnego Hioba, by wystawić go na próbę, ale wszystko dobre, co się dobrze kończy. Ostatecznie był on przecież narzędziem Boga, który zapragnął przekonać się, czy Hiob jest naprawdę cnotliwy.

Szatan nie jest więc upadłym aniołem, buntownikiem, zaprzysięgłym wrogiem Stwórcy. Podobne wrażenie odnosimy, czytając przepowiednię proroka Micheasza dla króla Izraela, Achaba, który planuje wyprawę przeciw Aramejczykom. Dlatego też zasięga porady "około czterystu" proroków, po nich zaś pojawia się Micheasz. Odradza wojnę, wprawiając w gniew króla, który nazywa go prorokiem nieszczęścia. Ale Micheasz nie milknie, miał bowiem wizję:

"Ujrzałem Pana siedzącego na swym tronie, a stały przy Nim po Jego prawej i po lewej stronie wszystkie zastępy niebieskie. Wówczas Pan rzeki: »Kto zwiedzie Achaba, aby poszedł i poległ w Ramot w Gilea-dzie?«. Gdy zaś jeden rzeki tak, a drugi mówii inaczej, wystąpił pewien duch i stanąwszy przed Panem, powiedział: »Ja go zwiode*¹⁶. Wtedy Pan rzeki do niego: »Jak«. On zaś odrzekł: »Wyjdę i stanę się duchem kłamstwa w ustach wszystkich jego proroków«"¹⁶.

Podobnie przemawiał kusiciel Hioba. Zuchwała szczerość Micheasza na nic się nie zdała, bo najpierw spoliczkował go Sedecjasz, syn Kenaany, główny prorok, potem zaś król rozkazał wtrącić do lochu nieszczęśnika, który nie przeżył tam nawet pierwszej nocy. I Bóg spełnił swe zamierzenie, gubiąc Achaba, a wszystko to dzięki tajemniczemu duchowi kłamstwa. Niezwykła historia! Przecież ten duch, zdolny przemówić niemal równocześnie ustami czterystu proroków, nie może być nikim innym niż dobrze nam znanym diabłem! A więc raz jeszcze odnajdujemy go pośród zastępów niebiańskich, gdy wspiera i realizuje wolę Bożą! Dostrzegamy, że jest spokrewniony nie tylko z duchami babilońskimi, ale także z egipskimi.

Podobnie jest w znacznie starszej opowieści egipskiej: Ozyrys, który zapragnął wyprawić generała na pole bitwy, nasyła nań duchy:

"W jednej chwili dwa demony zawładnęły jego ciałem, a jego serce zapomniało o zabawie. »Bracia, nad Życie pragnę walczyć!*"¹⁷.

Bóg żydowski z pewnością czerpał inspirację z podstępów Ozyrysa, jak się jednak przekonał, wybiegi bogów, podobnie jak mity, wędrują z religii do religii i ani

judaizm, ani Stary Testament nie są wolne od tego rodzaju wpływów. Złego ducha raz jeszcze sprzymierzonego z Bogiem, odnajdujemy w Księdze Izajasza. W przepowiedni dotyczącej plag, które mają spaść na Egipt, zapowiedziano, że Bóg wypełni przywódców klanów "duchem obłądzenia". Wówczas Egipt zejdzie "na błędną drogę, w każdym jego dziele, podobnie jak pijak wymiotujący schodzi ze swej drogi"¹⁸.

Spisana pomiędzy VIII a VI wiekiem p.n.e. Księga Hajasza raz jeszcze dowodzi, że judaizm nie przedstawiał ani szatana, ani demonów jako wrogów Boga, lecz raczej jako istoty mu służące. Na potwierdzenie tych słów przywołajmy inny przykład:

"Abimelek sprawował władzę nad Izraelem przez trzy lata. Następnie Bóg zesłał ducha niezgody między Abimelekiem a możnymi z Sychem..."¹⁹.

Mieszkańcy Sychem byli nieuczciwi i podstępni - i to właśnie oni ponosili odpowiedzialność za zagładę siedemdziesięciorga dzieci Jerubbala, a królem obwołali syna niewolnicy. Następstwa Bożego gniewu były przerażające, nie dość bowiem, że Abimelek obrócił w ruinę Sychem, uciekając się w tym celu do magicznych sztuczek, następnie zaś zasypał ruiny solą, by wyjałowić ziemię, lecz zginął także sam książę, i to zginął pohańbiony, bo z ręki kobiety.

A zatem diabelskie ustugi pozwalają, by wypełniła się wola i zemsta Jehowy. Demony oddają się wprawdzie bezceństwu, kiedy indziej jednak służą niebu, będąc jego wysłannikami. Oznacza to, że szatan jest sprzymierzeńcem i sługą Bożym.

W Księgach Kronik poznajemy inny wizerunek diabła, który tym razem pojawia się, by nakłonić Dawida do podjęcia zgubnej w skutkach decyzji o przeprowadzeniu spisu ludności, który stanie się przyczyną wybuchu epidemii dżumy. W jednej z nich napisano:

"Powstał szatan przeciwko Izraelowi i pobudził Dawida, żeby policzył (lud) Izraela"²⁰.

Księgi Kronik pochodzą z początków ery hellenistycznej, to znaczy z III wieku p.n.e. W ciągu dwóch stuleci odmieniło się zatem oblicze szatana, który teraz nie współdziała już z Bogiem, lecz realizuje wyłącznie własne zamierzenia. Kolejne dwa stulecia przyniosły dalsze przeobrażenie złego ducha, który niegdyś zasiadał wśród aniołów. Teraz jest już skazany na zagładę, a Księga Jubileuszy, apokryf spisany przez esseńczyków w Oumran najwcześniej w drugiej połowie II wieku p.n.e., głosi, że u Kresu Czasów, czyli po czterdziestu dziewięciu jubileuszach, nie będzie już ani szatana, ani zła, zaś Izrael osiągnie wieczną czystość²¹. W tym samym czasie Faryzeusze przewidywali, że świat będzie istniał przez sześć tysięcy lat, a ostrożniejsi Ojcowie Kościoła dawali mu siedem tysięcy lat, licząc od dnia Stworzenia. Kosmologia, niestety, zmieniła te daty, tymczasem szatan jest wciąż obecny w umysłach moich współczesnych.

Hebrajskie wyobrażenie diabła podlegało zatem przemianom od czasu powstania Genesis, czyli od około VI wieku p.n.e.;

Wiadomo, że pomiędzy rokiem 150 p.n.e. a 300 n.e. diabły pojawiły się w wierzeniach judaizmu²². W Starym Testamencie jest ich niewiele - Mewet, demon śmierci, Lilith, która porwataj dzieci, Reszew, demon dżumy (zapewne ten sam, który kusił Jezusa), a także szatan, choć jego rola bywała dwuznaczna. W porównaniu z Babilonem, gdzie ogromna część narodu żydowskiego cierpiała w niewoli, ich lista jest skąpa - babilońskie Pandemonium jest znacznie bardziej rozbudowane, a liczne diabły podlegają ścisłej hierarchii. Być może stały się one przyczyną pewnego zamętu, kiedy Hebrajczycy znaleźli się we własnym kraju, a może Żydzi uznali, że godząc się na łączenie konkretnych odmian zła - od bólu głowy po choroby narządów płciowych - z konkretnymi i odrębnymi demonami, zaczęliby w końcu przypisywać tym istotom nadmierne znaczenie i dlatego pozostali przy zaledwie kilku.

Czyżby zatem Żydzi nie znali piekła? Prawda jest zaskakująca, bo rzeczywiście go nie mieli. Szeol, gdzie trafiają zmarli, nie może być porównywany z naszym piekłem, jest bowiem oazą ciszy i zapomnienia, miejscem, w które przenoszą się wszyscy zmarli, "ulotnością i pustką, mrokiem i pyłem"²³. Szeol to "kraj bez powrotu". Pamiętajmy, że określenie to zostało zapożyczone od Mezopotamczyków, zaś wygląd miejsca wzorowany jest na asyro-babilońskim Arallu. W Księdze Hioba czytamy, że jest to miejsce spotkania wszystkich śmiertelników - dobrych i złych, władców i niewolników²⁴. Nie ma ani nieba, ani piekła, tym bardziej zaś - nie ma czyścica, który narodził się znacznie później w kręgu religii chrześcijańskiej.

Pojęcie duszy nieśmiertelnej w naszym rozumieniu nie występuje w Starym

Testamencie, a w każdym razie nie zostało w nim sformułowane. Pojawi się bardzo późno, w drugim stuleciu p.n.e., w hebrajskiej Biblii, która po raz pierwszy zapowiada zmartwychwstanie umarłych.

W Starym Testamencie znajdujemy epizod, który dowodzi Pogodnego, a przynajmniej obojętnego stosunku Żydów do diabła. Mam na myśli opowieść o wizycie Saula u wróżki z Endor, opowieść usytuowaną w niezwykłym, poetyckim i przepojonym symbolizmem kontekście (I Księga Samuela, 28, 1-25). Historia ta wydarzyła się, gdy Filistyni zebrali wojska w Szunem, tuż przy granicy państwa, przygotowując się do ataku na Izrael. Saul zmobilizował sity w Gilboa. Był przerażony: "Radził się Saul Pana, lecz Pan mu nie odpowiada} ani przez sny, ani przez Urim, ani przez proroków" (Księga Sam., 28, 6). Niepokoił go konflikt z Dawidem, którego usiłował zgładzić, niepokoiło, że zawiódł Samuela. To iście szekspirowska scena, ale może należałoby raczej powiedzieć, że najpiękniejsze sceny szekspirowskie zasługują na porównanie z Księgą Samuela.

A zatem Samuel umarł, a Saul - głosi opowieść - jakby ku przestrodze "usunął wróżbitów i czarnoksiężników z kraju" (I, 28, 3). W tym kontekście wygnanie nie wynika z chęci przestrzegania biblijnego zakazu (Stary Testament nie zabrania kontaktów z nekromantami i wróżbitami), lecz ze strachu Saula przed duchem Samuela. Tymczasem jednak król nakazał sługom:

"Poszukajcie mi kobiety wywołującej duchy, chciałbym pójść i jej się poradzić" (I, 28, 7). Choć sam skazał wróżbitów na banicję, szukał kobiety, która potrafi za pośrednictwem ducha dowiedzieć się, jaki los gotuje mu Bóg. Tylko duch Samuela może znać zamiary Pana wobec króla, dlatego trzeba wywołać zjawę, której Saul obawiał się tak bardzo, że wygnał z kraju wróżbitów. To przejmująco prawdziwy portret, ukazujący złożoność natury i niepokój człowieka, który kochając Dawida usiłował jednak przeszyć go włócznią, a także zdecydował się stanąć twarzą w twarz z wzbudzającym w nim niepokonywany lęk duchem Samuela. Król dowiedział się od sług, że kobieta, która umie nawiązać kontakt z duchami mieszka w Endor, więc udał się do niej nocą w przebraniu, i poprosił, by wywołała ducha mężczyzny, którego imię wymieni. Kobieta odmówiła, przypominając, że król Saul wygnał wróżbitów (i zdaje się nie wiedząc, kim jest jej gość), lecz on przysiągł na Boga, iż nie grozi jej kara. Kobieta spełniła prośbę władcy i duch Samuela pojawiał się, by wyjawić Saulowi, że przegra wojnę z Filistynami, a jego trzech synowie polegą w walce. Zdrzutany Saul osunął się na ziemię. Dalsza część opowieści potwierdza prawdziwość przepowiedni Samuela.

Widzimy zatem, że medium, czy zgodnie ze średniowieczną terminologią - nekromantka, lub inaczej mówiąc - "czarownica", sprzymierzona z diabłem i skazana na wieczne potępienie, nie ma tu żadnych cech diabolicznych, a wręcz przeciwnie - przez nią bowiem przemawia sam Bóg. "Czarownica" z Endor jest jakby odpowiedniczką Sybilli. Jest narzędziem Boga.

Gdyby ktoś miał jeszcze wątpliwości co do poglądów Żydów na temat diabła odzwierciedlanych przez Stary Testament (chciałoby się powiedzieć "stary" Stary Testament, by podkreślić różnice dzielące te księgi od późnych, głoszących odmienną ideologię), rozwiązyby je wersety Księgi Samuela. "Saula natomiast opuścił duch Pański, a opętał go duch zły, zesłany przez Pana" (Ks. Sam. I, 16, 14), czytamy, i nie ma tu żadnych niejasności - zły duch został zesłany przez Boga. Co znaczy "zły" duch? To z pewnością demon. A zatem demony stanowią element zamysłu Bożego, podobnie jak szatan, który w Księdze Hioba służył Bogu, działając zgodnie z jego wolą. Nie sądźmy, że to pomyłka kopisty, bo wyrażenie powtarza się dwukrotnie w następnych wersetach, kiedy słudzy mówią do Saula: "Oto dręczy cię duch zły (zesłany przez Boga). Daj więc polecenie, panie nasz, by słudzy twoi, którzy są przy tobie, poszukali człowieka dobrze grającego na cytrze. Gdy będzie cię męczył zły duch zesłany przez Boga, zagra ci i będzie ci lepiej". (16, 16-17). Ów człowiek grający na cytrze, to Dawid, który ukoł ból Saula, gdy będzie go nękał zły duch, wysłannik Boga.

W Starym Testamencie Bóg jest zarazem dobrem i złem. Diabeł jest tylko jego sługą, a konflikt, tak wyraźny w Nowym Testamencie, gdzie diabeł zawsze występuje jako wróg Boga i "Książę tego świata" w opozycji do Króla Niebios, jeszcze nie istnieje. Bez reszty podporządkowana najwyższej woli teologia starotestamentowa dostrzega tylko jeden biegun we wszechświecie, diabeł zaś może pełnić wyłącznie rolę zgodną z wolą Stwórcy.

Czy szatan jest złem? Nie, jest cierpieniem, które rodzi się z woli Boga. W Starym Testamencie nie odnajdziemy demonologii cechującej Nowy Testament.

W każdym razie nawet już jego imię, Har-Shatan, Przeciwnik, (Grecy nazywali go diabolos) świadczy, że ten, który był protoplastą naszego szatana, nie jest postacią negatywną. Choć jest przeciwnikiem Boga, jest też jego sługą. Nie może pragnąć jego zguby, bo ta oznaczałaby kres Stworzenia i jego własny koniec. Bóg dobra, który jest również Bogiem tego świata, oparł na jego istnieniu zasadę równowagi, która załamałaby się bez przeciwnika. Ta wspaniała lekcja mądrości, jedna z najistotniejszych udzielonych światu przez dawny judaizm, ukazuje, że autorzy Starego Testamentu pomiędzy VII a VI wiekiem p.n.e. rozwikłali teologiczny problem dobrego Boga, który jest panem świata, lecz toleruje zło. Problemu tego nie zdołają rozstrzygnąć gnostycy, którzy uciekną się do wymyślnej koncepcji, powołując do życia Demiurga, prawdziwego stwórcę, istniejącego ponad dobrem i złem. Dobro jest czysto duchowe, zło - czysto materialne. Dobry bóg staje się zatem bóstwem podrzędnym, znaczącym tyle samo, co zły. W Starym Testamencie wszechmoc Boga jest równie niepodważalna, jak jego dobroć, a diabeł może pełnić tylko drugoplanową rolę.

Inną ważną wskazówkę i dowód porozumienia Boga z diabłem w Starym Testamencie, odnajdujemy w trzeciej Księdze Piecioksięgu, Księdze Kapłańskiej, szczególnie ważnej, ponieważ zawiera niemal połowę zaleceń zapisanych w Biblii.

Przekonujemy się (16, 1-28), że po śmierci dwóch synów Aarona, brata Mojżesza, ukaranego za złożenie Panu niewłaściwej ofiar}', Bóg ukazuje się Mojżeszowi i mówi: Aaron musi wziąć od Żydów dwa kozły i barana i udać się do świątyni (...), gdzie Bóg pojawi się w obłoku nad przebłagalnią (jeśli nie przybędzie tam o wyznaczonej porze, narazi się na śmierć) i da mu znak, wskazując kozła, którego wybierze na ofiarę. Drugi należeć będzie do Azazela, czyli diabła, a w każdym razie - jednego z pomocników diabła. Tego kozła należy żywcem zepchnąć w przepaść. To on stanie się sławnym kozłem ofiarnym.

Epizod ten, często ukrywany lub tłumaczony opacznie przez egzegetów w Księdze Kapłańskiej, przedstawiony jest jasno i jednoznacznie: Bóg oddaje część należnej mu ofiary diabłu.

Kilku włóczących się po ziemskim padole diabłów nie można jednoznacznie utożsamiać ze sługami szatana, który zasiadał u boku Boga. Dość długo zresztą te sprowadzone z Bliskiego Wschodu diabły nie są ani złe, ani dobre. Apokryficzna księga Starego Testamentu, Księga Henocha, która powstała prawdopodobnie między III a II wiekiem p.n.e., powiada, że demony nie są aniołami zbuntowanymi przeciwko Bogu, lecz aniołami, które zapałały miłością do śmiertelnych kobiet i zstąpiły na ziemię, by połączyć się z nimi²⁵. A zatem jest to jakby odwrócenie sytuacji z Sodomy i Gomory, gdzie śmiertelnicy napastowali anioły i to anioły tej samej, co oni, płci. Obie te opowieści wprawiają w pewne zdumienie, bo przecież anioły uważa się za asekualne. Imiona tych duchów brzmiały: Urakabameel, Akibeel, Tamiel, Ramuel, Danel, Azkeel, itd., zaś przewodził im Samiaza.

Ze związku aniołów ze śmiertelniczkami zrodziło się pokolenie gigantów, mających "po trzysta łokci wzrostu", oraz demony. Anielscy ojcowie w żaden sposób nie tłumaczą podstępnego, złego charakteru potomstwa. Jednak z opowieści tej płynie wniosek, że to pożądanie i seks dały początek złu. Wspomnijmy jednak, że Azazel (lub Azazyel) "uczył ludzi kuć miecze, wyrabiać noże, tarcze, pancerze i lustra; nauczył ich robić bransolety i ozdoby, malować, barwić brwi, wykorzystywać kamienie szlachetne i wszelkiego rodzaju tkaniny, tak że wszystkich ich zdeprawował. Barkajał nauczył ich obserwować gwiazdy, Akibeel zaś odróżniać gwiazdozbiory. Tamiel przekazał wiedzę astronomiczną, a Azaradel objaśnił ruch księżyca".

Potem dowiadujemy się, dlaczego Azazel wszystkich do siebie zraził: "Opowiedział ludziom, co dzieje się w niebiosach". To niewybaczalna zbrodnia, za którą Bóg postanowił ukarać winowajcę, nakazując archaniołowi Rafaelowi, by związał Azazela i rzucił go w mroczną otchłań, potem zaś cisnął w ogień. Nie wiemy, jak to się stało, lecz Azazel ocalał.

Uderza fakt, że Księga Lewitów, a nawet cały Stary Testament zostały jakby puszczone w niepamięć przez pseudoHenocha. Nasuwa się pytanie, czy w ogóle czytał Księgę

Lewitów, trudno bowiem przypuścić, by Bóg kazał ofiarować kozła istocie, przeznaczonej na zatracenie. Nie wiemy też, czy wydarzenie to było wcześniejsze, na co wskazywałby fakt, że Azazel wbrew woli Bożej uchronił się przed zgubą. W każdym razie historia ta pozostaje w sprzeczności ze starotestamentową wizją diabła. Pomiędzy teologią Starego Testamentu i literaturą apokryficzną istnieją zasadnicze rozbieżności, które jaskrawo ukazuje Księga Henocha.

Dziś trudno zgodzić się z wnioskami pseudoHenocha: jego demony nie wydają się złowrogie, choć bowiem zdaniem autora lustra i malowidła, nie wiedzieć czemu, deprawują ludzi i kryją w sobie ziarno zła, to już pismo i astronomia nie mogą być uznane za diabelskie wymysły, a gdyby tak było, pseudoHenocho nie mógłby napisać swej Księgi. W dodatku - co wyklucza szkodliwość astronomii - w rozdziale LXXI tej samej Księgi anioł-stróż Uriel wygłasza na jej temat cały wykład.

Podobnie jak w wielu innych apokryfach, tak i w tym daje o sobie znać gwałtowny bunt przeciw wszystkiemu, co w odczuciu autorów kłóci się ze starożytnym wyobrażeniem o porządku świata. Jeśli nie jest to pastisz (mało przekonujący) starotestamentowego profetyzmu, to zaskakuje surowość jej myśli, tak dalekiej od myśli biblijnej. Księga Henocha jest raczej dziełem zaniepokojonego fanatyka, zafascynowanego baśniami i przerażającymi opowieściami niż proroka. Najciekawsza wydaje się zamiana diabła w kozła ofiarnego, który odtąd będzie dźwigał ciężar całego zła istniejącego na tym świecie. Być może właśnie wtedy szatan stał się sławetnym kozłem.

I oto wyłania się kwestia najistotniejsza - aż do III wieku p.n.e. judaizm nie stworzył wizerunku szatana jako zapamiętałego wroga Stwórcy. Szatan i demony, nie związane z nim żadnymi więzami poddaństwa, są sługami Boga. Teksty poświadczają tę zaskakującą prawdę.

A jednak diabeł istnieje w tradycji żydowskiej i stamtąd właśnie przejęli go chrześcijanie. Nowy Testament raz po raz wspomina o złych czynach diabła i demonów. Trudno wprost zliczyć opisy egzorcyzmów odprawianych nad nim przez Jezusa, a opętanie uznawane jest za oczywistą przyczynę choroby, podczas gdy jeszcze w przypadku Saula "złe duchy" zesłał sam Pan Bóg. Widać, że ewangeliccy słabo znają Stary Testament, zaś wpływy esseńczyków wyraźne są szczególnie u Jana. Kiedy jednak zmieniła się rola szatana i jak do tego doszło?

Nurty zapowiadające tę zmianę są starsze od chrześcijaństwa, zaś jednym z pierwszymi tekstów, w których demony opisane są jako wyłącznie złoczyste i wrogie wobec Boga i ludzi, jest właśnie Księga Henocha, dość późna, przypisywana niekiedy esseńczykom i zapewne po części będąca ich dziełem, gdyż dostrzegamy w niej szczególną stylistykę, a także liczne i wyraźnie zarysowane elementy gnostycyzmu²⁶. Nadszedł czas, by przywołać polityczny kontekst narodzin diabła, w przeciwnym bowiem razie trudno byłoby zrozumieć Nowy Testament, poczynając od roli Jezusa i jego procesu.

W żydowskich tekstach otwarta wrogość wobec szatana pojawia się w epoce hellenistycznej. Przekonamy się, że hellenizm "wchłaniał" i jednocześnie przenikał religię żydowską. Ostatni prorok, Malachiasz, dawno już zamilkł. Nadzieje mesjanizmu, czyli wiara w nadejście następcy Dawida, pod którego berłem Izrael odzyska dawną potęgę, wciąż się nie spełniają i wydaje się, że nigdy już się nie spełnią. Narasta rozgoryczenie.

Żydzi ledwie zdołali uwolnić się od babilońskiego zagrożenia, gdy w roku 332 p.n.e. popadli w zależność od Imperium Aleksandra Wielkiego. A kiedy heros zniknął we mgle historii, by po latach odrodzić się w legendzie, Palestyna została przyłączona do hellenistycznego Egiptu Ptolemeuszów, następnie zaś znalazła się we władaniu syryjskich Seleucydów. Zdawało się, że Żydzi na długo, jeśli nie na zawsze, utracili niepodległość. Od tamtej chwili aż do roku 1948, kiedy w Palestynie powstało państwo izraelskie, a nawet jeszcze dłużej, Żydzi żyli tuż obok potęg o wiele za silnych, by mogli je lekceważyć.

Brzemie ptolemejskie, a także okres panowania Seleucydów nie były zbyt uciążliwe, ponieważ właśnie wtedy Żydzi cieszyli się swobodami, jakich nie zaznali od czasu pierwszego uprowadzenia do Babilonu. To jedna z korzyści życia w cieniu imperiów, gdzie trudno nawet wyobrazić sobie, by jakiś tyran mógł jeszcze wziąć ich w niewolę. Powiew od Morza Śródziemnego stał się łagodniejszy po raz pierwszy od wieków, ale judaizm przeżywał kryzys. Dialog z Bogiem, trwający dzięki prorokom nieprzerwanie od czasów

Mojżesza, umilkł, zapadła przytłaczająca cisza, a struktura narodu, w głównej mierze teokratyczna, od II wieku zaczęła się rozpadać.

Taka sytuacja trwała od roku 175 p.n.e., kiedy to arcykapłan Jazon dokonał hellenizacji Jerozolimy, którą zwano teraz An-tiochią-Jerozolimą. Hellenizacji uległy nie tylko instytucje, ale także Żydzi, zwłaszcza bogaci. Jeden z podstawowych nakazów religii - obrzezanie, poszedł w zapomnienie i wielu uznało ten rytuał za przestarzały²⁷. Jazona usunął jeszcze bardziej rozkochany w greckich wzorach wielki kapłan, Menelas. Wtedy to doszło do bezsensownych, bratobójczych walk między arystokratycznymi zwolennikami Menelasa a popierającym Jazona ludem. Kraj spłynął krwią, aż w końcu tragiczna w skutkach rywalizacja "hellenistów" z "superhellenistami" zaczęła nużyć Antiocha Epifanesa, króla Syrii, panującego nad ludem Palestyny. Monarcha wydał dekret, zabraniający praktykowania religii żydowskiej i wyegzekwował nowe prawo nie tylko konsekwentnie, ale także - z okrucieństwem. Wierni judaizmowi stary kapłan, Matatiasz oraz jego pięciu synów zbuntowali się i ciosami noża zamordowali na oczach ludzi niewiernego Żyda, który składał ofiary pogańskim bogom, następnie zaś oficera królewskiego, Apellesa oraz towarzyszących mu żołnierzy²⁸.

Czy wtedy właśnie zaczęła się wojna Żydów z okupantem? Wojna, którą zakończyło w roku 70 splądrowanie Jerozolimy przez wojska Tytusa (w jej wyniku o mało nie doszło w sześćdziesiąt pięć lat później, kiedy Hadrian zburzył miasto i niemal całkowicie wyniszczył naród, do zaniku religii żydowskiej)? Trwająca dwa i pół wieku walka, której najbardziej znanym epizodem pozostać miał proces i ukrzyżowanie Chrystusa? Czy była to wojna religijna? Z pewnością, ale również polityczna, bo w teokracji nie da się oddzielić religii od polityki. Machabeusze walczyli kierując się ambicjami osobistymi, ale także po to, by przywrócić Torę.

Walczyli jednak na darmo, bo ich spadkobierca Jonatan ulegnie czarowi hellenizmu i podpisze układ o przyjaźni ze Spartą, zaś jednym z jego następców będzie Arystobul, który sam siebie nazywa Filohellenem, przyjacielem hellenizmu. Potem władza przejdzie w ręce Aleksandra IV Jannaja, króla żydowskiego, który nie cofnie się nawet przed biciem monet z greckimi napisami.

Przedostatni będzie Jan Hyrkan II, prześladowca wrogich hellenizmowi esseńczyków. Wszyscy skupią na sobie uwagę potomnych za sprawą tego, który okryt się mroczną, ale wielką sławą, skazując na śmierć, być może przez ukrzyżowanie (bywa to podważane), poprzednika Jezusa, przywódcę esseńczyków, sławnego i tajemniczego Nauczyciela Prawa. Który z przedstawicieli dynastii hasmonejskiej był jego katem? Jeszcze dziś, u schyłku XX wieku, specjaliści nie są zgodni w tej sprawie²⁹.

Najistotniejsze jest, że ulegając czarowi hellenizmu, przeciwni mu początkowo Machabeusze rozbudzili ducha buntu, którego sami stali się przedmiotem. Żydzi przestali rozpoznawać siebie w swoich władcach, przyjaciółach pogan. Na żywsze reakcje nie trzeba było długo czekać - w połowie II wieku p.n.e. grupa wiernych wyruszyła na pustynię, głośno dając wyraz oburzeniu postępowaniem władz lekceważących Torę. Ci wierni to esseń-czyzy³⁰. Ich pogarda była z pewnością zbyt wielka - padły obelgi, wybuchł konflikt. Wielki kapłan Jerozolimy skazał zatem na śmierć otaczanego najwyższą czcią esseńczyka, znawcę gnozy - Nauczyciela Prawa. Od początku I wieku (rok 6-7), rewolta żydowska przeobraziła się z "kontemplacyjnej" w zbrojną, a w Galilei nasiliły się ataki na zwolenników hellenizmu, przede wszystkim zaś - na obcych pogan, czyli żołnierzy rzymskich.

Właśnie w kontekście tej religijnej radykalizacji, porównywalnej z tendencją zwaną dziś "integryzmem", doszło do zerwania ze Starym Testamentem, a szatan oficjalnie stracił status istoty zasiadającej tuż obok Stwórcy, przynależny mu jeszcze w Księdze Hioba. W religii żydowskiej dominować zaczął nurt "apokaliptyczny" i nawet kiedy Szaweł-Paweł pomimo zacieklego oporu pierwszych apostołów, oderwał chrześcijaństwo od pierwotnego pnia, by stworzyć Kościół rzymski, zachowało ono ów apokaliptyczny charakter. Pierwsi chrześcijanie będą oczekiwali powrotu Jezusa (Paruzji) oraz końca świata, i to z takim zapalem, iż w końcu popadną w beczynność, co zmusi Pawła do podjęcia stosownych działań.

W tym okresie imię szatan, Belial (babiloński Baal³¹), pojawia się w rękopisach znad Morza Martwego³² wyłącznie jako synonim zła pozostającego w nieustannym konflikcie z

tym, co boskie. Świadczące o tym cytaty zapełniłyby całą książkę³³. W zwoju Hymnów, Prawach, Dokumentach Damasceńskich, w zwoju O Wojnie, wizerunek księcia zła został nakreślony w jednolitych barwach. Belial jest przeklęty, skazany na zatracenie, gdy nadejdzie księżę światła. Utożsamiany niekiedy ze zwodniczym duchem lub aniołem ciemności, zwany wrogiem, stoi w opozycji do Boga. Esseńczycy planowali, że na ich sztandarach i trąbach (bo przygotowywali się do wojny) widnieć będzie między innymi taka oto inskrypcja: "Kara Boga rozgniewanego na Beliala i wszystkich ludzi, którzy za nhn podążają".

W apokryfach odnajdujemy co najmniej dwadzieścia sześć wzmianek o szatanie i siedemdziesiąt o Belialu (Beliarze), nie licząc innych imion nadawanych księciu ciemności, jak Baal (wymieniony czterokrotnie) czy Mastema (osiem wzmianek). Obecność upadłych aniołów, pośredników szatana, utrudnia sporządzenie dokładnej listy. Ograniczmy się zatem do kilku przykładów. Kiedy Ezechiasz, król Judei, wezwał jedyne go syna, Manasses, by powiedzieć mu o swych wizjach i przekazać mądrość, wkroczył prorok Izajasz, by oznajmić, iż na nic zdadzą się ojcowskie wysiłki, bo Manasses za sprawą upadłego anioła Samaela ulegnie złu. By temu zapobiec, Ezechiasz gotów był nawet zgładzić syna, ale Izajasz odwiódł go od tego zamiaru. I rzeczywiście po śmierci Ezechiasza Manasses za podszeptem Samaela schodzi z dobrej drogi i "nie służy (już) Bogu swego ojca", lecz "szatanowi, jego aniołom i potędze". "Serce Manasses odmieniło się i służył teraz Belialowi, albowiem aniołem nieprawości, który jest księciem tego świata, (jest) Belial zwany Matanbuku- sem"³⁴. Dostrzegamy, że nie odróżniano dokładnie szatana od Beliala, a może utożsamiano te dwie postaci, przy czym Belial nosił również tajemnicze imię Matanbukusa. To jedna z pierwszych wzmianek o legionach aniołów, pozostających w służbie szatana.

Czy szatan jest jeden, czy może jest ich wielu? Wydaje się, że esseńczycy nie mieli w tej kwestii żadnego dogmatu, ponieważ pseudoHenoch opisując swe wizje powiada: "Słyszałem, jak czwarty głos (tajemniczych postaci, które wyśpiewywały hymny na cześć Pana), odpychał szatany, zabraniając im zbliżać się do Pana Duchów..."³⁵. A więc i tym razem Szatan pozostaje z dala od zastępów niebieskich.

Jednak problem jest bardziej złożony, bo jakoby niepomny na Stary Testament, który ustanawiał Przymierze pomiędzy Bogiem, rozkazującym szatanowi a potomstwem Noego, autor Księgi Jubileuszy pisze: "W trzecim tygodniu (roku) jubileuszowego nieczyste demony postanowiły zwieść dzieci synów Noego, sprowadzić je na złą drogę i powieść na zatracenie". A wówczas niedoszące ofiary proszą swego dziada o wstawiennictwo u Boga, który może sprawić, by złe moce nie miały nad nimi władzy. Ale, o dziwo, "księżę duchów, Mastema", czyli noszący wiele imion szatan, nie jest ich "panem", jak u Henocha, a w dodatku proponuje Bogu kompromis. Co najdziwniejsze, Bóg przystaje na "ugodę", wysłuchując prośby szatana: "Panie i Stworzycielu, pozostaw kilka [z tych duchów] przy mnie, by słuchały mego głosu i czyniły wszystko, co im nakażę. Jeżeli bowiem żaden nie zostanie przy mnie, nie będę mógł sprawować władzy nad plemieniem człowieczym"³⁶. Dziś trudno nam pojąć kompromis między absolutnym dobrem i absolutnym złem, a jednak mamy tu do czynienia z oczywistym kompromisem. W pewnym sensie jest to powrót do Starego Testamentu, w którym Bóg i diabeł porozumiewali się ze sobą zgodnie z nakazami rozsądku. Widzimy jednak, że opinie na temat diabła i polityki Boga poczynając od II w. p.n.e. bywają zmienne.

Jeden z najbardziej popularnych apokryfów, Manuskrypt Damasceński, powiada, iż Bóg ochroni przed diabłem każdego, kto zawrze z Nim Przymierze: "Ci ocaleni zostaną w czas pierwszego spotkania, lecz gdyby który się cofnął, wydany będzie na zatracenie. Taki oto los spotka każdego, kto wszedł w Przymierze, ale nie dotrzymał jego warunków, a zguba zostanie mu zgotowana za pośrednictwem Beliala"³⁷. Nie było więc powodu, by nasycać diabła na potomstwo Noego. Po prostu nowy diabeł jawi się tu raz jeszcze jako kapryśny złoczyńca.

Rękopisy z Qumran nie wykazują spójności w określaniu roli diabła w eschatologii. Choć wszyscy autorzy zgodnie uznają go za przeciwnika Boga, to każdy z nich rozumie ten fakt inaczej. Jeden z tekstów, opisujący siedem kręgów niebiańskich, głosi, iż "w trzecim znajdują się obozowiska oddziałów powołanych, by w dniu Sądu Ostatecznego dokonać zemsty na Belialu i służących mu duchach"³⁸. Aż trudno nie litować się nad Belialem,

który pomaga Panu w spełnieniu Jego woli, mając w perspektywie wydanie go na pastwę owej niebiańskiej armii.

Genesis stała się zapewne źródłem kolejnej przemiany - kobieta jest teraz współniczką diabła:

"Kobiety są złe, moje dzieci, ponieważ zaś nie mają autorytetu ani władzy nad mężczyznami, używają sztuczek, by ich ku sobie przyciągnąć... Kobieta nie może pokonać mężczyzny z odsłoniętą twarzą, lecz, niczym ładaczka, zakrywa oblicze", powiada Anioł Pański w jednym z apokryfów Testamencie Rubena, przypomniawszy, iż "jeśli pożądanie bogactwa nie maści waszych myśli, Belial nie ma nad wami władzy"³⁹. Problem musiał być wówczas istotny, gdyż porusza go także Symeon: "Strzeżcie się zbytku, bo on jest ojcem wszelkiego zła, oddala od Boga i zbliża do Beliala"⁴⁰.

Wiemy, że esseńczycy byli przeciwni małżeństwu, a nawet, że przyjmowali do swego grona wyłącznie młodzieńców, którzy swą urodą i wdziękiem cieszyli ich zmysły⁴¹. Kolejny apokryf Greckie żywoty Adama i Ewy, opowiada, że Ewa udała się do raj w towarzystwie syna, Seta (zgodnie z tą wersją Genesis miała ich trzydziestu), został on tam zaatakowany przez zwierzę, które rzekło błagającej o litość Ewie: "Jakże możliwe, że twe usta otworzyły się, by zjeść owoc z drzewa, z którego Bóg zabronił ci jeść? Tak samo i my [zwierzęta] odmieniłyśmy się"⁴². Łatwo jest za całe zło, które spadło na ludzi po wypędzeniu z raj, obwinąć pierwszą kobietę.

Wielki kryzys judaizmu uwidocznił się na przełomie tysiącleci w ideologii esseńczyków, uznających diabła za zacieklego i odwiecznego wroga Stwórcy. Po wyjściu Żydów z niewoli Bóg i diabeł współdziałali, realizując te same cele, kiedy jednak nadeszła nasza era, wybuchł pomiędzy nimi konflikt. Odzwierciedleniem tej ewolucji stał się drzemający w judaizmie esseńczyków gnostycyzm, nurt ściśle związany z absolutnym dualizmem uznający wszelką materię za zło, a wszelkiej cnoty przypisujący charakter duchowy. Świat został podzielony między Boga i diabła.

Czy twórcami tego dualizmu byli Żydzi? Nie, choć bowiem odrodził się wśród nich, pojawił się już w VI wieku p.n.e. w mazdaizmie. Od czasów Zaratustry Irańczycy uważali, że świat koncentruje się wokół dwóch przeciwieństw: Boga - Ahura Mazdy i Arymana - diabła, pałających do siebie bezgraniczną nienawiścią. Czyżby więc judaizm uległ wpływom mazdaizmu? Z pewnością i potwierdzają to fakty - pomimo poniżenia niewoli, Żydzi zachowali o Irańczykach, zwłaszcza zaś o Cyrusie, którego uważali za "mesjasza"⁴³, korzystne wspomnienie. Byli więźniami Babilonu, kiedy oddziały Persów i Medów zdobyły miasto i uwolniły ich z niewoli u pogan. Dariusz rozkazał nawet przetopić słynny złoty posąg Marduka, a potem wymordował babilońskich kapłanów. Artakserkses, następca Dariusza, także okazywał Żydom przychylność i właśnie za jego panowania, w roku 445 p.n.e., odbudowano mury świątyni w Jerozolimie i Judei. Persowie okazali się więc dobroczyńcami Żydów.

Życzliwość wobec Persów i sprzymierzonych z nimi Medów miała też solidne podstawy polityczne, bo przecież to oni podporządkowali sobie Babilon. Poza tym czasami zapomina się, że kiedy Cyrus pozwolił wreszcie Żydom na powrót do Palestyny, wielu z nich wolało pozostać w Babilonie⁴⁴.

Żydzi mieli więc doskonałe warunki, by poznać mazdaizm⁴⁵, a dzięki Talmudowi my także dowiedzieliśmy się sporo o pierwotnym mazdaizmie. Wielu autorów przyznaje, że judaizm wiele zawdzięcza mazdaizmowi: "Pradawna wiara Semitów w życie przyszłe przeobraziła się u Persów w wiarę w nieśmiertelność; przeniknęła doktryny judajskie i tą drogą wpływy zaratustrianizmu dosięgły teologii chrześcijańskiej"⁴⁶. Podobnie jak inne religie, judaizm czerpał więc ze źródła wedyjskiego, znacznie starszego, ale odnowionego przez Zaratustrę pod postacią mazdaizmu.

Po czterystu latach powinowactwo żydowsko-perskie było wciąż widoczne. Kiedy w roku 53 p.n.e. Partowie zadali Rzymianom dotkliwy cios w bitwie pod Karrami, "wrogo nastawieni do Rzymian Semici - Żydzi z Palestyny, Nabatejczycy z Damaszku, Arabowie z obszarów pustynnych z nadzieją spoglądali na Persję..."⁴⁷.

Properskie sympatie Żydów są w pełni uzasadnione - ich poglądy musiały skłaniać do tolerancji wobec perskiej religii, ponieważ tylko ona, obok ich własnej, nabrała po reformie zaratustriańskiej cech monoteizmu. Dlatego zgłębiali ją wnikliwie i od niej przejęli ideę niebiańskich istot zwanych aniołami⁴⁸. Zreformowany mazdaizm, "podobnie

jak myśl żydowska, stworzył ścisłe zależności między religijnością a moralnością jednostki"⁴⁹.

Tytuł nadawany przywódcom esseńczyków - "Nauczyciel Prawa" - niejako nawiązujący do imienia Ahura Mazdy, "Prawdy Sprawiedliwości", wzmacnia w nas chęć, by dopatrywać się w ich ideologii, najwyższym zrywie judaizmu, który usiłował powrócić do korzeni i z odrazą potępiał zhellenizowane duchowieństwo i "kolaborantów", żydowskiej odmiany mazdaizmu'⁰. Żydzi przejęli z Mezopotamii kanwę Genesis, stamtąd też mogli przejąć opozycję Bóg - diabeł.

Jest to jednak przedsięwzięcie ryzykowne, bo pomiędzy maz-daizmem i judaizmem esseńczyków istnieje zasadnicza różnica, tkwiąca w apokaliptycznej wymowie judaizmu. Mazdaiści uważali, że świat zamyka się w immanentnym bóstwie, czasie kosmicznym lub Zurwanie, który zatrze konflikt boga - Ahura Mazdy z Ary-manem - diabłem. Zurwan był wieczny i nieodmienny, esseńczycy natomiast wierzyli, że czas skazany jest na bliski kres, czego dowodzi ich reakcja na silne trzęsienie ziemi w roku 31 p.n.e., kiedy zginęło trzydzieści tysięcy osób, a Qumran zostało poważnie zniszczone. Esseńczycy uciekli na pustynię⁵¹, przekonani, że nadszedł dzień Sądu Ostatecznego. Oczekiwali końca świata z lękiem, pewni, że jest nieuchronny. Persowie nie wyobrażali sobie, by taki dzień mógł kiedykolwiek nastąpić.

To że postać diabła, antagonisty Boga, zaczerpnięto z mazdaizmu jest oczywiste, zwłaszcza że pierwotnemu judaizmowi jego idea była całkowicie obca. Narodziła się, kiedy tożsamość Żydów została zagrożona przez wojny i wpływy obcych kultur, a naród zwątpił w odzyskanie niezależności. Esseńczycy uznali się za ostatnich sprawiedliwych, za strażników Tory i żydowskich cnót. Diabeł pojawił się, bo sytuacja polityczna tego wymagała.

Trzeba było wyraźnie wskazać wroga Żydów, narodu wybranego, a więc i wroga Stwórcy. Esseńczycy sięgnęli po diabła mazdaizmu, ale, o dziwo, nadali mu mezopotamskie imię, nie nazywając go Arymanem. Belial, od Bela lub Baala, miał w Jerozolimie ogromną świątynię, tak wielką, że kiedy Jehu zwołał do niej lud, "nie pozostał nikt, kto by nie przyszedł"⁵² (II Ks. Kroi., 10, 21). I oto Stwórca Babilończyków, bóg płodności i urodzaju, burzy i wojowników, na oczach strwożonego ludu musiał wysłuchać klątw kapłanów z Qumran:

"Przeklęty bądź, Belialu,

Za wrogość twą,

Za podłość.

Przekłęte bądźcie niegodne duchy, które mu służycie,

Duchy nieczyste i podstępne,

Wyłaniające się z mrocznych otchłani"

Tyle o perskim pochodzeniu diabła. Oswobodzeni przez Cyrusa Żydzi uniknęli religijnych wpływów swych babilońskich prześladowców. Diabeł Irańczyka Zaratustry nie czułby się tak dobrze nad Morzem Martwym, gdyby nie stworzono mu tam dogodnych warunków. A byty wyśmienite, dzięki Mezopotamczykom, a zwłaszcza Babilończykom, bo Żydzi przejęli od nich nie tylko schemat Genesis i ideę Dekalogu, lecz także ideę grzechu, nierozzerwalnie związanego z poczuciem winy i pokutą. Stamtąd wziął się też pomysł utożsamiania kobiety z diabłem. Żaden człowiek nie chciał nigdy wierzyć w swą podłość i aby się z tym problemem uporać, oskarżał oskarżyciela. Zniewoleni w Babilonie Żydzi znaleźli się w takim samym położeniu, jak poddani króla tego państwa - żyli w upodleniu. Mezopotamczycy wiedzieli o swej przyrodzonej infamii, ciężącej na nich od chwili, gdy zostali stworzeni, tylko po to, by ulżyć matce stwórcy w wyczerpującej pracy. Żydzi szukali dla wyjaśnienia swej sytuacji przyczyny zewnętrznej. W ich rozumieniu był nią grzech. Prorocy głosili, że utrata wolności była karą z ręki Wszechmogącego, którego zawiedli, zrywając Przymierze. Padli ofiarą, ale czyją? Z pewnością - diabła. Oswobodzeni przez Persów, chętnie uwierzyli, że bogowie irańscy byli spokrewnieni z ich Bogiem, a w każdym razie żyli z nim w przyjaźni. Elohim to lingwistyczny absurd. To imię jest liczbą mnogą słowa "Eloha"⁴, a przecież Żydzi wierzyli wyłącznie w jednego Boga.

Wpływy irańskie są zatem skutkiem przyjaźni obu ludów. Persowie nadali synowi swego boga jedyne, Ahura Mazdy, imię Mitra (oznaczające "umowę"), doskonałe

współbrzmiające z żydowskimi nadziejami, że naród wybrany jako pierwszy zawarł z Bogiem Przymierze. Ten Bóg, obietnica pokoju na przyszłe stulecia, był niemal Mesjaszem. Dlaczego więc Żydzi nie mieliby przejąć od Irańczyków także i ich diabła, sprawcy wszelkiego rodzaju zła, czyli złego, Arymana?

Wpływy Mezopotamii polegały na zaszczepieniu nienawiści. Dostrzegamy je choćby w symbolicznej roli przypisywanej kobiecie. W mitologii mezopotamskiej, nawet gdy była ona boginią i nosiła dumne imię Isztar, zawsze pozostawała tylko jędzą. Była utożsamiana z łonem wyposażonym w najgroźniejszą broń - rozum. Kobieta uporczywie nękała czystych, szlachetnych, pięknych mężczyzn, takich jak Gilgamesz. W Starym Testamencie, zwłaszcza za czasów niewoli babilońskiej, kobieta upadała coraz niżej, aż wreszcie w apokryfach została sprowadzona do pozycji błędu natury⁵⁵. Przyjęcie mezopotamskiej mizogynii było tym łatwiejsze, że mitraizm głosił braterstwo i lojalność pomiędzy mężczyznami, wykluczając z niego kobiety. Pozostało już tylko napisać Genesis, zrzucając winę za całe zło i grzech na barki Ewy.

Grzech, pokuta, mizogynia, diabeł - Wschód wywarł na judaizm naprawdę silny wpływ. Za jego pośrednictwem te wątki przejęli także esseńczycy, a po nich - uczniowie Jezusa. Diabeł miał już zapewniony długi żywot, oczywiście, jeśli uznamy, że dwa tysiąclecia to długi okres w dziejach ludzkości.

Diabeł w Kościele pierwszych chrześcijan albo pomieszanie przyczyny i skutków

O sprzecznościach w opowieści o kuszeniu Jezusa na pustyni - O przypadkach "opętania", uderzająco często opisywanych w Nowym, a całkowicie pomijanych w Starym Testamencie - O różnicach w postrzeganiu przez Ojców Kościoła szatana, jego rodowodu i przeznaczenia - O nie wyjaśnionym przez pierwszych chrześcijan problemie upadłego anioła, czyli szatana, który uległ pokusom zła, nim jeszcze zdążyło się ono pojawić na świecie - O rozmaitych teoriach, sporach i herezjach na temat Diabła we wczesnym okresie chrześcijaństwa - O soborach i walkach, które miały rozstrzygnąć problem złego ducha w ciągu czterech pierwszych wieków istnienia Kościoła.

"I wtedy Duch wyprowadził Jezusa na pustynię, aby był kuszony przez diabła. A gdy przepościł czterdzieści dni i czterdzieści nocy, odczuł w końcu głód. Wtedy przystąpił kusiciel i rzekł do Niego:

»Jeśli jesteś Synem Bożym, powiedz, żeby te kamienie stały się chlebem«. Lecz On odparł: "Napisane jest: Nie samym chlebem żyje człowiek, lecz każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych«.

Wtedy wziął Go Diabeł do Miasta Świętego, postawił na narożniku świątyni i rzeki Mu: »Jeśli jesteś Synem Bożym, rzuć się w dół, jest przecież napisane: Aniołom swoim rozkaże o tobie, a na rękach nosić cię będą, byś przypadkiem nie uraził swej nogi o kamień. Odrzekł mu Jezus: »Ale jest napisane także: Nie będziesz wystawiał na próbę Pana, Boga swego«.

Jeszcze raz wziął Go diabeł na bardzo wysoką górę, pokazał Mu wszystkie królestwa świata oraz ich przepych i rzekł do Niego:

»Dam Ci to wszystko, jeśli upadniesz i oddasz mi pokłon«. Na to odrzekł mu Jezus: »Idź precz, szatanie! Jest bowiem napisane:

Panu, Bogu swemu, będziesz oddawał pokłon i Jemu samemu służyć będziesz[^]" (Mateusz, 4, 1-10).

To znane starcie z diabłem, naszym diabłem, budzi uzasadniony sceptycyzm. Następuje po ceremonii, która wprawia w pewne zdziwienie, czyli po chrzcie Jezusa. Żydzi nie praktykowali chrztu, który był obrzędem typowo esseńskim, co oznacza, że Jezus jest tu pokazany jako esseńczyk, choć o sekcie tej nie ma w Nowym Testamencie żadnej wzmianki. Chrzest esseńczyków miał na celu zmycie grzechu pierwotnego, toteż udzielenie go Jezusowi, którego Duch Święty począł w łonie kobiety, według współczesnej

teologii wolnej od tego grzechu, wydaje się bezcelowe, jeśli nie wręcz bluźniercze.

Nie znamy celu pobytu Jezusa na pustyni, a ewangeliści nie są zgodni co do jego przebiegu, Mateusz utrzymuje, że kuszenie nastąpiło po zakończeniu postu, Marek i Łukasz twierdzą, że zdarzyło się w czasie jego trwania, natomiast Jan pomija tę kwestię. Mateusz i Łukasz wspominają o trzech diabelskich próbach, Marek - o dwóch.

I oto pojawiają się trzy istotne problemy. Po pierwsze, Duch, oczywiście - Duch Święty, wystawia Jezusa na próbę. Ten sam Duch, który przyjmuje w chwili chrztu Jezusa postać gołębia (Marek, I, 1-12), następnie wysyła go na pustynię. Epizod ten przypomina nam historię Hioba, również poddanego próbie. Wydaje się, że Bóg za pośrednictwem Ducha Świętego wystawił własnego Syna na próbę, której nie wolno, o czym przypomina sam Jezus, poddawać istoty boskiej. Można by podejrzewać, że Bóg nie jest przekonany o boskości Swego Syna lub że nie ma pewności, czy boskość chroni przed pokusami.

Drugi problem stanowi rażąca ignorancja szatana, który widząc - na co wskazuje tekst ewangelii - że Jezus jest Synem Boga i że jest świadom swego pochodzenia, z absurdalnym uporem ponawia jednak próby kuszenia go. Pozornie groźny wróg okazuje się zwykłym głupcem.

Trzeci problem wiąże się z faktem, że o boskości Chrystusa przekonały jego uczniów cuda, których byli świadkami. Diabeł także jest o niej przekonany, a jednak Jezus nie godzi się dokonać cudu, chociaż w ten sposób uwolniłby się od natręta. Trudno zrozumieć postępowanie Chrystusa, bo przecież potem, w innych okolicznościach, bez wahania wykorzystuje swą moc właśnie przeciwko szatanowi. Chciałoby się zatem uznać, że opowieść o trzech próbach kuszenia na pustyni jest niespójna i że służy wyłącznie wprowadzeniu na scenę szatana w nowej roli antagonisty Boga.

Współczesna egzegeza podważa zresztą autentyczność rozmowy na pustyni: "Dialog Jezusa z diabłem przypomina dysputy rabiniczne", uważa Bultmann. "Tego rodzaju rozmowa, podczas której trzy udzielone kolejno odpowiedzi są cytatami z Biblii", pojawia się często w tekstach rabinicznych. W jednym z nich rabin dyskutuje z księciem demonów, w innym, żydowskiej legendzie o Abrahamie, pisze Bultmann, "Szatan za ocalenie Nimroda domaga się hołdu". Co ma udowodnić ta opowieść? "Ze żyjący jak inni śmiertelnicy Jezus jest Mesjaszem, choć przecież jest człowiekiem?". Nie sposób stwierdzić, czy historia pojedynku z szatanem nie jest "mitem pokrewnym mitowi o walce Marduka ze Smokiem", kończy Bultmann. Nie jest zatem wykluczone, iż raz jeszcze natrafiliśmy na ślad wpływów mezopotamskich.

Powieść o kuszeniu na pustyni powstała zatem w dość późnym okresie i rozwinęła wątek zarczerpnięty z obcej mitologii. Nie zaliczymy jej do pism objawionych, jednak można dostrzec w niej wpływy eseneńskie.

Dopiero w ciągu ostatnich trzydziestu lat, kiedy opublikowano skąpe fragmenty rękopisów znad Morza Martwego, udało się nieco dokładniej poznać filozofię eseneńczyków. Do tego czasu wydawało się oczywiste, że chrześcijaństwo narodziło się wraz z Chrystusem. Wyraźne pokrewieństwo pomiędzy nauczaniem Jezusa i naukami głoszonymi przez eseneńczyków, a także rola jednego z nich - Jana Chrzyciela, podważyły to przekonanie, ostatecznie obalone przez wiadomość o chrzcie Jezusa.

Jezus był zatem kontynuatorem filozofii ascetów z Qumran, głównego ośrodka eseneńczyków nad Morzem Martwym, i dopiero w późniejszym okresie oddalił się od niej. Jak już wiemy, na ich przykładzie dokładnie widać, jak wielki wpływ na późny judaizm wywarły mitologie Mezopotamii. W Mezopotamii powstała zresztą sekta ełkazaitów, która, jak się wydaje, dała początek chrześcijanom Jana Chrzyciela. Właśnie ich diabeł, a nie starotes-tamentowy szatan judaizmu, stanie się diabłem chrześcijan. Wszystkie Ewangelie, nie tylko cztery kanoniczne, przejmą jedną z głównych idei essenizmu, głosząc, iż tylko spętanie diabła może przyspieszyć nadejście Królestwa Bożego, czyli kres czasu lub apokalipsę.

Dzieło, którego pragnie dokonać Jezus, polega właśnie na spętaniu szatana, Belzebuba, Azazela, bez względu na imię, pod jakim się kryje. Mesjasz nieustannie uwalnia ludzi od "demonów", sług szatana², i tego uczy swych uczniów: "Wielu powie Mi w owym dniu: »Panie, Panie, czy nie prorokowaliśmy mocą Twego imienia i nie wyrzucaliśmy złych duchów mocą Twego imienia, i nie czyniliśmy wielu cudów mocą Twego imienia?«"³. Opowieści o egzorcyzmach raz po raz pojawiają się w Ewangeliach i trudno nie zadać

sobie pytania, czy w Palestynie naprawdę było tylu opętanych. "Z nastaniem wieczora przyprowadzono Mu wielu opętanych. On słowem wypędził złe duchy..."⁴ (Mateusz, 8, 16).

Pojawia się nowe, nie znane ze Starego Testamentu zjawisko - nagłe opętanie. Na przykład demon zamieszkujący w opętanym z Kafarnaum⁵ zaczął krzyczeć na widok Jezusa, a zanim - na rozkaz Mesjasza - opuścił ciało nieszczęśnika, rzucił go na ziemię. Podobnie stało się też w Cezarei Filipowej, gdzie żył chłopiec nękany od dzieciństwa przez nieczystego ducha. Biedak padał w drgawkach na ziemię, a z jego ust toczyła się piana⁶. Marek wzbogaca te opowieści; opętany z Kafarnaum mieszka pośród grobów, a próby spętania go łańcuchami okazują się daremne. Wewnętrzna siła każe mu wciąż okaleczać własne ciało kamieniami⁷. Widząc Jezusa, podbiega, pada do Jego stóp i krzyczy: "Czego chcesz ode mnie, Jezusie, Synu Boga Najwyższego?". Według Marka słowa te miały wyrażać lęk diabła zamieszkującego w ciele człowieka, trudno jednak przypisać je szatanowi. To objaw klinicznej hysterii, takiej, jaką pod koniec XIX wieku rozpoznają Clerambault i Charcot, po całych stuleciach wysyłania tysięcy dotkniętych chorobą, lecz oskarżonych o czary ludzi (w 90% były to kobiety) na stos.

Diabeł po raz pierwszy utożsamiony został z chorobą i nazwany przez ewangelistów "duchem nieczystym", a trędowaty, który "w jednym z miast" s błagał Jezusa o uzdrowienie, rzekł: "Panie, jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić". Wiara uleczyła także niewidomego Bartymeusza⁹. Ten sam schemat zaś odnosi się do wielu innych chorób, jak paraliż czy artretyzm. "Człowieku, odpuszczają ci się twoje grzechy", rzekł Chrystus, a paralytyk wstał i poszedł dalej o własnych siłach¹⁰. Podobnie stało się w przypadku kobiety z Galilei, która chodziła zgarbiona z powodu dolegliwości kręgosłupa: "A była tam kobieta, która od osiemnastu lat miała ducha niemocy", pisze Łukasz¹¹. Choroba uzależniona jest od powodującego ją demona, i na przykład niemy mężczyzna padł ofiarą ducha, który również nie mógł mówić¹². Mamy to do czynienia z przypadkami utożsamiania choroby i brzydoty z opętaniem (tendencja ta miała utrzymać się aż do schyłku XX wieku), lecz jest to także przejaw cofania się ku mezopotamskim przesądom, które za każdą chorobę winią odrębnego demona. Ich ślady odnajdujemy także w słowach, które Mateusz przypisał Jezusowi:

"Gdy duch nieczysty opuści człowieka, błąka się po miejscach bezwodnych, szukając spoczynku, ale go nie znajduje. Wtedy mówi: »Wrócę do swego domu, skąd wyszedłem«; a przyszedłszy zastaje go nie zajęтым, wymiecionym i przyozdobionym. Wtedy idzie i bierze z sobą siedmiu innych duchów, złośliwszych niż on sam; wchodzi i mieszkają tam. I staje się późniejszy stan owego człowieka gorszy, niż był poprzedni" ¹³.

Tak oto natrafiamy na trzecie nowe zjawisko - diabeł działa na oślep, nie kieruje się wyraźnymi motywami. Dlatego, bez żadnych powodów, opętał małą dziewczynkę, Fenicjankę z Syrii ¹⁴, podobnie jak bez powodu dręczy syna mężczyzny z Cezarei Filipowej lub szaleńca z cmentarza. W Starym Testamencie poczynania szatana są uzasadnione, w Nowym jednak zachowuje się on jak demony z Oceanii i Australii - działa bez planu. Jest to oczywisty przejaw myślowego regresu, wywołanego przez apokaliptyczny lęk panujący w Palestynie w I stuleciu - wszyscy czują się zagrożeni przez diabła, nieobliczalnego niczym wściekły pies.

W Starym Testamencie brak też (inaczej niż w Nowym) demonicznej fantastyki. Kiedy Jezus odprawia egzorcyzmy nad szaleńcem z cmentarza, wypędza zeń cały legion demonów, one zaś proszą, by pozwolił im zamieszkać w dwóch tysiącach świń, które przechodziły nieopodal. Znaczący i symboliczny jest fakt, że były to właśnie świny, których Żydzi nie hodowali. "Jeżeli nas wyrzucasz, to poślij nas w tę trzodę świń", błagają demony. Co dziwniejsze, Jezus godzi się, by weszły w świny. A potem nieszczęsne zwierzęta, zapewne owładnięte szaleństwem, pędzą po zboczu i niczym lemingi topią się w jeziorze. Ta opowieść zdumiewa, dlaczego bowiem w swej mądrości i dobroci Jezus miałby skazywać na udrękę stworzenia boże, których mięso po upływie setek lat Jego wyznawcy będą jadać ze smakiem. Zrodziła się niewątpliwie w umysłach Żydów¹⁵, ponieważ w tamtych czasach oni jedni uważali świńskie mięso za nieczyste.

Nigdy nie dowiemy się, jak naprawdę brzmiały słowa Jezusa, bo przecież wczesna wspólnota chrześcijańska, przepisywanym przez skrybów tekstom, mogła nadawać sens, jaki chciała z nich odczytać. Dziwi jednak, że tuż przed pojmaniem, w Ogrodzie Oliwnym,

Jezus nie mówi o "duchach nieczystych", powracając do imienia diabła, które po raz pierwszy użyte zostało przezeń w starotestamentowym znaczeniu.

"Szymonie, Szymonie, oto szatan domagał się, żeby was przesiać jak pszenicę" 16.

To pierwsze bezpośrednie odwołanie do diabła "z pierwszego Starego Testamentu", a zwłaszcza - z Księgi Hioba (por. rozdz. 14). Sugeruje ono, że szatan ma do wypełnienia misję, którą mógł mu powierzyć tylko sam Stwórca. Diabeł nie jest już przywódcą legionu duchów nieczystych i przewrotnych, przypominających bezdomne psy, ale pomocnikiem Boga, który w swej nieskończonej mądrości postanowił wystawić człowieka na próbę. Wizja szatana, wiernego wykonawcy Boskiej woli przeczy wyobrażeniom esseń-czyków, lecz w Ewangeliach kanonicznych odnajdujemy ją tylko raz. Czy należy wyciągać stąd wniosek, że Jezus odrzucił esseńską wizję diabła - przeciwnika Boga i ludzi? A może Łukasz, wykształcony w kręgu kultury greckiej i z pewnością świadom różnic pomiędzy szatanem starotestamentowym i szatanem esseń-czyków, włożył w usta Jezusa słowa, które wyrażają dystans wobec wpływów esseńskich? Osobiście skłaniam się raczej ku tej drugiej hipotezie.

Po zagadkowym odejściu Jezusa¹⁷, szatan rozpoczyna, by tak rzec, okres interregnum. W epizodzie dotyczącym sprzedaży posiadłości Ananiasza (Dzieje Apostolskie), Piotr wymienia imię szatana w sposób, który pozwala sądzić, iż jest on wyłącznie duchem zła i że nic nie łączy go z Bogiem. Ananiasz, który zatrzymał dla siebie część pieniędzy uzyskanych za posiadłość, został skarcony przez Piotra: "Ananiaszu - powiedział Piotr - dlaczego szatan zawładnął twym sercem, że skłamałeś Duchowi Świętemu i odłożyłeś sobie część zapłaty za ziemię?" 18. Słyszając to, Ananiasz padł martwy. A przecież oskarżenie Piotra było nie uzasadnione, bo Ananiasz nikogo nie okłamał, Duch Święty nie włączał się w przekazywanie dobytku na rzecz wspólnoty, zaś szatan nie miał z tą sprawą nic wspólnego.

Ale już w epizodzie o egzorcystach żydowskich, którzy próbowali w imię Jezusa oswobodzić opętanych, pojawiają się znowu "złe duchy" z Ewangelii. Siedmiu synów wielkiego kapłana Skewasa (nie znanego historykom¹⁹) było egzorcystami. Gdy postanowili wypędzić demona z opętanego²⁰, ten rzekł, dając dowód swej dobrej orientacji: "Znam Jezusa i wiem o Pawle, a wy coście za jedni?"

Tak oto ujawniają się parodystyczne elementy demonologii - aleksandryjskie przesady, przebiegłe złe duchy, które wiedzą o wszelkich nowinkach, a zatem także o istnieniu Pawła, i potrafią bezbłędnie odróżnić egzorcystów prawdziwych od fałszywych. Opowieść o siedmiu egzorcystach właściwie wystarczyłaby do ośmieszenia całej demonologii. W religiach Bliskiego Wschodu szerokim echem odbił się upadek Arymana, zapożyczonego od Irańczyków, oraz niezwykłych demonów rodem z Babilonii.

Trudno było jednak oczekiwać czegoś więcej od Łukasza i Pawła, rozdartych między Radą Apostolską z Jerozolimy, która uznała Pawła za oszusta i heretyka, a uniwersalną, rzymską wizją nauki Chrystusa. Żaden z nich nie chciał przypisywać szatanowi nowej roli. Łukasz był kompilatorem, czasami pisał teksty sławiące nową wiarę, a Szaweł-Paweł nigdy nie przejawiał większej inwencji teologicznej. Pochłaniało go przekazywanie zhellenizowanym ludom śródziemnomorskim nauk Starego Testamentu i własnej, dość skąpej wiedzy o nauce Chrystusa. Nie miał okazji stworzyć nowej kosmogonii. Nader rzadko wspominał o szatanie: na przykład wtedy, gdy oddawał mu na zatracenie człowieka, który dopuścił się niemoralnego czynu²¹, lub gdy wypowiadał banalne słowa: "ażeby nie uwiódł nas szatan"²². Nie wiemy, czy szatan Szawta współpracuje z Bogiem, wystawiając ludzi na próbę, czy też jest jego zaciekłym wrogiem.

Taka sytuacja trwa aż do podjęcia problemu przez Ojców Kościoła, byli oni przede wszystkim adeptami wiary chrześcijańskiej, którzy następnie nauczali innych. Ich miejsce zajęli potem biskupi, i to oni od IV wieku zbierali się na kolejnych soborach²³.

Ojcowie byli zmuszeni zająć się tą kwestią, należało bowiem ustalić, skąd pochodzi zło. Stwierdzili, że szatan przewodzi mocom ciemności i jest "istotą, którą Stwórca uczynił czystą, aniołem stojącym na najwyższych szczeblach hierarchii niebiańskiej"²⁴, a zatem przyjęli wschodnią, wręcz irańską koncepcję, która znalazła odzwierciedlenie w opowieści o Zastępach Niebieskich, wspomnianych w Księdze Hioba. Szatan należał do nich i nie wywoływało to niepokoju innych niebian, jednak zbuntował się, jak twierdzą Ojcowie Kościoła, przeciw Bogu i pociągnął za sobą gromadę niższego rzędu aniołów.

W ten sposób powstaje swoista "negatywna" hierarchia tych istot. Ojcowie odwołują się bowiem do hierarchii zastosowanej przez Pawła, który wyróżnia trzy grupy aniołów, od najwyższej - archaniołów, przez serafinów po cherubinów. Wszystkim im przewodzi anioł najwyższy, którego Klemens nazywa po prostu aniołem. Tak oto mnoży się liczba pośredników między niewidzialnym Bogiem i światem materialnym.

Nie udało się ustalić przyczyny upadku aniołów. Może było nią zło? W takim razie jednak zło istniałoby przed szatanem, on zaś nie byłby za nie odpowiedzialny. Powstaje dylemat, któż bowiem stworzył zło, jeśli nie szatan? Taczjan, jeden z Ojców Kościoła, który nie podziela opinii innych, zapewne przeczuwając kryjącą się w niej pułapkę, twierdzi, że upadek szatana nastąpił po upadku człowieka. Nie rozwiązuje jednak w ten sposób problemu, jakże bowiem diabeł miałby doprowadzić do upadku człowieka, gdyby sam wcześniej nie upadł?" ^ . Wkraczamy tu w dziedzinę kazuistyki, która nieustannie roztrząsać będzie tego rodzaju niuanse. Ireneusz z kolei utrzymuje, że upadek szatana nastąpił po stworzeniu człowieka, ale przed jego upadkiem²⁶. Koncepcja ta również nie rozwiązuje problemu wygnania z raju, ponieważ pochodzenie zła, które doprowadziło do upadku szatana, wciąż pozostaje nie znane. W IV wieku Laktancjusz, doradca cesarza Konstantyna, próbował ominąć problem, szukając przyczyny upadku złego ducha w zazdrości, jaką wzbudzał w nim nie człowiek, ale Syn Boży, Logos. Syn był najpotężniejszy po Bogu, a szatan znalazł się dopiero w drugim szeregu stworzeń boskich. "Pozazdrościł potęgi Synowi i aby uwolnić się od jego zwierzchności, zbuntował się przeciw Bogu, za co został wypędzony z nieba"²⁷. Laktancjusz zbliża się ku gnostyckiej tezie o podziale świata pomiędzy światłość i mrok, głosi bowiem, iż "Wolą Stwórcy było, by istniały dwa antagonistyczne duchy, jeden będący pierwiastkiem dobra, drugi zaś pierwiastkiem zła"²⁸. Oznacza to utożsamienie Boga z demiurgiem wyższym nad dobro i zło, a nie z Dobrym Bogiem, jak chcieli gnostycy. Laktancjusz posuwa się zatem "dalej" niż pseudoBarnaba wyróżniający "dwie ścieżki - na jednej stoją anieli Pańscy, niosący światłość, na drugiej - anieli szatana"²^ . Według Barnaby bóg i szatan konkurują ze sobą, Laktancjusz widzi w nich sługi wielkiego boga.

Problem nadal nie został wyjaśniony, jeśli bowiem szatan istniał od zarania dziejów, od stworzenia świata, hipoteza o jego upadku okazuje się zbędna. W takim razie jednak warto zastanowić się nad sensem pierwszych zdań Księgi Hioba, chyba że pominiemy Stary Testament. Czy wówczas wśród Zastępów Niebieskich, obok przedstawicieli dobra, znaleźliby się reprezentanci zła? Jaki jest ów Bóg, który pyta szatana o to, co ostatnio czynił? Czy jest demiurgiem, wyższym nad dobro i zło, czy też Dobrym Bogiem? Wedle Księgi Hioba jest On dobry, ale jak wyobrazić sobie, że Dobry Bóg pertraktuje z szatanem? Czyżby Bóg i szatan byli sobie równi?

Ojcowie Kościoła proponują jeszcze inne rozwiązania. Złe anioły upadły, ulegając pokusom cielesnym. Niezbyt przekonujące wyjaśnienie, bo zazdrość, pycha i żądza dóbr doczesnych zgodnie z teologią rodzą się z pierwiastka zła, my zaś wciąż nie wiemy, kiedy się ono pojawiło. Jedni utrzymują, że aniołowie zaczęli pożądać śmiertelnych kobiet dopiero po upadku, inni, że to właśnie stało się przyczyną ich odstępstwa.

Trwająca od wieków dyskusja nie rozwikłała problemu, i wciąż powraca się do twierdzeń esseńczyka pseudoEnocha (por. rozdz. 14). Tak czy inaczej demony współżyły z kobietami i z tych związków zrodzili się giganci³⁰. Ojcowie Kościoła opisali także wygląd demonów, których ciało było utworzone z materii bardziej subtelnej niż ludzkie, nie tak jednakże delikatnej jak anielskie. W III wieku Orygenes, jeden z najznamienitszych egzegetów wczesnego Kościoła, zapewniał, że są mroczne i posępne, co rozumie się samo przez się, trudno bowiem przypuścić, by opowiadając o kuszeniu i nękanii duszy przez demony można było uznać je za istoty świetliste.

Orygenes przypisuje demonom także wiedzę "gwiezdną" i ludzką, co jest zarazem usprawiedliwieniem i potępieniem astrologii - usprawiedliwieniem, bo ukazuje ona, że istnieje relacja między ludźmi i gwiazdami, potępieniem, bo wynika z niej również, że demony dają natchnienie astrologom. Orygenes jednak zapuścił się na niebezpieczny teren, ponieważ z jego rozważań można wnosić, że u kresu czasów demon i potępieni zostaną wybawieni³¹, zaś teza ta podważa sens walki z szatanem. Według Orygenesesa, podobnie jak według Klemensa Aleksandryjskiego, Justyna i Ireneusza, demony nawrócą się w dniu Sądu. Jest to sprzeczne z myślą Barnaby, który pisze, że "droga czarnego

[szatana]... jest drogą śmierci i kary wiecznej"³².

Przez trzy pierwsze stulecia Ojcowie Kościoła, co dziwne, odróżniali demony, szatana, diabła i anioły. "Nie mówią prawie nic o naturze demonów", a wyjątek stanowi Ignacy, który uważa je za "beztęlesne"³³. Czy każdy z nich ma własną domenę? Nie wiadomo, ale jak niejednoznaczne były wyobrażenia Ojców Kościoła o tych istotach, widać jeszcze u Justyna, który głosi, że "księciem złych demonów" jest wąż. Nie dowiadujemy się, czy jego zdaniem istnieją także dobre demony.

Zdumiewającą myśl wygłosił w IV wieku Grzegorz z Nyssy, zwany także świętym Grzegorzem, którego bratem był Bazyl Wielki. Otóż Bóg miałby uciec się do podstępów wobec szatana, który zyskał prawo władzy nad ludźmi po tym, jak dopuścili się grzechu (spadającego na cały rodzaj ludzki jako grzech pierworodny). Potem "zawarte zostało porozumienie, na mocy którego Bóg poświęcił Chrystusa za ludzi, a szatan chętnie przystał na ten warunek, uważał bowiem, iż posiadłszy istotę tak czystą i świętą jak Jezus, zyska więcej, niż gdyby miał we władaniu wszystkich ludzi"³⁴. Trudno w to uwierzyć, ale tak właśnie powiedział

Grzegorz - przebiegły Bóg oddał swojego Syna diabłu. Lecz śmierć Jezusa dowiodła tylko jego boskości i szatan musiał odeń odstąpić. W ten sposób wpadł w pułapkę zastawioną przez Boga.

Absurdalna i szokująca hipoteza o Boskim podstępie odniosła w owych czasach pewien sukces, podchwycili ją bowiem Ambroży, Leon Wielki i Grzegorz Wielki, porównując szatana do ryby schwytanej w sieć. W IV stuleciu odrzucił ją Grzegorz z Nazjanzu, który uznał za wykluczone, by szatan mógł dostać zakładnika w osobie Syna Bożego, który jest przecież Bogiem. Jednak Grzegorz z Nazjanzu, podobnie jak jego poprzednicy, nie wypowiadał się na temat pochodzenia szatana ani na temat Odkupienia.

Ojcowie nie mogli uporać się z dylematem natury logicznej - czy diabeł jest przyczyną, czy też skutkiem zła? Czas nie przyniósł zadowalającej odpowiedzi na to pytanie, trudno się jednak temu dziwić, skoro roztrząsany problem był niesprawdzalny. Od IV wieku dysputy koncentrują się wokół roli, nie zaś natury szatana. Od II wieku, kiedy Tacjan, Asyryjczyk z pochodzenia, a Grek duchem, zadowolił się stwierdzeniem, że pewne anioły stały się złe³⁵, nie wyjaśniając, na czym polegała ich wina, nie wyciągnięto żadnych nowych wniosków. Z upływem stuleci dyskusja coraz wyraźniej zmierza do uwypuklenia roli Boga i pominięcia ontologii diabła.

Nowy kierunek rozważań przyniósł jedynie kolejny problem - czy Bóg wyda ludzkość na pastwę szatana, czy też w swej nieskończonej dobroci ulituje się i cofnie wyrok? Tej ostatniej hipotezy bronił w IV wieku Atanazy, aleksandryjski hellenista skłócony z Konstancyuszem z powodu niesłusznego oskarżenia o zamordowanie biskupa Arsena i o próbę przerwania dostaw egipskiego zboża do Rzymu³⁶. Propozycje Atanazego jako pierwsze w historii Kościoła podkreślają rolę Boga i człowieka, odsuwając na dalszy plan szatana. Wydawało się, że piekielna machina, wyimaginowana postać szatana, którego powołali do życia esseń-czycy, zniknie wreszcie z rozważań teologicznych.

Atanazy, wierny zasadom hellenizmu, przesiąknięty duchem wolności, po prostu odparował diabła.

Jednak ten, kto uwierzyłby, iż jest to ostateczne rozwiązanie problemu, zlekceważyłby siłę wierzeń ludowych i konkurencyjnych religii, a co gorsza - różnorodnych nurtów, które rozwijały się w Kościele pierwszych wieków chrześcijaństwa. We wczesnym okresie nie istniały ani dogmaty, ani doktryna, formował się dopiero załączek, istota wiary opartej na naukach Szawła-Pawła. Właśnie owemu załączkowi religii kapłani, biskupi i - oczywiście - Ojcowie Kościoła, starali się nadać spójność, często jednak wzajemnie sobie przecząc.

Poza tym chrześcijan obowiązywała powściągliwość, a niekiedy wręcz przebiegłość. Pamiętajmy, że były to czasy Imperium Rzymskiego, które opanowało większą część cywilizowanego świata. Aż do odrzucenia pogaństwa przez Konstancyusza Wielkiego (312 r.), kiedy to po raz pierwszy na czele Imperium stał chrześcijanin, uczniowie Jezusa nie mogli działać swobodnie, zagrożeni prześladowaniami, które nawet po nawróceniu Konstancyusza w roku 311 współcesarz Licyniusz³⁷. Dlatego biskupi nie mogli pozwolić sobie na otwartą krytykę innych religii, ani na przykład nazywać demonami obce bóstwa, to bowiem mogłoby urazić przyjaciół cesarza lub wspólnoty znaczące z punktu widzenia polityki władcy. Mimo oficjalnej opieki, jaką roztoczył nad chrześcijanami cesarz,

uznając ich religię za państwową, biskupi nadal borykali się z problemami, ponieważ Konstantyn zastrzegł sobie prawo przesądzania o wyniku dysput teologicznych.

Chociaż spory między chrześcijanami i niechrześcijanami osłabły nieco od czasu, gdy Szawel-Paweł zaczął nauczać, cała społeczność oswoiła się z religią chrześcijan, zaś sama wspólnota rozwinęła się i umocniła, trzeba było jeszcze, by niewierni zaczęli pukać do drzwi kościołów, pragnąc się nawrócić. Do triumfu Konstantyna chrześcijanie pozostawali w Cesarstwie grupą wyobcowaną. Głosiciele słowa Bożego narażeni byli na agresję tłumu, na obelgi i razy, a czasem nawet na śmierć.

W tak trudnych okolicznościach głównym rywalem rodzącego się chrześcijaństwa stał się, bardzo zresztą aktywny, judaizm, któremu Paweł, założyciel Kościoła Rzymskiego, otwarcie okazywał wrogość: "Nie masz miasta u Greków ani u barbarzyńców", gdzie nie istniałaby komuna żydowska, pisze Józef. Judaizm śródziemnomorski nie uległ znacznym wpływom essenizmu, zachował zatem wschodni charakter i pozostał wierny nakazom Starego Testamentu, nie uważając diabła za istotę dużego formatu, a to choćby dlatego, że Żydzi nie uznali pojęcia Odkupienia. Chrześcijaństwo bez Odkupienia straciłoby rację bytu, a właśnie Odkupienie tak wyraźnie zmieniło pozycję szatana. Zdecydowane odcięcie się od judaizmu miało zatem szczególne znaczenie dla Ojców Kościoła, zaś nowa definicja szatana była jedną z form uwypuklenia różnic dzielących obie religie. Zadanie wydawało się tym pilniejsze, że żydowski prozelityzm był bardzo skuteczny i poganie nawracali się równie często na judaizm, jak na chrześcijaństwo, niektórzy zaś decydowali się "nawet na totalne nawrócenie, przypieczętowane obrzezaniem"³⁸. Wiara neofitów musiała być silna, skoro nie licząc się z konsekwencjami, poddawali się zabiegowi uznanemu mocą praw cesarskich za zbrodnię.

Kolejnymi rywalkami, do czasu wstąpienia na tron Konstantyna, są religie rzymska i hellenistyczna - pierwsza jako religia państwowa, druga, jako przyswojona przed wiekami przez wszystkie ludy kręgu śródziemnomorskiego. W żadnej z nich nie odnajdujemy pojęcia porównywalnego z Odkupieniem, zaś postać diabła jest im całkowicie obca. W dodatku obie zapewniają wyznawcom komfort moralny i intelektualny, którego nie potrafi dać chrześcijaństwo. Nie budzą u jednostki poczucia winy, związanego z grzechem pierwotnym, ani lęków egzystencjalnych, zaś hołdowanie cnotom ma w nich podstawy filozoficzne.

Ojcowie Kościoła w pełni to sobie uświadamiali. Na przykład Klemens Aleksandryjski (II w.), późno nawrócony na chrześcijaństwo Ateńczyk, który zawinił, stając się mistrzem "zbuntowanego" Orygenesesa, podejmuje zadanie retoryczne, polegające na przedstawieniu filozofii greckiej jako "drogi wiodącej do Jezusa". Według Klemensa, hellenisty mimo woli, "grzechem jest to, co przeczy zdrowemu rozsądkowi, który Słowo, czyli Logos, dało człowiekowi"³⁹. Niesamowite stwierdzenie, głoszące, iż logika nakazuje być chrześcijaninem, a samą wiarę spychające na dalszy plan! Diabeł, źródło grzechu, został utożsamiony z nierozwagą. Klemens niejednokrotnie zadziwia swym podejściem do wiary. "Raz odwołuje się do słów Platona, raz nawiązuje do nauk Jezusa"⁴⁰. Z naiwną, a nawet wzruszającą arogancją, usiłuje zamknąć usta Homerowi, gdy go cytuje:

"...Pieśnią Znamienitą Śpiewał on Aresową miłość z Afrodytą:

- Jak się raz z sobą zesłi w Hefajsta komorze;

Co Ares jej nadawał, nim mu splamił łożo..." *. by zakrzyknąć: "Niechaj zamilknie twój śpiew, Homerze! Nie masz w nim piękna, uczy wiarołomstwa. Nie chcemy słuchać pieśni o nierządzie"⁴¹. Już Tacjan nazwał wielkich filozofów greckich nudziarzami, a Tertulian Kartagińczyk oburzał się na filozofię, ale możemy tylko uśmiechnąć się na myśl, że filozofia grecka, uznawana przez Klemensa, mogłaby obejść się bez Homera i innych poetów. Uśmiechem też wypada skwitować próby zamknięcia ust poecie i oskarżenia go o pornografię. Zachwyca natomiast fakt, iż Grecy wiernie go słuchali. Klemens interesuje nas, bo jako pierwszy z Ojców Kościoła rzucił anatemę na bóstwa innych religii. "Słowo prorocze", pisze, robiąc aluzję do przepowied-

Walczącej o szerzenie swej wiary retoryce chrześcijańskiej szczególnie odpowiada Dionizos, który podobnie jak Herakles jest półbogiem, a zarazem symbolem życia, zaś jego poćwiartowanie przez menady zapowiada wieczne odrodzenie. Nie ma znaczenia, że misteria dionizyjskie, a także eleuzyńskie były hołdem składanym życiu i mistycznym zjednoczeniem z naturą, przede wszystkim zaś, że ignorowały zło i diabła. Chciano

widzieć w nich przygotowania do przyjęcia Chrystusa - Odkupiciela. Orfeusz jest prawdziwym prekursorem Jezusa, a jego zejście do piekieł poprzedza zstąpienie Syna Bożego do piekła;

Nic w tym dziwnego, bo Orfeusz wywodzi się z tego samego, azjatyckiego kręgu kulturowego, który wywarł wpływ na judaizm, a więc także na esenizm, i przyczynił się do powstania mitu Chrystusa. Chrześcijanie sięgną do pewnych motywów wierzeń grecko-rzymskich, które staną się dla ich religii swego rodzaju przepustką.

Od początku II wieku chrześcijaństwo odnosiło znaczące sukcesy, te zaś wzmogły niechęć przeciwników i znów zaczęły się prześladowania, które trwały z przerwami do przejścia władzy przez Konstantyna. Nasilały się niekiedy, na przykład po wydaniu edyktu z roku 257, kiedy to pod groźbą wygnania całemu duchowieństwu nakazano złożenie ofiar bogom Cesarstwa i zabroniono - pod karą śmierci - oddawania czci Bogu chrześcijan.

Podejmując w kazaniach i rozprawach retorycznych grecko-rzymskie wątki religijne i filozoficzne, jak czynił Klemens Aleksandryjski, głosiciele wiary chrześcijańskiej przyswajali jej starą tradycję interpretatio graeca, ta zaś nie narzucała ludności nowych bóstw, lecz pozwalała doszukać się własnych bogów pod inną postacią i imieniem. Ta sama tradycja pozwala wyjaśnić budzący dziś zdziwienie zwyczaj przejmowania grecko-rzymskich bóstw przez ludy, które miały własne panteony. Utożsamiano Jupitera z Zeusem i z Baalem Hadadem, bogiem burzy i deszczu z Damaszku, z drugiej strony, Heraklesa z Nergalem, Herę z Astarte, Afrodytę z Uzzą, Dionizosa z Duszarą⁴⁴. Bogowie lokalni przybierali imiona greckich i rzymskich, bóstwa greckie i rzymskie traciły tożsamość, by nabrać cech i przyjąć imiona bardziej odpowiadające specyfice kraju, w którym miały żyć.

"Wędrowki bogów" i zmienność ich charakteru w religiach starszych niż chrześcijaństwo mają szczególnie znaczenie, jeżeli chcemy zrozumieć przyczyny jego sukcesu w prowincjach Cesarstwa. Te przeobrażenia bóstw są często lekceważoną cechą religii starożytnych, a przecież przez wiele stuleci ludzie byli przekonani, że ich bogowie są uniwersalni i że różnią ich tylko imiona oraz cechy drugorzędne. Przyjmowali zatem obce bóstwa z taką łatwością, z jaką Rzym przyjął egipską Izis, która stała się w Imperium najpopularniejszą spośród obcych bogiń. Jako matka i żona, identyfikowana była z Demeter, Afrodytą, Artemidą, Persefoną, Ateną, Kybele (we Frygii)⁴⁵. Jezusa utożsamiano nie tylko z Herak-lesem, ale też z Dionizosem i Apollinem. Jednym z najsławniejszych przykładów tego synkretyzmu jest posąg z III wieku, znajdujący się w Muzeum Watykańskim, który ukazuje Jezusa na podobieństwo Dobrego Pasterza - Apollina, z owieczką na ramionach.

Symbole odwołujące się do tradycji grecko-rzymskiej, miały dowodzić, że chrześcijaństwo jest kontynuacją i dopełnieniem religii i filozofii antycznej i ułatwić jego adaptację w kręgu kultury hellenistycznej. Lecz głosiciele słowa Bożego musieli pokonać liczne trudności, ponieważ kultura hellenistyczna istniała od dawna wszędzie tam, gdzie się pojawiali - od Słupów Heraklesa aż do Fontu, a przecież hellenizm odrzucał ideę diabła.

Dlatego właśnie tak trudno było wypracować spójną definicję diabła, definicję, którą wszyscy chcieliby przyjąć. Im dalej docierali misjonarze chrześcijańscy, tym większe piętrzyły się przed nimi trudności. U schyłku III wieku chrystianizacja objęła całą Azję Mniejszą, a w niektórych prowincjach Armenii, Bitynii, Frygii i Pizydii oraz na terytorium dawnej Kartaginy, chrześcijanie stanowili przeważającą większość. Żyli także w niemal całej Grecji, Italii, a nawet w Dacji, Pannonii, Noricum i kraju Retów. Chrześcijaństwo triumfowało w Akwitanii i tylko do niewielkiej części Hiszpanii nie dotarli głosiciele Ewangelii. Wyznawców Jezusa można było spotkać też w Belgii, Germanii, a nawet w Anglii - Londynie, Canterbury, Yorku.

Oznacza to, że misjonarze nauczali ludy celtyckie, których religie nie znały pojęcia diabła. Dopóki chodziło o głoszenie nauki Jezusowej, dzieło było trudne, często niebezpieczne, lecz szczytne, bo moc tych nauk okazywała się nieodparta. Kiedy jednak poruszano kwestię diabła, pojawiały się nowe problemy.

Dochodziło też - głównie na Wschodzie - do starć z mitraizmem, który zadomowił się tu już w VI wieku p.n.e. i stworzył paradoksalny problem, który wyniknął z jego

podobieństwa do chrześcijaństwa. Jedyny Bóg, jedyny diabeł, a także istota pochodząca od Boga - Mitra, łądząco przypominali postaci znane nam z Nowego Testamentu, godząc w istotę rodzącej się religii. Mitraistyczny dualizm dał bowiem początek prądowi mocno wrośniętemu w judaizm, zwłaszcza esseński oraz w chrześcijaństwo. Tym prądem był gnostycyzm.

Jednak nie mitraizm pod swą grecko-rzymską postacią był największym zagrożeniem⁴⁶, ponieważ na wschodzie Imperium miał nielicznych wyznawców, a byli nimi wyłącznie mężczyźni, głównie zaś - żołnierze, którzy przyczyniali się do szerzenia tej wiary nawet na odległych terenach. Ten gnostycyzm, tak bliski chrześcijańskiemu, zasadniczo się od niego różnił, ponieważ upatrywał zło we wszelkiej materii ożywionej⁴⁷. Zło, a więc i szatan, istniały od zarania dziejów - na początku "było Światło i Mrok, a pośrodku był Duch".

Taki sposób rozpoznawania zła i szatana z wielu przyczyn nie odpowiadał ortodoksyjnym chrześcijanom. Po pierwsze wyznaczał Bogu Dobrą, Dobremu Bogu, drugorzędną rolę. Druga przyczyna wynikała z pierwszej - uznając świat materialny za imperium szatana, gnostycyzm podważał celowość wcielenia Syna Bożego w człowieka Jezusa⁴⁸. Przybierając postać cielesną, Jezus wkraczał w domenę zła, albo po prostu nie dokonał wcielenia. Żadnego z tych wariantów chrześcijanie nie mogli przyjąć. Co gorsza, szatan gnostyków wygrywał walkę aż do końca świata, bo wszyscy byliśmy stworzeni przez zło.

To, że niekiedy ojcowie - apologety, jak Tacjan, ulegli wpływom gnostycyzmu⁴⁹, było jedynie błędem jednostek, co gorsza jednak niektóre Ewangelie (a było ich znacznie więcej niż cztery), jak na przykład Ewangelia Jana, nosiły wyraźne piętno gnostycyzmu. Właśnie w tej Ewangelii Jezus oznajmia: "Już nie będę z wami wiele mówił, nadchodzi bowiem władca tego świata."⁵⁰ A zatem gnostycy mieli rację - Jezus uznawał panowanie szatana nad tym światem. Jak wiadomo, Ewangelia Jana zdołała uniknąć cenzury papieża Gelazego.

Marcjon, najwybitniejszy myśliciel heretycki i niewątpliwie najbardziej oryginalny gnostyk, głosił w II wieku, że nie dokonało się rzeczywiste wcielenie Jezusa, który był jedynie czymś na kształt urojenia, to zaś oznacza, że ukrzyżowanie nie dosięgło ciała Bożego. Nie jesteśmy w stanie przedstawić tu syntezy gnostycyzmu, który proponował nazbyt złożone i różnorodne systemy. Karpokrates, Bazylides, Walentyn prezentują rozbieżne poglądy. Zróżnicowanie sekt - szymonianów, menandrytów, satornilian, bazylidian, walentynian, nikolaitów, ofitów, ebionitów, nazarejczyków, sokratyków, barbelitów, dozytjan, doketów, meryn-cjan, jest tak znaczne, że trzeba by opracować encyklopedię, by opisać ich rozwój, szczegóły dzielące ich koncepcje i poglądy. Jedno jest pewne: uczniowie Pawła bardzo szybko ujrzeni w gnostycyzmie wroga znacznie groźniejszego od "pogaństwa", bo przecież gnostycyzm rozwinął się z tego samego pnia co chrześcijaństwo.

Niebezpieczeństwo było tym większe, że sam Paweł, założyciel Kościoła Rzymskiego, nie obronił się przed atakami gnostyków i popełnił rażący błąd, twierdząc, że Bóg zesłał nam Jezusa w ciele podobnym naszemu grzesznemu ciału⁵¹. Oznacza to, że splamił go grzech, czyli że padł ofiarą szatana! Tak obala się dogmat o Niepokalanym Poczęciu Zbawiciela, przeczy się jego boskiej naturze! Rozumiemy oburzenie Klemensa Aleksandryjskiego, gdy dotarła doń ta podchwycona przez Bazylidesa idea. Ale teksty Pawła znacznie częściej dostarczały pożywki gnostykom. Przecież to on skazał ciało na wieczne potępienie, głosząc "że ciało i krew nie wejdą do królestwa Bożego"⁵².

Aż do V stulecia gnostycyzm przyprawiał Ojców Kościoła o dreszcze - diabeł, jakiego wykreował stałby się nieuleczalną chorobą chrześcijaństwa, gdyby zdołał zyskać jego akceptację, a pojęcia grzechu i Odkupienia zatraciłyby wszelki sens. Liczna grupa działających w tym czasie gnostyków - mesjaszy, na czele z Szymonem Magiem, którego Jezus spotkał w Samarii, Dozyteu-szem, Menandrem, Apolloniuszem z Tiany, zmobilizowała Kościół, tym bardziej, że początkowo widział w nich sprzymierzeńców (na przykład w II wieku Bar-Kochba, jako zaciekły wróg Rzymu, uznawany był za sprzymierzeńca chrześcijan). Gniew Kościoła wzrastał się tym bardziej, że wszyscy oni podawali się za prawdziwych mesjaszy. Chrześcijanie z Palestyny poddawani byli mękom, póki nie wyrzekli się i nie potępili Jezusa. Nawet sabejczycy, uczniowie Jana Chrzciela,

który zapowiedział} przybycie Mesjasza Jezusa, okazali się być wrogami chrześcijan. Przetrwali długo, bo aż do początków XX stulecia, gdy na przykład uczniowie Szymona - zaledwie do III wieku.

Raz po raz ktoś zasługiwał na ostre potępienie i wiele nazwisk oraz tekstów z tamtych czasów dotarło do nas wyłącznie dzięki Ireneuszowi, Hipolitowi, Epifanowi. Chrześcijanom wzbraniano słuchać tych nauk. W Laodycei i Aleksandrii czy Efezie nie szczędzono trudu, by sprawną retoryką i kazuistyką powstrzymać gnostycką zarazę. Trwająca pięćset lat "czystka" okazała się skuteczna i wreszcie gnostycyzm wyzionął ducha. Mało brakowało, by na zawsze poszedł w zapomnienie, ale los chciał, że w roku 1945 w Egipcie natrafiono na bibliotekę gnostycką - sześćdziesiąt rozpraw, które umknęły cenzorom, a które dla badaczy pierwszych lat chrześcijaństwa są równie ważne, jak rękopisy znad Morza Martwego.

Młode chrześcijaństwo musiało borykać się nie tylko z gnostycką zarazą - mnożyły się też schizmy i herezje. Pierwsza znacząca schizma wiąże się z imieniem aleksandryjskiego kapłana wykształconego w Antiochii - Ariusza, który na początku IV stulecia wszedł w konflikt ze swoim biskupem. Spór dotyczył natury Chrystusa. Wydalony z Aleksandrii, szerzył groźną dla ortodoksyjnego chrześcijaństwa ideologię w basenie Morza Śródziemnego. Opierając się na Starym Testamencie, który głosi, że był czas, kiedy Chrystus nie istniał, Ariusz utrzymuje, iż Syn jest "młodszy" od Ojca, który stworzył go z nicności; jeżeli jest Bogiem, to podrzędnym. Syn jest jedynym stworzeniem Ojca, bo "cała reszta stworzenia jest dziełem Syna z woli Ojca" ". W tej optyce całą teologię chrześcijańską, wypracowaną z trudem i opartą na heterodoksyjnych tendencjach, należałoby zbudować od nowa. Pociągnęłoby to za sobą pewne konsekwencje, między innymi - eliminację diabła, który, jak inne istoty niebiańskie, stałby się tworem Jezusa.

Domyślamy się, jak silne emocje wzbudzała nauka Ariusza. Sam Konstantyn stanął na czele reakcji, zwołując w roku 325 Sobór w Nicei (do którego Europejczycy chrześcijanie nie przywiązywali większej wagi, ponieważ wschodnie, a właściwie - bizantyjskie - spory wydawały im się pozbawione sensu). To nie nowa tożsamość diabła wzburzyła Bizancjum, ale zmiana pozycji Jezusa, który, jak twierdzi Ariusz, był postacią drugoplanową. Jednak rozważania nad naturą Chrystusa zawsze pociągają za sobą analizę postaci diabła.

Pojawiały się także inne herezje, a wśród nich monarchianizm czy ściślej - adopcjanizm, który uznawał Chrystusa za zwykłego człowieka, wywyższonego do rangi Syna Bożego za zasługi. Podobna myśl zrodziła się w głowie Teodota Bizantyjczyka (teodocjanizm), zwanego Garbarzem⁵⁴, który głosił swoje teorie w Rzymie. Dopiero uznany przez Boga za Syna, Jezus począł czynić cuda, twierdził Teodot. Ewangelie zdawały się potwierdzać jego pogląd. U Mateusza czytamy: "Jeżeli ktoś powie słowo przeciw Synowi człowieczemu, będzie mu odpuszczone, lecz jeśli powie przeciwko Duchowi Świętemu, nie będzie mu odpuszczone ani w tym wieku, ani w przyszłym" (Mat. 12, 32), u Jana zaś:

"Teraz usiłujecie Mnie zabić, człowieka, który wam powiedział prawdę usłyszaną u Boga" (Jan, 8, 40). Herezja ta okazała się żywotna. Przetrwiała do IV wieku, a jej kontynuatorem stał się inny Teodot, także Bizantyjczyk, zwany Bankierem. Wywarła ona pewien wpływ na sytuację diabła: idea Odkupienia, jeśli w ogóle warto było o nim mówić, straciła na znaczeniu, a ludzkość znalazła się we władaniu szatana, jak w pierwszych dniach po Stworzeniu. Podobnie prezentuje się herezja ebionitów⁵⁵, którą wiele łączy z adopcjanizmem, a która odrzucała nauki Pawła. Jezusa uznawała za zwykłego człowieka, zaś wszelkie rozważania nad Odkupieniem nie miały dla jej wyznawców znaczenia.

Wspomnijmy jeszcze o tych nurtach z I stulecia, które wytrwale opierały się napaściom i ekskomunikom, poczynając od odłamu złożonego z uczniów Szymona Maga, przez znaczną część pierwszych chrześcijan uznawanego za poważnego rywala Jezusa. Szymon uważał się i został uznany za wcielenie "absolutnej potęgi Bożej", a jego uczniowie głosili, że męka Jezusa była tylko pozorna. Pojawienie się Szymona, ucznia Dozyteusza Esseńczyka, przeczyło wszystkim przepowiedniom proroków, natchnionych przez złe anioły, które nie znały wyroków Bożych, a chciały tylko zniewolić ludzkość⁵⁶. Tej nieprecyzyjnej, złożonej doktrynie diabeł się wymykał, a ponieważ w osobie Szymona Maga jawił się zwycięski Bóg, żaden diabeł nie był w stanie odmienić przyszłości.

Wspomnijmy także o Sabinach, półchrześcijańskiej, a jednak antychrześcijańskiej sekcji babilońskiej, wywodzącej się od el-kazaitów⁵⁷, to znaczy z nurtu mandejskiego, czyli -

gnostycykiego, bo słowo mandejski pochodzi od mandaje - gnoza. Ten niezwykły nurt zrodził się w sercu religii semickich, w Mezopotamii i irańskim Chuzestanie, bo tam właśnie essenizm odnalazł swe mazdejskie korzenie, jako że sabinowie byli wyznawcami esseń-skiego dualizmu, przyjmowali chrzest i wierzyli, że świat jest podzielony między dobro i zło i że w świecie światła zamieszkują istoty boskie, zaś w świecie mroku żeński duch zła.

Kolejna herezja nie stanowiłaby dla Kościoła pierwszych wieków poważniejszego problemu, gdyby nie fakt, że sabinowie, zwani inaczej chrześcijanami Jana Chrzciciela, powoływali się właśnie na tego, który udzielił chrztu Jezusowi! Kolejne świętokradztwo dokonało się, gdy Jan Chrzciciel, już po uwięzieniu, wysłał do Jezusa emisariuszy, by zapytali w jego imieniu: "Zaliż naprawdę jesteś tym, na którego czekamy, czy też może przybędzie inny Mesjasz?". Sabinowie nie uznali w Jezusie Mesjasza, nie był w ich oczach Synem Bożym, zaś Adonai, Bóg Żydów, był ludzom wrogi! "8. Tego miały dowodzić Ewangelie'. Gdzie znaleźć miejsce dla szatana sabinów, skoro Adonai sam był złym Bogiem? Co począć z szatanem, który, nawiasem mówiąc, jest kobietą?

Na zakończenie dodajmy, że chrześcijanie ze Wschodu ulegli potężnemu wpływowi manicheizmu, doktryny Manesa, który był synem księcia Fartów i matki wyznania judeochrześcijańskiego. Jego doktryna również wywodziła się od mazdaizmu. Być może był to tylko kolejny synkretyzm, który umieścilibyśmy pomiędzy zaratustriańskim wedyzmem a nurtem judeochrześcijańskim, Manes pragnął bowiem połączyć elementy nauk Buddy, Zaratustry i Jezusa. Na pierwszy rzut oka, manicheizm w nieco odmienny sposób ujmował starożytny podział świata między światło i mrok, pozostając w zgodzie z doktryną Zaratustry, jednak Manes wzbogacił ten motyw o magiczną epopeję opisującą bunt światła przeciw mocom ciemności.

Każdy, kto nie chciał uwierzyć, że Syn Boży naprawdę został skazany na męczeńską śmierć, że nagi, został haniebnie ukrzyżowany, chętnie skłaniał się ku manicheizmowi. Nurt ten, łączący trzy potężne religie Wschodu, mógł stać się wspaniałą religią. Zwrócić przecież uwagę samego świętego Augustyna. Gdyby odniósł sukces, można by z pewnością oddawać cześć zarazem Buddzie i Jezusowi. Ale na horyzoncie zapłonęły już stosy. Manes zginął męczeńską śmiercią, zaś jego późni uczniowie - albigensi, katarzy, bogomiłowie, doznawali prześladowań i czasami ginęli na stosach. Trudno było bowiem pozwolić, by ktokolwiek, jak czynili manichejczycy (choć to samo powiedział Jezus), nazywał diabła księciem tego świata.

Młode Kościoły nie znoszą podziałów, a chrześcijański nie stanowił wyjątku. Dlatego przeciwko tej postaci gnostycyzmu, gorszej od herezji marcjonistycznej, zwrócić wszystkie swe siły.

Sobory miały potępiać wszelkie odstępstwa mocą władzy cesarskiej i papieskiej. Chrześcijanie, po latach cierpień na arenach rzymskich cyrków, mieli teraz zaznać cierpień z rąk innych chrześcijan za to, że przypisywali Bogu i szatanowi inne obszary władzy niż Ojcowie Kościoła.

Nikt nie potrafił jednak powiedzieć, skąd pochodzi szatan ani czy był przyczyną, czy też następstwem zła. Kto podszeptaj ludziom tak podchwytliwe pytania? Zapewne zły duch, bo przecież było zgodne z logiką, a od czasów Ojców Kościoła, szczególnie zaś - Tertuliana, wszyscy po prostu wiedzieli, że filozofia jest dziełem diabła.

Zapadała noc.

* Homer, Iliada, VIII, 243-246, przekł. L. Siemiński, Ossolineum, 1975. ni Sybilli, "głosi, iż bogowie wszystkich ludów są [tworzeni] na podobieństwo demonów"⁴². A zatem nie umiając ustalić definicji szatana, Ojcowie Kościoła zadowolili się dokonaniem zmiany tożsamości obcych bóstw - Zeusa, Jupitera, Baala, Ahura Mazdy... Wydaje się to tym dziwniejsze, że przez pierwsze stulecia wyobraźnia chrześcijańska tolerowała utożsamianie Jezusa z bogami grecko-rzymskimi - Apollinem, Heraklesem, a nawet Dionizosem. "Widzimy... jak rozwija się... wokół postaci Herkulesa, bóstwa niosącego ratunek, prawdziwa heraklesologia, która wykazuje pewne podobieństwo do chrystologii"

Europa w mrokach nocy - od średniowiecza do rewolucji francuskiej

O soborach i mordzie na biskupie Pryscylianie podejrzanym o szerzenie idei satanistycznych - O prześladowaniach religijnych, a zwłaszcza o Świętej Inkwizycji i jej szczególnej roli - O oburzeniu, z jakim święty Jan Chryzostom spoglądał na stosy dla heretyków - O szaleństwie inkwizytorów i zagrożeniu ze strony katarów - O masowych mordach dokonywanych na ludziach oskarżonych o czary, opętanie i kontakty z szatanem - O uznaniu Żydów za sprzymierzeńców szatana - O braku spójnej koncepcji szatana i o konsekwencjach tej sytuacji - O czarownicach z Salem - O zniesieniu inkwizycji przez Napoleona i daremnych próbach przywrócenia jej przez Burbonów.

Cztery pierwsze stulecia chrześcijaństwa nadały szatanowi dość szczególny status - istniał, ale właściwie nie wiadomo ani kim jest, ani po co się narodził. Filozof powiedziałby, że egzystencja wyprzedziła esencję. Liczne autorytety wypowiadały się w tej sprawie, nie udało się jednak wypracować wspólnego stanowiska ani teorii diabła.

Sobory starały się naprawić ten błąd. Pierwszy, nicejski, uciekł się do wykrętów, uznając, że choć nie wiadomo, kim jest diabeł, to wiadomo, kim nie jest. Konstantyn, który zwołał sobór, pragnął przede wszystkim usunąć niejasności w trosce o to, by świat chrześcijański, za którego władcę się uważał, nie rozpadł się, podążając za różnorodnymi teoriami. Główny cel obrad stanowiło odrzucenie arianizmu, który prezentował niebezpieczną wizję diabła. Gdy zakończono dysputy nad współlistotnością Ojca i Syna, podsumowując je słowami: "zrodzony, a nie stworzony", nakazano odstępcom podporządkować się ustaleniom Soboru. Ariusz, twórca arianizmu, oraz dwaj biskupi, Secundus Ptolomeusz i Teonas z Marmaryki, odrzucili wersję przyjętą przez Sobór, dlatego też zostali ekskomunikowani i nie uczestniczyli w uroczystym zamknięciu obrad¹. Młody Kościół zdecydował, że diabeł nie został z pewnością stworzony przez Jezusa. Tyle przynajmniej udało się uzgodnić.

Nie wystarczyło to jednak, by powściągnąć wyobraźnię ludzką, którą problem złowrogiej mocy wciąż inspirował. W dwieście lat później przybrał on tak wielkie rozmiary, że władze kościelne znów musiały interweniować. Niejaki Pryscylan, człowiek świecki wysokiego rodu², następnie zaś biskup, u schyłku IV wieku począł głosić w Hiszpanii nabożną, wielce ascetyczną doktrynę. Ascetyzm ów był tak wielki, że zaniepokoił miejscowych biskupów, którzy twierdzili, że Pryscylan swym fanatyzmem przeraża słuchaczy, opowiadając im o straszliwej potęgze szatana. W herezji Pryscyliana dostrzegamy wypaczenie innej wschodniej herezji - enkratyzmu, który także uznawał, iż cała ludzkość skazana jest na potępienie i odrzucał małżeństwo oraz spożywanie mięsa i wina. Pryscyliana oskarżono o enkratyzm i po synodzie w Bordeaux w roku 384 jego samego, jego bogatą zwolenniczkę Euchrotię oraz czwórkę ich towarzyszy spalono żywcem (a nie ścięto, jak się czasami twierdzi), zarzucając im czary. Ta potworna egzekucja odbyła się za podszeptem posłusznych cesarzowi Maksymowi Wielkiemu³ biskupów. Prawdą jest, że Pryscylan zajmował się także astrologią, któż jednak wówczas się nią nie interesował! Przede wszystkim jednak, Kościół uległ już wtedy diabolicznym urojeniom i wszędzie dostrzegał zło. Egzekucja domniemyanych heretyków zapoczątkowała odrażające średniowieczne procesy czarownic, które trwały przez wieki, aż do rozwiązania inkwizycji.

Pryscylianizm o mało nie zginął wraz ze swym twórcą, a właściwie, choć zabrzmiało to jak paradoks, nigdy nie było "prys-cylilianizmu", bo teologia męczennika pozostawała w zgodzie z nakazami wiary i sam Kościół przyczynił się do jego sukcesu⁴. Najpierw zwolennicy Pryscyliana poczęli czcić go jako męczennika, potem "jego" nauki (których nigdy nie głosił), zaczęły się szerzyć. Przetrwały w Hiszpanii do V wieku.

Próbowano obalić je podczas synodu w Toledo w roku 400, czyli w piętnaście lat po męczeńskiej śmierci Pryscyliana, ale właściwie nie było czego obalać, w dokumentach bowiem odnaleziono tylko jeden błąd w tłumaczeniu - Pryscylan przetłumaczył *agenitos* jako *innascibilis*⁵, czyli "ten, który się nie narodził"⁶ jako "ten, który nie mógł się narodzić". Za takie błędy na stos mógłby trafić niejeden uczeń! "Pryscylianizm" odrodził się w Hiszpanii, a - jak twierdzili święty Jan od Krzyża i święta Teresa z Avila, (miasta, którego biskupem był Pryscylan) - kraj ten jest szczególnie podatny na wpływy

mistycyzmu, a jego mieszkańców łatwo można nakłonić do umartwień. Drugi synod w Braga w Galicji (563 r.) miał ostatecznie rozprawić się z budzącą lęk herezją. "Ktokolwiek wierzy, iż demon, dlatego że uczynił pewne rzeczy na Ziemi, mógłby własną mocą stworzyć pioruny, błyskawice, burze i susze, jak nauczał Pryscylian, niechaj zostanie wyklęty", brzmiał kanon 8.

Pryscylian nie głosił podobnych poglądów, i oczywiście chodziło o to, by osłabić potęgę diabła, który wzbudzał przerażenie wiernych. Na dowód tego przytoczmy kanon 12: "Ktokolwiek twierdziłby, że uformowanie ludzkiego ciała oraz poczęcie w łonie kobiety jest dziełem demona, i dlatego nie wierzyłby w zmartwychwstanie ciał, jak nie wierzyli w nie Manes i Pryscylian, niechaj zostanie wyklęty". Manes nie przeczył zmartwychwstaniu ciał, a jednak postawiono mu taki zarzut i potępiono właśnie za to.

Zaczął się sezon polowań na czarownice. Żaden teolog nie wyjaśnił jeszcze powodów diabolizacji anioła Lucyfera, wciąż jednak zamykano ludzi w coraz ciaśniejszym pierścieniu zakazów i nakazów. Sobór w Konstantynopolu w roku 543 zebrał się, by potępić Orygenesę⁷, a uczestniczący w nim biskupi wprowadzili kolejne prawo. Kanon 6 głosił: "Ktokolwiek powie: »są dwa rodzaje demonów - do jednego należą dusze ludzi, do drugiego - duchy upadłe, a pośród wszystkich istot rozumnych jedna tylko jest całkowicie niezłomna w swej boskiej miłości i uwielbieniu, dlatego stała się Chrystusem i królem wszystkich istot rozumnych, i stworzyła wszystkie ciała niebieskie i ziemskie, oraz te, które zawieszono są pomiędzy niebem i ziemią, tak że powstał świat, jaki istnieje, z pierwiastkami starszymi niż on sam, które istnieją same przez się, jak wilgoć i posucha, jak ciepło i zimno...«, niechaj będzie przeklęty"⁸. Krótko mówiąc, istnieje jeden rodzaj demonów, a świat nie został stworzony przez Chrystusa.

Po siedmiuset latach debaty toczyły się nadal i sytuacja nie uległa większym zmianom. Podczas dwunastego Soboru Ekumenicznego, czwartego Soboru Laterańskiego w roku 1215, biskupi zapisali w kanonie I: "Diabeł oraz demony zostały stworzone przez Boga, ale w chwili stworzenia nie były złe, stały się takie z własnej winy i odtąd trudnią się kuszeniem ludzi"⁹. Znowu ani słowa o przyczynie, dla której diabeł i demony stały się złe i żadnej wskazówki, która pomogłaby zrozumieć te fragmenty Starego Testamentu, z których wynika, że stosunki Boga z diabłem i złymi duchami układały się nie najgorzej. Jednak Kościół po raz pierwszy zajął w tej sprawie oficjalne stanowisko.

Oczywiście nie zadowolono ono wiernych, którzy przypisywali diabłu ogromną moc, trzeba bowiem pamiętać, że jego właśnie obarczono winą za choroby, oskarżano o opętania, pod jego opieką miały pozostawać nauki przyrodnicze i fizyczne. Kiedy mnich Gerbert z Aurillac, wynalazca zegara mechanicznego, zasiadł na papieskim tronie i przybrał imię Sylwester II, szeptało, że zawarł pakt ze złym. Pomyśleć tylko - wynalazca zegara! Inkwizycja zresztą do samego końca żywiła otwartą niechęć do nauk doświadczalnych i - o czym często się zapomina - nękała nie tylko Galileusza, ale także Kartezjusza i Buffona.

Podczas gdy teolodzy roztrząsali najtrudniejsze problemy scholastyczne, zastanawiając się na przykład, czy diabeł może dostąpić odkupienia, Europa wkraczała w gęsty i posępny mrok epoki diabła, przerażającego sabatu, patologicznej, zwierzęcej wiary w jego realne istnienie, mimowolnie umacnianej właśnie przez tych, którzy usiłowali ją przezwyciężyć. Zaczynała się najpotworniejsza w dziejach fala mordów dokonywanych w imię Boga. "Winnych" ekskomunikowano, a ci, którzy wyprawiali ich na tamten świat, czynili to z błogosławieństwem papieskim. Przez piętnaście stuleci, do rozwiązania inkwizycji, świat miał pogrążyć się w szaleństwie, trwać w fanatycznym obłędzie, w brutalnej nienawiści, której sprężyną często bywała żądza zysku.

Diabła widziano na każdym kroku. Jego wizerunki rzeźbiono na portalach katedr i na ambonach, nadając mu postać bożka Pana, cuchnącego siarką półczłowieka - półkozła o lubieżnym spojrzeniu i szponiastych dłoniach, stworzenia z kopytami i długim ogonem. Takim widziała go epoka rozdarta między mistycyzmem a skłonnością do zabawy i rozpusty, epoka obsesji seksualnych. Izidor z Sewilli, dostojnik kościelny i polityk, uważany przez niektórych za ojca średniowiecza, był przekonany o istnieniu pewnej odmiany demonów - inkubów (złych duchów, niewolących kobiety we śnie), aniołów, które żądza doprowadziła do upadku, rozpustnych istot o ciałach "jakby utkanych z powietrza", zdolnych wprawiać kobiety w stan miłosnej ekstazy. Oskarżał także Duzian z

Czech o uprawianie szatańskiej miłości z inkubami i sukkubami.

Izydor z Sewilli podążał za świętym Augustynem, który samego siebie nazwał skruszonym grzesznikiem i już w Państwie Bożym wspominał o inkubach, uznając je za leśne bóstwa. Nawiązując do tradycji greckiej, Augustyn przemienił bożka Pana i jego driady w inkuby i sukkuby.

"Demony z rodzaju inkubów i sukkubów dają nam tak liczne dowody swego istnienia, iż trudno byłoby mu zaprzeczyć", twierdził Izydor z Sewilli, nie posunął się aż tak daleko, ale w niemal tysiąc lat później Tomasz z Akwinu, cieszący się znacznie większą swobodą wypowiedzi, potwierdził istnienie owych demonów seksu.

Zwykle nałożenie na ludzi zakazu sprawia, że pojawiają się tacy, którzy twierdzą, iż go naruszyli. Nie zabrakło obdarzonych wyobraźnią osób, które same sobie wmówiły, że utrzymują grzeszne stosunki z demonami. Magdalena od Krzyża, przeorysza z Kordoby, przez trzydzieści lat uchodząca za świętą, wyznała podczas spowiedzi (a tajemnica spowiedzi została jawnie pogwałcona), iż "odkąd ukończyła dwanaście lat, współżyje z inkubami Balbanem i Patoniem, a także z potwornym demonem rozpusty, który ukazuje się jej z »nogami kozła, torsem mężczyzny, twarzą fauna«"12. Można by powiedzieć, że ksieni była słaba duchem i umysłem, ale namiętna. Ciekawe tylko, skąd znała imiona swych nieziemskich kochanków?

Całą Europę obiegały niesłuchane opowieści. Raz po raz słyszało się wygodne historyjki o dziewczętach gwałconych przez inkuby. Mówiono, że demony te nie mają pleców, i że płodzą potwory, choć nie zawsze, bo, jak twierdzono, "Kain, Aleksander Wielki, Platon, Meluzyna, Luter, a także całe plemię Hunów" *3, to dzieci inkubów lub sukkubów. Przez całe wieki wszyscy bez wyjątku - od papieży, kardynałów, teologów i mnichów po prostych wieśniaków, z zapalem wysłuchiwali i powtarzali takie opowieści. W *Historie du Diable*, której Daniel Defoe nie odważył się wydać pod własnym nazwiskiem, czytamy, że w XVIII wieku pojawiła się pogłoska o pakcie zawartym przez Cromwella z diabłem, który nadał mu tytuł protektora, ale odmówił tytułu królewskiego, co wprawiło męża stanu w taką wściekłość, że "skonął na martwicę śledziony"14.

Nad przesiąkniętą smrodem ekskrementów Europą, której wielkie miasta pozbawione byty kanalizacji, unosiły się wyziewy siarki, oczywiście - urojone. Powszechny obłęd zaprowadził na stos niejedną nieszczęsną istotę o nazbyt bujnej wyobraźni, wielu głupców, a także tych, którzy mieli nieszczęście narazić się pozbawionym skrupułów bliźnim.

Jedną z najsławniejszych ofiar diabelskiego szaleństwa i przesądów, które panowały aż do czasów rewolucji francuskiej, była Joanna d'Arc. Bo przecież biskup Piotr Cauchon, przedstawiciel Kościoła i jej sędzia, oskarżył ją o konszachty z diabłem:

"Joanna zwana Dziewicą, kłamliwa i niebezpieczna istota, która zwodziła lud, wróżbitka, czarownica bluźniąca Bogu i pełna pychy, drwiąca z Jezusa Chrystusa, bezwstydną bałwochwalczyni, okrutna i rozwiązała, wzywająca pomocy diabłów odstępczyni, jest heretyczką i schizmatyczką".

Za owo wzywanie pomocy diabłów sąd posłuszny Anglikom i Kościołowi skazał Joannę na śmierć w płomieniach, jak inny sąd skazał Pryscylia. "Cóż uczyniłaś ze swą mandragorą?". Mandragora była uważana za diabelskie ziele, wyrastające pod szubienicami z nasienia wisielców. Joanna nigdy nie miała tej rośliny i nie wiedziała nawet, jak ona wygląda, ale jeden z prowadzących "śledztwo" zapewnił, że nosiła "mandragorę ukrytą na piersiach"15.

Oskarżenie to można uznać za przejaw znamiennej dla długiego okresu dziejów nowożytnych skłonności do - utożsamiania wszelkiej odmienności z diabłem. Wszystko, co wykracza poza zwyczajność - a Bóg widzi, że Joanna nie jest zwykłą kobietą

- jest diabelskie. Joanna jest inna, a więc jest diaboliczna. Przeobrażona grecka phtonos sprawia, że wszelki "nadmiar"

- piękna, dobra, inteligencji, odwagi, niewinności, musi pochodzić od diabła. Zawieść i małostkowość ludzka nie znoszą, by sąsiad miał dorodniejszą krowę albo świnie czy jabłoń, ładniejsze czy większe albo mądrzejsze dziecko, bo najlepsze musi być "moje". A skoro je ma, to na pewno dzięki zawarciu paktu z diabłem. Stąd się wzięła, być może, jedna z najistotniejszych i najżałośniejszych cech demokracji - nikomu nie może powodzić się lepiej niż sąsiadom. Można by powiedzieć, że diabeł jest z pochodzenia

plebejuszem. Trudno się dziwić, że przesąd wypływający z przekonania, iż nikt nie może mieć więcej niż ja, stał się taki powszechny.

Ale ta obsesja wrasta głęboko w sferę polityki i to nie tylko w przypadku Joanny d'Arc. Żeby zagarnąć skarb templariuszy, Filip Piękny oskarżył o czary ich mistrza, Jakuba de Molay, którego stracono 18 marca 1314 roku po trwającym siedem lat procesie. Templariusze nie uprawiali praktyk "satanistycznych", ale zarzut ten był wygodny. W latach 1318-1326 papież Jan XXII ogłosił trzy bulle potępiające "satanizm", przez co usankcjonował tego rodzaju procesy. Warto przypomnieć, iż był to właśnie papież, którego nie oświecała łaska Ducha Świętego i że nazywano go "bankierem z Awinionu", a także, iż odkąd Filip Piękny uprowadził w roku 1302 w Anagni jego poprzednika, Bonifacego VIII, Jan XXII drżał ze strachu przed władzą królewską. Mniszki, głoszące, że Jezus i apostołowie żyli w ubóstwie, zaś umiłowanie zbytku jest sprzeczne z nauczaniem Chrystusowym, Jan XXII potępił, bo właśnie wtedy nastął czas, gdy papież i otaczający go dostojnicy stali się najbardziej zagorzałymi przeciwnikami nauk Jezusa.

Bulle Jana XXII to tylko upominki dla Filipa Pięknego, mające zapewnić papieżowi przychylność i opiekę króla, a dworowi awiniońskiemu, "Babilonowi Europy", jak nazwał go Petrarka, dostatni żywot. Na dworze papieskim panowały korupcja i przekupstwo. "Wchodząc do izb osób duchownych, zastawałem bankierów i prałatów zaprzątniętych ważeniem i przeliczaniem sztuk srebra, którego stosy piętrzyły się przed nimi", pisze kanclerz Alvaro Prelayo, żarliwy obrońca papieża¹⁶. Prelayo potwierdzał tylko słowa wypowiedziane przez francuskiego prałata do Petrarki: "Obaj Klemensowie więcej zniszczyli w Kościele, niżli siedmiu Grzegorzów zdołaliby odbudować"¹⁷. Ci dwaj Klemensowie to piąty i szósty papież tego imienia. Pierwszy z nich był poprzednikiem godnego politowania Jana XXII i żalosną marionetką, która wielce przyczyniła się do przeniesienia siedziby papieża do Awinionu.

Królowie potrzebowali diabła, by zastraszać przeciwników i usprawiedliwiać swe nadużycia, papieże zaś stali się niezastąpionymi autorami bulli. Dla tych, którzy decydują o losach świata, diabeł jest fikcją, narzędziem propagandowym, które służy usprawiedliwianiu niezrozumiałych, a niekiedy odrażających czynów władców. Trudno przypuścić, by król lub papież dopuszczający się najstraszliwszych niegodziwości mogli wierzyć w istnienie diabła i spać spokojnie. Diabeł był straszakiem na pospólstwo, a postać księcia tego świata wiele razy pomogła w dokonywaniu podbojów. Tak jak w Mezopotamii i Iranie, religia stała się narzędziem władzy politycznej. Przypomnijmy, że i władza papieska była doczesna.

A władzę sprawuje się łatwiej, kiedy społeczeństwo trwa w niewiedzy, jest przesądne i nie myśli racjonalnie. Od początku tysiąclecia pozwalano służącym władzy kapłanom wieszczyc, pozwalano bając prorokom, jeśli byli posłuszni. Upolitycznienie wiary chrześcijańskiej najjaskrawiej uwidoczniła się w słowach biskupa Remigiusza z Reims, apostoła Francuzów, założyciela diecezji w Theromanne, Arras i Laon, tego, który w roku 496 udzielił chrztu Chlodwigowi:

"Raduj się, synu, iż królestwu Francji Bóg chciał powierzyć rolę obrońcy Kościoła Rzymskiego, który jest jedynym Kościołem Chrystusa. Nadejdzie dzień, kiedy to królestwo stanie się potęgą pośród wszystkich królestw. Sięgnie granic Imperium Rzymskiego i panować będzie nad wszystkimi królestwami świata, i przetrwa aż po kres dziejów"¹⁸.

Z tych dumnych stów przebija wola rozbudzenia ambicji Chlodwiga i podporządkowania królestwa potrzebom Kościoła. Niestety, a może - na szczęście, nigdy nie ziściła się przepowiednia podporządkowania władcy Francji wszystkich królestw świata, a jej ludność w roku 1993 stanowi 1,2% populacji mieszkańców ziemi. Do chóru przyłączyli się inni natchnieni prałaci, a dwieście pięćdziesiąt lat później Raban Maur (780-856), arcybiskup Moguncji i założyciel opactwa w Fuldzie, oznajmił:

"Kiedy zbliżać się będzie kres dziejów (to motyw wzbudzający trwogę), potomek królów francuskich obejmie władzę nad wszystkimi ziemiami dawnego Imperium Rzymskiego. Będzie najpotężniejszym z królów Francji i ostatnim z tego narodu. Po chlubnych latach panowania uda się do Jeruzalem, by złożyć koronę i berło na Górze Oliwnej. Tak dopełnią się dzieje Świętego Cesarstwa Rzymskiego i Chrześcijańskiego" ¹⁹.

Cóż, Święte Cesarstwo Rzymskie zniknęło dawno temu, a świat wciąż istnieje. Ale tego

rodzaju pogłoski szerzyły się aż do czasu, gdy rewolucja francuska ukróciła je, skracając jednocześnie o głowę tysiące Bogu ducha winnych ludzi. Bez końca moglibyśmy przytaczać przepisy, które pośród mroków i posępnych przepowiedni średniowiecza wymieniały imiona demonów, opisując ich złośliwość i zbrodnie, jakich dopuszczają się z ich pomocą ludzie zaprzędający duszę diabłu. A były to zbrodnie równie nierzeczywiste, jak same demony...

Wspomnijmy o dominikaninie Mikołaju Eymerichu, który w XIV wieku został wielkim inkwizytorem Katalonii, Aragonii,

Walencji i Majorki, autorze *Directorium Inquisitorium*, czyli podręcznika inkwizytorów. Trzeba zaznaczyć, że Eymerich, poprzednik Torquemady, był jednym z najokrutniejszych potworów, wśród twórców piekielnej maszyny Świętego Oficjum. Jego bezwzględność wzbudziła tak wielkie oburzenie, że zwierzchnicy potępili go i nakazali wrócić do pracy nad manuskryptami. W pierwszej części swego dzieła Eymerich opisuje trzy rodzaje kultu diabła - latrię, polegającą na oddawaniu diabłu czci i biczowaniu się, dulif, dziwny rytuał polegający na mieszaniu imion demonów z imionami błogosławionych, a także na "dziwnych praktykach, jak postugiwanie się okręgiem lub uprawianie nekro-mancji, przyrządzanie napojów miłosnych, używanie fiolek i magicznych pierścieni. O podobnych pierścieniach wspominają francuskie księgi sądowe z początku lat dziewięćdziesiątych20.

Najstraszliwsze wydaje się, że w tamtych czasach podobne wymysły miały moc prawa i oskarżenie o dulif, latrif lub dziwaczne praktyki mogło złamać czyjeś życie, a nawet zaprowadzić na stos. Działająca najpóźniej od IV wieku inkwizycja, formalnie powstała w roku 1184 dzięki sekretnemu porozumieniu między papieżem Lucjuszem III i cesarzem Fryderykiem Rudobrodym²¹. Świeckie ramię sprawiedliwości w służbie Świętego Oficjum poczęło systematycznie uderzać w heretyków i schizmatyków, skazując ich na wygnanie, konfiskatę majątku, zburzenie domu, infamię, utratę praw obywatelskich, a od roku 1197 na mocy dekretu Piotra II Aragońskiego w "poważnych" przypadkach - na śmierć, o co szczególnie zabiegał przyszły papież Innocenty III. Konfiskata majątku mogła także towarzyszyć innej karze.

Po oficjalnym oddzieleniu się w roku 1054 Kościoła Wschodniego katolicki Rzym uznał się za dziedzica Cesarstwa Rzymskiego, w którym zrodził się duch praw i które stworzyło prawo uniwersalne, ponadnarodowe. Do tego jednak potrzebna była władza polityczna i potęga finansowa.

Przyczyna stopniowego zaostrzenia kursu, które doprowadziło do oficjalnego powołania inkwizycji i wprowadzenia kary śmierci, jest oczywista - w całej Europie przymierze Kropidła i Korony, oparte na prawie boskim i religijnej koronacji, sprawiło, że wróg Kościoła był zarazem wrogiem państwa. Ponieważ każda schizma i herezja zagrażała władzy papieskiej, zagrażała równocześnie chrześcijańskim królom i książętom.

Wyroki i egzekucje "czarownic" pomiędzy X a XII wiekiem nie zawsze zapadały wyłącznie z woli zaciekłych sędziów Inkwizycji. Czasami były wynikiem działań samych książąt, którzy w ten sposób pragnęli uprzędzić zamiary duchowieństwa. Ani wiara, ani miłosierdzie nie miały większego wpływu na podejmowane decyzje i należy podkreślić, że wprowadzenie kary śmierci dla schizmatyków, heretyków, "czarowników" i "czarownic" było całkowicie sprzeczne z poglądami świętego Jana Chryzostoma, który twierdził, że "wydając heretyka na śmierć, dopuścilibyśmy się na ziemi niewybaczalnej zbrodni"²².

Wówczas jednak nie liczone się z opiniami Złotoustego (Chryzostoma). Poważne niebezpieczeństwo zaciemniło już horyzont i zasiało strach w sercach książąt i prałatów, strach, który oni sami podsycali dotąd w sercach ludu. Tylko inkwizycja mogła uchronić istniejący system władzy przed zagrożeniem, jakie stanowił kataryzm.

Kataryzm (od greckiego słowa *katharos*, czysty, katarzy bowiem uważali się za czystych) był niczym ożywienie koszmaru, który Kościół próbował przezwyciężyć przez pierwsze pięćset lat swego istnienia, czyli gnostycyzmu w nieco odmienionej postaci. Katarzy uważali, że szatan jest zarazem bogiem i księciem tego świata. Sprawy doczesne od żądzy po śmierć, podlegają jego władzy, a ziemia jest istnym czyścem, gdzie człowiek pokutuje za grzechy, dopóki nie wkroczy do królestwa Jezusa, które nie jest z tego świata. Ale człowiek nie ma do niego wstępu, jeżeli przed

śmiercią nie stanie się "nowym Adamem", jakim był Chrystus (Syn człowieczy, jak sam powtarzał). Jeśli człowiek nie przeistoczy się w ten sposób, skazany jest na reinkarnację i

kolejne życie. Jezus był powiewem życia, a Dobrzy Ludzie, jak mówili o sobie katarzy, mienili się jego ambasadorami.

Już to musiało wzburzyć Kościół, któremu takie poglądy były aż nazbyt dobrze znane i który dawno już dostrzegł tkwiące w nich zagrożenia. Teolodzy wiedzieli, że głoszenie ich równało się negacji Wcielenia Syna Bożego, a zatem godziło w podstawy chrześcijaństwa. Katarzy zresztą odrzucali chrzest, który w opinii Kościoła miał oczyszczać z grzechu pierwotnego; uznawali jedynie chrzest duchowy, czyli consolamentum (sakrament inicjacji) i chrzest ognia, ustanowiony, jak twierdzili, przez Chrystusa. Co gorsze, katarzy utworzyli własny kościół. Doskonali, stanowiący elitę grupy, byli typowymi kapłanami, kontrolującymi wiernych, i modlącymi się za nich na ich prośbę. Tylko Doskonali obdarzeni byli Paradetem, znali Boga i mieli prawo modlić się do Niego. Rozumiemy już, że katarzy zagrażali nawet władzy papieskiej. Podczas gdy toczyły się dysputy teologiczne, stawało się jasne, że konieczne będą rozstrzygnięcia natury politycznej, a wkrótce potem także finansowej.

Jakby nie dość było, że zrezygnowali z Chrztu, katarzy odrzucali także dogmat o Przeistoczeniu podczas konsekracji Hostii i choć dzielili się błogosławionym chlebem, to tylko symbolicznie, nie wierzyli bowiem, by mogło w nim być obecne ciało Jezusa. Najcięższe wyzwanie stanowiła jednak ceremonia wyrzeczenia, swego rodzaju odpowiednik katolickiego bierzmowania, podczas której kandydat musiał wyrzec się nie szatana i jego zastępów, "czyli towarzyszących mu demonów, ale »sprostytuowanego Kościoła swoich prześladowców«"23. Zelżony Kościół zawrzał gniewem. Długo jednak musiał czekać na rewanż, bo nie wszyscy chrześcijanie wierzyli, że Dobrzy Ludzie są w rzeczywistości źli.

Skąd pochodził kataryzm? Prawie na pewno od trackich bogomi-tów z Bułgarii i dlatego właśnie katarów nazywano "Bugrami" poza tym zarzucano im homoseksualizm, bo łatwiej przecież można potępić ludzi, których obyczaje przeczą naturze. Grupy bogomitów żyły także w Bośni i innych rejonach Bałkanów, a nurt ten pojawił się w drugiej połowie X wieku, zaś jego inspiratorem był pop imieniem Bogomit, który uznał, że ani instytucje, ani nauka Kościoła nie odpowiadają potrzebom ludu. Jakie były te potrzeby? To trudne i niemal odwieczne pytanie, wiemy bowiem, jak często jednostka powołuje się na lud, chcąc zrealizować własne cele. Bogomit był niewątpliwie człowiekiem ambitnym, ale Kościół bizantyjski, ze skostniałym ceremoniałem, bogactwem i przywiązaniem do dworu, odstręczał Bułgarów przepychem, arogancją i wyrafinowaniem.

Przede wszystkim zaś byli wrogo nastawieni do Bizantyjczyków i ich cesarza, Bazylego II, "mordercy Bułgarów", który w roku 1018 brutalnie podporządkował sobie pierwsze bułgarskie królestwo. Bunt bogomitów był formą powstania politycznego, ponieważ Bizancjum symbolizowało zarówno władzę doczesną, jak i religijną. Narodziny kataryzmu bogomitów niemal zbiegły się w czasie z upadkiem państwa bułgarskiego. Raz jeszcze diabeł przyszło odegrać rolę polityczną, gdyż jako wrogowie Bizancjum, bogomi-łowie, stawali się automatycznie wrogami papieża, a zatem i Boga.

Dopóki głosiciele gnostycyzmu ograniczali swą aktywność do tych odległych prowincji, Kościół Zachodni nie zwracał na nich większej uwagi, nie stanowili bowiem bezpośredniego zagrożenia, dopiero wysłannicy Kościoła Wschodniego wnieśli przeciw nim oskarżenie. Wyrok był łatwy do przewidzenia - bogomitów uznano za popleczników szatana.

"Przemierzają państwo bizantyńskie i zwracają się do wszystkich chrześcijan tej ziemi, by omamić ich dusze, by wyrwać ich z objęć Boga i oddać swemu ojcu, diabłu", pisał w XI wieku z Konstantynopola świadek rozkwitu herezji, mnich Eutymios z Akmony, który pogardliwie nazywa bogomitów żebrakami, torbasi24, innymi słowy - nędzaczami. "Ci żebracy są wiecznymi bezbożnikami skrycie służącymi diabłu". A dalej ostro potępia tę "plugawą herezję, straszliwiej niż wszystkie inne bluźniącą Bogu i zdradziecką". Inny Bizantyjczyk, Kosmas25, wtóruje:

"Na pozór heretycy są niczym owieczki: łagodni, skromni i cisi. Ich twarze poblady od dyktowanych przez hipokryzję postów. Nie odzywają się ani słowem, nie mają odwagi podnieść głosu, nie przejawiają ciekawości i unikają spojrzeń obcych... ale pod tymi pozorami kryje się ich wilcza natura dzikich bestii"26. Niestety, Kosmas nie podpowiada, jak odróżnić poszczonego szczerze od hipokryty.

Mimo to liczba bogomiałów wzrastała w całym państwie i cesarz Aleksy I Komnenos zaczął stosować wobec nich represje. W roku 1111 zaprosił na ucztę ich przywódcę, mnicha imieniem Bazyli, "arcysatrapę diabła. Komnatę, w której zasiedli, przedzielała zasłona. Bazyli, niepoprawny gaduła, nie zdołał powstrzymać się od głoszenia swych nauk przy cesarskim stole. Kiedy zamilkł, zasłona podniosła się, a oczom gościa ukazał się »cały synod Kościoła, wszyscy wodzowie i cały senat«"27. Heretyk został niezwłocznie osądzony i skazany na śmierć w płomieniach. Herezja jednak nie wygasła wraz z płomieniami stosu.

Kiedy Bizantyjczycy zmagali się z bogomiałami, ci zaczęli zyskiwać zwolenników na całych Bałkanach - w Chorwacji, Dalmacji, Bośni, potem w Europie Zachodniej i wreszcie w Księstwie Kijowskim. Raz jeszcze sytuacja polityczna sprzyjała triumfom "szatana". Dopóki przestrzegano zasady głoszenia wiary w języku słowiańskim, który wprowadzili do kościołów Cyryl i Metody, czyli do XI wieku, panował na tym terenie względny spokój, ale w latach 923-926 papież Jan X postanowił spełnić marzenie Kościoła i narzucić obowiązek odprawiania mszy po łacinie i po grecku. Przywiązany do swojego języka lud buntował się, ale Kościół był niewzruszony. Synod w chorwackim Splicie w roku 1061 postanowił nie tylko, że msze odprawiane będą w tych dwóch językach, ale także, że żaden Słowianin nie zostanie już wyniesiony do godności kapłańskiej. Zamknięto kościoły, których kapłani byli Słowianami, pozbawiając ich możliwości odprawiania nabożeństw. Wzbudziło to ogromne rozgoryczenie wiernych.

Tak oto duch rzymskiego autorytaryzmu podsyłał płomienie stosów i zarazem herezję bogomiałów. Można by powiedzieć, że z im większą zaciekłością ścigano diabła, tym szybciej przemierzał i podbijał nowe obszary.

Tymczasem bogomiałowie dotarli do Francji, gdzie zamienili się w katarów, a zwani byli albigensami, ponieważ wielu z nich zamieszkało w mieście Albi. Ruch ten nabrał zasięgu światowego i miał coraz silniejsze podstawy. W roku 1167 odbył się "sobór" w Saint-Felix-de-Carman pod Tuluzą. Kościół katarów w Tuluzie zaprosił "papieża" Nikitę, który przybył z Konstantynopola. Byli tam również Robert ze Sperrone, "biskup" Kościoła francuskiego, Marek, "biskup" Lombardii, Sicardo Tselareri, "biskup" Albi, Gerald Mertserille, "biskup" Carcassonne, Rajmund z Casalis, "biskup" Ararens, wszyscy z doradcami28.

Dla Kościoła Rzymskiego, który w roku 1054 został oddzielony od Kościoła Wschodniego, problem był bardzo poważny, ponieważ ten "sobór" umacniał siłę rozmaitych kościołów katarskich, które powstały w kościołach rzymskich Dalmacji, Bośni, Hercegowiny, Lombardii i Francji. Oznaczało to zakwestionowanie podziału świata pomiędzy dwa Kościoły - Rzymski i Wschodni, burzyło ład polityczny i finansowy, stając się zagrożeniem dla potęgi Rzymu29. Niebezpieczeństwo rosło. Ciężar diabła padał na ziemię, które miały być podporządkowane papieżowi. Rzym, dziedzic starożytnego Imperium, musiał przystąpić do działania.

Już kiedy katarzy pojawili się w Limousin (1012-1020), biskupi starali się pozyskać wsparcie władzy politycznej w walce z herezją, jednak na próżno. Katarzy cieszyli się życzliwością i osobistą opieką Wilhelma IX, księcia Akwitanii, a także śródziemnomorskiej szlachty. Co gorsze, Dobrzy Ludzie zyskali sympatię ludu, który ochraniał ich i ignorował padające z ambon oskarżenia o koszach z diabłem. W sto lat później, w roku 1119, synod w Tuluzie nakazał władcom świeckim wspomaganie władz katolickich w walce z katarami. Ale i te wysiłki okazały się daremne.

Nie powiodły się też zabiegi Rzymu, kiedy katolicki biskup w Prowansji wypowiedzieli posłuszeństwo legatom papieża Innocentego III, uznając ich władzę za zbyt wielką. Jeden z legatów został nawet zgładzony. Dopiero w roku 1209 Rzym zdołał zapewnić sobie udział cystersów w krucjacie przeciw katarom. Przywódców zagrożonego chrześcijaństwa nie dręczyły przesadne skrupuły - kiedy Arnold Amaury, przeor Citeaux mianowany legatem papieskim i postawiony na czele armii Północy zdobył w 1209 roku Beziers, zapytano go, jak odróżnić katolików od heretyków, on zaś odrzekł: "Zabijajcie wszystkich, Bóg swoich rozpozna!"30. Tak oto w wojnie z diabłem rodzą się mordercy.

Arnold Amaury nie przypisywał sobie doskonałego wyczucia, którym pysznił się Robert le Bougre, nawrócony katar, dominikanin i pierwszy inkwizytor Francji, zwany "Młotem na heretyków", który chwalił się, że potrafi rozpoznać heretyka po samej mowie i gestach31.

Robert le Bougre został nieco zapomniany, choć to on triumfował w drugim Montségur: pożar opactwa Mont-Aime w Szampanii w roku 1239 pochłonął stu dziewięćdziesięciu katarów, którzy spłonęli żywcem, otrzymawszy con-solamentum od swego "arcybiskupa". Wyczynu posępnego le Bougre'a nie doceniono, skończył bowiem jako ogrodnik w paryskim klasztorze dominikanów.

Rozpętała się bezlitosna wojna. Katolicka północ Francji stanęła do walki przeciwko albigensom z południa. Mimo traktatu paryskiego (1229), który stanowił rodzaj paktu między arystokracją zwaśnionych regionów, mimo okrucieństw inkwizycji i płonącej cytadeli w Montségur, gdzie w roku 1245 oddało ducha dwustu katarów, mimo synodu w Narbonne w roku 1235 i bulli Ad extirpanda Innocentego IV (ponowionej przez Aleksandra IV), która legalizowała stosowanie tortur dla ujawnienia prawdy i nakładała ekskomunikę na każdego, kto był podejrzany o sprzyjanie katarom, "diabeł", który przybył z Bułgarii, nie zamierzał się poddać. Kataryzm zaniknął we Francji dopiero w XIV w., po tym, jak ostatni biskup albigensów został spalony żywcem w Carcassonne w roku 1326. Pięć lat wcześniej oddał życie jego ostatni włoski brat. Wraz z kataryzmem upadła kultura Prowansji. Ta okrutna danina nie była ostatnią tego rodzaju - religie indiańskie w Ameryce Południowej skazane były na podobny los, który dopełnił się niespełna dwa wieki później.

Po raz kolejny przekonaliśmy się, że diabeł jest postacią polityczną. W poglądach katarów nie dostrzegamy niczego, nad czym nie mogliby rozprawiać uczestnicy soboru, który, jak się wydaje, zawsze powinien godzić zwaśnione strony i wyjaśniać kwestie sporne. Ich główna idea - uznanie diabła za księcia tego świata, znajduje potwierdzenie w słowach Chrystusa. Do ich pojawienia, do pojawienia się owego "diabła", z którym tak ochoczo utożsamiali ich duchowni, doprowadziła sytuacja polityczna, wojna Bizancjum z Bułgarią i wrogość wobec Bizantyjczyków. Ruch nasilił się, gdy Rzym narzucił Kościołom obowiązek posługiwania się w liturgii wyłącznie łaciną lub greką, choć II sobór watykański cofnął tę decyzję w XX wieku, co oburzyło, być może, kilku szczególnie wiernych tradycji kapłanów.

Szcześnie zakończenie bitwy zachęcało inkwizycję do dalszej wytrwałej walki z szatanem. Zagrożenie ze strony katarów dowiodło, że wszelkie próby podważania nauki Kościoła Rzym skiego godzą we władzę świecką Kościoła i jej fundamenty, czyli królestwa europejskie. Ludwik VIII, "Lew", który prowadził wojnę z albigensami, zdobył Awinion, Aries i Tarascon, i przybył do Langwedocji, by odebrać przysięgę wierności zbuntowanym miast, wspierał finansowo inkwizytorów, którzy mieli utrzymywać więzienia (starali się jednak uwolnić od tego obowiązku i odpowiedzialności finansowej w 1229 r., podczas synodu w Tuluzie). W Europie na kilkaset lat zapanowała swoista teokracja, łącząca władzę duchowną i królewską.

Dodatkową zachętę dla inkwizycji stanowiły korzyści materialne z prześladowań - kiedy oskarżonemu dowiedziono herezji katarskiej, a potem czarów, jego dobra były konfiskowane przez Kościół, nawet jeśli nie został skazany na śmierć. Prześladowanie albigensów okazało się być zatem żyłą złota. Czasami jednak zachłanność inkwizytorów była tak wielka, że zagrażała finansom państwa. Na przykład w Hiszpanii fale prześladowań Maurów, Żydów, waldensów, menandrytów, sodomitów, bazyliidian, joachimitów, wiaro-mców, karpokratów, alchemików, adamitów, bluźnierców, beginek i czarownic uszczupliły miejscowe majątki. Z dnia na dzień rodzina mogła popaść w nędzę, zamknięte sklepy przestawały pracować, bo na ich właścicielach ciążyła klątwa. Nadużycia władzy były tak rażące, że wywołały sprzeciw Karola V i Cortezów. Wielokrotnie domagano się, by pensje inkwizytorów były stałe, to jednak nie odpowiadało Kościołowi, który wolał pobierać prebendy od "wyklętych"³². Diabeł okazał się być świetnym interesem i parawanem, którym Święte Oficjum osłaniało jedno z największych sprzeniewierzeń w historii.

W "pięknych" wiekach średnich, które do dziś wprawiają w rozmarzenie wielbicieli totalitaryzmu i wszelkiego rodzaju obskurantyzmu, raz po raz spotykano się z odmową ze strony wymiaru sprawiedliwości. Kiedy świecki adwokat oskarżonej lub oskarżonego o czary domagał się, by zgodnie z literą prawa rzymskiego władze świeckie uzyskały wgląd w dokumenty, jego prośbę odrzucano. Na przykład w Hiszpanii teoretycznie Sąd Najwyższy, Suprema, pozwalał oskarżonemu na wybór adwokata spośród grona członków

Świętego Oficjum i ciał pokrewnych, faktycznie jednak nie pozostawiano mu wyboru, a adwokata wyznaczano z urzędu. Oskarżony nie miał też prawa do przedstawienia świadków, a spotkania z adwokatem odbywały się w obecności inkwizytora lub sekretarza. Ale w całej Europie podczas procesów inkwizycji władza inkwizytorów, wyznaczonych przez papieża, była dyskrejonalna, czyli uznaniowa, co oznacza, że ich decyzje nie były ograniczone ścisłymi przepisami i nawet biskupi nie mieli na nie wpływu³³. Ponieważ po raz pierwszy w historii chrześcijaństwa papieże przyzwolili na tortury i egzekucje, przy równoczesnym odrzuceniu wszelkich próśb podsąd-nego i jego obrońców, inkwizytorzy stali się wszechpotężni. Dziś, dyskutując nad wymiarem sprawiedliwości za czasów hitlerizmu i stalinizmu zapominamy, że doskonały przykład dała już inkwizycja. Ani Gestapo, ani NKWD i KGB nie musiały niczego tworzyć od podstaw. Toteż trudno się dziwić, że inkwizytorzy często padali ofiarą mordów.

Tymczasem scholastycy dyskutowali, spierali się, tworzyli wyrafinowane teorie i spekulowali na temat diabła i demonów. Yves z Chartres zapewniał, że demony poruszają się bez porównania szybciej niż ptaki, a Hildebert z Mans w *Tractatus theologicus* pisał, że diabeł nie zamieszkuje ani w niebie, ani na ziemi, lecz w powietrzu³⁴, jak głosił święty Brunon! Dziwny to pomysł, ograniczający zło do jednego z czterech rozpoznanych wówczas żywiołów - wody, powietrza, ziemi i ognia. Podobnie Honoriusz z Autun przedstawił w *Liber duodecim quaestwnibus*, zaskakującą ocenę liczby aniołów, które podążyły za szatanem. Połowa? Co trzeci? Co dziesiąty? Wiedząc o istnieniu dziesięciu chórów anielskich zakładał, że w każdym chórze mogło być najwyżej kilku upadłych aniołów³⁵. Tę ideę podchwycił zresztą święty Anzelm, który twierdził, że "liczba aniołów przed upadkiem złych nie była doskonała". Nie znając zasad statystyki, która jeszcze wówczas nie istniała, Honoriusz z Autun nie zastanawiał się nad ekspansją demograficzną na ziemi, lecz biorąc pod uwagę, że przyrost ludności dokonuje się w postępie geometrycznym, przy stałej liczbie demonów każdy z nich musiałby mieć coraz więcej pracy, a ludzie coraz rzadziej wystawiani byłiby na pokusy, chyba że demony potrafią się rozmnażać. Nie wiadomo jednak, jaki jest przyrost naturalny populacji demonów.

Rupert, przeor z Deutz, wysunął oryginalną tezę: Bóg pozostawił szatanowi czas na pokutę, by dać przykład innym aniołom, ale diabeł nie skorzystał z tej szansy. Rupert przywołuje też koncepcję, zgodnie z którą szatan spadł "nie w piekielne otchłanie, lecz w powietrze, które jest niższym niebem"³⁶. Abelard posunął się jeszcze dalej, współczując mu, a "w szesnastym spośród swych artykułów, które zostały potępione w roku 1141, wykluczał bezpośrednią interwencję demonów i ograniczył ich władzę do wykorzystania sił natury, żywiołów i roślin"³⁷. Wizja diabła wśród kapusty i ziółek wprawiła cenzorów w zakłopotanie.

Piotr z Poitiers kontynuował wątek podjęty przez poprzedników, twierdząc, że diabeł trafi do piekła dopiero po Sądzie Ostatecznym, tymczasem zaś przebywa w powietrzu. Zmieniając opinię na ten temat, Wilhelm z Owernii, biskup Paryża, uznał, że demony stały się głupie ("przytępieniem inteligencji tłumaczy zaślepienie wodza demonów"³⁸), że bardzo cierpią i nieustannie toczą walki między sobą. Święty Bonawentura uważał, że Lucyfer upadł, bowiem przesadnie zajmował się swoją urodą. Jego poglądy są sprzeczne z wcześniejszymi opisami, według których diabeł był odrażającą, cuchnącą, rogatą i owłosioną bestią. Sławny dominikanin, Albert Wielki, uważa, że demony unoszą się w powietrzu, a sukkuby i inkuby naprawdę istnieją. Z tą opinią zgadza się jego uczeń, Tomasz z Akwinu, w *Summa theologiae*

- demony dręczą ludzi w piekle, ale do chwili Sądu będą też wnosić się w powietrzu, czasami pod postacią mkubów i sukkubmo. Czyżbyśmy zatem po prostu wdychali je z powietrzem? Tomasz z Akwinu nie podzielał poglądów większości scholastyków i teologów dotyczących tych istot, które, jego zdaniem, nie były zdolne do prokreacji. Miał też odrębną opinię o demonach w ogóle i choć nie współczuł im jak Abelard, był tego bliski. Uważał, że część demonów nie czyniła tak wielkiego zła, do jakiego była zdolna, jednak skażone złem, nie potrafiły już czynić dobra. Podobnie jak jego poprzednicy, Tomasz zagłębiał się w szczegóły, czasem nawet drażliwe. Jeżeli sukkub, demon żeński, miałby cokolwiek spłodzić, skradłszy ludzką spermę, będzie to olbrzym. Tomasz z Akwinu uważał, że diabeł i demony są bytami duchowymi, był to jednak tylko jego osobisty pogląd, ponieważ w XVI wieku kardynał Caietano głosił, nie zyskując wielu zwolenników,

że są to istoty cielesne.

A zatem już od pierwszych stuleci ery chrześcijańskiej nie udawało się stworzyć spójnej doktryny diabła i demonów. Nie wiadomo, jaki grzech doprowadził do wypędzenia szatana z nieba

- żądza, chciwość czy pycha, nie wiadomo, jak wyglądał - był piękny, czy może szpetny, ani też, kiedy doszło do jego upadku

- przed czy po stworzeniu słońca i ludzi. Zagadką pozostawało, czy diabeł jest istotą w pełni duchową, czy też w jakiejś mierze

- materialną, a może nawet całkowicie cielesną, gdzie zamieszkuje, czy jest bezwzględnie zły, czy też zdolny do miłosierdzia, obdarzony niesłychaną inteligencją, czy może niezbyt mądry albo nawet głupi, a przede wszystkim - czy może liczyć na przebaczenie ze strony Boga, kiedy nadejdzie dzień Sądu. Nad tą ostatnią, szczególnie istotną kwestią toczono długie debaty. Jedni, na przykład św. Hieronim, utrzymywali, że diabeł i demony mogą dostąpić odpuszczenia win, inni zaś jak Honoriusz z Autun, uznawali, że odpuszczenie nie jest możliwe i dopiero niepojęta śmierć Słowa dałaby im odkupienie. Nigdy też nie uporano się z problemem źródła zła, któremu uległ szatan.

Dziś tak wielkie zainteresowanie tym problemem, który pobudzał wyobraźnię tysięcy ludzi, może dziwić, ale była to epoka fascynacji i obsesji religijnych, i raz po raz pojawiały się nowe sekty. Poza katarami byli też folgujący wszelkim kaprysom następcy adamidów, którzy modlili się nago u boku swych nagich małżonek, byli też melchizedekianie, którzy uważali patriarchę Melchizedeka za wcielenie Boskich cnót. Byli także pikardzi, turlipini i wiele innych sekt. Duchowieństwo musiało borykać się z problemami, jakie stwarzały te sekty i szerzone przez nie nauki.

Jedyne ściśle ustalone poglądy na temat diabła były odpowiedzią na argumenty heretyków i schizmatyków, z którymi Kościół Rzymski walczył. Doktorzy Kościoła zgodnie odrzucają dwie idee, przeczące Wcieleniu Jezusa i Odkupieniu grzesznych ludzi - świat materialny nie jest wyłączną domeną diabła i nie został stworzony przez Jezusa. Sam Kościół nigdy nie zajmuje się naturą diabła, pozostawiając ten problem swym doktorom³⁹.

Pomimo niewątpliwej skłonności ich autorów do racjonalnego myślenia, konstrukcje chrześcijańskie nie odbiegają od tych, jakie tworzyli Dogoni czy Joruba. Z punktu widzenia logiki są absurdalne, bo przecież żaden z Ojców Kościoła i teologów nie widział diabła, sukkuba czy inkuba. Toteż są równie poetyckie, jak opowieści i mity spisane przez etnologów. Jeżeli bywają gorszące, to nie ze względu na ich alogiczność, ale - ze względu na konsekwencję.

Przez całe wieki umysły Europejczyków były skażone nie przez emanację złego, ale przez odrażające wyziewy diabolicznych przesądów. Rozbudzone w średniowieczu przez inkwizycję diaboliczne obsesje przerodziły się z czasem w patologiczny lęk i ogłupienie. W roku 1581 niejaki Fromenteau w dziele pod tytułem *Le Cabinet du Roy de France* pisze, że lista czarowników zawiera imiona 72 książąt demonów oraz 7 405 920 demonów podrzędnych. Inni autorzy podają odmienne liczby - demony tworzyły 6 legionów, każdy legion - 66 kohort i 666 kompanii, które liczyły po 6666 demonów, a zatem było ich łącznie 1758 06417640. Iluż aniołów musiało zatem wraz z szatanem opuścić niebo! Do dziś mówi się o diable jak o realnym bycie i zajmuje się nim nawet amerykańska policja!

Od średniowiecza ludzie wierzyli w każdą bzdurną opowiastkę o diable, a czym bardziej była nieprawdopodobna, tym chętniej dawano jej posłuch. Wierzono na przykład, że czarownica może "wydoić" mleko z rękojeści siekiery, że potrafi stąpać po powierzchni wody niczym Chrystus, że może stać się niewidzialna i zakraść do domu, powtarzając taką oto diaboliczną litanie:

Athal, Bathel, Nothe, Jhoram, Asey, Cleyungit, Gabellin, Semeney, Mencheno, Bal, Labennten, Nero, Meclap, Halateroy, Palem, Tim-gimiel, Plegas, Peneme, Fruwa, Hean, Ha, Arama, Avira, Ayla, Seye, Peremies, Seney, Levesso, Huay, Baruchalu, Acuth, Tural, Buchard, Caratim, per misericordiam abibit ego mortale perficiat qua hoc opus invisibiliter ire possim[^].

Wszędzie widziano czarownice, podejrzewając o zмовę z diabłem zwłaszcza brzydkie kobiety. Opisywano ich czary, sabaty i orgie, bo przecież czerpanie rozkoszy z miłości

było za sprawą złego na pewno szczególnie łatwe. Dwaj obdarzeni wyobraźnią ludzie średniowiecza, dominikanie Henryk Kramer i Jakub Sprenger⁴², opublikowali bestseller epoki Miot na czarownice*, który wciąż jeszcze znajduje czytelników. Wiemy, że nie był to

Ta sprzeczność wprawia nas w zakłopotanie - księżę kusicieli był opisywany jako postać odrażająca, a jego sługi i służki odznaczać się mieli odpychającą brzydotą. Daniel Defoe pisze ironicznie: "...Być może czarownice muszą być odrażająco brzydkie, by uchronić się przed nagabywaniami ich paskudnego pana... Matka Shipton, sławna wróżbitka angielska, została dokładnie odmalowana na swym wielce niekorzystnym portrecie, jeśli oczywiście nie przybrała najpaskudniejszej miny, na jaką mogła się zdobyć" ⁴⁴.

"Demonomania" z pewnością przygasiła zachodnich twórców i zatrzała umysły ludzi; aż dziw, że malarze, muzycy i pisarze zdołali jakoś przetrwać tamte czasy. Co gorsza, przez tę obsesję świat spływał krwią jeszcze długo po rzezi albigensów.

Podajmy tylko kilka spośród tysięcy przykładów. Niejaki Abel de La Rue został powieszony w Coulommiers w roku 1582 za to, że zawarł pakt z diabłem ukrywającym się pod postacią psa, następnie zaś sprawił, że sąsiedzi nie mogli zaspokoić potrzeb seksualnych swoich żon. W roku 1591 osiemdziesięcioletnia Leonardę Chastenet z Poitou została spalona żywcem za rzucenie uroku na pola, udział w sabacie i współżycie z diabłem. W roku 1611 w Aix kapłan Gotfryd został oskarżony o rzucenie czarów na zakonnicę Magdalenę de Mandols i "wyznał", że uczestniczył w sabacie. Zginął na stosie. We Włoszech inny ksiądz, osiemdziesięcioletni Benedetto Benda, skonał na stosie, bo wyznał, że przez czterdzieści lat przetrzymywał w domu żeńskiego demona imieniem Hermelina, którego zawsze i wszędzie zabierał ze sobą.

Musiał to być sukkub, wszyscy bowiem wiedzą, że anioły nie mają płci. Nie powstrzymywano się nawet od palenia dzieci, co potwierdza przypadek jedenastoletniej Katarzyny Naguille⁴⁵.

Wszyscy słyszeli o posępnej historii "czarownic z Salem", w Massachusetts, gdzie 19 sierpnia 1692 roku powieszono Martę Carrier. "Dowód", że jest czarownicą, stanowiły zeznania jej sąsiadki Phoebe Chandler, która opowiedziała, że jej było zapadło na "dziwną chorobę", kiedy pokłóciła się z Martą. Oskarżenie padło z ust rodzonej córki Marty, która zapewniła sędziów, że matka była czarnym kotem! Marta Carrier nie była jedyną ofiarą prześladowań spowodowanych diabelską obsesją. Od czerwca do września roku 1692 w Salem powieszono czternaście kobiet i pięciu mężczyzn oskarżonych o czary, kolejny mężczyzna zmarł w wyniku tortur. Mniej znany jest fakt, że w szwedzkiej miejscowości Mora w roku 1669 spalono żywcem osiemdziesiąt pięć osób, które miały "uwieść" około trzystu dzieci i zabrać je na górę Blokula, gdzie, jak mówiono, odbywały się sabaty. Komisja śledcza, którą kierował Karol IX, zgromadziła "zeznania" o wątpliwej wartości prawnej. Wielu "czarowników" wyznało, że "złożyli dzieci w ofierze demonowi, kopulowali w jego obecności, uprawiali czarną magię i próbowali wznieść dom z kamienia, by schronić się w nim w dniu Sądu Ostatecznego... Potem spalili piętnastu młodych chłopców"⁴⁶.

Wkrótce powołujący się na miłość do Boga prześladowcy pokazali rogi, jeśli nie ogony i kopyta, bo w każdej z tych kryminalnych spraw najbardziej opętani - jeśli ktoś wierzy w diabła - zdawali się być właśnie inkwizytorzy. Pałali nienawiścią nie tylko do heretyków, ale do wszystkich, którzy nie byli katolikami, a przede wszystkim - do Żydów. W XII wieku Walter Map, arcydiakon Oksfordu, opisał ceremoniał przyzywania diabła przez katarów (katolicy byli przekonani, że katarzy modlą się do diabła):

Z zapadnięciem zmroku... każda rodzina zasiadała u milczeniu v ich synagodze; wtedy po wiszącej na środku linie schodził ogromny czarny kot. Na jego widok gasili światła i nie śpiewali już głośno hymnów, ale szeptali ich słowa i mruczeli przez zaciśnięte zęby, zbliżając się do miejsca, w którym ujrzeli swego pana i szukając po omacku, a znalazłszy - całowali go⁴⁷.

I oto sprawa stała się jasna - katarzy byli Żydami, bo zbierali się w synagogach, i na odwrót. Zrećnie! Często chcąc kogoś oczernić, zaczynało szerzyć pogłoski: w roku 1480 w La Guardia nieopodal Avila, "Żydzi porwali trzyletnie dziecko, a potem posłużyli się nim, by powtórzyć Mękę Pańską, policzkując je, chtoszcząc i zakładając cierniową koronę"⁴⁸. Następnie złożyli je w ofierze, wyrwijając biedactwu serce. Inkwizycja odkryła

nowe pole do działania - zwalczanie Żydów. Od roku 1485 do 1501 w Toledo spalono na stosach dwustu pięćdziesięciu Żydów. Do roku 1490, który o dwa lata poprzedzał odkrycie Ameryki, spalono ich ogółem dwa tysiące, a piętnaście tysięcy zmuszono do przejścia na katolicyzm⁴⁹. Żydzi, homoseksualiści, katarzy - wszyscy byli czarownikami w służbie diabła.

Liczba "wyznań" uzyskanych w czasie procesów inkwizycji może zdumiewać. Na pewno część z nich wymuszono torturami, na które zezwalał Kościół. We współczesnym, choćby skromnym komisariacie policji można uzyskać dokładniejsze zeznania niż te, które składali ludzie poddani najsroższym próbom przez inkwizycję, nie stroniącą od wszelkiego rodzaju szczyptec, pławienia czy prób ognia i innych okrucieństw. Wydaje się jednak, że niektórzy zeznawali spontanicznie. Czy wszystkie zeznania były ważne, czy są wiarogodne? Czyżby ktoś ze śmiertelnych kopułowat! z diabłem? Aż do początku XX wieku niektórzy przedstawiciele Kościoła sądzili, że "opętani" naprawdę istnieją⁵⁰, a zatem nie podawali też w wątpliwość owych zeznań. Tymczasem jednak Kościół zdaje się nie uwzględniać pewnego znanego psychologom zjawiska - sugestii zbiorowej lub indywidualnej. Jej przykłady znajdujemy w każdej epoce, także współcześnie, w czasach telewizji i samochodu. Przypadki zbiorowej hysterii, lęk przed diabłami i prześladowaniem mogą zdarzyć się w biały dzień, choć nie dzieje się nic, co można by uznać za przejaw obecności diabła, choć nie ma żadnej podniety religijnej. Może to nastąpić w dużych miastach, w Calais czy Orleanie³¹. W okresach silnych napięć, wobec realnego lub wyimaginowanego zagrożenia, ludzie są w stanie wmówić sobie chorobę lub oskarżać się o dokonanie potwornego czynu, zwłaszcza jeśli z jakichś powodów czują się winni.

Przeważnie istnieje czynnik, który wywołuje takie psychozy. W przypadku "czarownic z Salem" badania podjęte po trzystu latach przez historyków pozwoliły ujawnić wiele nieznanych faktów. Zimą 1691-92 w Salem dziewczęta gromadziły się często w kuchni księdza Parris, gdzie słuchały opowieści niewolnicy z Antyli, Tituby, o kulcie woo doo. Wiedziały, że słuchając tych historii, grzeszą. Próbowaly przepowiadać przyszłość, żeby dowiedzieć się na przykład, kim będą ich mężowie. Odgadywały to z kształtu, w jaki ułożyło się białko jajka wylane na zimną wodę. U młodych dziewcząt takie naruszenie zakazów rodzicielskich i kościelnych wywołało stan napięcia nerwowego. Niektóre doznały wstrząsów psychicznych i ataków nerwowych, na przykład konwulsji. Jedna z nich zareagowała przedziwnie - chodząc na czworakach, zaczęła głośno szczelekać. Kiedy pytano "opętane", kto je nęka, padały trzy imiona - Tituby, żebraczki Sary Good i kobiety, która popełniła śmiertelny grzech, obcując ze swym drugim mężem jeszcze przed ślubem. Trzy biedaczki uwięziono, uznano za opętane i wprawiono w ruch całą maszynę piekielną⁵².

Kościół i inkwizycja wykorzystywali oczywiście tego typu histerię, by dowieść istnienia diabła i skłonić wiernych do ścisłego wypełniania zaleceń kapłanów. Sytuacja ta nie zmieniła się długo po rozwiązaniu inkwizycji.

We Francji inkwizycja zniknęła w roku 1789, w innych krajach Europy istniała jednak znacznie dłużej. Ostateczny cios zadał jej Józef Bonaparte, znosząc ją w roku 1808 po wkroczeniu do Madrytu. W roku 1813 Cortezy uznały istnienie inkwizycji za sprzeczne z konstytucją. Rzym protestował i doprowadził do jej reaktywowania po powrocie Ferdynanda VIII w roku 1814. Ale utrata bogactw bardzo osłabiła tę najgroźniejszą, najbardziej ochoczo rozpalającą stosy inkwizycję. W roku 1816 papież, pod naciskiem elit intelektualnych i burżuazji, zakazał stosowania tortur. Jednak było już za późno. Rozwiązana ponownie w roku 1820, po rewolucji, następnie przywrócona przez księcia d'Angouleme (Burboni byli jej gorącymi zwolennikami), została ostatecznie zlikwidowana przez królową Krystynę w roku 1820*. Imię jej najstrawniejszego zwierzchnika, Tomasza Torquemady (1420-1498), jednego z najstraszliwszych morderców w dziejach świata, poprzednika Heydricha i Himmlera, długo miało wzbudzać lęk i odrazę. Torquemada był też wrogiem własnego kraju, który ze strachu opuszczały tysiące ludzi.

Inkwizycja została ostatecznie zdyskredytowana. Zamykał się jeden z najstraszliwszych rozdziałów historii świata, zapisano najczarniejsze karty hańby. Ale diabła nie udało się pokonać.

* Nazywano ich także "Bulgari" albo "Bugares".

* Trzydzieści cztery wydania od 1486 do 1669 r. w Strasburgu, Spirze, Norymberdze, Kolonii, Paryżu, Lyonie, Wenecji, Frankfurcie, Fryburgu. Kilka rozdziałów przetłumaczono także na język polski w roku 1614. pierwszy podręcznik dla inkwizytorów, bo już Eymerich napisał podobny, ale ten zyskał największe powodzenie ze względu na obfitość przykładów i pozornie rozsądne podejście do tematu. Dowiadujemy się z niego na przykład, że "demon może zawładnąć ciałem, ale nie duszą", bo anielska istota demona nie może połączyć się z duszą ludzką, itd.

* Najdłużej, bo do 1859 roku Inkwizycja przetrwała we Włoszech.

Islam i diabeł jako urzędnik państwowy

O współczesnym islamie i jego zróżnicowaniu - O Półwyspie Arabskim przed pojawieniem się islamu - O uznaniu Mahometa za sprawcę opętania - O wzmiankach na temat szatana w Koranie - O tym, jak oskarżono o satanizm wszystkich, którzy nie są muzułmanami - O islamie i o satanizmie jako próbie obrony odrębności religijnej - O wpływie Starego Testamentu na religię Proroka - O zaletach politycznych, etyce i duchu rycerskim, a także o pochwaleniu solidarności i szlachetności w islamie - O potrzebie jasnej i prostej etyki w projekcie Mahometa - O geniuszu politycznym Proroka i o jego religii, która umożliwiła powstanie narodu i państwa islamskiego.

Islam, czytamy w encyklopediach, narodził się w Arabii, to znaczy na Półwyspie Arabskim. Informacja ta jest ścisła z historycznego punktu widzenia, ponieważ - zwłaszcza w VII wieku, kiedy narodził się islam - Arabia nie była jednolita; dzieliły ją religie i odrębności kulturowe. Jeszcze bardziej zróżnicowana była w epokach wcześniejszych. Islam ulegał wpływom świata, który istniał w tym regionie przed jego pojawieniem się, i do dziś nosi jego piętno.

Urodziłem się i mieszkałem do dziewiętnastego roku życia w jedynym państwie muzułmańskim, gdzie istniał wówczas uniwersytet islamski - w Egipcie. Uniwersytet znajdował się w al-Azhar. Znając arabski, mogłem przysłuchiwać się szejkom wykładającym Koran oraz przypatrywać się studentom, siedzącym w kucki na ogromnym, czerwonym dywanie w meczecie i kiwającym się do przodu i do tyłu. Szybko wyjaśniono mi różnicę pomiędzy Sunną, Drogą, i Szi'atAU, czyli Partią Alego, dwoma głównymi odłamami islamu. Kontakty z muzułmanami ułatwiły mi zrozumienie czterech podstawowych sunnickich szkół interpretacji Koranu: hanafitów, malikitów, szafiitów, hanbalitów. Podróżując i studiując poznałem różne odłamy dwóch głównych nurtów islamu - barwnych haszy-szytów, czyli palaczy haszyszu, którzy dziś już nie istnieją, druzów, i izmailitów, zajdytów, ansarów, karmatów, Fatymidów, wszystkich wiernych szyitów. Wspomnijmy też o charydżytach, którzy uważali, że kalifem może zostać każdy muzułmanin i o murdżytach, uznających, że to nie ludzie, lecz Bóg powinien osądzać grzeszników. O kadarytach, których trudno już dziś spotkać, mutazylitach, którzy kładą największy nacisk na wolność człowieka i są przeciwnikami przypisywania Bogu cech absolutnych, wahhabitach, integrys-tach, według których śmierć podczas świętej wojny (dzihadu), zapewnia wstęp do rajy, mewlewijach, czyli uczniach Dżalala ad-Dina (Dżalaludina Rumi), sufich, gnostyckich mistykach, do których grona zaliczano sławnych tańczących derwiszów, babistach, bahaistach, którzy byli uczniami Baha AUaha, pochowanego na górze Karmel w Palestynie, a na których natknąłem się nawet w nowozelandzkim Auckland, o ahmadijwach z Pendżabu, strażnikach grobu Jezusa ze Śrinagar... *.

Przez wiele lat słuchałem więc nawoływań muezzinów wzywających do modlitwy, słuchałem psalmodii, po których wprawne ucho muzułmanina potrafi ocenić talent muezzina, wyśpiewującego długie zdania, czystość jego głosu, wokalizę, dykcję - efekt długoletnich ćwiczeń. Nie bez wzruszenia słuchałem ich o świcie, kiedy szedłem wzdłuż plaży w kierunku groźnego niegdyś wulkanu Krakatau. Ich śpiew brzmiał tak samo, jak w Bejrucie i Stambule. Ale ludzie byli tu inni. Cóż, religia może wędrować, podbijając coraz to nowe obszary, trudniej odmienić kulturę.

Tradycja głosi, że Prorok przewidział podział islamu na siedemdziesiąt trzy sekty, spośród których miała ostatecznie zwyciężyć tylko jedna. Różnorodność tych, które znałem, zdumiewała mnie, dlatego czasami czułem się zniechęcony, czytając ogólnikowe zachodnie opracowania na temat islamu, który inny jest w Algierze niż w Kuala Lumpur, inny jest w Teheranie niż w Akrze. Niezmienna jest tylko niewiedza o islamie.

Podczas gdy historia reszty świata - Europy, Indii albo Chin - była znana od stuleci, dzieje Arabii zaczęły się odsłaniać dzięki pracom archeologicznym podjętym w latach trzydziestych, równocześnie z poszukiwaniami ropy, między innymi przez Wendella Philipa. Ten skrawek lądu, rozciągający się pomiędzy Pustynią Syryjską, Hamadem, Morzem Czerwonym i Zatoką Perską, i sięgający aż po Ocean Indyjski, jest do dziś słabo znany, jak Ad Dahna, Ar Rab al-Chali, słusznie zwany pustynnym, czy całe połacie an-Nafud. W roku 1992 archeolodzy odnaleźli w Omanie ruiny legendarnego miasta Ubar, jednego z większych ośrodków handlu kadzidłem. Inne drzemią nadal pod rozgrzanym piaskiem pustyni.

Egipcjanie, Rzymianie, Grecy, Etiopczycy, Fenicjanie, Żydzi przechodzili przez te ziemie, czasami zatrzymywali się tam na jakiś czas, nie pozostał po nich jednak żaden ślad. Przybyli tu także Azjaci, bo kupcy kamieni szlachetnych, koralu, pereł, przypraw korzennych, wonności, jedwabiu, szkła, a także zwierząt, wędrując między wybrzeżem Azji, Morza Śródziemnego i Półwyspem, doskonale znali ten szlak już przed I tysiącleciem p.n.e. Wiemy, że na początku II tysiąclecia władcy Mezopotamii importowali z Indii drogą morską słonie i małpy*. Orient nigdy nie był pustynią, choć chętnie tak właśnie wyobrażamy sobie tę krainę. Miał swoje bóstwa, królów i demony. Ale dziś genealogia diabła w Arabii znana jest nam tylko częściowo.

Istniało tu wiele kultur, nie znanych przeciętnie wykształconemu Europejczykowi² - królestwo Main³, którego historia sięga schyłku II tysiąclecia p.n.e., królestwo Saby, którego władczyni około roku 950 p.n.e. złożyła ponoć wizytę królowi Salomonowi, ponieważ go szczerze podziwiała. Po Sabejczykach nastali Himjaryci (ok. 115 r. p.n.e.) oraz Hiryci, powstały królestwa Ghassan i Kinda. Ich ludność posługiwała się językami semickimi⁴, co pozwala nam domyślać się, że Półwysep zamieszkiwali Semici i że tamtejsze religie, co nie jest już tak oczywiste, były podobne do innych wierzeń semickich.

W panteonie mainejskim zasiada około stu bóstw, ale nasza wiedza o nich jest nader skąpa. Sams, której imię kojarzy się z arabskim słowem shams, słońce, wywodzi się w prostej linii od babilońskiego Szamasza. Sams jest boginią, zaś męskim bóstwem jest Attar, bóg gwiazdy Wenus, mainejskie wcielenie babilońskiej Isztar i zmiennego bóstwa Astarte*.

Starzejący się król Salomon złożył hołd owej pogańskiej bogini, "ponieważ nie był bez reszty wierny swemu Panu i Bogu"⁵ i "podążył za Asztartą, boginią Sydończyków". Natomiast inny król Izraela, Joachaz, wznosił dla niej sanktuarium na Górze

Oliwnej, a także świątynię dla Kemosza, boga Moabitów, i dla Milkoma, "obrzydlivosti Ammonitów"⁶, choć pozostał wierny także Jahwe. Najwyraźniej władcom Izraela trudno było łączyć boginię miłości i płodności z diabłem.

Przejęta przez Etiopczyków Attar stała się boginią niebios, Asztar/. Czy nie pozostała jednak boginią miłości i płodności? Filon z Byblos powiada, że chcąc podkreślić jej królewskość, przedstawiono ją z rogami byka. Czy jednak jest to bogini semicka? Oto kolejna zagadka starożytnych religii, ponieważ z rogami bogini przypomina egipską Hathor, również opiekunkę płodności, o głowie zwieńczonej rogami byka z umieszczonym pomiędzy nimi półksiężycem. Hathor istniała już na tysiąc lat przed pojawieniem się pierwszej wzmianki o sabejczykach (715 rok p.n.e.), toteż trudno wykluczyć, że niektóre bóstwa arabskie epoki przedislamskiej pochodziły z Egiptu. Półwysep Arabski ulegał także innym wpływom, co w przypadku takiego krzyżowania się kultur jest całkiem normalne. W ten sposób narodził się Wielki Bóg, nazywany Rahman, "Bóg miłosierny" którego imię pozwalają domyślać się wpływy żydowskie. Jak wiemy*, nad Morzem Czerwonym w VI wieku n.e. istniało już żydowskie miasto. Judaizm był jedną z religii Półwyspu, zyskał bowiem wyznawców w Medynie, Jemenie, Syrii, gdzie istniały duże gminy żydowskie, mające swych rabinów i szkoły. Wpływy judaizmu sięgały nawet Królestwa Saby, o czym świadczy 62 werset 2 sury Koranu:

"Zaprawdę ci, którzy uwierzyli, ci, którzy wyznają judaizm, Nazarejczycy i sabejczycy..."⁹.

Nazarejczycy (Nasara) to być może mandejejscy, czyli członkowie sekty parachrześcijańskiej, zwanej też "chrześcijanami Jana Chrzciciela". Ale z przyczyn, które wyjaśnimy nieco później, wydaje się, że są to raczej uczniowie Jezusa, jak określano ich na Półwyspie. Szczególnie aktywni byli w oazie Nadżran, pomiędzy Mekką a Jemenem, gdzie w latach 524-525 wielu z nich zginęło męczeńską śmiercią. Wydaje się, że nieprzypadkowo w tym samym wersecie wymieniono sabejczyków. Może byli mieszkańcami Saby, jak sugeruje nazwa sekty, ponieważ jednak mieszkańcy Saby wyznawali rozmaite religie, trudno ustalić, do której z nich odnosi się uwaga Proroka. Jednak aluzje Mahometa są zawsze przejrzyste, a zatem nie wymieniłby on tej samej sekty pod dwiema nazwami, i dlatego mowa tu raczej o mandejejczykach albo o "chrześcijanach Jana Chrzciciela", zwanych także Subba, czyli sabejczykami¹⁰. To heretycy żyjący na rozległych obszarach Półwyspu, a uważający Jezusa za wcielenie Hermesa-Merkurego oraz jednej z siedmiu planet... Na Półwyspie takich mimowolnych heretyków, pragnących religii, która zaspokajałaby ich potrzeby i spełniała marzenia, jest wielu.

Islamiści przyznają, że wyznawcy Zaratustry również mają prawo do Mekki, podobnie jak przedstawiciele innych religii. Trudno wykluczyć, że na tym terenie mieszkali nestorianie. Mekka, a w każdym razie cały Półwysep, zdaje się być sceną, na której pojawiały się rozmaite religie antyczne i nowożytne, a także wszelkiego rodzaju sekty i schizmy. To niezwykle miejsce, w którym spotykali się ze sobą bogowie Wschodu i Zachodu.

Ten, kto mówi Kościół, mówi także schizma, a w VI wieku wpływy chrześcijaństwa były już tak znaczne, że wszędzie pojawiał się Kościół i kościoły - w Libii i w Foncie, wśród Gotów z Północy i Etiopczyków z Aksum, Nubijczyków znad górnego Nilu i azjatyckich Hunów. Powstawały przekłady Ewangelii na języki: bułgarski, perski, fenicki, hindi i inne. Każdy z ośrodków chrześcijaństwa asymilował elementy wierzeń lokalnych, a im bardziej wyznawcy Chrystusa byli oddaleni od Rzymu i Bizancjum, tym łatwiej je przejmowali, odchodząc czasami od nauk siedemdziesięciu arcybiskupów tak dalece, że ich wiara przeradzała się w herezję. Rozkwitające chrześcijaństwo było więc jeszcze bardzo kruche.

Pomiędzy rokiem 567 a 579 narodził się w Mekce Muham-mad ", syn Abdułaha i Aminy z rodu Kurajszytów, którego liczne klany rządziły Mekką. Muhammad nie znał ojca, który zmarł tuż przed jego przyjściem na świat. Także matka osierociła go, gdy miał zaledwie sześć lat. Sytuacja jedynaka-sieroty nie była łatwa. Zgodnie z tradycją, dziecko powierzono mamce z klanu nomadów, by nabrało sił, oddychając czystym powietrzem pustyni, ale ten etap w życiu chłopca nie trwał zbyt długo. Opiekę nad nim przejął dziadek, Abd el-Mottalib, który zmarł dwa lata później w wieku osiemdziesięciu dwóch lat, kiedy wnuk miał lat osiem.

Muhammad raz jeszcze zmienił dom, trafiając tym razem pod opiekę stryja, Abu Taliba, bogatego kupca, który wiele podróżował. Abu Talib wyprawiał się czasem do Syrii i chętnie zabierał ze sobą Muhammada. Pierwszym obcym miastem, które ujrzał chłopiec, była Bosra i zapewne chodzi o Bostre, nie zaś o skromną osadę Al-Buszyra. Bostra (czyli wspomniana w Starym Testamencie Bossara¹²) odbudowana w roku 106 przez Trajana, stała się za czasów Aleksandra Sewera bogatą kolonią rzymską, za panowania Filipa II Arabskiego - metropolią, potem zaś stolicą biskupów. Kiedy przyszły prorok przybył tam po raz pierwszy, musiał ujrzeć wspaniałą bazylikę, nie ona jednak i nie bogactwo miasta przykuły jego uwagę. To prawdopodobnie tam wrażliwy chłopak pojął, jak wielka jest potęga władzy opartej na bogactwie i spójnym systemie pojmowania świata - potęga władzy bizantyńskiej. Bo w owych czasach Bizancjum było stolicą wiary, która stanowiła gwarancję jego potęgi. Dziecko, które przybyło tam z miasta zasobnego, jednak przy tak potężnym jak Bizancjum ośrodku handlowym robiącego wrażenie skromnej wioski, musiało być pod silnym wrażeniem tego miejsca. Ród Kurajszytów nie przejął jednak od Rzymian sztuki wznoszenia wspaniałych świątyń i nie stworzył spójnego obrazu świata. Miał do dyspozycji tylko garść rozproszonych wierzeń. A wiara mogła odmienić świat. Muhammad słuchał i patrzył, starając się odgadnąć sekret wielkości.

Irakijski teolog i historyk żyjący na przełomie X i XI wieku, Al Tabarri, powiada, że Abu

Talib i Muhammad zatrzymali się w chatce eremity Bahira, syryjskiego mnicha. To on, dostrzegłszy, że gałęzie drzewa zwieszają się w taki sposób, by rzucić cień na strudzonego drogą chłopca, jako pierwszy dostrzegł w nim Wysłannika Boga, rasul Allah. Tenże sam Bahir, przyjrawszy się Muhammadowi, zauważył "prorocze znamię" na jego plecach. Jak w każdej legendzie, i w tej niewątpliwie tkwi ziarno prawdy.

Czy Muhammad słyszał kiedyś o diable? Nie wiemy nic o jego wychowaniu i wykształceniu, ale musiało ono być zgodne z rodzinną tradycją. Czy słyszał o perskim Arymanie, czy też jego wiedza o złowrogich duchach ograniczała się do afarit, demonów rodem z religii babilońskiej, które potrafiły tchnąć zło w pustynny wiatr? A może słyszał o kuzynie żydowskiego szatana, który zachował starotestamentową rolę pełnego szacunku Adwersarza. Wiemy tylko, że pilnie słuchał wszelkich nauk:

"My wiemy, że oni mówią:

Jego uczy [wiedzy objawionej] tylko zwykły człowiek", czytamy w 103 wersecie XVI sury Koranu, gdzie przytoczone zostały krytyczne opinie przeciwników Proroka.

"I powiedzieli: »To tylko prymitywne baśnie!« Spisywał je dniami i nocami pod dyktando obcych", głosi sura XV, 5, nawiązując do innych, poważniejszych krytyk 13, sugerujących, że objawienie Proroka inspirowane było przez chrześcijan lub Żydów. Niektórzy posuną się jeszcze dalej, przecząc, by Mahomet był ojcem Koranu, który miałby zostać napisany przez chrześcijańskiego mnicha imieniem Ajsz lub żydowskiego rabina¹⁴. Muhammad uważnie słuchał i z tego właśnie czynią mu zarzut. Warto też wspomnieć, iż rozpowiadano, że został "zaczarowany" (sura XXV, 8). To oskarżenie musiało się powtarzać, bo zostało przytoczone w surze XVII, 47: "Wy postępujecie tylko za człowiekiem zaczarowanym!". Zaczynając nauczać, Muhammad musiał odpierać najrozmaitsze zarzuty. Klan Kurajszytów, a zwłaszcza Mahzun i Abd Shams, najwięksi wrogowie Proroka, nazywali go "szalonym, a może opętanym przez podrzędnego ducha, jak kahin (wróżbita), czarownik albo poeta" ". Religia, która kłóciła się z wiarą przodków, wzbudzała silny opór.

Wielu autorów twierdziło, opierając się na tych wersetach, że Muhammad uległ wpływom religii judeochrześcijańskich. Jeśli to prawda, choć trudno mieć co do tego pewność, jeśli ideologia judeochrześcijańska wywarła wpływ na islamską koncepcję diabła, musiała to być ideologia nowotestamentowa, bo wbrew Staremu Testamentowi Koran definiuje diabła nie jako sługę, ale jako zaciekłego wroga Stwórcy:

"Kiedy recytujesz Koran, to szukaj ucieczki u Boga przed Szatanem przeklętym!".¹⁶

Szatan, którego imię Muhammad przejął od Żydów, został nazwany "przeklętym". I rzeczywiście, jest stale przeklinany przez anioły i nękany deszczem spadających gwiazd! Tylko raz w Koranie nosi inne imię - Malik¹⁷, nawiązujące do kananejskiego Molocha. Jest jedyny, lecz bywa wieloraki, jak w surze, w której Mahomet zaklina słuchaczy, by nie dopuścili się bezbożności. Mówi: "I zaprawdę, szatani nakłaniają swoich popleczników, aby się z wami sprzeczali."Is. Opierając się na 30 wersecie sury VII jeden z odłamów mużułmańskich, mutazylici, uczyni z szatana ojca wszelkiego grzechu 19.

Koran nie przedstawia zwartej kosmologii. Chce być księgą objawioną, sięgającą do mitów już znanych, motywów w większości judaistycznych, jak eden, Gan'Eden, o którym wspomina wielokrotnie 20. Eden leży na antypodach gehenny. Także przedstawiony w Koranie opis potopu tylko w niewielkiej mierze odbiega od znanego nam z Genesis, choć arka Noego jest tam feluką, a góra, na której osiadła, wznosi się w Diyarbakir. Odnajdujemy także opowieść o Sodomie i Gomorze. Imiona znane ze Starego Testamentu powtarzają się raz po raz - Noe, Abraham, Mojżesz, Izaak, choć brzmia z arabska - Nuh, Ibrahim, Mussa, Ishak. Kuszenie w raju ulega w porównaniu z Genesis pewnej zmianie, szatan bowiem zwraca się nie do Ewy, ale wprost do Adama:

"O Adamie! Czyż mam ci wskazać drzewo wieczności i królestwo nieprzemijające?".²¹

W surze III Muhammad uznaje Torę za Prawo Boże. Wierząc w istnienie jedyne Boga, automatycznie przyjmuje się istnienie jedyne diabła. Mahomet podąża zatem drogą Zaratustry, który dokonując reformy, degraduje bóstwa towarzyszące Ahura Maździe do rangi demonów. Diabeł Mahometa to także dawne bóstwo plemienne.

Jednak w Koranie szatan i demony nie stanowią tematu żadnej fantastycznej opowieści, w jakie obfituje literatura apokryficzna. Nie współżyją z istotami śmiertelnymi, nie płodzą olbrzymów, potworów, ani sławnych ludzi. Mahomet nic nie mówi o ich hierarchii ani

intencjach. Nie opisuje ich, nie czyni pięknymi ani odrażającymi, nie sugeruje, że są zwierzętami albo roślinami, nie wyznacza im żadnego miejsca poza piekłem. Tylko raz odwołuje się do chrześcijańskiej herezji, wedle której Bóg stworzył także demony²². Szatan i jego zastępy to wrogowie AHaha i jego aniołów. Ich obecność w Koranie jest zresztą dyskretna, zło świata wspomina się tu bowiem raczej w powiązaniu z gehenną, a czasami także z edenem. Podczas gdy raj w Starym Testamencie zasilają wody czterech rzek, Ogród nawadniają czyste rzeki, płynące także mlekiem, winem (co dowodzi tolerancji Koranu wobec alkoholu) i miodem. Choć może wydać się to naiwne, islamski raj pełen jest ziemskich rozkoszy, są w nim hurysy i "nieśmiertelni efebowie", którzy usługują wiernym muzułmanom.

Wizja piekła również wydaje się bliska nowotestamentowej. Nie jest to miejsce opisywane w Starym Testamencie, gdzie dusze marnieją, lecz nie są poddawane mękom, ale "nowożytnie" piekło, spokrewnione z mazdaistycznym, które nazywa się tu "karą AHaha"²³. Dwadzieścia siedem wersetów Koranu opisuje wieczny ogień gehenny. Jak w Nowym Testamencie, do piekła trafią potępieni, po oddzieleniu przez AHaha dobrych od złych. Dobrzy pójdą do "ogrodu", źli - do gehenny, która jest "nieszczęsną przystanią dla dumnych"²⁴.

Te słowa przypominają nam Stary Testament, gdzie upadek szatana ma związek z grzechem pychy. Dumni, czyli "pyszni", nie słuchali słów AHaha przekazanych przez Proroka i jego poprzedników. Mahomet przejął starotestamentowe źródło zła, które zostało też uznane przez chrześcijaństwo. Jest nim pragnienie indywidualizmu. Należy z niego złożyć ofiarę Bogu, to znaczy AHahowi. Dążenia do indywidualizmu są z reguły szatańskie.

W ten sposób doszliśmy do podstawowego problemu: w żadnym okresie długiej przecież historii religii nie ujawnia się tak wyraźnie podłoże wiary w szatana. Wynika ono z negacji jednostki. Chrześcijanie, spadkobiercy przesiąkniętego duchem helleniskim Szawta--Pawła, nigdy nie powiedzieli tego wyraźnie, a to być może - czy raczej prawie na pewno - dlatego, że bali się szokować świat nazbyt wierny hellenizmowi. Islam obwieścił to pełnym głosem, zobowiązując wiernych do podporządkowania się Bogu. Kto nie wyrzeknie się dla AHaha indywidualizmu, grzeszy pychą i staje się ofiarą szatana.

Takie postrzeganie złego ducha czyni z islamu siostrzaną wiarę katolicyzmu. Obie religie, pomimo pozornych różnic, jedno- znacznie potępiają indywidualizm, triumfujący w czasach rewolucji francuskiej i wynoszony na piedestał przez romantyków. Wspólnym założeniem filozoficznym obu religii jest skrupowanie albo wręcz zniweczenie jednostki stojącej przed wszechpotężnym Bogiem. Ta filozofia wyjaśnia także wrogość chrześcijaństwa i obojętność islamu wobec nauki, która stanowi niewybaczalną przewinę wobec Boga. Już w II wieku p.n.e. w Księdze Henocha poddano ostrej krytyce tych, którzy podejmują próby rozszyfrowania ruchów ciał niebieskich.

Gdybyśmy zaznaczyli na mapie znanego wówczas świata miejsca, w których dokonano od średniowiecza po schyłek XVIII wieku odkryć naukowych, okazałoby się, że większość z nich przypada na kraje protestanckie. Protestantyzm pozwalał jednostce, by stanęła twarzą w twarz ze swoim Bogiem, interpretując Biblię i prowadząc bezpośredni dialog stworzenia ze Stwórcą, dzięki czemu umacniał ją, dając jednocześnie poczucie wolności. Podczas gdy w świecie katolickim nawet papieża można było podejrzewać o zawarcie paktu z diabłem, jeśli na przykład, jak Sylwester II, wynalazł zegar, to w świecie protestanckim odkrycie naukowe uznawano za przejaw łaski Boga wobec odkrywcy. Pan świata okazywał niektórym szczególną dobroć, odsłaniając przed nimi część jego tajemnic. W Sztokholmie Kartezjusza uważano za świeckiego świętego, w Paryżu Inkwizycja zaczynała się nim nadmiernie interesować (dlatego przeniósł się do Szwecji), w Rzymie uznano by go za niebezpiecznego wolnomyśliciela. Rozumiemy, dlaczego Galileusz był tak zaciekle tropiony i nie dziwią nas podstępny, do których się uciekał, by wyjść cało z opresji. Oto, dlaczego islam, podobnie jak świat katolicki, ma tak skromny udział w osiągnięciach nauki i techniki. Nauczanie Mahometa uderza surowością - ogranicza się do etyki i jest bliskie tradycyjnym religiom ludów Półwyspu, choć te nie czciły jedyne Boga. Najważniejsze z cnót to szlachetność i hojność, a wierni zobowiązani są do dawania jałmużny, która stanowi nową formę ofiary składanej Bogu²⁵. Podkreśliśmy, że ta cnota bliska jest chrześcijańskiemu miłosierdziu. Wydaje się oczywiste,

że ma ona wśród ludów Półwyspu, nomadów poddanych władzy pustyni, szczególnie długą tradycję, prawdopodobnie jednak za czasów Proroka bogaczą się warstwa kupców chętnie i łatwo zapomnieliby o niej, dlatego też jego wskazania stały się tak istotne. Uczciwość, powściągliwość, skromność, poszanowanie drugiego człowieka są cnotami szczególnie zalecanymi przez Koran. Na Półwyspie Arabskim w VII wieku "skomplikowane" diabły nie były potrzebne. Nie znano tu pokus, na które byli wystawieni mieszkańcy wielkich miast rzymskich i bizantyjskich. Pierwotnie te nakazy Koranu miały zatem charakter czysto humanistyczny. Mahomet żąda czegoś więcej niż "ćwiczenia fizyczne i wojskowe, do których przywykł arabski wieśniak. Przynależność do świata muzułmańskiego wymagała wiedzy o Objawieniu, znajomości Prawa, a w pewnej mierze także znajomości systemu, który pozwalał czerpać z Koranu i świętych wzorców zgodne z zasadami religii wskazówki" 26. Model postępowania wydaje się być prosty, przekonamy się jednak, jak złożone konsekwencje miała ta pozorna prostota. Wszystkim rządzi potęga, doskonałość i nieskończona dobroć AHaha, a odrzucenie lub lekceważenie tej władzy oznacza skazanie się na gehennę i władzę diabła.

Koncepcja jedyne go diabła, podobnie jak monoteizm Mahometa, zrodziły się z inspiracji judeochrześcijańskich. Poza mazdaizmem, który go stworzył, mit jedyne go diabła nie występuje w żadnej innej religii praktykowanej przez ludy Półwyspu. Mahomet odwołał się do niego, ponieważ uświadamiał sobie, że diabeł jest potrzebny do ustanowienia władzy centralnej, a to właśnie było celem Proroka. To on połączył wszystkie ludy żyjące poza zwierzchnictwem Sasanidów i Bizantyńczyków, wokół wspólnej wartości, jaką była ziemia, która wydała islam; ludy zwane odtąd "Arabami" - mieszkańców Afryki, Filistynów, Żydów jemeńskich, nawróconych chrześcijan, czyli "Dżordzi", Kabyłów, Traków, Macedończyków, Kurdów, Czerkiesów i innych Azjatów.

Mahomet jawi się zatem jako prorok formatu Mojżesza i jest tego świadom. Ze Starym Testamentem łączy go nie tylko religia, uważa się bowiem za następcę przywódcy plemion Izraela. Ujrzał AHaha na górze Synaj, w tym samym miejscu, gdzie Mojżesz rozmawiał ze Stwórcą²⁷. Jego kij jest laską Mojżesza²⁸ i jak on, w niemal wszystkich surach potępia bałwochwalstwo. Podobieństwo do Mojżesza, którego uznaje za prawdziwego proroka, jest wyraźnie widoczne w wielu surach, zaś to, co łączy Mahometa z Jezusem - w surze "Ozdoby".

W Europie stosunek Mahometa do Jezusa jest wyjątkowo słabo znany. Ewangeliczne wersje narodzin Jana, Zwiastowania, narodzin Jezusa są niemal wiernie przeniesione do Koranu (sura III i dalsze). Mahomet wyprzedził o blisko siedemset lat mnicha Dunsza Szkota, który rozważał problem grzechu pierworodnego Marii i opowiadał się za dogmatem Niepokalanego Poczęcia, wkładając w usta Anny, noszącej w swym łonie Matkę Jezusa, następujące słowa:

"Panie mój, Ja poświęcam Tobie to, co jest w moim łonie".

"Nazwałam ją Marią. I oto oddaję ją, ją i jej potomstwo, Tobie pod opiekę przed szatanem przeklętym!".

Poświęcona Bogu Maria nie mogła paść ofiarą szatana i uniknęła grzechu pierworodnego.

Cudowna ciąża żony Zachariasza, przyszłej matki Jana Chrzciciela, to kolejny wątek zaczerpnięty przez Koran. Zachariasz, któremu aniołowie zwiastują, iż będzie ojcem, wota:

"Panie mój! Jak ja mogę mieć syna, kiedy już osiągnąłem podeszły wiek, a moja żona jest bezpłodna?".

Także zwiastowanie Marii, przypomina wątek biblijny:

"Oto powiedzieli aniołowie: »O Mario! Bóg zwiastuje ci radosną wieść o Słowie pochodzącym od Niego, którego imię Mesjasz, Jezus, syn Marii. On będzie wspaniałym na tym świecie i w życiu ostatecznym, i będzie jednym z przybliżonych. I będzie przemawiał do ludzi już w kołysce, a także jako mąż dojrzały; i będzie wśród sprawiedliwych". Ona powiedziała: »O Panie mój! Jakże będę miała syna, skoro nie dotknął mnie żaden mężczyzna?*. Powiedział: »Tak będzie!« Bóg stwarza to, co chce! Kiedy On decyduje o istnieniu jakiejś rzeczy, to tylko mówi: »Bądź!« - i to się staje"³¹.

Mahomet który przyznaje boskie pochodzenie Jezusowi, zwanemu przezeń "Mesjaszem", nie określa siebie mianem Wybranego ani nie uważa się za istotę

nadprzyrodzoną, wyznając, że jest podatny na diabelskie pokusy. Mówią o tym stynne "Szatańskie Wersety"³². W zasadzie Mahomet odchodzi od rzymskiego chrześcijaństwa tylko w dwóch kwestiach - wcielenia i faktycznego ukrzyżowania Jezusa. Wiemy, że także niektórzy chrześcijanie nie godzili się z tą doktryną i w ten sposób powstawały herezje.

Możemy więc zapytać, jaką oryginalną myśl wniósł do teologii Mahomet i dlaczego jego nauka spotkała się z tak silną wrogością, odnosząc następnie tak wielki sukces. By odpowiedzieć na to pytanie, przytoczymy słowa Napoleona: "Mahomet wzbudza podziw, ponieważ w dziesięć lat podbił połowę globu, podczas gdy chrześcijaństwo potrzebowało trzech stuleci, by okrzepnąć"³³. Głosząc Objawienie tak bliskie judaizmowi i chrześcijaństwu, odrzucił obie te religie, które miały przecież własnych proroków i własne korzenie, dla niego zaś stały się bezcennym oparciem. Wiemy, jak uzasadniał ich odrzucenie - żadna z nich nie przekazała wiernie prawd objawionych, choć ich prorocy byli ludźmi prawymi.

Warto przez chwilę zastanowić się, jaki był świat współczesny Mahometowi. Na Wschodzie - Bliskim i Środkowym, w basenie Morza Śródziemnego - dominowały dwie potężne religie: perskiego Imperium Sasanidów, rozpościerającego się pomiędzy Eufratem a Indusem, czyli mazdaizm, oraz religia Cesarstwa Bizantyjskiego, które sięgało od południowych rubieży Hiszpanii po Armenię, Syrię i Egipt, nie zapominając o Lazyce, niewielkiej enklawie na wschodnim wybrzeżu Morza Czarnego. Ziemię dwóch imperiów stykały się ze sobą. Tuż za granicami Cesarstwa Bizantyjskiego rozpościerały się królestwa Ghaznawidów, Lachmidów oraz Sasanidów. Półwysep Arabski był ośrodkiem zainteresowania obu imperiów, tamtędy bowiem wiodły ważne szlaki handlowe. Pod panowaniem Persji znalazła się Arabia Południowa, Jemen i Hadramaut, a jej wpływy sięgały aż po Arabię Wschodnią. Bizancjum kontrolowało Północ, Synaj, Palestynę, obszar dzisiejszej Jordanii, Syrię i Liban. Ale styl życia na obszarach "zewnętrznych" odbiegał znacznie od obyczajów mieszkańców cesarstw, i to zarówno z przyczyn geograficznych, jak ze względu na organizację plemienną tamtejszych ludów (w Bizancjum i Persji urbanizacja dawno już wchłonęła plemiona). Dlatego na Półwyspie Arabskim istniało obok siebie tak wiele religii, podczas gdy w Bizancjum od czasów Konstantyna religią państwową było chrześcijaństwo, a na obce wierzenia spoglądano niechętnie.

Mahometa szczególnie interesować musiał fakt, że religie obu imperiów były monoteistyczne. Odtąd świat należeć miał do monoteizmów, a potęgi handlowe i militarne, które one stworzyły, były nieporównanie większe od kilku istniejących jeszcze państw politeistycznych. Oczywiście to, że obserwując ludy, z którymi zetknął się w czasie podróży, Mahomet zrozumiał, iż wielkie cywilizacje zmiernają ku religiom monoteistycznym, nie umniejsza jego geniuszu. Zapewne także spotkania z tajemniczymi mnichami, hanifami, nauczyły go, czym jest tradycja islamska.

Hanifów jesteśmy skłonni wyobrażać sobie jako anachoretów zatopionych w rozmyślaniach i przenikniętych duchem Słowa, czasami natchnionych, jak Bahir, który rozpoznał w Mahomecie wysłannika Boga. Ich religie kojarzy się z Mitrą, Jezusem,

Mojżeszem, Buddą. Stykając się z sąsiednimi ludami wchłonęli idee religii monoteistycznych - mazdaizmu, judaizmu i chrześcijaństwa, ale mieli też własne legendy i tradycje; wyraźnie piętno wycisnęły na nich także różne odmiany gnostycyzmu i nestorianizm. Dokonywali reinterpretacji tych nurtów, utożsamiając Jezusa z Mitrą albo Heraklesem, mimo to jednak sławili Boga jedyne, którego stworzyli z "kawałków" różnych postaci, tak jak artyści z Rawenny tworzyli Chrystusa Pantokratora z różnokolorowych szkiełek. Żywiący się miodem i daktylami, byle ogarek uznający za cudowny dar, ci ludzie, którzy czasem ledwie umieli czytać, byli jednak prekursorami islamu, biła od nich bowiem niezwykła siła duchowa.

Świat islamu pełen był znaków, i choć zapuszczam się tu w spekulacje, moim zdaniem Koran wielokrotnie podkreśla, iż Allah daje ludziom wyraźne znaki.

Skąd wzięło się nowe imię Boga? Nie wiadomo. Trudno nie zauważyć, że mandejczycy i sabejczycy, których Mahomet potępia, określali mianem Alaha "fałszywe bóstwa" obcych, swego Boga nazywając "Wielkim Mana"³⁴. Al Aha znaczy po aramejsku "bóg". Odrzucenia jego imienia nie wyjaśnia zatem etymologia słowa i trzeba przyjąć, że był on bogiem innej sekty, nie wiadomo jednak, której. Możemy tylko przypuszczać, że Mahometa urzekła prostota słowa "bóg". Oczywiście - Bóg jedyny.

Nauki Mahometa natrafiły na silny opór, zaburzały bowiem tradycyjny ład: "Arab - poganin musiał ulec porządkowi społecznemu, który regulował między innymi jego stosunki z bóstwami, ale obrzędy religijne nie miały tu większego znaczenia", pisze von Grunebaum³⁵. Mahomet narzucał nowy rodzaj duchowości i nowe wymogi etyczne, które burzyły wygodną swobodę, rozbudzając ponadto nieodzowną świadomość religijną i wymuszając znajomość nowych dogmatów.

Dlaczego więc islam zatriumfował i to - jak zauważył Napoleon - tak szybko? Pomiedzy zbrojnym zdobyciem Mekki przez

Mahometa (11.01.629, to znaczy w czwartek, 20. dnia miesiąca Ramadan 8. roku hidżry), a drugim zwycięstwem, czyli triumfalnym wkroczeniem kalifa Omara do Damaszku, poprzedzającą długą serię zbrojnych sukcesów (zwycięstwo nad Persami pod Ktezyfonem w roku 637, podbój Mosul w 639 r. i Egiptu, zdobycie Kabulu, Buchary i Samarkandy w latach 661-675, upadek wizygockiego królestwa Rodryga w roku 713), upłynął niespełna wiek. Jedno stulecie starczyło, by neofici obalili należące do najpotężniejszych państw świata Imperium Perskie, choć jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej nie marzyli nawet o wytyczeniu szlaku dla karawan przez groźną pustynię. Islam ogarnął Bliski, a potem Daleki Wschód i Zachód, niczym ogień trawiący polacie wyschniętej trawy.

Nie więcej czasu trzeba było, by inne wielkie imperium, noszące dumną nazwę Cesarstwa Wschodniorzymskiego, utraciło część wpływów i terytoriów. Podobnie zresztą, jak Cesarstwo Zachodnie, któremu wielkie obszary wydarli już barbarzyńscy najeźdźcy, a teraz straciło na rzecz muzułmanów Hiszpanię. Dopiero w Poi-tiers, w roku 732, a zatem dokładnie sto lat po śmierci Mahometa, pewien majordomus zwany Karolem Młotem, zdołał powstrzymać napór islamu, pokonując arabskie wojska dowodzone przez słynnego Abd ar-Rahmana. Do tego czasu zwyciężali Arabowie. Ale islamska epopeja osiągnęła punkt kulminacyjny. Jej apogeum miało potrwać jeszcze siedem stuleci. Potem nadszedł okres schyłku.

Tymczasem jednak nowa religia była niesłychanie prężna. Jednym z jej najistotniejszych celów w VII stuleciu było wzbogacenie ludności Półwyspu. Przekonaliśmy się na przykładzie starożytnego Rzymu, że wraz z poziomem życia rosną aspiracje intelektualne. Pogaństwo, czasem pozbawione wyrazu i mocy, a także wynaturzone herezje, nie wystarczały zasobnym kupcom, znużonym lokalnymi obrzędami. Sprzeczne z duchem epoki, nie były też w stanie dorównać imponującej sile religii Cesarstw

- Bizantyjskiego i Sasanidzkiego. Dlatego wynik walki Kuraj-szytów z ostatnimi uczniami Mahometa był z góry przesądzony.

Pierwsi muzułmanie z pewnością oceniali siłę i słabości obu imperiów. Połączenie podziwu i pogardy, cechujące stosunek islamu do Bizancjum, wyraża się jednoznacznie w słowach arabskiego autora, Al-Dżahiza, żyjącego w IX wieku:

Z zainteresowaniem spoglądaliśmy na Bizantyjczyków [Rumów], widzieliśmy, iż parają się medycyną, filozofią i astronomią. Obeznani z muzyką, potrafią komponować melodie i ze swobodą poruszają się w świecie ksiąg. Są też wspaniałymi malarzami... Ich architektura różni się od architektury innych ludów. W rzeźbie i sztuce wieńczenia budowli nikt im nie dorówna... Bez wątplenia obdarzeni są niezwykłym [wyczuciem] piękna, opanowali arytmetykę, astrologię i kaligrafię, są wytrwali [odważni] i obdarzeni licznymi talentami. Murzyni i podobne im ludy nie odznaczają się inteligencją, i wszystkie te zalety są wśród nich wielce rzadkie³⁶.

Nawet kiedy islam zatriumfował, muzułmanie z podziwem spoglądali na Bizancjum. Dlaczego zatem nie przejęli religii Cesarstwa, tak bliskiej ich własnej? Al-Dżahiz wyjaśnia:

Wbrew temu wierzą, iż bogów jest trzech, dwaj skryci, a trzeci widzialny, niczym lampa, której potrzeba oliwy, knota i naczynia, które napełnia się oliwą. To samo [ich zdaniem] dotyczy istoty bogów. Utrzymują, że stworzenie stało się stwórcą, niewolnik panem, istota nowo stworzona istotą z natury niestwarzalną... Uważają więc, że to, co ich spotyka, nie ma znaczenia i nie szczyciliby się swymi poczynaniami, te bowiem nie miałyby dla nich znaczenia, gdyby nie przypatrywał im się ich Bóg. Gdy proszą o wybaczenie, dopuszczają się rzeczy gorszej od zbrodni!.

A zatem to dogmaty Trójcy Świętej i Wcielenia najbardziej rażą muzułmański

monoteizm. Mimo to Bizancjum wciąż fascynowało wyznawców Proroka, nawet umiarkowanych, a byli pośród nich chrześcijanie, heretycy, odszczepieńcy i Żydzi, uważani za obywateli drugiej kategorii. W pierwszych wiekach na islam nawróciło się bowiem wielu chrześcijan i Żydów. Jakże zresztą nieosiągalny splendor i potęga Bizancjum miałyby ich nie zachwycać? A dzięki islamowi mogli wziąć udział w tworzeniu potęgi zdolnej rywalizować z Bizancjum, mogli dorównać Bizan-ryjczykom. Nie zawiedli się.

Ta fascynacja wrogiem może wydać się dziwna, trudno też zrozumieć apostazję. Dla ułatwienia więc wspomnijmy o zamiłowaniu europejskiej burżuazji schyłku XIX i początku XX wieku do egzotyki, które skłoniło ludzi od kilkudziesięciu lat pławiących się w dostatku do szukania wrażeń poza własnym krajem. Za modą na "japonizm", wylansowaną przez braci Goncourt przyszła fascynacja kulturami "prymitywnymi". We Francji wystawy sztuki kolonialnej zrodziły modę na "afrykanizmy" i zainteresowanie Oceanią. W Niemczech odkrycie sztuki Nowej Gwinei-Papui, dawnego archipelagu Bismarcka, wywołało szok, który dał początek niemieckiemu ekspresjonizmowi Brucke'a i Blaue Reiter. Paryskie sukcesy rosyjskich baletów, sztuki afrykańskiej, jazzu, a wreszcie dalekowschodniego mistycyzmu (interpretowanego z fantazją między innymi przez Gurdżijewa), to tylko wyraz owego bowaryzmu. Po okresie dominacji wartości narodowych, czyli nacjonalizmu lat kryzysu, wraz z powrotem prosperity ożyły zainteresowania obcymi religiami, szczególnie buddyzmem, hinduizmem, religiami chińskimi i japońskimi, które dotarły tu okrężną drogą przez Kalifornię.

Apostaci pierwszych wieków islamu ulegli analogicznym tendencjom. Podziwiali religię zwycięzców, wabiącą blaskiem złota i czarem młodości.

Społeczności, które tworzą państwo, w nieunikniony sposób zmierzają ku centralizacji religii wokół jednego Boga. W dwanaście stuleci później, mimo głębokiej awersji do chrześcijaństwa, tradycyjnie utożsamianego z władzą królewską opierającą się na prawie boskim, rewolucjoniści z roku 1789 będą podążać tą samą drogą, dokonując jedynie substytucji językowej i imię Bóg zastępując słowami "Istota Najwyższa", co przecież oznacza dokładnie to samo. Odrzucając ideę boga immanentnego, ustanawiającego etykę i moralność, podważyliby wszak ideę państwa. A wodzowie rewolucji francuskiej dobrze znali filozofię i nie mogli podjąć takiego ryzyka. Potrzebowali diabła.

Nie umniejszamy geniuszu Mahometa, podziwiając jego zdolności polityczne. Historia jego zwycięstw dowodzi, że doskonale rozumiał istotę polityki. Dla historyka jest to podwójne objawienie. Mahomet dokonał dzieła, którego źródłem była inspiracja mistyczna oraz świadomość polityczna. Być może intuicja Mahometa wyprzedzała jego rozumowanie. Przytoczmy w tym miejscu fragment wiersza "Wzlot duszy" mistyka i męczennika muzułmańskiego, Husajna Al-Halladża:

"Okiem nauki moje spojrzenie odkryło czysty sekret mej medytacji. Świątełko rozbłysło w mej duszy, jaśniejsze niżli wszelka uchwytna myśl, i zanurzyłem się w falach refleksji, sunąc przez nie niczym strzałą".

Powszechnie przyjmuje się fakt, że tworząc religię, Mahomet stworzył naród i że ten naród wytworzył następnie państwo. Nie dokonałoby się to bez islamu.

Podobnie jak w przypadku zoroastryzmu, pierwszej totalitarnej teokracji, diabeł stał się urzędnikiem państwowym. Był przecież także gwarantem islamskiego prawa. Ktokolwiek złamał to prawo, wpadał w jego szpony.

Od tego czasu wojny religijne stały się nieuniknione. Początkowo nazywano je krucjatami.

* Ahmadijje wierzą, że Jezus nie umari na krzyżu, lecz wywędrował do Indii i tam został pochowany.

* Astarte w Grecji zostanie uznana za patronkę miłości, godną następczynię prehistorycznego bóstwa płodności, i to pod jej skrzydłami w świątyniach kobiety oddawać się będą rytualnej prostytucji, jednak średniowieczna tradycja chrześcijańska dojrzy w niej diabła, i pod tym imieniem będzie występowała w wielu tekstach demonologicznych.

Czasy współczesne - Bóg nienawiści i nihilizmu

O diabelskich podszeptach i zbrodniach prawdziwych lub fałszywych, popełnianych w imię diabła - O przestrogach amerykańskiej policji

- O satanizmie, jego ataku na kulturę i znaczeniu politycznym

- O nihilizmie, do którego prowadzi - O sianiu nienawiści - O cieniu diabła nad światem Zachodu.

Burzliwy XX wiek przyniósł rozszczepienie jądra atomu, stworzył bombę nuklearną i raz po raz wstrząsał żywymi istotami, nazywanymi ludźmi. Odkrycia genetyki pozwoliły ingerować w rozwój żywego organizmu już w najwcześniejszych stadiach jego rozwoju. Swoboda seksualna pozbawiła znaczenia jeden z najcięższych grzechów głównych. Rewolucje i kontrrewolucje skłaniały do ciągłych zmian obozu oszołomionego i zdeorientowanego nieustannym szumem informacyjnym szatana, któremu w średniowieczu i późniejszych wiekach pozwalano zamieszkiwać w przestworzach. W erze telewizji, radia, telekomunikacji, w silnym polu elektromagnetycznym, ta nieszczęsna istota musiała już chyba wyzionąć ducha.

A jednak są tacy, którzy wciąż polują na diabła. Najbardziej zaskakujący wydaje się fakt, że dla amerykańskich policjantów szatan jest ciągle żywy. W roku 1989 oficer policji z Idaho, Lany Jones, wydawca pisemka File 18 Neusietter, pisał;

"W konfrontacji z przestępcami pozostającymi we władaniu pierwiastka nadprzyrodzonego, złowrogich istot lub filozofii, tradycyjne metody działania policji okazują się nieskuteczne. Kiedy policjant staje twarzą w twarz z księciem mroku lub jego pomocnikami, lepiej, by miał przy sobie »bicz na szatana«, a także wszelkie chroniące przed nim przedmioty oraz wsparcie duchowe... Chrześcijańscy oficerowie policji są najlepiej przygotowani do walki z szatańskimi zbrodniami" *.

Część amerykańskich policjantów uważa, że do "satanistów", to znaczy czcicieli szatana, należą członkowie rodzin, które od pokoleń z podszeptu diabła, porywają dzieci i niemowlęta, mordują i gwałcą. Według "znawców" kultów satanistycznych, tajna, międzynarodowa sieć, odznaczająca się doskonałą organizacją i wyraźną hierarchią struktur, ponosi co roku odpowiedzialność za pięćdziesiąt tysięcy zabójstw. Rodziny satanistów miałyby wychowywać pewną liczbę niemowląt przeznaczonych na ofiarę, która wyzwala pierwotne siły, "wspomagające" energię uczestników obrzędu. Tak przynajmniej twierdzą policyjni eksperci.

"Nic się nie zmienia", powiedział Czechów. Przynajmniej od czasu ponurych inkwizycyjnych procesów i czarownic z Salem. A jednak diabeł odmienił tych, którzy w niego wierzą, a może też wielu spośród tych, którzy weń nie wierzą. Szczególnie jaskrawy przykład jego oddziaływania stanowi to, co można by nazwać prymitywnym satanizmem. I właśnie to zjawisko niepokoi amerykańskich policjantów.

Za jedną z form kultu satanistycznego ci sami policjanci uznają pornografię dziecięcą. Dzieci pozostawione w niektórych przedszkolach są uprowadzane przez satanistów do miejsc kultu, tam zaś zmuszane siłą do położenia się w trumnach i spuszczone do grobów. Uczestnicy mieliby zasypywać je ziemią, potem zaś mistrz ceremonii wydobywałby je z trumien i gwałcił. Po zakończeniu uroczystości odwożono by je do przedszkoli.

Wydawałoby się, że takie niedorzeczności może wymyśleć tylko chory umysł, ale przecież są to poglądy wygłaszane przez amerykańskich oficerów, na przykład podczas seminarium na temat zbrodni rytualnych, 13 września roku 1988 w Petersburgu w Wirginii. Pozostaje więc uznać, że takie pomysły zrodziły się w innej chorej głowie, lecz myśląc tak, popełnilibyśmy błąd, zaczerpnąłem je bowiem z obszernego dzieła Roberta D. Hicksa, amerykańskiego oficera policji, opublikowanego pt. W poszukiwaniu szatana, a przedstawiającego największe troski i problemy części jego kolegów. Wydawca książki, Prometheus Books, utrzymuje kontakty z organizacją amerykańskich racjonalistów, której cel stanowi walka z obskurantyzmem. Organizacja ta wydaje miesięcznik The Skeptical Enquirer, który systematycznie i w sposób naukowy ośmiesza poglądy głoszone przez wszelkiego rodzaju okultystów i szaleńców. Jako zastępca redaktora naczelnego Science and Vis miałem okazję współpracować z redakcją Skeptical Enquirer, przede wszystkim z Paulem Kurtzem, w sprawie Całunu Turyń-skiego i Jamesem Randim w

związku z "pamięcią wody", zaskakującą formą satanizmu scientystycznego.

Jeżeli istniałyby jakiegokolwiek powody, by sądzić, że diabeł istnieje, to dostarczałyby ich właśnie relacje "ekspertów do spraw kultów satanistycznych", czyli oficerów policji. W opowieściach tych uwidoczniają się rozmaite perwersje i obsesje seksualne. Trzeba chyba zatracić poczucie rzeczywistości, żeby twierdzić, jakoby dzieci były regularnie przewożone samolotem w miejsce kultu satanistycznego, tam gwałcone, a nawet mordowane, zaś te, które przeżyły straszliwą ceremonię, odwożone na czas do przedszkola. Czy to możliwe, by wszystkie milczały? Czy nigdy żadna z matek nie przyszła po swoją pociechę wcześniej i nie zaniepokoiła się jej nieobecnością? Czy żadna nie dostrzegła, że dziecko jest zabrudzone ziemią i potwornie wystraszone? Czy żadne dziecko nie poskarżyło się, nie protestowało, wracając nazajutrz do makabrycznego przedszkola, do opiekunek, które kazały mu kłaść się w trumnie? Czy żadna z matek nie zgłosiła policji zaginięcia dziecka? Kim jest ów "wielki kapłan", zdolny zgwałcić jedno po drugim kilkadziesiąt dzieci?

W odpowiedzi na takie rewelacje miałyby się ochotę powiedzieć, że część amerykańskich policjantów cierpi na zaburzenia umysłowe i należy poddać ich badaniom psychiatrycznym lub skierować na wcześniejszą emeryturę. W ten sposób sprawę uznalibyśmy za zamkniętą. Nie jest to jednak takie proste, bo w owych opowieściach o satanizmie i gwałceniu dzieci tkwi ziarno prawdy. Relacje policyjne budzą sprzeciw, bo właśnie one zdają się świadczyć o realnym istnieniu diabła, to zaś tylko umacnia wiarę satanistów. Niestety policja amerykańska nie różni się od policji innych państw. Pewien emerytowany sierżant z Nowego Meksyku, Paул Jasier, relacjonuje historię trzynastoletniego chłopca, który pod wpływem rock and rollowej piosenki Opętany wmówił sobie, że jest wtajemniczonym satanistą. Potem przekonał samego siebie, że doznał szatańskiego objawienia. Szatan nakazał mu zabić kochankę matki. Dziecko próbowało przełamać odrazę i popełnić odrażający w jego oczach czyn, bo do tego obligowała go "wola" wytworzonego przez jego umysł szatana. "Było tak, choć może trudno w to uwierzyć"², pisze Jasier. Tego rodzaju przypadki stały się tak częste, że trójka amerykańskich socjologów poświęciła im odrębne opracowanie³. Waga problemu sprawiła, że wkrótce zajęli się nim kolejni badacze.

U.S. Department of Health and Human Services * informował, że w 1988 roku 1,1% chłopców i 3,9% dziewcząt, a zatem łącznie 155 300 dzieci padło ofiarą przemocy seksualnej. Alarmujący jest fakt, że liczba tych przypadków wzrosła trzykrotnie od 1980 do 1986 roku. Problem z pewnością nie dotyczy wyłącznie Stanów Zjednoczonych. Wykorzystywanie seksualne nieletnich jest zjawiskiem słabo zbadanym w innych częściach świata, toteż nie wiemy, jaka liczba dzieci padła ofiarą pedofilów w krajach europejskich. Czasami zdarza się szczególnie odrażający czyn i zasłona unosi się nagle, ale na krótko. Przez pewien czas padają liczby, ale rychło ten odrażający temat idzie w zapomnienie, a społeczeństwo oddycha z ulgą. Wiemy, że istnieje system rozprowadzania pism dla pedofilów, że są patologiczne jednostki, które atakują dzieci. Tyle, że szatan nie ma z tym nic wspólnego.

W Stanach Zjednoczonych popularny jest pogląd nie znajdujący zwolenników w innych krajach, jakoby pedofilia i pederastia były domeną satanistów. Marti Johnston, która uczestniczyła w satanistycznych rytuałach twierdzi, że przez dziesięć lat była wykorzystywana seksualnie, kiedy zaś dorosła i przestała interesować czcicieli szatana, wyniesiono ją do rangi kapłanki, a potem wielkiej kapłanki dwóch kół satanistycznych. Oświadczyła: "Byłam świadkiem złożenia w ofierze ośmioletniej dziewczynki, która została wprowadzona z okolic Harris Country w Teksasie".

Marti Johnston szczegółowo opisała zbrodnię, informując, że dziewczynkę poddano działaniu narkotyków, choć jej szeroko otwarte oczy były pełne przerażenia, gdy zabijano ją powoli w obecności innych dzieci⁴. Trudno stwierdzić, czy Marti Johnston naprawdę widziała, czy tylko była przekonana, że widzi to, co opisuje, zwłaszcza że jej zdaniem w promieniu pięciuset kilometrów od sześciotysięcznego teksańskiego miasta, Tomball, istnieje około stu grup satanistycznych. Poszukiwana przez policję jako świadek zbrodni popełnionej z zimną krwią, zniknęła, utrzymując, że ścigają ją także sataniści, i że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Możliwe, że Marti jest zwyczajną mitomanką, która straszliwie przesadziła, relacjonując przebieg niewątpliwie odrażających orgii, jednak pojawili się kolejni świadkowie. Na przykład Joan Christianson opisała podobne czyny, a

jej relacja jest tak drastyczna, że wolę odesłać zainteresowanych do książki Hicksa. Twierdzi ona, że po złożeniu publicznego oświadczenia odebrała 10 760 telefonów z pogrozkami, co ma świadczyć o prawdziwości jej stów, a także o liczbie wyznawców szatana. Podanie liczby telefonów z taką dokładnością budzi nieufność, trudno też uwierzyć kobiecie, która mówi, że zmuszono ją do donoszenia pięciu ciąż, a następnie zjedzono serca jej dzieci. Znane są także przypadki "Glorii" i "Cheryl", które wystąpiły w programie Geraldo Rivera w roku 1988. Cheryl miała zostać zgwałcona w wieku dwunastu lat, następnie zaś urodzić dziecko, które jej własny ojciec, satanista, złożył w ofierze w obecności położnika.

Słuchamy tych opowieści, w które wprost nie sposób uwierzyć, skłonni jesteśmy uznać Stany Zjednoczone za kraj owładnięty szaleństwem, gdzie lekarze pozbawieni są sumienia, etyki i poczucia odpowiedzialności, a setki, może tysiące ludzi nie mają szans, by wyrwać się z kręgu satanistycznego obłądu. Ludzie ci pracują, codziennie stykają się ze współpracownikami, pracodawcami, sąsiadami, klientami, mają do czynienia z normalnym światem, gdzie matki karmią niemowlęta, zamiast wbijać im w pierś odwrócony krzyż, gdzie chłopcy i dziewczynki wiedzą, co to pieśczoła rodziców i bliskich, lecz nie mają pojęcia, czym jest gwałt podczas makabrycznej ceremonii.

Choćby najbardziej pobieżna znajomość psychologii i psychiatrii pozwala sądzić, że patologiczne jednostki (a przynajmniej część z nich), powinny zbuntować się przeciw ohydzie tego, co uczyniły lub czego były świadkami. Trudno uwierzyć, by wśród setek, a może tysiące zamieszanych w sprawę osób nie znalazło się kilku gotowych zdradzić współników i zniszczyć w ten sposób siatkę satanistyczną. Już to wystarcza, by powątpiewać w niesamowite opowieści psychotycznych, zdeprawowanych kobiet, które ludzko przypominają historyczki Charcota. Część z nich dopuszczała się coraz gorszych występów, by na koniec - po tym, jak uczestniczyły rzekomo w czarnych mszach i ceremoniach, gdzie zbiorowo uprawiano nekrofilii i kanibalizm - podawać się za "nawrócone" chrześcijanki.

Takie chrześcijanki zmieniały szatana na Jezusa tylko po to, by wciąż mieć pana. Psychiatra dostrzegłby tu skrajną niestabilność uczuciową, u której podłoża tkwią zaburzenia osobowości i słaby charakter.

Innymi słowy, przekonania religijne satanistów, nawet nawróconych, mogą budzić podejrzenia, a ich zeznania nasuwają wiele wątpliwości.

Wydawałoby się, że nie ma w tym nic nowego. W minionych wiekach we Francji dochodziło do wybuchów społecznych, powodowanych przez pogłoski o składaniu w ofierze dzieci. W roku 1750 doszło do zamieszek w Paryżu a ich powodem były doniesienia o porwaniach dzieci dokonywanych przez policję. W najuboższych dzielnicach, od Bastylli po Tuileries, połała się krew. W okrutny sposób zgładzono "winnego", podoficera nazwiskiem Labbe, a jego zwłoki porzucono przed rezydencją szefa policji Nicolasa-Rene Berryera. Berryer, człowiek "nieodpowiedzialny i brutalny", wydał policji rozkaz "oczyszczenia" ulic z włóczęgów, żebraków, a przede wszystkim z dzieci biedoty. Wśród ludu rozeszła się pogłoska, że aresztowania nastąpiły z woli Ludwika XV i tak zrodziła się legenda o składaniu dzieci w ofierze po to, by zdobyć krew potrzebną do uzdrawiających kąpeli dla samego władcy lub może ciężko chorego dworzanina⁵. Mit o zbawiennej mocy krwi był zatem ciągle żywy!

Wydaje się, że pamięć zbiorowa w okresach kryzysów społecznych ożywiła mit o poświęcaniu życia dzieci przez zaślepionych despotów. Podobna sytuacja zrodziła o wiele szerzej znany mit o dokonanej na rozkaz Heroda Wielkiego i opisanej przez ewangelistów rzezi niemowląt w Palestynie. Mity amerykańskich satanistów ujawniają więc zapewne kryzys zbiorowej mentalności.

Mówiąc o zamieszkach z roku 1750, nie obwiniano satanizmu, choć francuskiej wyobraźni zbiorowej szatan nie był ani obcy, ani obojętny, czego dowodzi działalność wyznaczona w roku 1679 przez Ludwika XIV komisji śledczej, występującej w sprawach o otrucie, satanizm i gwałty wytaczanych nawet przeciwko duchownym. Przy okazji wspomnijmy, że sala, w której zasiadał ów trybunał, zwana także Salą Trucizny, była obita czarną tkaniną, jak izby, w których odprawiano czarne msze. Prześladowca zawsze stara się oddać charakter prześladowanego, oskarżyciel - oskarżonego, a kto wierzy w diabła, sam też jest diabłem. Wielu francuskich szlachciców zawleczono do tej posępnej

sali, choć trafiło tam również kilka megier z wyższych sfer, wykołajeńców pokroju Brinvilliersa, la Yoisina i księdza Guibour-ga, satanistów, trucicieli, spiskowców żądnych władzy i pieniędzy, ludzi nieokiełznanych lub pragnących czym prędzej sięgnąć po spadek. Wierzyli w diabła i przy jego wsparciu chcieli zaspokoić żądze seksualne, zdobyć pieniądze lub władzę. Zostali skazani.

Sprawa Trucicieli przyciąga naszą uwagę, ponieważ po roku 1682 Ludwik XIV, być może przerażony tym, czego się dowiedział, kazał spalić znaczną część archiwów i materiałów dowodowych z tych procesów. Gdyby sędziowie okazali posłuszeństwo Temidzie, w ręce kata należałoby oddać wielu szlachetnie urodzonych. Ludwik XIV ograniczył się do "przykładowego ukarania" najbardziej szalonych i zdeprawowanych; resztę informacji uznano za "plotki". Wiele z nich z pewnością zawierało tylko oszczerstwa, ludzie wykazują przecież bezgraniczną pomysłowość w oczernianiu bliźnich, a Jezus nie był pierwszą ofiarą człowieczej podłości. Każdy, komu w XX w. dane było przejrzeć własną kartotekę, musi być zdumiony subtelną mieszaniną niedyskrecji, braku życzliwości i inwencji, utrwalaną przez policyjnych protokolantów.

Współczesna policja amerykańska twierdzi, że nie wiedziała o przypadkach tajemniczego znikania dzieci. A przecież pięćdziesiąt tysięcy dzieci znikających każdego roku powinno chyba zwrócić czyjąś uwagę. Niezależnie dziennikarze podejmowali drobiazgowo śledztwa, starając się potwierdzić zeznania osób podających się za świadków satanistycznych obrzędów⁶. Konkluzja była jednoznaczna - były to zmyślenia, mające wstrząsnąć społeczeństwem, zbyt łatwo dającym wiarę doniesieniom o satanizmie. Śledztwo policyjne, które w roku 1987 objęło trzydzieści sześć przedszkoli, zakończyło się przedstawieniem zarzutów dziewięćdziesięciu jeden osobom, ale zapadło tylko dwadzieścia jeden wyroków skazujących za występki, nie mające związku z szatanem i satanizmem⁷.

Innymi słowy, czasami rzeczywiście dochodzi do czynów, które wywołują pogłoski i niepokój, ale szatan jest tu tylko pretekstem.

Nie przeoczmy jednak realnego zagrożenia - wkroczyliśmy przecież w domenę perwersji, gdzie chęć czynienia zła pobudza chore wyobraźnię, co może doprowadzić do narodzin jego kultu. Patologie naśladowcze znane są psychologii, a słaba psychika skłonna jest przyjąć podsunięty lub narzucony schemat zachowania, zwłaszcza w przypadku zachowań nagannych. Dlatego na przykład wybuchają "epidemie" samobójstw następujących po wyświetleniu odcinka serialu, w którym bohater odbiera sobie życie⁸.

Jeden z najbardziej odrażających przestępców w dziejach Stanów Zjednoczonych, "Son of Sam", czyli David Berkowitz, seryjny morderca kobiet z Queens, którego zbrodnie wywołały istną psychozę strachu i przez wiele miesięcy stanowiły jeden z głównych tematów zajmujących prasę, napisał do nowojorskiej policji list, oświadczając: "Jestem potworem, Belzebubem, Belzebudem, grubym Behemotem [sic!]". Nie zamierzamy twierdzić, iż nie znając "Belzebuba" czy "Belzebuda", ani Behemota, jak zwano \$ szatana, ów patologiczny osobnik nie dopuściłby się zbrodni, wolno nam jednak przypuszczać, że fascynacja diabłem wpłynęła na jego osobowość i pchnęła go do morderstw.

Zdeprawowany, anormalny mężczyzna przeczytał gdzieś, że istnieje szatan-Belze-bub-Behemot i nie wiedząc nawet dokładnie, co oznaczają te imiona, wmówił sobie, że jest przedstawicielem owej potęgi. Tak dzieje się z poniżanymi i odtrącanymi. We wspaniałym filmie etnograficznym Szaleni władcy Jean Rouch pokazuje mieszkańców Ghany, którzy przez stulecia zmuszani znosić arogancję angielskich kolonizatorów, postanowili wziąć odwet za swoje upokorzenia - odprawiali magiczne, satanistyczne obrzędy i składali w ofierze, a następnie zjedli psa, którego uważali za "święte zwierzę Anglików".

Pieszczoszka białych dam duszących się w tropikach, pudła wychowanego w nienawiści do zapachu czarnych. Osobiście zetknąłem się ze zwierzęcym rasizmem w Egipcie, gdzie psy przejmowały niechęć białych do "Arabów", choćby ci nosili europejskie stroje.

Tak oto satanizm wykracza poza obszar kryminologii, stając się zjawiskiem socjologicznym. Szatan stał się bohaterem pokonanym. Właśnie to tłumaczy potworny mord dokonany na aktorce Sharon Tąte, żonie Romana Polańskiego, i gościach, przebywających tamtego wieczora w jej willi Cięło Drive w Los Angeles. Nienawiść pokonanego do zwycięzców dała o sobie znać, ożyła phtorws, której tak bardzo obawiali się Grecy. Sharon Tąte była młoda, piękna, stawna, lubiana, była żoną odnoszącego

sukcesy reżysera. Charles Manson, szaleniec prowadzący za sobą grupkę furii, które widziały w nim swego guru, wtargnął do jej domu i bez żadnego powodu wymordował wszystkich obecnych, a potem palcem unurzany w krwi ofiar wypisał na ścianach pełne nienawiści słowa. Skazany na dożywocie Manson w więzieniu nadal bawi się w "satanistę".

Nie jesteśmy w stanie przytoczyć na kartach tego rozdziału wszystkich podobnych zbrodni, wydaje się jednak, że mit szatana służy często jako pretekst osobnikom dopuszczającym się przestępstw o charakterze pornograficznym, sadystom i jednostkom zdeprawowanym, które powinny trafić do zakładów psychiatrycznych. Satanizm staje się oparciem dla mitomanów. Pewien pastor z Wirginii, oskarżony o wykorzystywanie seksualne jednej z parafianek, powołał się na zgubny wpływ diabła. Kobieta opowiedziała pastorowi, że była świadkiem złożenia w ofierze dziecka i zjedzenia jego ciała. Wnikliwe śledztwo przeprowadzone przez policję wykazało, że było to klasyczne zmyślenie, zaś parafianka wymyśliła całą historię, żeby zwrócić na siebie uwagę kapłana, który następnie po prostu nie zdołał opanować męskiego pożądania. Krótko mówiąc, satanizm daje różnorodne możliwości działania mitomanom.

Są to jednak tylko drobne incydenty, zaś szatan jest tu przede wszystkim wyrazem lęków pokonanego, o czym przekonaliśmy się, wspominając dzieje Syna Sama.

Oprócz tego istnieje satanizm, którego imperium jest znacznie większe i który, przynajmniej na pierwszy rzut oka, niewiele ma wspólnego z perwersyjnymi skłonnościami seksualnymi. Jest raczej swoistą religią a rebours, prawdziwym kultem szatana. Kulty te, bo jest ich wiele, przybierają pozory religii, tworzą hierarchię, mają swoich kapłanów, kaplice, ołtarze, używają takich symboli, jak świece (oczywiście, czarne), stroje obrzędowe i tym podobne. Tworzą pseudofilozoficzne podstawy, odwołują się do rozmaitych tradycji i liturgii często w sposób niejasny lub wypaczający je. Obserwacja dowodzi, że czciciele tych kultów nie wiedzą czy, jeżeli Belzebub, Astarot, albo Lucyfer byli czczeni przez dawne religie, byli przez nie uznawani za bóstwa zła, czy też po prostu za bogów. Miałem okazję rozmawiać na ten temat z adeptami jednej z kalifornijskich sekt, ale - jak powiedział Einstein - trudniej rozbić skorupę przesądów niż atom.

Jeden z najsławniejszych zachodnich satanistów jest Amerykaninem. Nazywa się Anton La Vey. Wysoki, chudy mężczyzna po czterdziestce, ubrany w czerń, z cienkim wąsikiem, do złudzenia przypomina tradycyjny wizerunek Mefistofelesa z Fausta Gounoda. W roku 1966 zatożył "Kościół szatana". Jego Biblia szatana⁹ zyskała wielkie powodzenie wśród czytelników. Autor stwierdza w niej, że "uwielbienie szatana jest deprawacją religii, skupieniem na sobie, poszukiwaniem samozadowolenia", i muszę przyznać, że sens tej definicji umyka mi, wyczuwam jednak w tych słowach usprawiedliwienie rozpasania seksualnego, przejaw orgiastycznych skłonności przebranych w szaty "rewolucyjnej" ideologii.

La Vey opublikował także Podręcznik czarownicy i Rytuały satanistyczne, które również wzbudziły pewne zainteresowanie. W wywiadach udzielanych dziennikarzom zwracającym się do niego zawsze, gdy powraca problem satanizmu, La Vey zaskakiwał odbiorców: "Popularność moich książek i satanizmu, oznajmił, wynika z potrzeby trwałych zmian, jaką odczuwa Ameryka. Zeitgeist [duch czasu] w tym kraju tworzy nową społeczność, w której telewizja stanie się religią panującą. Ale oczywiście, mimo potęgi telewizji, czegoś zabraknie. Satanizm wypełni tę lukę. Niechaj zatem [społeczeństwo] powierzy mi dokonanie zmiany, czy okaże się ona pozytywna, czy też negatywna. Kiedyś katolicy uważani byli za diabły przez protestantów, protestanci byli diabłami w oczach katolików. Żydzi są diabłami w oczach protestantów i katolików, zaś Chińczycy widzieli diabła w każdym białym. Któż jednak potrafi powiedzieć, kto jest naprawdę zły?" n.

Deklaracje La Veya są puste pod względem filozoficznym i banalne z punktu widzenia socjologii. Jego nawoływania są niczym bezkształtny potwór, zdeformowany przez banał. La Vey ani razu nie podejmuje kwestii pochodzenia szatana, ale ujawnia prawdę o fali nieokiełznanego irracjonalizmu, która od dawna przetacza się przez uważane za "laboratorium przyszłości" Stany

Zjednoczone, a teraz także przez cały zachodni świat, nie pomijając pewnych obszarów świata nauki. Mówi także o nihilizmie, który od początku tego stulecia ogarnia wszystkie

sfery życia, od sztuki po epistemologię 12. I wreszcie oznajmia szczerze, a sukces jego książki to potwierdza, że istnieje zapotrzebowanie dużych grup społecznych na satanizm. Marksizm okazał się być zbyt oszałamiający dla jednostek niezdolnych do koncentracji, gdyż jego prozelityzm wymaga dyscypliny, tymczasem satanizm, jak twierdzi La Vey, zawsze "nagradza" i każdy może praktykować go na własny sposób.

Paradoks, chciałoby się rzec - "bajeczny" paradoks, a jednocześnie dowód, że manipulacje pojęciami tak niejednoznacznymi jak szatan rodzi nieuniknione sprzeczności, polega na tym, że satanizm zażądał zniesienia grzechu pierworodnego. Ten, który ponosił odpowiedzialność za ów grzech, uznany został nie tylko za oswobodziciela ludu pracującego, ale również - za przywódcę rewolucji seksualnej. Już Marcuse pisał, że Eros orficki zacierał ślady grzechu pierworodnego!13. Zwróćmy uwagę na nieznaną prawdziwego mitu Orfeusza, który był bohaterem "antyerotycznym" i dlatego zyskał akceptację średniowiecznego chrześcijaństwa!

Kościół szatana nie jest oczywiście jedyną tego rodzaju instytucją. Należy wspomnieć o Świątyni Seta, której podstawowe zasady są równie fałszywe, jak "teologia satanizmu", sięga ona bowiem do tradycji egipskiego boga Seta, którego, jak się przekonaliśmy, w niczym nie przypomina judeochrześcijańskiego szatana. Przebywając w latach sześćdziesiątych w Kalifornii, zetknąłem się z sektami satanistycznymi i muszę wyznać, że zraziła mnie ich śmieszna zaciekość i pretensjonalny, pseudoezoteryczny żargon, a także odwoływanie się do kabały, i do wciąż zmienianej księgi - Necronomiconu. Zgromadziłem dokumentację na ich temat, ale rażąca głupota, złość i naiwność, które wyzierały z każdego zdania, skłoniły mnie, by cisnąć wszystko do kosza. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że problem może okazać się ciekawy z punktu widzenia antropologii. Szczególnie zniechęciły mnie liczne odwołania do żyjącego na początku stulecia szaleńca, satanisty Aleistera Crowleya14.

W Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Wielkiej Brytanii istnieje także kilka stowarzyszeń "czarownic", zarówno "białych", które zapewniają, iż nie czczą szatana, lecz moce przyrody, zgodnie z tradycją "celtyckich ludów Europy", jak i "czarnych", wielbiących złego ducha i urządzających sabaty zgodnie z opisami, z pewnością fałszywymi, z których usunięto bardziej drastyczne fragmenty, by nie narażać się na kłopoty, gdyby takie "dzieło" trafiło w ręce policji. Sporządzenie listy tych stowarzyszeń i zaprezentowanie ich działalności oraz ideologii wymagałoby odrębnego opracowania, toteż raz jeszcze odsyłam zainteresowanych do dzieła Hicksa, które wydaje mi się najbardziej wyczerpującą z prac poświęconych temu - prawdę mówiąc - nudnemu tematowi.

Mamy tu do czynienia z deformacją okultyzmu, który jest praktykowany wszędzie, od Syberii po Włochy. Muszę zaznaczyć, że chociaż dobrze znam świat mużułmański, nie natknąłem się tam na czcicieli szatana ani wyznawców satanizmu. Natomiast Francja nie pozostała chyba w tej dziedzinie w tyle za innymi krajami naszej cywilizacji. W roku 1980 program II telewizji przedstawił "czarną mszę" odprawianą przez Świadków Lucyfera i niejakiego Georgesa Bourdina z Castellane. Bourdin kazał nazywać się Hamsahem Manarahem i przewodził sekcje zbierającej się w Świątyni religii Mandaroma, która 27 kwietnia 1991 roku przyciągnęła między innymi uwagę dziennika Figaro. Sprawa była rzeczywiście godna zainteresowania, Bourdin bowiem wystawił sobie nad jeziorem Castiion betonowy pomnik wysokości trzydziestu metrów. Twierdził, że udało mu się "spętać szatana i Lucyfera", a informacja jest na tyle sensacyjna, że świadczy o rozróżnianiu tych dwóch postaci, "i rozłączył [sic!] ducha pięciuset pięćdziesięciu dwóch milionów demonów."

Nie zamierzam prezentować wszystkich nonsensów szerzonych przez rozsiane po świecie sekty. Pozostawiam to zadanie organizacji, która pewnego dnia zatroszczy się o zachowanie zdrowia psychicznego i umysłowego społeczeństw. Pragnę jedynie wykazać, że ta fikcja, bez żadnego oparcia w rzeczywistości, zmyślona przez zaratustrianizm w VI wieku p.n.e. i podchwycona najpierw przez Żydów u schyłku III w. p.n.e., następnie zaś przez chrześcijaństwo, jest ciągle żywa w krajach uważanych za najwyżej rozwinięte na świecie. Można by raz jeszcze spojrzeć na całe zjawisko z pogardą, jak na wiarę w astrologię, ale problem polega na tym, że prelogiczne wierzenia pociągnęły za sobą tragiczne konsekwencje. Trudno wręcz zliczyć ofiary, których krew przelano, ulegając patologicznej obsesji diabła. Wiara w diabła jest przyczyną wielu zaburzeń psychicznych i

popycha chorych do brutalnych czynów, które starają się oni usprawiedliwiać "egzorcyzmami" lub "opętaniem".

Podajmy tylko dwa przykłady aktów, jakich odnotowano tysiące. W roku 1992 w Rio de Janeiro niejaki Marcelo Costa de Andrade został aresztowany za zgwałcenie i zamordowanie czternaścioro dzieci w wieku od sześciu do czternastu lat. Pod wpływem "nauk" kapłana Powszechnego Kościoła Królestwa Bożego, człowieka o niewątpliwie chorej osobowości typowej dla psychopatycznych zabójców, który wszelkie kalectwo wiązał z brakiem wiary, Andrade postanowił "wysłać do nieba" swe ofiary, by wyrwać je ze szponów szatana. Powszechny Kościół Królestwa Bożego to sekta wywodząca się z Ruchu Zielonoświątkowców, której pięciuset "pastorów" działa w Stanie Rio dla zbawienia dusz.

W roku 1989 w Stanach Zjednoczonych dokonano serii rytualnych mordów. Działo się to w Matamoros, tuż przy granicy z Meksykiem. Rutynowe śledztwo w sprawie przemytu narkotyków doprowadziło do odnalezienia przez policję meksykańską ciał, trzynastu ofiar wiary w diabła. Ich zabójcy, członkowie sekty satanistycznej, byli przekonani, że pozyskują względy szatana, składając mu tę ofiarę, obrażającą nawet epokę kamienia tupanego. "Wierzyli, mówił prokurator generalny Stanu Teksas, Jim Matlox, że zbrodnie utworzą tarczę chroniącą ich przed światem. Jest to przykład obłędu religijnego". Dodatkowy dowód stanowiły odnalezione na miejscu zbrodni szczątki zwierząt złożonych w ofierze razem z ludźmi. Sprawa wstrząsnęła opinią publiczną tym bardziej, że na krótko przedtem doszło do gwałtów na dzieciach oraz morderstwa na nastolatku z Joplin w Missouri.

To znamienne, że niektórzy z uczestników masakry w Matamo-ros zeznali, iż działali pod wpływem sceny składania ofiar rytualnych w filmie *The Believers* (Wierzący), wyświetlanym w roku 1987. Ale Dziecko Rosemańe i Egzorcysta, a także filmy serii B, jak *Suspiria* i pseudofuturystyczne serie typu *Obcy*, nie wspominając o głupiutkich filmach rodzaju *Batmana* czy *Terminatora*, to tylko kilka przykładów produkcji kinematograficznej osnutej wokół diabła, opętania, satanizmu i podobnych niedorzeczności. Amerykański krytyk Robert Hughes ocenia, że postać Antychrysta stała się wzorem dla twórców bohaterów filmów rysunkowych, a potem fabularnych, jak *Batman*, *Superman*, *Kapitan Marvel*. Amerykańskie kino i literatura wykreowały zresztą wielu takich bohaterów, których przygody - tanią formą manicheizmu, zdolne przyprawić o dreszcz samego Manesa - z zapalem śledzą miliony ludzi na całym świecie. Dowodzi to, iż fikcyjne postacie mogą inspirować do zbrodni, zbrodnie zaś inspirują kolejne filmy i książki.

I oto wkraczamy w mroki nowego średniowiecza, którego zapowiedź stanowi wyrok śmierci wydany na niesłusznie oskarżonego o satanizm Ruhsdie'go. Odtąd sataniści zwracać się będą przeciw tym, którzy negują realność ich boga.

Czy możemy uznać, że jest to problem natury wyłącznie religijnej? Sondaż przeprowadzony w roku 1991 przez Instytut

Gallupa dla tygodnika *U.S. Word Report*16 wskazuje, że liczba Amerykanów wierzących w niebo i piekło systematycznie wzrastała w latach 1952-90 (z 72 do 78% w pierwszym, zaś z 58 do 60% w drugim przypadku). Ten sam sondaż szacował, że na 83% praktykujących Amerykanów, tylko 3% obawiało się, że grozi im piekło (tę samą obawę wyrażało, o dziwo, 7% niepraktykujących). Bardziej lękają się tego mężczyźni niż kobiety i katolicy niż ewangelicy.

Można właściwie powiedzieć, że piekło stworzono dla innych, albo że diabłem jest ktoś inny. To zdumiewająca parafraza sławnej sartreowskiej repliki z *Przy drzwiach zamkniętych*: "Piekło to inni". Większość praktykujących chrześcijan ma zatem jak najlepszą opinię o sobie i nie czuje się zagrożona piekielnymi mękami.

I jeszcze jedna ciekawostka - 46% amerykańskich ateistów wierzyło w niebo, 36% w piekło. To bardzo wymowna charakterystyka ateistów. Co jeszcze ciekawsze, 61% ateistów ufa, że ma szansę trafić do nieba, ale tylko 8% obawia się skończyć w piekle. A zatem dwukrotnie wyższy odsetek niewierzących niż wierzących czuje ciężką na nich winę. Wynika z tego, że wiara w szatana, który po śmierci jednostki, a potem w dniu Sądu Ostatecznego zawładnie duszami grzeszników, opanowała nawet najoporniejsze na prawdy religii umysły.

Te liczby dziwią tym bardziej, że można by sądzić, iż błysk nad Hiroszimą i ogień

plonący w niemieckich obozach koncentracyjnych dawno już przytłumiły blaski ognia piekielnego. Mylił się Martin Morty, wykładowca Divinity School*, który sądził, że "Piekiło zniknęło, ale nikt tego nie zauważył"17.

Choć opinie teologów różnych Kościołów - od rzymskokatolickiego po anglikański czy maronicki - bywają rozbieżne, i mało kto wierzy, że człowiek, który zjadł kawałek mięsa w dniu postu

Wydaje się, że sataniści, a także władze, które szerzą wiarę w szatana, nie są zdolni dostrzec absurdu, jakim jest kult z definicji destrukcyjny i autodestrukcyjny, jako że bóg zła może - patrząc na to z perspektywy filozofii - uosabiać wyłącznie zniszczenie. Tym bardziej nie są zdolni zrozumieć socjopolitycznych źródeł ich religii. Zaspokajają silne pragnienie posiadania antyboga, który pomściłby ich w dniu przewidzianym na triumf Boga otaczającego opieką tylko prawomyślnych, bogatych, białych, potężnych.

Max Weber stwierdza w pracy zatytułowanej Etyka protestancka a duch kapitalizmu, że bogaci są uprzywilejowani przez Boga. Jego słowa pokonały barierę Oceanu - odnoszą się nie tylko do Stanów Zjednoczonych, ale do całego Zachodu. W roku 1920 przedstawił alternatywę, przed którą stoi świat protestancki. Dążenie do Zbawienia, pisał, "nie może polegać, jak w świecie katolickim, na dokonywaniu pojedynczych dobrych uczynków, lecz... winno być ciągłym czuwaniem sumienia (Selbskontrolle), które nieustannie dokonuje wyboru między Zbawieniem a Potępieniem". Dramatyczne napięcie! W końcu wierny buntuje się, jak szatan, w którego ramiona się rzuca. Wiemy, jak brzmiała odpowiedź dla kapitalizmu: "Wyklęty powstań ludu Ziemi!". Szatan stał się nowym Spartakusem, konkurentem Marksa, ten zaś, przy wiecznie młodym upadłym aniele musiał wyglądać dość anachronicznie. Jak pisał Herbert Marcuse, "wyobraźnia staje w obronie żądań jednostki, idąc w parze z gatunkiem i »archaiczną« przeszłością"18.

W rzeczywistości ujawniająca się dziś obsesja diabła jest nie tylko pokłosiem obskurantyzmu, przesądów i naiwności, ale także buntem przeciwko pracy i łaadowi społecznemu, podtrzymującemu niesprawiedliwość. Giovanni, współczesny filozof włoski, utrzymuje, że diabeł stał się symbolem chleba bez potu i kusząc Jezusa na pustyni nieprzypadkiem nakłaniał go, by przemieniał kamienie w chleb. Diabeł to bóg łatwego zysku - spekulacji, handlu narkotykami, przemytu, prostytucji i zwyczajnego złodziejstwa. A zatem na najniższym poziomie jest bogiem lenistwa, kłamstwa, partactwa, prostactwa, prowokacji. Na to przynajmniej wskazują pewne obserwowane dziś postawy. Jest skrywanym bogiem prezydentów i ministrów, którzy pytają astrologów, czy dzień jutrzejszy będzie dobry, jakby próbowali osiągnąć tajemnicę kombinacji wygrywającej w Lotto czy na wyścigach konnych. Jest bogiem ludzi interesu, którzy nielegalnie pozyskują informacje, by osiągnąć większe zyski. Weber przewidział i to: "Idea wypełnienia »obowiązku« poprzez pracę ogarnia nasze życie... Kiedy »wypełnienie« [obowiązku] zawodowego nie daje się pogodzić z najwznioślejszymi wartościami duchowymi i kulturalnymi... jednostka na ogół rezygnuje z usprawiedliwienia się"2".

Na najwyższym poziomie szatan stał się inspiratorem systematycznego burzenia, rozdarcia, "Nicości", filozofów, którzy obwieszczają upadek rządów rozumu, estetów, którzy twierdzą, że talent wart jest mniej niż brak talentu i, pod pozorem działań prowokacyjnych rozpowszechniają własną prawdę, wmawiając innym, iż koło roweru godne jest konkurować z dziełami sztuki attyckiej, a zarejestrowany na taśmie zgrzyt drzwi dorównuje muzyce Beethovena. Cóż, kawałek białego płótna może zawisnąć obok płócien Verone-se'a... Szatan jest bogiem nihilizmu, bogiem beznadziei i rozpacz.

Inwazja satanizmu w sferę kultury rozpoczęła się już dawno. Szatanowi dopomogli sławni ludzie. Jeden z najgenialniejszych poetów, Charles Baudelaire, jako jeden z pierwszych odmówił Litanię do szatana:

"O Ty, coś najpiękniejszy, najmędrzy z Aniołów, Zdradnie przez los strącony w mrok ziemskich padołów, O Szatanie, ulituj się nad mą nędzą! Ty, księżę na wygnaniu, nad miarę skrzywdzony, Choć pobity, powstajesz wciąż niezwyknięty,

Ojczy adoptujący wszystkich, których sroga Wypędziła z ziemskiego raju zemsta Boga, O Szatanie, ulituj się nad moją nędzą!"*

Ponieważ trudno uwierzyć, że nawet w chwili buntu Baudelaire mógłby pomylić Boga z pułkownikiem Aupick, swym teściem, czy jakimś współczesnym mieszczaninem, musimy

uznać, że jest to tylko poza. Przecież właśnie to wrażliwemu Baudelaire'owi zawdzięczamy odkrycie najbardziej znanego oszustwa diabła. To on w Paryskim Spleenie, powtórzył zasłyszany ponoć gdzieś sofizmat, zgodnie z którym diabeł popełnił największe ze swych oszustw, wmawiając ludziom, że nie istnieje. Są to przecież własne słowa poety! Pełen hipokryzji czytelnik zdemaskował go! A ponieważ poza wydała się poecie nie dość wyraźna, dorzucił:

"Chwała, Szatanie, i cześć Ci na wysokościach Niebios, gdzie panowałeś, oraz w głębokościach Piekieł, gdzie, pokonany, dumasz sam w cichości!"**.

Tą strofą mógł tylko urazić najgłupszą burżuazję świata, wzbudzić entuzjazm naiwnych, rozśmieszyć pozostałych. Była to wszak epoka, w której wrażliwym duszom, podobnym Emmie Bovary, brakło tchu. Trzydzieści lat później Artur Rimbaud miał spędzić Sezon w piekle, a wkrótce Mallarme zakrzyknął:

"Niebo umarło. - Ku tobie idę! Daj, o materio, Zapomnienie Ideału okrutnego i Grzechu Udręczonemu, który spoczął na legowisku wraz ze szczęśliwym bydłem człowieczym".

Można powątpiewać, czy Mallarme znał "szczęśliwe bydło człowiecze", ale ton został już nadany. Podczas gdy Huysmans satanizował, Ducasse, znany jako hrabia de Lautreamont, ciskał w Pieśniach Maldorora obelgi, zdobiąc je sado-satanistycznymi potwornościami: "Podczas gdy lodowaty wiatr gwizdał wśród jodeł, Stwórca otworzył swe drzwi w ciemnościach i wpuścił pederastę" *.

Efekt gwarantowany. Warto przypomnieć, że modę tę zapoczątkował markiz de Sade, autor opowieści pornograficznych i najmodniejszy z filozofów w jednej osobie, zdeprawowany arystokrata, którego życie przydało jego utworom znamion prawdy. Ciekawe, co "papież" surrealizmu lub "kapłani" mody dostrzegają w takich oto opisach: "Roztrzaskuje krucyfiksy, obrazy Maryi Panny i Boga Ojca, sra na ich szczątki i wydaje je na pastwę ognia"²¹. Po Homerze, Ajschylosie, Szekspirze doszliśmy do takiej oto literatury! Z niepojętych, ale upatrywanych w "fascynacji złem" przyczyn, Sade przyciągnął uwagę naszych myślicieli.

Tymczasem Anglicy, którzy nudzili się już tak samo jak Francuzi, stworzyli powieść "gotycką" - zamki nawiedzane przez duchy potępionych, schowki, z których dobiega jęk cierpiących dusz, rozpustnych mnichów, bladolice narzeczone, wydane na pastwę odrażających kochanków, wycia i krzyki w księżycowe noce. Anglia oddała XX wiek w posiadanie szatanowi: Frankenstein Mary Shelley ukazuje się w roku 1818 (ale publiczność jest nienasycona), Drakula Brama Stokera w roku 1897. Obie książki odnoszą ogromny sukces. Niemcy nie pozostają w tyle, mają swego Fausta. Rosja wyda "prawdziwego" diabła, Rasputina, odpornego na arszenik i kule z rewolweru księcia Jusupowa, a potem kolejnych, jak choćby wybawiciela - Ulianowa, zwanego Leninem, policjanta Dzierżyńskiego, twórcę Czeki, a wreszcie niedoszłego popa, Wissarionowicza, znanego jako Stalin. Oto imponująca kolekcja demonów! W Stanach Zjednoczonych Poe zapuszcza się w piekielne otchłanie wyobraźni alkoholika, w której diabeł kryje się kolejno pod maską Czerwonej Śmierci, kapryśnego anioła, a w końcu zawłaszcza twarz swojego gospodarza. Melville wysłał legendarnego kapitana Achaba w pościg za złym, stawnym białym wielorybem, noszącym imię Moby Dick. Conrad podejmie nie kończąca się analizę Upadku, i nie zakończy jej nawet w znanym fragmencie Jądra ciemności, gdy leżący na łożu śmierci Kurtz krzyknie: "Zgroza!".

Diabłem zajmą się wszyscy - śmiało, bez żenady, groteskowo gestykulując i posępnym głosem miotając przekleństwa, ale zerkając przy tym drwiącym okiem. Każdy tworzył własny satanizm, dopóki nie przechwycała go reklama. Na murach i w gazetach zaroilo się od diabłów i diabełków. Miały handlować czekoladą "Faust", (która każdego uwiedzie) i wata "Thermogene" (która ogrzewa serce diabła!) Nawet piecyki naftowe nazywano we Francji "diablami"! "Każdy szuka swego wizerunku", pisze Baudrillard, słusznie zganiwszy obłudę "swobody seksualnej" i "strategię odprawiania egzorcyzmów nad ciałem przez mowę seksu"²². Są to odległe echa zabawnej refleksji Bretona: "Piękno zadrzy w konwulsjach lub zagaśnie". A zatem wszystkie historyczki od Charcota byłyby piękne? Jednak "nowy filozof (co stało się ze starymi?) jest bardziej kategoriyczny:

"Reklama dla rzeczy Dobrych nie jest kłamstwem - to reklama kłamstwa"²³. Innymi słowy, szczerłość jest dobra tylko dla diabła!

Literatura, sztuka i muzyka Europy drżały, ogarnięte obsesją diabła, który umiał je

oswobodzić. Od czego? Od ciasnych okowów religii, od despotycznych rządów, od nudy dnia codziennego. Od codzienności, najdotkliwszej rany, jaką bezwzględny Bóg zadał ludziom. I opętanie, nierzeczywiste, ale przez to jeszcze bardziej zatrważające, trwało. Kiedy ucichły głosy Rolling Stonesów, śpiewających Sympathy for the Devil, Elton

John wyciąga dłoń do potępieńca, "ducha Opery". W Paryżu, Nowym Jorku i Londynie na każdym kroku natykamy się na ślady satanizmu: "Satan f... you each night" albo "Drwij z matki". Takie impertynencje niewiele kosztują poza państwami islamskimi.

Szatan jest współnikiem Faustów ery przemysłowej, od najbiedniejszych po najbogatszych. Jawi się w "nowym świetle - jako wyzwoliciel... człowieka. Nie podważając praw Bożych, chce uwolnić Człowieczego Syna od przynajmniej jednej konsekwencji grzechu. Szatan stanąłby więc u boku Odkupiciela duchowego jako odkupiciel w sferze materialnej, przyjaciel człowieka", ironizował Papini. I tu tkwi prawdziwe jądro satanizmu, nie w maskaradach kalifornijskich sekt ani poczynaniach elit.

Jeden z komentatorów Paula Lafargue tak oto streszcza poglądy głoszone już w roku 1905 w Prawie do lenistwa: "Wyganiając człowieka wcielonego w Adama z Edenu, Bóg skazał go na zdobywanie kawałka chleba w pocie czoła. Praca jest zatem przekleństwem, zaś w stanie rajskiej szczęśliwości oddawać się należy lenistwu..."²⁴.

Nastąpiło odwrócenie ról. Zrodzony jako obrońca władzy absolutnej, o której marzyli zaratustriańscy kapłani, Diabeł stał się czynnikiem antyspołecznym, Nieprzyjacielem pracy. Podpora teologii chrześcijańskich przeobraziła się w burzyciela demokracji, lub, jak pisał dwa tysiące lat temu Cynceron, zwiastuna totalitaryzmów. Dlatego pozyskał tylu przyjaciół.

Dopóki wiarę w szatana podtrzymywały religie monoteistyczne, można było żywić nadzieję, że ją kontrolują. Ale mitologia satanistyczna, która powstaje jako element kultury masowej, wymyka się spod kontroli. Wyobraźnia masowa jest silniejsza od każdego Kościoła. Powoławszy do życia szatana i pozwoiliwszy przejąć inicjatywę współczesnym filozofom, nie zawsze poślednim, religie postawiły się w sytuacji ucznia czarnoksiężnika. Z definicji antymarksistowskie, bo antymaterialistyczne i spirytualistyczne, podtrzymują pogański w istocie rzeczy mit, klon' dawniej służy} totalitaryzmom, dziś zaś jest posłańcem rewolucji nihilistycznej.

Chcę przez to powiedzieć, że religie, które podtrzymują mit szatana, podcinają i tak spróchniałą gałąź, na której siedzą - burzą ład społeczny.

Czy zatem nie należy uwierzyć w realność szatana, w opętanie i zjawiska zwane paranormalnymi, które tak często opisują dziś sataniści, egzorcyści i inni zwolennicy zjawisk nadprzyrodzonych? Trzeba zaznaczyć, że głównym podłożem wiary w szatana jest opętanie, które bardzo przypomina przypadki hysterii, opisane i wyjaśnione przez Charcota. Odnajdujemy tu wszystko - nagie zmiany nastroju, utratę świadomości, grymasy nazwane "klowniz-mem", gwałtowne okazywanie uczuć, któremu towarzyszy "odgrywanie przez podmiot scen miłych lub tragicznych, brutalnych lub miłosnych", katatonie²⁵. Powtórzmy za najlepszymi psychiatrami, że "opętanie przez diabła" jest tylko napadem hysterii, czego dowodzi także fakt, że zdarza się ono osobom sfrustrowanym, dzieciom i nastolatkom. Gdyby opętanie było zjawiskiem realnym, należałoby zastanowić się, dlaczego nigdy nie przytrafia się sekretarzom Stanu, wybitnym pisarzom, prezenterom telewizyjnym, ale niemal wyłącznie ludziom o niskim poziomie intelektu, słabym psychicznie. A może szatan potrafi zawładnąć tylko głupcami?

To prawda, że Luter wierzył, iż ujrzał diabła i cisnął weń kałamarzem, ale przecież nie było to opętanie, raczej halucynacje. Nie negując inteligencji Lutera ani rangi jego dzieła teologicznego i filozoficznego, musimy pamiętać, że był egzaltowanym wizjonerem i żył w silnym napięciu nerwowym. Psychiatria uczy nas, że pewne obsesje mogą doprowadzić do halucynacji zbiorowych lub indywidualnych.

Pozostają zjawiska nadprzyrodzone. Czy siły niematerialne mogą się jakoś przejawiać? A jeśli tak, to czy nie ma wśród nich złych mocy? Ten temat był szeroko omawiany, lecz żadna z poświęconych mu prac nie potwierdza istnienia owych sił. Nie mamy dowodów ingerencji dobrych czy złych mocy w losy świata. Najważniejsze wydarzenia znajdują logiczne wytłumaczenie, a świadectwa występowania tajemniczych zjawisk przyciągają uwagę tylko nielicznych osób.

Niektórzy, kierując się jak najlepszymi intencjami, dostrzegali wpływ szatana na

oprawców z niemieckich obozów koncentracyjnych. W roku 1941, kiedy Stany Zjednoczone wiedziały już o prześladowaniach, które w III Rzeszy dotknęły zarówno Żydów, jak i chrześcijan, osobistości takie, jak Henry Ford, Charles Lindbergh, P. Coughlin, antysemita twórca Christian Front William Ward Ayer, oraz wielu innych Amerykanów pochwalalo politykę nazistów. Doprowadziło to nawet do opublikowania w piśmie *The Churchman* artykułu, w którym potępiono "brutalny antysemityzm Lindbergha" i stwierdzono, iż antysemityzm pozbawia swych zwolenników "prawa do miana chrześcijanina"²⁶.

Zachód nie wykreślił z pamięci słów niosących nienawiść, sfałszowanych i szatańskich, które Mateusz włożył w usta Żydów, którzy chcieli zmusić Piłata do wydania wyroku na Jezusa:

"Krew Jego na nas i na dzieci nasze". Uznanie, że obozy koncentracyjne, gdzie ginęli także, o czym chętnie zapominamy, więźniowie polityczni, homoseksualiści i Cyganie, były zemstą Boga, dowodzi najgłębszej, najpodlejszej nienawiści, z jaką zetknął się XX wiek. Łzy ona pamięć milionów ofiar obozów, które nie były wszak Żydami, pamięć zamordowanych w Iłos i Ik w Afryce oraz w Kambodży, gdzie ludzie ginęli w imię chorej ideologii i z woli zbrodniczego Poi Pota. Ani szatan, ani Bóg nie mają z tymi zbrodniami nic wspólnego. Sprawcą jest podłość i głupota ludzi, którzy wierzą, że poznali prawdę. Może gdybyśmy wszyscy byli buddystami, nie doszłoby do tych potworności.

Kończąc tę książkę widzę unoszący się nad Europą cień szatana. Sondaż przeprowadzony pod koniec roku 1992 wykazał, że 25% Niemców dostrzegało "dobre" strony nazizmu, a 4% oceniało, że Żydzi sami doprowadzili do tego, co ich spotkało. 10% Włochów uznaje Shoah za czysty wymysł, a jedna trzecia uważa, że włoscy Żydzi nie są Włochami²⁷. Czy niczego się nie nauczyliśmy? Czy ci, którzy tak mówią, nie obawiają się, że jutro prześladowania mogą dotknąć właśnie ich: - ekologów, socjalistów, komunistów, kapitalistów, homoseksualistów czy liberałów? Ze każdy w oczach wrogów może stać się nagle diabłem?

Człowiek ponosi odpowiedzialność za bieg historii, a wkraczanie religii w dzieje ludzkości od czasu wypraw krzyżowych niosło zwykle tragiczne skutki. "Człowiek może paść jedynie ofiarą własnych poczynań", pisał Emerson. Wierząc, że ogniem i mieczem broni Boga, człowiek przelał morze krwi, a zatem spełnił wolę szatana, bluźniąc Bogu miłosierdzia i życia. Jestem głęboko przekonany, że wszystkie wojny religijne i roszczenie sobie prawa do wyłącznej racji są szatańskie. Szatańska jest też wiara w diabła.

Żyjemy pod znakiem bóstwa, które nie istnieje, które zostało stworzone przed dwudziestoma sześcioma wiekami przez żadnych władzy irańskich kapłanów. Żyjemy pod znakiem szatana. Czy takie jest nasze przeznaczenie? Czy pozwolimy, by ten zrodzony z wyobraźni potwór nas pożarł?

* Wydział Teologii Uniwersytetu w Chicago. i morderca czy gwałcień dziecka, skazani będą po śmierci na ten sam los, to przecież obsesja szatana przenika wciąż ludzkie umysły.

* Przel. Marian Piechal, *Poezje wybrane*, LSW, Warszawa 1970.

** Ch. Baudelaire, *Modlitwa, Kwiaty zła*, przekł. Bohdan Wydzga.

* I. de Lautreamont, *Pieśni Maldorora*, V, s. 149 przekł. Maciej Zurowski, Warszawa 1976.

* Amerykański Departament Zdrowia i Pomocy Społecznej.

Zakończenie

Historia nie wyklucza prawa do osobistych ocen i odczuć. Niechaj zatem na zakończenie tej książki wolno mi będzie wyrazić je choćby w największym skrócie.

Diabeł powołany do życia w VI w. p.n.e. przez irańskiego kapłana, Zaratustrę, który zbuntował się przeciw brutalnej, politeistycznej arystokracji, został zaakceptowany przez innych pożądających władzy kapłanów i zdobył niezwykle silną pozycję w państwach potowy świata, a równie dobrze mógłby zniknąć. Zaryzykuję nawet twierdzenie, że ludzkość nie odczułaby boleśnie jego braku, ponieważ żadna z kultur, z których wywodzi

swój rodowód cywilizacja Zachodu - grecka, kolebka filozofii, ani rzymska, która natchnęła nas duchem praw, ani celtycka, która rozbudziła w nas umiłowanie wolności i wolę podbojów, nie znała diabła. A przecież wciąż stanowią one dla nas wzór.

Egipcjanie, hinduiści, dżiniści, buddyści, shintoiści, ludy Ameryki Środkowej i Oceanii również nie potrzebowały tej bezsensownej, wymyślonej postaci, wroga stwórcy. Jego powołanie do życia wydaje mi się bluźnierstwem.

Pojęcie "dziedzictwa judeochrześcijańskiego" uważam za nieco buntownicze, zgodnie z nim bowiem diabeł został nam przekazany przez Żydów, a właściwie - za pośrednictwem Żyda imieniem Jezus. Mam nadzieję, że udało mi się wykazać jak bardzo teza ta jest błędna. Stary Testament, Księga niewątpliwie judaistyczna, wyznacza szatanowi miejsce, inne niż to, które przypisało mu chrześcijaństwo, a w Księdze Hioba i późniejszych ukazuje go jako sługę Boga, i to długo po upadku. Szatan zasiadał w niebie, wśród aniołów i dopiero u schyłku III w. p.n.e., ulegając wpływom śródziemnomorskim, niektóre żydowskie sekty nagle narzuciły mu rolę wroga Stwórcy. Księga Henocha jako pierwsza ukazuje go w ten sposób, pamiętajmy jednak, że nie wchodzi w skład Starego Testamentu i przynajmniej częściowo jest dziełem eseneńczyków. Za pośrednictwem eseneńczyków, a następnie chrześcijan irański diabeł dotarł nad Morze Śródziemne. Przez całe wieki świat obywatel się bez niego, aż oto nagle stał się niezbędnym przesądnym ludziom.

Spośród wszystkich religii, o których mówiliśmy, we współczesnym świecie znaczącą rolę odgrywa zaledwie pięć - chrześcijaństwo, judaizm, islam, hinduizm oraz buddyzm. Pod względem demograficznym dominują chrześcijaństwo, islam i hinduizm, a zatem dwie religie monoteistyczne i jedna politeistyczna. Świat zachodni żyje w kręgu tradycji chrześcijańskiej, z której z czasem wyodrębniło się kilka nurtów. Stało się tak pod wpływem cywilizacji podporządkowanej wartościom materialnym, zapominającej o wielkich wartościach religijnych, miłosierdziu bliźniego i szacunku dla Boga, który przecież żyje w każdej istocie ludzkiej. Od średniowiecza, epoki wielkiego triumfu dwóch największych religii monoteistycznych, na Zachodzie rozpętała się fala okrucieństw, jakich nie znał świat grecki, rzymski czy egipski. Zaś drzewo sądzi się po owocach, jakie wydaje. Tak przynajmniej mówił Jezus. Cóż można pomyśleć o "drzewie", które wydało noc świętego Bartłomieja, Wassy, rzezie Indian, prześladowania Żydów, stosy Inkwizycji i obozy zagłady (bo przecież powstały one z nienawiści do Żydów, od wieków utożsamianych z diabłem).

Opłacony daniną krwi pokój z roku 1945 okazał się pozorny. Wciąż panuje klimat wojny ideologicznej, a dwa dominujące monoteizmy reagują w typowy dla bytów zagrożonych sposób i trwają wyłącznie dzięki mnożeniu zakazów rodem z innej epoki oraz przypisywaniu szatanowi wszystkiego, co nie zgadza się z ich systemami wartości. Na próżno jednak obnażalibyśmy kłamstwo i śmieszność tych zakazów, takich jak chociażby zabronione przez islam spożycie alkoholu (podczas gdy Mahomet wyraźnie mówi, że wybrani będą go pili w raju), czy potępienie przez Nowy Katechizm, użycia tytoniu, choć zakaz ten nie wynika z eschatologii, przeczy natomiast zasadzie wolnej woli, którą Stwórca obdarzył człowieka. Irytuje także fakt, że oba monoteizmy przedstawiają kobietę jako nieudane dzieło Stworzenia. Przekonanie to odbiło się szerokim echem, gdy Kościół anglikański zezwolił kobietom na sprawowanie godności kapłańskiej. W Arabii Saudyjskiej, wiernej islamowi, kobiecie nie wolno nawet prowadzić samochodu. Czyżby Mahomet wydał taki zakaz? Dlaczego więc nie odnosi się go także do obsługiwania pralki?

W ten sposób islam cofa się ku średniowieczu i tym trudniej będzie mu dostosować się - co jest nieuniknione - do wymogów współczesnej cywilizacji. Spada liczba wyznawców katolicyzmu i być może wkrótce zaledwie 10% Francuzów będzie przyjmowało chrzest. W innych państwach europejskich sytuacja wygląda podobnie.

Wydaje się, że właśnie te religie, które mówią o istnieniu diabła same uległy zatruciu wiarą w niego. Islam odcina się od świata współczesnego, zwłaszcza zachodniego, który - jak głosi - jest siedliskiem szatana, dlatego można czerpać z niego wyłącznie technologie i gotowe wyroby przemysłowe. Chrześcijaństwo obumiera, pokładając złudne nadzieje w ludności Ameryki Południowej, której zabrania wszelkich form antykoncepcji. W ten sposób Watykan miałby zyskać za Oceanem wyznawców, których traci w Europie. Od dwudziestu lat duchowni południowo-amerykańscy sprzeciwiają się polityce Kościoła

Rzymskiego, a ekskomuniści nie są w stanie odmienić realiów ekonomicznych i demograficznych, jak taniec czerwonoskórych nie potrafi} sprowadzić deszczu.

Tym, którzy uznaliby, że kryzys religijności nie jest zjawiskiem negatywnym, bo pociąga za sobą upadek szatana, trzeba przypomnieć, że stało się zupełnie inaczej. Kryzys ten doprowadzi} do powstania parachrześcijańskich sekt, których dzika wiara po-chiania wciąż nowe ofiary - odrywa ludzi od społeczeństwa, otumania złudną wiarą w "odnalezienie prawdy", produkuje fanatyków "nowych" pseudoreligii.

Znacznie większe znaczenie ma fakt, że Europejczycy, nawet jeśli nie są już pobożni i nie praktykują, wciąż żyją w kręgu kultury, która od wieków kształtowała się pod wpływem chrześcijaństwa, są nią przesiąknięci i dlatego nie potrafią uwolnić się od manichejskiej manii klasyfikowania wszelkich zjawisk. Tylko cele polityczne, którym ma służyć diabeł są dziś odmienne od tych, które przyczyniły się do jego narodzin. W naszych czasach demoniczna bestia stała się narzędziem polityki w większej mierze niż kiedykolwiek dotąd. Wybuchy nienawiści wobec Żydów, Turków czy Cyganów w Niemczech, nazistowski obłąd, zrodziły się z odległej i odrażającej tradycji wojen religijnych, ożywionej przez władców III Rzeszy. To samo dotyczy rzezi muzułmanów, której dopuścili się chrześcijanie w Jugosławii w dramatycznym roku 1992, a także nie kończących się rządów Brytyjczyków w Irlandii Północnej, symbolizujących wzajemną i trwającą od wieków nienawiść protestantów i katolików. Problem odrodził się też w enklawie chrześcijańskiej w Górnym Karabachu, gdzie poląła się krew Ormian i Azerów. Nienawiść odgradza Izrael od państw arabskich. Hinduscy Tamilowie oraz muzułmanie usiłują za wszelką cenę osiedlić się w buddyjskiej Sri-Lance i narzucić swoje religie temu krajowi. Nad każdym ogniskiem zapalnym na świecie unosi się cień szatana, chociaż istnieje on tylko w wyobraźni ludzi, odkąd 2600 lat temu narodził się w umysłach irańskich kapłanów.

Świat przestaje prawdziwie wierzyć w Boga, ale wciąż wierzy w diabła, jak ci otumanieni sataniści, którzy o wiele dokładniej wyobrażają sobie wroga Stwórcy niż samego Stwórcę, i skrupulatnie palą czarne świece diabłu, choć nie przychodzi tym "wierzącym" ludziom do głowy złożyć ofiary Bogu i Jezusowi lub modlić się do nich. Trzeba by szerokiej wiedzy z zakresu socjopatologii, by wykazać, że nasza cywilizowana Europa dzień po dniu oddaje się prawdziwemu satanizmowi, tocząc spory i podsycając wrogość. Psychiatria kulturowa pomogłaby nam też stwierdzić, w jaki sposób obsesja zła podtrzymuje i rozwija zaburzenia psychiczne zwane paranojami. Jaka polityka i filozofia mogłyby przewyciężyć przesady, zakorzenione w podświadomości ludzkiej od dzieciństwa, a nawet od stuleci? Jakie wychowanie zdoła przed nimi obronić? W latach 1908-1909 biskupi francuscy nazwali świeckie szkoły diabelskimi, a księża nakłaniali rodziców do palenia podręczników ich dzieci. W roku 1929 w encyklice Dwini Ulus magistri papież Pius XI potępił posyłanie katolickich dzieci do tych szkół. Ostatnio wielkie poruszenie wywołał problem szkół prywatnych, co dowodzi, że od kilkudziesięciu lat mentalność ludzi nie uległa zasadniczej zmianie. W Nowym Katechizmie czytamy: "Właściwe granice [wolności religijnej] wytyczać winna ostrożna i rozważna polityka uzależniona od sytuacji społecznej". Dla niektórych wiara w istnienie diabła jest dziś równie żywa jak przed wielu laty, warto by jednak sprawdzić, ile osób wyjeżdżając 15 sierpnia na długi weekend myśli o Wniebowstąpieniu Najświętszej Marii Panny.

Po co z takim uporem bronić szkodliwej i śmiesznej fikcji? Po co zakazywać w Nowym Katechizmie (art. 2113 i 2116) szukania wsparcia u szatana i demonów, uprawiania magii i czarów, skoro wszyscy wiedzą, że żadna z tych metod nie skutkuje? Czy duchowieństwo wierzy szczerze w możliwość przywołania szatana i jego zastępów? Czy to lęk przed ztem leż} u podstaw zakazów rodem z zamierzchłych epok? Zapewne. Trzy religie monoteistyczne utraciły swoje funkcje społeczne na rzecz prawa karnego i cywilnego. Morderstwo, kradzież, a nawet cudzołóstwo pociągają za sobą określone przez prawo konsekwencje. W naszych "rozwinętych" demokracjach zdrada małżeńska może powodować skutki finansowe, niekiedy równie dotkliwe jak inne sankcje, pociąga za sobą także konsekwencje natury moralnej. Nie można jednak traktować pożądlivości i zazdrości, jakby to były grzechy, które przestaniemy popełniać z lęku przed szatanem. Potępienie przez Nowy Katechizm (art. 2100 i 2112) ateizmu i politeizmu godzi w zasady

wolności, wzbraniając swobodnego wyboru religii (np. hinduizmu) pod pretekstem obrony chrześcijaństwa.

Wspomnijmy też o wrogim stosunku do inności i o kłopotach związanych z seksem. Pierwszy problem jest stary jak świat - Adam poczuł niechęć do Ewy, bo różniła się od niego i od tej chwili ludzie nienawidzą obcych tylko za to, że są obcymi. Religie monoteistyczne nie tylko nie starają się przezwyciężyć tej wrogości, ale podtrzymują ją i umacniają; nie bronią nas przed szatanem nienawiści. Wszelkie zakazy dotyczące sfery seksu w znacznie większym stopniu są powiązane z demonem zła. Podstawowe zasady trzech monoteizmów są bowiem identyczne: ziemia to tylko padół łez, dlatego jedynym celem człowieka powinno być zbawienie. Mezopotamczycy, którzy wymyślili pojęcie grzechu, odbywali pokuty i zadawali sobie udręki moralne (szyli do dziś raz do roku, w dniu Święta Aszura, poddają się samobiczowaniu, bolesnemu i krwawemu, używając do tego celu trzech zakończonych haczykami łańcuchów). Oddawanie się rozkoszom jest naganne, sugeruje bowiem, że raj może istnieć już na ziemi.

O jakich rozkoszach mowa? W naszej epoce wyrzekamy się rozkoszy stołu ulegając nakazom diety, albo - przeciwnie - żywiąc się hamburgerami, co jest rodzajem pokuty. A może chodzi o rozrywki? Cóż, religia telewizji zastąpiła koncerty, sztuki teatralne i huczne święta, a chyba nigdzie poza Abu-Dabi piekielne udręki nie grożą za oglądanie serialu telewizyjnego. Pozostaje seks - domena szatana!

Wiemy od czasów Szawła-Pawła, że w świecie chrześcijan seks jest dozwolony wyłącznie w łożu małżeńskim i to wówczas, jeśli nie staje się źródłem nadmiernej rozkoszy. Musimy w końcu powiedzieć, że Kościół zawsze pragnął kontrolować i kodyfikować akt seksualny, określając nawet dozwolone pozycje. W przeszłości utrzymanie tej kontroli było proste: nie znano anonimowych społeczności wielkich miast, a natura przewidziała "karę" dla niepokornych - ciążę. Cięża kobiety niezamężnej wywoływała skandal, dlatego dziewczęta łatwo można było utrzymać w ryzach. Chłopcom z kolei mówiono, że masturbacja wpędza w obłęd, może być przyczyną głuchoty lub przedwczesnej śmierci. Poza tym masturbując się, chłopak współżył z sukubem, ten zaś roznosił ciężkie choroby. Jeszcze w latach 30. naszego wieku, drwiąc z przesądnych Murzynów i "dzikusów", mącono dzieciom w głowach absurdalnymi opowieściami wygłaszanymi mentorskim tonem. Sam słyszałem, że masturbacja wywołuje choroby płuc i serca oraz że prowadzi do impotencji. Szatan podpowiadał, że to rozkosz, ale przecież jest kśifdem tego świata i nakłania do grzechu

Pigułka antykoncepcyjna wiele odmieniła i choć nie prowadzono żadnych badań, wydaje się, że jej rozpowszechnienie zbiegło się w czasie ze spadkiem liczby uczestników nabożeństw. 28 grudnia 1968 r. prawo Neuwirtha nadało diabłu nowe imię - 19-nor--progesteron. Wciąż jednak Kościół naucza społeczność borykającą się z problemami eksplozji demograficznej, że użycie pigułki jest takim samym grzechem jak masturbacja i homoseksualizm. Tymczasem, jeżeli przyrost ludności utrzyma się na obecnym poziomie, wkrótce na planecie, której znaczną część dotyka klęska głodu, zamieszka 12 miliardów ludzi. Może jednak w końcu odważymy się posiać diabła do diabła i pigułka zyska pełnię praw (dziś na całym świecie stosuje ją zaledwie 113 milionów kobiet).

Dlatego zapewne utrzymuje się szatana przy życiu, jak ostatnimi laty podtrzymywano sztucznie życie dogorywających dyktatorów, że ma dopomóc w powściągnięciu żądz seksualnych. Wróg uległ zaskakującej degeneracji: pierwotnie, gdy zły duch narodził się na Wschodzie, ośmielał się walczyć ze Stwórcą o dominację nad światem, by na koniec przeobrazić się w lubieżnego starucha. Kapłani, rabini, ajatollahowie podtrzymują mit diabła tylko po to, by nie runął gmach wierzeń i zakazów religijnych. Łatwo ocenić skuteczność tych działań, wiedząc, że w każdym wielkim mieście Europy są dzielnice, w których szerzy się prostytutka. Drogie Zoli i Lautrecowi domy wyglądają przy współczesnych jak ciche pensjonaty! Całe sieci sklepów oferują kasety wideo, które mają być skutecznym lekarstwem przeciwko różnym wadom i niedo-skonałościom ludzkim, tymczasem jednak narkotyki i przemoc (a o nich Nowy Katechizm nie wspomina), niszczą nasz świat. To jest właśnie prawdziwy diabeł, ale kto sobie z nim poradzi?

Czy naprawdę musimy żyć we władzy zła? Grecy i buddyści dowiedli, że może być inaczej, że można kochać Boga nie bojąc się diabła, robiąc użytek z godności, którą nas obdarzył. Wojna z szatanem doprowadziła wyłącznie do rozlewu krwi, rozbudziła

najgorsze instynkty drzemiące w człowieku. W jej wyniku spłonęli na stosie Joanna d'Arc, filozofowie i "czarownice", ginęli protestanci, Indianie i Żydzi. Ataki na wymaginowaną bestię nieodmiennie prowadzą do klęski, nie zmniejszają natomiast niebezpieczeństw, które zagrażają społeczności ludzkiej. Możemy przypuszczać, że gdyby Hitler żył w starożytnej Grecji, zostałby uznany tylko za kolejnego szaleńca.

Ale w tamtych czasach, jak pisał Nietzsche, żaden bóg nie przeczył istnieniu innego boga ani mu nie bluźnił!